



Harib to nie tylko wielowątkowy polityczny thriller dobrze osadzony w realiach, to także fantastyczny fresk o kulturze i obyczajach Tuaregów, z piękną miłosną historią.

Wojciech Jagielski
korespondent, pisarz

ZDZISŁAW A. RACZYŃSKI
HARIB

Zdzisław A. Raczyński

Harib

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor i Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor i Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Redakcja: Justyna Wydra

Korekta: Elżbieta Kaluga, Małgorzata Augustynowicz

Fotografia na okładce została wykorzystana za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa,
katalog książek)

ISBN: 978-83-283-4679-6

Copyright © Zdzisław Raczyński 2018

Copyright © HELION 2018

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

وَعِنْدَهُ مَفَاتِحُ الْغَيْبِ لَا يَعْلَمُهَا إِلَّا هُوَ

(On posiada klucze do tego, co skryte; tylko on je zna)

Koran, Sura Trzody, 6.59



Rozżarzone powietrze wypalało płuca. Na bezlitośnie czystym niebie wybuchały dziesiątki słońc. Świeciły zewsząd — i w oczy, i wprost z góry, tak że jego pochylona w półbiegu sylwetka prawie nie pozostawiała cienia. Tyle tylko, aby z ledwością przykryć szare od pyłu buty. Pył był wszędzie — na swędzących od poparzeń dłoniach, na ubraniu, na brwiach, czole, spękanych ustach haustami chwytających oddech. Sypki piach wiązał nogi jak glina. Ostatkiem sił walczył z chęcią położenia się. Wokół rozciągała się pustynia — obojętna i milcząca. Dusił się. Ale mózg zachował zdolność jasnego rozumowania. Miał mizerne szanse dotrwania do nocy. Na otwartej przestrzeni był łatwym celem. Jeśli nie zabije go słońce, znajdą i zabiją tamci. Zatrzymał się dosłownie na moment, tylko po to, aby zaczerpnąć więcej powietrza. I wtedy dosięgnął go ogień. Zabrakło mu tlenu, pochłoniętego przez spadający strumień napalmu czy fosforu...

Obudził się nagle i od razu wyskoczył z łóżka. Serce waliło w rytmie metronomu, który usiłował dorównać tempu presto, aż zwariował. Zapalił lampkę nocną — dochodziła trzecia. W dusznym pokoju nie było czym oddychać. Najwidoczniej wiatr przymknął drzwi balkonowe, które zawsze pozostawały na noc półotwarte. Wszedł na balkon, zabierając z szafki paczkę cameli i zapalki. Jesienna noc, pełna tającej się już w powietrzu zapowiedzi zimy, szczelnie okrywała śpiące miasto. Tylko na północy, nad centrum, unosiła się zorza wielkiej metropolii. W rześkim powietrzu papieros miał smak kopącego się filcu. Znów te koszmarne sny, które najczęściej nachodziły go właśnie jesienią. Wyliczał w myślach przewinienia: stres, papierosy, za mało

ruchu, brak zorganizowania, samotność. A może to po prostu strach. Strach przed kolejną przegraną.

Stać go było na wystarczającą uczciwość wobec siebie, aby przyznać, że jego dotychczasowe życie to różaniec porażek i utraconych szans. Być może dlatego, że od dzieciństwa przyuczano go do posłuszeństwa i pokory i że nie potrafił stawiać wszystkiego na jedną kartę. Całym osiągnięciem czterdziestu dwu lat życia było to maleńkie, dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy-sypialni i mocno sfatygowane renault. W dorobku miał także żonę, która zostawiła go po dwóch latach małżeństwa, oraz garść opublikowanych artykułów, żyjących jeszcze krócej niż jego miłość do Anny.

Nie tak wyobrażał sobie swoją przyszłość w wymarzonej ojczyźnie, którą znał z opowieści babci. Nie, nie żałował tamtego wyboru z 1992 roku. Co by dzisiaj robił na Białorusi, w biednym kraju rządzonym przez władcę, który przypominał postać z nieudanych komiksów o tyranie? Byłby w szeregach opozycji? Wątpliwe. Nigdy nie angażował się w sprawy nierokujące powodzenia. Inna rzecz, że i te, które przyciągały go zapowiedzią sukcesu, też kończyły się klapą. Na pewno nie byłby piewcą reżimu. W jego rodzinnym domu bieda i uczciwość były siostrami. Może dlatego nie zrobił kariery w Polsce.

Na początku wszystko szło bardzo dobrze. Był doceniany jako młody, obiecujący analityk i komentator spraw Białorusi, Ukrainy i ogólnie Wschodu. Coś tam publikował, zapewniono mu etat w organizacji zajmującej się udzielaniem pomocy krajom posowieckim, zaproszono go nawet kilka razy do telewizji. Życie migranta, nawet takiego jak on, który powrócił do historycznej ojczyzny, okazało się jednak niełatwe. Miękki akcent i niedoskonała polszczyzna drażniły redaktorów i sprzedawców w sklepie osiedlowym. „Rusek” — słyszał często za plecami. Jego

opinie na temat zdarzeń za Bugiem, początkowo słuchane uważnie, nie wiedzieć właściwie kiedy straciły uznanie w oczach redaktorów gazet i prowadzących programy telewizyjne. Oczekiwali oni jedynie potwierdzenia z góry obranych tez. Im większa gazeta, tym głębsza wiara redaktorów we własną nieomyślność. Dyrektor organizacji Pomoc Demokratyzacji Wschodu nie wybaczył mu uwag o tym, że pieniądze od sponsorów z kraju i z zagranicy powinny iść nie na urządzenie biura i nikomu niepotrzebne ekspertyzy pisane przez kolegów dyrektora, lecz na działalność opozycji w krajach posowieckich, i rozstał się z nim przy pierwszej okazji, którą zresztą sam zaaranżował. Anna też go opuściła, gdy tylko się zorientowała, że przestał być windą, która może ją wynieść do roli gwiazdy telewizyjnych debat politycznych.

Uratowali go Szwajcarzy i języki, których nauczył się w mińskim Instytucie Języków Obcych. „Rostek, masz talent do języków, ucz się. Kto wie, jaki ci los przypadnie w udziale” — mawiała babcia. W jego wiosce na północnej granicy Białorusi mieszkali i Polacy, i Białorusini, i Litwini. W domu mówiono w przedziwnym polskim narzeczu. Na ulicy z dziećmi sąsiadów rozmawiał po białorusku i po litewsku. W szkole uczono po rosyjsku. Za namową babci, która dała mu podstawy francuskiego, rozpoczął studia lingwistyczne w Mińsku. Francuski i niemiecki. Niemiecki był nie tyle wyborem, ile daniną złożoną pamięci dziadka, który mimo czterech lat spędzonych w obozie niemieckim nigdy nie wyrzekł się miłości do mowy Schillera i Heinego. Później doszedł norweski. Całkowitym przypadkiem. Córka prorektora instytutu, biegle władająca tym językiem, rozwiodła się ze swoim mężem, sowieckim dyplomatą pracującym przez długie lata w Oslo, i wróciła z Moskwy do Mińska. Tata załatwił jej utworzenie zakładu języka norweskiego. Potrzebni byli tylko studenci. Jako prymusowi, Rostkowi zaproponowano wejście w skład

pierwszej grupy. Sam chciał wprawdzie uczyć się arabskiego jako trzeciego języka, tym bardziej że przeżywał wówczas swoją pierwszą miłość, do Nabili, filigranowej Marokanki, która przyjechała do Mińska studiować medycynę, ale nie mógł przecież odrzucić propozycji samego prorektora... Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych z inwestycjami do Polski wszedł wielki szwajcarski koncern farmaceutyczny, języki francuski i niemiecki okazały się bardzo pomocne w uzyskaniu pracy tłumacza. Znajomość norweskiego była jak kwiatek u kozucha — zwracała uwagę, ale była kompletnie bezużyteczna.

Tylko jak długo można pozostawać jednoosobową firmą, której być albo nie być uzależnione jest od humorów potencjalnych zleceniodawców? Owszem, Szwajcarzy płacili nieźle, a że miał też sporo innych zleceń, w ciągu dziesięciu lat spłacił kredyt na mieszkanie. Niestety, podejmowane od czasu do czasu próby znalezienia innej pracy, bardziej — jak mu się wydawało — ambitnej, spełzały na niczym. A marzenia o własnym domu, ukrytym gdzieś wśród lasów i jezior, które by przypominały jego rodzinną wieś, zostały schowane głęboko w myślach, dokąd nie sięga się nawet w obecności przyjaciół. Podejrzewał, że odrzucenie aplikacji złożonych do kilku urzędów państwowych było konsekwencją jego własnej prawdomówności lub naiwności. W trakcie przesłuchania w Urzędzie do spraw Cudzoziemców, co było normalną procedurą podczas ubiegania się o status uchodźcy, jego rozmówca (później domyślił się, że był to kadrowy oficer Urzędu Ochrony Państwa) zapytał:

— W Mińsku mieściła się słynna szkoła KGB. Czy były jakieś kontakty między pana uczelnią a tą szkołą?

— Tak, dość regularne. Niektórzy profesorowie z naszej uczelni uczyli też języków w szkole KGB.

Życzliwie uśmiechający się blondynek był trochę znudzony i wyraźnie traktował rozmowę kwalifikacyjną jako jeden z rutynowych, niemiłych obowiązków. Zapytał o nazwiska tych profesorów, uśmiechnął się i rzucił dodatkowe pytanie:

— A czy proponowano może panu lub któremuś z pana kolegów pracę wykładowcy w szkole KGB? Pan przecież ukończył instytut jako jeden z prymusów.

— Nie, pracy mi nie proponowano. Natomiast wraz z kilkoma kolegami uczestniczyliśmy we wspólnych z gebesznikami seminariach językowych.

— Na czym polegały te wspólne seminaria? — Blondynek nawet nie ukrywał ziewnięcia.

— Ćwiczyliśmy nowe metodyki uczenia się i nauczania języków obcych. Przykładowo w moim przypadku słuchaliśmy w lingafonie, to jest w sali audiowizualnej, taśm, na których były nagrane jednocześnie dwie lub trzy rozmowy w różnych językach. I mieliśmy za zadanie zanotować jak najwięcej z tego, co zrozumieliśmy. Albo rozmowy nagrane tak cicho, że ledwie było słycać pojedyncze słowa. Czasami nawet myślałem, że tym sposobem robimy za darmo ich robotę: tłumaczymy różne podsłuchy albo coś podobnego.

Rościsław pamiętał dobrze te zajęcia. W niewielkiej, dusznej salce godzinami starał się zapamiętywać nowe konstrukcje, wyłapywać ze szmerów różnych głosów właściwy wątek. Niekiedy było to tak męczące, że — wstyd przyznać — zasypiał.

Przesłuchujący wydawał się nie zwracać szczególnej uwagi na te wypowiedzi. Po kilku tygodniach jednak zaproszono Rostka, ale już do innego pokoju, i tam znów pytano o wspólne zajęcia językowe: czy zna nazwiska studentów uczestniczących w tych zajęciach, jacy wykładowcy je prowadzili, czy rozpoznałby twarze oficerów

KGB. Odpowiadał na pytania możliwie dokładnie i obszernie. Nie miał przecież nic do ukrycia. Dzisiaj wie, że wówczas popełnił błąd. O tę prawdomówność, graniczącą z naiwnością, zawsze miała do niego pretensje Anna. „Dupa wołowa z ciebie! Jak możesz tak dać się robić na szaro?” — krzyczała z irytacją, gdy kolejny raz okazywało się, że nowo poznani rzekomi przyjaciele nie tylko w niczym nie pomogli, ale jeszcze się zmyli, zapomniawszy oddać pożyczone pieniądze. Na początku małżeństwa, kiedy Anna jeszcze nie podnosiła na niego głosu, starała się mu tłumaczyć, jak należy żyć w Polsce. Była przy tym autentycznie zatroskana i brutalnie szczerą. „Rostek, największym twoim wrogiem jesteś ty sam. Musisz być bardziej zdecydowany, twardy. Musisz odnaleźć siebie”.

Tak, trzeba było po prostu przemilczeć ten incydent z dwuletnimi specjalistycznymi zajęciami językowymi i miałby święty spokój. Polacy wyraźnie cierpieli na intelektualne ADHD w związku ze wszystkim, co mogło w jakikolwiek sposób łączyć się z KGB, ZSRR i Rosją. Nic dziwnego — z rozdmuchiwania tych lęków utrzymywała się całkiem spora grupa ekspertów i dziennikarzy, były one też niezawodnym motorem napędzającym akcje polityczne. Jeśli Polacy w amoku politycznych batalii potrafili utopić swego premiera, oskarżywszy go o pracę na rzecz Moskwy, to cóż dopiero mówić o nim, przybłędzie z Białorusi. To tylko w debatach telewizyjnych wszyscy deklarowali pomoc dla imigrantów ze Wschodu. Realia były zgoła inne.

Przynajmniej obywatelstwo polskie otrzymał bardzo szybko i bez jakichkolwiek dalszych przesłuchań czy ceremoniałów. Niemniej w papierach został chyba jakiś ślad, gdyż wszelkie próby zrobienia kariery w instytucjach państwowych były ucinane na samym początku. Nie udało mu się nawet na stałe zaczepić w telewizji. Chociaż wyjeżdżał kilka razy z ekipami telewizji prywatnych, a nawet państwowej, aby robić reportaże z Czeczenii,

Tadżykistanu, Rosji, Karabachu, Algierii... Podczas drugiej wojny czeczeńskiej pracował dla niemieckiej ZDF. Liczył na jakąś trwalszą formę współpracy z Niemcami, lecz nic z tego nie wyszło. Christer, Norweg, operator z ekipy, a jednocześnie współproducent, bardzo go do tego zachęcał i przekonywał. Tym razem, podejrzewał Rostek, przesądziło jego polskie pochodzenie czy, dokładniej, zbyt polskie nazwisko.

— Ros... Rosz... Roszcza... — starał się odczytać je rozmówca w berlińskim biurze.

— Rościsław Grzybowski — przedstawił się Rostek powoli, starannie wymawiając każdą sylabę.

Tę hiperpoprawną wymowę Niemiec uznał chyba za formę naigrywania się z niego, bo zrobił obrażoną minę.

— No, z takim nazwiskiem to pan kariery na świecie nie zrobi.

Nawet nie miał do niego pretensji. Ani o brak angażu, ani o ten przytyk. W instytucie nazwisko też było obciążeniem. Wprawdzie w białoruskich dokumentach figurował jako Rostisław Hribouski, ale ułatwiało to tylko wymowę wykładowcom, w żadnym wypadku natomiast nie pomagało nosicielowi rodowego miana. Polacy, chociaż stanowili prawie dziesięć procent ludności Białorusi i żyli na tej ziemi od stuleci, zawsze byli traktowani jako element obcy, potencjalnie groźny. Jego wuj ze strony matki, ale też Grzybowski — bo w ich rejonie całe rodziny Grzybowskich gromadami, niczym grzyby w lesie, rozsiadły się po okolicznych wioskach — zmienił nazwisko na Grib, wymawiane z białoruska Hrib. I dopiero wtedy poszedł w górę, aż na same szczyty władzy. Rościsławowi brakowało może przebojowości, może tego szczególnego cwaniactwa, którym co krok zaskakiwali go rodacy w historycznej ojczyźnie.

W ostatecznym rozwiązaniu problemu niewymawialnego poza Polską imienia i nazwiska bardzo pomogło mu to, że pracując w sądach jako tłumacz przysięgły — a miał, poza niemieckim i francuskim, także uprawnienia z białoruskiego i rosyjskiego — zawarł bliższą znajomość z kilkoma prawnikami, sędziami i adwokatami, a z jednym z nich prawdziwie się zaprzyjaźnił. „Prawo — mawiał Jacek z wiedzą i elastycznością adwokata, który miał za sobą dziesiątki i setki wygranych potyczek sądowych — to nie dekalog, a ty nie zeznajesz przed Bogiem”.

Więc Rościsław pierwszy raz w życiu świadomie, z premedytacją skłamał. Tym razem nie zawahał się ani na moment, składając zupełnie zmyślane oświadczenie o tym, jak jego działalność na rzecz białoruskiej opozycji naraża bezpieczeństwo rodziny pozostałej w starym kraju, jak siepacze Łukaszenki dybią na jego żywot. Koledzy z Białorusi spreparowali nawet na opozycyjnych stronach internetowych stosowne publikacje potwierdzające jego wersję. Własna wirtualna biografia bojownika walczącego z reżimem wydała mu się cokolwiek przesadna i zbyt heroiczna, miał też obawy o ewentualne następstwa takiego koloryzowania życiorysu.

— A co będzie, jak się wyda? W ogóle wyrzucą mnie z Polski — nie krył obaw w rozmowie z Kola.

Kola, czyli Mikołaj z Lidy, który był prawdziwym opozycjonistą, to znaczy naprawdę wydał kilka numerów niezależnego magazynu internetowego, uspokajał go:

— Czym się przejmujesz? Mamy to już obcykane, robiliśmy to przecież nie raz i nie dwa. Nawet z syna Łukaszenki możemy zrobić opozycjonistę. To tylko kwestia pieniędzy. Od ciebie jednak nie weźmiemy ani centa.

„Zaczynam nowe życie” — myślał, przekładając w rękach mały kartonik karty identyfikacyjnej. Dowód osobisty

obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Ron Harib. Brzmiało dobrze, bo krótko i cokolwiek obco. Większość Polaków chyba nosiła głęboko ukryte kompleksy, bo w ich przekonaniu ktoś, kto nazywał się Timothy Smith, wydawał się jednak mądrzejszy i lepszy niż Mateusz Kowal. Oczywiście, zmieniając i skracając nazwisko, myślał przede wszystkim o potencjalnych pracodawcach z zachodu Europy. Łatwiej było jednak nakreślić plany i rozesłać wszystkim znajomym nęcąco wyglądające projekty, niż je urzeczywistnić. Na rynek wchodziły nowe pokolenia tłumaczy, ceny usług spadały, a rutyna wklepywania powtarzalnych danych w te same tabelki bardzo go nużyła.

Jak to się często zdarza, oferta zmiany na lepsze przyszła do niego wtedy, gdy się jej zupełnie nie spodziewał. Christera spotkał przypadkowo w warszawskim hotelu Hyatt. Ron — już się zdążył przyzwyczaić do nowego imienia, zrosnąć z nim — jadł tam obiad z delegacją z Nestlé, która finalizowała w Polsce zakup kolejnej firmy. Christer, wciąż z kamerą, przyleciał z ekipą, tym razem telewizji norweskiej, zrobić wywiady z polskimi noblistami.

— Jak leci? — zapytał Norweg w przelocie w szatni.

— Jeśli pytasz szczerze, to nieszczęśliwie. Chociaż wiem, że powinienem odpowiedzieć, że fantastycznie... — odpowiedział Ron z odcieniem gorczy.

Umówili się na wieczorne piwo. Norweg z zapalem opowiadał o swoim nowym projekcie algierskim:

— Algieria. Ropa. Islamiści. Europa. Szansa czy zagrożenie? Arabowie i Berberowie. Temat robimy dla norweskiej telewizji. Ale jeśli wyjdzie dobry materiał, kupią go wielkie stacje. Pojedziesz?

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Żaden ze mnie specjalista od Magrebu. Możesz znaleźć kogoś, kto zna się na tym lepiej — oponował lekko. W głębi duszy już się do

tego zapalał, równocześnie próbując powściągnąć emocje. Strach przed fiaskiem był w nim jednak zbyt głęboki...

— Po pierwsze, znam cię, trochę razem przeszliśmy, więc wiem, co potrafisz. Po drugie, znasz języki i teren. Edgar, z którym robiłeś materiał w Algierii, też bardzo cię chwalił. I wreszcie, potrafisz, jeśli trzeba, pracować także z kamerą. Ponadto, nie ukrywam, budżet projektu nie jest oszałamiający i, szczerze mówiąc, nie sądzę, abym znalazł w Norwegii kogoś równie dobrego za takie pieniądze. Zwłaszcza że to wyjazd tuż przed świętami Bożego Narodzenia. No jak, wchodzisz?

Christer był na tyle delikatny, że najmniejszym gestem ani półsłówkiem nie dał Ronowi podstaw do podejrzeń, że za ofertą stała zwykła dziennikarska solidarność i chęć pomocy koledze w tarapatach.

Umówili się, że Christer, u siebie postać znana i wpływowa jako zwycięzca World Press Foto, przekona szefostwo telewizji do kandydatury Rona.

Norwegowie, których bogactwo brało się nie tylko z ropy, ale też z pracowitości i wzorowej organizacji pracy, nie zwykli kupować kota w worku. Rekomendacje Christera i telewizji ZDF okazały się niewystarczające i Ron musiał przejść swoisty casting. Oczywiście Skandynawowie pozostali sobą, nie zaproponowali przejażdżki do Oslo. Wystarczyła rozmowa na Skypie. Ron zaimprovizował studio w swoim mieszkaniu, sam usiadł na tle biblioteczki ze słownikami i książkami (kilka z nich, w języku arabskim, ze złożonymi napisami na grzbietach, pożyczył od znajomego), na biurku rozmyślnie położył mapkę Algieru, książkę o Abdelkabirze, rekorder... Robiło wrażenie. Rozmówca, który przedstawił się jako Hasmusen, wiceprezes Norsk Rikskringkasting (taką oficjalną nazwę nosiła norweska telewizja NRK) do spraw programowych,

nie ukrywał swojego pozytywnego zaskoczenia biegłością Rona w języku norweskim.

— Sądząc po pana wymowie i imieniu, mogę się domyślać, że miał pan norweskich przodków — powiedział.

Ron uznał, że była to próba komplementu, a nie pytanie, które wymagałoby odpowiedzi.

— Christer mówił mi, że pracował pan w Algierii i jest pan znawcą Północnej Afryki. Że zna pan świetnie język arabski.

To już było pytanie.

— Nie powiedziałbym, że to świetna znajomość. Porozumiewam się — zełgał.

Zauważył, że im więcej ma lat i im dłużej przebywa w Polsce, tym łatwiej i pewniej kłamie. Nie mógł przecież przyznać, że zna w języku arabskim kilkanaście, góra kilkadziesiąt najprostszych zdań, których nauczyła go Nabila. A wyprawa do Algierii miała na celu nagranie kolejnego odcinka programu kulinarnego dla telewizji komercyjnej i ograniczyła się do przechadzki po *suku*, czyli miejscowym bazarze, oraz kilku godzin kręcenia ujęć plaż i hoteli.

— Ponadto — kontynuował, gładko odchodząc od niezręcznego tematu swoich arabistycznych kompetencji — język literacki, fuscha, może okazać się mało przydatny w Algierii, gdzie rozmawia się w dardża, miejscowym, dość trudnym dialekcie magrebskim. Ten znam znacznie gorzej.

Hasmusen utwierdził się w wysokiej ocenie Rona. Kompetentny, a do tego skromny, mógł przecież twierdzić, że mówi po arabsku lepiej niż Lawrence. Ponadto było coś urzekającego, budzącego zaufanie w jego smagłej, prawie młodzieńczej twarzy, silnie kontrastującej z zupełnie siwymi włosami.

— Jeśli nie zażąda pan honorarium Oprah Winfrey, to sądzę, że osiągniemy porozumienie.

Ron zaciągnął się głęboko. „Kiedy wreszcie dorosniesz?!” — słyszał w głowie podniesiony głos Anny. Tak reagowała na każdy jego wyjazd, który nie przynosił ani pieniędzy, ani sławy, jaką można by było spieniężyć lub przynajmniej wykorzystać dla dobra kariery żony. Z wizerunkowego punktu widzenia wyjazdy Rona nie opłacały się wcale, bo to nie on, a koledzy z grup, którym przekazywał podstawową wiedzę dotyczącą danego kraju czy konfliktu, po powrocie występowali jako eksperci, pisali książki.

Tak, to była awanturnicza i nieodpowiedzialna decyzja: podjąć się zadania, do którego nie jest się przygotowanym. Pół biedy, gdyby skutki takiego postępowania dotknęły tylko jego samego, ale w tym wypadku telewizję narażał na straty, a kolegów z ekipy na niebezpieczeństwo. Algieria, w której od dwóch dziesięcioleci armia i islamiści polowali na siebie nawzajem, nie była najbezpieczniejszym plenerem zdjęciowym.

Chociaż... Przypomniawszy sobie jedną z ekip telewizji amerykańskiej, która przyjechała filmować wojnę w Czeczenii. W kamizelkach kuloodpornych i hełmach, ale w sportowych butach, trochę mało przydatnych w gliniastym, górskim terenie. Ze znajomością rosyjskiego ograniczającą się do słów *spasiba*, *khorosho*, *my drousy* i podobnie głęboką wiedzą na temat realiów miejsca i czasu, w których się znaleźli. I nic — przeżyli, zrobili materiał, jeden z nich podobno otrzymał nawet jakąś ważną nagrodę dziennikarską.

Uspokajał się. Jakoś to będzie. Szkoda tylko, że Christer nie może pojechać. Taki pech — złamać nogę na tydzień przed wylotem. Nowy operator, Mathias, nie miał szans na otrzymanie wizy do Libii szybciej niż za miesiąc, dwa, a

planowali zrobić materiał nie tylko o Algierii, ale o wszystkich krajach Magrebu.

Dochodziła piąta rano. Szarzało. „Może jeszcze zdrzemnę się trochę przed wyjazdem na lotnisko” — pomyślał i wrócił do wystygłego już łóżka.

II

Umówili się na lotnisku de Gaulle'a. Ron przyleciał do Paryża porannym samolotem, kilka godzin przed przybyciem pozostałych członków ekipy z Oslo, specjalnie po to, aby spotkać się z Janem. Jan, Żyd od kilkadziesiąt lat mieszkający we Francji, migrant z Polski, był jednym z czołowych specjalistów od Afryki. Jego teksty publikowały największe francuskie i europejskie gazety. Ron liczył początkowo na dłuższe spotkanie w Paryżu, ale Jan akurat znowu na tygodnie przepadł gdzieś w Magrebie. Powinien wrócić do Francji tego samego dnia pierwszym porannym lotem z Tunisu. Jan miał wobec Rona czeczeński dług — tylko szybka interwencja Rona uratowała francuskiego dziennikarza od porwania go przez bandę. Głowy trzech Anglików, którzy zignorowali życzliwą radę Rona, odnaleziono w przydrożnym rowie po kilku tygodniach bezowocnych negocjacji na temat oswobodzenia zakładników.

Pozostawił podręczny bagaż w przechowalni i ruszył spacerkiem po butikach. Lubił atmosferę lotniska, miejsca spotkań i pożegnań, gdzie zaczynają się i kończą podróże oraz przecinają ludzkie losy. Telefon od Jana zadzwonił, gdy Ron akurat kupował whisky. Alkohol bywał w niektórych sytuacjach niezastąpioną walutą i skutecznym lekiem, a algierscy celnicy nie są szczególnie drobiazgowi.

— Czekam w café na terminalu 2B — powiedział Jan krótko po polsku.

Ron uśmiechnął się do siebie. Cały Jan, zawsze, na wszelki wypadek, używa języka najmniej popularnego w danym

kraju. W Rosji — nie angielski czy rosyjski, lecz francuski, we Francji — polski.

Przywitali się serdecznie, trzykrotnym dotknięciem policzkami. Nie byli bardzo bliskimi przyjaciółmi, ale wspólne trudne chwile zbliżają do siebie obcych zupełnie ludzi bardziej niż więzy krwi. Przyjaźń nie wymaga deklaracji, lecz czynów i dyskrecji. Jan skubał croissanta, popijając go na przemian kawą i koniakiem.

— Zauważ, że wyszedłem ci naprzeciw, abyś nie musiał pędzić aż na drugi koniec lotniska — podkreślił Jan swoją życzliwość. — Bo odlatujecie algierskimi liniami? No właśnie, a Chutut Dżazairija^[1] mają loty z tego terminala. Wiesz, że w Tunisie pieką croissanty nie gorsze niż w Paryżu? A kawę mają na pewno lepszą niż ta. Obawiam się jednak, że to wkrótce może się skończyć...

— Przecież jadę nie do Tunezji, tylko z Norwegami do Algierii.

— Jasne, ale to ciekawe... Jeśli macie czas i pieniądze, przejedźcie się po całym Magrebie. Wiesz, że nieco orientuję się w tym regionie. Coś wisi w powietrzu. Zresztą, powtarzam to od kilku lat, obecny stan rzeczy nie może przeciągać się w nieskończoność. I chciałbym się mylić, ale nie sądzę... uważam, że to może rozpocząć się w Tunezji. Algieria to zbyt duże ryzyko, a i wojskowi mają tam zbyt mocne pozycje. Tunezja to zupełnie inna rzecz. Mały kraj o niewielkim znaczeniu, młodzież zapatrzona z jednej strony w Europę, z drugiej zaśłuchana w to, co płynie z telewizji Al-Dżazira. Wiesz, że Tunezyjczycy stanowią jedną z najliczniejszych grup w Al-Kaidzie? Napięcia są tam naprawdę silne, a desperacja ludzi ogromna. Może moje obawy biorą się stąd, że po prostu najlepiej znam ten kraj? Lecz jeśli pożar wybuchnie w Tunezji, to zapali się cały region. Tunezja to laboratorium Afryki Północnej. Wreszcie... Przed wyjazdem z Francji miałem kilka

ciekawych rozmów z ludźmi związanymi z Pałacem Elizejskim. Otóż, wydaje się, że naszemu małemu Nicolas śnią się napoleońskie sny o Egipcie. Prawda, ma na myśli Libię.

— I...?

— Jeśli masz dwa naczynia, w jednym benzynę, w drugim nitroglicerynę, i potrząsasz nimi nad ogniem, to jakie jest prawdopodobieństwo uniknięcia pożaru? No właśnie... Jak ci się wiedzie w Polsce? — zmienił nagle temat.

— Jeśli jednym słowem, to: dobrze.

— A jeśli dwoma?

— To: nie dobrze.

Zaśmiali się obaj ze starego żydowskiego powiedzonka.

— Dam ci kilka pożytecznych namiarów w Algierii i Tunezji. Jeśli coś, dzwoń lub, jeszcze lepiej, pisz. Nie zawsze odbieram telefony. Co do Libii, to praktycznie nie mam w tym kraju wartościowych kontaktów. Przynajmniej takich, które mógłbym ci przekazać. Będiesz tam musiał radzić sobie sam. W Trypolisie macie bardzo sensownego ambasadora. Wprawdzie jest trochę ostrożny i bojaźliwy, jak to urzędasy, ale może okazać się przydatny, bo to łebski facet. Profesjonalista. Masz dobre układy z rządem?

— Normalne. Dlaczego pytasz?

— Jesteś imigrantem. Chociaż Polakiem. Takich nigdzie nie lubią, ani we Francji, ani w Polsce. Dlaczego Jeffrey, no wiesz, ten z Foxa, mówił, że pracujesz dla ruskiego KGB?

— Jeśli ruskiego, to eSWueR, tak się to teraz u nich nazywa.

— KaGieBe, eSWueR... Jeden chuj. — Jan, jak wielu inteligentnych ludzi, lubił niekiedy rzucić mięsem.

— Przecież znasz Jeffreya... Stoi przy drodze w tej swojej durnej kamizelce, w hełmie, obwieszony aparatami, macha ręką do rosyjskich żołnierzy i krzyczy: „*Gospoda soldiers, give me a lift*”^[2]. A oni się śmieją i nic. Pewnie byli przekonani, że kręcą jakiś film i że Jeffrey to postać z tego filmu, karykatura dziennikarza. No to wrzasnąłem: „*Pacany, podbros'tie*”^[3]. I pojechaliśmy. Nie wykluczam, że Jeffrey do dziś uważa, że *pacan* to hasło rozpoznawcze ruskich służb.

Ron opowiadał scenkę sprzed dziesięciu lat ze śmiechem, ale rozumiał, że jeśli takie plotki doszły do Jana, który na poradzieckim Wschodzie bywał okazjonalnie, to w Warszawie przybierały zapewne formę doniesień pisemnych.

— Bądź ostrożny, Rostek. Chciałbym się mylić, ale inaczej niż te bałwany z Quai d’Orsay ^[4] uważam, że nad Morzem Śródziemnym pachnie spalenizną. Jak sądzisz, do czego Norwegom, żyjącym z ropy i gazu, akurat teraz potrzebne są reportaże z regionu, gdzie także produkuje się gaz i ropę? Chyba że... — Jan zamyślił się, sącząc powolutku koniak.

— Chyba że...?

— Chyba że ci z Quai d’Orsay nie są takimi bałwanami, jak sądzę, a bałwanem jestem ja. A już na pewno nie są bałwanami nasi przyjaciele z bulwaru Mortier. Aaa, nie wiesz? Na Mortier ma swoją siedzibę główną DGSE, Direction Générale de la Sécurité Extérieure^[5], czyli nasz dzielny wywiad. Widzisz, przed kilkoma dniami przeczytałem króciutką informację na portalu Liberation. Według tej notki na początku listopada Francja i Anglia podpisały porozumienie o współpracy wojskowej i opracowały plan przygotowań do wspólnych ćwiczeń pod nazwą „Mistral de Sud”, wiatr z południa. Ćwiczenia mają przebiegać na terenie kilku francuskich baz. Jak sądzisz,

dlaczego dwa państwa NATO postanowiły ni stąd, ni zowąd zacieśniać swoją współpracę wojskową poza strukturami sojuszu? Mistral to ostry, zimny wiatr, który wieje z północy na południe i wyrządza niekiedy wiele szkód. Z tego, co się dowiedziałem, ćwiczenia mają zacząć się 21 marca, czyli za kilka miesięcy.

— Wybacz, nie nadążam.

— Nie powiedziałem ci o jeszcze jednym wydarzeniu. Otóż w końcu października, kilka tygodni przed podpisaniem francusko-brytyjskiego porozumienia, do Francji uciekł Nuri Al-Mismari, jeden z najbliższych współpracowników Kaddafiego. Mismari był przez długie lata szefem protokołu Kaida^[6], więc wie o wszystkich jego spotkaniach i sprawkach więcej niż ktokolwiek na świecie. Mismariemu udało się uciec wraz z najbliższą rodziną, inną jej część już wcześniej wyprawił z Libii. Totumfacki Kaddafiego zjawia się w Paryżu, czeka na niego hotel Concorde Lafayette i obstawa agentów DGSE. Miesiąc później, w czasie, gdy zawarto porozumienie między nami i Brytolami o tym, że będziemy robić wiatr od morza, do Bengazi wyjeżdża delegacja francuskiego biznesu. A w jej składzie... wiem, co mówię, bo znam ich osobiście... dwaj najlepsi w DGSE specjaliści od Libii. Tam nasi dzielni wywiadowcy spotykają się z kilkoma wysokimi oficerami armii libijskiej. Jak zapewne wiesz, oficerowie regularnej armii w Libii mają wiele pretensji do swego wodza. Przede wszystkim tę, że właściwie rozwiązał armię, podzielił ją na oddzielne brygady, zepchnął oficerów na daleki plan. W Libii wszystkim rządzą służby specjalne, komitety rewolucyjne i tego typu ludzie. Tymczasem wojskowi chcieliby mieć więcej z rzeki petrodolarów. Do tego te fanaberie wielkiego wodza. Trzeba je milcząco znosić, a są krwawe... Też bym się w końcu wkurwił.

— No nie, przecież Sarko ma świetne relacje z Kaddafim. Przyjmował go przed kilkoma laty w Pałacu Elizejskim ze wszystkimi honorami.

Jan zachichotał.

— Ależ doskonale pamiętam. Cóż to była za uroczystość! — przyznał. — Sokół Afryki, Naczelny Wódz Nubijczyków i wszystkich Afrykanów, przybył kilkoma samolotami, kilkaset osób, orszak liczył chyba ze dwieście limuzyn... Socjaliści dostawali piany. A wyobrażasz sobie, jak gimnastykował się Kouchner, ten wielki bojownik o prawa człowieka, który jako szef dyplomacji musiał ścisnąć rękę krwawego wariata? Sarko zaś oświadczył swoim krytykom, że są głupkami i że nic nie pojmują z realnej polityki.

— Właśnie.

— No tak. Ale Kaddafi naobiecował mu złote góry z rzekami ropy, którymi spływają szmaragdy. Czego to Libijczycy nie mieli kupić... Samoloty, śmigłowce, autostrady, fabryki... A kiedy przyszło co do czego, podpisali kontrakt na zakup broni z Ruskimi. Myślę, że Sarko też się mocno wkurwił.

[1] *Chutut Dżazairija* (arab.) — Algierskie Linie Lotnicze.

[2] *Gospoda soldiers, give me a lift* (ros. i ang.) — Panowie żołnierze, podwieźcie.

[3] *Pacany, podbros'tie* (ros.) — Chłopcy, podrzućcie.

[4] *Quai d'Orsay* — ulica w Paryżu, przy której mieści się francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

[5] *Direction Générale de la Sécurité Extérieure* — Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego (wywiad francuski).

[6] *Kaid* (arab.) — dowódca, wódz; tytuł Kaida nosił przywódca Libii Muammar Kaddafi.



Z Saszą znali się dość dobrze, wspólnie kręcili materiał z wyborów prezydenckich i pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Wcześniej razem wyjeżdżali na wojnę czeczeńską. Rudowłosa dryblas, owoc miłości Dunki i Norwega, mówił chyba wszystkimi językami zachodnioeuropejskimi, ale jego rosyjski był bardzo nędzny. W związku z tym Alexander bez jakichkolwiek dąsów godził się na formalnie podrzędną rolę w teamie, choć faktycznie był szefem grupy. To na jego głowie spoczywała logistyczna strona czeczeńskich wypraw — załatwiał hotele, kierowców, trzymał kasę, układał plan zdjęć i rozmów, a jeśli trzeba było, mógł nawet zrobić ujęcie. Jego wiedza i zdrowy rozsądek imponowały Rościsławowi. W Kijowie, wieczorem, gdy już wrócili do hotelu z placu Wolności, na którym kolejny dzień z rzędu tłumy z pomarańczowymi chorągiewkami fetowały zwycięstwo demokracji, i siedli w barze przy szklaneczce whisky, Sasza zapytał:

— Jak się nazywały te łódeczki, na których Kozacy z Ukrainy chcieli kiedyś zdobyć Konstantynopol? Czajki?

— Sasza, to trochę nie tak... Bizancjum już wtedy nie istniało. — Christer usiłował uporządkować historyczną wiedzę Alexandra.

— A kto mówi, że Bizancjum? Mam na myśli Imperium Osmańskie. Nie zapominaj, że Turcy przemianowali Konstantynopol na Stambuł dopiero w 1930 roku. Ponadto ani rzecz, ani człowiek nie zmienia swojej istoty od tego, że otrzyma nowe imię. I nie spalenie jakiejś dzielnicy Trabzonu mam na myśli, a podkopanie mocy imperium.

Jaka część ukraińskiego eksportu pochodzi z Galicji i Kijowa?

Rozmowa z Saszą wymagała sprawnego kojarzenia wątków i czasów.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ten zapach...

— Chcę przez to wyrazić swój pogląd, że ta pomarańczowa rewolucja, której zwycięstwo opijamy, zakończy się klapą. Nie mówię o nieuchronnym zwycięstwie demokracji, czy tak zwanych zdeterminowanych procesach historycznych. Czegoś takiego po prostu nie ma. Nie wierzymy w heglowski optymizm. Mówię o wnioskach z faktów, których większość nie chce dostrzec. Ukrainę czeka czterdzieści lat chodzenia po pustyni. Jeśli oczywiście znajdzie się Mojżesz, który pokaże narodowi kamienne tablice, a nie ktoś, kto sprzeda je handlarzowi nagrobków. Basta.

Polityczny zmysł Alexandra, opierający się na zdrowym rozsądku i nieulegający mądrości nagłówków gazet, nie zawiódł go. Nie da się z małych czajek zdobywać umocnionych twierdz. Zwłaszcza jeśli pasażerowie łódeczek chcą je w czasie boju sprywatyzować. Pomarańczowa rewolucja zakończyła się kompromitacją jej liderów i zwycięstwem odsuniętego wcześniej pretendenta.

Ronowi imponował także krytyczny stosunek Alexandra do materiałów robionych przez ich ekipę.

— Musimy traktować swoich odbiorców poważnie i z szacunkiem. Nie zakładajmy, że odbiorca reportażu czy powieści wie od nas mniej lub że nie jest w stanie przyjąć tak zwanej poważnej treści. Że nie powinniśmy zaprzętać mu głowy faktami lub liczbami. Nie ma tematów zbyt skomplikowanych; co najwyżej sprawy trudne mogą być źle opowiedziane — mawiał Alexander.

Z Edgarem Ron pracował tylko raz — podczas poprzedniej wyprawy do Algieru. Edgar dopiero zaczynał wówczas swoją dziennikarską karierę, a o dołączeniu go do zespołu zdecydowała głównie biegłość w posługiwaniu się językiem francuskim, którą nabył w trakcie studiów na uniwersytecie w Montpellier. Młody Norweg był nieczęsto spotykanym we współczesnej żurnalistyce typem intelektualisty: czytany i dociekliwy, a przy tym ujmująco serdeczny i empatyczny. Kilkunastodniowy wspólny pobyt w Algierii bardzo ich zbliżył — Ron polubił go jak młodszego brata, którego zresztą nigdy nie miał.

Nowy w ekipie był Niemiec Mathias. Ronowi przedstawił go Alexander, gdy spotkali się przed punktem odpraw w terminalu 2B. Mathias był podobno znakomitym operatorem, tak przynajmniej zapewniał Christer, polecający Niemca na swoje miejsce. Ostatnio pracował dla duńskiej telewizji DR. Z jego rodzinnej miasteczka na pograniczu niemiecko-duńskim bliżej było do Kopenhagi niż do Berlina. Mathias niechętnie opuszczał swoją zakupioną przed laty farmę. Przekształcił ją — jak opowiadał — w zielony raj na ziemi i tylko konieczność ciągłego inwestowania we własny skrawek ziemi („Nawet sobie nie wyobrażacie, jak drogie jest dzisiaj życie na wsi, za wszystko trzeba płacić z własnej kieszeni”) zmuszała go do pracy w telewizji i do brania udziału w kolejnych wyprawach reporterskich. Mimo że najstarszy z nich, bo dobiegający sześćdziesiątki, Mathias był chyba najsilniejszy i najbardziej wytrzymały. Z wyglądu rzeczywiście przypominał krzepkiego farmera niczym Anteusz czerpiącego siłę wprost z ziemi. Lub komandosa, który latami wprawiał się w marszobiegach. Tyle że z kamerą, nie zaś z granatnikiem na ramieniu. Jego uścisk dłoni przypominał chwyt, który za chwilę może się skończyć rzuceniem rozmówcy na glebę.

Plan wyjazdu uzgadniali e-mailami od tygodni, łącznie ze wstępną listą rozmówców, a nawet z miejscami zdjęć. Wszyscy czterej wystarczająco długo pracowali w zawodzie, aby wiedzieć, że jedno nieprzewidziane wydarzenie może zupełnie zmienić kalendarz. Alexander jak zwykle zajął się logistyką z całą skandynawską zapobiegliwością, która każe z góry przygotować odpowiedzi na wszystkie pytania i wyjścia z każdej sytuacji. No, chyba że zdarzy się coś zupełnie zaskakującego — wówczas precyzyjna konstrukcja waliła się w gruzy... Z improwizowania Alexander nie otrzymałby ocen celujących.

Sprzęt był już odprawiony, obie kamery wzięli ze sobą na pokład. Dokładność, z jaką ochrona sprawdzała ich canony, przypomniawszy, że udają się do kraju, w którym zamachy terrorystyczne nie są rzadkością. Ron nie był zaskoczony drobiazgowym przeszukaniem. Po tym, jak w 2001 roku dwaj udający dziennikarzy Tunezyjczycy zabili Szaha Masuda, przywódcę afgańskich Tadżyków, używając do tego kierunkowego ładunku wybuchowego umieszczonego w kamerze telewizyjnej, sprzęt rejestrujący obraz i dźwięk stał się obiektem szczególnej uwagi wszystkich służb świata.

Na lotnisku Bumediena w Algierze czekał już na nich mały bus wysłany z hotelu Hilton, w którym mieli zamieszkać. Tutejsi celnicy nie interesowali się zbytnio ich okazałym bagażem. Najwidoczniej pismo z algierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które przezornie wcześniej uzyskał Alexander, było wystarczającą rękojmią. Na prośbę Mathiasa pojechali do centrum miasta nie południową trasą Rocade Sud, lecz nadmorską, dzięki czemu mogli nie tylko uchwycić klimat przedmieść algierskiej stolicy, ale i doświadczyć trudności poruszania się w zatłoczonej do niemożliwości metropolii, w której wyraźnie nie obowiązywały żadne zasady ruchu drogowego.

Na widok hotelu, potężnego gmachu z przeszklonym wejściem i foyer z marmurowymi kolumnami i fontanną, Alexander westchnął:

— Jak ja, kurwa, kocham te przytulne, małe hotele z niepowtarzalną atmosferą. Globalizacja, standaryzacja...

Ron dobrze go rozumiał. Można było przejechać pół świata, rozmawiać z setkami ludzi i, zatrzymując się w takich hotelach, mieć wrażenie, że wciąż przebywa się w jednym i tym samym kraju. Za bezpieczeństwo, względnie zresztą, bo skupiska cudzoziemców przyciągały terrorystów wszystkich maści, za standard i jakość obsługi trzeba było płacić akceptacją tej bezosobowości i wyobcowaniem z życia rdzennych mieszkańców.

Przezorność Alexandra obejmowała także wybór pokoi — wysoko, na przedostatnim, jedenastym piętrze, skąd otwierał się widok na odległe o kilkaset metrów morze.

— Skoro ma być jednostajnie, to niech będzie chociaż ładnie — komentował Sasza.

Morze o tej porze roku nie miało jednak w sobie nic ze śródziemnomorskiego lazuru, przypominało bardziej rodzimy Bałtyk, było szare, zamglone i lekko wzburzone.

Podczas kolacji, którą zjedli w restauracji hotelowej, bo nie chciało im się wychodzić pierwszego wieczora do miasta, raz jeszcze dokładnie omówili plan pracy na najbliższe dni. Sasza miał udać się nazajutrz do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby uzyskać potwierdzenie spotkań z oficjelami. Pozostali pokręcą się po okolicy i zrobią trochę ujęć, które można będzie wykorzystać jako przebitki do różnych materiałów.

Ron zasypiał z dreszczem niecierpliwości, że musi minąć jeszcze noc, jeszcze dzień, może nawet dwa, zanim czas sprasuje sceny w jeden nieprzerwany strumień wydarzeń, który wchłonie go tak, aż zatrą się granice między rolą

rejestratora i współuczestnika, i uniesie go ku czemuś nienazwanemu, co nieuchronnie zdarzyć się musi, a czego kontury niczym marzenia lub sen niewyraźnie mającą w ciemniejącym oknie.

IV

Przy późnym śniadaniu Alexander zakomunikował reszcie ekipy niezbyt dobrą wiadomość. Z Pałacu Prezydenckiego przekazano, że prezydent Buteflika nie może ich „na razie” przyjąć, a w jego zastępstwie spotka się z nimi premier Ahmed Ujahja.

— Panowie, oznacza to, że z wywiadu z prezydentem chyba nici. Zróbmy więc tak — zaproponował Sasza. — Rozmawiamy z premierem, jesteśmy grzeczni i układni, bardzo proalgierscy i proarabscy. Jeśli Ujahja wystawi nam świadectwo moralności, to niewykluczone, że dostąpimy też zaszczytu ujrzenia oblicza panującego. Uznaję za prawdopodobne, że Buteflika może nie czuć się teraz najlepiej, gość ma już grubo ponad siedemdziesiątkę. Ale to silny człowiek Algierii i nasz materiał bez rozmowy z nim wiele straci.

Ron wprawdzie wątpił, aby premier lub prezydent podzielili się z nimi przed kamerą jakimiś wstrząsającymi nowościami, niemniej podzielał przekonanie Mathiasa, że rozmowa z pierwszymi osobami w państwie miała wartość nie tylko samą w sobie, ale otwierała też przed nimi gabinety innych bardzo ważnych person.

Premier rezydował niedaleko Kasby, starej części miasta, w wielkim, białym gmazysku, kształtem przypominającym literę H, nad którym powiewała biało-zielona flaga Algierii z czerwoną gwiazdą i półksiężycem. Gdy podjechali, brama w wysokim metalowym ogrodzeniu była już otwarta, ale uzbrojeni żołnierze dokładnie sprawdzili samochód, nim schowały się pod ziemię potężne stalowe rury i ostre zęby przegrody. Przed samym wejściem, ozdobionym złożonym

napisem „*Kasr al-Chukuma*^[1]”, czekali kolejni czterej strażnicy, a wewnątrz, nie licząc agentów w cywilu, jeszcze dwaj. W powietrzu wyczuwało się atmosferę zagrożenia i mobilizacji. W holu, bogato zdobionym we wschodnim stylu, powitali ich sztywny i oficjalny sekretarz prasowy premiera oraz oficer ochrony, który zaprowadził filmowców marmurowym korytarzem do bocznej salki, gdzie starannie sprawdzono ich sprzęt.

Szef algierskiego rządu oczekiwał gości w gustownie urządzonym pokoju, przeznaczonym — jak domyślił się Ron — do oficjalnych spotkań: włoskie meble, oblicowany mahoniem kominek, na ścianach starannie dobrane kinkiety i dwa obrazy, jeden z widokiem Algieru, drugi — marynistyczny z łodziami... Czyżby Wikingów? „Chyba nie powiesili tego specjalnie z okazji przyjazdu norweskiej telewizji?” — przemknęło Ronowi przez myśl. Ujahja, niewysoki, dość krępy, z sumiastymi, siwymi wąsami i strzechą szpakowatych włosów, przywitał ich uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni. Usiedli przy stoliku przyozdobionym bukietem krótkich, białych róż. Premier rozłożył ręce w zapraszającym, zachęcającym geście: „Możemy zaczynać”.

Wcześniej podzielili role: Edgar koncentrował się na problematyce gospodarczej i relacjach dwustronnych między Algierią a Norwegią i państwami europejskimi, z kolei Ron pytał o problemy regionalne, walkę z terroryzmem, stosunki z sąsiadami. W sposobie i stylu, w jakim Ahmed Ujahja odpowiadał na pytania, przejawiała się jego dyplomatyczna przeszłość i talent negocjatora. Wypowiedzi algierskiego premiera były precyzyjne, ze starannie dobranymi słowami, ale zupełnie nijakie, uciekające. Trudniejsze kwestie Ujahja zręcznie omijał lub owijał dyplomatyczną bawełną, a wszystko zalewał potokiem liczb i statystyk.

Po kilku minutach Ron miał poczucie porażki, gdyż niewiele z wywiadu nadawało się do wykorzystania jako odrębny materiał dla masowej telewizyjnej widowni. Kiedy jednak uważniej wsłuchał się w słowa, zrozumiał, że szef rządu Algierii przekazuje ważne przesłanie dla elit politycznych Zachodu. Ujahja akcentował znaczenie stabilności w Afryce, podkreślał troskę Algieru o utrzymanie dobrych stosunków z sąsiadami, zwłaszcza z Tunezją i Libią, chociaż tajemnicą poliszynela było, że relacje te są dalekie od idealnych, i swoją solidarność z przywódcami tych krajów. Przestrzegał przed postrzeganiem sytuacji w regionie wyłącznie z europejskiego punktu widzenia i otwarcie krytykował „politykę demokratyzacji”, przywołując zniechęcający przykład Iraku.

— Owszem, możemy mieć zasadne pretensje do poziomu swobód obywatelskich, wolności, stanu praw człowieka w tym czy innym kraju. Ale... w Iraku faktycznym rezultatem międzynarodowej interwencji jest dramatyczne obniżenie bezpieczeństwa i stabilności, śmierć dziesiątków i setek tysięcy ludzi. Jakie mamy zatem gwarancje, że w przypadku innego państwa, na przykład z Afryki Północnej, podobna interwencja jeszcze mocniej nie zdestabilizuje sytuacji w tym kraju i w całym regionie? — zapytał retorycznie Ujahja. — Przecież nasze kraje mają równie krótką tradycję nowoczesnej państwowości.

W drodze powrotnej do hotelu wymieniali się uwagami na temat rozmowy z Ujahją. Ron przypomniał sobie słowa Jana — premier Algierii faktycznie potwierdził spekulacje polskiego Żyda z Paryża. Edgar uważał, że premier Algierii nic szczególnego im nie powiedział. Alexander odbierał rzecz podobnie jak Ron.

— Ujahja dał nam bardziej niż wyraźnie do zrozumienia, że Algierczycy wiedzą, iż coś się święci w regionie, i

przestrzegają nas przed katastrofą — stwierdził Alexander.

— Więcej, zaznaczył, że są zdecydowanie przeciwko temu, aby ktoś z zewnątrz majstrował w otoczeniu Algierii — zgodził się Ron.

Ponieważ Edgar i Mathias milczeli, Alexander zawyrokował:

— Myślę, że powinniśmy trzymać się planu. Czyli 19 grudnia lecimy do Tunisu. To niewielki, spokojny kraj, w którym nic szczególnego się nie dzieje. Cztery dni nam wystarczą. Wracamy do domu tuż przed Bożym Narodzeniem. A zaraz po Nowym Roku, gdy już będziemy mieli libijskie wize, jedziemy do Trypolisu, stamtąd ponownie do Algieru i wreszcie do Rabatu. Wprawdzie będzie nas to trochę kosztowało, ale coś mi się wydaje, że nie będą to stracone pieniądze.

Postanowili, że pozostaną w Hiltonie tylko tyle dni, ile zajmie im znalezienie nowego hotelu. Jakkolwiek Alexander wytargował od Hiltona dobrą cenę, sto trzydzieści euro od osoby za dzień, to wydatek pół tysiąca euro dziennie tylko za same noclegi i śniadania mocno by nadwerężył budżet projektu. Zakładali, że w porze pozasezonowej będzie można znaleźć lepszy wariant, tym bardziej że Algieria i tak nie jest krajem szczególnie obleganym przez turystów. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Hotele nad morzem, które latem przyjmowały turystów z krajów Zatoki lub Europy, nie dość, że oddalone od miasta, to zamykały się na okres zimowy, a tańsze hoteliki w samym Algierze były raczej paskudne.

Alternatywne rozwiązanie przedstawił im Amir, jeden z siedzących w recepcji klerków, który rekomendował willę należącą — jak powiedział — do jego wuja. Najwidoczniej Hilton nie płacił swoim pracownikom wystarczająco dużo albo po prostu troska o interes rodzinny przeważała nad korporacyjną lojalnością. Willa znajdowała się w niezbyt

oddalonej od centrum dzielnicy El-Madania, na wzgórzach przed parkiem El-Anasser. Budynek z czasów kolonialnych zachował zewnętrzną elegancję francuskiej architektury, a wewnątrz było w pełni nowoczesne i wygodne. Za dwadzieścia tysięcy algierskich dinarów dziennie, czyli dwieście euro, stali się najemcami piętrowego domu, a za kolejne dziesięć tysięcy mieli mieć zapewnione śniadania i kolacje. Oszczędzali co najmniej dwieście euro dziennie, które będą bardzo potrzebne, jeśli planowali po Nowym Roku przyjechać ponownie do Magrebu.

Ron zwrócił uwagę, że dom jest kompletnie wyposażony i przygotowany do przyjmowania gości. Oprowadzający ich po willi Amir uśmiechnął się i wyjaśnił:

— Wuj Samir ma w mieście kilka takich domów, które są właściwie hotelami. Przykładowo ten sąsiedni budynek też. Oddaje je warendę najczęściej dyplomatom, ale też Saudyjczykom i Libijczykom, bo ci mają kasę. Chociaż sprzątaniam po nich wiele, to płacą dobrze. Ale w grudniu nie ma gości i dlatego przekonałem wuja, żeby oddał wam dom za pół ceny.

Alexander zrozumiał aluzję i trzy dziesięciotysięczne banknoty z wizerunkiem głowy bawołu powędrowały do kieszeni Amira.

Zmiana lokum niosła ze sobą pewne niewielkie niedogodności, ale zasadniczo miała więcej zalet niż wad. Początkowo Alexander tęsknił za barem w Hiltonie, ale gdy stwierdził, że barek w willi jest wcale nie gorzej zaopatrzony („Wszystko za darmo” — wielkodusznie informował Amir), przestał utyskiwać. Oczywiście zamieszkiwanie w dużym hotelu miało tę przewagę, że tworzyło okazje do obserwacji, spotkań, zawierania nowych znajomości i przysłuchiwania się rozmowom. W grudniu jednak nawet Hilton był prawie pusty, a rozmowy i tak w większości pozostawały dla nich niezrozumiałe, ponieważ

nie władali ani klasycznym arabskim fuscha, ani lokalną odmianą dardża. Ponadto nie mieli aż tak wiele czasu na spokojne pomieszkiwanie, gdyż całe dnie wypełniały im spotkania z politykami, wojskowymi i biznesmenami. Pewną niedogodność sprawiało rozmieszczenie pokoi. Na piętrze znajdowały się tylko trzy sypialnie, każda z oddzielną łazienką, oraz salon. Ron, który z dzieciństwa wyniósł nawyk bardzo wczesnego wstawania, zadeklarował więc, że weźmie jeden z pokoi na parterze. Poranna krzątanka przychodzącej codziennie kucharki nie przeszkadzała mu — zazwyczaj i tak wstawał znacznie wcześniej. Lubił ciszę przed świtem, gdy miasto jeszcze śpi i nic nie przeszkadza porannym ćwiczeniom myśli i wyobraźni. Jeśli akurat nie było deszczu, dość częstego w grudniu, wychodził na taras, zapalał papierosa i podsumowując miniony dzień, układał plany na dzień nadchodzący. Były to rzadkie chwile samotności, której potrzebował. Towarzystwo bezpośrednich i dość obcesowych Norwegów, chociaż sympatyczne, bywało też męczące. Pokój Rona, przeznaczony najwyraźniej na gabinet, był większy niż te na górze, a jego okna wychodzące na taras i na sąsiednią posesję, a nie bezpośrednio na ulicę, zapewniały ochronę przed hałasem przejeżdżających niekiedy samochodów.

Mathias zwrócił uwagę na brak poważniejszych zabezpieczeń, które by chroniły dom przed ewentualnymi grabieżami. Okna wprawdzie miały, jak zapewniał Amir, specjalnie klejone szyby antywłamaniowe, ale pozbawione krat wydawały się łatwą do sforsowania przeszkodą. Amir uśmiechnął się tajemniczo w odpowiedzi na pytanie Edgara.

— Wuj Samir jest bardzo wpływowym człowiekiem — wyjaśnił. — Nikt nie ośmielił się nawet nosa tu wetknąć. Poza tym macie teraz dodatkową ochronę, bo goście w domu obok są strzeżeni przez rząd.

Rzeczywiście, któregoś dnia rano Ron dostrzegł, jak dwaj mężczyźni w eskorcie dżipów z zaciemnionymi szybami opuszczają teren sąsiadującej willi. Zauważył pod rozpiętym płaszczem jednego z ochroniarzy pistolet maszynowy nieco przypominający amerykański M4, ale znacznie krótszy i bez przedniej rączki. Nigdy nie fascynował się bronią, z ciekawości jednak zadał sobie wieczorem trud sprawdzenia w internecie, co to za broń. Wyczytał, że ta skrócona, szturmowa wersja karabinu Caracal 816 znajduje się między innymi na wyposażeniu sił specjalnych algierskiej armii.

Jeśliby Amir ich nie uprzedził, Ron najpewniej nie zwróciłby nawet uwagi na sąsiedztwo tajemniczych gości, którzy zachowywali się bardzo dyskretnie, szczelnie zasłaniając okna willi. Ponieważ jednak Ron spał na dole, dwukrotnie odnotował ich późny powrót: warkot kilku aut, szcęk odsuwającej się automatycznie bramy, trzask otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych.

W domu na wzgórzach Madanii filmowcy spędzali niewiele czasu. Całe dni przebywali w mieście — a to na rozmowach z przedstawicielami rządu, a to filmując scenki rodzajowe w Kasbie. „Jan rzeczywiście miał rację: Norwegów interesuje przede wszystkim ropa i gaz” — pomyślał Ron po kolejnym spotkaniu z jednym z dyrektorów kompanii SONATRACH, algierskiego giganta produkującego i eksportującego ropę naftową i gaz. Wcześniej mieli długą, ciekawą rozmowę z Szakibem Szalilem, ministrem energetyki i zasobów naturalnych. Algieria, wydobywająca ponad dwa miliony baryłek ropy dziennie, jest jednym z trzech największych producentów tego surowca na kontynencie. A gazu ziemnego wytwarza najwięcej ze wszystkich krajów Afryki i dla Europy jest drugim, po Rosji, jego dostawcą.

Norwegowie chcieli koniecznie odwiedzić wieże wiertnicze na pustyni. Zapytali o taką możliwość ministra Szalila. Ten chwilę się wahał, wyszedł do sąsiedniego pokoju, aby — jak się domyślili — skonsultować ten pomysł z innymi resortami, po czym wyraził zgodę.

Pojechali więc do zagłębia Hassi Messaud. Edgar był tak zdeterminowany, aby zrobić ujęcia wież naftowych wśród piasków, że wyrażał gotowość pojechać tam samochodem, chociaż to ponad osiemset kilometrów po wcale nie najlepszych drogach i przez pustynię. Wynajęli już nawet volkswagena tuarega, ale zanim sfinalizowali rozmowy w sprawie ochrony, bo wyjazd na południe bez opieki przynajmniej kilkunastu uzbrojonych żołnierzy byłby nieroztropną awanturą, dyrektor SONATRACH-u zaoferował im samolot. Podobno trzeba było pilnie przewieźć jakieś części i dwóch inżynierów, więc nadarzyła się sprzyjająca okazja. SONATRACH, potężna kompania, która wytwarza jedną trzecią całego produktu narodowego i zapewnia stały napływ pieniędzy do algierskiej kasy, jest państwem w państwie. Posiada też własne linie lotnicze, którymi polecili na południe.

Śmigłowy bombardier 200 z napisem „*Al Tajran at-Tassili*^[2]” był najwyraźniej przeznaczony do obsługi menadżerów SONATRACH-u — zaledwie kilkanaście foteli obitych naturalną skórą, stolik, który można rozsunąć i przystosować do zaimprovizowanych narad, oraz specjalnie wydzielona część towarowa, gdzie pomieszczono ich torby, sprzęt i jakieś skrzynie. Oprócz nich pasażerami byli trzej technicy z SONATRACH-u, a także Jakub — ich opiekun, odpowiadający za kontakty kompanii z mediami — oraz starszy, elegancko ubrany urzędnik.

— Jestem Szabaan. Miło mi będzie towarzyszyć panom w locie.

Szabaan rozdał im swoje wizytówki w języku francuskim: „Mahmud Szabaan, profesor, Narodowa Służba Geologiczna Algierii”. Byli także oficerowie ochrony — czterej uzbrojeni i milczący mężczyźni w mundurach bez dystynkcji. Mathias usiłował zainicjować rozmowę, ale inżynierowie byli zmieszani obecnością cudzoziemców, a profesor, wetknąwszy nos w notebook, przeprosił, że jest zajęty. Jakub podtrzymywał rozmowę tylko z grzeczności, więc w końcu zrezygnowany Niemiec umilkł. Profesor ostatecznie przyjął ich zaproszenie na kolację, tym bardziej że, jak się okazało, mają zamieszkać w tym samym hotelu, Zaid.

Podczas kolacji profesor zrobił im mały wykład z geologii i geopolityki:

— Jak panowie wiecie, największe zasoby gazu posiada Rosja, mniej więcej pięćdziesiąt bilionów metrów sześciennych. Szacuje się, że jest to około jednej czwartej udokumentowanych światowych rezerw tego surowca. Udokumentowanych, podkreślam. To wiedzą wszyscy. Mniej liczni wiedzą też, że trzy kraje Azji Centralnej, to jest Iran, Turkmenistan i Azerbejdżan, mają łącznie znacznie większe zasoby gazu niż Rosja. A już mało kto w Europie uświadamia sobie, że trzy kraje Afryki Północnej, Algieria, Libia i Tunezja, dysponują razem zasobami gazu, których wielkość jest co najmniej porównywalna z rozmiarem złóż tych dwóch głównych regionów.

— Tunezja? Przecież tam nie ma gazu...

— Tak uważano. — Profesor uśmiechnął się. — Jednak według mnie, a nie są to tylko moje przypuszczenia, lecz twierdzenie oparte na solidnych badaniach, gaz występuje nie tylko w znanych i eksploatowanych złóżach w Algierii: Hassi R'mel, In Salah i Illizi. Na północnym wschodzie Tunezji znajduje się potężny jego rezerwuar, Pelagien. Ponadto twierdzę, że złóż Illizi ciągnie się od Algierii

daleko w głąb Libii, aż do zagłębia naftowego Murzuk. Oczywiście w wypadku Illizi występuje problem ułożenia relacji z Tuaregami i stosunków z Libią. Bliska współpraca między Algierem i Trypolisem znakomicie by podniosła efektywność wydobycia i eksportu. Generalnie, jeśliby państwa regionu potrafiły się porozumieć, zmieniłyby sytuację w świecie arabskim w całej Afryce, a nawet, jak sądzę, w Europie. Wyobraźcie sobie, panowie, jakimi bogactwami i wpływami dysponowałoby państwo „Afryka”, lub chociażby konfederacja, od Maroka do Egiptu. Ale idea Wielkiego Magrebu jest tylko mrzonką... Według mojej wiedzy złoża ropy i gazu w Afryce są w ogóle poważnie niedoszacowane. Weźmy przykładowo sąsiednią Libię. Wiecie, panowie, jak bogata w ropę i gaz jest Libia? Złoża ropy ocenia się na jakieś czterdzieści pięć miliardów baryłek, czyli mniej więcej sześć miliardów ton, a gazu na ponad półtora biliona metrów sześciennych. Mogę się jednak założyć o każde pieniądze, że ropy w Libii jest co najmniej, podkreślam: co najmniej, dwukrotnie więcej, a gazu dobrze ponad pięć bilionów metrów sześciennych. To bardzo rozległy, pustynny kraj i wiele złóż czeka jeszcze na odkrycie. Jest mnóstwo chętnych, aby położyć rękę na tym bogactwie, a Kaddafi swoim nierozumnym, prowokacyjnym zachowaniem stwarza niepotrzebne preteksty. Więcej — ciągnął rozentuzjzmowany profesor Szabaan — wszystko wskazuje na to, że złoża ropy i gazu rozciągają się od Algierii przez Tunezję i Libię aż do Sudanu i Zatoki. To jeden wielki, podziemny ocean węglowodorów. Możemy sobie wyobrazić, jak przemieni się świat i cała jego polityka, gdy Libia i Sudan porozumieją się w sprawie budowy ropociągu, łączącego Morze Czerwone ze Śródziemnym, z Port Sudanu do Bengazi. Owszem, Kaddafi i al-Baszir to dyktatorzy, a Kaddafi jest do tego szalonym wizjonerem, ale obaj potrafią liczyć. Wracając do naszych spraw gazowych: do tradycyjnych złóż dodajmy gaz łupkowy, a otrzymamy wielkość przechodzącą wszelkie

wyobrażenie. Gaz jednak, niezależnie od tego, jak bogate i dostępne są złoża, trzeba jeszcze przetransportować do Europy, która jest największym konsumentem tego węgłowodoru. I tutaj wchodzi w grę ekonomia. Od największych rosyjskich złóż w Chanty-Mansyjsku do Europy jest około pięciu tysięcy kilometrów. Gazociąg Jamał-Europa ma cztery i pół tysiąca kilometrów. Z Algierii do Europy jest niespełna półtora tysiąca kilometrów, tyle mniej więcej ma gazociąg Transmed i tyleż będzie miał gazociąg Galsi z Algierii do Włoch, którego budowa akurat ruszyła.

— No ale koszty budowy takiego gazociągu byłyby olbrzymie. A i warunki topograficzne... — zauważył Edgar.

— Drogi panie kolego — przemawiał dobrotliwie i trochę mentorsko profesor — Chińczycy wydali ponad dwadzieścia miliardów dolarów i zbudowali gazociąg z Turkmenii o długości kilku tysięcy kilometrów. A Europejczycy nie są w stanie podjąć strategicznej decyzji o poważnym inwestycyjnym, finansowym zaangażowaniu się na południu i wiszą na klamce u Rosjan. Z tej prostej kalkulacji finansowej i geograficznych uwarunkowań wynikają też oczywiste prognozy geopolityczne. Proszę sobie uczciwie odpowiedzieć na pytanie: kto może być zainteresowany tym, aby Europa pozostawała słaba? Aby ciągle wchodziła w spory z Rosją o dostawy gazu? Aby była skłócona ze światem arabskim? Jest także druga prognoza. Konflikty w regionach, które potencjalnie mogą być głównymi dostawcami surowców energetycznych do Europy, będą się nasilały. I choć nie chcę przywoływać nieszczęść, to obawiam się tego, że Afrykę Północną czekają ciężkie lata. Dlatego też szczerze popieram silną władzę Butefliki i wojskowych w Algierii, bo chociaż daleko im do wzorcowych demokratów, to pozostają jedynym gwarantem stabilności — zakończył ponuro wspólną kolację profesor Szabaan.

Wczesnym rankiem następnego dnia, pożegnawszy się przy śniadaniu z profesorem, wyruszyli na południowy wschód w głąb pustyni, w stronę pól naftowych SONATRACH-u. Mathias był przeschęśliwy, bo dzięki dobremu nasłonecznieniu zrobić mógł świetnej jakości zdjęcia, Edgar zaś był w pełni ukontentowany rozmowami z pracującymi na miejscu robotnikami. Rzuciła się w oczy obecność licznych i silnie uzbrojonych posterunków wojskowych, które strzegły dróg dojazdowych do złóż, wież wiertniczych, urzędów i prowizorycznych budynków mieszkalnych dla personelu. Wrócili do Algieru dość późno i byli wdzięczni Alexandrowi, że pozostawił ich samochód na lotnisku. Zazwyczaj wieczorami zbierali się jeszcze wspólnie, aby przy szklaneczce podsumować dzień i omówić szczegóły planu na dzień kolejny, ale tym razem byli zbyt zmęczeni i rozeszli się do swoich pokojów dość wcześnie.

[1] *Kasr al-Chukuma* (arab.) — Pałac Rządu.

[2] *Al Tajran at-Tassili* (arab.) — Linie Lotnicze regionu Tassili.

V

Rona obudził monotony hałas. Szum deszczu jednostajnie bębniącego o szyby, a może dobiegające z góry chrapanie któregoś z Norwegów? Spojrzał na zegarek, dochodziła czwarta. „Zbyt wcześnie, aby wstawać” — pomyślał z niechęcią o spotkaniu stóp z chłodną podłogą, którą właściciel domu wyłożył marmurowymi płytkami. Prezentowała się wspaniale, ale w deszczową zimę jej dotyk budził dreszcz odrzucenia. O ileż bardziej przyjemne jest drewno, które przechowuje zgromadzone przez lata ciepło słońca. Wyobraźnia przywołała obraz sosnowej lub świerkowej podłogi i kiedy jego bose nogi napotkały wreszcie miękki dotyk leżącego przy łóżku wełnianego kilimu, prawie poczuł, jak stąpają po takich ciepłych sosnowych deskach. Za oknem szumi mieszany las, bogaty takimi odcieniami zieleni, jakie można spotkać tylko w lasach środkowej strefy klimatycznej. Pachnie wilgocią i żywicą... Marzenia o własnym dużym domu wśród lasów i jezior, domu z kominkiem i podłogami ze świerkowych desek, stawały się jego obsesją. Zdawał sobie sprawę, że są one ekstrapolacją wspomnień z dzieciństwa nałożoną na niemiłe doświadczenia pomieszkiwania w wynajmowanych klitkach i hotelach. Równie oczywista była dla niego gorzka prawda, że nigdy w życiu nie będzie go stać na taki dom. No tak, taki może nie, ale jakaś niewielka chałupka, gdzieś w lasach...

Jacek, adwokat i przyjaciel, obiecał kiedyś Ronowi, że będzie pamiętał o jego marzeniach: „Dam ci cynk o każdej okazji, która będzie odpowiadała twoim oczekiwaniom i twojej kieszeni. Dla mnie to nic trudnego, mam kolegę w nieruchomościach”.

I rzeczywiście, odtąd dość regularnie przysyłał e-maile z ofertami wystawionych do sprzedaży zameczków i pałacyków. Ron dziwił się nawet, skąd taka obfitość ofert. Najczęściej były to stare budynki, w różnym stanie technicznym, ale o oryginalnej architekturze i z ciekawą historią. Ron niekiedy sięgał do internetu w poszukiwaniu dodatkowych informacji o ich wcześniejszych właścicielach; było to czymś w rodzaju planowania, jak wydać miliony, które wygra się przy następnym losowaniu Lotto.

Uśmiechnął się sam do siebie: „Rostek, wróć na ziemię”. Patrzył w okno, zupełnie ciemne, kontrastujące z jasnymi plamami ścian, które jego oswojone już z ciemnością oczy zaczynały dostrzegać.

„Błyska się czy co?”. Na tle czarnych szyb sąsiedniego domu jakby przemknął jeden, później drugi refleks odbitego skądś światła. Burze w grudniu nie były czymś nadzwyczajnym pod tą szerokością geograficzną, ale teraz błyskawicom nie towarzyszyły grzmoty. Przemógł się i wstał z łóżka, odnajdując palcami stóp stojące obok kapcie. Po omacku sięgnął po papierosy i zapalniczkę i podszedł do okna. Sąsiednia willa, jak zwykle, pozostawała w półmroku; tylko dwie latarnie oświetlały drogę dojazdową od bramy i wejścia. Uchylił drzwi na taras. Tchnęło wilgocią i świeżością. Podniósł do ust papierosa, ogień zapalniczki na ułamek sekundy go oślepił, nie pozwalając dojrzeć cienia, który wyrósł znikąd i zmaterializował się jako wysoka chuda postać. Ron bardziej wystraszył się tej nagle objawionej nocnej zjawy niż lufy pistoletu, której otwór patrzył mu prosto w oczy. Postać przyłożyła do ust palec lewej ręki w geście nakazującym milczenie, a prawą ręką zaprosiła Rona, by wrócił do środka.

W pokoju było ciemniej niż na zewnątrz. Postać niespodziewanego przybysza znów przeistoczyła się w cień, który wypełnił sobą żółtą skórę fotela.

— Jest was tu czterech? — ni to zapytał, ni to oznajmił głos z mroku. Ron miał słuch wyczulony na językowe niuanse i od razu stwierdził, że angielszczyzna nie jest ojczystym językiem nieproszonego gościa. — Pozostali są na górze?

— Tak. — Ron postanowił odpowiadać pewnie i krótko. W głosie przybysza nie było zresztą agresywnych tonów.

— Mówisz po arabsku?

— Niestety nie.

— Po niemiecku?

Ron, sam nie wiedząc dlaczego, skłamał:

— Niestety także nie.

— OK, postaram się porozumieć z tobą po angielsku. Ale to nie jest moja najsilniejsza strona. Muszę zostać tu na kilka godzin. Później wyjaśnię ci dlaczego. Tylko nie rób hałasu. I nie budź swoich kolegów. Nie utrzymam was wszystkich na dystans. I pewnie będę musiał wówczas użyć broni. Podejdź spokojnie do okna i zapal papierosa. Tak, jakby nic się nie działo.

Ron wykonał polecenie. Czytywał w powieściach, że w takich momentach bohaterom trzęsły się dłonie i mieli kłopoty z zapaleniem zapałki. Ale z nim nic podobnego się nie działo. Owszem, czuł chłód w dłoniach, ale tylko dlatego, że przedświt był jednak chłodny. Papieros smakował jak zwykle, a w Ronie górowała raczej ciekawość, jak rozwinie się ta sytuacja, niż strach, chociaż domyślał się, że pistolet jest teraz wymierzony dokładnie w niego.

— Co widzisz w domu naprzeciwko? Opowiadaj — ponaglił głos z fotela.

— Nic. Wszystko spokojnie. O, zapaliło się światło na pierwszym piętrze, w trzecim oknie po lewej. Ktoś uchylił

tam zasłonę. Pewnie patrzy w moją stronę.

— Dobrze. Wejdź do domu, zapal na krótką chwilę światło. Daj się zobaczyć.

Ron wszedł do pokoju i zapalił światło, które wydobywało z ciemności jego twarz, wystawiając ją na widok ewentualnych obserwatorów. Przez krótki moment, gdy zamykał drzwi, czuł się jak tarcza strzelnicza, w którą mierzą z dwóch stron. Zamknąwszy drzwi, zgasił światło i w mroku poszedł w stronę łóżka.

Cień wstał z fotela, przemknął przez pokój i znieruchomiał przy oknie, przyklejony do ściany.

— Kładź się do łóżka i śpij. A ja będę strzegł twego bezpieczeństwa. — W głosie intruza brzmiała wyraźna ironia.

„Jeśli gość potrafi w takich momentach żartować, to sytuacja nie jest wcale beznadziejna” — zawyrokował w myślach Ron, wsuwając się pod koc. Naturalnie o śnie nie mogło być mowy. Starał się jedynie równo oddychać, gdzieś przeczytał bowiem, że równy oddech pomaga uspokoić nerwy. Nastąpiła długa cisza, którą zakłócił szelest — cień osunął się na podłogę i pozostał w pozycji siedzącej. Potem dźwięk rwanego materiału, jakby stłumiony jęk i znów cisza. Stojący w gabinecie zegar wybił piątą, gdy przez szum deszczu dobiegły Rona nowe odgłosy: trzaśnięcie drzwi w sąsiednim domu, zgrzyt otwieranej bramy i dudnienie silnika.

— Pomóż mi — usłyszał od ściany. — Tylko po ciemku... — Dało się słyszeć plaśnięcie opadającego na posadzkę ciała, a potem jeszcze stukot metalu o marmur.

Ron przeszedł do łazienki, lekko uchylił drzwi i pstryknął włącznikiem, a dopiero potem zwrócił się w stronę, skąd słyszał przed chwilą głos. Wątła strużka światła wydobywała z mroku sylwetkę leżącego mężczyzny. Z

pewnym trudem rozpoznał w nim jednego z mieszkańców sąsiedniej willi, którego widział kilka dni temu w towarzystwie wojskowej asysty. Ubrany tylko w dres czy piżamę, bosy — wydawał się starszy i chudszy niż wówczas, gdy Ron obserwował go przez okno. Nocny gość leżał zwinięty w półkłębek, z jego boku i z uda sączyła się krew. Ciemna strużka spływała też po twarzy. Pistolet z długim tłumikiem wypadł mu z bezwładnej dłoni. W lewej, kurczowo zaciśniętej ręce ranny trzymał kawałek urwanej franki. Najwidoczniej, padając, usiłował przytrzymać się materiału.

W ekstremalnych sytuacjach mózg człowieka pracuje z efektywnością najbardziej wydajnego komputera. Ronowi przemknęły przez myśl wszystkie możliwe opcje postępowania z ich ewentualnymi następstwami. Za optymalny uznał wariant z pozoru najmniej logiczny, odrzucając po drodze oczywiste wydawałoby się rozwiązania: powiadomienie policji, obudzenie przyjaciół, skrupowanie nieprzytomnego włamywacza. Według Amira goszczący w sąsiednim domu byli pod ochroną armii, zatem napastnicy — bo przecież ktoś musiał ich napaść — musieli być przeciwnikami wojska. A armia Algierii to główna siła, z którą lepiej mieć dobre układy.

Ron wziął rannego pod ramiona i przetaszczył do łazienki. Brzydką, poszarpaną ranę na wysokości mostka, drugą na udzie i rozcięcie głowy przemył najpierw bieżącą wodą, później wodą utlenioną. Bandaży w podręcznej apteczce znalazł zbyt mało, oderwał więc kawałek prześcieradła i nim okręcił założony przez siebie prowizoryczny opatrunek. W trakcie zabiegów ranny się ocknął. Ron podziwiał opanowanie, z jakim nieznajomy przyjął zmianę sytuacji.

— Możesz mnie ukryć na kilka godzin? — zapytał. — I podaj mi broń. Na wszelki wypadek.

Popatrzyli sobie w oczy. Nieznajomy miał pociągłą twarz pokrytą śladami po ospie, z bliznami na lewym policzku i głębokimi bruzdami przy nosie. Ron przyniósł mu świeżą piżamę, szlafrok, pistolet i pozostawił go w łazience. Sam zszedł na dół, do piwnicy, gdzie znajdowało się pomieszczenie gospodarcze, skąd kucharka, pełniąca także rolę sprzątaczkę, brała sprzęt. Wziął plastikowe wiadro, mop, ścierkę i starannie umył podłogę oraz tę część ściany, na której widniały plamy krwi. Nocny gość, już przebrany, wyszedł z łazienki i przysiadł na fotelu.

— Jestem Amastan. Ama. Z Kel Adżdżar — powiedział.

Nazwa miejscowości niewiele Ronowi mówiła poza tym, że wymienione miejsce znajduje się, jeśli dobrze pamiętał, na południu Algierii.

— Przyjechaliśmy do Algieru na ważne spotkanie. Bardzo dla nas ważne. Mieli nas chronić wojskowi. Ale chyba coś poszło nie tak. Ktoś na nas napadł. Moi dwaj przyjaciele nie żyją. Widziałem, jak ich wynosili. Muszę się stąd wydostać. Ale dom jest na pewno pod obserwacją. Trzeba poczekać kilka godzin. Pomożesz mi? A wy kim jesteście? Dziennikarzami? Widziałem was z kamerą. Skąd jesteście?

— Z Norwegii.

— A czego Skandynawowie szukają w Algierii?

— Jestem gościem Algierii. Więc to tak, jakbym gościł w twoim domu. Zatem moim obowiązkiem jest pomóc gospodarzowi. Czy mam kogoś zawołać, powiadomić? — Ron nie wiedział, czego dokładnie oczekuje od niego mieszkaniec Kel Adżdżar.

— Nie, nie trzeba. Najpierw ja zadzwonię do przyjaciół. Nie jestem Algierczykiem i nie jestem Arabem. Jestem Kel Adżdżar. Daj mi swój telefon.

Za oknami zaczęło szarzeć. Wkrótce miała nadejść kucharka, aby przygotować im śniadanie. Kobieta, jeśli nie był to dzień sprzątanego, nie wchodziła jednak nigdy do łazienki ani tym bardziej do sypialni. Ron mógł być także pewien, że do jego pokoju nie zajrzy nikt z kolegów, gdyż przebywając ze sobą całymi dniami, wszyscy mieli świadomość, jak ważne jest pozostawienie każdemu jego własnego kąta, nienaruszanego przez innych.

Ama wykonał kilka telefonów. Mówił bardzo krótko, rzucał wręcz pojedynczymi słowami tonem bardziej rozkazującym niż wyjaśniającym. Ron i tak nic nie zrozumiał z dziwnie brzmiącego lokalnego arabskiego dialektu. Rozmowy najwidoczniej wyczerpały rannego, bo bez sprzeciwu przyjął propozycję — ma się położyć w łóżku swego gospodarza i cierpliwie czekać na nadarzącą się okazję do opuszczenia domu.

Dzień zaczął się jak wszystkie inne. Tuż po siódmej zadzwoniła kucharka Latifa. Ron podszedł do bramy, aby otworzyć jej osobiście, a nie za pomocą domofonu. To jeden ze środków ostrożności, który przez lata stał się jego nawykiem. Bo jakżeż pewność, że wraz z oczekiwaną osobą nie wejdą inne, mniej pożądane? Francuski w wykonaniu Latify nie był rewelacyjny, ale nie przeszkadzało im to w porannych konwersacjach podczas przygotowywania śniadania. Przy tej okazji Ron uczył się nowych arabskich słówek, głównie z dziedziny kulinarnej: *bajda*, *adża*, *fatira*, *bankejk*, *asyr-purtugal*... Do stołu siedli jak zwykle około ósmej — wspólnie jak rodzina. Tego dnia Mathias chciał sfilmować część starej Kasby, po obiedzie mieli przejrzeć materiał filmowy z wyprawy na południe i ustalić plan pracy na kolejne dni.

— Mnie poprosił o spotkanie nasz ambasador — rzekł Ron.
— Zaprosił do swojej rezydencji pod miastem, więc chciałbym wziąć samochód. — Ron powiedział o rezydencji,

a nie o ambasadzie, która znajdowała się w centrum miasta, i koledzy mogliby zaproponować, że sami podwiozą go na ulicę Olofa Palmego.

Umówili się, że Ron odwiezie resztę ekipy w rejon starego miasta, gdzie wszyscy razem spotkają się na obiedzie w restauracyjce naprzeciwko El Kabir — Wielkiego Meczetu.

Pospieszyli się ze śniadaniem i tuż po dziewiątej wyjechali z garażu na ulicę.

— Co się tu dzieje? — Edgar gwizdnął. — Sąsiadom ukradli auto?

Na cichej i pustawej zazwyczaj uliczce wrzało jak w ulu. Kilka samochodów wojskowych i policyjnych niemal tarasowało przejazd, wszędzie kręcili się mundurowi i cywile, brama do sąsiedniego domu była otwarta na oścież, a na posesji też krzatali się policjanci i wojskowi.

Żołnierz z automatem na ramieniu nie przejawiał jednak najmniejszej chęci do rozmowy. Zdecydowanym, prawie wrogim gestem nakazał im spieszenie przejeżdżać. Wymieniali się przypuszczeniami co do przyczyn niezwyklej aktywności mundurowych, aż przyjechali na Bulwar Zwycięstwa, gdzie Norwegowie opuścili samochód. Ron, nadkładając trochę drogi, szerokim kołem powrócił do domu w Madanii i wjechał do garażu.

Człowiek z Kel Adżdżar siedział na łóżku już ubrany w pozostawiony mu przez Rona strój — dżinsy były trochę za krótkie, ale sweter i kurtka pasowały. Problemem okazały się buty, ponieważ gość nosił co najmniej dwa rozmiary większe niż gospodarz; stanęło na tym, że założył gumowane klapki kąpielowe. Twarz Amastana była bladoszara ze zmęczenia i utraty krwi, a dwudniowy zarost dodatkowo go postarzał. Broń trzymał jednak pewnie i wyraźnie starał się odzyskać kontrolę nad sytuacją.

— Ukryję się w bagażniku. Przewieziesz mnie do El Hamiz, to w stronę lotniska. Powiem ci, jak masz jechać.

— Dlaczego po prostu nie zawołasz wojskowych? Jest ich pełno na ulicy.

— To zbyt ryzykowne. Ktoś przecież musiał zdradzić. Nie zapominaj, że nie jestem Algierczykiem. Jestem Kel Adżdżar. Z Libii. A teraz nie jestem już niczego i nikogo pewny. Jedźmy.

Ama, krzywiąc się z bólu, z trudem wszedł do bagażnika, który w volkswagenie touaregu był otwartą przestrzenią, oddzieloną od strefy dla pasażerów jedynie tylnymi fotelami. Choć przyciemnione szyby nie pozwalały dostrzec, co kryje wnętrze samochodu, Ron na wypadek jakiejś niespodzianki przykrył gościa kocem, a na siedzenie z tyłu rzucił duże, puste pudło, które stało w garażu. Czekał, aż zamknie się brama, zapytał stojącego na straży żołnierza:

— Co się tu wydarzyło? Okradli kogoś?

Zbliżył się do nich oficer.

— Pan tu mieszka? — zapytał — Tak? Nie słyszał pan nic w nocy?

— Wróciliśmy wczoraj zmęczeni z pustyni, więc spałem jak zabity.

— Dzisiaj wieczorem odwiedzi was policja. Opowiedzcie im wszystko, co widzieliście i słyszeliście.

— Zapraszam. Będziemy około piątej, szóstej z powrotem.

— Dobrze. Przekażę. Proszę już jechać.

Starając się prowadzić powoli i ostrożnie, Ron dojechał do szosy numer 5 i skręcił w stronę lotniska. Droga nie była długa, przejechali jakieś dwadzieścia kilometrów, nie więcej.

— Po prawej zobaczysz komisariat policji. Za nim skręć w prawo w dużą ulicę — dobiegł z tyłu głos Amy. — Z prawej będzie mały palmowy las. Za nim skręć znów w prawo.

Po chwili zapytał:

— Jak długo zamierzacie pozostać w Algierze?

— Jeszcze kilka dni. Później wybieramy się do Tunezji.

— Ach tak? Algierscy gospodarze zasugerowali wam podróż do Tunisu?

Ron nie potrafił go rozgryźć. Czy człowiek z Kel Adżdżar tylko podtrzymuje rozmowę, czy też jego pytania kryją jakieś głębsze znaczenie?

— Nie, mieliśmy to wcześniej w planie. Chcemy też odwiedzić Libię i Maroko — odpowiedział.

— Interesujące... Skoro planowałeś wyjazd do Libii, to najwidoczniej sądzone nam było się spotkać. Gdy będziesz w Libii, odezwij się. Koniecznie. Algierczycy powiedzieli wam coś ciekawego?

Teraz Ron był pewien, że Amastan szuka możliwych podpowiedzi, które pomogłyby mu wyjaśnić przyczyny nocnego ataku.

— Jeśli dobrze zrozumiałem ich przesłanie, to ostrzegają przed burzą w Magrebie.

Ron podzielił się swoją opinią, uznając, że może ona okazać się przydatna jego gościowi, czy też porywaczowi.

Przejechali kilometr. Ron zobaczył park, skręcił w prawo.

— Jedź bardzo powoli. Czy widzisz dwa samochody z włączonymi światłami?

Przed sobą zobaczył białą karetkę pogotowia ratunkowego z czerwonym półksiężycem, za którą stała toyota. Oba auta migały światłami awaryjnymi.

— Podjedź jak najbliżej pierwszego samochodu i zatrzymaj się. Nie wyłączaj silnika. I nie wychodź z wozu.

Ron wykonywał dokładnie polecenia swego pasażera. Zatrzymał się między toyotą a furgonetką i także włączył światła awaryjne. Kierowcy z rzadka przejeżdżających samochodów mogli pomyśleć, że zderzyły się dwa auta, a obecność karetki pogotowia sugerowała, że kolizja miała poważne następstwa. Ama powiedział coś przez telefon i z pierwszego samochodu wysiedli dwaj mężczyźni. Jeden z nich pozostał przy furgonetce, drugi zbliżył się do volkswagena. „*Salam*” — jakby od niechcienia kiwnął głową Ronowi i od razu przeszedł do tylnych drzwi dżipa. Pomagał wsiąść Amie, coś mu szybko, półgłosem objaśniając. Człowiek z Kel Adżdżar zatrzymał się. Ron widział ciemną plamę na lewej nogawce dżinsów. Ama wyciągnął w jego stronę rękę z telefonem.

— Dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem. Jesteś mi bratem.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym zdjął z ręki bransoletkę — siedem dobrze już wytartych płytek z ciemnego kamienia połączonych srebrnymi, szerniałymi od starości zaczepami. Na każdej z kamiennych płytek wygrawerowane były jakieś znaki i symbole.

— Weź ten amulet. — Podał Ronowi. — Dała mi go kobieta, którą kocham. Nie mam nic cenniejszego. Niech ochrania cię, tak jak mnie chronił. Wracaj do Algieru. Jeśli Allah zechce, spotkamy się jeszcze kiedyś.

Mężczyźni pomogli Amie wsiąść do furgonetki i pogotowie z piskiem opon wyrwało do przodu. Za nim równie gwałtownie wystartowała toyota. Zanim Ron ruszył z miejsca, oba samochody zniknęły za zakrętem.

Na najbliższej stacji benzynowej Ron wyrzucił do śmietnika zabrane przezornie z domu wszystkie rzeczy świadczące o pobycie gościa: jego dres, swoją poplamioną

piżamę, ścierki, z których nie dało się sprać śladów krwi, a nawet opakowania po zużytych bandażach i pusty flakonik po wodzie utlenionej. Kartonowe pudło zgniótł i także pozostawił na stacji. Wrócił do centrum stolicy dobre pół godziny przed umówioną czternastą, przeszedł się więc uliczkami Kasby. Na jednym ze straganów dojrzał bransoletkę przypominającą tę, którą podarował mu Ama, tyle tylko, że wykonaną nie z kamienia, lecz ze srebra. Wziął do ręki ściemniałe od upływu czasu płytki metalu. Znaki graficzne wygrawerowane w metalu były podobne do tych, jakie wyryto na bransolecie od Amastana. Sprzedawca od razu dostrzegł zainteresowanie potencjalnego nabywcy i rozpoczął zachwalanie towaru.

— *Monsieur*, niech pan kupi. To bezcenna rzecz, jedyna i unikalna. Amulet Tuaregów. Potężny amulet. Bardzo starożytny. Tylko pięćdziesiąt tysięcy dinarów.

— A skąd pochodzi ten... amulet? — Blaszki srebra były chłodne w dotyku.

— To amulet narodu Ahaggar. Bardzo stary i silny amulet. *Monsieur* potrafi docenić piękno, więc tylko panu oddam go za czterdzieści pięć tysięcy dinarów.

— Tylko mnie? — Ron uśmiechnął się. Zadziwiające, ale wszyscy handlarze świata od Casablanki po Delhi używają tego samego zwrotu: specjalnie dla ciebie, wyłącznie tobie sprzedam tak tanio.

— *Monsieur*, jeśli wziął pan ten amulet do ręki, to znaczy, że wybrał pan swój los. Że wybrał pan los ludu z Tassil Ahaggar jako swoje przeznaczenie.

— Nie mam przy sobie pieniędzy, ale mieszkam na stałe w Algierze. Któregoś dnia przyjdę i kupię go od pana.

W spojrzeniu, jakim odprowadzał go sprzedawca, było nie tylko rozczarowanie z powodu utraty klienta, ale też zdziwienie i pobłażliwość.

— Dziwni są ci ludzie Zachodu. Wydaje się im, że unikną przeznaczenia, jeśli uciekną od znaków, którymi zapisany jest ich los — mruczał sprzedawca amuletu.

VI

Wprawdzie szef służby prasowej pałacu prezydenckiego karmił ich nadzieją, że głowa państwa znajdzie dla nich czas, ale Edgar uważał, że skoro prezydent Buteflika najwyraźniej nie może lub nie chce ich przyjąć, a resztę materiału, jaki planowali nagrać w Algierii, już mają, bezsensiem byłoby wciąż tkwić w Algierze. Tym bardziej że święta Bożego Narodzenia za pasem, a Norwegowie koniecznie chcieli je spędzić w domu z rodzinami. Postanowili więc, że odwiedzą Tunis, tak jak planowali — tylko na cztery dni, co wystarczy, aby zrobić trochę ujęć, przeprowadzić umówiony już wywiad z prezydentem Ben Alim i z przywódcą opozycyjnej Ligi Praw Człowieka. Potem odlecą do Paryża, po Nowym Roku natomiast, gdzieś w połowie stycznia, gdy wszyscy powinni mieć już libijskie wize, wrócą do Magrebu.

Tymczasem z Tunezji napływały niepokojące wieści. Jak zwykle przed wyjazdem do jakiegoś kraju Sasza i Ron uważnie śledzili doniesienia agencji na temat miejsca, do którego się wybierali. Zwrócili uwagę na jedną z depesz Agencji France-Presse, według której w Sidi Bouzid, niewielkim mieście w centrum Tunezji, doszło w niedzielę do zamieszek. Demonstranci demolowali sklepy i tłukli szyby samochodów, aż policja musiała użyć gazu łzawiącego, aby rozproszyc agresywne grupy młodzieży. Przyczyną wystąpień było samopodpalenie się ulicznego handlarza, któremu policja skonfiskowała przenośny stragan wraz ze sprzedawanymi na nim owocami. W proteście młody Mohamed Buazizi oblał się benzyną i podpalił. W stanie krytycznym przewieziono go do centrum

leczenia oparzeń w Ben Arus pod Tunisem. Tyle donosił korespondent AFP.

Rona zastanawiał powód, który skłonił młodego Tunezyjczyka do tak dramatycznego kroku. Utrata wózka oraz kilku kilogramów owoców i warzyw nie mogła być przyczyną samobójstwa, nawet jeśli uliczny handel stanowił główne źródło utrzymania całej — jak się domyślał licznej — rodziny.

Zadzwoił do korespondenta France-Presse w Tunisie, błogosławiąc w myślach Jana i jego szczodrość w dzieleniu się wiedzą i kontaktami. Fathi, który pracował dla AFP, był Tunezyjczykiem z pochodzenia, otwartym na rozmowę, ale uprzedził, że ma bardzo niewiele czasu.

— Wydarzenia nabierają rozpędu i mocy lawiny — mówił.
— Muszę się spieszyć.

Ron miał tylko jedno pytanie:

— Czy incydent w Sidi Bouzid to dramatyczny, ale odosobniony przypadek bez dalszych większych konsekwencji, czy też należy spodziewać się, że zamieszki mogą rozlać się na całą Tunezję?

— Wysokie szefostwo w Paryżu nie podziela mojej opinii, ale według mnie to, co stało się w Sidi Bouzid, jest iskrą, która może podpalić kraj. — Ron prawie słyszał wahanie w głosie swego rozmówcy. — Ileż można znosić ten stan rzeczy... Przyjeżdżaj do Tunezji, przekonasz się na miejscu.

Fathi przesłał mu jeszcze kontakt do kierowcy, którego rekomendował jako uczciwego i solidnego, a przy tym taniego przewoźnika i przewodnika.

— Ale pamiętaj: w Tunezji wszyscy kolaborują z policją polityczną — uprzedził.

Jako obywatele krajów strefy Schengen wiz nie potrzebowali. Otwarte pozostawało pytanie, czy muszą

mieć jakieś specjalne pozwolenie na wykonywanie pracy dziennikarskiej na terytorium Tunezji. Alexander raz jeszcze skontaktował się z ambasadą Tunezji w Algierze i otrzymał solenne zapewnienie, że ich wcześniejsze pismo dotarło do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Tunezji i że mają prawo wjechać do kraju jako dziennikarze.

Na lotnisku Carthage Tunis powitała ich deszczowa, chłodna pogoda i podejrzliwe pytania służby granicznej. Sama odprawa celna kamer trwała prawie dwie godziny i wymagała od Saszy podpisania całego stosu papierów. Alexander miał w sobie na szczęście wiele życzliwości — przekraczanie granic pod różnymi szerokościami geograficznymi nauczyło go niezmaconego spokoju i anielskiej cierpliwości, a przezornie zabrane ze sobą kartony marlboro i butelki johnnie walkera dodawały jego argumentom dodatkowej siły przekonywania.

— Islam islamem, a lokalny macho też ma potrzebę coś zakurzyć i wypić — objaśniał, gdy opuszczali już budynek lotniska.

Abdurrazek, kierowca z polecenia Fathiego, oczekiwał ich z kartką z odręcznym napisem „*Television norvegienne*”. W obszernym, chociaż porządnie sfatygowanym minibusie Peugeot Boxer bez problemu pomieścili cały sprzęt. Ich przewodnik wyjaśnił, że zarabia na życie, wożąc małe grupy gości z Europy w góry, na pustynię i nad słone jeziora, tam, dokąd zazwyczaj nie prowadzą szlaki turystyczne. Na pytania dotyczące ostatnich wydarzeń odpowiadał skąpo i niechętnie.

— Ludzie opowiadają różne historie.

— A zawieziesz nas do Sidi Bouzid?

— Tak, nie ma problemu.

Alexander zarezerwował im pokoje w hotelu Ifrikija. Wysoki, szklany prostopadłościan nieprzyjemnie

kontrastował ze stylowymi, postkolonialnymi budynkami wokół, także wewnątrz nie zachwycały. Hotel miał jednak przynajmniej jedną niezaprzeczalną zaletę: znajdował się w samym centrum miasta, praktycznie na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic — Burgiby i Muhammada V, nieopodal francuskiej ambasady i gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Wieczorem spotkali się z Fathim w hotelowym barze. Zadymione wnętrze skłoniło ich do przeniesienia się do ogródka wychodzącego na prospekt Burgiby.

— Spójrzcie. — Fathi wskazał na plac pod zegarem, gdzie wokół fontanny zgromadził się pokaźny tłum młodzieży. Młodzi ludzie, w większości mężczyźni, ale były także obejmujące się lub trzymające za ręce pary, rozmawiali, śmiali się, tańczyli. — Oni chcą żyć tak jak w Europie. I nie chodzi tylko o to, że chcą mieć europejskie zarobki. Chcą mieć pracę, godność. Chcą mówić to, co uważają za słuszne. Większość z nich ma dyplomy wyższych uczelni. A co ich spotyka na co dzień? Korupcja, bezrobocie, wszechwładza policji politycznej. I to jest ziarno buntu, który może zmieść obecną władzę. A moje szefostwo w Paryżu uważa, że to lokalne bunty bez znaczenia albo też knowania dżihadystów.

Fathi pociągnął łyk piwa wprost z butelki. Ron zauważył, że nawet część kobiet w barze — i nie były to prostytutki — sączy drinki. Pod względem zwyczajów Tunezja była bliższa Europie niż arabskim krajom, bliższa nawet niż Algieria.

— Trzeba przyznać, że Ben Ali nie jest jakimś krwawym ludożercą. Moim zdaniem utracił już jednak realną kontrolę nad sytuacją. Prawdziwą władzę sprawuje kamaryla skupiona wokół Lejli, żony prezydenta, i jej rodziny, Trabelsich. Trabelsi to nuworysze, lumpen, który dorwał się do władzy i pieniędzy. A Tunezję tradycyjnie od setek lat, nieważne, czy były to rządy beja, czy francuskiego

gubernatora, włada kilkadziesiąt rodzin. To one sprawują władzę gospodarczą, dają krajowi kupców i przedsiębiorców. Z wiodących rodów pochodzą czołowi prawnicy, poeci, mufti i pisarze. To oni kształtują myślenie Tunezyjczyków. A dokładniej: kształtowali. Dopóki nie pojawiła się telewizja Al-Dżazira. Tunezyjczycy, chociaż krzywiąc nosy, mogli jeszcze zgodzić się na rządy generała Ben Alego. Wprawdzie wojskowy, z biednej rodziny, ale lata osiemdziesiąte to były trudne czasy, trzeba było zatrzymać islamistów rwących się do władzy. Więc ludzie zaakceptowali bezkrwawy zamach stanu i odsunięcie prezydenta Burgiby. Zwłaszcza że chorował on na demencję starczą i po prostu nie rozumiał, co się wokół dzieje. Tunezyjczycy nie mogli jednak zaakceptować złodziejstwa rodziny Trabelsich. Dlatego będzie powstanie.

Fathi jednym długim haustem opróżnił do końca butelkę piwa.

Edgar rwał się do wyjazdu do Sidi Bouzid, chciał mieć zdjęcia i rozmowy z miejsca wydarzeń, ale Fathi doradzał pozostać w Tunisie i czekać na rozwój wypadków.

— To, co się dzieje na prowincji, jest ważne, ale losy kraju decydują się tutaj, w Tunisie — przekonywał.

Ponadto wciąż liczyli na wywiad z prezydentem Ben Alim. I ku ich zaskoczeniu, gdyż pogodzili się już z myślą, że w tak napiętej sytuacji prezydent nie będzie miał czasu na rozmowę, pałac w Kartaginie potwierdził, że jego ekscelencja prezydent republiki Zin Al-Abidin Ben Ali przyjmie ich.

Pałac prezydencki znajdował się nie w samym Tunisie, a na obrzeżach stolicy, właściwie poza nią — w miejscu, gdzie kiedyś była starożytna Kartagina. Rzymianie, którzy przez stulecia toczyli z nią wojny o dominację nad Morzem Śródziemnym, gdy już pokonali Punijczyków i zdobyli ich

stolicę, starli Kartaginę z powierzchni ziemi. Wymordowali całą ludność, nie oszczędzając kobiet ani dzieci, zburzyli miasto, zaorali pole i posypali solą, aby nic nigdy nie wyrosło w tym miejscu. To, co pozostało z pamiątek przeszłości, pochodzi z późniejszych czasów rzymskich.

Pałac prezydencki wyrósł tuż obok term Antonina, największej łaźni w całym imperium rzymskim. Już na pierwszy rzut oka było widać, że prezydencka rezydencja zajmuje obszar jeszcze większy niż starożytne łaźnie.

— Każda władza ma to do siebie, że przede wszystkim dba o własne dobre samopoczucie — mruknął Alexander, gdy mijali ruiny starożytnych term z bajkowym widokiem na morze. Trzeba było jednak sprawiedliwie przyznać współczesnemu władcy Tunezji umiar: zalał betonem tylko część urokliwego wybrzeża, zachowując bryłę pałacu Sidi Dhrif w niezmiennym kształcie.

To był dziwny wywiad. Sama rozmowa trwała nie dłużej niż dwadzieścia minut. Przedtem musieli przejść podwójną drobiazgową kontrolę, podczas której ich kamery niemalże rozmontowano na części, i odczekać kilkadziesiąt minut pod bacznią kontrolą dwóch uzbrojonych żołnierzy. Dopiero wtedy przyszedł po nich sekretarz prasowy prezydenta. W pałacu wyczuwało się atmosferę nerwowej niepewności. Z westybulu zdobionego pięknymi, gwieździstymi mozaikami w marmurze przeszli przez wielką salę i hall do stosunkowo niewielkiego saloniku, którego rozległe panoramiczne okna wychodziły na Zatokę Tuniską i widniejące po jej drugiej stronie góry Korbus na przylądku Cap Bon. Ron domyślił się, że Ben Ali chciał mieć w tle krajobraz znany wszystkim Tunezyjczykom i wykorzystać wywiad, aby dowieść, że przebywa w stolicy i niewzruszenie sprawuje władzę.

W sylwetce i zachowaniu Ben Alego nie było jednak ani pewności, ani siły. Prezydent Tunezji był starym, schorowanym człowiekiem o zmęczonych oczach, obwisłych

policzkach i opadających ramionach. Uścisk dłoni, który wymienił z każdym z ich ekipy, był miękki i sflaczały. Nawet ufarbowane na czarno włosy nie odejmowały mu lat ani nie przydawały wigoru. Tylko umysł miał wciąż sprawny — odpowiadał na pytania tą specyficzną papką, jaką politycy na całym świecie karmią wyborców: o problemach kraju, które „dzięki wysiłkom partii udaje się rozwiązywać”, o „wiernej służbie narodowi” i o jego osobistych, Ben Alego, zasługach, o zagrożeniach islamizmem. Prezydent nieco się ożywił dwukrotnie — gdy mówił, że Europa powinna cenić wartość stabilizacji południowego wybrzeża Morza Śródziemnego, i gdy nazwał protestujących „grupkami ekstremistów i agresywnych agitatorów”. Przesłanie było zupełnie jasne: Ben Ali oczekiwał na zrozumienie Paryża i Brukseli dla ewentualnych bardziej zdecydowanych działań ze strony władzy oraz na wsparcie. Po dwudziestu minutach spotkania sekretarz prasowy dał znać, że ich czas się zakończył. Żadna ze stron nie wyraziła życzenia, aby kontynuować rozmowę. Wszystko zostało powiedziane i wszystko było jasne. Prezydent przebywał w innym świecie i nie miał pojęcia o prawdziwych nastrojach ulicy.

Sekretarz odprowadził ich w milczeniu. Wzajemne podziękowania i grzeczności przy pożegnaniu były fałszywe i bezwartościowe niczym dyplomatyczne komplementy.

— To nie jest dyktator, który przeleje krew tysięcy ludzi, aby bronić władzy — orzekł Alexander, gdy wieczorem siedli w barze.

Fathi nie w pełni podzielał jego przekonanie.

— Ben Ali to silny i bezwzględny polityk — powiedział. — Jego kariera zaczęła się od tego, że otrzymał od Burgiby stanowisko szefa służb specjalnych. A otrzymał je dlatego, że był jedynym generałem, który nie zawahał się wydać rozkazu strzelania do manifestujących. Ani podczas „czarnego czwartku” w 1978, ani sześć lat później, gdy

wybuchło „powstanie chleba”. Zresztą powtarzam: to nie Ben Ali dzisiaj rządzi państwem, ale klan Trabelsich. A oni nie mają nic do stracenia. Będą bronili się jak szakale zagnane w kąt jaskini.

Grupki manifestantów, w których Ben Ali widział „agresywnych terrorystów”, a Fathi — głęboko sfrustrowanych młodych ludzi z dyplomami wyższych uczelni, następnego dnia tworzyły już kilkutyśięczny tłum domagający się pracy i wolności. Mathias z kamerą, Edgar i Ron z mikrofonami wmieszali się w tłum demonstrantów, którzy nie przejawiali żadnej agresywności; przeciwnie, bardzo chętnie i obszernie wypowiadali się do kamery, ostro krytykując porządki panujące w kraju. Wśród osób ogólnie pokojowo usposobionych trafiały się jednak małe, kilkuosobowe grupki zupełnie młodych, najwyżej dwudziestoletnich chłopców z pałkami i kamieniami w dłoniach. Ci wyraźnie szukali pretekstu do zwady. Gdy czoło manifestacji dotarło prosepkiem Burgiby na wysokość opery, w stronę szpaleru policjantów posypały się kamienie. Policja odpowiedziała, najpierw wystrzeliwując granaty z gazem łzawiącym, a później — nie będąc w stanie powstrzymać protestujących — wystrzałami w powietrze, potem w bruk, i wreszcie ruszyła do przodu, wypychając demonstrantów szerokimi tarczami w stronę skrzyżowania z prosepkiem Muhammada V. Na trotuarze, między drzewami i na ulicy rozpętała się bitwa wręcz, a właściwie dziesiątki małych starć, w których obie strony nie szczędziły wyzwisk i ciosów. Policjanci i manifestanci walczyli tym, co mieli pod ręką — policja młóciła długimi pałkami, demonstranci obrzucali przeciwników kamieniami, starali się też dosięgnąć wroga drzewcami od transparentów.

Mathias i Ron znaleźli się nieoczekiwanie w epicentrum jednej z takich bitew. Operator chciał maksymalnie zbliżyć się do uczestników walki i w pewnym momencie nie mógł

się już wycofać, pchany do przodu przez napierający tłum. Policjantom bardzo się nie podobało, że ich akcja jest filmowana, i wściekłymi gestami pokazywali, aby Mathias się wycofał. Bojąc się, że operator ucierpi w ścisku, Ron pospieszył z pomocą. Policjanci uznali ten nagły zryw — jak zrozumieli, jednego z demonstrantów — za zapowiedź ataku i zaczęli okładać go pałkami. Uderzony w głowę Ron zachwiał się, potknął o jakiś kamień czy występ w chodniku i runął do tyłu. Najpierw świat eksplodował mu w oczach białym, przenikliwym światłem, a później nie było już nic.

VII

Obudził go dźwięk głosów, które choć zdawały się zlewać w jedno z szumem podobnym do dudnienia ruchliwej miejskiej ulicy, dochodziły gdzieś z wnętrza czaszki. Nie otwierając oczu, wsłuchiwał się w nie przez chwilę. Głosy najpierw wyodrębniły się w osobne pasmo dźwięków, a później zaczął je odróżniać. Rozpoznawał specyficzną twardą francuszczyznę Edgara, który dopytywał o jego, Rona, stan zdrowia. Męski niski głos objaśniał, że wbrew początkowym obawom prawdopodobnie nie ma potrzeby trepanacji czaszki. Tomografia pokazała, że hematoma jest mała i że za kilka, kilkanaście dni ranny będzie zapewne mógł opuścić klinikę.

— O ile, oczywiście, po odzyskaniu przytomności okaże się, że wszystkie zmysły reagują prawidłowo. Naturalnie konieczny będzie dłuższy okres rekonwalescencji — zastrzegł baryton.

Mając wciąż zamknięte powieki, Ron zestawiał w pamięci sceny. „Podczas demonstracji zostałem uderzony. Upadłem. Straciłem przytomność. Zapewne przewieziono mnie do szpitala. Tomografia, hematoma, klinika — to głos lekarza”. Ostrożnie, powoli otworzył oczy. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było słabo oświetlone rozproszonym światłem, ale rozpoznawał cztery postacie w białych kitlach.

— *Łaallaa, al-chamdu li-Llah*^[1], nasz pacjent odzyskał przytomność. — Wysoki, naznaczony łysiną właściciel miękkiego, niskiego głosu był wyraźnie ucieszony.

— Aleś nas, stary, wystraszył. — To Edgar.

Dwaj pozostali stali nieco z tyłu, bliżej drzwi.

— Jest pan w instytucie neurologii. Czy pan mnie rozumie?
— indagował lekarz.

— Tak. — Ron starał się mówić głośno i wyraźnie, chociaż szum w głowie nie ustępował.

— Jestem doktor Ben Salem. A jak się pan nazywa? Kim pan jest?

— Nazywam się Ron Harib. Jestem dziennikarzem — rozmyślnie mówił powoli i krótkimi zdaniami.

— Co pan robi w Tunezji?

„Co ja właściwie robię w Tunezji? Reportaż? Nie, przyjechałem tu w zupełnie innym celu. Jakim?”. Chciał, aby wszyscy już sobie poszli i zostawili go w spokoju. Ponownie zamknął oczy.

— Panowie, na dzisiaj dość. Proszę opuścić salę. Ranny musi mieć absolutny spokój. — Lekarz zrozumiał jego zachowanie na swój sposób.

Po kilkunastu minutach doktor Ben Salem wrócił w towarzystwie pielęgniarki i jeszcze jednego lekarza. Tym razem dokładnie sprawdził Ronowi źrenice, puls, reakcje rąk i nóg.

— Czy bóle głowy są silne? — zapytał.

— Nie, w zasadzie nie odczuwam silnego bólu, jedynie ciągły szum w głowie.

— Jest znacznie lepiej, niż myślałem — orzekł Ben Salem, kończąc egzaminowanie. — Ale musi pan pozostać u nas pod obserwacją przez co najmniej tydzień. Ci z policji dopytywali o pana, chcą pana przesłuchać w związku z tym nieszczęsnym zdarzeniem. Powiedziałem, że najwcześniej będą mogli z panem porozmawiać za trzy dni. Będzie pan wnosił skargę na działania służb porządkowych? Wie pan, u

nas teraz wiele się dzieje, w dodatku tak szybko, że za kilka dni wszystko może się zmienić.

— Nie, nie mam zamiaru skarżyć policji.

— Tak też im przekażę. Zalecam panu dużo snu. Przepiszę lekki środek nasenny i przeciwbólowy.

— Fatima, zapisz, proszę: pan Harib, oksazepam. I niech nikt go nie niepokoi do jutra — zwrócił się doktor do pielęgniarki. Ben Salem powiedział to w tunsji, tunezyjskim dialekcie języka arabskiego. Ron zrozumiał każde jego słowo.

Następnego dnia, po kilkunastu godzinach snu, Ron czuł się zupełnie dobrze, jeśli nie liczyć nieustępującego, dokuczliwego szumu. I powracających w myślach strzępów nieznanymi mu sytuacji, scen, miejsc i nazwisk — jakby jego pamięć odtwarzała jakiś film, dawno temu oglądany i na wpół już zatarty. Przed południem znów odwiedził go doktor Ben Salem w asyście pielęgniarki, porozmawiał krótko o wydarzeniach na prospekcie Burgiby. Być może chciał poznać relację o wystąpieniach studentów z ust naocznego świadka, a może sprawdzał, na ile pamięć rannego zachowała szczegóły sprzed kilku dni. Po obiedzie w klinice był czas odwiedzin, o czym świadczyły dochodzące z korytarza przytłumione rozmowy, które Ron ku swemu pełnemu przerażenia zdziwieniu rozumiał prawie w całości. Ta część szpitala, w której leżeli pacjenci neurochirurgii, nie była odizolowana ani specjalnie strzeżona, w odróżnieniu od pozostałych sektorów instytutu. Rona, jako cudzoziemca, potraktowano zresztą specjalnie. Miał osobny pokój na pierwszym piętrze, a w szafie pozostawiono mu jego rzeczy.

Czwartego dnia po odzyskaniu przytomności, tuż po obchodzie doktora, a jeszcze przed narastaniem na korytarzu szumu, który zwiastował czas odwiedzin, znów

miął gości. Edgar wpadł na krótko, zapytał, czy czegoś nie potrzebuje, opowiedział o rosnącej fali protestów („Ben Ali ma przechlapane”), zapowiedział, że wpadnie jutro, pojutrze i już go nie było. Nie można było mieć do niego pretensji — rewolucje nie zdarzają się codziennie, a który dziennikarz przepuści taką okazję!

Po nim zjawili się dwaj policjanci. Tak się przynajmniej przedstawili. Grzeczny ton obydwu i dobry francuski starszego nie pozostawiały jednak wątpliwości, że naprawdę są funkcjonariuszami Idara Amn ad-Dała^[2], wszechpotężnej tunezyjskiej służby bezpieczeństwa. Starszy z nich zadawał pytania po francusku, następnie na arabski tłumaczył odpowiedzi Rona młodszemu, a ten zapisywał je w zeszycie. Ron z narastającym wewnętrznym niedowierzaniem stwierdzał, że oba języki zna na mniej więcej jednakowym poziomie. Z tym że francuski pilnie wkuwał przez kilkanaście lat, a arabskiego, tym bardziej lokalnego dialektu, nigdy nie uczył się systematycznie...

Pierwsze pytanie dotyczyło jego ewentualnego zamiaru wniesienia skargi na działania policji. Usłyszawszy, że ranny nie ma takich intencji, przesłuchujący wyraźnie się uspokoił. Porównując swoje słowa z ich tłumaczeniem, Ron bez trudu zrozumiał, że wypytujący go oficer traktuje rzecz bardzo rutynowo, a tłumacząc jego wypowiedzi na arabski, pozbawia je wszelkich znaczących informacji.

— Jako obywatel kraju Unii Europejskiej nie potrzebuje pan wizy, aby wjechać do Tunezji. Ale wjechał pan nie jako turysta, lecz w celu wykonywania pracy dziennikarza. Czy miał pan odpowiednie zezwolenie? — zapytał oficer.

Ron odpowiedział, że w tunezyjskiej ambasadzie w Algierze poinformowano go, iż stosowną zgodę otrzyma w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Tunezji po przyjeździe do Tunisu i że o taką zgodę wystąpił.

Starszy podyktował młodszemu: „Uzyskał stosowne zezwolenie z ambasady Republiki Tunezyjskiej w Algierii i w Ministerstwie Spraw Zagranicznych”. Najwidoczniej doświadczony agent tajnej policji wyczuwał w powietrzu zapowiedź radykalnych zmian.

Niemniej po wyjściu agentów służby bezpieczeństwa niepokój, który już wczoraj zagnieździł się gdzieś w środku głowy Rona, narastał. „Przede wszystkim nie daj się zidentyfikować” — powracała do niego raz po raz przestroga niczym przykazanie pozostawione w dzieciństwie przez matkę.

„Kontakt w Tunisie — Kerim. Ulica Dżabal na Medinie. Sklepek z wyrobami rzemiosła ludowego”. Chwilę się zastanawiał, usiłując sobie wytłumaczyć, co się z nim dzieje. Wbrew protestom logicznie rozumującego umysłu niepojęta, wewnętrzna siła popychała go do działań, których sensu i celu nie znał i nie rozumiał. Przejrzał uważnie swoje rzeczy w szafie. Niczego nie brakowało, w portfelu znalazł nawet wszystkie pieniądze, karty i dokumenty. Przez uchylone drzwi wyjrzał na korytarz. Może nie było na nim tak ludno jak wieczorami na prospekcie Burgiby, ale opustoszałym i cichym też nie można byłoby go nazwać. Unikając gwałtownych ruchów, Ron przebrał się w swoje ubranie i spokojnym, pewnym krokiem ruszył w stronę klatki schodowej. Nieniepokoiony zszedł na parter, minął portiera, następnie uzbrojonego strażnika przy metalowej, rozsuwanej bramie, teraz otwartej, i wyszedł na ulicę Rabta.

Ilekcroć później wspominał tę eskapadę, przychodziło mu na myśl określenie „działać na automacie”. Nigdy w życiu nie był w Tunisie, a poruszał się z taką pewnością, jakby przez całe lata uczył się na pamięć planu miasta i teraz odtwarzał go, porównując mijane uliczki i budowle z obrazami zapisanymi w głowie. Bez pośpiechu, ale i bez

wahania skreślił w ulicę 2 Marca 1934 roku. Wiedział, że ulicę nazwano tak dla upamiętnienia dnia założenia partii Ad-Dustur Al-Dżadid, nieprzerwanie rządzącej Tunezją od dziesięcioleci. Zdązał w stronę Medyny spokojnym, pewnym krokiem, jakby poruszał się ulicami rodzinnego miasta.

Medina, słowo oznaczające po arabsku po prostu „miasto”, jest dziś używane na określenie starej części Tunisu. W przewodnikach dla turystów o Medynie często pisze się jako o przykładzie arabsko-muzułmańskiej architektury. Owszem, są tu setki małych sklepików i straganów, które czynią ze starego miasta wielki *suk*, wypełniony zapachem jaśminu, ziół, owczych skór i zgiewkami tysięcy głosów. Wszystko to nadaje dzielnicy cech typowych dla kultury Orientu. Wśród domów różnego wieku, stylu i zamożności, w krętych uliczkach, niekiedy kończących swój bieg na zaślepiającej je ścianie, gubią się meczety, załaje i medresy. Tylko minarety głównego meczetu az-Zitun, usytuowanego w samym centrum Medyny, widoczne są zewsząd, czyniąc zeń nie tylko jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych miasta, ale też punkt orientacyjny dla zwiedzających.

Kolumny meczetu az-Zitun mają antyczne rzymskie pochodzenie. Najpewniej przewieziono je z niedalekiej Kartaginy — może w IX wieku, gdy odbudowywano meczet, a może sto pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy przebudowywano istniejącą tu od II wieku chrześcijańską bazylikę świętej Oliwii na miejsce kultu islamskiego.

W umyśle Rona rozwijała się mapa głównych ulic Medyny. Podobnie jak wszystkie inne metropolie starożytnego imperium, starówka Tunisu położona jest na planie dwóch krzyżujących się ulic. W Tunisie *cardo*, czyli oś północ - południe, tworzą ulice Sidi Ben Arus i Turbet el-Bej, a wyznaczającą kierunek wschód - zachód *documenus* — ulice Dżamaa az-Zituna i Ali Belhałan. Turyści w

poszukiwaniu pamiątek nawiedzający latem tutejszy bazar, czyli z arabska *suk*, są zazwyczaj przywożeni autokarami od wschodu pod Bramę Francji. Teraz jednak, w końcu grudnia, zwiedzający byli bardzo nieliczni. Pora masowych przyjazdów Włochów i Francuzów na południowe wybrzeże Morza Śródziemnego skończyła się dawno, a w związku z niepokojącymi wieściami o zamieszkach wiele biur podróży odwołało wyjazdy do Tunezji.

Ron wszedł na Medinę od przeciwległej strony, od merostwa, otoczonego teraz stalowymi barierkami i ochranianego przez szpaler policjantów. Kilkadziesiąt metrów dalej, przy meczecie Kasba, grupa młodych chłopców, przez nikogo nie niepokojona, oferowała przechodniom różne drobne przedmioty. „Pewnie z kradzieży” — domyślił się. Za dość przyzwoicie wyglądającą komórkę Samsunga kilkunastoletni handlarz domagał się stu dinarów. Dobili targu — sześćdziesiąt za komórkę i kartę. Za kolejne dwadzieścia Ron kupił jeszcze jedną kartę prepaid.

Biegły mówiony tunisi w połączeniu z jasną europejską skórą wyraźnie wywołał dysonans poznawczy u młodego sprzedawcy.

— Z jakiego kraju jesteś? — zapytał w końcu Rona.

— Ja?? Z Tunezji. Mieszkam w Tabarce. — Ron uśmiechnął się przyjaźnie.

Tabarka, miasto położone na północnym zachodzie Tunezji, mocno kojarzące się z Francją, było jakimś wytłumaczeniem. Dla chłopaka z ulic Tunisu Tabarka znajdowała się wystarczająco daleko, aby przyjąć, że mieszkają tam potomkowie Francuzów i że wszyscy oni mówią biegle lokalną wersją arabskiego.

Ron minął meczet Paszy, przed restauracją Sla skręcił w lewo, pozostawiając za sobą grupkę turystów

rozmawiających po rosyjsku. Obejrzał się — nikt za nim nie szedł; uliczki były półpuste, a przy stoiskach niewielu kupujących. Uliczka Dżabal była wąziutkim zaułkiem, wypełnionym straganami i produkcją tunezyjskiego rzemiosła, *artisanat*, wyłożoną wprost na bruku. Wszedł do sklepiku, w którym tuareskie dywany sąsiadowały z ceramiką z Nabeul, a na ścianie wisiał oprawiony w ramkę francuski dyplom, potwierdzający, że Monsieur Kerim Belkhoja otrzymał honorową nagrodę podczas wystawy rzemiosła i sztuki ludowej w Marsylii w 1978 roku.

— A czy ma pan może dywany z portretem Hannibala? Mój wuj Eugen zbiera podobizny Hannibala. Najchętniej pod murami Rzymu — zapytał po francusku właściciela sklepiku.

Sprzedawca, najwyżej trzydziestoletni Tunezyjczyk, wytrzeszczył na niego oczy, w których bezgraniczne zdumienie mieszało się z ironią. Ron także omal nie parsknął śmiechem. „Jaki idiota wymyślił takie hasło? W muzułmańskim kraju pytać o dywany czy makaty z wizerunkiem człowieka?! Ależ trzeba mieć rozumek!” — przemknęło mu przez myśl, ale zaraz potem pojawiła się kolejna refleksja, że właśnie idiotyzm tego pytania czynił je niepowtarzalnym.

Młody handlarz wyrobami rzemiosła uśmiechnął się jednak grzecznie i wyrozumiale.

— Nie, proszę pana. Nie mamy czegoś takiego i nie sądzę, aby pan gdziekolwiek znalazł taki dywan. Może pana jednak zainteresują dywany z południa, berberyjskie, tuareskie...
— I zaczął wysławiać zalety sztuki ludowej z południa.

Ron zdawał sobie sprawę, że sprzedawca był zbyt młody, aby interesować się dywanami z portretami Hannibala — gdy je projektowano, mógł mieć najwyżej dziesięć lat.

— Kerim Belhodża to pana ojciec? — zapytał Ron, demonstracyjnie wpatrując się w dyplom.

— Tak, ale już od kilku lat nie pracuje. Ja przejąłem po nim biznes.

— A jak się miewa pański ojciec? — wykazał grzeczne zainteresowanie Ron. To mieściło się w granicach wschodniej grzeczności, świadczyło o wysokiej kulturze gościa, który interesuje się rodziną rozmówcy.

— Dziękuję, bardzo dobrze.

— Świetnie. Bardzo się cieszę. Byłbym wdzięczny, gdyby zapytał pan ojca o te dywany. Być może został gdzieś jakiś z czasów francuskiej okupacji. Mój wuj Eugen jest bardzo nimi zainteresowany.

— Oczywiście, zapytam. A pan może przyjrzeć się tym dywanom, które mam na wystawie.

— Wpadnę jutro lub pojutrze. W międzyczasie pomyślę, czy znajdę w swoim domu miejsce na wyrób współczesnego rzemiosła.

Opuścił pomieszczenie, lecz nie wrócił do ulicy Diwan, którą przyszedł, lecz poszedł dalej w stronę zaułka al-Aha, zaglądając po drodze do innych sklepów jak nudzący się turysta, który musi czymś wypełnić czas pozostający do odjazdu autokaru. Czuł na plecach zdziwione, pytające spojrzenie młodego Belhodży.

[1] *Łaallaa, al-chamdu li-Llah* (arab.) — Na Boga, dzięki Bogu.

[2] *Idara Amn ad-Daħla* (arab.) — Dyrekcja Bezpieczeństwa Państwa.

VIII

Jeszcze bardziej zdziwił się młody sprzedawca, gdy zobaczył reakcję ojca na opowieść o dziwnym Europejczyku, który poszukuje dywanów z podobizną Hannibala.

— Raczej nie Francuz, chociaż mówił bardzo biegle po francusku. Bardziej Niemiec lub Holender — opowiadał syn, komentując jednocześnie słowa, zachowanie i ubiór turysty z Europy.

Kerim Belhodża dobiegał siedemdziesiątki, ale gdy usłyszał opowiadanie syna, zerwał się z fotela jak dwudziestolatek.

— Opowiedz mi raz jeszcze, z detalami. Niczego nie przeocz — poprosił gorączkowo. Wysłuchawszy relacji, zadumał się. — Pójdę do siebie, na górę. Późno już — powiedział w końcu.

Mimo naprawdę późnej pory Kerimowi Belhodży nie było do snu. Długo rozmyślał nad powstałą sytuacją. Od trzydziestu lat, od dnia, gdy przyjął niespodziewaną i hojną ofertę w Tuluzie, nie miał powodu, aby żałować swojej decyzji. Od czasu do czasu spotykał się w którejś z kawiarni Tunisu z ludźmi z rosyjskiej ambasady, opowiadał im, co sądzą o tym lub innym wydarzeniu mieszkańcy Tunezji. Ale takie opinie mogli przecież usłyszeć od każdego innego biznesmena z Medyny. Rozmowy z Sowietami były nawet przyjemne. Mówili zupełnie dobrze po arabsku, nie pouczali go, okazywali mu należny szacunek, niczego specjalnie trudnego nie chcieli. Kilka razy, gdy wyjeżdżał z wystawami do Francji, Belgii czy Niemiec, proszono go, aby przewiózł i

przekazał właściwym ludziom drobne przesyłki, niekiedy pieniądze. Częściej przechowywał u siebie jakieś pakunki, po które zgłaszali się kolejni wysłannicy. Nigdy go nie interesowało, co kryły te paczki. W zamian zawsze mógł liczyć na pomoc finansową, dzięki której stać go było na zbudowanie domu w Marsie, luksusowej dzielnicy na północ od Kartaginy. Gdy upadł Związek Radziecki i kontakty się urwały, żałował nie tyle faktu, że zniknęła przeciwwaga dla Amerykanów, którzy odtąd mogli niepodzielnie rządzić światem i dyktować Arabom, jak mają żyć, ile tak potrzebnych zastrzyków gotówki. Dom przecież trzeba było jeszcze urządzić!

I teraz, po kilkunastu latach milczenia, pojawia się ktoś, kto używa kodu „pilny, najwyższego znaczenia”. „*Hannibal ante portas*” — uśmiechnął się. Sam wymyślił to hasło w przekonaniu, że nigdy go nie usłyszy. Mógł oczywiście zignorować nieznanego i jego wuja. Ale to nie byłoby rozsądne. Sąsiad Libańczyk, który uciekł z Bejrutu i teraz zajmował się handlem nieruchomościami, opowiedział mu kiedyś historię ze swego kraju.

Jedno z islamskich ugrupowań porwało w Bejrucie dwóch rosyjskich inżynierów i zażądało dużego okupu, na tyle wysokiego, aby pozostawić margines do targowania się. Na dowód, że mają poważne zamiary negocjacyjne, jego członkowie przesłali do rosyjskiej ambasady serdeczny palec jednego z inżynierów. Porywacze, którzy mieli już doświadczenie w takich rozmowach z Amerykanami i Francuzami, byli przygotowani na długie pertraktacje. Po trzech dniach zniknęli dwaj najbliżsi ochroniarze szejcha^[1]. Następnego dnia po ich zniknięciu bojownicy islamu otrzymali elegancką przesyłkę, w której były ucięte genitalia owych ochroniarzy. Szejjch nie podjął licytacji. Obaj inżynierowie — żywi, jeden ze starannie obandażowaną dłonią — jeszcze tego samego wieczoru

zostali zwolnieni i przewiezieni w pobliże rosyjskiej ambasady.

Belhodża zadzwonił pod numer telefonu, który znał na pamięć, chociaż nie używał go od kilkunastu lat, modląc się w duchu, aby numer okazał się nieaktualny. Po trzecim dzwonku ktoś jednak odebrał, ze zrozumieniem przyjął informację o wujku Eugenie z Tuluzy i poprosił o spotkanie z Kerimem.

— Spotkajmy się na kawie. Powiedzmy... pojutrze rano, o jedenastej? W tej kawiarni w Sidi Bou Said, którą odwiedza każdy turysta? Znakomicie. Rozpoznam pana, proszę się nie obawiać. — Głos w słuchawce był grzeczny i niemal nienagannie arabski. Dobry, literacki arabski, jakim mówią cudzoziemcy. Miejsce również zostało wybrane z dużą znajomością realiów. Sidi Bou Said, malownicze przedmieście Tunisu, zawsze, nawet o tej porze, pełne było turystów i jeśli by zobaczył ich jakiś znajomy, co w wielopoziomowej kawiarni wcale nie było takie oczywiste, na pewno nie nabierze żadnych podejrzeń.

Jeśli Kerim Belhodża miał mimo wszystko jakieś wątpliwości związane z rozpoznaniem swoich rozmówców, okazały się one zupełnie niepotrzebne. Gdy tylko usiadł w jednym z zakamarków kawiarni i zamówił kawę, natychmiast przysiadła się do niego para turystów, którzy poprosili, aby zrobił im zdjęcie na tle zatoki i wzgórz Korbus. Później kobieta zaczęła go rozpytywać o różne szczegóły związane z Sidi Bou Said i Kartaginą, a w pewnym momencie mężczyzna równie lekkim tonem i wciąż po francusku rzucił:

— No to jaki krewny wuja Eugena pana odwiedził?

Belhodża szczegółowo zrelacjonował sytuację, opisał, zgodnie z opowiadaniem syna, wygląd amatora dywanów z portretem Hannibala i poinformował, że ów człowiek ma

zjawić się u niego ponownie jutro lub pojutrze. Mężczyzna (wyglądał na Portugalczyka, może Maltańczyka, ale na pewno nie był to Rosjanin) dopytywał:

— A nie pozostawił może nazwy hotelu, w którym się zatrzymał? Ach, nie? Niech więc syn będzie tak uprzejmy i zapyta go o to przy najbliższych odwiedzinach. A pan niech łaskawie przekaże nam tę informację. Po tym będziemy uważali, że całkowicie przeszedł pan na emeryturę. A ten numer telefonu proszę zapamiętać i już nigdy na niego nie dzwonić.

Kobieta znowu zaszczebiotała coś o mozaikach w muzeum w Bardo, mężczyzna opuścił kopertę na kolana Belhodży i para odeszła, dołączając do grupy przechodzących akurat turystów.

Kerim wyjął chusteczkę, otarł pot z czoła. Mimo grudniowego dnia było mu duszno. Chowając chusteczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, nie zapomniał jednak wraz z nią niepostrzeżenie schować także koperty z banknotami.

Para starszych Portugalczyków zmęczyła się zapewne chodzeniem po stromych ulicach Sidi Bou Said, bo odłączyła się od wycieczki i poprosiła taksówkarza, aby zawiózł ich do hotelu Residence, który znajdował się jeszcze dalej od Tunisu, w Gammarth. Tam Portugalczycy wypili kawę i przebrali się, a po kilkunastu minutach ubrani w inne kurtki wsiedli do kolejnej taksówki i kazali się zawieźć na Medinę. Wysiedli, podobnie jak większość turystów, przed Bramą Francji, zmieszali się z kolejną grupą zwiedzających i rozplłynęli się w wąziutkich, krętych uliczkach starego miasta.

[1] Szejch (z arab.) — dosłownie: mistrz, starzec, mędrzec. Używa się też w znaczeniu: przywódca grupy, plemienia lub wspólnoty religijnej, lider, osoba wpływowa.

IX

Ron nie odwiedził jednak ponownie sklepiu Belhodży ani dnia następnego, ani kolejnego. Wrócił wprawdzie do szpitala najpewniej niezauważony, bo jego eskapada trwała czterdzieści minut, najwyżej godzinę, ale przyplacił wysiłek nawrotem potężnego bólu głowy. Doktor Ben Salem zaczął się już niepokoić, czy aby postawił trafną diagnozę. Na wszelki wypadek zwiększył dawkę leków i polecił siostrze Fatimie, aby dyżurowała przy chorym przez najbliższą noc.

Następnego natomiast dnia Ron przeżył kolejny szok: w szpitalu odwiedził go Amastan. Skąd i jak Libijczyk dowiedział się o jego miejscu pobytu? Ama uśmiechnął się, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

— Zapominasz, że jest coś takiego jak internet i telefon komórkowy? Ileż ekip telewizyjnych z Norwegii może być teraz w Tunisie? No właśnie... Wiem nawet, że zatrzymaliście się w hotelu Ifrikija.

No tak, ale to nie wyjaśniało, co Ama w ogóle robił w Tunisie.

— Przywiozłem ciotkę do szpitala. Ma jakieś kobiece problemy, a u nas w Libii z medycyną nie jest najlepiej. Zostanę kilka dni. Będziemy mieli okazję porozmawiać więcej. A ty jak się czujesz?

Ama rzeczywiście nie śpieszył się, bo spędził przy jego łóżku prawie dwie godziny. Ron opowiedział mu o manifestacjach, o swoich i Edgara ocenach sytuacji, o okolicznościach, w jakich został poturbowany, o policjantach, którzy odwiedzili go w szpitalu. Ten ostatni wątek wzbudził szczególne zainteresowanie Amastana.

Libijczyk też uważał, że dziennikarz w rzeczywistości miał do czynienia z oficerami służby bezpieczeństwa, ale nie podzielał przekonania Rona o tym, że sprawę można uznać za zamkniętą.

— Nie byłbym tego taki pewny. Widziałem w tutejszej państwowej telewizji migawkę z tych zajęć i komentarz. Wynikałoby z nich, że za niepokojami stoją obce, zewnętrzne siły. No wiesz, kolejna kolorowa rewolucja zrobiona przez Amerykanów i ich satelitów. W Tunezji wszystko może się teraz zdarzyć. Wprawdzie Ben Ali jest stary i schorowany, ale za jego plecami stoi Ali Seriaty. A to mocny i chytry zawodnik. Kontroluje wszystkie służby bezpieczeństwa, gwardię prezydencką i policję. I kto wie, jak może wykorzystać twój udział w zamieszkach w swojej kombinacyjnej grze.

— Nie brałem udziału w zamieszkach. Filmowałem je — zaproponował Ron.

— Ty to wiesz, ja to wiem. Ale rzecz można przedstawiać z różnych stron. Bądź ostrożny. Na twoim miejscu nie pozostawałbym dłużej w szpitalu. Lepiej wyjedź z Tunezji, dopóki otwarte są lotniska. Wpadnę do ciebie jutro. Ale trochę później, pod wieczór. Ciotka leży tu niedaleko, w klinice Rabta. Masz, tutaj jest mój numer telefonu. — Ama na szpitalnej szafce pozostawił małą karteczkę z odręcznie napisanymi cyframi.

Ron nie myślał o swoim wyjeździe. Wydawało mu się naturalne, że po wyzdrowieniu wróci do pracy w zespole. Tym bardziej że w Tunezji działo się tak wiele.

— Przemyślę to — powiedział jedynie.

Podczas całej rozmowy ani słowem nie napomknął Amie o powracających dziwnych wspomnieniach zdarzeń, których nie przeżył, o umiejętnościach, które niespodziewanie u siebie odkrył, jak chociażby dokładna

znajomość Tunisu, każdej jego uliczki. O zaskakującej poprawie znajomości arabskiego też nie wspomniał. Ale nie mógł powstrzymać się przed zadaniem pytania:

— Ama, czy przydarzyło ci się kiedyś zjawisko *déjà vu*? Gdy wydaje ci się, że miejsca, ludzi, słowa, z którymi naprawdę spotykasz się pierwszy raz, jednak dobrze znasz i spotkałeś się już z nimi w przeszłości wielokrotnie?

Libijczyk już w proggu odwrócił się, popatrzył na niego uważnie.

— Urodziłem się i wychowałem na pustyni. Tam zdarzają się jeszcze większe cuda. Ale to dziwne, że mówisz to właśnie mnie. Szkoda, że nie możesz opowiedzieć tego mojej siostrze. Ona też widzi rzeczy, których nikt nie widzi oprócz niej.

X

Z drugą wizytą do sklepiku na ulicy Dżabel Ron wybrał się dopiero piątego dnia po pierwszych odwiedzinach. Tym razem poprosił doktora Ben Salema o zgodę na mały spacer. Lekarz nie miał w zasadzie nic przeciwko. Powiedział nawet, że chory może opuścić klinikę na stałe już jutro. Ron zadzwonił więc do Edgara. Ten wraz z ekipą był akurat w Kessarine, prawie dwieście kilometrów od tunezyjskiej stolicy, ale zapowiedział przyjazd do Tunisu jutro wieczorem. Edgar potwierdził, że pokój w hotelu Ifrikija teoretycznie nadal na Rona czeka. Trzeba tylko uprzedzić obsługę, ponieważ na czas nieobecności feralnego gościa pokój mógł zostać wynajęty komuś innemu.

— A twoje rzeczy są złożone w szafie w moim pokoju, nie martw się. Rachunek za szpital ureguje nasz norweski pracodawca — dodał Edgar, nim się pożegnali.

Idąc do Mediny, Ron miał wrażenie, że jest śledzony. Ulica za nim była jednak pusta, tylko gdzieś daleko dojrzał kilku młodych Tunezyjczyków. „Albo mam jakieś obsesje po tym oberwaniu w głowę, albo Ama mnie wystraszył” — podśmiewał się sam z siebie.

Sprzedawca rozpoznał go, bo powitał szerokim uśmiechem, przerywając rozmowę z gośćmi. Niemniej Ron ponownie wypowiedział hasło:

— To ja, znowu nachodzę pana w sprawie dywanów z wizerunkiem Hannibala. Bo wie pan, mój wuj Eugen...

— Chwileczkę, zaraz się panem zajmę, tylko odpowiem na pytanie klienta, który wisi na telefonie — uśmiechnął się

młody Belhodża i wyszedł na zaplecze sklepiku.

Wrócił rzeczywiście po minucie.

— Tak... A w sprawie dywanu z Hannibalem? — I sprzedawca wyrecytował odpowiedź jak wyuczoną lekcję: — Szczerze ubolewam, obecnie nie mamy w magazynie takich wzorów. Mogę za to panu przekazać telefon do znajomego kupca z Monastiru. Być może on będzie miał coś dla pańskiego wuja Yves'a.

Do butiku weszli dwaj nowi klienci. Ron, prawie automatycznie odnotował, że jeden z nich był turystą z Europy, postawnym i muskularnym, drugi — najpewniej jego miejscowym przewodnikiem.

Odpowiedź, wypowiedziana podobnie jak pytanie w języku francuskim, była właściwa. Zawierała wszystkie kluczowe słowa: magazyn, wzór, kupiec, Monastir, wuj i przekręcone imię — Yves zamiast Eugen. Ron schował do kieszeni przekazaną mu kartkę papieru z numerem telefonu. Tunezyjczyk, którego Ron wziął za przewodnika europejskiego turysty, z wahaniem zwrócił się do niego:

— Jeśli pan szuka jakichś specjalnych dywanów, to mój przyjaciel ma wyjątkowe zbiory starych dywanów.

Ron już się przyzwyczał, że w Tunezji każdy przypadkowy przechodzień ma albo w swoim domu, albo u przyjaciela, szwagra lub wuja wszystko to, co jest ci akurat potrzebne. Przy czym oczywiście wyjątkowej jakości. Grzecznie więc podziękował za przedłożoną ofertę. Machinalnie odpowiedział przewodnikowi w tym samym języku, w jakim otrzymał propozycję. Czyli w płynnym tunsi.

W trakcie powrotnego spaceru do kliniki najpierw zadzwonił pod numer otrzymany od Belhodży.

— Jestem w Tunisie — rzekł po prostu po arabsku, gdyż nie wiedział, co innego miałby powiedzieć. Czuł tylko

wewnętrzny przymus wykonania tego telefonu i nic więcej. Tak, jakby na tym kończył się napisany dla niego program.

— Tak, wiemy. Długo czekaliśmy na ciebie — odpowiedział mu, także po arabsku, głos z drugiej strony. — Wuj Eugen będzie dzisiaj w restauracji Es-Saraj o siódmej wieczorem. — Tu połączenie zostało przerwane.

Restauracja Es-Saraj znajdowała się nieopodal. Najwidoczniej wybrano miejsce z jednej strony ludne, bo bardzo często odwiedzane przez turystów z Europy, z drugiej — znajdujące się blisko kliniki, aby ułatwić mu doście. Ale data nie była nazbyt odpowiednia. Doktor Ben Salem nie wypuści go przecież przed wyznaczonym jutrem. Problem jednak rozwiązał się inaczej. Wkrótce po tym, jak Ron wrócił do swego pokoju i przysiadł na łóżku, pojawił się Ben Salem.

— Panie Harib, mamy problem. Potrzebujemy pańskiej sali, położymy tutaj dwóch ludzi w ciężkim stanie, z ranami głowy. To po dzisiejszych starciach. Przepraszam za tę sytuację, ale pan już właściwie powrócił do zdrowia, więc przeprowadzimy pana do innego pokoju. Tutaj jest niezbędna aparatura, którą bardzo trudno byłoby przewieźć gdzie indziej.

— Panie doktorze, oczywiście, nie ma problemu. A może mógłbym już wrócić do hotelu?

— Szczerze mówiąc, powinienem pana jeszcze dzień, dwa zatrzymać. Na wszelki wypadek. Ale skoro może pan przemieszczać się samodzielnie po mieście, to wystawia pan sobie najlepsze świadectwo zdrowia. Dam panu samochód z kierowcą, aby odwiózł pana do hotelu. Proszę nie protestować. To jednak spora odległość, a ponadto dzisiaj nie jest specjalnie bezpiecznie w rejonie prospektu Burgiby.

Ewakuacja z kliniki odbyła się bardzo sprawnie. Ron podpisał wymagane dokumenty, podziękował doktorowi, umawiając się z nim na spotkanie, „gdy tylko trochę się to wszystko uspokoi”, wcisnął Fatimie pięćdziesięciodenarowy banknot i pojechał do Ifrikiji.

Portier rozpoznał go, powitał z uśmiechem, ale i pewnym zakłopotaniem. Okazało się, że pokój nie jest jeszcze sprzątnięty. zaproponował więc, aby Ron na „maleńką chwilkę” zatrzymał się w sąsiednim pokoju, w którym mieszkał Edgar, a który teraz stał pusty. Pokój Edgara był, owszem, niezamieszkały, ale bynajmniej nie pusty! Wypełniał go trudny do wyobrażenia bałagan. Cała zawartość szaf — ubrania, kable, notatki, dyski do kamery telewizyjnej — leżała porozrzucana po całym pomieszczeniu. Nawet pościel była rozbebeszona.

Ron wezwał telefonicznie portiera, a sam zrobił komórką kilka zdjęć wzorcowego nieporządku. Portier osłupiał, zobaczywszy pokój w takim stanie. Nawet nie próbował szukać wyjaśnienia czy usprawiedliwienia. Było oczywiste, że pomieszczenie poddano totalnemu, drobiazgowemu przeszukaniu, a skoro na podłodze zostały dyskietki, oznaczało to, że powodem rewizji nie były zdjęcia z manifestacji. Może pieniądze? Sejf był otwarty i pusty. Ron jednak wiedział, że ani Edgar, ani nikt z ekipy nie miał zwyczaju pozostawiać czegokolwiek cennego w hotelowych sejfach. Wszystko, co ważne, a więc trzy razy P: paszport, pieniądze, powrót, czyli bilet powrotny, należało w każdej chwili mieć ze sobą.

Zadzwoił do Edgara. Ten jednak nie odpowiadał, więc Ron wysłał mu SMS-a: „Ktoś przeszukał twój pokój w hotelu. Chyba nic nie zginęło”.

Ron oznajmił portierowi kategorycznie, że pomieszczenia nie wolno sprzątać do przyjazdu Edgara i całej grupy. Ponieważ w międzyczasie przygotowano jego własny pokój,

przeniósł się na drugą stronę korytarza. Z pokoju Edgara nie zabrał swoich rzeczy, prócz dwóch koszul, spodni i kurtki, które wisiały w szafie. Przez kilkanaście minut cieszył się samotnością i spokojem — w szpitalu nawet w godzinach popołudniowej ciszy czuł się nieprzerwanie obserwowany i kontrolowany.

Patrzył przez okno, jak na prospekcie Burgiby gęstniejący tłum demonstrantów napiera na szeregi policji chroniące dostępu do ambasady Francji i katolickiego kościoła. Obserwował wydarzenia z pewną obojętnością, jakby oglądał kadry w telewizji. Rozmyślał o rewizji w pokoju Edgara: „Lokalna policja? Służby bezpieczeństwa? Raczej nie, ich interesowałyby nagrania. Zwykli złodzieje? W tak strzeżonym hotelu? Wątpliwe. Więc kto? Czyje — jego czy Edgara bagaże były celem przeszukania? I najważniejsze: czego szukali włamywacze?”. Pół godziny przed siódmą wyszedł z hotelu i przywołał jedną z czekających taksówek. Restauracja Es-Saraj znajdowała się wprawdzie niedaleko, po drugiej stronie Medyny, ale nie miał szans na przedarcie się przez tłum policjantów i demonstrantów. Musiał zatem jechać wokół starego miasta wąskimi, zakorkowanymi uliczkami. Po drodze zdążył jeszcze zadzwonić do Amy i potwierdzić, że zaraz po kolacji, czyli około wpół do dziewiątej wieczorem, mogą się spotkać. Libijczyk obiecał, że podjedzie po niego pod restaurację równo o ósmej.

Trzy minuty przed siódmą Ron był już na miejscu i schodził dość stromymi schodami z bulwaru Bab Menara na uliczkę prowadzącą do restauracji. Gdy już prawie dotarł do najniższego stopnia, potknął się i niechybnie by wylądował twarzą na asfalcie, gdyby ktoś nie pochwycił go dosłownie w objęcia. Słowa podziękowania za wyratowanie z opresji ugrzęzły Ronowi w gardle. Jego wybawcą okazał się przewodnik spotkany przypadkowo w sklepiku Belhodży, a uścisk był nie tyle zbawczy i przyjacielski, co obezwładniający. Poczuł, że nos i usta zatyka mu silny

zapach lakieru do paznokci, i to wrażenie było ostatnim, jakie zapamiętał. „Sewofluran” — przemknęła mu przez myśl nazwa środka usypiającego, który zdołał zidentyfikować ostatkami świadomości.

Postronnemu obserwatorowi ta kilkudziesięciosekundowa scenka mogła się wydać spotkaniem przyjaciół. Dwóch mężczyzn objęło trzeciego, który tak spieszył im naprzeciw, że aż się potknął. Po czym cała trójka zgodnie wsiadła do ciemnego peugeota 406, który błyskawicznie podjechał i równie szybko zniknął. Auto minęło restaurację Es-Saraj, meczet Jussef Dej, przez kilkanaście minut krążyło po wąskich uliczkach starego miasta, po czym stanęło przed wysokim ogrodzeniem jednej z nowszych willi. Metalowe wrota rozsunęły się, samochód wjechał do ciemnego wnętrza podziemnego garażu jak w paszczę wieloryba, wreszcie brama się zamknęła.

XI

Do świadomości przywrócił go jakiś hałas. Skrzyp bramy, trzaśnięcie drzwi. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że nadal przebywa w klinice, nim pojął, że nie zna miejsca, w którym się znajduje. Leżał na metalowym, szpitalnym łóżku, w półmroku, w pustym pomieszczeniu. Przez zakratowane okno sączyły się ciemność nocy i szum deszczu. Nie wiedział, jak długo przebywał w nieświadomości ani która jest godzina. Był przypięty do łóżka dwoma skórzanymi pasami. Jeden unieruchamiał jego ręce powyżej łokci i opasywał mu pierś, drugi krępował nogi ponad kolanami. Lewy rękaw koszuli miał podwinięty, a duży krwiak na zgięciu wskazywał, że wkłuwano mu się w żyłę. Czuł suchość w gardle i nudności.

Łóżko miało jeszcze jedną właściwość, którą właśnie poznawał. Mężczyzna o twarzy proroka lub naukowca zwolnił blokadę, nacisnął na poręcz i Ron znalazł się w pozycji stojącej, pozostając wciąż przytroczony do łóżka. Wraz z „naukowcem” weszli dwaj inni — dobrze zbudowany „turysta”, którego Ron widział już w sklepiu Belhodży, i drugi, który również przypominał uczonego, ale na emeryturze: kępka siwych włosów na końcu łysiny, sucha wysoka postać.

Wszyscy trzej przypatrywali mu się z zaciekawieniem, jakby patrzyli na rzadki okaz wymierającego ptaka. Wreszcie Turysta przemówił:

— Jeśli będzie pan zachowywał się rozsądnie, każę pana rozwiązać. Usiądzie pan przy stole.

Ronem wstrząsnął nie ton głosu, bezosobowy i przepalony, ale język. Turysta mówił czystym rosyjskim. Ron wzruszył bezradnie ramionami, dając do zrozumienia, że w tej sytuacji nie można się z jego strony spodziewać żadnych niespodzianek. Turysta dał znać i Naukowiec uwolnił Rona z więzów, ale przy stole założył mu ręce za krzesło i na kciuki nałożył kajdanki.

— Na początek zadam panu kilka pytań. Proszę odpowiadać szczerze. Nie chciałbym wstrzykiwać panu tiopentalu. I tak w ostatnich dniach faszerowano pana jak kurczaka na amerykańskiej farmie.

„W ostatnich dniach? Czyżby przetrzymywali mnie od kilku dni? Ten siniak na ręce?”.

— Czy wie pan, gdzie się w tej chwili znajdujemy?

— Przypuszczam, że w Tunisie. Przynajmniej stamtąd mnie porwaliście.

Nie miał problemów z mówieniem po rosyjsku. Słowa przychodziły do niego same. Problemem było ich wymawianie. Dźwięki z trudem przechodziły mu przez gardło, brzmiały chrapliwie, obco. Turysta skinął głową i Naukowiec przytknął Ronowi do ust plastikowy kubek z wodą.

— Jesteśmy na Medinie. Zna pan Medinę?

Ron skinął potwierdzająco.

— Załóżmy, że jesteśmy w zaułku Saida. Jeśli teraz byśmy pana wypuścili, a pan nie złapałby taksówki, jak by pan doszedł do hotelu Sheraton?

Ron opowiedział, nazywając ulice i wymieniając charakterystyczne punkty, którymi by się kierował.

— Przecież nigdy wcześniej nie był pan w Tunezji. Nie zdziwiła pana ta nagle objawiona wiedza?

Ron nie miał odpowiedzi na to pytanie. Ani na inne, które przyszło mu teraz do głowy: skąd o jego umiejętnościach wie Turysta? Ten nie nalegał. Zadał kolejne pytanie:

— Uczył się pan wcześniej arabskiego?

— Trochę. Ale zatrzymałem się na poziomie alfabetu i kilku zdań w rodzaju „*kejf chal?*”^[1].

— Teraz swobodnie porozumiewa się pan nawet w lokalnym dialekcie.

I tę konstatację Ron uznał za niewymagającą komentarza. Turysta wrócił do geografii:

— W Trypolisie również nigdy pan nie był?

— Nie byłem.

— Ale na przykład z lotniska trafiłby pan do hotelu Radisson? Jaką drogą?

Ron zastanowił się chwilę.

— Do Al-Mahari? Po prostu pojechałbym nabrzeżem po Al-Szatt.

Naukowiec znów dał mu łyk wody. Chyba po to, aby wypełnić gestem ciszę, jaka zapanowała. Ron zdecydował się ją przerwać, zachęcony brakiem widocznej niechęci czy też przejawów agresji ze strony porywaczy.

— Możecie mi wyjaśnić, co się tu dzieje? O co w tym wszystkim chodzi?

— No cóż, witamy w rodzinie, Rostisławie Janowiczu. Bo tak się pan nazywa, prawda? Rostisław Janowicz Hribowskij. Urodzony: powiat woronowski, Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka. Narodowość: Polak. Zgadza się? Teraz nazywa się pan Ron Harib. Też ładnie. Ale jakoś nie po polsku. Dlaczego właściwie zmienił pan imię i nazwisko... Ale to bez znaczenia.

Turysta wstał, zapalił papierosa i zaczął krążyć po niewielkim pokoju.

— Mamy bardzo wiele do omówienia. Bardzo wiele. Ale niewiele czasu. Polecimy do Moskwy, drogi Rostisławie Janowiczu. Tam wszystko sobie opowiemy — podsumował. — Nawet przygotowaliśmy panu oryginalny białoruski paszport. Jako były obywatel Związku Radzieckiego urodzony na Białorusi ma pan pełne prawo i do białoruskiego, i do rosyjskiego obywatelstwa. Dobrze, że nie ma pan w Polsce rodziny. Poszukiwałyby pana i byłoby wiele zbędnego szumu. A tak przygotowujemy legendę, że wyjechał pan do Algierii, a tam porwali pana islamiści. Teraz w regionie dzieje się tak wiele, że nikt nie będzie zwracał sobie głowy jednym zaginionym człowiekiem. A skoro nie ma człowieka, to nie ma też problemu.

Ron był zbyt oszołomiony — i wydarzeniami, i zapewne środkami, jakie mu zaaplikowano — aby protestować czy powiedzieć cokolwiek. Przysłuchiwał się głosom.

— Pojedziemy do Monastiru. A stamtąd do Moskwy. Dobrze, że Tunezja stała się popularna wśród rosyjskich turystów, mamy bezpośredni czarter.

— Kłopot w tym, że samolot jest w środku nocy, a właściwie już nad ranem. Będziemy musieli jechać nocą. Sądzę, że jeśli wyruszymy o jedenastej, to na drugą zdążymy.

— Za dwie i pół godziny spokojnie dojedziemy do Monastiru. Ale weź dodatkową godzinę na wszelki wypadek, bo pewnie po drodze spotkamy masę posterunków i patroli.

Turysta, Naukowiec i Emeryt bez obaw rozmawiali w obecności Rona. Dla nich Ron już nie istniał jako istota, która ma prawo do samodzielnego działania i myślenia. Był elementem projektu.

— Żeby nam pan nie narobił kłopotów po drodze, musi pan, Rostisławie Janowiczu, wypić jeszcze to lekarstwo. — Turysta przekazał Naukowcowi plastikowy kubek. — Proszę się nie niepokoić, to tylko kwas hydroksybutanowy. Nazywają to pigułką gwałtu. — Turysta zachichotał. — Proszę się nie obawiać. Nikt pana gwałcić nie będzie. Jest pan teraz najcenniejszym gościem SWR. Będzie pan lekko otumaniony, senny, bezwolny, ale przytomny.

Ron zdawał sobie sprawę, że wszelki opór jest bezcelowy. Siedział na krześle przysuniętym tak blisko do stołu, że nie miał swobody ruchu. Małe plastikowe kajdanki, założone na kciuki, krępowały mu dłonie za plecami. Posłusznie wypił zawartość przytkniętego mu do ust kubka, krzywiąc się. W kubku był alkohol — whisky z coca-colą.

Tym razem zachichotał Emeryt:

— W połączeniu z alkoholem środek wywoła u pana za jakiś czas kilkugodzinną amnezję. Nie będzie pan pamiętał ani drogi, ani przelotu.

[1] *Kejf chal?* (arab.) — Jak się masz? Co słychać?

XII

Turysta i Naukowiec wzięli Rona pod rękę i wyprowadzili na korytarz, a stamtąd do garażu, gdzie usadowili go w mercedesie na numerach ambasady rosyjskiej. Siedli po obu stronach Rona na tylnym siedzeniu. Emeryt zajął miejsce obok kierowcy. Auto wyjechało z garażu na ulicę.

— Ale pieska pogoda. A mówią: Afryka.

— Styczeń, Andrieju Wasiljewiczu. W grudniu i styczniu często tutaj pada, jesteśmy przecież nad morzem.

Kierowca ostrożnie manewrował wąskimi uliczkami Medyny.

— Otrzymaliśmy informację, że Ben Ali zwiął i że wojsko kontroluje wszystkie wyjazdy z miasta, a także lotniska, aby uniemożliwić ucieczkę innym ludziom z rządu i kierownictwa rządzącej partii RCD.

— Przecież nie zatrzymają samochodu ambasady. Ale jedźcie spokojnie, bez zbędnej brawury.

Turysta obejrzał się — drugi wóz ambasady, renault latitude, podążał za nimi. Przewożony pasażer był zbyt cenny dla rosyjskiej Służby Wywiadu Zewnętrznego, aby ryzykować przypadkowy błąd, o jaki nietrudno na prawie dwustukilometrowej trasie w deszczu i przy godzinie policyjnej.

Posterunki policji, a w niektórych miejscach także wojskowe, stały na każdym skrzyżowaniu. Otoczenie ambasady Francji na prospekcie Burgiby przypominało linię frontu: zasieki z drutu kolczastego, wielkie betonowe bloki uniemożliwiające przejazd i dwa wozy pancerne z

karabinami maszynowymi skierowanymi w stronę ulicy. Ulice były puste, w mokrym od deszczu asfalcie jezdni odbijały się światła latarni, nadając miastu nierealny, upiorny wygląd, niczym dekoracja z filmów grozy. Pierwszy posterunek minęli już przy wiadukcie, skręcając z prospektu Burgiby na autostradę A1. Policjant sygnalizował, aby auto się zatrzymało, ale gdy dostrzegł rejestrację dyplomatyczną, dał znak wolnego przejazdu. Nim opuścili miasto, jeszcze kilkakrotnie musieli zwalniać przy posterunkach i ustawionych prowizorycznych zaporach z betonowych bloków.

Pierwszy raz zatrzymano ich na autostradzie przy bramkach poboru opłat. Żołnierz z karabinem, którego lufa wystawała spod nieprzemakalnej peleryny, zdecydowanym ruchem odesłał ich na silnie oświetlone pobocze, po czym wspólnie z dwoma innymi zbliżył się do auta. Wprawdzie nie zażądał okazania dokumentów, ale uważnie zlustrował pasażerów, podczas gdy pozostali ze skierowaną bronią otoczyli auto, zapisał numer rejestracyjny i dopiero wówczas pozwolił kontynuować podróż. Turysta zauważył, że zatrzymywano do sprawdzenia wszystkie, bardzo nieliczne zresztą pojazdy. Ruch był niewielki, tylko od czasu do czasu mijali auta osobowe lub ciężko wyładowane tiry i cysterny z libijskimi numerami.

— Wojna wojną, ale bracia Tunezyjczycy robią biznesy — mruknął Turysta.

Nieprzypadkowo w herbie państwa potomkowie Fenicjan umieścili wizerunek wagi i statku handlowego. Tunis, a jeszcze bardziej port w Safakis, miście położonym na południu, bliżej libijskiej granicy, pośredniczyły w handlu Libii z krajami zachodnimi. Tunezyjscy biznesmeni nieźle obłowili się na sankcjach Zachodu wobec Libii. Wszystko to, czego nie można było bezpośrednio dostarczać do państwa

Kaddafiego, płynęło do portów tunezyjskich, a stamtąd drogą lądową trafiało do libijskich odbiorców.

Procedura kontrolna powtórzyła się przed drogą zjazdową w stronę lotniska w Enfidzie, na posterunku ochranianym przez wóz pancerny. Dodatkowo wzdłuż autostrady na poboczu od czasu do czasu stały lotne posterunki — ciężarowy samochód lub dżip z kilkoma żołnierzami obok. Na jednym z takich zaimprovizowanych punktów kontroli pechowo pozostał w tyle drugi wóz ambasady. Kierowca pierwszego samochodu wykonywał polecenie żołnierza i, tak jak robił to już kilka razy, zjechał na pobocze. Żołnierz, widząc numery dyplomatyczne, dał znać: „Jechać dalej”. Inny żołnierz sprawnie odciągnął kolczatkę na bok i auto z Ronem i asystą ruszyło w dalszą drogę. Kierujący drugim samochodem, który miał polecenie nie odstawać od wiodącego, źle zrozumiał gest żołnierza i ruszył, zanim jeszcze usunięto ponownie rozciągniętą w międzyczasie kolczatkę. W efekcie aż trzy koła zostały przebite. Nim z drugiego wozu dodzwoniono się do pierwszego, ten odjechał co najmniej dwa kilometry. Po telefonie kolegi kierowca mercedesa włączył światła awaryjne i zjechał na pobocze.

— Co robimy? Czekamy na inne auto z ambasady czy jedziemy sami?

Turysta ciężko zaklął jednym z tych piętrowych, soczystych przekleństw, jakie istnieją tylko w języku rosyjskim, i skonkludował:

— Mudak, gdzie miał oczy? *Twar' niedodietannaja*^[1].

Utknęli w środku Tunezji, a ich obstawa została wyłączona. Załatanie opon w tej głuszy nie wchodziło w grę, bo i gdzie mieliby to zrobić? Ze względu na późną porę sprowadzenie kolejnego samochodu z ambasady zajmie co

najmniej dwie godziny. Nie ma wyjścia, trzeba jechać bez ubezpieczenia.

Nim jednak Turysta wydał polecenie kierowcy, migające światła i samotnie stojący na poboczu samochód przyciągnęły uwagę przejeżdżającego patrolu. Wojskowy dżip zatrzymał się dwa, trzy metry przed nimi, ukosem do jezdni, blokując jakąkolwiek możliwość wyminięcia. Przyglądając się, jak ludzie w mundurach wysiadają z dżipa, asekurują się wzajemnie i natychmiast rozstawiają, jak trzymają szturmowe karabinki Steyra, Turysta zrozumiał, że patrole składają się z dobrze wyszkolonych żołnierzy. „W końcu przez lata potyczek z islamistycznymi grupami Al-Dżamaa As-Salafija musieli nabrać doświadczenia” — pomyślał.

Dowódca patrolu zatrzymał się przed autem po lewej stronie, bliżej kierowcy. Światła samochodu wydobyły z mroku i deszczu jego wysoką postać w długim płaszczu oraz pooraną zmarszczkami i bliznami twarz. Trzej żołnierze z bronią w pogotowiu podeszli do wozu i otoczyli go. Jeden z nich, stojący najbliżej, poprosił o dokumenty, dając znać gestem, aby podać mu je przez uchylone okno. Kierowca otworzył jednak drzwi, łamaną francuszczyzną tłumacząc, że są z ambasady rosyjskiej. Żołnierz podszedł bliżej, nachylając się w stronę szofera. Turysta przeszedł w życiu niemało, z wielu sytuacji ratował go szósty zmysł, zrodzony przez lata ekstremalnych doświadczeń. Coś go niepokoiło w zachowaniu żołnierza i całego patrolu — może czujność, jaką nieustannie przejawiali, może to, że zupełnie zignorowali czerwone dyplomatyczne tablice rejestracyjne. Żałował, że nie wzięli ze sobą broni. Byłoby to jednak zbyt niebezpieczne w kraju ogarniętym rewolucją. Turysta naprężył się, gotów do działania, ale żołnierz wyciągnął do kierowcy tylko nieuzbrojoną rękę, którą wziął paszport. Gdyby nie noc, zmęczenie i ciągłe napięcie kilku ostatnich dni, Turysta może by dostrzegł, że prawa ręka żołnierza nie

była pusta. Biorąc paszport, żołnierz zacisnął palce, zgniótł trzymane w nich kapsułki i wypuścił je, po czym zatrzasnął drzwi. Silnie działający gaz usypiający natychmiast rozprzestrzenił się w małej kabinie auta. Turysta wyczuł bardziej samo niebezpieczeństwo niż bezwonną substancję. Ostatkiem sił wyskoczył z auta i otrzymał potężne uderzenie w czoło metalową kolbą steyra.

Żołnierze wyciągnęli z mercedesa bezwładne ciało Rona i wsadzili do dżipa. Dwaj inni wepchnęli do środka nieprzytomnego Rosjanina, opróżnili kieszenie pasażerów z portfeli i telefonów komórkowych i odeszli od mercedesa. Oczekali kilka minut, aż zobaczyli w oddali reflektory zbliżającej się ciężarówki, która mignęła trzy razy światłami awaryjnymi. Wówczas wsiedli do dżipa i na wstecznym przejechali kilkadziesiąt metrów, po czym zatrzymali się w bezpiecznej odległości za rosyjskim mercedesem, oświetlając go reflektorami. Rozpędzona cysterna na libijskich numerach nie tyle uderzyła, co otarła się o auto rosyjskiej ambasady. Muśnięcie było jednak wystarczająco silne, aby zedrzeć blachę z boku, urwać przednie koło, a samo auto odrzucić kilkanaście metrów od pobocza. Wojskowi nie udzielili pomocy Rosjanom ani nie usiłowali zatrzymać libijskiego pirata, za to ruszyli w ślad za cysterną. Tego samego dnia, sobotnim rankiem, oba samochody przekroczyły granicę i wjechały do Raas Džadir na terytorium Libii.

[1] *Twar' niedodielannaja* (ros.) — przekleństwo, dosłownie: niedorobione bydlę.

XIII

Pokierszowany mercedes został odnaleziony dobrze po trzeciej nad ranem, i to tylko dzięki przytomności umysłu kierowcy drugiego samochodu, który zaniepokojony brakiem łączności, skojarzył ten fakt z unieruchomieniem jego auta i ściągnął pomoc z ambasady rosyjskiej. Nim dwa kolejne wozy dotarły z Tunisu w okolice miejsca zdarzenia, nim zlokalizowano sygnał GPS, minęły cenne godziny. Pasażerowie mercedesa, chociaż nieprzytomni, poturbowani i posiniaczeni, byli żywi, co uspokoiło rezydenta FSB, który nie tylko odpowiadał za bezpieczeństwo rosyjskiej ambasady i jej personelu, ale osobiście był uprzedzony o przyjeździe trzech ważnych wysłanników z Moskwy. Okazało się wkrótce, że rezydent FSB ma jednak poważne powody do niepokoju, ponieważ przekazana mu z miejsca wypadku liczba „czterech żywych pasażerów” obejmuje także kierowcę z ambasady, natomiast osoba oznaczana w szyfrogramach z Moskwy jako „bardzo cenny ładunek” zniknęła bez śladu.

Samolot rosyjskich linii Sibir, wykonujący rejs czarterowy z Monastiru do Moskwy, odleciał w nocy z piątku na sobotę z półgodzinnym opóźnieniem. Czterej pasażerowie — trzech obywatele Rosji i jeden Białorusin — nie zgłosili się do odprawy. Czekano na nich trzydzieści minut, po czym kapitan samolotu podjął decyzję o starcie.

Edgar i pozostali członkowie ekipy norweskiej telewizji NRK wrócili do hotelu w czwartek wieczorem zmęczeni i źli. Wyjazd na południe nie zaowocował rewelacyjnymi materiałami.

— *Fy faen*^[1] — denerwował się Edgar — to są zdjęcia do reportażu przyrodniczego, a nie materiał, którego potrzebujemy.

Widok zrujnowanego pokoju pogłębił jego złość, ale czego można było oczekiwać od trzynastego dnia miesiąca i od tych *fenkens*^[2] Arabów. Dobiła go notatka od Rona, która czekała na niego w recepcji.

Polak pisze, że trafił bombowy temat w Algierii i wyjeżdża natychmiast z dziennikarką z Malty do Annaby. „*Faen ta deg* ^[3], Ron” — klął Edgar. „Co ci strzeliło do łba? Do Annaby?!”.

Nazajutrz był 14 stycznia, piątek — *jałm al-dżumaa*, czyli dzień zgromadzenia i dzień modlitwy, który okazał się także dniem ucieczki Ben Alego z Tunisu. Niespodziewany wyjazd prezydenta Tunezji z kraju był wydarzeniem numer jeden wszystkich bloków informacyjnych — zarówno w telewizji, jak i w internecie. Dlatego mało kto zwrócił uwagę na komunikat grupy terrorystycznej al-Dżamaa es-Sufija li-Dała łal-Kital^[4]. Bojownicy islamscy z Algierii informowali, że ujęli dwoje „kłamliwych propagandystów telewizji zachodnich z Norwegii i Malty”. Ambasady Norwegii i Malty w Algierze sprawdziły informację i stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że żaden Norweg ani Maltańczyk pracujący jako dziennikarz nie wjeżdżał na terytorium Algierii. W związku z tym nie podejmowały działań.

Nie podjęła też żadnych działań ambasada Francji w Tunisie, chociaż zazwyczaj każda informacja, jaka wpływała od dobrze ulokowanego źródła w ambasadzie rosyjskiej, pociągała za sobą łańcuch weryfikacji, decyzji, niekiedy — działań. Ale w Tunezji trwała rewolucja, doszło do *coup d'état*, a Paryż, który był pewien, że wszystko w Magrebie ma pod kontrolą, został tak zaskoczony dynamicznymi zmianami i tak dalece w swojej arogancji mylił się w ocenie

sytuacji, że minister spraw zagranicznych w przeddzień ucieczki Ben Alego ofiarowała pomoc policji w rozpędzaniu demonstracji. Nie bez winy była i sama ambasada, która podmalowywała raporty, aby nie raziły one czołowych francuskich polityków, bardzo lubiących spędzać wakacje na słonecznych plażach Tunezji. Doniesienie źródła z rosyjskiej ambasady o przyjeździe trzech tajemniczych wysłanników z Moskwy, o katastrofie samochodowej oraz o rzuceniu wszystkich sił ambasady do poszukiwań „bardzo ważnego człowieka z Jasieniewa” zostało po prostu zignorowane. Zapisano je w stosownym folderze, wydruk wpięto do odpowiedniego segregatora i o sprawie zapomniano.

Nowy szef francuskiej dyplomacji, polityk błyskotliwy i doświadczony, który w przeszłości dwukrotnie stał na czele rządu, wiedział, że mądrość to nic innego jak dobrze zapamiętane wnioski z poprzednich porażek. Patrząc na płonące zrewoltowane południowe wybrzeże, zadawał sobie pytanie, jak mogło dojść do tego, że Francja — Francja nazywająca Morze Śródziemne *mare nostrum*, inwestująca miliardy w państwa Afryki Północnej i za kolejne miliardy korumpująca ich elity — mogła przegapić nadejście burzy. I w Quai d’Orsay, i w ambasadach w krajach arabskich zespół kilkudziesięciu młodych, ambitnych rewizorów rozpoczął analizę zdarzeń i dokumentów. Spośród zapomnianych informacji wypłynęła również ta dotycząca przyjazdu z Rosji specjalnej grupy i poszukiwania przez nią zgubionego, czy też uśpionego, agenta. Francuzi byli niezmiernie zdziwieni wzmożoną aktywnością Rosjan w Tunezji, gdzie Moskwa nie miała żadnych interesów. Algieria, wiadomo, energetyka plus tradycyjny i znaczący odbiorca rosyjskiej broni. Libia, też zrozumiałe: inwestycje w budownictwo, trochę w energetykę, także broń i od czasu do czasu sytuacyjna współpraca, gdy trzeba dosolić Amerykanom. Ale Tunezja? I dziwnym zbiegiem

okoliczności wszystko to w czasie jaśminowej rewolucji. A że w polityce nie ma zbiegów okoliczności, więc nie tylko komórki DGSE w Magrebie, ale również rezydentura w Moskwie otrzymały jeszcze jedno zadanie: wyjaśnić rzeczywiste przyczyny przyjazdu grupy z Rosji i za wszelką cenę odnaleźć uśpionego agenta. Najlepiej żywego.

[1] *Fy faen* (norw.) — przekleństwo: kurwa mać.

[2] *Fenken* (norw.) — pieprzony.

[3] *Faen ta deg* (norw.) — przekleństwo: niech cię szlag trafi.

[4] *Al-Dżamaa as-Sufija li-Dała łal-Kital* — Salaficka Grupa Modlitwy i Walki, islamistyczna organizacja terrorystyczna w Afryce Północnej.

XIV

Działanie gazu było silne i skuteczne, ale niedługotrwałe. Z głową cięższą od worka z mokrym piaskiem, w którym harcowało stado pustynnych myszokoczków, Ron ocknął się jeszcze na terytorium Tunezji. Wciąż jednak działał na niego środek podany przez Rosjan, więc nie zapamiętał ani samej drogi, ani tego, jak w pewnym garażu za Medenin żołnierze pozostawili broń i mundury armii tunezyjskiej, przebrali się w źle dobrane, chociaż drogie garnitury, i zmienili tablice rejestracyjne. Samochód miał teraz libijskie numery dyplomatyczne, kierowca i jeden z pasażerów byli wracającymi do kraju libijskimi dyplomatami, a drugi pasażer był z kolei urzędnikiem libijskiej agencji prasowej JANA, który towarzyszył dziennikarzowi z Białorusi w jego podróży do Trypolisu. Dwaj inni żołnierze zmienili mundury na wytarte ubrania i wsiedli do ciężarówki z cysterną. Granicę minęli bez przygód i przeszkód, a po stronie libijskiej funkcjonariusze powitali ich wręcz z czołobitną grzecznością, nie zapytali nawet o paszport gościa z jakiegś tam Białorusi. W pamięci Rona nie pozostał także kilkudziesięciokilometrowy odcinek drogi wzdłuż wybrzeża, nad którą wiatr unosił puste plastikowe worki porwane z usypanych na poboczu zwałów śmieci.

Zaraz za Abu Kamasz skręcili w lewo, w stronę morza, i podjechali pod wysoki mur. Żołnierz dyżurujący przy bramie rzucił okiem na przedstawione mu papiery i skinął głową innemu strażnikowi. Ciężkie metalowe wrota rozsunęły się, oba samochody, wciąż w tej samej kolejności — najpierw cysterna, a za nią dżip — wjechały na teren koszar.

Ron doszedł do siebie po kilku godzinach, budząc się w jakimś obskurnym pomieszczeniu, które upodobiały do więziennej celi jedno zakratowane okno i skąpe wyposażenie składające się z pryczy i małego stołu z krzesłem przyśrubowanych do betonowej posadzki. Bolała go głowa i zbierało mu się na wymioty. Najgorsza jednak była nieświadomość miejsca i sytuacji, w jakiej się znalazł. Czuł się jak bohater Kafki przeniesiony w nieznaną czas i miejsce. Jakby uderzenie policyjnej pałki podczas demonstracji przeniosło go w inną rzeczywistość, której nie rozumiał, a która niosła go ku nieuchronnemu wyrokowi.

Drzwi do celi otworzyły się. Jeden żołnierz skierował w jego stronę lufę kałasznikowa, drugi podszedł bliżej.

— Odwróć się, twarzą do ściany — szczechnął po arabsku.

Bezwolny i stłamszony Ron wykonał polecenie i poczuł, jak na jego przegubach zatrzasnęły się kajdanki. Szli korytarzem prowadzącym do jaśniejszego wyjścia z budynku, ale więźnia zaprowadzono do kolejnego pomieszczenia, bardziej schludnego od celi, z oknami szczelnie zasłoniętymi beżowymi, półprzezroczystymi zasłonami. Za stołem, pod portretem Kaddafiego, siedział łysiejący mężczyzna z wąsem, w zielonym mundurze bez żadnych dystynkcji. Z boku, u szczytu stołu — drugi, młodszy. „Trzy złote gwiazdki, czyli w randze kapitana. Skąd ta pewność co do jego stopnia?”. Chwilę autorefleksji nad własnym spostrzeżeniem przerwało szarpnięcie. Żołnierz prawie siłą usadowił Rona na metalowym krześle naprzeciwko obu oficerów.

Ten bez dystynkcji patrzył na niego uważnie. W rękę tasował dokumenty Rona.

— Tak, zacznijmy od głównego. Kim jesteś? — Głos oficera nie brzmiał wrogo ani agresywnie, wyrażał raczej zdziwienie i zainteresowanie. — Masz trzy różne paszporty.

W Rosji jesteś Rostislav Gribovskiy. Zgodnie z paszportem... — oficer przyjrzał się czerwonej książeczce — ...eee... paszportem Białorusi Rostislau Hribouski. A w dokumencie z Polski już Ron Harib. Harib... Obcy... Dziwne nazwisko. To samo według dokumentu telewizji Norwegii. Jeden człowiek, trzy nazwiska, trzy paszporty.

— Rosja i Białoruś to nasi sojusznicy. Ale Polska i Norwegia to kraje NATO. A NATO nie jest naszym przyjacielem. Więc dla kogo szpiegujesz? — W pytaniu Libijczyka zawarta była konstatacja.

Ron milczał.

— Nie rozumiesz po arabsku?

— Rozumiem, ale nie wiem, co mam powiedzieć.

— Jeśli chcesz żyć, najlepiej powiedz wszystko.

— Obawiam się, że to będzie bardzo długa historia. I dość nieprawdopodobna.

— Mamy bardzo dużo czasu. Tutaj płynie on wolniej.

Ron zastanawiał się gorączkowo. Od czego zacząć?

— Jestem Polakiem. Ale urodziłem się na Białorusi, która była kiedyś częścią Rosji. Dlatego mam paszporty Białorusi i Rosji. Wyjechałem do Polski, a ponieważ bałem się prześladowań ze strony władz białoruskich, zmieniłem nazwisko i przyjąłem obywatelstwo polskie. Pracuję dla telewizji norweskiej. Robiłem reportaż w Tunezji, skąd mnie porwano.

— Bałeś się władz białoruskich? To znaczy, że jesteś buntownikiem. Jak wy to nazywacie: bojownikiem o demokrację? Uczestniczyłeś w spisku przeciwko władzom Białorusi? I uciekłeś do Polski? To dlaczego twój białoruski paszport został wydany dwa tygodnie temu? Tak samo jak paszport rosyjski?

„Równie dobrze mógłbym sam sobie zadawać takie pytania” — pomyślał Ron, szukając jakiejś sensownej odpowiedzi. Oficer nie wyglądał na kogoś, kto oczekuje odpowiedzi na zadane pytania.

— Powiedz, jak znalazłeś się w Libii. W żadnym z paszportów nie ma ani wizy Dżamahiriji, ani nawet pieczęci straży granicznej. Czyli w ogóle nie ma cię w Libii. Po prostu nie istniejesz. Problem tkwi w tym, że widzę cię przed sobą. Jeśli znikniesz, zniknie mój problem.

— Nie wiem. Nie pamiętam. Chcę się skontaktować z ambasadą.

Powołanie się na ambasadę nie zrobiło żadnego wrażenia na przesłuchującym go Libijczyku.

— Z jaką ambasadą? Białoruską? Polską? Rosyjską? A może jesteś Amerykaninem? Albo Niemcem? Skąd mam wiedzieć?

— A skąd ja mam wiedzieć, że jestem w Libii? A wy nie jesteście Ruskimi? — Ron rzucił te pytania jak rozpaczliwą próbę obrony, zyskania na czasie, lecz gdy przebrzmiały, zdał sobie sprawę, że właśnie taka może być prawda. Ostatnią sceną, którą zapamiętał, była rozmowa w suterenie domu na Medinie w Tunezji z ludźmi, którzy otwarcie przedstawili się jako wysłannicy Moskwy. Pierwsze pytania stawiane mu przez agentów rosyjskich miały na celu sprawdzenie, na ile biegły jest jego arabski i jak wiele zapamiętał z topografii arabskich miast. Logiczne byłoby, gdyby już po przywiezieniu go gdzieś do Rosji lub na którąś z rosyjskich baz urządzono mu ciąg dalszy egzaminu. Zasugerował się portretem Kaddafiego i mundurami, ale takie rekwizyty można mieć nawet w Mińsku. Arabszczyzna oficera była bezbłędna, ale i to niewiele znaczyło. Ron znał pracujących dla Sowietów Uzbeków, którzy mówili po arabsku pewnie bardziej płynnie

niż mieszkańcy Algierii czy Tunezji. Ponadto dla Rosji mogli pracować rdzenni Arabowie.

Przesłuchujący go szczerze i głośno się roześmiał. Po chwili jednak na powrót spoważniał i z uwagą wpatrywał się w Rona.

— Rosja, powiedziałaś? Chodź. — Dał znak, aby Ron wstał i podszedł do okna. Młody kapitan szarpnięciem rozsunął zasłonę. — Patrz. Jesteś w Wielkiej Libijskiej Arabskiej Dżamahiriji Ludowo-Socjalistycznej.

Z okna roztaczał się widok na wewnętrzny dziedziniec, prawdopodobnie koszar: tablice w języku arabskim, równe rzędy budynków, w oddali zielone pojazdy wojskowe, jeszcze dalej w tle, nad koronami palm, widniała wieżyczka strażnicza.

— To może być równie dobrze Syria czy Jemen, gdzie siedzą Rosjanie. — Ron uznał, że gra w niedowierzanie daje mu trochę czasu do namysłu, co i ile może powiedzieć Libijczykom.

— Ale jesteś w Dżamahiriji — podkreślił z mocą oficer. — Powiedziałaś, że porwano cię w Tunisie. Kto to był? I po co miałyby cię porywać?

— Mówili po rosyjsku i powiedzieli, że są z rosyjskiej służby bezpieczeństwa i że mają zamiar wywieźć mnie do Moskwy.

— Tak po prostu ci powiedzieli? A po co mieliby to robić?

Mimo że treść pytań sugerowała powątpiewanie w szczerść jego odpowiedzi, Ron odczytał w nich także ton gotowości do zainteresowania się przedstawianą wersją.

— Może uznali, że dowiedziałem się czegoś ważnego w Tunezji albo że coś widziałem. — Wzruszył ramionami.

— Jak to się stało, że pamiętasz swoich, jak mówisz, porywaczy, a nie pamiętasz, jak znalazłeś się w Libii?

— Dali mi jakiś środek nasenny.

Oficer stracił zainteresowanie tym wątkiem.

— Masz jakichś znajomych w Libii? Kogoś, kto mógłby potwierdzić, kim jesteś?

— W ambasadzie...

— Nie, kogoś spośród Libijczyków. Jesteś szpiegiem. Nie wiemy jeszcze tylko czym. Nielegalnie znalazłeś się w moim kraju. Ale jeśli nie chcesz mówić, możemy cię do tego zmusić.

Ron gorączkowo szukał w myślach.

— Ama — zawołał. — Poznałem Libijczyka o imieniu Amastan.

— Ama? — Oficer nie wydawał się zdziwiony. — Nie ma takiego imienia. Jak wyglądał? Gdzie go poznałeś? W Tunezji?

— Dość wysoki, szczupły, ale mocny. Taki — szukał odpowiedniego słowa — ścięgni i żyły. Na twarzy miał blizny, dużo blizn.

Przesłuchujący był już znudzony.

— Dobrze, sprawdzimy twoją wersję. Ale dokładnie raz jeszcze wszystko przemyśl, zanim wyślę cię do Trypolisu. Do celi z nim. I dajcie mu coś do jedzenia.

Ron zmusił się do zjedzenia odrobiny baraniny z ryżem, co miało ten skutek, że natychmiast zwymiotował. Zatruty barbituranami organizm nie przyjmował pokarmu. Pochylony nad kubłem z odchodami, mężczyzna rozmyślał o pułapce, w jakiej się znalazł. „Tylko się nad sobą nie użalaj!” — dodawał sobie odwagi, chociaż sytuacja była równie absurdalna, co dramatyczna. Czuł się jak człowiek

na powrót porwany przez rwący nurt rzeki, z której, wydawało się, zdołał się już wydostać dwadzieścia lat temu.

Na kolejne przesłuchanie zabrano go następnego dnia. Znow skryty w półmroku korytarz z jaśniejącym w perspektywie wyjściem, które stawało się symbolem upragnionej swobody, powrotu do dotychczasowego, codziennego życia. Znow drzwi obite brązową sztuczną skórą, za którą czekał na niego budzący strach śledczy. Konwojujący Rona żołnierz tym razem zdjął mu jednak przed wejściem kajdanki i gestem dał znak, aby wszedł do środka. Na widok znajomej, poranej bliznami twarzy Ron poczuł i ulgę, i wzruszenie, i osłabiającą wdzięczność.

— Ama! — zawołał radośnie, jakby zwracał się do kogoś bliskiego i potrzebnego.

Libijczyk objął go, przytulił i dwukrotnie dotknął kłującym policzkiem jego twarzy.

— Ron, przyjacielu, cieszę się, że cię widzę. Przepraszam, ale nie mogłem dotrzeć wcześniej, musiałem pojechać najpierw do Trypolisu.

— Kto cię powiadomił? Jak mnie znalazłeś? — Ron chciał zapytać Amę o wiele spraw i wiele chciał mu też opowiedzieć.

— Ty naprawdę nic nie pamiętasz — ni to stwierdził, ni to zapytał Ama. — To ja cię tutaj przywiozłem.

I Libijczyk w skrócie opowiedział mu wydarzenia ostatnich kilku dni. Jak zaniepokojony tym, że Ron nie przyszedł na umówione spotkanie, szukał go na próżno w hotelu, jak trafił na jego ślad na Medinie i jak przewiózł go przez granicę.

— Ale musiałem natychmiast jechać do Trypolisu. Sprawy w sąsiedztwie mojego kraju przybierają zły obrót i obawiam się, że Libię także obejmie ta burza.

— Ama, po kolei... Z Tunisu wywieźli mnie Rosjanie, to pamiętam. A potem obudziłem się w koszarach czy więzieniu w Libii. Co się stało między tymi dwoma wydarzeniami? I co w ogóle się dzieje?

— Ron, nie wiem, czy zauważyłeś, ale rozmawiamy ze sobą teraz po arabsku. W Algierze i w Tunisie mówiliśmy po angielsku. Nie mogłeś nauczyć się biegle arabskiego w ciągu miesiąca. Zatem okłamywałeś mnie?

— Nie. Nie okłamywałem. Sam tego wszystkiego nie rozumiem. Uczyłem się kiedyś arabskiego, ale tylko trochę...

— Musimy porozmawiać. Chcesz kawy?

Siedli po obu stronach stołu.

— Mój przyjazd do Tunisu był związany nie tylko z chorobą ciotki, chociaż ciotka istnieje i jej choroba jest prawdziwa. Został z nią mój młodszy brat, Aksil. Kaida, naszego wodza, niepokoi to, co dzieje się w Tunisie. To był dotąd przewidywalny kraj, a Ben Ali nie jest potworem pijącym krew małych dzieci. Pewnie nie wiesz, ale... to tylko między nami... wczoraj i przedwczoraj doszło do demonstracji w Darnie i Bengazi. Informacje z Egiptu zapowiadają nadciągającą burzę. Jestem przekonany, że to nie są spontaniczne rewolucje ludowe. To część planu naszych wrogów, którzy chcą wywołać chaos w całym świecie arabskim. Chcą nas skłócić, przeciwstawić sobie, co zresztą skutecznie robią od kilkadziesiąt lat. I w tej sytuacji zjawia się najpierw w Algierii, potem w Tunezji ekipa telewizyjna z Norwegii. Zjawia się, zwróć uwagę, zanim doszło do wybuchu w Tunezji. Jeden z dziennikarzy mówi po arabsku i w tuncy lepiej niż ja sam. Ten dziennikarz ratuje mnie w Algierii, pomaga uciec. I tego dziennikarza, jak mówisz, chcą porwać i wywieźć do Moskwy Rosjanie. Ron, co byś powiedział, gdybyś sam usłyszał taką historię?

— Że to jakaś niewiarygodna opowieść szpiegowska. Scenariusz filmu. Ale ponieważ ta historia naprawdę się dzieje i ja jestem w jej środku, to powiedziałbym, że to strasznie skomplikowana operacja.

— Rzekłeś. Tak właśnie i my patrzymy na tę sytuację. Mamy tylko za mało elementów, aby ułożyć całość puzzli i zrozumieć rysunek. Szukałem kontaktu z tobą w Tunisie, aby poznać twoją opinię o wydarzeniach w Tunezji. Ponadto nie wiem, czy pamiętasz naszą rozmowę w Algierze. Opowiadałeś o swoich spostrzeżeniach czy obawach dotyczących przyszłych wydarzeń w regionie. W Tunezji dowiedziałem się kilku spraw, które wydają się potwierdzać twoją wersję. Demonstracje w Darnie i Bengazi też na to wskazują. Więc, pytam cię, to przypadek? Ja nie wierzę w przypadki. Chociaż z drugiej strony przypadkiem nazywamy często wydarzenie, które nim nie jest, ale którego nie potrafimy umiejscowić w łańcuchu innych zdarzeń. Nie widzimy logicznej kolejności, dostrzegamy tylko pojedyncze, odosobnione fakty. Widzisz, ja wierzę, że wszystko, co dzieje się z nami, co zachodzi w naszym życiu, ma swoje znaczenie i swój sens. To, że nie potrafimy tego zrozumieć, świadczy jedynie o tym, że za mało wiemy, a nie że te wydarzenia są ziarnkami chaosu, rozrzuconymi przypadkowo i pozbawionymi wewnętrznego sensu. Obaj wierzymy w jednego Boga, wszechmocnego i wszechmiłosiernego, chociaż każdy z nas nazywa go innym imieniem i inaczej się do niego modli. Więc musisz przyznać, że pozornie niezwiązane ze sobą wydarzenia i fakty tworzą logiczny, uporządkowany ciąg wielkiego zamysłu, którego nie możemy pojąć. Tak też dzieje się w wielkiej polityce: nie ma rzeczy nieważnych i zdarzeń bez przyczyny i bez konsekwencji. Skoro nasze drogi się spotkały, to znaczy, że tak zdarzyć się musiało. Wszedłeś do rzeki i ta jej część, która płynęłaby spokojnie, gdybyś jej

nie zmaćił, zmieniała bieg. I nic już tego nie odwróci. Nie wiem jeszcze tylko, jaką rolę do odegrania wyznaczył ci los.

Ron milczał, bo też wywody Amy nie wymagały komentarza. Były jego wyznaniem wiary. Zapytał jednak Libijczyka, jak ten odnalazł go w Medinie.

— Gdy nie zjawiłeś się na spotkaniu, poszedłem do hotelu. Tam też cię nie było. Zacząłem podejrzewać coś niedobrego. A że w Tunisie można kupić wszystko, również każdą informację, więc trafiliśmy w końcu na to miejsce na Medinie. Wiadomo, że nie mogli cię tam przetrzymywać długo. Przygotowaliśmy plan odbicia, gdy tylko wywiozą cię z tego domu.

Opowieść Amy przynosiła więcej pytań, niż wyjaśniała sytuację. Libijczyk wychwycił cień niedowierzania w oczach Rona, bo szczerze dodał:

— Szczegółów technicznych znać nie musisz. To sekrety kuchni. Rozumiesz przecież, że w sąsiednim kraju musimy być obecni i mieć wszędzie uszy i oczy. Więc jak to jest z twoim językiem arabskim? Uczyłeś się go?

Ron uznał, że dzielenie się domysłami mogłoby tylko skomplikować sytuację i pozbawić go opieki Amastana, której potrzebował.

— Mówiłem przed chwilą. Uczyłem się go dwadzieścia lat temu, ale sądziłem, że wszystko zapomniałem. I nagle, po tym pobiciu, zacząłem mówić płynnie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

— Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego Rosjanie chcieli cię porwać. Co za tajemnicę odkryłeś w Algierii albo w Tunezji?

— A może ta tajemnica jest jakoś związana z tobą i twoją misją w Algierii? — Ron próbował odwrócić sytuację i z miny Amy wywnioskował, że ten taką wersję sam rozważał,

i to zanim została wypowiedziana. — Mogłem też sfilmować w Afryce coś, z czego nie zdaję sobie sprawy. A może stałem się dla Rosjan i dla władz Białorusi użyteczny w wewnętrznych rozgrywkach? Przykładowo jako polityczny emigrant.

Ama nie wydawał się być przekonany wyjaśnieniami, ale nie naciskał.

— Wrócimy kiedyś do tego tematu. Teraz najpilniejszym zadaniem jest bezpieczne przechowanie cię w Libii przez kilka tygodni. Do Tunezji nie możesz wrócić, będą cię tam szukali. Mógłbyś wyjechać do Europy, ale trochę czasu zajmie mi załatwianie formalności. Tym bardziej że sytuacja po ostatnich wydarzeniach w Bengazi jest dość niespokojna. Zawiozę cię do Az-Załiji, to niedaleko od Trypolisu, przeczekasz tam kilka dni u moich przyjaciół. Chciałbym, abys postarał się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły pobytu w Algierii i Tunezji.

Czarnym land cruiserem wyjechali z bazy pod Abu Kamasz i drogą wzdłuż morza skierowali się na wschód. Rona nie zdziwiło, że żołnierz przy bramie salutował Amie. Domyślał się, że jego libijski przyjaciel jest ważną szychą i raczej nie zajmuje się na co dzień eskortowaniem cioc do szpitali. Patrząc na mijaną rozległą i zaśmieconą przy drodze pustynię, zrozumiał, że jest teraz więźniem i zakładnikiem w rękach oficera służb libijskich.

XV

Od Zułary jechali przez zurbanizowany teren. W Libii, państwie o powierzchni trzykrotnie większej niż Francja, jest niespełna siedem milionów ludzi i większość z nich zamieszkuje północne wybrzeże. Za kilkudziesięciokilometrową strefą litoralną rozciąga się wyschnięty, pustynny kraj. Szarozółte domy z płaskimi dachami jak zakurzone klocki rozsypane po obu stronach autostrady. Nieukończone budowle z wystającymi zardzewiałymi drutami. Bezczyinnie siedzący lub przechodzący grupkami młodzi mężczyźni. Oglądane z okna samochodu widoki wywoływały uczucie tymczasowości i beznadziejnego smutku, pod którym tliły się frustracja i gniew.

Az-Załija to prawie przedmieście Trypolisu. Za ledwie dwadzieścia kilometrów dzieli ostatnie domy miasta od Dżanzur, zachodnich obrzeży libijskiej stolicy. Najpierw minęli miasteczko Zułara, później Sabratę z jej zabytkowymi budowlami pochodzącymi z początku naszej ery, wreszcie Surman i — Załija. Wiatr od morza niósł silny zapach benzyny.

— To od rafinerii — wyjaśnił Ama. — W Załiji znajduje się druga co do wielkości rafineria w Libii.

Nie docierając do Załiji, zjechali z autostrady i skierowali się ślimakiem w stronę centrum. Czyste, uprzątnięte ulice i schludne budynki nadawały miastu nowoczesny, przyjemny wygląd. Nawet korony drzew przy jezdni były przycięte w kształt prostopadłościanów, a park między dwoma meczetami — zadbane i czyste. Na ścianie jednego z domów widniał gigantyczny portret Kaddafiego. Wódz patrzył

badawczo i podejrzliwie ni to na plac, gdzie bawiły się dzieci, ni to na pobliski meczet z wysmukłym ażurowym minaretem. Przed kolejnym meczetem, tym razem z ciemnożółtym sześciokątnym minaretem, skręcili w lewo, w gąszcz uliczek. Ron nie dostrzegł ani jednej tabliczki z nazwą ulicy. Poruszanie się po tym mieście wymagało dobrej znajomości lokalnej topografii. W swojej pamięci nie odnajdował ani śladu wiedzy o Załiji.

Na jednej z uliczek zatrzymali się przed wysokim murem, niczym niewyróżniającym się spośród setek innych posesji, jakie mijali po drodze. Malowane na błękitno metalowe wrota otworzyły się na telefon Amy. Wjechali na dziedziniec, który wydawał się pusty, a sam dom niezamieszkały, ale w oknie na piętrze mignęła brodata twarz, a z przypominającego stróżówkę pomieszczenia wyszedł ciemnoskóry mężczyzna z kałasznikowem przewieszonym przez ramię. Dopiero teraz Ron spostrzegł, że mur wieńczy spirala kolczastego drutu, w jego rogach i na budynku umieszczono kamery, sam dom zaś podobny jest do małej twierdzy, z gładkimi ścianami pozbawionymi jakichkolwiek balkonów lub ozdób i z niewielkimi wąskimi oknami.

Także wewnątrz różniło się od tego, co zazwyczaj można spotkać u Arabów. Żadnego tandetnego przepychu, piętrzących się bufiastych poduszek na kanapach i złożonych foteli. Dom urządzone był w minimalistycznym stylu; owszem, posadzka i schody prowadzące na piętro wykonano z marmuru, ale leżały na nich proste, wzorzyste dywany lub makaty z południa. Meble były skórzane i drewniane. Wchodząc na górę, Ron dostrzegł przez uchylone drzwi, że jeden z pokoiów na parterze służył jako sypialnia dla wielu osób — proste łóżka-prycze ustawiono blisko siebie, między nimi znajdował się stojak z kilkunastoma automatami Kałasznikowa.

Przez kilka następnych dni, podczas których powoli dochodził do siebie po przymusowej kuracji chemikaliami, Ron poznawał dom i jego mieszkańców. Zwracała uwagę całkowita nieobecność kobiet, nawet przygotowaniem posiłków zajmowali się mężczyźni — dwaj starsi wiekiem, rozmawiający ze sobą i z Amastanem w niezrozumiałym języku. Pozostali mieszkańcy domu byli najwidoczniej żołnierzami. Wprawdzie nie nosili mundurów, ale zdradzały ich biegłość w posługiwaniu się bronią, zdyscyplinowanie i małomówność. Najbardziej dziwiło Rona ich zachowanie wobec siebie i wobec Amastana, przypominające raczej braterskie relacje w rodzinie podporządkowanej autorytetowi ojca niż formalną wojskową hierarchię. Robili wrażenie tajnego bractwa, sekty owładniętej poczuciem misji i cierpliwie znoszącej chwilowe niedogodności.

Przypomniała mu się jakaś publikacja, bodajże w „Jeune Afrique”, o tajnych komandach pułkownika Kaddafiego. Nieufający armii wódz Libijskiej Dżamahiriji podzielił wojsko na faktycznie autonomiczne brygady, rozlokowane w kluczowych miastach kraju, a dodatkowo utworzył kilkudziesięciosobowe oddziały specjalne, również wzajemnie niezależne, podporządkowane osobiście jemu lub któremuś z jego synów. Oddział Amastana mógł być jednym z takich specoddziałów, kontrolujących sytuację w strategicznie ważnym mieście położonym na drodze z Trypolisu do oddalonego zaledwie o kwadrans szybkiej jazdy przejścia granicznego z Tunezją.

W tym przekonaniu utwierdziła Rona rozmowa, którą mimowolnie podsłuchał. Któregoś dnia wieczorem Amastan przyjmował trzech oficerów armii libijskiej. Rozmawiali dość głośno. Ron zastanawiał się, że być może Ama chce, aby jego podwładni słyszeli słowa gości. Wojskowi przekonywali, że gospodarz Rona powinien się do nich przyłączyć, bo jak mówili, „nadchodzi dzień gniewu i godzina prawdy”.

— Wiemy — mówił jeden z oficerów — że jesteś człowiekiem honoru. Twoja rodzina dała słowo Kaidowi i wiernie mu służyłeś. Ale teraz idzie czas wielkiej zmiany dla wszystkich plemion libijskich. Każdy z nas musi się od nowa określić. Nasi bracia wystąpią w wielu miastach. W Al-Bejda już się zaczęło.

W końcu przemówił Amastan:

— Decyzja nie zależy ode mnie. Muszę porozmawiać ze swoim ojcem. Moi ludzie nie będą was atakowali. Ale jeśli wy zaatakujecie, będziemy się bronili. Nikt poza tutaj obecnymi nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie.

Rankiem, przy śniadaniu, które spożywali wspólnie w wielkim salonie na parterze, Amastan poinformował, że wkrótce wyjeżdża na kilka dni, a dowództwo przejmuje Issi. Issi, niczym niewyróżniający się spośród pozostałych żołnierzy trzydziestolatek z kilkudniowym zarostem, skinął głową. Ama nie wyjechał jednak tego dnia, gdyż przybyła kolejna delegacja wojskowych. Dwaj oficerowie zamknęli się z Amastanem w gabinecie na górze, a towarzyszący im żołnierze przenieśli z ciężarówki do domu kilka skrzyń. Po południu skrzynie załadowano do land cruisera i w eskorcie dwóch innych dżipów odwieziono drogą w stronę granicy z Tunezją. Wieczorem Ama zapukał do pokoiku Rona.

— Powinieneś jak najszybciej opuścić Az-Zańję i Libię. Nadchodzą trudne czasy. Problem polega na tym, że nie możesz jechać do Europy inną drogą niż przez Tunezję. Algierczycy obstawili szczelnie granice. W Tunezji zaś na pewno jesteś poszukiwany. Ja ruszam dziś w nocy. Musisz więc poczekać do mego powrotu.

Ron już wcześniej się domyślił, że Ama wbrew demonstracyjnie okazywanej serdeczności nie ufa mu i chce przedłużyć jego pobyt w charakterze faktycznego więźnia do czasu, aż wyjaśni wszystkie nurtujące go wątpliwości.

Zamieszki w mieście zaczęły się następnego dnia po wyjeździe Amastana. Załija była zawsze niespokojnym miastem, pamiętającym wystąpienia przeciwko Kaddafiemu w roku 2009. Tym razem wystarczyła iskra buntu pracujących w rafinerii robotników z Egiptu, którzy uskarżali się na zatrzymywane pensje i problemy z podróżowaniem do ojczyzny, a socjalny protest wylał się w ogólnomiejskie powstanie. Po piątkowych modłach tłum ruszył na centralny plac, gromiąc posterunki policji i podpalając samochody. Powstańcy, wsparci przez część wojskowych z garnizonu, opanowali miasto, wypierając oddziały wierne Kaddafiemu. Późnym wieczorem w poniedziałek powrócił Amastan i jeszcze tej samej nocy ponownie odwiedzili go zbuntowani oficerowie libijskiej armii. Tym razem Ron nie usłyszał ani jednego słowa z kilkugodzinnej rozmowy za zamkniętymi drzwiami.

— Kim byli ci goście? — zapytał z ciekawości żołnierza pełniącego rolę nocnego strażnika.

— To pułkownik Hussejn Darbuk, dowódca powstania — odparł z szacunkiem żołnierz.

Po nocnej rozmowie Amy z dowódcą powstania wydarzenia w ich małej twierdzy przyspieszyły. Kilku bojowników z bronią wczesnym rankiem wyjechało z miasta. Amastan znów wyruszył na granicę z Tunezją, jak mówił. Land cruiser, który go eskortował, powrócił następnego dnia w mocno sfatygowanym stanie, z licznymi przestrzelinami. Jeden z żołnierzy był ranny i Issi, dowodzący oddziałem pod nieobecność Amy, natychmiast wyruszył z nim do szpitala. Ron zapytał, czy może im towarzyszyć. Issi, po krótkiej chwili wahania, przyzwalająco skinął głową. Jechali szybko wąskimi uliczkami, Issi po drodze umawiał się z doktorem, ranny pojękiwał na zakrętach, które pokonywali ze zgrzytem kół. Szpital znajdował się niedaleko, ale musieli przejechać w pobliżu

centralnego placu, pełnego teraz ludzi. Nad tłumem unosił się dym i fruwały jakieś kartki papieru. W szpitalu już ich oczekiwano. Dwaj sanitariusze przy wejściu sprawnie przełożyli rannego na nosze, Issi ruszył z nimi, Ron z dwoma innymi bojownikami z ich grupy pozostał kilka kroków z tyłu.

Issi odwrócił się i rzucił przez ramię:

— Ron, jeśli w rejestracji będą czegoś potrzebowali, załatw to z nimi. Kussil ci pomoże.

Szpital w niczym nie przypominał zaniedbanych, niedoinwestowanych obiektów służby zdrowia, które Ron widział w Czeczenii, Tadżykistanie lub Mołdawii. Czyste korytarze, personel w niebieskich lub białych fartuchach, także miejsce rejestracji i informacji bardziej przypominało telewizyjne reklamy dobrych klinik niż prowincjonalny szpital w Trzecim Świecie w czasach rewolucji. Pielęgniarka w recepcji była Europejką, starszą szczupłą panią z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami. „Jadfiha Masud” — przeczytał na plakietce. Jadfiha.

— Tak, doktor jest uprzedzony. Trzeba jedynie wypełnić formularz. To konieczny wymóg. Chociaż — dodała — kogo to teraz obchodzi.

Mówiła po arabsku, ale z bardzo słyszalnym akcentem. Jadfiha. Jadwiga?

— Przepraszam, czy pani jest z Polski? — zapytał, dla ostrożności po arabsku.

— Taaak — odparła ze zdziwieniem i zaskoczeniem. — Dlaczego pan pyta?

— Bo widzi pani, tak się dziwnie składa, że ja również jestem Polakiem.

Tym razem mówił po polsku. Właściwie nie wiedział, dlaczego zaczął tę rozmowę. Bo czemu miałyby służyć?

Ilekcroć gdzieś za granicą spotykał rodaków, nie odczuwał potrzeby ustanawiania z nimi bliższych, pobratymczych kontaktów. Może dlatego, że niekiedy ich zachowanie wprawiało go w zażenowanie.

— A co pan tu robi?

I nie czekając na odpowiedź, kobieta opowiedziała, że sama pracuje tutaj od prawie dwudziestu lat, że kiedyś szpital był prowadzony przez polskich lekarzy i pielęgniarki, ale teraz prawie wszyscy wyjechali, że ona została, bo ma męża Libijczyka, że mąż pracuje w rafinerii, jest inżynierem, a poznali się już w Załiji... Najwyraźniej pani Jadwiga, podobnie jak on, miała chęć porozmawiania w ojczystym języku.

— A pan? Kim pan jest i jak się tu znalazł?

— Jestem dziennikarzem. Z telewizji — dodał, aby uniknąć następnego pytania. Stacji telewizyjnych w Polsce było wystarczająco wiele, aby ukryć się za jakąś nazwą przed zbyt dociekliwymi pytaniami. Ale pani Masud nie interesowało zawodowe życie Rona, za to zaciekało ją, kiedy wraca on do Polski.

— Bo wie pan, przypomniałam sobie, mam jedną ważną sprawę. A i chciałam również porozmawiać. Mąż też zechce pana poznać. Bo on lubi Polskę. Byliśmy tam razem kilka razy i Fuad, mój mąż, mówi, że gdy przejdzie na emeryturę, osiedlimy się w Polsce. Ale teraz nie wiem, jak będzie. No nic... Na razie zapraszam pana do nas serdecznie. Przyjedzie pan? Dam panu mój numer telefonu. A trafić do nas bardzo łatwo. Z centrum najlepiej jechać ulicą Mochtara, potem na Sakkah, skręci pan w lewo, nie dojeżdżając do szkoły Umara Ben Assa, w stronę meczetu Al-Bari. Siódmy dom po lewej stronie to nasz. Pozna pan po ogrodzie. Mamy piękny ogród, nie ma takiego drugiego w tej okolicy. Sadziliśmy razem z mężem pomarańcze, cytryny,

piękne bugenwille, dużo kwiatów. Niech pan przyjedzie. Ma pan telefon?

Ron nie miał telefonu, bo pierwszą rzeczą, którą wyrzucił Amastan z jego rzeczy, była komórka z tunezyjską kartą. Kussil zgodził się podać swój numer. Rozstali się z panią Jadwigą jak dobrzy znajomi.

Okazja do wizyty nadarzyła się po kilku dniach. Amastan wypytywał dokładnie, kim jest pani Jadwiga, gdzie mieszka, jak długo pracuje w Libii, i dopiero, gdy jego ludzie sprawdzili, gdzie znajduje się dom państwa Masudów, a on sam porozmawiał telefonicznie z mężem Polki, zgodził się, aby Ron pojechał w odwiedziny.

— Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Po tym, co wydarzyło się w Tunezji, mam wrażenie, że albo nie mówisz mi wszystkiego, albo naprawdę nie wiesz, co się dzieje. Ponadto — uśmiechnął się — opowiedziałem siostrze historię z Algieru i otrzymałem polecenie, aby strzec cię jak żrenicy oka. Nie czuj się więźniem czy zakładnikiem — tłumaczył.

Ale Ron właśnie tak się czuł. Co nie przeszkodziło mu odnotować w myślach, że Ama już któryś raz z kolei powołał się na siostrę i powiedział, że kobieta wydała mu rozkaz, co nawet w żartobliwym brzmieniu było co najmniej dziwne i nie przystawało do realiów arabskiego świata.

Dom rodziny Masudów — dokąd pojechali w trójkę: Ron, kierowca i Kussil jako ochrona, obaj z bronią — rzeczywiście tonął w zieleni. Wyróżniał się prostą, ale bardzo dobrze przemyślaną architekturą, pewną elegancją, pozbawioną przepychu, lecz znamionującą solidny dostatek. Kierowca został w wozie, ochroniarz wszedł wraz z Ronem do środka. Nie wywołało to zdziwienia u pani Jadwigi i jej męża. Najwyraźniej byli przyzwyczajeni do totalnej inwigilacji, a może taka eskorta miała podkreślać, jak

ważną personą jest dziennikarz z Polski. Kussil zresztą usiadł skromnie z boku, więc gospodyni przyniosła mu herbatę i ciasto, a Fuad włączył dla niego telewizor z transmisją jakiegoś meczu. Rozmawiali po polsku, gdyż Fuad, zapewne poważnie rozważający przenosiny, wszystko rozumiał i potrafił wypowiedzieć proste zdania we w miarę zrozumiałej polszczyźnie.

Rozmawiali o Libii i rozpalającej się wojnie. O masakrze w Trypolisie, gdzie podobno zginęło prawie tysiąc osób, o wystąpieniach w Bengazi i Al-Bajda. Fuad dopytywał o sytuację w Polsce: jakie są ceny nieruchomości, ile kosztuje utrzymanie, czy trudno dostać polskie obywatelstwo. Wreszcie pani Jadwiga wyjawiała przyczynę, dla której — jak się domyślił — państwo Masudowie go zaprosili.

— Mamy trójkę dzieci, dwóch synów i córkę. Samir jest lekarzem wojskowym, Naim, jak Fuad, inżynierem w rafinerii, mieszka z nami, ale teraz zajmuje go polityka. Córka Kamila jest najmłodsza, studiuje we Włoszech. Umówiliśmy się z mężem, że synowie będą wychowywani w tradycji arabskiej i muzułmańskiej, a córka może wybrać swoją drogę. Ma podwójne obywatelstwo, libijskie i polskie. Konsul pomógł umiejscowić jej akt urodzenia w Polsce. Do Włoch wyjechała jednak na paszport libijski, bo rząd Libii płaci jej stypendium. Utrzymujemy z nią teraz kontakt telefoniczny i odradzamy powrót do Libii. Przynajmniej do czasu, aż się wszystko uspokoi. Córka poznała pewnego Włocha i planują się pobrać. Łatwiej byłoby to wszystko zrobić z polskim paszportem. Ale wszystkie jej papiery, akt urodzenia, świadectwo chrztu, pozostały tutaj. Zresztą polski paszport już się skończył, bo otrzymała go jako mała dziewczynka. Panu łatwiej będzie przewieźć jej dokumenty do Polski lub Włoch. Mógłby pan to dla nas zrobić? Przecież teraz nie możemy opuścić Libii.

— Nie ma sprawy. Z tym że jeszcze jakiś czas pozostanę w Libii — uprzedził Ron.

Masudowie zapewniali, że nie ma pośpiechu, chodzi o bezpieczne wywiezienie dokumentów. Pani Jadwiga rozłożyła na stole urzędowe kartki, pokazując, że w przygotowanej kopercie nie ma nic oprócz dokumentów związanych z Kamilą Wiktoria Masud, obywatelką Rzeczypospolitej Polskiej, urodzoną 12 sierpnia 1989 roku w Az-Załija, w Wielkiej Libijskiej Arabskiej Dżamahiriji Ludowo-Socjalistycznej. Ze zdjęcia w paszporcie Rzeczypospolitej Polskiej spoglądała mała, ciemnowłosa dziewczynka o jasnych oczach.

XVI

Przebywając często w towarzystwie Amastana, który był zastanawiająco otwarty wobec niego, Ron miał okazję przekonać się, jak rozbudowane kontakty w Europie ma człowiek z Kel Adżdżar. Drezno, Berlin, Zurych, Bazylea, Wiedeń... Z rozmów Amy można było odtworzyć całą mapę centralnej Europy. Libijczyk najczęściej rozmawiał po niemiecku, niekiedy po angielsku, przy czym jego niemiecki, w odróżnieniu od angielskiego, był płynny i bogaty. „Studiowałem kiedyś w Niemczech Wschodnich” — wyjaśnił któregoś dnia.

Ron czytał w jakimś piśmie, a może ktoś mu opowiadał, że w NRD studiowało kilkadziesiąt tysięcy osób z Libii. Niemcy Wschodnie były też bazą dla libijskich terrorystów. To z ambasady Dżamahiriji w stolicy NRD zaplanowano i przeprowadzono w 1986 roku zamach w dyskotecie La Belle, jednym z ulubionych miejsc wypoczynku amerykańskich żołnierzy w Berlinie Zachodnim. W zamachu — szczęśliwym zbiegiem okoliczności — zginęły tylko trzy osoby, w tym dwóch Amerykanów. W odwecie amerykański prezydent Reagan rozkazał zbombardować Trypolis. Amastan był w tym czasie dwudziestokilkuletnim studentem i wątpliwe, aby maczał palce w działalności terrorystycznej. Skoro jednak wykonuje dzisiaj tajne misje dla pułkownika Kaddafiego, to musi być jego zaufanym człowiekiem.

Ron domyślał się, że ich mała placówka ma do odegrania specjalną rolę w kontaktach libijsko-tunezyjskich lub w przerzucie jakichś materiałów z Libii do Europy, a jego opiekun jest ważną postacią w tajnych służbach

Kaddafiego. To tłumaczyło podróże Amastana, jego wpływy i ogromną podejrzliwość. Pytanie o możliwość zakupienia telefonu komórkowego Libijczyk zbył żartem. „Musimy oszczędzać, a rozmowy są kosztowne. Masz przecież wolny dostęp do internetu”.

I rzeczywiście Ron korzystał z tej możliwości, więcej dowiadując się o wydarzeniach w Libii z sieci niż z lokalnej telewizji czy z okien domu. Przepustowość łącza była jednak mała, połączenie ciągle się rwało i korzystanie z sieci okazało się dość kłopotliwe, zwłaszcza pisanie e-maili. Gdy prawie kończył list, połączenie zanikało, a wraz z nim znikał i napisany tekst. Ron pisał więc teksty w Wordzie, a później kopiował i wklejał do poczty. Miało to tę dodatkową zaletę, że najważniejszą korespondencję miał skopiowaną w folderze na pulpicie i mógł do niej sięgnąć bez wchodzenia do sieci.

W czasie wymuszonego pobytu w Załiji odnowił drogą internetową kilka starych kontaktów, w tym z ekipami BBC i Association Press, z którymi pracował wcześniej. Korespondował też z Jackiem, który donosił mu o kolejnych wygranych potyczkach sądowych i o nowych atrakcyjnych nieruchomościach. To była taka ich gra, w rodzaju tych, jakie prowadzą młodzi chłopcy, którzy skreśliwszy jeden kupon w totku, planują podróż dookoła świata, zakup jachtu, uwiedzenie Miss Świata naszymi naszyjnikami z diamentami i nabycie domu na Lazurowym Wybrzeżu. Znając marzenia Rona o domu w lesie nad jeziorem, adwokat przekazywał mu coraz to nowsze propozycje. Obaj wiedzieli, że Rona nigdy nie będzie stać na kupno pokrzyżackiego zamku na Mazurach, wystawianego na aukcję przez Agencję Mienia Wojskowego, czy willi w Bieszczadach, którą sprzedawał znudzony odludziem milioner. Ostatnim razem Jacek zachwalał szczególnie jeden dom. „To właściwie pałacyk, śliczny, ponemiecki, ale zupełnie nie w pruskim stylu” — pisał. „A i cena bardzo atrakcyjna: tylko trzy miliony złotych

za dom nad jeziorem z wielkim parkiem i kilkoma hektarami lasu. Totalne zadupie, tak między nami”. Dla Rona dom mógł równie dobrze kosztować milion, dziesięć czy sto milionów. Był, o czym dobrze obaj wiedzieli, absolutnie poza jego zasięgiem.

Z pewnymi obawami o reakcję Edgara i Alexandra nawiązał też ponowny kontakt z norweską ekipą. Obaj wrócili już do Oslo i byli strasznie na Rona wkurzeni, że wyjechał bez uzgodnienia. W kolejnych e-mailach wyjaśnili sobie sytuację, chociaż Ron starał się być możliwie oszczędny w szczegółach. Kilka najistotniejszych faktów w ogóle przemilczał. Przyznał natomiast, chociaż właściwie nie powinien tego robić, że jest w Libii. Wówczas Norwegowie zmienili ton korespondencji i zapowiedzieli, że postarają się również przylecieć jak najszybciej, ponieważ teraz Libia to numer jeden wszystkich newsów. Pytali o jego aktualny numer telefonu i czy ma możliwość robienia materiałów filmowych, gdyż ich stacja chętnie je kupi.

Amastan dobitnie wyperswadował mu pomysł podjęcia się roli stringera.

— W Libii zaczyna się wojna domowa. Ty sam jesteś najprawdopodobniej poszukiwany, i to nie jako dziennikarz, lecz z powodów, których nie znam. Jak będziesz pracował jako freelancer, w pojedynkę? Bez ekipy, sprzętu, pieniędzy?

— Pieniądze mogę otrzymać w ciągu dnia, dwóch. Sprzęt kupię. Pomocników dobioreę sobie spośród miejscowych dziennikarzy... — argumentował Ron.

— Słuchaj, to tak, jakbyś dawał ogłoszenie w internecie na stronie towarzyskiej lub na Facebooku: „Hallo, jestem tutaj. Ron Harib”. Czy jak tam naprawdę się nazywasz. „Przyjdźcie po mnie”. Według mnie powinieneś na razie dobrze się skryć. Miałem zamiar wyjaśnić, co kryje się za

twoimi przygodami w Tunisie, ale wydarzenia w moim kraju przysłoniły wszystko i po prostu zabrakło mi czasu. Zresztą wkrótce opuszczamy to miejsce.

Bitwa o Załiję trwała od kilku dni. Protestujący oraz wspierający ich zbuntowani żołnierze pod dowództwem pułkownika Darbuka wyparli początkowo oddziały Kaddafiego z miasta, ale Amastan nie miał wątpliwości, że wojska rządowe nie pozostawią Załiji w rękach rebeliantów.

— Załija jest bramą na drodze do granicy z Tunezją — tłumaczył Ronowi. — Wiem, że przygotowywana jest kontrofensywa, i wiem, że powinniśmy jak najszybciej zejść z linii ognia. Na razie muszę jednak tu jeszcze zostać.

Ron domyślił się, że zarówno częste wyjazdy Amastana, ciężarówki, które przywoziły i wywoziły skrzynie i pakunki, jak i sam fakt, że oddział pozostawał ukryty w willi, nie współpracując z oficjalnie wciąż rządzącymi władzami Dżamahiriji, podtrzymując natomiast kontakty z rebeliantami, miały właśnie na celu pozostawienie otwartego kanału komunikacji Trypolisu z Tunezją. I Załija rzeczywiście odgrywała kluczową rolę w realizacji tego zadania.

Którejś nocy jeden z żołnierzy zapukał do drzwi pokoiku Rona, budząc go i prosząc, aby zszedł na dół do salonu, bo kaid ma gościa. Amastan siedział przy stole w towarzystwie Saada, dowódcy jednej z grup, i dwóch nieznanymi Ronowi mężczyzn. Różnica wieku i fizyczne podobieństwo wskazywały, że są to prawdopodobnie ojciec i syn. Obaj nieznanymi byli ubrani w cywilne ubrania, starszy, z mocno zaawansowaną łysiną i siwymi włosami, miał bystre, żywe spojrzenie i silny uścisk dłoni. Ron zwrócił uwagę na staranny manicure i delikatną skórę ręki. To nie były dłonie przywykłe do fizycznej pracy czy ciągłego kontaktu z karabinem.

— To jest Szukri Hanem — przedstawił go Amastan — przyjaciel Saifa al-Islama.

Ron znał na tyle realia libijskie, aby wiedzieć, że Saif al-Islam, drugi syn Kaddafiego, jest bardzo ważną osobistością w Libii, gdyż przygotowywano go do roli następcy Wodza. Zrobił doktorat w London School of Economics, jednej z najbardziej prestiżowych uczelni świata, i wykorzystując nawiązane tam kontakty, wykonywał dla ojca najtrudniejsze, najdelikatniejsze misje, spotykając się z czołowymi politykami Zachodu, prezydentem Francji Nicolasem Sarkozym czy amerykańską sekretarzem stanu Condoleezzą Rice.

Młodszy mężczyzna wyciągnął do Rona rękę leniwie, jakby z przymusem lub arogancją, ograniczając się do jednego słowa:

— Mohamed.

— Ron pracuje dla norweskiej telewizji — powiedział Amastan.

Ojciec i syn skinęli akceptująco głowami.

— Norwegia, to dobrze — ocenił starszy. — Mamy wielu przyjaciół w Norwegii.

— Ron, mamy małą prośbę do ciebie. Szukri musi opuścić na jakiś czas Libię. Ale chciałby, abyś zainteresował norweskie media pewnymi informacjami. Masz tutaj trochę notatek. — Amastan wyciągnął w jego stronę niewielki notes. — Przestudiuj je w wolnej chwili, może coś przekażesz na antenie, a najważniejsze: zadbaj, aby notes trafił do mediów i władz norweskich. Ale tak, aby nikt nie mógł się dowiedzieć, skąd, z jakiego źródła pochodzi. Norwegowie ci ufają, a ty nie jesteś Norwegiem ani Francuzem i nie masz żadnych zobowiązań wobec nich.

Ron docenił ten sposób przekazania sygnału, czy też informacji. Renoma norweskiej telewizji zapewni, że informacja zostanie potraktowana poważnie. A to, że będzie rozpowszechniona przez kraj, który jest wprawdzie członkiem NATO, ale zawsze zachowuje rozsądny dystans wobec impulsywnych niekiedy wypowiedzi i działań przedstawicieli wielkich mocarstw, tylko ją uwiarygodni.

— Przepraszam, że cię obudziliśmy. Ale to ważna sprawa. Jeśli Szukri postanowi wstrzymać przekazanie informacji, Moha zgłosi się do ciebie po notes. Dobrej nocy.

Życzenie dobrej nocy zabrzmiało prawie jak rozkaz, aby Ron opuścił pokój. Skinął głową gościom i Amastanowi i wrócił do wciąż ciepłej pościeli coraz bardziej zły na przyjaciela, że wykorzystuje go w swoich grach, i na siebie, że dał się sprowadzić do roli bezwolnego instrumentu w rękach Libijczyka.

Amastan wyczuł chyba jego nastrój, bo następnego dnia po południu, zaraz po powrocie z kolejnej wyprawy, powiedział, jakby usprawiedliwiając się:

— Nie wykorzystuję cię. Daję ci do ręki informację mocną jak dynamit. Przecież o takie newsy wam dziennikarzom chodzi. Od ciebie zależy, jak tę szansę wykorzystasz.

— A dlaczego Hanem lub jego syn sami nie puszczą tej, jak mówisz, sensacji w obieg?

— Po pierwsze, nie mają dostępu do zaufanych dziennikarzy z Zachodu. I informacje mogą gdzieś utknąć, a notes zaginać. Po drugie, a kto im uwierzy? Po trzecie... po trzecie... Czy interesujesz się futbolem? — zapytał nagle.

— O tyle o ile...

— Ale znasz zasady gry?

— Oczywiście.

— No, więc wyobraź sobie, że toczy się gra. Wszyscy zawodnicy jednej drużyny są kryci przez piłkarzy drugiej. Nie ma wolnego pola, na które można by podać piłkę, zawodnicy obu drużyn doskonale znają silne i słabe strony, każdy ma swojego opiekuna. Pełna blokada. Nagle wprowadzamy na boisko dodatkowego zawodnika, zupełnie nieznanego. To całkowicie zmienia obraz gry.

— Polityka to nie futbol — zauważył Ron.

— Zależy, jak się na to patrzy. W sumie chodzi o to samo: o pieniądze, sławę, emocje i interesy. W jednym na pewno masz rację. W polityce, inaczej niż w futbolu, nie obowiązują żadne zasady.

Po chwili milczenia dodał:

— Ponadto Hanem i jego syn mają aktualnie inne zmartwienia na głowie.

— A gdzie są teraz?

Amastan spojrział na zegarek.

— Powinni już lądować w Rzymie — uśmiechnął się.

Pod koniec miesiąca doszło do kolejnej rozmowy Amy z pułkownikiem Husejnem Darbukiem. Dowódca zbuntowanych żołnierzy przekonywał Amastana, aby dołączył do rewolucji. Ama z kolei radził Husejnowi, aby ten opuścił miasto ze swoimi ludźmi.

— Narażasz ich na pewną śmierć. Brygada Chamisa Kaddafiego ruszy lada moment.

— Dziękuję ci za ostrzeżenie. Ale nie mogę pozostawić mieszkańców bez pomocy. Będziemy się bronić. Dni tyrana są policzone. Cała Libia i cały świat są przeciwko niemu. Jeśli musisz wypełnić swój dług, jedź. Spotkamy się, jeśli taka będzie wola Allaha.

Wyruszyli następnego dnia o świcie. Dwie ciężarówki i kilka dżipów sprawnie sformowały kolumnę. Obrońcy Załaji pozwolili im bez przeszkód opuścić miasto. Amastan był milczący i jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Po drodze mijali nadciągające w stronę miasta oddziały trzydziestej drugiej brygady, dowodzone przez Chamisa Kaddafiego, najmłodszego z siedmiu synów Kaida. Amastan został od razu wezwany do dowódcy brygady. Jego land cruiser odłączył od kolumny i został pokierowany w stronę wozu dowodzenia. Pozostałym pojazdom polecono skręcić na pobocze, więc stanęli w rejonie Dżoddajem w cieniu drzew po drugiej stronie lasu, który rozciągał się od autostrady aż do morza. Ron mógł spokojnie z odległości kilku metrów przypatrzeć się wojskom rządowym. Chociaż wśród załóg przejeżdżających pojazdów byli ciemnoskórzy Afrykanie, to większość żołnierzy brygady Chamisa nie była, jak utrzymywał Darbuk, najemnikami z krajów afrykańskich, lecz Arabami. Ronowi wydawało się, że dostrzegł też kilku Europejczyków. Żołnierze w czarnych beretach byli dobrze wyekwipowani, trzymali w rękach najnowsze typy kałasznikowów, większość z nich nosiła kamizelki kuloodporne. Rosyjskie czołgi T-72, wyrzutnie rakiet, brytyjskie pojazdy opancerzone Saxon, nawet potężne samobieżne haubice... Chamis wyraźnie sposobił się do regularnego oblężenia miasta i nie zamierzał brać go szturmem z marszu.

Rozmowa Amy z Chamisem była krótka. Po kilkunastu minutach toyota dowódcy powróciła do kolumny i ruszyli dalej w stronę Trypolisu. Nie dojeżdżając do libijskiej stolicy, zatrzymali się przed jedną z wysokich bram w długim murze koloru ciemnego piasku pustyni. Po krótkiej wymianie zdań z uzbrojonym wartownikiem brama rozwarła się, samochody wjechały na wewnętrzny dziedziniec. Byli w koszarach trzydziestej drugiej brygady.

Ron początkowo sądził, że Amastan i jego oddział urządzi swoją nową kwaterę w prawie opustoszałych koszarach ludzi Chamisa. Ale ich postój potrwał nie dłużej niż dwie godziny. Podczas gdy Ama zniknął gdzieś z oficerem, który wyszedł mu na spotkanie, żołnierze zjedli śniadanie w kantine. Przy czym wszyscy trzymali się razem i zajęli miejsca tuż przy oknach, cały czas obserwując samochody, przy których pozostawili dwóch uzbrojonych wartowników. Bojownicy z oddziału Amastana mieli bardzo ograniczone zaufanie do żołnierzy libijskiej armii. Po powrocie Amastana żołnierze z koszar wyładowali z ciężarówek kilka skrzyń i oddział był gotowy do dalszej drogi. W oczekiwaniu na wyjazd bojownicy palili papierosy, z rzadka wymieniając jakieś uwagi. Przez cały czas Ama nieprzerwanie prowadził rozmowy przez telefon komórkowy. Niekiedy odchodził na bok, aby nie być słyszany przez nikogo, innym razem w trakcie rozmowy przywoływał kogoś z żołnierzy, o coś go dopytując. Rozmawiał przez telefon nawet wówczas, gdy wsiadał do wozu i kolumna ruszyła do Trypolisu. Nastrój oczekiwania i niepewności tężał w grupie jak nocny chłód w górzystej pustyni.

Zakończywszy konwersacje telefoniczne, Amastan chciał widocznie pomówić z Ronem, ponieważ gestem zaprosił go do swojego land cruisera. Z nieruchomej jak zawsze, pooranej twarzy człowieka z Kel Adżdżar trudno było cokolwiek wyczytać, niemniej Ron wyczuwał, że jego libijski opiekun jest mocno wzburzony. Palce lewej dłoni nerwowo przebierały ziarna *tasbihu*, czegoś w rodzaju muzułmańskiego różańca. Ten, który nosił Ama, wykonany był z dużych koralii o rzadko spotykanej żółtopomarańczowej barwie. Rozmawiali po angielsku, a że w samochodzie oprócz nich był jedynie kierowca, Ron zrozumiał, że przekazywane mu informacje przeznaczone są tylko dla jego uszu.

— Proponuję, abys pozostał z nami jeszcze przez jakiś czas w Trypolisie. Zanim dojadą twoi koledzy z telewizji, nim znajdziesz jakiś hotel, minie kilka dni. Oczywiście możesz nas opuścić chociażby dzisiaj...

— Nie mam pieniędzy... — zauważył Ron.

— O, to nie problem. Pieniądze ci dam lub pożyczę. Jutro postaram się o wstawienie w twoich paszportach libijskich wiz, załatwię też oficjalną akredytację dziennikarską. Problemem jest twoje bezpieczeństwo. Zwłaszcza teraz.

— A co naprawdę dzieje się w Libii?

— Naprawdę? Libia się rozpada. Na dobre trwa wojna domowa. Dwie brygady w Tarhuna przyłączyły się do rebelii. Wielu oficerów z innych brygad przeszło na stronę powstańców. Ulemowie wezwali naród do powstania przeciwko Wodzowi, a egipski szejch Al-Kardałi, który ma duży posłuch także w Libii, nawołuje z Kairu do zabicia Kaddafiego. W Bengazi powstał rząd opozycyjny, który ma poparcie zachodnich mocarstw. Stany Zjednoczone i inne kraje NATO rozmieściły okręty u wybrzeży Libii i lada dzień ruszą z ofensywą. Jak w Iraku. Dni Kaddafiego są policzone.

— Dlaczego miałyby się rozpaść kraj? Zmieni się władza i to wszystko. A ty? Dlaczego nie przyłączyłeś się do pułkownika Darbuka?

— To nie jest taka prosta sytuacja. Nie dołączyłem ze swoimi ludźmi do Darbuka z dwóch powodów. Po pierwsze, dopóki Kaddafi jest u władzy, nie może wypuścić Az-Załiji z rąk. Mówiłem ci, to nie tylko rafineria i port, to także brama do Tunezji. Widziałeś oddziały Chamisa? Husejn nie ma szans. Wszyscy zginą. Po drugie, i to jest ważniejsze, Darbuk jest z plemienia Az-Załija, Kaddafi jest z plemienia Kedafa, generał Junis Dżaber jest z Mudżabra, powstańcy z Bengazi i Misuraty to plemiona Misurata, Kargala, Taładżir i Ramla... I tak dalej. To Arabowie. To wojna między

Arabami. To nie jest moja wojna. Kaddafi chciał skleić kraj, zrobić z plemion naród. Trochę mu się udało, ale nie można scementować narodu ropą, rozdawaniem pieniędzy i krwią. A Kaddafi jest jak wściekły pies, który kąsaniem do krwi chciał owce, kozy, wielbłądy i konie zegnać w jedno stado.

— Więc dlaczego mu służysz?

— Aby ocalić mój naród od wyginięcia. Pozostało nas niewielu, tylko kilka tysięcy. Jesteśmy Kel Adżdżar, Kel Tamahak, naród, który mówi językiem tamahak. Wy, Europejczycy, nazywacie nas Tuaregami. To my byliśmy pierwszymi mieszkańcami tej ziemi. Walczyliśmy z kolejnymi najeźdźcami, którzy zalewali nasz kraj: Fenicjanami, Grekami, Arabami, Włochami, Francuzami. Byli liczniejsi, lepiej uzbrojeni. Dzisiaj tylko kilka *ettabelen*, czyli rodów lub plemion, zajmuje skrawki ziemi na południu i na zachodzie Libii. Nasi bracia w Algierii również zostali zepchnięci w góry i na pustynie. Mój naród najpierw pomógł królowi Idrisowi wygnać Włochów, a gdy powstała Libia, wielu z nas służyło monarchii. Chcieliśmy tylko jednego: aby pozwolono nam mówić w naszym języku, pielęgnować tradycje przodków i aby nikt nie mieszał się do naszych spraw. Potem poparliśmy rewolucję Kaddafiego, gdyż obiecywał, że da wszystkim wolność, pogoni Włochów i Anglików, którzy kradli naszą ropę, i że sprawiedliwie rozdzieli bogactwa kraju. Musisz pamiętać, że w latach sześćdziesiątych zaczęła się wielka susza, wyschły jeziora w górach i studnie, które dotąd zawsze miały wodę, zwierzęta nie znajdowały paszy. Jeszcze gorsza sytuacja panowała na południu. Stamtąd, z pustyni Mali i Nigru, przybywali do nas umierający z pragnienia ludzie z resztką wychudłych stad. Patrzyliśmy więc z nadzieją na nową władzę. Ale Kaddafi nazwał nas wszystkich Arabami, zabronił używać języka tamahak. W szkołach wbijano nam do głowy, że jesteśmy Arabami, że naszym językiem ojczystym jest arabski, że ludy tuareskie to wymysł kolonizatorów.

Zabroniono nam nawet nosić nasze prawdziwe imiona. Wiesz, że w szkole zapisano mnie jako Ammar? Susza zmusiła nas do osiedlania się w pobliżu miast, w których nie było dla nas mieszkań ani pracy. Wolny naród, dumni wojownicy, do których należały niezmiernie przestrzenie Sahary, kitłasi się wraz z rodzinami w nędznych budach na przedmieściach Ghatu czy Fezzanu. Ci, którzy protestowali, ginęli w tajemniczych okolicznościach, tak jak pisarz Ali Jaja Maamar czy też profesor Omar Nami. Albo zabijano ich publicznie, jak Ferhata Hleba, powieszono na placu w Zułara tylko dlatego, że był Berberem i że studiował w Stanach Zjednoczonych. Siepacze Kaddafiego zabijali ludzi nawet za granicą. Jussef Salah Herbisz z plemienia Nefussa został zamordowany w Rzymie...

— Tym bardziej nie rozumiem...

— Kaddafi jest szalony, ale niepozbawiony błysku geniuszu. Obłąkanie i geniusz rozdziela tylko cienka linia moralności. Nasz wódz może i ma swoiste poczucie honoru, jest przecież w połowie Berberem, ale nie zna czegoś takiego jak moralność. W 1986 roku, gdy Reagan zbombardował Trypolis, Kaddafi wpadł w szal, który zmienił się w głęboką depresję. Zaszył się na pustyni i medytował. Mało kto wie, że poprosił wówczas o radę i wsparcie Al-Chakima Chadda z rodu Iszariffen, największego mędrca spośród żyjących ludzi z Adżdżar. Pod jego wpływem Kaddafi zmienił swoją politykę wobec Kel Tamahak i ogólnie wobec wszystkich Berberów i wobec całej Afryki. Błysk geniuszu nakazał Kaddafiemu porzucić iluzje o arabskiej jedności i poświęcić się idei zjednoczenia Afryki. Wyobrażasz sobie? Zjednoczona Afryka, taka jak Europa. Z jej bogactwami, ludźmi i siłą. To zmieniłoby całą politykę światową.

— I wówczas przeszedłeś na służbę u Kaddafiego?

— Tak chciał ojciec. Ale to nie była jego wolna wola, a szantaż ze strony Wodza. Jest chorobliwie nieufny i podejrzliwy. Wszędzie wietrzy spiski i zamachy. Zauważ, że całe jego najbliższe otoczenie, ochrona, lekarze, pielęgniarki, szoferzy, to nie Arabowie, ale albo cudzoziemcy, albo ludzie Sahary. My, Kel Tagelmust, jesteśmy jakby pośrodku. Nie jesteśmy Arabami, ale nie jesteśmy też obcymi. Kaddafi postanowił, że utworzy z mężczyzn Kel Tamahak specjalne oddziały, które nie będą jego bezpośrednią ochroną, ale będą chroniły jego rodzinę i jej interesy. Jesteśmy osobistą gwardią Wodza do specjalnych poruczeń. Zapewniam cię, że nie mordujemy, nie torturujemy i nie porywamy ludzi. Jesteśmy synami pustyni i ludźmi honoru. Ale strzeżemy tajemnic Kaida. On wie, że jeśli Imuhar, czyli jak nas nazywają obcy, Tuaregowie, dadzą słowo, to nie ma takiej siły i takiej ceny, która zmusi nas do złamania go. Jest u nas takie przysłowie: jeśli nie możesz uciąć czyjejs ręki, ucałuj ją. I mój ojciec, amenukał, wódz Kel Adżdżar, obiecał Kaddafiemu, że jego naród pozostanie mu wierny. W zamian otrzymał zapewnienie, że Kel Tamahak mogą żyć zgodnie ze swoimi tradycjami i nic, co odnosi się do spraw od Sebhy do Ghat, nie może być postanowione bez zgody starszych z Kel Tamahak. Jeden z naszego rodu został gubernatorem Ghat. W 2005 roku Kaddafi zwołał wielkie spotkanie wszystkich rodów i plemion Wielkiej Sahary i powtórzył swoje zobowiązania. Ale nie byłby sobą, podejrzliwym dyktatorem, jeśliby nie zabezpieczył się podwójnie. Dlatego ja i mój młodszy brat Aksil, dwaj synowie amenukała, zostaliśmy faktycznie zakładnikami w Trypolisie. Tylko ojciec lub sam Wódz mogą nas zwolnić z tej przysięgi-niewoli. Albo śmierć. Nasza lub Wodza.

XVII

W Trypolisie zajęli jeden z domów w dzielnicy willowej nieopodal toru wyścigów konnych. Dwupiętrowa willa ze sporym tarasem i basenem na dachu wyglądała jak inne budynki w tej dzielnicy. Może tylko mur ją okalający był solidniejszy i nieco wyższy niż ogrodzenia sąsiednich domów, więcej było kamer, a zasuwane, metalowe wrota były bardziej masywne. Ponieważ żołnierze Amastana czuli się tutaj jak u siebie i od razu zajęli swoje miejsca w pokojach, Ron zrozumiał, że to trypolitańska kwatera oddziału. Dom znajdował się przy ulicy Ibrahima Karamanli, bezpośrednio wychodzącej na autostradę Al-Szatt, którą w kilka minut można było dojechać zarówno na lotnisko Mitiga, jak i do portu. Ronowi wskazano jeden z wielu pokojków na piętrze, niewielki, schludny, ale spartańsko urządzone. Tapczanopółka, która służyła jako biurko i z której można było wysunąć wąskie łóżko, do tego dwa krzesła, szafa na ubrania, plazmowy telewizor. I widok z okna na sąsiedni budynek, który — jak zauważył — także zajęli ludzie Amy. Miejsce było ciche, na pewno dobrze chronione — uśmiechnął się w duchu Ron — ale nie wyobrażał sobie, aby mógł tu pozostać dłużej niż dzień, dwa — tylko tyle, ile było konieczne, żeby Amastan pomógł mu dopełnić formalności związanych z jego pobytem.

Człowiek z Kel Adżdżar dotrzymał słowa. Wprawdzie zniknął na cały dzień i nie pojawił się też wieczorem, a pod jego nieobecność budynek przy ulicy Karamanli przemienił się w biuro spedycyjne, do którego zwożono różne skrzynki i pudełka, aż wypełniono nimi cały salon na piętrze, lecz następnego dnia, zaraz po późnym śniadaniu, które przygotował dla całego oddziału jeden z żołnierzy, Amastan

przyjechał w towarzystwie szczupłego, bardzo młodego mężczyzny.

— To jest Aksil, mój brat.

Aksil w języku *tamaszek*, którym mówią Tuaregowie mieszkający na południu, oznacza „pantera”.

Brat Amy miał w sobie coś miękkiego, kobiecego. Być może wrażenie takie wywoływały jego płynne ruchy, jakby nie szedł, a płynął, może nienaturalnie długie, zawinięte rzęsy i oczy o rzadko spotykanym kolorze grynszpanu. Ale uścisk dłoni miał pewny i twardy, a pod krótkim rękawem wojskowej bluzy rysowało się umięśnione ramię. Bracia nie byli do siebie podobni. Ama miał twarz pociągłą, pooraną głębokimi bruzdami przy ustach oraz śladami po ospie i bliznami. Oczy ciemne i zmęczone. Aksil natomiast wyglądał tak, jakby wrócił z kilkutygodniowych wakacji nad morzem — opalony, tryskający energią, z błyszczącymi oczami. Obaj mieli za to w sobie coś wodzowskiego, dumnego. Wysocy, z podniesionymi głowami i śmiałym, otwartym spojrzeniem. Ron wyobraził ich sobie na wielbłądach, z szablami i zabytkowymi karabinami o kolbach wykładanych srebrem. Pasowali do jego wyobrażeń o Tuaregach.

Amastan przekazał Ronowi dokumenty. Dwa paszporty, polski i białoruski. W obu widniały antydatowane stemple graniczne i libijskie wizy.

— Rosyjski paszport nie będzie ci pewnie potrzebny, a nam może się przydać — wyjaśnił z uśmiechem Libijczyk.

Do tego dochodziło pismo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, akredytujące Rona Hariba jako korespondenta telewizji norweskiej w Libii.

— Myślę, że lepiej, abyś korzystał teraz z paszportu białoruskiego. A tym, że inne jest nazwisko w paszporcie, a inne na akredytacji, nie przejmuj się. Przecież możesz

pracować pod pseudonimem artystycznym — uśmiechnął się. — Polska jest w NATO i z tego powodu jako Polak mógłbyś mieć nieprzyjemności. A tu masz jeszcze ode mnie dodatkowe wyposażenie. — Amastan położył na stole telefon komórkowy Siemens, laptop i okazały zwitek pieniędzy. Z pięćdziesięciodenarowych banknotów Kaddafi, w okularach i fantazyjnej czapce z podwijanymi brzegami, patrzył gdzieś w oddaloną przyszłość.

— Ama, ależ ja nie mogę przyjąć twoich pieniędzy...

— Ron, *sadiki*^[1], pieniądze nie są moje, tylko libijskie. Prawdziwe dinary — zażartował Amastan. — To tylko pieniądze, papier. Wy, ludzie Zachodu, przywiązujecie zbyt wielką wagę do rzeczy, pieniędzy, wszystkiego tego, co powinno nam służyć, i w rezultacie sami stajecie się niewolnikami rzeczy i znaków. Zarezerwowałem ci pokój w hotelu Rixos. Może to nie jest najlepszy hotel w Trypolisie, chociaż pięciogwiazdkowy, ale mieści się w dobrym miejscu, w parku An-Nasr, i z tego, co wiem, mieszka tam większość zachodnich dziennikarzy. Tam powinieneś być bezpieczny.

Amastan osobiście odwiózł go do hotelu Rixos, ale zatrzymał się w pewnej odległości od bramy. „Nie chce, aby ktoś zobaczył nas razem i powiązał mnie z libijskimi służbami” — domyślił się Ron.

Ama sięgnął na tylne siedzenie dżipa po torbę.

— Znajdziesz tutaj trochę rzeczy, które przydadzą ci się na początek. W telefonie masz zapisany kontakt do mnie i na wszelki wypadek do Aksila. Nie wahaj się, gdybyś potrzebował mojej pomocy. Koniecznie dzwoń od czasu do czasu.

Objęli się. Ron miał wrażenie, że żegna się z kimś bliskim sobie jak brat. I że żegna się z nim pewnie już na zawsze.

„To się chyba nazywa syndromem sztokholmskim” —
uśmiechnął się w myślach.

— Jeśli taka będzie wola Boga, spotkamy się jeszcze —
powiedział Amastan, jakby odpowiadając na myśli Rona.

[1] *Sadiki* (arab.) — mój przyjacielu.

XVIII

Dziewiątego marca, na tydzień przed tym, jak Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła rezolucję upoważniającą państwa NATO do blokowania przestrzeni powietrznej nad Libią, z lotniska Solenzara na Korsyce wystartowały cztery francuskie samoloty wielozadaniowe Mirage i wzięły kurs na wybrzeże libijskie. Dwie z tych maszyn nie niosły pod skrzydłami bomb ani rakiet — były uzbrojone jedynie w 30-milimetrowe szybkostrzelne działka DEFA. Wnętrza obu samolotów Mirage F1CR i specjalne podwieszane gondole nafaszerowano za to najnowszą aparaturą rozpoznawczą, która pozwalała nie tylko zbierać i przesyłać bardzo szczegółowe informacje o terenie, ale też wyławiać i zapamiętywać wszystkie znaczące sygnały radiowe i źródła emisji energii elektromagnetycznej. Jednym z celów misji było sprawdzenie, jak sprawnie działają urządzenia podsłuchowe i monitorujące, które agenci francuskiego wywiadu zainstalowali wcześniej w najróżniejszych libijskich instytucjach.

Samoloty wywiadowcze były drobnymi elementami potężnego francuskiego SGEA — Systemu Wojny Elektronicznej, tworzonego przez sieci Emeraude, Elodée i CDEGE, a także dziesiątki satelitów i stacji nasłuchowych w samej Francji i w jej zamorskich posiadłościach oraz kolejne dziesiątki samolotów i statków z urządzeniami rozpoznania elektronicznego.

Pewnego dnia miliony ludzi na całym świecie ze zdumieniem i oburzeniem dowiedziały się, że wszystko, o czym rozmawiają przez telefon, co piszą w e-mailach i blogach, nie stanowi żadnej tajemnicy dla wywiadu USA,

i że brytyjsko-amerykański system inwigilacji elektronicznej Echelon jest jak Wielki Brat, który śledzi każdy ich ruch i każde słowo. Rządy krajów zachodnich zareagowały na sensacyjne doniesienia o Echelonie z umiarkowanymi emocjami, gdyż każde z państw, które chce się liczyć w światowej polityce, ma własne systemy rozpoznania elektronicznego, a także uważnie i zazdrośnie śledzi, czy sojusznicy i wrogowie nie uciekli aby zbyt daleko do przodu w technice szpiegowskiej. To oczywiste, że służy ona też do szpiegowania przyjaciół...

W Europie najpotężniejszy system inwigilacji elektronicznej stworzyła Francja. Franchelon nie jest tak rozbudowany jak system amerykański, w którym czterdzieści tysięcy operatorów dzień i noc nieprzerwanie nasłuchuje sygnałów, czyta e-maile, a co najmniej drugie czterdzieści tysięcy przeszukuje internet. Francuski SGEA jest bardziej zwarty, lepiej zorganizowany i ukierunkowany na bardziej konkretne cele i obszary. Afryka Północna jest jednym z tych regionów, o których SGEA wie wszystko lub prawie wszystko. Czternaście stacji nasłuchowych w samej Francji i jeszcze sześć na jej terytoriach zamorskich — od Nowej Kaledonii na wschód od Australii do wyspy Reunion na Oceanie Indyjskim, dziesiątki satelitów krążących wokół Ziemi nasłuchują dzień i noc i przejmują każdą informację, która może okazać się przydatna. Rozmowy telefoniczne, faksy, radio, telewizja, SMS-y, a przede wszystkim internet, każdy przejaw aktywności w sieci — wpis w mediach społecznościowych, komentarz na forum, rozmowa przez komunikator — wszystko jest odnotowywane i rejestrowane.

Całością wywiadu elektronicznego zarządza DGSE, która dzieli się zebranymi informacjami z pozostałymi sześcioma służbami specjalnymi tworzącymi francuską wspólnotę wywiadowczą. Najważniejsza ze stacji nasłuchowych DGSE znajduje się nieopodal miasteczka Domma wśród winnic i

lasów Akwitanii. Jej anteny jak uszy nietoperza wychwytyją najdrobniejsze impulsy z Afryki. Sygnały radiowe i telewizyjne, radary, e-maile, nasłuchy ze wszystkich francuskich stacji, baz, samolotów i statków ściekają na bulwar Mortier w Paryżu, gdzie w dobrze chronionych podziemiach na trzech poziomach mieści się największa w Europie baza danych. Kilka tysięcy informatyków i analityków — połowa zatrudnionych w DGSE — obsługuje potężne komputery zarządzające milionami petabajtów danych, co pozwala śledzić jednocześnie ponad miliard połączeń telefonicznych i internetowych. Tylko Stany Zjednoczone, Izrael i Chiny mają porównywalne możliwości. Teraz, gdy celem numer jeden stała się Libia, elektroniczne uszy i oczy francuskiego wywiadu systematycznie omiały libijskie terytorium.

Francuskie przygotowania do operacji „Harmattan”, która miała ruszyć na Libię 18 marca, nie wstrzymywały ani nie odsuwały na bok innych spraw prowadzonych przez DGSE. Jednak priorytet miały teraz sprawy północnej Afryki. Dlatego mało znacząca informacja z moskiewskiego źródła o tym, że SWR wywiozła, czy też chciała wywieźć, z Tunisu swojego agenta, który prawdopodobnie działał w Libii i Tunezji, została wyselekcjonowana przez specjalny program wyszukiwawczy dzięki zbitce czterech słów kluczy: *Russie, Tunisie, Libye, SRE RU*, co oznaczało *Service des renseignements extérieurs de la Russie*, czyli rosyjską Służbę Wywiadu Zewnętrznego. Program komputerowy oznaczył wiadomość jako bardzo ważną i pilną i wrzucił ją do specjalnego folderu.

Na podstawie kluczowych słów folder został rozesłany według wewnętrznego rozdzielnika do ekspertów, którzy zajmowali się tymi tematami. Młody analityk do spraw wywiadu rosyjskiego zrelacjonował sprawę swemu przełożonemu. Ten uznał, że rzecz nie jest wprawdzie pilna, ale warta zachodu: „Niech pan postara się namierzyć tego

gościa. Na czas poszukiwań wystąpię o najwyższy poziom dostępu dla pana”.

Najwyższy poziom dostępu oznacza możliwość pracy z najtajniejszymi bazami danych DGSE, oczywiście poza listami agentów, gdyż do nich nie ma dostępu nawet główny szef Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego.

W zamkniętej bazie danych analityk odnalazł informacje ze źródła w ambasadzie w Tunisie o tajemniczych działaniach Rosjan w styczniu. Stamtąd Rosjanie ewakuowali swego człowieka, co nie wywoływało zdziwienia, bo wycofywanie cennych agentów w sytuacji potencjalnego zagrożenia jest normalną procedurą. Komputer wyszukał też inną informację — tym razem ze źródła w konsulacie francuskim w Safakisie — która była kopią raportu tunezyjskich służb granicznych. Tunezyjczycy odnotowali, że wśród cudzoziemców szczególnie często wjeżdżających w ostatnich miesiącach do ich kraju kilka razy przewinęło się nazwisko Rostislava Gribovskiego, obywatela Rosji, który kilkakrotnie przekraczał granicę libijsko-tunezyjską. Zawsze w punkcie w Ras Addżir. Francuski wywiad nie miał żadnej informacji, żadnej fiszki o człowieku z takim imieniem i nazwiskiem.

Ambitny Jean-Marc Flisse, młody pracownik DGSE z perfekcyjną znajomością rosyjskiego i niezłą ukraińskiego, nabytą podczas pracy w ambasadzie w Kijowie, nie rezygnował, chociaż zadanie było podobne do szukania igły w stogu siana. Najpierw poszukał nazwiska Gribovskiy we wszystkich zhakowanych listach gości hotelowych. Uzyskał potwierdzenie, że faktycznie Rostislav Gribovskiy zatrzymywał się raz w hotelu Amilcar w Safakisie i raz w hotelu Ifrikija w Tunisie. To było już coś. Ale nie mógł odnaleźć szukanego nazwiska na żadnej z list pasażerów samolotów i statków, którzy przybyli do Libii i Tunezji lub wyjechali stamtąd. Albo agent SWR przybył i wyjechał pod

innym nazwiskiem, albo wykorzystał czarter turystyczny. Mógł też wjechać na terytorium Libii z Egiptu, gdzie Rosjanie mieli rozbudowaną siatkę kontaktów. Dziwne było też to, że poza granicą i hotelami nie pozostawił żadnego innego śladu, jakby jego aktywność ograniczała się tylko do przejazdów po Afryce. A przecież we współczesnym świecie człowiek nie może funkcjonować, nie pozostawiając śladu w sieci, tak jak nie można przejść bez śladu po świeżo położonym asfalcie.

W poszukiwaniu informacji o Gribovskim Flisse przepuścił to nazwisko w różnej pisowni, w tym cyrylicą, przez kilka wyszukiwarek oraz przez globalne i lokalne, rosyjskojęzyczne, sieci społecznościowe. W rezultacie otrzymał listę 46 Gribovskich Rostislavów. Systematycznie, dzień po dniu, osoba po osobie, szukał możliwych danych o każdym z nich. Odrzucił tych, z których wpisów w serwisach Odnoklassniki, VKontakte i Facebook wynikało, że mieli mniej niż dwadzieścia lat. Pozostała lista 29 osób. Jedną z nich był pochodzący ze Lwowa mistrz Ukrainy w strzelaniu, którego zlatynizowaną wersję nazwiska zapisano jako Hribovskiy. To podpowiedziało pracownikowi wywiadu, że warto rozszerzyć poszukiwania o inne wersje transkrypcyjne nazwiska. Trafny okazał się zlatynizowany białoruski wariant — Rostislau Hribouski.

Człowiek o takim imieniu i nazwisku okazał się być dziennikarzem, obywatelem Republiki Białoruś, który zatrzymał się w hotelu Rixos w Trypolisie. Nietypowe imię, nieczęste nazwisko... To musiał być ten człowiek! Ponad wszelką wątpliwość Rostislav Gribovskiy i Rostislau Hribouski to jedna i ta sama osoba. To, że poszukiwany posługiwał się paszportami dwóch sojusznicznych państw, których wywiady ściśle ze sobą współpracowały, nie pozostawiało wątpliwości co do charakteru, w jakim Gribovskiy, alias Hribouski, przebywał w Libii. Włamanie się do słabo zabezpieczonej sieci hotelu Rixos pozwoliło

zajrzeć do komputera rzekomego dziennikarza. Rezultaty penetracji jego zawartości zadziwiły Flisse'a. Okazało się, że dostęp do dysku jest chroniony tak przemyślnymi, profesjonalnymi zabezpieczeniami, że służby techniczne DSGE potrzebowały kilku dni, aby wreszcie stwierdzić, iż albo dysk jest pusty, co było mało prawdopodobne, albo pliki z treścią są poszatkowane, rozproszone i ukryte wśród plików systemowych. Interesujące pliki odnaleziono na pulpicie; zawierały one pisane bardzo prostą — by nie powiedzieć prymitywną — angielszczyzną dane dotyczące sytuacji w Libii. Flisse znał ten sposób łączności. Agent nie musiał wysyłać donikąd informacji, a jedynie pozostawiał łatwy dostęp technikom z centrali, którzy wchodzili do jego komputera i pobierali z niego dane. Analogicznie do sytuacji, w której pozostawia się niezamknięte drzwi w wielopokojowym domu — może przez nie wejść ktoś, kto wie, które drzwi są właściwe i czego należy szukać w pomieszczeniu.

Zgodnie z obowiązującymi procedurami Jean-Marc Flisse sporządził króciutką sygnałną notatkę, która trafiła do kilku zwierzchników. Już następnego dnia wezwał go inspektor Patrick Calvar, w DGSE kierujący Wydziałem Wywiadu. Jakkolwiek Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego podlega ministrowi obrony Francji, to na czele całej służby stoi zazwyczaj były ambasador lub polityk z dużym doświadczeniem międzynarodowym. Praca wywiadu przypomina układanie heksametrycznych puzzli, dlatego ani żołnierska umiejętność karnego wykonywania rozkazów, ani doświadczenie urzędnika niższej rangi w ambasadzie nie wystarczą do rozwiązania zadania. Znający świat, języki i ludzi dyplomaci najwyższego szczebla byli najlepszymi kandydatami do kierowania agencją wywiadu. Jednakże poszczególnymi wydziałami, czy też dyrekcjami, zarządzają eksperci wyspecjalizowani w określonej dziedzinie. Calvar zaczynał swoją karierę w policji, a

powołanie na szefa Wydziału Wywiadu zawdzięczał znajomości świata islamskiego, którą nabył, pracując w Dyrekcji Bezpieczeństwa Terytorialnego na stanowisku wicedyrektora do spraw świata arabsko-muzułmańskiego i walki z terroryzmem.

Inspektor Calvar przyjął Jeana-Marca i szefa jego sekcji w swoim gabinecie i, chociaż zaproponował kawę, ostrzegł:

— Ma pan pięć minut na uargumentowanie swojej opinii.

Flisse przedstawił zwięźle tok postępowania przy poszukiwaniu Gribovskiego.

— Czy uważa pan, że człowiek z Trypolisu i ten, którego Rosjanie wywozili z Tunisu, to ta sama osoba? Czy chodzi o różnych ludzi? — zapytał Calvar.

— Mam za mało danych, aby móc stwierdzić to bez żadnych wątpliwości. Uważam jednak, że istnieje bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że może chodzić o tego samego agenta. — Flisse był ostrożny.

— Jeśli założymy, że to jedna i ta sama osoba, to jak pan sądzi, dlaczego Rosjanie najpierw go tak pośpiesznie ewakuowali z Tunezji, a później on sam tam wracał? — zapytał Calvar.

— Mogę przypuszczać, że jest dla Rosjan bardzo cenny i być może coś ważnego z Tunisu wywoził. A później, gdy sytuacja w Tunezji uspokoiła się, wrócił, bo miał tam jeszcze jakieś kontakty czy też sprawy do załatwienia. Bazę urządził sobie w Libii, ponieważ Rosjanie mieli tam zawsze dobre układy. Na pewno nie jest nowicjuszem i działa długo w Magrebie, a może i całej Afryce.

— Jeśli ten osobnik działa w Afryce tak długo, w dodatku jako łącznik między siatkami w Libii i Tunezji, a na to wygląda, to jest kopalnią wiedzy o zaangażowaniu Rosjan w Libii i w Afryce. Dobrze byłoby, żeby tą wiedzę podzielił się

z nami. Widzę z wyrazu pana twarzy, że ma pan jakieś wątpliwości... Proszę, niech pan mówi.

— Panie dyrektorze, nie można wykluczyć, że to może być pułapka...

— W jakim sensie?

— Gribovskiy jest na tyle dobrze ukryty, że trzeba było mocno się natrudzić, aby go odnaleźć. Ale jednocześnie, jak sądzę, pozostawiono ślady po to, aby jednak można było wpaść na jego trop.

— A niby kogo mają ochotę złowić Rosjanie na Gribovskiego? Nie przesadza pan z tą perfidną inteligencją Rosjan i ich zamiłowaniem do zagadek szkatułkowych? Może to wypadek przy pracy? Zdarza się wszystkim. A za sugestię dziękuję. I za dobrą robotę.

Po wyjściu analityków z sekcji wywiadu elektronicznego dyrektor Patrick Calvar umówił się na kawę z generałem Christophe'em Rastouilem, który w DGSE dowodził Dyрекcją Operacji Specjalnych. Uzgodnili, że Gribovskiego trzeba koniecznie wywieźć z Libii, a później namówić do współpracy, przekupić lub zastraszyć. Generał Rastouil miał już swoje grupy operujące w Libii, postanowił jednak wysłać do Trypolisu komando z Tunezji. W Tunezji Francuzi czuli się jak w domu, poza tym pracowało tam dla nich wielu tubylców. Grupa, złożona głównie z Arabów i Francuzów arabskiego pochodzenia, otrzymała jasne zadanie: miała przedostać się do Trypolisu, odnaleźć, najprawdopodobniej w hotelu Rixos, niejakiego Hribouskiego, który — jak głosiła instrukcja wysłana z Paryża — był cennym agentem francuskiego wywiadu. I ewakuować go z Libii.

XIX

Położony przy skrzyżowaniu drugiej obwodnicy wewnętrznej i ulicy Al-Hadba Al-Chadra, ładnie wkomponowany w park An-Nasr hotel Rixos architektonicznie był dość banalną niską bryłą w czerwonym kolorze, ale wewnątrz imponowało pałacowym, orientalnym wystrojem. Rozległy hall recepcyjny zdobiła jasna marmurowa mozaika na podłodze i zielono-niebieska, ręcznej roboty ceramika na suficie. Portret Kaddafiego w czarnym fezie i brunatnym burnusie na tle koloru zielonego morza przypominał ołtarzyk świętego.

Recepcjonista, poważny i skupiony za marmurową ladą niczym pilot za pulpitem airbusa, wziął do ręki białoruski paszport Rona. Sprawdził nazwisko w komputerze i rozpląnął się w uśmiechu, który jak na zawołanie szeroko zagościł na jego twarzy.

— Witamy w Rixos An-Nasr, *saada* Rostisław. Czekamy na pana od kilku dni. Ma pan opłaconą rezerwację na najbliższe dwa tygodnie, ale może pan na życzenie ją przedłużyć. Ma pan jakiś dodatkowy bagaż czy tylko tę torbę?

„Zachowuje się tak, jakby przy rezerwacji ktoś powoływał się na samego Kaddafiego” — pomyślał Ron. „I co to znaczy: czekamy od kilku dni?”. Czyżby Amastan dokonał rezerwacji, ale nie powiadomił go o tym? Może czekał, aż uspokoi się sytuacja? Pokój, a ściślej dwupokojowy narożny apartament, jaki mu przydzielono, składał się z dość obszernej sypialni ze złocistymi zasłonami i takąż narzutą na szerokim łożu i z jeszcze większego salonu, z kanapą,

fotelami, biurkiem i wielkim telewizorem oraz — tak jak sypialnia — z wyjściem na taras. Okna wychodziły na park, za którym widniał wysoki mur okalający hotel.

„Warunki wspaniałe, a w dodatku płaci rząd Libii, nieźle. Tylko jak to wszystko wytłumaczyć Norwegom? Powiem, że otrzymałem apartament za taką samą cenę jak za zwykły pokój, i poproszę o fakturę na taką właśnie kwotę. Ewentualnie później przeniosę się do czegoś mniejszego. Chociaż... czy naprawdę będę tu dłużej niż te dwa tygodnie? Pewnie wszystko rozstrzygnie się wcześniej” — rozmyślał.

Nie lubił mieszkać w hotelach, bezosobowych, kojarzących się z samotnością i bezdomnością, ale tym razem cieszył się chwilą odosobnienia. Przez ostatnie tygodnie znajdował się nieustannie pod kontrolą i brak intymności stawał się męczący. Postanowił trochę odpocząć przed podjęciem poszukiwań kolegów z norweskiej ekipy.

Wziął prysznic, owinął się w puszysty hotelowy szlafrok i półożąc na łóżku, włączył komputer. Przejrzał wiadomości na stronach Agencji France-Presse i Deutsche Welle, później wszedł do swojej skrzynki pocztowej. Z e-maila od Edgara zrozumiał, że Norwegowie powinni od wczoraj być w Trypolisie. Christer prosił o kontakt, bo wszyscy w Oslo są poważnie zaniepokojeni długim milczeniem Rona. Proponował mu też, aby skupił się na Libii, która stanowi teraz bezsprzecznie najgorętszy temat światowych mediów, a skoro już jest w Trypolisie („Skąd wie, że jestem w Trypolisie? Przecież pisałem Edgarowi jedynie, że jestem w Libii? No tak, jeśli w Libii, to logiczne, że w Trypolisie”), to mają nadzieję, że włączy się do pracy ekipy. Kilka e-maili było typowymi śmieciami — aż się zdziwił, że system nie zakwalifikował ich do spamu, a włączył do głównego folderu w poczcie. Jeden z e-maili, który Ron nieopatrznie

otworzył, spowodował nawet na krótki czas zawieszenie systemu i trzeba było resetować laptop.

Był zmęczony wydarzeniami ostatnich dni i tygodni, a może to kąpiel i cisza wpłynęły na niego tak uspokajająco, że usnął przy otwartym komputerze. Zbudził się, gdy za oknami już szarzało. Przebrał się w ubranie, jakie znalazł w torbie — jaki zapobiegliwy i troskliwy ten Amastan! — i zadzwonił do Edgara. Zauważył, że chyba pod wpływem stresu i konieczności pamięć ostatnio mu się poprawiła. Bez trudu przypomniał sobie numery telefonów wszystkich członków teamu, a nawet wyrecytował bez pomyłek numer swojego konta bankowego. „Szkoda, że jest prawie puste” — uśmiechnął się.

— Ron, gdzie jesteś? — Głos Edgara w słuchawce był autentycznie radosny. — Przylecieliśmy do Trypolisu wczoraj wieczorem, a właściwie dziś w nocy, ale w dzień zdążyliśmy już zrobić pierwszą rundę po mieście. Jesteśmy w hotelu Rixos. To w samym centrum, przy parku, niedaleko ogrodu zoologicznego. Większość dziennikarzy z Zachodu, jeśli nie wszyscy, jest tutaj. Właśnie wybieramy się na kolację. Ale nie pojedziemy do miasta, zjemy w hotelowej restauracji. Tak zresztą doradził nam nasz tłumacz.

— Zamówcie jedno piwo więcej. Może dołączę. — Ron chciał, aby jego słowa brzmiały jak żart, i tak też je Edgar przyjął.

— Byłoby dobrze. Kiedy możesz dotrzeć do Trypolisu? Bo według Mathiasa powinieneś być w Załiji.

Ron odnotował w pamięci, że Mathias zna jego ostatnie miejsce pobytu, chociaż w e-mailach, które przesyłał Norwegom, nie było wzmianki o konkretach. Pisał przecież ogólnikowo, że jest w Libii.

Swoją ekipę odnalazł, jak zapowiadał Edgar, w restauracji hotelowej. Wśród kilkudziesięciu gości, w większości — sądząc po ubraniach, zachowaniu i nieodłącznym sprzęcie — dziennikarzy, którzy rozsiedli się wokół stolików, ognista czupryna Alexandra przyciągała wzrok niczym latarnia morska. Siedzieli w pięcioro: Edgar, Mathias i Alexander, jakaś dziewczyna, ładna, ostrzyżona na zapałkę, o ciemnych, wyrazistych oczach i pełnych wargach, zdradzających domieszkę krwi afrykańskiej, oraz towarzyszący jej facet, dla kontrastu z szopą siwych włosów. Członkowie ekipy filmowej przywitali się z Ronem serdecznie, jakby byli rodziną, nie widzieli się od lat i niespodzianie nadarzyła się im okazja do spotkania przy wigilijnym stole.

— To jest nasz kolega i przyjaciel, o którym wspominałem — przedstawił go Edgar krótkowłosej i jej towarzyszowi. — Ron, poznaj Therese z Francji i Kerima z Libanu. Są tu już od kilkunastu dni, więc objaśniają nam, co i jak się tutaj dzieje. A co działo się z tobą? Bo nie do końca zrozumiałem z twoich e-maili.

Edgar cieszył się entuzjastycznie, Alexander — hałaśliwie, Mathias — powściągliwie, ale za to chciał od razu zarzucić Rona pytaniami. Therese patrzyła badawczo i oceniająco, Kerim był niezadowolony.

— ...więc, jak wam mówiłem... — Kerim usiłował przywołać wątek, który Ron przerwał swoim pojawieniem się.

— Rozmawialiśmy o Thierryem Meyssanie — wyjaśniła Therese. — Niektórzy uważają go za jedyne go obiektywnego, nieskażonego natowską propagandą dziennikarza z Europy, inni za najemnika dżihadystów.

— Jaki z niego dziennikarz?! — oburzył się Kerim. — To marionetka w rękach reżimu Kaddafiego. Myślicie, że

Kaddafi jest tępym żołdakiem? Nie możemy nie doceniać wirtuozerii i przewrotności jego działań. Meysan był, i pewnie jest nadal, na usługach Hezbollahu i teraz usiłuje przekonać świat, że Kaddafi jest cacy, a zły Sarkozy i jeszcze gorszy Obama chcą go obalić. Jakby nie było setek tysięcy zabitych, gwałtów, morderstw i tortur.

— Nie bardzo rozumiem... — Ron nie zamierzał mówić o swoich przygodach w towarzystwie Therese i Kerima i chciał, aby oburzenie Libańczyka gorzało długo i wypełniało uwagę obecnych.

— Chodzi o to, czy lub w jakim stopniu jesteśmy manipulowani — starał się wyjaśnić Edgar. — Dzisiaj zawieźli nas, bo tutaj organizowane są takie rejsy-objazdy, na miejsce, gdzie wybuchła bomba lub pocisk. Na tle tego leju i ruin domu dziennikarze jednej stacji dali stand-up i powiedzieli, że to miejsce przestępstwa popełnionego przez reżim Kaddafiego, który bombarduje własnych obywateli. A dziennikarz innej stacji stwierdził z kolei, że to rakietą z samolotu NATO zniszczyła dom, zabijając niewinnych mieszkańców Trypolisu. Dwa komunikaty, do dwóch różnych światów: jeden do Zachodu, drugi do Arabów. I co mamy w rezultacie? Coraz większą wzajemną wrogość. Nieświadomie przyczyniamy się do pogłębiania przepaści. I stajemy się częścią tej maszyny propagandy i manipulacji.

Ron kochał tę atmosferę pracy dziennikarskiej. Gdy gdzieś na świecie coś się dzieje, dziennikarze, podobnie jak głodne krwawych nowości ptactwo, zlatywali się zewsząd, konkurując ze sobą, lekko naciągając fakty, byle tylko przebić się ze swoją opowieścią. A jednocześnie wszyscy mieli świadomość przynależności do jednej rodziny oraz poczucie pewnej korporacyjności i wyjątkowości. Wyjazdy, zdjęcia, rozmowy — to w dzień, a wieczorami, czasem nawet nocą aż do godzin porannych — debaty, dużo alkoholu, kłótnie, trochę flirtów. Z alkoholem to tutaj będzie

pewnie problem, ponieważ oficjalnie restauracje w Libii serwują jedynie drinki Kaddafiego, czyli coca-colę z lodem.

Ron nie docenił jednak zapobiegliwości swoich kolegów. Gdy już przeszli na patio i rozsiedli się, gdzie kto mógł, pojawiły się szklaneczki, lód z automatów donosili kelnerzy w beżowo-brązowych uniformach, a z tajnych, prywatnych zasobników każdego z żurnalistów wychynęły na świat butelki whisky. Usiedli w swoim gronie w cichszym rogu sali, za kolumną. Kerim i Therese gdzieś się zapodziali. Ron w skrócie opowiedział zmodyfikowaną wersję wydarzeń z jego udziałem: wyjechał do Algierii, bo otrzymał sygnał, że może spotkać się z liderem jednej z grup salafickich, ale wyprawa skończyła się niepowodzeniem. Po kilku tygodniach, gdy coś zaczęło kiełkować w Libii, przejechał przez Tunezję do Załiji, porozmawiał z broniącym jej pułkownikiem Darbukiem, był świadkiem walk w tym mieście. Przed kilkoma dniami przyjechał do Trypolisu i najpierw mieszkał u znajomego polskiego dyplomaty, a dzisiaj, gdy dowiedział się, że dziennikarze mieszkają w Rixos, przeniósł się do hotelu. Była to opowieść w miarę trzymająca się logiki.

Koledzy nie nalegali, aby dzielił się z nimi szczegółami, a Ron nie pałał chęcią wracania do przeszłości. Rozmawiali o tym, co trzeba i co warto sfilmować w Libii, z kim się spotkać. Kerim już się nie pojawił przy ich stoliku, ale powróciła Therese z dwiema młodymi kobietami.

— Panowie, to jest Libby z Life TV i Olivia z „La Repubblica”. Przyjechały dzisiaj i mają problem. Z komputerem Libby są jakieś problemy, a nie wezwiemy przecież tutejszych speców...

— O, świetnie trafiłyście. — Edgar był jak zwykle życzliwy. I niebezpieczny w swojej otwartości. — Mathias jest geniuszem komputerowym. Jeśli on czegoś nie potrafi, to znaczy, że nikt tego nie zrobi. Wejść do zamkniętych

systemów, zlokalizować kogokolwiek... dla niego to drobiazg. Chętnie pomoże. Prawda? — zwrócił się do niemieckiego kolegi.

Z miny Mathiasa wcale nie wynikało, że pali się do udzielania pomocy. A może nie był szczególnie zadowolony z reklamowania jego umiejętności. Ron nie wykluczał zresztą, że problem z komputerem mógł być jedynie pretekstem do zawarcia znajomości i podłączenia się przez dziewczyny do ich dobrze wyekwipowanej i zgranej ekipy. Spotykał już takie dziennikarki, chętnie korzystające z logistyki i wiedzy bardziej doświadczonych, bogatszych grup. Te przypuszczenia, zdawałoby się, potwierdzała następna prośba, którą wyartykułowała Therese:

— Okazało się, że rezerwacja Olivii gdzieś się zawieruszyła. A recepcjonista twierdzi, że ma wszystkie pokoje zajęte.

Edgar chyba wypił trochę za dużo. Cóż, jego propozycja udostępnienia połowy łóżka nie była w najlepszym stylu... Therese patrzyła zresztą na Rona.

— W recepcji dowiedziałam się, że ty masz podwójny pokój...

Porami skóry Ron wyczuł, że w tym niewinnym pytaniu-stwierdzeniu Therese kryje się jakieś drugie dno. I nie chodziło nawet o podtekst o charakterze erotycznym. Coś było też w szybkim, krótkim spojrzeniu Mathiasa. Jakby cień nieuchwytnego zagrożenia musnął chłodem włosy na przedramieniu Hariba.

— Ach, tak — rzucił lekko Ron, podnosząc do ust szklanę.
— Recepcjonista mówił prawdę. Gdy przyjechałem, brakowało normalnych pokoi i pozostał już tylko jeden, droższy apartament. Mam nadzieję, że norweska telewizja zrefunduje mi koszty — roześmiał się, patrząc na Alexandra.

Olivia była drobną, sympatyczną szatynką, o dość niepewnym spojrzeniu. Nie miał jednak ochoty ani na flirty, ani nawet na wyrzeczenie się spokoju, jaki dawała samotność. Ponadto takie sytuacje rodziły zobowiązania, które podczas pracy w warunkach wojny mogły okazać się balastem. A może po prostu bał się kolejnego odrzucenia i upokorzenia?

— Może pójdziemy do recepcji i porozmawiamy z obsługą?
— rzekł Ron, podnosząc się z fotela. Ruchem tym odebrał pozostałym możliwość przedyskutowania jego propozycji. Wstał, lekko zwrócony plecami do Therese, a twarzą do Olivii, zapraszając do towarzystwa Włoszkę, Francuzce zaś odcinając drogę do recepcyjnego kontuaru.

Olivia podążała za nim.

— Przepraszam cię — tłumaczyła się — nie chciałam stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Jakoś bym sobie poradziła. Ale Therese powiedziała, że wśród czterech osób na pewno znajdzie się jakieś rozwiązanie.

— Długo znasz Therese? Ona pracuje dla AFP?

— Dla AFP? Nie, o ile wiem, pisze dla „Courrier International” i dla jakiegoś serwisu informacyjnego w necie. Jest jak każdy z nas: bierze, co się trafi. Therese zawsze spotkasz w tej części Afryki, gdzie się coś dzieje. Wiesz, że ona biegle mówi po arabsku, w hausa i pular? A poznałam ją niedawno, podczas wydarzeń w Tunezji.

Francuska dziennikarka, ładna i poliglotka. Z bystrym spojrzeniem i zdolnością do szybkiego kojarzenia faktów. W dodatku umiejąca łatwo manipulować innymi. A przy tym właściwie bez stałego zatrudnienia. Interesujące.

Recepcjonista — ten sam, który wydawał mu klucz — był ucieleśnieniem serdeczności. Niestety, tłumaczył, nie może pomóc *saada* Rostislawowi. Hotel jest niewielki, niespełna sto pokoi, dla dziennikarzy przeznaczono tylko część

piętra („względy bezpieczeństwa i spokoju gości, pan rozumie”), pozostałe pokoje zarezerwowane, jutro pewno coś się zwolni. On bardzo szanuje *saada* Rostislafa, dlatego na pewno do jutra znajdzie rozwiązanie i miejsce dla pani, ale dzisiaj jest to nie do zrobienia.

Ron błyskawicznie podjął decyzję.

— Olivio, gdzie twoje bagaże? W przechowalni? Świetnie. Pomogę ci wnieść je na piętro. Przenocujesz u mnie, a jutro na pewno znajdzie się dla ciebie wolny pokój.

Toczył walizę, mimowolnie patrząc na pupę idącej przed nim Włoszki, której kuszącego kształtu nie kryły lekkie bawełniane spodnie. Dawno już nie był z kobietą. Nieudane małżeństwo pozostawiło blizny głębsze, niż sądził w chwili, gdy z pewną ulgą opuszczał gmach sądu po rozprawie rozwodowej. „Ron, spokojnie” — mitygował sam siebie. „Przypadki oczywiście mogą się zdarzać. Ale żeby aż takie?”.

— Rozgość się w sypialni, ja prześpię się na kanapie w salonie. Zejdę na dół, do przyjaciół. Jeśli zechcesz, dołącz — powiedział do Olivii.

— Jeśli pozwolisz, wykorzystam twoją nieobecność, aby się wykąpać. Cała jestem lepka. Później do was zejdę.

Pomaganie sobie w trudnych sytuacjach było czymś oczywistym w środowisku dziennikarskim, dlatego udostępnienie przez Rona pokoju Włoszce nie wywołało żadnego komentarza, nawet dobrotliwego żartu. Lekki uśmiech satysfakcji na twarzy Therese chyba mu się przywidział. Libby z Mathiasem poszli sprawdzić komputer. Siedzieli we czworo, nie mając ochoty przyłączyć się do bardziej szumnej kompanii pod platanami. Sączyli drinki, które zawierały coraz mniej alkoholu, a coraz więcej lodu, niemniej ożywiały rozmowę, rozwiązywały język i iskrzyły oczy. Therese niedwuznacznie kleiła się do Edgara, który

najwyraźniej nie pozostawał obojętny na jej zachęty. Ale i Edgar, i Alexander, zwykle z dystansem odnoszący się do damsko-męskich gier, zareagowali, gdy ponownie pojawiła się Olivia.

Włoszka umiała się zaprezentować. W zwiewnej tunice, ze związanymi w koński ogon włosami emanowała świeżością, młodością i seksem. Powitał ją zgodny chór podziwu, ktoś zaczął bić brawo. Therese chyba pożałowała, że dała koleżance szansę na takie *entrée*, ponieważ zaczęła szybko zbierać się do wyjścia, zabierając ze sobą Edgara. Zostali przez chwilę we troje, po czym Alexander też się pożegnał.

Siedzieli z Olivią naprzeciw siebie, leniwie, od niechcenia przerzucając się pojedynczymi zdaniami, jakby ostrożnie się nawzajem dotykali, ale oboje czuli, że słowa jedynie nieudolnie maskują rosnące napięcie czy też oczekiwanie.

— Wystraszyłam ich chyba swoim wejściem. Wszyscy uciekli.

— Na Wschodzie by powiedziano: gdy wschodzi słońce, bledną gwiazdy. Lub zielenieją z zazdrości.

— Od dawna zajmujesz się dziennikarstwem i Afryką?

— Kilka lat. Ale nie jestem specjalistą od Afryki. A ty?

— Mój mąż był z pochodzenia Libijczykiem. Znam arabski i lokalne warunki, więc redakcja uznała, że jestem specjalistką.

— Był?

Rona niespecjalnie interesowały dzieje małżeństwa Olivii, zapytał bardziej dla podtrzymania rozmowy i — mimowolnie.

— Małżeństwo skończyło się po kilku miesiącach. Po pierwszej próbie zdyscyplinowania mnie biciem po twarzy.

— Aż tak?

— Nie dawałam najmniejszego powodu, aby był o mnie zazdrosny. Ale różnice kulturowe w postrzeganiu pewnych zjawisk są jednak nie do przeskoczenia. Mimo wszystko nie mam w sobie wrogości do świata islamskiego à la Fallaci. Masz żonę? — zapytała nagle. I jakby tłumacząc się, dodała: — Oj, przepraszam, nie zrozum mnie źle. Nie szukam męża — uśmiechnęła się.

— Nie ma sprawy. Byłam żonaty. Ale też niedługo. Żona wprawdzie nie próbowała mnie bić, ale uznała, że jestem nieudacznikiem. Więc odeszła.

— A jesteś? Nie wiecie ci się?

— Jeśli za miarę powodzenia uznać stan konta czy stanowisko, to faktycznie moja żona miała rację. Ja jednak stosuję inną miarę. Nieprzypadkowo chyba po arabsku szczęście, dobrobyt i harmonię można określić jednym słowem.

— *Ittisak*. Dla mnie jest bliskie słowu *ittidaun*.

— Właśnie tak. *Ittidaun*. Skromność, pokora, harmonia. I ciągle budowanie siebie, tak aby żyć w zgodzie z tym, co w świecie piękne i dobre.

— Chyba się zaprzyjaźnimy. — Olivia znów się uśmiechnęła. — A teraz chodźmy spać. Tylko nie zrozum opacznie tego, że powiedziałam o przyjaźni i łóżku w jednym zdaniu. — Kolejny uśmiech. Zdecydowanie był jej potężną bronią.

Wyszli razem i Ron miał nadzieję, że ktoś z licznej jeszcze grupy biesiadujących na patio dziennikarzy to zauważy.

W pokoju Olivia wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Ron, dziękuję ci. Dobrej nocy.

— Dobranoc, Olivio.

Nawet nie próbował jej objąć. Wychodząc do sypialni, Włoszka pozostawiła drzwi szeroko otwarte. Ach, kobiety, nigdy nie przepuszczą nawet najmniejszej okazji, aby nęcić, tworzyć pozory, budować balkony nawet na parterze, aby mężczyźni mogli się na nie wspinać! Nic z tego. Późna pora i nawet ta niewielka ilość alkoholu wystarczyły, aby go zmorzyć. Usnął niemal natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Wydawało mu się, że spał kilkanaście minut, najwyżej godzinę, gdy obudziło go gwałtowne potrząsanie za ramię.

— Ron, obudź się! Ktoś jest za oknem! — mówiła Olivia głośnym, przenikliwym szeptem.

Przez sekundę, dwie wracała mu świadomość miejsca i czasu. Gdy zapalił lampkę nocną nad łóżkiem, zdążył w myślach powiązać wydarzenia ostatniego wieczoru z osobą Włoszki i już chciał niegrzecznym tonem powiedzieć, że to dość mało oryginalny sposób na zawieranie bliższej znajomości, kiedy z autentycznie wystraszonej twarzy Olivii wyczytał, że to nie inspiracja tanimi hollywoodzkimi filmami popchnęła kobietę w stronę jego łóżka.

— Zazwyczaj śpię bardzo czujnie, a tym bardziej w nowym miejscu nie mogłam usnąć — tłumaczyła Olivia. — Słyszałam wyraźnie, jak na tarasie ktoś się skradał, a później próbował otworzyć drzwi. Gdy zapaliłam światło, usłyszałam pospieszny tupot i wszystko ucichło.

— Może twój były chciał cię porwać — usiłował zażartować Ron, zdając sobie sprawę z tego, że nikt poza kilkoma mieszkańcami hotelu nie mógł wiedzieć, że Olivia śpi w tym akurat miejscu, a pomyśl, że któryś z kolegów mógł zrobić mu psikusa, przybywszy, aby sfilmować sceny erotyczne, jakich spodziewał się w pokoju, natychmiast odrzucił. W świecie korespondentów wojennych wzajemne poszanowanie prywatności to jedna z nienaruszalnych zasad.

Drzwi z salonu na taras były dobrze oświetlone zewnętrznymi lampami, natomiast te, które prowadziły do sypialni, kryły się w cieniu. Sprawdził je — pozostawały zamknięte, chociaż otwarcie nieskomplikowanego mechanizmu dla zawodowca stanowiłoby kwestię nie minut nawet, lecz sekund. Gdyby nie czujny sen Olivii, włamywacz mógłby wynieść pół pokoju i samego Rona, nie ryzykując zbytnio, że go obudzi.

— Jeśli chcesz, możemy zamienić się miejscami — zaproponował Włoszce.

— Nie, dziękuję. Ale niech drzwi do salonu pozostaną otwarte. I tak już pewnie nie usnę.

Rankiem, gdy Olivia brała prysznic, Ron raz jeszcze uważnie obejrzał taras. Żadnych widocznych śladów nie zauważył — może tylko zerwany liść z oplatającego ściany hotelu bluszczu. Ale równie dobrze mógł go przynieść wiatr.

Brak makijażu — czekała ich przecież wyprawa do miasta w ponadtrzydziestostopniowym upale — ukazał zmęczoną, bladą twarz Olivii i zmarszczki pod oczami. Dziennikarka z „La Repubblica” wcale nie była aż tak młoda, jak wydawała się wczoraj, miała pewnie jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat.

— Tak, wiem, wyglądam okropnie. Ale nie zmrużyłam już oka do rana...

— Nie kokietuj, wyglądasz świetnie, ale faktycznie widać zmęczenie. Powinnaś dzisiaj położyć się wcześniej.

— Jak tylko załatwię sprawę z pokojem, natychmiast się wyniosę. — Olivia na swój sposób zrozumiała słowa Rona.

Śniadanie serwowano w letniej restauracji, w pawilonie przylegającym do hotelu. Mathias i Alexander już operowali przy bufecie, nakładając sobie jedzenie na talerze.

— Siądźmy na zewnątrz, jeszcze nie jest gorąco, a pod drzewami przyjemniej. — Mathias skierował się w stronę rattanowych mebli pod platanami. Nie mogąc się powstrzymać od drobnej uszczypliwości pod adresem Olivii, zapytał ją:

— Jak pierwsza noc w Trypolisie? Wyglądasz na cokolwiek niewyspaną.

— Spałam bardzo niewiele, bo...

— Bez szczegółów proszę — zadudnił Alexander.

Olivia już otworzyła usta, najpewniej po to, aby opowiedzieć nocne przygody, ale zamilkła, napotkawszy wzrok Rona.

Zaczepek Mathiasa była jednak nie złościwością, a wprowadzeniem do informacji, jaką zamierzał im przekazać.

— Rozumiem chyba, dlaczego nie ma wolnych pokoi, chociaż jest nas tutaj nie więcej niż czterdzieścioro, pięćdziesięścioro dziennikarzy. Wczoraj, gdy wracałem od Libby, przeszedłem się po hotelu. Zajrzałem też do piwnic. I stwierdzam, że na jednego dziennikarza przypada tutaj co najmniej jeden oficer służby bezpieczeństwa. Jasne, to dla naszego bezpieczeństwa. A także po to, aby mieć nas stale pod kontrolą. Pokoje, przypuszczam, są także pod stałym nasłuchem lub nawet pod obserwacją kamer. Bądźcie ostrożni. Rozsądnie też korzystajcie z poczty elektronicznej, bo ponad wszelką wątpliwość jest przechwytywana. Korzystamy przecież z hotelowego internetu.

— Czyli... — Ron chciał wiedzieć, co proponuje Mathias.

— Czyli zgromadzono nas w jednym miejscu, aby mieć wszystko pod kontrolą. I aby w razie ostateczności użyć nas jako żywych tarcz.

— Może przeniesiemy się do innego hotelu? — zapytała Włoszka.

Alexander spojrział na nią, jakby się dziwił, że są jeszcze na świecie istoty tak niewinne i naiwne.

— To bez sensu — wyjaśnił Mathias. — Tutaj mamy przynajmniej gwarancję, że nikt nas nie ograbi i nie poderżnie nam gardeł, a inwigilować nas mogą wszędzie. Najważniejsze, żebyśmy nie wyposażali naszych przemiłych gospodarzy w nadmiar wiedzy. Natomiast wątpię, abyśmy siedząc tutaj, czegoś sensownego się dowiedzieli.

Mathias miał rację. Zapowiadany wyjazd w stronę portu został przesunięty na „godziny późniejsze”, ochroniarze i policjanci przed hotelem „zdecydowanie” odradzali samodzielną wyprawę do miasta, natomiast na popołudnie konferencję prasową zwołał Mussa Ibrahim, rzecznik prasowy rządu libijskiego.

— Zobaczycie teraz Musę Ibrahima, czyli Libyan Show — zapowiedziała z ożywieniem i ironią Therese, która miała wcześniej okazję bywać na briefingach rzecznika.

Wszyscy mieszkający w hotelu korespondenci zachodnich mediów, kilkadziesiąt osób, a także grupa dziennikarzy libijskich i z innych krajów arabskich zajęli miejsca w sali konferencyjnej. Operatorzy z ekip telewizyjnych spinali przewody, rozstawiali mikrofony na pulpicie. Obfitość mikrofonów z logo największych stacji telewizyjnych i radiowych oraz wypełniona sala potęgowały wrażenie, że konferencja rzecznika prasowego Kaddafiego jest znaczącym wydarzeniem i cieszy się zainteresowaniem mediów całego świata. Ronowi wydawało się, że wśród zgromadzonych dostrzega także dwóch mężczyzn, których widział wcześniej w otoczeniu Amastana.

Mussa Ibrahim był dość młodym, najwyżej czterdziestoletnim, energicznym mężczyzną. Lekko

łysiejący, z małą szwedzką bródką, ubrany w elegancki ciemny garnitur i błękitną koszulę bez krawata — robił dobre wrażenie. A jego angielszczyzna była perfekcyjna.

— Gość zrobił studia i doktorat w Królewskim Uniwersytecie Holloway i spędził w Wielkiej Brytanii pewnie ze dwadzieścia lat — wyjaśniła Therese, która siadła po prawej stronie Rona, oddzielając go tym samym od Olivii. Obie kobiety coś między sobą szeptały, śmiejąc się i żartując.

A rzecznik dawał popisy krasomówstwa. Siły rządowe skutecznie kontrolują sytuację w kraju. Próby obalenia demokratycznego ludowego rządu Dżamahiriji, podejmowane przez imperialistyczne mocarstwa zachodnie, są skazane na niepowodzenie. Lud Libii nie dopuści do stworzenia nad Morzem Śródziemnym nowego Afganistanu. NATO sieje śmierć i zniszczenia, giną niewinni ludzie... Później Ibrahim zajął się dementowaniem informacji przekazywanych przez zachodnie media. Trzeba przyznać, był dobrze przygotowany i zręczny: wyłowione nieprecyzyjne komunikaty jakiejś telewizji wyolbrzymiał, dementował, przedstawiając „prawdziwe fakty”.

Posypały się pytania. Na jedne Mussa Ibrahim odpowiadał bardzo wyczerpująco, inne zbywał krótką repliką lub żartem. Któryś z dziennikarzy dopytywał o stosunek do rządu utworzonego przez opozycję w Bengazi, inny naciskał na wyjazd do Misraty. Rzecznik zapewniał, że wprawdzie sytuacja w kraju jest pod kontrolą, ale władze Libii odpowiadają za pełne bezpieczeństwo goszczonych korespondentów, zatem nie mogą wystawiać na szwank ich zdrowia i życia, a bandyckie ugrupowania tylko czyhają na okazję, aby dopuścić się jakiejś prowokacji.

Po zakończonej prawie dwugodzinnej konferencji Mussa Ibrahim udzielił jeszcze kilku wywiadów na wyłączność. W Ronie krzepło przeświadczenie, że uczestniczy w jakimś

przedstawieniu, w którym jemu i innym dziennikarzom przypisano rolę nawet nie statystów, a ruchomej dekoracji, scenariusz zaś na bieżąco pisze się poza hotelem, nawet nie na ulicach Trypolisu czy Bengazi, a gdzieś w odległym miejscu. Pomny rozmów z Amastanem, nie wątpił, że reżim Kaddafiego skazany jest na upadek. Otwarte pozostawało pytanie: o co teraz toczy się gra? O ile Kaddafi i jego rodzina walczyli o przeżycie, o tyle otoczenie Wodza wydawało się grać na czas i targować o jak najlepsze warunki kapitulacji.

XX

Hotel Rixos, chociaż położony w centrum stolicy kraju ogarniętego wojną domową, żył w miarę spokojnym, osobnym życiem. Przez to Ron czuł się nie tyle jak na misji wojennej, co raczej zdawało mu się, że wyjechał na luksusowe, chociaż trochę nudne wczasy w pięciogwiazdkowym hotelu, przerywane od czasu do czasu konferencjami i kontrolowanymi wyjazdami pod ochroną żołnierzy do Trypolisu i na jego przedmieścia. Upływały kolejne dni. Olivia zamieszkała na dobre w jego apartamencie, ponieważ wolnych pokoiów nie było („*Saada* Rostislaw, nie mogę nic zrobić. Proszę, dzisiaj przyjeżdża duża ekipa telewizji tunezyjskiej. A pokoje mieli zarezerwowane już od tygodnia” — wyjaśniał zarządzający hotelem). Przyzwyczaili się do siebie, bez problemu akceptując nawzajem swoją obecność w sąsiednich pokojach. Chyba oboje z niechęcią przyjęliby separację. Mimo że pozostawali z Olivią tylko dobrymi kolegami, a Ron nie przekroczył progu sypialni, wszyscy traktowali ich jak parę. Wpisywało się to w przyjęte w ich środowisku obyczaje, gdy skazani na samotne tułanie się po różnych krajach i wojnach młodzi ludzie budowali chwilowe iluzje miłości, rekompensując brak pełnowartościowych emocjonalnie związków i wypełniając pustkę nijakich pokoiów hotelowych. Była w tych próbach budowania chwilowego szczęścia także chęć ucieczki, chociaż na chwilę, i zapomnienia o tym, że za progiem toczy się wojna, czyha śmierć, a wyprawa może okazać się ostatnią.

— Zastanawia mnie, kto pierwszy dorwie się do miliardów Kaddafiego, które Pułkownik wytransferował za granicę i zainwestował w Europie — rozważała Therese. Tego

popołudnia leżeli przy basenie, popijając mdłe piwo lokalnej produkcji. Olivia otwarcie położyła głowę na brzuchu Rona, demonstrując łączącą ich bliskość.

„Żyjemy w wirtualnym świecie, świecie podpowiadanych obrazów i sugerowanych snów” — myślał Ron. „Nawet ta scena z Olivią: obraz jest tak odmienny od rzeczywistości. A mnie nawet nie chce się tej wirtualnej, udawanej rzeczywistości uczynić realną, chociaż wystarczyłoby jedno słowo, jeden gest”. Zachowanie Włoszki odczytywał jako zachętę czy propozycję zmiany charakteru ich relacji. Włosy Olivii łaskotały mu ramię i nos; pachniały lekkim odcieniem jaśminu i róży.

Alexander był wierny swojemu trzeźwemu spojrzeniu na świat.

— Najpewniej nasze zachodnie rządy coś tam odpalą nowym władzom Libii, jeśli Kaddafi rzeczywiście upadnie i jeśli takie nowe władze kiedyś się uformują. Część majątku zdążyli przejąć członkowie rodziny, bo nie wierzę, że jeszcze nie uciekli. A pozostałe miliony pozostaną w bankach, funduszach i firmach, wzmacniając naszą gospodarkę i naszą demokrację. No i przynosząc jakieś tam dywidendy ich właścicielom i menadżerom.

— Bardziej nawet niż pieniądze Pułkownika interesuje mnie dokumentacja jego współpracy z Zachodem. Nie wierzę, że Wódz nie przechowuje gdzieś polis ubezpieczeniowych na swoje życie — drążyła temat Therese. — Lokował przecież majątek nie tylko w bankach, funduszach i nieruchomościach. Inwestował w kluby piłkarskie, w partie polityczne, w kariery konkretnych europejskich polityków... Informacja o takich związkach jest dzisiaj ważniejsza niż miliony czy miliardy dolarów lub euro...

Ron leniwie, spod wpróprzymkniętych powiek patrzył na chmurkę, która wyłoniła się znad platanów. Dlaczego Therese podniosła sprawę aktywów Kaddafiego? Przecież niemożliwe, aby wiedziała coś o notesie Hanema. Oczywiście temat jest frapujący z dziennikarskiego punktu widzenia, chociaż wszyscy żyli raczej aktualnie toczącymi się w Libii wydarzeniami, operacjami wojskowymi, działaniami NATO, stanowiskiem poszczególnych państw. Jeśliby Kaddafi został obalony, pojmany i postawiony, podobnie jak zbrodniarze z Bałkanów, przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym, wypłynęłyby na świat nie tylko dowody jego zbrodni, ale także świadectwa współpracy z Zachodem.

Rozmowę z Therese podtrzymywał już tylko Edgar, nie wiadomo, czy bardziej z autentycznego zainteresowania tematem, czy raczej po to, aby jego nowa przyjaciółka nie czuła się ignorowana.

— Właściwie wciąż nie mogę zrozumieć, o co toczy się ta wojna — zastanawiał się Norweg. — Powstanie ludowe przeciwko tyranowi, które poparły zachodnie demokracje? Niech będzie. Ale to nie pierwsze takie wystąpienie w Libii. Gdy wcześniej wybuchały powstania, nic nie robiliśmy. Polityka, a tym bardziej wojna, to jednak poważna sprawa. Coś naprawdę niezwykłego, nowego, musiało doprowadzić do zmiany naszego stosunku do Kaddafiego i do Libii. Ron, pamiętasz, co mówił ten algierski minister od ropy?

— Taak, co masz na myśli? — Ronowi niezbyt chciało się wdawać w pogłębione analizy. Słońce i zapach włosów Olivii działały i uspokajająco, i podniecająco zarazem.

— Myślę o tej koncepcji wielkiego zagłębia naftowego i gazowego, od Nigerii i Sudanu na południu do Morza Śródziemnego. Jeśli jest coś na rzeczy i jeśli Kaddafi chciał zrobić z Libii szlak tranzytu węglowodorów z pól Afryki do

Europy, to faktycznie mógł komuś nad Zatoką mocno nastąpić na odcisk.

— Edgarze, dobrze koncypujesz — zadudnił, ale jakoś leniwie i bez przekonania Alexander. — Prawda stara jak świat: jeśli w polityce nie wiadomo, o co chodzi, to najpewniej chodzi o kasę, broń i ropę.

Po kolacji, gdy zapadł zmierzch, przenieśli się na patio. Mathias, nieobecny całe popołudnie, wrócił z dwiema butelkami walkera blue label.

— Dar od moich tajemniczych sponsorów — zażartował. Poleciał kelnerom, aby przynieśli wiaderka z lodem, do których wstawił kwadratowe butelki. Sączyli starą, kilkudziesięcioletnią whisky, przekomarzając się, przeplatając poważne tematy żartami.

— Mathias, jaką to specjalną okazję dzisiaj świętujemy? — Alexander był smakoszem i znawcą trunków, więc najpełniej umiał docenić i wielowątkowy smak whisky, i starania Mathiasa. — To nie są twoje sześćdziesiąte urodziny przypadkiem? A, już świętowałeś. To może zaręczyny Rona z Olivią?

Jeśli Alexander dotykał takich tematów, które zazwyczaj uznawał za tabu, oznaczało, że był wstawiony. Ostatecznie pili właściwie od obiadu. Ron też czuł, że język mu się płacze, a świat nie jest w pełni statyczny.

— Muszę napić się kawy — zawyrokował. Wstał, ruszając w kierunku baru.

— A ja idę spać — orzekła Olivia, wstając wraz z nim od stolika. — Tylko nie siedź zbyt długo, jutro rano mamy przecież objazd miasta.

Zabrzmiało to tak, jakby żona zwracała się do męża zbyt długo biesiadującego z kolegami. Alexander uśmiechnął się dobrotliwie.

Popijając kawę, Ron wyszedł z filiżanką w dłoni przed hotel. „Chyba jednak jestem pijany” — doszedł do wniosku, gdy się potknął i był zmuszony przysiąść przy pustym już stole pod drzewami. I była to ostatnia myśl, jaka tego dnia przemknęła mu przez głowę.

XXI

Śpiąc zapewne zsunęłyby się z ratanowego fotela, gdyby dwaj inni mieszkający w hotelu korespondenci — z tunezyjskiej telewizji, bo takie logo widniało na ich kamerach podczas konferencji Ibrahima — którzy akurat przechodzili obok, nie podchwycili go pod rękę. Nie poprowadzili oni jednak Rona do hotelu, lecz w stronę parkingu, gdzie czekał na nich samochód terenowy na libijskich numerach. Pomogli wsiąść do środka pogrążonemu w głębokim śnie koledze po fachu i ruszyli powoli w stronę wyjazdu. Strażnicy bez ponaglania otworzyli bramę i nissan bez przeszkód opuścił strzeżone terytorium hotelu.

Wypadki za bramą rozegrały się błyskawicznie. Gdy tylko nissan patrol wyjechał na zupełnie opustoszałą o tej porze ulicę, otoczyły go trzy inne samochody. Wyskoczyło z nich kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy dosłownie przystawili lufy pistoletów maszynowych do głów porywaczy.

— Wysiadać! *Muchabarat Dżamahirija*, Służba Bezpieczeństwa Dżamahiriji! Twarzą na asfalt! — warknęli do Tunezyjczyków. Ci, kompletnie zaskoczeni, nie próbowali nawet sięgnąć po broń spoczywającą w skrytkach samochodu. Czterej porywacze ułożeni w rząd na szosie zostali dokładnie przeszukani, skuci kajdankami i przeniesieni do dżipów służby bezpieczeństwa. Broń z samochodu zarekwirovano i włożono do bagażnika. Dwaj spośród napastników odwieźli nieprzytomnego Rona przed hotel i usadowili go ponownie na miejscu przy stoliku, przed pustą filiżanką po kawie. Strażnicy hotelowi otwierali

i zamykali bramę, nie pokazując się, jakby w ogóle nie istnieli.

Gdy dwaj towarzysze tunezyjskich dziennikarzy wyszli przed hotel, aby udać się w stronę parkingu, po nissanie, porywaczach i służbie bezpieczeństwa nie było już śladu. Tylko przy stoliku, rozparty w fotelu, smacznie spał korespondent norweskiej telewizji. Grupka roślących kelnerów z Rixos stała tuż obok, paląc papierosy. Jeden z nich dzwonił do włoskiej dziennikarki, która mieszkała z Norwegiem, wyjaśniając, że jej przyjaciel usnął i trzeba go przetransportować na piętro. Tunezyjczycy spojrzeli na siebie i jeszcze bardziej zdecydowanym krokiem ruszyli na parking. Wyjechali tak pośpiesznie, że aż koła ich wozu zapiszczały na wirażu. Strażnicy otworzyli szeroko bramę, wiedząc, że za zakrętem na tunezyjskich gości czekają samochody z agentami.

Tunezyjczyków z pierwszego samochodu, którzy próbowali porwać Rona, osobiście przesłuchiwał Amastan. Częściowo zrujnowana willa na obrzeżach Trypolisu gwarantowała, że nikt nie przeszkodzi im w konwersacji.

— Przyjaciele, macie bardzo prosty wybór. Albo mówicie wszystko, co wiecie, a nawet to, czego się tylko domyślcie, i posiedzicie parę miesięcy, aż rewolucja was wyzwoli (tego Amastan akurat nie był pewien; podejrzewał nawet, że Tunezyjczycy nie dożyją chwili, w której opozycjoniści zbliżą się do Trypolisu), albo będę po kawałku odstrzeliwał wam ręce i nogi.

— Jesteśmy dziennikarzami telewizji tunezyjskiej...
— zaczął jeden z porywaczy.

Amastan bez emocji przestrzelił mu nogę.

— Źle zacząłeś, przyjacielu. Spróbujmy jeszcze raz... Jak widzisz, to jest glock i ma w magazynku dwadzieścia pięć kul, więc wam wszystkim może zabraknąć rąk i nóg.

Ranny dziennikarz nie stracił przytomności ani jasności umysłu. Wiedział, że jeśli powie prawdę, zginie. Jeśli sprzeda wiarygodną opowieść, ma szansę ocalić głowę. Amastan bez większego przekonania wysłuchał opowieści o tym, że tunezyjska służba bezpieczeństwa chce wywieźć Norwega do Tunezji, aby dowiedzieć się od niego, gdzie są cenne materiały zdjęciowe z rewolucji dokumentujące zbrodnie reżimu Ben Alego.

Amastan westchnął.

— Skoro nie chcesz żyć, masz do tego prawo.

Wyprowadził Tunezyjczyka do drugiego pomieszczenia, zakleił mu usta taśmą samoprzylepną i strzelił w powietrze.

— Siedź cicho — rozkazał. — Rana nie jest groźna.

Wrócił do pozostałej trójki.

— Teraz kolej na ciebie — rzekł, wskazując kolejnego dziennikarza.

Zamordowanie kolegi złamało pozostałych. Słowo po słowie, już nie uciekając się do strzelania ani w nogi, ani w powietrze, Amastan dowiedział się prawdy. Tunezyjczycy działali na zlecenie Francuzów. Mieli przewieźć Rona w umówione miejsce pod Trypolisem, skąd zabrałby go śmigłowiec armii francuskiej. Amastan długo pozostawał w zadumie, bo ten, którego uznał za szefa grupy, powiedział, że porwany Norweg to ważny agent francuskiego wywiadu, którego za wszelką cenę należało wywieźć z Trypolisu przed rozstrzygającą bitwą o libijską stolicę.

XXII

— Ale się skułeś. Trzeba było cię prawie wnosić na piętro. Dobrze, że Mathias mi pomógł. Byłam przekonana, że wy, ludzie z północy, macie mocniejsze głowy — powitała go ze śmiechem Olivia, gdy rankiem pocierał dłonią czoło, usiłując przegonić z własnej czaszki stado pustynnych myszy. — A ja naiwna łudziłam się, że ten uroczy wieczór będzie miał romantyczny ciąg dalszy.

Lekki ton głosu Olivii nie pozwalał się domyślić, ile w jej słowach jest prawdy, a ile ironii.

— Musimy się zbierać, za godzinę odjeżdża autokar — ponaglała.

Ron rzeczywiście niewiele pamiętał z minionego wieczoru, a ściślej — pamiętał wszystko ze szczegółami, ale tylko do chwili, gdy usiadł przy stole na zewnątrz z filiżanką kawy. „Przecież kawa nie mogła mi zaszkodzić, a wypilem w sumie niewiele. Pewnie zmęczenie i stres dały o sobie znać”.

Tego dnia służba prasowa Ibrahima zafundowała im wycieczkę do zachodnich przedmieść Trypolisu, aby pokazać szkołę i kolejny dom zniszczone, jak utrzymywali ich przewodnicy-opiekunowie, przez bomby z natowskich samolotów. Mathias bez entuzjazmu zrobił kilka ujęć. Edgar nagrał na tle ruin krótki komentarz i zdecydował:

— Resztę dokręcimy w parku przed hotelem.

W drodze powrotnej z półdrzemki wyrwał Rona telefon od Amastana.

— Jak zdrowie? Jak ci idzie praca? — Kurtuazyjne wstępne pytania poprzedziły wyłuszczenie prawdziwego celu telefonu od Libijczyka. — Ron, musimy koniecznie spotkać się dzisiaj. Od czternastej będę czekał na ciebie przed bramą hotelu.

Podczas obiadu Ron poinformował kolegów, że musi na krótko pojechać do polskiej ambasady, ponieważ dyplomaci zbierają się do ewakuacji, a on ma do przekazania konsulowi dokumenty, które dała mu pewna polska rodzina z Załiji.

— Może uda mi się porozmawiać z ambasadorem. Postaram się go namówić na jakiś komentarz dla naszej telewizji. Z tego, co wiem, ambasador jest wybitnym ekspertem od regionu i może coś ciekawego opowiedzieć — dorzucił.

Ama przyjechał sam. Dowodziło to, że sytuacja w mieście nie jest aż tak krytyczna — skoro nie obawiał się jeździć bez ochrony — ale wskazywało również na chęć rozmówienia się bez świadków. Pojechali do restauracji Aldżafa u zbiegu ulic an-Nasr i Sajidi Munajdar. Usiedli nieopodal małego sztucznego wodospadu. Jego szum głuszył dźwięk rozmowy, a krzewy i drzewa, wśród których ukryte były stoliki, zasłaniały ich przed oczami postronnych.

— Cieszę się, że spotykam cię w dobrym zdrowiu i, jak widzę, w lepszym nastroju niż ostatnio. — Prawie dyplomatyczny, nijaki wstęp Amastana zapowiadał poważną rozmowę.

Ron na tyle poznał człowieka z Kel Adżdżar, że wyczuwał napięcie pod pooraną maską twarzy Tuarega.

— Jak ci się mieszka w Rixos? Jesteś zadowolony z warunków? Spotkałeś swoich przyjaciół z Norwegii?

— Hotel jest fantastyczny, dziękuję ci za rezerwację. Ale jest mi niezręcznie, że opłaciłeś mój pobyt. Jak mam ci

zwrócić pieniądze?

— Nie obrażaj mnie, proszę. To zaszczyt dla mnie, że mogę cię gościć, więc nie mówmy o tym więcej.

Amastan w luźnej rozmowie dopytywał o przyjaciół, o innych korespondentów. Ron nie rozwodził się, ale padły imiona kolegów, w tym nowo poznanych dziennikarek z Włoch, Francji i Stanów Zjednoczonych.

— I jak Francuzka? — Amastan puścił do niego oko.

— Powinieneś zapytać mego kolegi Edgara — odbił piłeczkę.

— No to kto? Włoszka? — Zainteresowanie Libijczyka kobietami było czymś nowym w jego zachowaniu.

— A, wiesz, Olivia zamieszkała ze mną...

— Ooo. — Amastan był zaskoczony. Zbyt mocno to okazywał. — Czy mam ci czego gratulować?

Ron podjął żartobliwy ton rozmowy. Westchnął.

— Niestety, nie ma czego. Nie dzielimy łóżka. Tylko apartament. Ale dzięki temu jestem dobrze chroniony. I za to jestem ci osobiście wdzięczny.

Patrzył Amastanowi wprost w oczy. Tym razem zaskoczenie Libijczyka było prawdziwe, bo prawie niedostrzegalne.

— Jak się domyśliłeś? — Ama przyglądał się Ronowi uważnie i jakby z pewnym uznaniem.

— Powiedz mi, jakie jest prawdopodobieństwo, że bardzo ładna kobieta, w moim typie, związana z Libią, dziennikarka z doświadczeniem, nie potrafi zarezerwować pokoju? I że wolnego pokoju nie będzie w całym hotelu? A ja, dziwnym trafem, mam zarezerwowany i opłacony podwójny apartament, jeden z kilku, jakimi dysponuje Rixos?

— No cóż. Porozmawiajmy zatem otwarcie. Pamiętasz wypadki w Tunezji? Dlaczego Rosjanie porwali cię i chcieli wywieźć do Rosji?

— Naprawdę nie mam pojęcia. Może dlatego, że jestem uchodźcą politycznym z Białorusi, kraju, który jest sojusznikiem Rosji?

— Ron, bądźmy poważni. Ilu jest uchodźców ze Wschodu w twoim kraju? I dlaczego mieliby polować na ciebie? Zresztą, nie tylko Rosjanie.

— Nie rozumiem...

— Wczorajszego wieczoru usiłowano znów cię uprowadzić. Tym razem Francuzi. Nie przekonasz mnie, że dziennikarz, nawet jeśli byłby znakomitością, wzbudza takie zainteresowanie dwóch mocarstw. Co jest grane, Ron?

— Uprowadzić... Nic nie pamiętam.

— Nie pamiętasz, bo wsypano ci do kawy silny środek usypiający. Ale sprawdziłem wszystko dokładnie i mam pewność, że to Francuzi chcieli cię wywieźć z Trypolisu. Czy byłeś kiedykolwiek we Francji?

— Nie mogę uwierzyć w twoją opowieść... Nie tylko nie mam nic wspólnego z rządem francuskim, ale nigdy nie pracowałem dla francuskich mediów, chociaż to brzmi dziwnie. W samej Francji byłem tylko trzy razy, i to przelotem. Ostatnio w grudniu ubiegłego roku.

— Ron, jesteś zagadką, której nie potrafię rozwiązać. Wiem, że nie mówisz mi wszystkiego, ale czuję też, że nie kłamiesz. Jest coś, o czym pewnie sam nie wiesz. Ciągle myślę o rewizji, jaką przeprowadzono w twoim pokoju w Tunisie. Masz coś, co i Rosjanie, i Francuzi koniecznie chcą mieć.

— I dlatego umieściłeś mnie w hotelu, który jest więzieniem? A w dodatku przydzieliłeś osobistego

ochroniarza? Bardzo zresztą sympatycznego.

— Rixos jest dzisiaj najbezpieczniejszym miejscem w Libii. Fakt, jesteście pod obserwacją, ale jesteście też dobrze chronieni.

— A w dodatku wyeksponowałeś mnie jak w witrynie sklepowej. Przecież tam są chyba wszystkie wywiady świata, więc każdy z nas z miejsca staje się podejrzany i obserwowany. Nie przekonasz mnie, że Francuzi, jeśli było tak, jak mówisz, przypadkowo dowiedzieli się o moim istnieniu i miejscu pobytu.

— Uwierz mi, to dla twojego bezpieczeństwa. Mam teraz dużo roboty i nie mógłbym cię chronić. Zresztą musiałeś powrócić do swego świata i do pracy. A nie możesz wciąż uciekać, nie wiedząc nawet, przed czym i przed kim.

Milczeli dłuższą chwilę, popijając mocną, słodką herbatę z orzeszkami pinii. Wszystko zostało powiedziane. Ron był owcą w klatce, której głos miał zwabić drapieżniki. Nie był tylko pewien, czy klatka chroni go wystarczająco dobrze.

— Powiedz mi, co naprawdę dzieje się teraz w Libii? — Ron postanowił wykorzystać okazję rozmowy z Amastanem do zweryfikowania informacji, jakie przekazywali sobie korespondenci w Rixos.

— Mogę potwierdzić to, co powiedziałem ci w drodze do Trypolisu. Upadek Kaddafiego jest tylko kwestią czasu. On też zdaje sobie z tego sprawę. Obalenie w 2003 roku prezydenta Iraku Husajna przez Amerykanów dużo go nauczyło, dlatego Pułkownik nie ma złudzeń, że jego dni są policzone. Mogę ci powiedzieć w zaufaniu, że syn Kaddafiego Saif al-Islam usiłował wynegocjować z Anglikami porozumienie. Zaproponował, że Kaddafi ustąpi dobrowolnie, wyjedzie z kraju i nie będzie ścigany. Natomiast zwolennicy obecnego reżimu i powstańcy powołaliby do czasu wyborów koalicyjny rząd przejściowy.

Ale brytyjski minister obrony odrzucił tę propozycję. Anglicy i Francuzi chcą nie tylko obalić Kaddafiego, oni chcą go zabić. Więc czeka nas długa wojna domowa. Militarna sytuacja Pułkownika też wygląda fatalnie. Natarcie sił rządowych na Bengazi zostało zatrzymane przez lotnictwo NATO. Część armii przeszła otwarcie na stronę powstańców, a ci, którzy nie mają takiej okazji, dezertują. Opowiem ci pewną historię. Pilot bombowca Su-17, któremu rozkazano bombardować Bengazi, rozmyślnie roztrzaskał samolot, a sam się katapultował. Jeśli takie nastroje są wśród elity oficerskiej, to możesz się domyślić, co myślą i czują prości żołnierze. Opozycjoniści utworzyli w Bengazi Tymczasową Radę Narodową, czyli rząd alternatywny. Francuzi, Brytyjczycy i Włosi wspomagają opozycję dostawami broni i doradców wojskowych. Wspierają z powietrza, wysyłają wywiadowców i dywersantów. Cały wschód kraju, od Adżdabiji do Al-Dżałf, jest w rękach przeciwników Kaddafiego. Nawet najbliżsi członkowie rodziny Pułkownika myślą już tylko o tym, jak wydostać się z kraju. Wiesz, że władze Malty nie zezwoliły na lądowanie samolotu z Aiszą, córką wodza?

— Tak, czytałem. Dlaczego ona chciała uciec?

— Jest w zaawansowanej ciąży i szuka miejsca, gdzie mogłaby spokojnie urodzić. Chce uniknąć losu swego młodszego brata, Saifa al-Araba, który zginął wraz z trójką swoich dzieci pod bombami waszych samolotów.

— A sam Kaddafi?

— Po tym, jak Francuzi i Brytyjczycy zapowiedzieli, że będą go ścigać, Kaddafi nigdy nie opuści Libii. I nawet nie dlatego, że nie miałby się gdzie schronić, bo zawsze by się znalazł jakiś kraj, który by przyjął zarówno jego, jak i jego miliony, ale dlatego, że wówczas straciłby twarz. Nie

zapominaj, że Kaddafi czuje się też człowiekiem pustyni i że może stracić życie, ale nie może dopuścić do utraty honoru.

— A to oznacza dalszą wojnę. Aż do końca Kaddafiego.

— Obawiam się, że nawet śmierć Kaddafiego nie zatrzyma wojny. To początek wielkiego chaosu.

Amastan odwiózł Rona do hotelu i, podobnie jak poprzednim razem, zatrzymał się w sporej odległości od bramy wjazdowej.

— Żegnaj. — Ron wyciągnął dłoń.

— Do zobaczenia. *In sha'a Allah*. Jeśli Bóg pozwoli — odpowiedział człowiek z Kel Adżdżar.

Kolejne dni minęły bez żadnych istotnych wydarzeń. Rzecznik libijskiego rządu, który — jak się okazało — wraz z rodziną także mieszkał w hotelu Rixos, zwołał kolejną konferencję. Niewiele wniosła do wiedzy dziennikarzy o tym, co dzieje się w Libii, więc wieczorem podjęli decyzję o rychłym opuszczeniu Trypolisu. Ron wspólnie z Edgarem mieli przygotować plan wyjazdu. Hotel Rixos był wygodnym i bezpiecznym miejscem do życia, ale nie najlepszym punktem do obserwacji wydarzeń w Libii. Rozważali dwa warianty: wyjazd do Tunezji i stamtąd do Europy lub próba przebicia się do Bengazi, gdzie ulokował się opozycyjny, tymczasowy rząd. Edgar proponował rozważyć wariant z wycarterowaniem, wspólnie z innymi ekipami, samolotu z Włoch, ale uzyskanie zgody na przelot w przestrzeni zamkniętej przez lotnictwo NATO zajęłoby zbyt wiele czasu. Edgar chętnie pozostałby jeszcze w Libii, ale większość opowiedziała się za powrotem do Europy.

— Miałem nadzieję — wyjaśniał Edgar Ronowi, gdy siedzieli we dwóch, rozważając drogi ewakuacji z Trypolisu — że podczas tej wyprawy trafię na jakiś naprawdę bombowy news, coś, co dałoby mi kopa w górę. Wiesz, że takie okazje jak ta wojna nie trafiają się często.

Ron popatrzył na kolegę, ambitnego i prostolinijnego, takiego, jakimi są ludzie wychowani w zachodnim świecie współzawodnictwa, gdzie miarą wartości człowieka są spektakularne sukcesy zawodowe.

— Edgarze, mam coś dla ciebie. Ale musisz to dobrze wykorzystać.

Podał mu notes Hanema.

— To po arabsku. Nie znam arabskiego.

— Więc po powrocie do Norwegii przetłumacz. Tutaj byłoby to zbyt niebezpieczne.

— A co jest w tym notesie?

— Pamiętasz temat, który poruszyła Therese? — odpowiedział Ron.

— Pieniądze Kaddafiego? — podniecił się Norweg.

— Niezupełnie, ale blisko. Tu są dowody kontaktów Kaddafiego z politykami Zachodu. I liczby. Kto, kiedy, ile otrzymał od Libijczyków.

— To przecież sensacja. Dlaczego sam tego nie wykorzystasz? — podejrzliwie zapytał Edgar.

— Nie można tych wiadomości przekazać stąd. Mogłoby się to fatalnie skończyć dla nas wszystkich. Wyobrażasz sobie, ilu ludzi chciałoby zapobiec ujawnieniu takich informacji? A w twojej spokojnej, praworządnej Norwegii będziesz mógł bezpiecznie to opublikować.

— A mógłbyś mi przeczytać jakiś fragment? Abym wiedział, o co chodzi... — Edgar wyraźnie miał zastrzeżenia czy to do autentyczności dokumentu, czy to do jego zawartości.

Harib wzruszył ramionami.

— Wybierz jakiś kawałek.

Edgar otworzył notes i na chybił trafił pokazał palcem ustęp, zapisany równym, pewnym charakterem pisma. Autor posługiwał się wiecznym piórem, miał wiele czasu i duże zdolności kaligraficzne.

— Tutaj napisano: „W południe jadłem lunch z Al-Bagdadim, premierem i z Baszirem Salehem w rezydencji Baszira, na jego farmie pod Trypolisem. Baszir...”.

— Przepraszam cię, kim jest Baszir Saleh? — przerwał mu Edgar.

— Baszir Saleh? Jest, a raczej był, szefem gabinetu Kaddafiego. Czytam dalej: „Baszir mówił, że przekazał półtora miliona dla Sarkozy’ego, podczas gdy Saif-Al Islam Kaddafi wcześniej już dał trzy miliony. Powiedziano mu, że pieniądze nie doszły. Wydaje się, że operatorzy, którzy je wieźli, po prostu przywłaszczyli sobie pieniądze i rozplynęli się gdzieś w Europie, podobnie jak kurierzy z dwoma milionami od Abdellaha Sanussiego”. Jesteś usatysfakcjonowany?

— Ron, to przecież bomba. Bomba atomowa.

— Dlatego nie chcę, aby wybuchła ci tutaj w dłoni. Zwłaszcza gdy cała ekipa jest tuż obok. Rozumiesz?

— A ty?

— Nie wiem, kiedy wrócę do swojego kraju. Poza tym wydaje mi się, że głos z Norwegii będzie brzmiał bardziej wiarygodnie.

— Ron. Jestem ci bezgranicznie wdzięczny. Tak się przecież nie zdarza, aby jakiś dziennikarz dobrowolnie wyrzekł się takiego asa. Co ty będziesz z tego miał?

Edgar rozplywał się w podziękowaniach, przez które przebijały jednak zaskoczenie i podejrzliwość.

— Nie wszystko da się zmierzyć tak zwanym sukcesem. Co uzyskam? Twoją wdzięczność i przyjaźń. Czy to mało?

Pamiętając o słowach Amastana, Ron starał się zachowywać ostrożność. Praktycznie nie przebywał sam. W dzień towarzyszyli mu Norwegowie, w nocy Olivia, do której sypialni drzwi pozostawały otwarte, ale nieprzekroczone. Włoszka nie miała do niego pretensji, czy też żalu, o brak męskiego zainteresowania, a wspólnie spędzane dni zbliżyły ich mocno do siebie taką bliskością, jaka łączy rodzeństwo. Olivia była też wdzięczna Ronowi, że ani półsłowem, ani półgestem nie zdradził pozostałym korespondentom jej związków ze służbami specjalnymi Kaddafiego.

— Może to i dobrze, że nie poszliśmy do łóżka — powiedziała. — Takich przygód w życiu można mieć dziesiątki, przyjaźnie zaś zdarzają się rzadko. Jeśli będziesz kiedykolwiek w Rzymie lub będziesz czegokolwiek potrzebował, po prostu zadzwoń.

Wprawdzie razem z całą grupą Ron wziął udział w wyjeździe do Zliten, miasta na wschód od Trypolisu, dokąd Mussa Ibrahim zawiózł dziennikarzy, aby ich przekonać, że oddziały Kaddafiego kontrolują drogę do Misraty, ale pod jakimś błahym pretekstem zrezygnował z eskapady w okolice trypolitańskiego portu, którą zorganizowano im następnego popołudnia. Ponieważ jednak źle znosił beczynność i zamknięcie w hotelu, ucieszył się z telefonu od Mathiasa, który poinformował, że całą ekipą postanowili zatrzymać się w mieście, aby zrobić kilka ujęć zachodzącego słońca, i zaproponował Ronowi, aby do nich dołączył.

— Potrzebujemy trochę ujęć stolicy wieczorem. Znajdziesz nas gdzieś w rejonie Łuku Marka i meczetu Osmana Paszy.

Ron wsiadł do jednej z taksówek, które oczekiwały na klientów za rogiem hotelu Rixos, i po kilkunastu minutach był na miejscu. Na ulicy Al-Hara Al-Kabir, przy której wznosił się Łuk Marka Aureliusza, jedno z bardzo niewielu ocalałych w mieście świadectw historycznej przynależności starożytnego Trypolisu do Rzymu, norweskiej ekipy jednak nie było. „Pewnie zasiedli gdzieś w restauracji” — pomyślał. Zanim sięgnął po telefon, aby się upewnić, gdzie są przyjaciele, niespodziewanie wyrósł przed nim libijski patrol wojskowy.

— Proszę okazać dokumenty — zażądał dowódca.

Zaskoczony Ron bez słowa podał mu akredytację. Oficer rzucił tylko okiem na dokument i skinął głową żołnierzom. Ci podchwycili go z obu stron pod ręce i pociągnęli w stronę stojącego nieopodal dżipa. Nieliczni przechodnie udawali, że nic nie widzą lub że nie znajdują nic niewłaściwego w tym, że wojskowi porywają z ulicy cudzoziemca. Ron był tak zaszokowany zajściem, że nie próbował się nawet wyrywać. Żołnierze byli zresztą krzepkiej postury i uzbrojeni, więc próba ucieczki nie miała szans na powodzenie.

Samochód ruszył gwałtownie z miejsca, przemknął obok siedziby Banku Centralnego, następnie wzdłuż murów twierdzy na starym mieście, po czym wjechał przez bramę portową i zatrzymał się przed niewielkim, zdezelowanym statkiem zacumowanym bezpośrednio przy nabrzeżu. Flagę na statku opuszczono już na noc, a w pogłębiającej się szarości wieczoru napis na burcie był trudny do odczytania. W czwartkowy wieczór port pozostawał prawie bezludny, ponieważ o tej porze wszyscy spieszyli, aby zasiąść do *iftaru*, kolacji, która stanowiła pierwszy posiłek po całym dniu postu. A u kilku osób, które dostrzegł Ron, pojawienie się żołnierzy nie wywołało żadnego zainteresowania.

Wprowadzono go na pokład statku, gdzie Libijczycy przekazali zatrzymanego dwóm mężczyznom o europejskim typie urody. Ich wysportowane, sprężyste sylwetki, podkoszulki w biało-niebieskie paski i pewne siebie, spokojne zachowanie nie pozostawiały wątpliwości, że są nie rybakami czy przemytnikami ludzi, ale doświadczonymi żołnierzami, chociaż Ron nie zauważył, aby mieli przy sobie broń. Marynarze wprowadzili go do pomieszczenia w nadbudówce, usadowili w rogu i stanęli w rozkroku przy drzwiach. Wszystko działo się bez jednego słowa, jakby cała trójka odgrywała rozpisane wcześniej role w niemym filmie.

Gorączkowo usiłował poukładać z rozsypanych elementów zdarzeń ostatnich dni sensowną całość. Jeśli Amastan mówił prawdę i nie mylił się, Ron był — z jakichś nieznanых mu przyczyn — celem francuskich służb. Skoro nie udało się im raz, mogli próbować powtórnie. Ale Francuzi wyręczyli się za pierwszym razem Tunezyjczykami i wątpliwe było, aby okazali się na tyle bezczelni, by wpływać do portu w Trypolisie. A dwaj marynarze czy żołnierze ewidentnie byli Europejczykami. Może to Brytyjczycy? A może Amerykanie? Ale skąd to zainteresowanie nim, prostym tłumaczem i dziennikarzem? Rosjanie? Też próbowali. Ale przedtem mieli dziesiątki okazji, aby go pojmać — w Czeczenii, na Ukrainie, w Mołdawii, w Karabachu. Jak i gdzie uwikłał się w historię niczym z kart powieści Kafki?

Odpowiedzi na pytania, w szaleńczym tempie prestissimo przemykające przez myśl, przynieśli trzej posłańcy, którzy jak wspomnienia z przeszłości jeden po drugim wyłonili się z ciemnych drzwi. Ron dobrze zapamiętał ich twarze i chłód przerażenia mokrym piaskiem osypał mu się po plecach. Turysta, Naukowiec i Emeryt — tak ich nazwał w Tunisie — przyglądali mu się z tym samym zainteresowaniem, z jakim biolog patrzy na żywą żabę o rzadkim ubarwieniu, nim zabierze się do niej ze skalpelem.

— Witamy ponownie, Rostisławie Janowiczu. Cóż za radość pana widzieć. — Teraz dopiero mógł w pełni docenić muskulaturę Turysty, którą okrywał tylko przylegający do ciała trykot. — Ponieważ nasz wspólny powrót do ojczyzny został niespodziewanie przerwany, nie skończyliśmy rozmowy. Myślę, że ze szkodą dla pana, bo jest pan cały czas narażony na niebezpieczeństwo, a nie wie pan nawet dlaczego.

Emeryta trochę irytowała ironiczna grzeczność Turysty, która zabierała czas, a on miał przecież do wyjaśnienia znacznie poważniejsze sprawy.

— Rostisławie Janowiczu, jak pana arabski? Nadal jest pan w nim tak biegły?

Ron w odpowiedzi skinął potakująco głową, wciąż jeszcze będąc w szoku.

— A topografia miasta? Trypolisu?

Ron znów kiwnął głową.

— Wspaniale, fantastycznie. Znaczy się, że lata pracy nie poszły na marne. — Kępa siwych włosów trzęsła się radośnie na szczycie łysiny Emeryta.

Ron odzyskał wreszcie zdolność mówienia i był zdeterminowany poznać prawdę.

— Możecie mi wyjaśnić, co się dzieje? Kim jesteście i czego ode mnie chcecie?

Ostatnie pytanie zadał trochę piskliwym głosem i Turysta pośpieszył go uspokoić.

— Proszę się nie obawiać. Nic panu nie grozi. Przeciwnie, myślę, że teraz nie tylko stanie się pan sławny, w określonym środowisku oczywiście, ale i będzie otoczony nadzwyczajnie troskliwą opieką. Gazety jednak raczej o panu nie napiszą.

Turysta roześmiał się, zadowolony ze swego żartu.

— Już teraz jest pan bardzo ważny. Nie każdemu udaje się w ciągu jednej doby postawić na nogi całe Jasieniewo^[1]. Pańskie, powiedzmy, objawienie zmobilizowało SWR bardziej, niż gdyby na Syberii odkopano żywego mamuta. Myślę, że Wadim będzie w stanie lepiej zaspokoić pańską ciekawość.

Wadim — to odnosiło się do Emeryta, który wciąż przebywał w stanie naukowej ekstazy, chociaż starał się mówić z akademicką obojętnością.

— No cóż, mamy wiele czasu, zanim dopłyniemy do Cypru. Ale nie będę panu robić wykładu z kognitywistyki. Po pierwsze, bez urazy, nie zrozumie pan. Po wtóre, jednak nie wszystko może pan wiedzieć, chociaż z czasem pozna pan najdrobniejsze szczegóły programu. Chcemy pana nie tylko uratować, ale i sprawić, aby stał się pan dobrowolnym, zaangażowanym uczestnikiem projektu. Dla pana, drogi Rostisławie Janowiczu, wszystko zaczęło się w 1987 roku. Chociaż oczywiście prawdziwy początek miał miejsce znacznie wcześniej niż moment, w którym wszedł pan na scenę, bo w latach siedemdziesiątych. Powinienem dodać: minionego wieku, chociaż dla mnie to brzmi strasznie, bo przypomina mi, że pochodzę z ubiegłego stulecia. Tak więc w latach siedemdziesiątych grupa naukowców z Instytutu Mózgu Człowieka przy Rosyjskiej Akademii Nauk wypracowała niezwykle efektywną metodę, powiedzmy w największym uproszczeniu, skutecznego uczenia się. Nie, nie chodzi o jakieś tam podprogowe kodowanie, takie coś istnieje tylko w powieściach. Przynajmniej według obecnego stanu naszej wiedzy. Nasi naukowcy dokonali w istocie epokowego odkrycia. Zlokalizowali bowiem w mózgu człowieka obszar zwany *claustrum*, odpowiedzialny za wiedzę, świadomość, za zarządzanie całym pozostałym mózgiem. Jakby jądro komputera, które zawiaduje całością

procesu uczenia się. Oddziałując umiejętnie na ten jeden obszar, można powodować szybsze, nieporównanie dużo szybsze, niż dzieje się to normalnie, tworzenie się w mózgu człowieka trwałych połączeń między grupami neuronów. Te połączenia nazwaliśmy konektonami. Rosyjscy naukowcy postawili tezę, i potwierdzili ją w praktyce, że szybsze i trwalsze konektony tworzyć można poprzez oddziaływanie farmakologiczne i w głębokiej hipnozie. Dyrektor instytutu, profesor Biechtariewa, sprzeciwiała się eksperymentom w tej dziedzinie właśnie z obawy o nieprzewidywalne konsekwencje uruchomienia nowych aktywności mózgowych dla ogólnego funkcjonowania człowieka. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego był, co oczywiste, zainteresowany uzyskaniem praktycznych owoców prac Instytutu Mózgu Człowieka. Ale to już był czas Gorbaczowa i pieriestrojki. Kriuczokow, ówczesny szef KGB, nie miał już takiej władzy, aby zmusić profesor Biechtariową do zmiany decyzji. A pierwsze rezultaty były naprawdę obiecujące. I nie chodziło o zapamiętywanie słówek i map miast. Oczywiście jest przecież, że osoba poddana tej metodzie chłonie bezkrytycznie całą przekazywaną jej wiedzę, także zakładane algorytmy zachowania w określonych sytuacjach. A to, przyzna pan, już cała rewolucja. Kriuczokow nie mógł zaprzepaścić takiej szansy i postanowił przenieść eksperyment do Mińska. Na bazie mińskiego instytutu KGB powstał specjalny ośrodek, w którym rozpoczęto prace na początku roku 1988. Wie pan, nie byliśmy pierwsi, którzy takie eksperymenty prowadzili. Właściwie pionierami byli Niemcy, którzy jeszcze w latach trzydziestych odnotowywali znaczące postępy. A najbardziej zaawansowane prace prowadzili, i pewnie prowadzą nadal, Amerykanie. Może słyszał pan o amerykańskich projektach Bluebird, MKSearch? No właśnie. Lata pięćdziesiąte, fantastyczne osiągnięcia! Tylko wówczas testowano dość prymitywne środki: LSD, amfetaminę... Oczywiście podniósł się wrzask, że wykorzystuje się nieświadomych ludzi, gwałci prawa

człowieka i tak dalej. Ale Amerykanie nadal prowadzą eksperymenty, tyle tylko, że udoskonalili swoje badania i bardziej je utajnili. Wiem także o próbach podejmowanych przez Francuzów. Ponieważ z praktycznego punktu widzenia najłatwiej weryfikowalny wydawał się nam kierunek neurolingwistyczny, zaczęliśmy od niego. Wybraliśmy czternastu najbardziej zdolnych studentów kierunków filologicznych. I tak pan do nas trafił. Nie chcę wnikać w szczegóły, dowie się pan o nich w Moskwie. Kluczowy w eksperymencie był środek farmakologiczny, który podawaliśmy w formie aerozolu. Podczas zajęć studenci nawet go nie wyczuwali, zasypiali i oddychali nim. Doktor Smirnow otrzymał go z pewnej, dość rzadkiej odmiany syberyjskich grzybów. Ważne są dwie substancje, psylocyna i psylobicyna, które znajdują się w tych grzybach. Smirnow nie był w tym oryginalny. Aztekowie dwa tysiące lat temu używali grzybów o nazwie teonanacatl i kaktusa peyotl, które powodowały wprawdzie głębokie zmiany w świadomości, ale niebywale rozszerzały zdolności poznawcze i intelektualne azteckich szamanów. Wynalazek Smirnowa był jednak zupełnie nowym odkryciem. Doktor dodał do naturalnych składników nowe, sztucznie zsyntezowane halucynogeny. Otworzyło to drogę do wcześniej niemożliwych badań nad mózgiem. W ciągu kilku lat osiągnęliśmy zdumiewające rezultaty. Aztekowie nazywali teonanacatl „bramą do bogów”. My odkryliśmy bramę do umysłu, do świadomości człowieka. Umysły naszych podopiecznych wchłaniały ogrom informacji z niezwykłą łatwością. Jakbyśmy programowali komputer. Studenci opanowywali na poziomie native speakera po dwa, trzy języki. Ludzie z Łubianki chcieli mieć jednak, co oczywiste, nie tylko tłumaczy. Przekazywaliśmy więc naszym studentom całą możliwą wiedzę oraz dane o krajach, w których te języki są używane. I przygotowaliśmy do pracy w terenie. Nie zauważył pan u siebie umiejętności, których wcześniej nie posiadał? I nie

mam na myśli orientacji w mieście czy trwałego zapamiętywania twarzy przypadkowo spotkanych ludzi. A takich, powiedzmy, bardziej nietypowych? Potrafiłby pan rozróżnić rodzaje uzbrojenia czy na przykład skonstruować ładunek wybuchowy z ogólnie dostępnych materiałów?

Rościsław przypomniał sobie drogę z Załiji do Trypolisu. Mijali wówczas długą kolumnę trzydziestej drugiej brygady pancерnej Chamisa i przyglądając się przejeżdżającym pojazdom, bez problemów identyfikował typy czołgów, wozów opancerzonych, potrafił nawet nazwać rodzaje broni, jakie trzymali siedzący w pojazdach żołnierze.

— Pana akurat wziął pod kuratelę Wydział Osiemnasty Pierwszego Głównego Zarządu KGB, a że znał pan już wcześniej francuski, przydzielono panu specjalizację Magrebu i Libii. No tak... Owszem, zdarzały się pewne potknięcia. U dwóch spośród pierwszej czternastki studentów wystąpiły pewne problemy z samoświadomością. Powiedzmy wprost: głęboka schizofrenia. Jeden, Andriej, pamiętam, tak, Andriej miał na imię, źle skończył. Nie wiemy dlaczego, ale zamknął się w swoim pokoju i podpalił dom. Ale nie to było przyczyną zamknięcia programu. Wie pan, przyszedł rok 1991. Demokracja. Zmiany. Rozpadł się Związek Sowiecki. Zniknęło KGB. Zaczęto węszyć wokół projektu. I otrzymaliśmy z Moskwy rozkaz: zamknąć wszystko i zatrzeć ślady. Wariant definitywny, czyli neutralizacja uczestników programu, był z jednej strony najprostszы. Tylko że zniknięcie trzynastu studentów jednej uczelni wywołałoby zupełnie niepotrzebny szum. Pamięta pan grupę studentów syberyjskich, którzy nagle zmarli podczas wyprawy w góry? Do dzisiaj sprawa przyciąga ciekawskich. A ci nieszczęśni po prostu dowiedzieli się czegoś, czego wiedzieć nie powinni. Ale to zupełnie inna historia... Zresztą, szkoda nam było tylu lat pracy. Wierzyliśmy, że kiedyś wrócimy do projektu. Doktor Smirnow zaryzykował i podjął się zadania wytarcia z

waszych umysłów zarówno zdobytej wiedzy, jak i pamięci samego faktu, że uczestniczyliście w projekcie. Mawiał żartobliwie: „Zepchnijmy to wszystko jeszcze głębiej”. Gdzieś w okolicy mózgu gadziego. Tak. Przy tym też ponieśliśmy pewne straty. Doktor Smirnow nie miał wystarczająco wiele czasu na przygotowanie operacji i kolejnych czworo uczestników się wykruszyło. Ale pozostali wrócili do normalnego życia i poza ulotnymi, niejasnymi wspomnieniami o specjalnych kursach językowych niczego nie pamiętają. Powiem panu więcej: dwaj z nich pracują u nas. Podjęliśmy niedawno próbę reaktywacji, czy też odnalezienia w ich pamięci pokładów uspiętej wiedzy, i... nic. Tylko jakieś nieznaczące ślady. Więc gdy z Tunisu przyszła wiadomość, że ktoś użył kodu przygotowanego specjalnie dla projektu „Czudnoje snowidienije^[2]”... Prawda, że ładna nazwa? Oczywiście parafraza Puszkina... I podjął kontakt... Wywołała ona szok. Oczywiście trochę czasu zajęło odnalezienie w archiwach opisu całej historii i nazwisk ludzi. I przez to odwołano mnie z emerytury. A pan mnie nie pamięta?

Ron potrząsnął przecząco głową. Opowiadanie Emeryta brzmiało trochę jak scenariusz hollywoodzkiego filmu szpiegowskiego, trochę jak kontrwywiadowcze szkolenie dla wyjeżdżających za granicę nowicjuszy, których starają się wystraszyć opowieściami o zewsząd czyhających tam na nich knowaniach, niebezpieczeństwach i spiskach KGB. Tak można byłoby je potraktować, gdyby nie to, że siedział w kajucie statku na nabrzeżu w Trypolisie. W mieście, w którym nigdy nie był, a które zna lepiej niż Mińsk czy Warszawę. Podobnie jak bez problemu poruszał się w Tunisie i z łatwością porozumiewał się czystym fuscha, a także w dialektach dardża i tunki.

— A ja pamiętam pana doskonale. Jak i wszystkich pozostałych z naszej grupy. Pańskie objawienie się ma dla

nas ogromną wartość. Jest dowodem na to, że doktor Smirnow miał rację. Musimy pana dokładnie zbadać, przestudiować. I najprawdopodobniej wznowimy program. Tym bardziej że nauka poszła dzisiaj daleko do przodu. Mamy wiedzę, instrumenty i środki, o których przed dwudziestu laty nie mogliśmy nawet marzyć. Ponadto myślę, że pan doskonale rozumie, co by się stało, gdyby wpadł pan w ręce Amerykanów, Francuzów czy Chińczyków. Taki prezent zapewniłby ich badaniom nie tylko lata przewagi nad nami, ale ujawniłby im wszystko, co potrafimy. A do tego nie możemy dopuścić. Także w pana interesie jest, aby znajdował się pan pod ciągłą, fachową opieką. Nie ma pewności, jak pański umysł odwzorowuje program zadany przed dwudziestu laty ani jak będzie zachowywał się w przyszłości...

Ron poczuł nagłe drgnięcie statku. Nim zdążył sobie uzmysłwić, że to chyba zaczęły pracować silniki, błysk oślepił mu oczy, usłyszał najpierw krzyk: „*Inchafz, Harib, inchafz*^[3]”, a potem potężny huk.

Machinalnie, jakby powtarzał dziesiątki razy to ćwiczenie, padł na ziemię, zwinął się w kłębek, okrywając rękami głowę i przykrywając nimi zatkane dudnieniem uszy. Wrzucony do kajuty granat hukowo-błyskowy oszołomił na kilka sekund wszystkich obecnych. Tyle wystarczyło, aby komando Libijczyków wdarło się do pomieszczenia. Napastnicy w mundurach libijskiej armii działali błyskawicznie i bezwzględnie — uderzeniami kolb karabinków szturmowych AK-74 pozbawili przytomności obu strażników, nie dbając o to, czy nie rozłupali im przy tym czaszek.

Uderzenie w głowę otrzymał też Turysta, który jako najsilniejszy z trójki agentów pierwszy zaczął dochodzić do siebie. Granat hukowy wybuchł tuż pod nogami Naukowca, poparzył go, ogłuszył i oślepił. Naukowiec klęczał na

kolanach, z uszu i nosa ciekła mu krew. Emeryt, który w chwili wybuchu znajdował się najbliżej Rona, ucierpiał najmniej. Ale i on był prawie nieprzytomny, patrzył wyblakłymi, starczymi oczami na Rona, niewiele pojmując z tego, co dzieje się wokół.

Pod osłoną ciemności komando Libijczyków sprawnie wycofywało się ze statku. Rona, Emeryta i Turystę wywleczono z kajuty i prawie przeniesiono w pobliże stojących na nabrzeżu dżipów. Naukowca pozostawiono na statku, gdyż jego stan nie rokował żadnych nadziei, że kiedykolwiek coś jeszcze usłyszy lub zobaczy. Trzasnęła seria z kałasznikowa jak wielokrotne klęśnięcie bicia. To osłaniający odwrót żołnierze unieszkodliwili wbiegającego na pokład statku marynarza z pistoletem maszynowym w dłoni. Zza maski terenówki wysunęła się rura MGL i w powietrze wystrzelono dwa granaty, które eksplodowały wysoko nad statkiem. Co prawda nikomu nie wyrządziły krzywdy, ale załoga została skutecznie ostrzeżona, że w każdej chwili statek może zostać zarzucony pociskami. Nie wiadomo, czy do rozsądku załodze przemówiła ta demonstracja zdecydowania, czy też bardziej przekonał ich widok Turysty i Emeryta siedzących przy dżipach, ale pojedyncze strzały od strony statku natychmiast ucichły. Nie niepokojone przez nikogo wozy libijskiej armii opuściły port. Turystę i Emeryta pozostawiono na nabrzeżu — byli potrzebni jedynie jako tarcza ochronna.

Po kilkunastu minutach, gdy ustąpiły oślepienie i ból w uszach, a Ron zaczął rozpoznawać rozmyte w mroku kształty twarzy otaczających go ludzi i słyszeć warkot samochodu, wjechali na podwórze dobrze mu znanej willei przy ulicy Ibrahima Karamanali. Teraz dopiero w świetle lamp Ron dostrzegł, że dowódcą grupy jest Aksil. A na progu domu powitał go Amastan.

— Witaj. Najwidoczniej Allah na dobre splótł nasze losy.

[1] Jasieniewo — dzielnica na południowym wschodzie Moskwy, gdzie mieści się siedziba Służby Wywiadu Zewnętrznego Rosji.

[2] Czudnoje snowidienije (ros.) — Cudowne senne widzenie.

[3] *Inchafz, Harib, inchafz* (arab.) — Padnij, Harib, padnij.

XXIII

Ama patrzył na Rona spokojnym, ciężkim spojrzeniem. Miał przekrwione ze zmęczenia oczy i twarz ziemistego koloru.

— Dowiedziałeś się czegoś ciekawego, czym chciałbyś się ze mną podzielić?

Siedzieli w trójkę w pokoiku-gabiniecie Amastana — oni dwaj i Aksil, wybawiciel Rona. Siorbali herbatę z miętą, tylko Ama mimo późnej pory pił mocną kawę i żuł korzenie ibogi.

— Są świetne na zmęczenie — wyjaśnił.

Korzenie tej pochodzącej z Gabonu rośliny mają faktycznie silne właściwości stymulujące, ale i halucynogenne.

— Jak mnie odnaleźliście?

— Telefony komórkowe to dobra rzecz. Mogą pełnić także rolę GPS. A na wszelki wypadek w twoim telefonie jest jeszcze jedna, dodatkowa aplikacja, która pozwala ustalić miejsce przebywania właściciela aparatu z dokładnością do dwóch metrów. — Jakby cień uśmiechu pojawił się na twarzy Amastana.

— Czyli byłem cały czas pod kontrolą?

— Byłeś cały czas pod naszą ochroną. Próba uprowadzenia cię w Tunisie przekonała mnie, że masz przy sobie klucz do jakiejś tajemnicy, której rozwiązanie może być nam przydatne. Teraz wykładamy wszystkie karty na stół. I co ci się udało ustalić?

— Nawet nie wiem, jak mam to wyjaśnić.

Ron możliwie krótko i przystępnie przekazał to, co usłyszał od Rosjan, pomijając jednak niektóre elementy.

— Myślę, że ten łysy, którego zabraliście ze statku, może dodać jakieś szczegóły.

Libijczycy patrzyli na Rona i na siebie z niepewnością i jakby z niedowierzaniem.

— Pozostawiliśmy go i jego towarzysza na nabrzeżu. Nie mamy czasu się z nimi wozić. Raz, że nikt z nas nie zna rosyjskiego, a po drugie, nie możemy narażać się Rosjanom. Myślę, że ci z ambasady będą siedzieli cicho, gdyż nie uprzedzili nas, że zamierzają tutaj przeprowadzać jakieś operacje. Poinformowali jedynie, że statek pod cypryjską banderą przywiózł dodatkowe wyposażenie dla ochrony ambasady. Z tego, co wiem, rzeczywiście przywieźli ciężką broń dla oddziału Specnazu, którym wzmocnili przed tygodniem ochronę swojej placówki. Tak czy inaczej, będą cię szukali, więc nie możesz wrócić do hotelu. Twoje rzeczy już z niego zabraliśmy. À propos, kto zadzwonił do ciebie i powiedział, abyś przyszedł na wybrzeże? Operator?

— Tak, Mathias — potwierdził.

— Tak też się domyślałem. Podejrzewałem, że masz przy sobie kogoś, kto śledzi każdy twój krok. Nie wiem wprawdzie, dla kogo pracuje: dla Rosjan czy dla Francuzów, czy dla obu stron jednocześnie, ale to nieważne. Cała twoja ekipa opuściła już hotel. Olivia przekazała im, że jesteś ranny i że dzwoniłeś do niej, prosząc, aby na ciebie nie czekali, lecz wyjeżdżali, bo sytuacja staje się niebezpieczna.

— A co z Olivią?

— A jednak... — uśmiechnął się Ama. — Nie martw się, wkrótce bezpiecznie powróci do Włoch. Najlepiej byłoby, gdybyś ty także zniknął z Trypolisu. Ale mamy do wykonania jeszcze jedno zadanie i ja nie mogę teraz wyjechać.

— Późno już. Idźmy spać, jutro rano się naradzimy, co robić dalej — zaproponował Aksil.

Amastan kiwnął akceptująco głową.

— Tak, prześpijmy się. Jutro Allah ześle nam nowy dzień i mądrość.

Ze względu na ramadan śniadanie wydawano przed wschodem słońca w salonie na parterze wili. Aksil powiedział Ronowi, że Kel Adżdżar wprawdzie nie przestrzegają rygorystycznie postu, ale ze względu na obecność w oddziale Arabów i przedstawiceli innych grup etnicznych Amastan stara się respektować zasady islamu. Panowała atmosfera napięcia i niepokoju. Bojownicy z grupy Amastana siedzieli w milczeniu przy stołach, nawet ci, którzy już zjedli śniadanie, nie odchodzili, wyraźnie oczekując informacji i rozkazów od swego dowódcy.

Ron dołączył do stołu, przy którym siedzieli Ama z Aksilem i nieznanym mężczyzną w jasnym garniturze i pod krawatem. Na tle zielonych wojskowych bluz pozostałych wydawał się on dziwolągami jak bankier z genewskiej ulicy Rhone zagubiony w dżungli.

— To Mahmed, nasz przyjaciel — przedstawił go Amastan.
— Aksil, jaką mamy sytuację?

— Jest źle. Oddziały powstańców zajęły Jafren na południu i Msalattę na zachodzie. Walki trwają na przedmieściach stolicy, a w samym mieście operują też pojedyncze grupy. Podobno są wspierani przez komandosów francuskich i brytyjskich, ale ich obecności w Trypolisie nie udało się potwierdzić z całą pewnością. Pewne jest natomiast, że zagraniczni zwiadowcy i snajperzy są przy oddziałach pułkownika Hakima Buhagira, który dowodzi głównymi siłami rebeliantów.

— Ile czasu utrzyma się stolica?

— Chamis Kaddafi ma pod bronią jakieś dziesięć tysięcy ludzi, ale nie wszyscy z nich będą walczyć. Myślę, że tydzień, dwa, nie więcej.

— Mahmed — zwrócił się Amastan do człowieka w garniturze — ile czasu potrzebujesz na przewiezienie ładunku?

— To, co najcenniejsze, zostało już skompletowane w koszarach brygady i jest gotowe do wywiezienia. Dzień mi wystarczy. Ważne, abyś miał wszystkie klucze i kontakty niezbędne do połączenia elementów w całość i przekazania ich wysłannikowi Kaida. I nie można za żadną cenę dopuścić, aby wpadły w ręce naszych wrogów lub Europejczyków.

— Nie martw się. Tajemnicy dobrze strzegą w górach umarli. A oni potrafią milczeć. Rodzina Kel Adżdżar zawsze dotrzymuje zobowiązań. Masz czas do jutra przed południem. Będziemy czekać na lotnisku. Dam ci dwóch żołnierzy i dodatkowego dżipa. Kontaktujemy się telefonicznie, ale dzwoń na podane ci numery tylko jeden raz i nie używaj telefonu satelitarnego. Skoro ręczy za ciebie Saif al-Islam, to i ja ci zaufam. W imię Boga, idź.

Gdy Mahmed pospiesznie wyszedł, Amastan podniósł się. Twarze wszystkich żołnierzy zwróciły się w jego stronę.

— Moi bracia, nadszedł czas ostatniej próby. Chcę wam podziękować za wierną służbę i lojalność wobec mnie i mojej rodziny. („Nic nie wspomniał o lojalności wobec Pułkownika” — pomyślał Ron). Jutro opuszczamy Trypolis. Ci, którzy chcą, mogą dołączyć do mnie. Ci, którzy nie zechcą udać się na południe, do Fezzanu, mogą odejść. Radziłbym, aby nie zabierali broni. Niech przebiorą się w cywilne ubrania i postarają się ułożyć sobie życie w nowej Libii. Żołd będzie wypłacony dzisiaj wszystkim, za okres do końca roku. Opuszczamy ten dom jutro z rana. Jeśli macie

pytania, przyjdźcie do mnie. To wszystko. Saad, Issi, Uksam, podejdźcie do mnie — wezwał dowódców grup, aby wydać im ostatnie rozkazy.

Amastan i trzech dowódcy grup bojowych usiedli przy stole. Była to jednak nie jak zazwyczaj długa narada, podczas której jej uczestnicy dyskutowali, spierali się, ale krótka odprawa. Amastan miał już gotowy plan i oczekiwał tylko jego wykonania.

— Uksam, weźmiesz tych ze swojego oddziału, którzy zdecydują się pozostać z nami, i dzisiaj wieczorem zajmiesz pozycje na lotnisku Mitiga. Dokumenty przekażę ci po odprawie. Issi, wypłać ludziom wszystkie pieniądze, jakie mamy, także walutę. Wyczyścisz dom, aby nie pozostał żaden ślad. Broń ręczną, jeśli okaże się zbędna, zakonserwujesz i ukryjesz. Twój oddział wyjedzie stąd ostatni. Saad, udasz się do koszar brygady, sprawdzisz, jak Mahmedowi idzie przygotowanie ładunku. Jest łącznikiem między nami a rodziną Pułkownika, ale dzisiaj nikomu nie można ufać. Skontaktujesz się osobiście z Muatasimem, synem Wodza. Ma mi do przekazania dokumenty. Zaznaczam: osobiście z nim. Wrócisz przed wieczorem. Odpocznijcie, dzień był ciężki i gorący, a jutro będzie jeszcze trudniejsze.

Dowódcy oddziałów karnie skinęli głowami, zabrali swoich podwładnych i rozeszli się.

— Aksil — zwrócił się Ama do brata — postaraj się połączyć z ojcem, wyjaśnij sytuację. Ustal też, kto kontroluje teraz Fezzan i kto nimi dowodzi.

Potem skierował swoje słowa do Rona:

— Pozostań na chwilę. Nie jesteś głodny? Ten posiłek musi ci wystarczyć na cały dzień, nie zapominaj — powiedział trochę żartobliwie, trochę troskliwie. — Słyszałeś? Wyjeżdżamy jutro z Trypolisu. Bitwa jest skończona.

— Chciałeś powiedzieć: wojna jest przegrana?

— Mówiłem ci, to nie jest moja wojna, więc nie mogłem jej ani przegrać, ani wygrać. I wojna się nie zakończyła. Kończy się tylko pierwsza część dramatu Libii. Wojna dopiero się rozpocznie. Chcę być wówczas jak najdalej od niej.

— A twoje zobowiązania wobec Wodza?

Amastan patrzył długo na Rona.

— Mam do wykonania jeszcze tylko jedno zadanie: wywieźć stąd bliskich Pułkownika i najważniejsze dokumenty. Dokumenty będą polisą ubezpieczeniową dla członków jego rodziny, bo gdyby zostały ujawnione, mogłyby wysadzić w powietrze cały świat zachodniej polityki. Więc nikt nie jest zainteresowany tym, aby wypłynęły na światło dzienne.

— Dlaczego ty? Skąd takie zaufanie?

— Nazywają nas ludźmi słowa. Nie dlatego, że jesteśmy tak wierni Słowu Proroka i jego Księdze, ale dlatego, że zawsze dotrzymujemy obietnic. Kaddafi rozczarował się światem arabskim, arabskim brakiem solidarności, i powierzył nam, ludziom Kel Adżdżar, to, co ma najcenniejsze: tajemnice, pieniądze i rodzinę. Wie, że będziemy ich bronić za wszelką cenę. Nie z przekonania, lecz w imię naszego własnego honoru. Gdybym mógł, zabiłbym Wodza i jego dorosłych synów własnymi rękami, ale wiąże mnie słowo. Wy, ludzie Zachodu, nie rozumiecie, czym jest duma i honor.

Ron milczał. Zadawał sobie w duchu pytanie, skąd takie zaufanie człowieka z Kel Adżdżar do niego, człowieka z Zachodu, z tej części świata, która nie wie, co naprawdę znaczy duma i honor. Już kilka razy doświadczył uczucia z pogranicza zdumienia i strachu, gdy Amastan odpowiadał

na jego niewypowiedziane głośno pytania — jakby człowiek pustyni czytał w myślach.

— Miałem dwóch braci i siostrę. Jeden mój brat nie żyje. Tak się złożyło, że nie mam ani żony, ani dzieci. Nie żyje też moja matka. Więc ojciec i oni dwoje są moją jedyną rodziną. Rozmawiałem dzisiejszej nocy z siostrą. To ona zadzwoniła. Długo rozmawialiśmy, tak długo, jak nigdy dotąd. Ona umie dostrzec i czytać znaki, których my w ogóle nie widzimy. Opowiedziałem jej twoją historię. Powiedziała mi, abym chronił Aksila i ciebie. Abym was dwóch przywiózł bezpiecznie do naszego obozowiska. I abym zachował szczególną ostrożność w drodze do domu. Więc spakuj się, zabierz tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Wyruszasz jutro z nami. Ani w Trypolisie, ani tym bardziej w Europie nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa.

Amastan pomilczał chwilę. Później pochylił się w stronę Rona i cichszym głosem dodał:

— Jeśli cokolwiek stanie się ze mną, z Aksilem lub z nami dwoma, to bez względu na okoliczności i cenę masz sam dotrzeć do mojej rodziny na południu i dokończyć misję. Skoro Allah postawił cię na mojej drodze, jest w tym jakiś sens i cel, którego dzisiaj nie potrafimy jeszcze zrozumieć.

Ron nie próbował nawet oponować. Amastan mówił bardzo spokojnie, cicho, ale z nieugiętą wolą spełnienia złożonej obietnicy. Ponadto Harib rzeczywiście nie miał gdzie się podziać ani ukryć. Uścisnęli sobie dłonie i Ron wrócił do swojej klitki. Do małego plecaka włożył tylko dokumenty, najniezbędniejsze kosmetyki i owinięty w koszulę komputer. Resztę rzeczy wraz z walizką wyniósł na dziedziniec, gdzie Issi i jego żołnierze wrzucali do rozpalonego ogniska wszystko, co mogło świadczyć o tym, kto zajmował willę. Później Ron wrócił do siebie, położył się i usnął. Spał aż do wieczora. Nie przeszkadzało mu ani szum klimatyzatora, ani warkot odjeżdżających i

przyjeżdżających aut. Na kolację zbudził go Aksil. Siedząc przy wspólnym stole z wojownikami Amastana, Ron miał wrażenie, że uczestniczy nie w kolejnym *iftarze*, kolacji w dniach ramadanu, ale w ostatniej wieczerzy.

XXIV

Hangar na końcu lotniska nie rzucał się w oczy. Płaskim dachem i przeszklonymi oknami bardziej przypominał budynek biurowy niż magazyn broni i osłonę dla An-26. Pewnie dlatego nie zwrócił na siebie uwagi samolotów NATO, które bombami burzącymi przeorały lotnisko, niszcząc schrony ukryte głęboko pod ziemią, a pozostawiły nietkniętym ten sektor lotniska. Może bliskość budynków mieszkalnych, które wyrastały tuż za płotem przy ulicy Al-Fawar, sprawiła, że oszczędziły go też trafiające z precyzją snajpera rakiety manewrujące wystrzeliwane z amerykańskich i francuskich okrętów.

Dojechał kolejny samochód. To Aksil z czterema żołnierzami. Było ich teraz w sumie ze czterdziestu. Większość, jak domyślił się Ron, stanowili współplemieńcy Amastana, bo rozmawiali ze sobą w nieznanym języku, z którego rozumiał tylko niektóre pojedyncze słowa. Gdy rodacy zwracali się do Amastana w obecności innych żołnierzy, przechodzili na arabski, pewnie po to, aby rozumieli ich pozostali, w tym kilku ciemnoskórych oficerów. „Ach, to są zapewne ci najemnicy Kaddafiego z Mali albo z Nigru” — pomyślał. Żołnierze byli wyraźnie zdenerwowani i niepewni, ale nie wystraszeni.

Aksil informował o najnowszej sytuacji.

— Ze strony lądu miasto blokują oddziały opozycji. Droga morska jest pod kontrolą NATO. Podobnie jak przestrzeń powietrzna nad Trypolisem i całą północną częścią Libii, którą patrolują samoloty NATO.

Dowodził Amastan. Był nie tylko najstarszym rangą oficerem — na jego naramiennikach widniał wizerunek jastrzębia Kurajszytów, herbu Libii, bez gwiazdek, co odpowiadało stopniowi majora — ale rzucało się w oczy, że pozostali żołnierze odnoszą się do niego jak do oczywistego przywódcy i słuchaliby jego rozkazów nawet wówczas, gdyby był zwykłym szeregowcem. Mimo zmęczenia i beznadziejnej sytuacji Ama wykazywał pełne opanowanie. Nie wychodził z pikapa wyładowanego kanistrami z paliwem. Wsparty o zamontowany na pojeździe ciężki karabin maszynowy, zwracał się do swoich podwładnych po imieniu — znał ich wszystkich. Jego głos brzmiał spokojnie, pewnie. Mówił po arabsku.

— Issi, weźmiesz swoją grupę i ludzi Jasula. Na dwóch ciężarówkach jest broń i amunicja. Niech jadą nimi tylko kierowcy i po jednym żołnierzu. W razie trafienia będą mniejsze straty. Pozostali mają pomieścić się w wozie pancernym i w tych trzech dżipach. Przebierzcie się lub przynajmniej zerwijcie dystynkcje. Na pierwszym pojeździe i na wozie pancernym wywieście trójkolorowe flagi. Postarajcie się wydostać w tym rozgardiaszu z miasta i przebić do Sebhy. To wprawdzie niewiele ponad tysiąc kilometrów, ale nadłożycie sporo drogi, więc dojedziecie nie wcześniej niż za cztery, pięć dni. Moi ludzie będą na was czekać. Ruszajcie. Bóg jest największy.

— Słucham cię, synu Agwelida. Do zobaczenia, *in sza'a Allah* — rzekł Issi.

„Nie powiedział jak w wojsku: »tak jest, panie majorze!«, a właśnie tak: »słucham cię, synu Agwelida«. Agwelid? To ich wódz, ojciec Amastana? A może jakiś lokalny święty?” — zastanawiał się Ron.

Issi i kilkunastu żołnierzy sprawnie małymi grupkami przemknęli wzdłuż ogrodzenia w stronę stojących pod siatką maskującą pojazdów. Błyskawicznie ładowali

skrzynie do ciężarówek. Nie minęło pół godziny, a kolumna sześciu samochodów na pełnym biegu rwała z obrzeży lotniska na wschód w stronę Tadżury.

— Saad — zwrócił się Ama do ciemnoskórego porucznika — wszystko, co pozostało, przenieście do samolotu. Na dno, w pierwszej warstwie, karabiny i moździerze, wyżej amunicja, najwyżej granatniki. Bierzcie najpierw te szwedzkie, rosyjskie później. Ułóżcie tak, aby zostało miejsce dla nas. Uksam, sprawdziłeś samolot?

— Tak, Ama. Jest sprawny, zatankowany do pełna i gotowy do lotu. Najwidoczniej ktoś przygotował sobie drogę odwrotu.

— Już z niej nie skorzysta — skwitował Amastan.

Żołnierze śpieszyli się, ich bluzy były mokre, a twarze błyszczące od potu. Ron czuł się zbędny, bolące uszy i szum w głowie sprawiały, że nie znajdował w sobie wystarczających sił, aby targać ciężkie skrzynie.

— Po co ci tyle broni, nie lepiej zabrać więcej ludzi? Gdzie zmieścisz tych, którzy przyjadą? — zapytał Amastana.

Ama odwrócił się w jego stronę. Ron widział teraz z bliska jego nieczłowiecko zmęczoną, pobrużdżoną, porośniętą kilkudniowym zarostem twarz.

— Jacy ludzie? Nie ma już nikogo. Ci, którzy zostali w mieście, pewnie już nie żyją. W najlepszym razie może kilku zdoła się wymknąć. Czekamy tylko na Mahmeda. Bez dokumentów Pułkownika nie odlecimy, są ważniejsze niż cały ładunek.

Żołnierze po przeniesieniu skrzyń do samolotu przysiedli, gdzie kto mógł — na skrzyniach, które już nie pomieściły się w samolocie, albo wprost na ziemi. Sprawdzali broń, ładowali amunicję do magazynków, po czym skręcali je taśmą samoprzylepną po dwa i upychali po kieszeniach.

Gdyby nie dobiegające ze strony miasta odgłosy walki, serie z kałasznikowów, stukot wielkokalibrowych karabinów maszynowych, rzadkie wybuchy moździerzy i granatników i kłęby dymu, można by pomyśleć, że to pluton po męczących ćwiczeniach schronił się w cieniu i leniwie oczekuje sygnału końca zajęć, aby wrócić do koszar, wziąć prysznic i pójść na obiad. Amastan spojrział na zegarek. Ron wyczuwał, że jego przyjaciel skrywa niepokój pod nieruchomą, podobną do obojętnej maski twarzą.

Zadzwoił telefon. Ron uśmiechnął się w duchu: Amastan, zawsze poważny, nawet surowy, ustawił w telefonie skoczną, radosną melodyjkę. Ama słuchał przez chwilę.

— Dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem. Niech Bóg ma was w opiece — powiedział do swego rozmówcy, po czym poinformował Rona półgłosem: — Mahmed zdradził. Lub złamali go torturami. Co wychodzi na jedno. — A następnie krzyknął do wszystkich: — Zbieramy się do samolotu.

Ron mógł teraz podziwiać sprawność wojowników Amastana. Błyskawicznie, ale nie chaotycznie zajęli miejsca w samolocie, Uksam odpalił silniki, kilku żołnierzy pomogło wypchnąć maszynę z hangaru i wskoczyło przez opuszczoną tylną klapę ładowni do wnętrza. Silniki nabierały obrotów, An-26 był gotowy do kołowania i startu. Amastan nie opuszczał jednak samochodu, obserwował przez lornetkę odległy o kilka kilometrów koniec pasa startowego.

— Za późno — stwierdził spokojnie.

Ron wytężył wzrok. W rozgrzanym, drgającym powietrzu dostrzegł dwa bojowe wozy piechoty wjeżdżające na pas od wschodu, od strony ulicy Łardżama. Kierujący nimi mogli dojrzeć zgromadzonych na lotnisku ludzi, ale niewielki samolot za barakiem i pojazdami pozostawał dla nich niewidoczny.

Ama i Ron zeskoczyli z samochodu, który był łatwym celem dla działek.

— Aksil, bracie, trzeba ich zatrzymać — głos Amastana brzmiał teraz miękko, przeprasząco. Tak ojciec przemawia do jedyne go syna, którego musi złożyć w ofierze. — Weź trzech żołnierzy i tyle granatników, ile możesz.

Nieprzypadkowo bratu Amastana nadano imię Aksil, co w języku południowych Tuaregów oznacza „pantera”. Z istic kocią zwinnością Aksil wyskoczył z samolotu, niosąc w każdej ręce ciężki granatnik.

— Malu, Imar, Szibub, za mną — rzucił Aksil, nawet nie oglądając się za siebie.

Bracia objęli się, ucałowali.

— Wiesz, co masz powiedzieć ojcu. — Aksil popatrzył uważnie na starszego brata, odsunął go delikatnie i ruszył w stronę dżipów zaparkowanych pod hangarem.

„O Boże, przecież to samobójstwo” — pomyślał Ron, zrozumiałwszy intencje Amastana. Aksil i jego komando na dwóch samochodach mają zbliżyć się na możliwie niedużą odległość do wozów pancernych i zniszczyć je lub przynajmniej zatrzymać na tyle długo, aby umożliwić start samolotu. Ale w ciężkim spojrzeniu Amy nie było ani cienia wątpliwości. Poświęcał brata, aby uratować wszystkich innych. Trzej żołnierze, podobnie jak Aksil objuczeni ciężkimi granatnikami Carl Gustaf, również nie mieli złudzeń co do straceńczego charakteru misji i tak jak Aksil nie zawahali się nawet przez sekundę. Po kolei mocno objęli się z Amastanem. Były w tym męskim, krótkim uścisku i błogosławieństwo wodza idącym na pewną śmierć, i pełne zrozumienia przebaczenie z ich strony.

Pierwszy pocisk wybuchł, gdy Aksila dzieliło od hangaru i samochodów nie więcej niż dwadzieścia metrów. Z

odległości około trzech kilometrów, w jakiej znajdowały się teraz pojazdy, zainstalowana na bojowym wozie piechoty armata Grom nie mogła być precyzyjna, ale mogła skutecznie razić pociskami odłamkowymi. Ron zobaczył, jak Aksil upada, a jego jasny mundur pokrywa się ciemnymi plamami krwi. Ama też to widział. Wskoczył szybko do dżipa, zabrał trzech pozostałych żołnierzy i z wizgiem kół śmignął w stronę hangaru.

Ron, powodowany bardziej instynktem niż chłodnym rozumowaniem, sprintem ruszył do Aksila. Chwycił go pod ramiona, zarzucił sobie na plecy i wciąż biegiem zaczął gonić samolot wytaczający się na pas dojazdowy. Kolejny pocisk wybuchł między samolotem a dwoma pikapami, które z dużą prędkością pędziły na spotkanie transporterom. Ron poczuł gorące szarpnięcie w boku, ale starał się nie zwalniać tempa. Jeden z żołnierzy w samolocie wciągnął rannego, później chwycił za ramię Rona i pomógł mu wgramolić się na stos skrzynek.

Uksam był doświadczonym pilotem. Wiedział, że nie ma szans na wystartowanie z głównego pasa, bo odległość między samolotem a dwoma pojazdami, które prowadziły teraz ogień z dział i karabinów maszynowych do dżipów pędzących zygzakami im na spotkanie, zmniejszała się z każdą sekundą. Włączył dodatkowy silnik odrzutowy znajdujący się w prawej gondoli i rozpędzał maszynę do maksymalnej prędkości po prostopadłym do startowego pasie dojazdowym. Miał on najwyżej kilometr długości — An-26 potrzebował na wystartowanie przynajmniej dziewięciuset metrów, ale tym razem był obciążony ładunkiem broni i kilkunastoma ludźmi, stłoczonymi na niewielkiej, wolnej od skrzyń przestrzeni. Gdy od płotu lotniska dzieliła ich odległość nie większa niż pięćdziesiąt metrów, ciężki samolot oderwał się od ziemi i przemknął nad ulicą, niemalże zahaczając wciąż jeszcze otwartym podwoziem o dachy domów.

Na lotnisku Amastan toczył swoją ostatnią walkę. Pierwszy z dżipów został trafiony pociskiem na wprost, gdy znajdował się w odległości jakichś pięciuset metrów od opancerzonych wozów. Pocisk był burzący, bo samochód dosłownie rozpadł się na strzępy, a ciała obu żołnierzy niczym bezwładne, uszkodzone kukielki spadły na płytę lotniska.

Za chwilę triumfu ich prześladowcy gorzko jednak zapłacili. Kierowca drugiego wozu pancernego najwidoczniej nie miał wystarczającego doświadczenia, gdyż jechał niebezpiecznie blisko pojazdu prowadzącego, co utrudniało jego działonowemu prowadzenie skutecznego ognia, tym bardziej że Amastan jechał szybko i zygzakiem. Granatnik Carl Gustaf załadowany tandemowym pociskiem przeciwpancernym jest śmiertelnie skuteczną bronią. Z odległości około trzystu metrów Ama odpalił ładunek. Głowica weszła w pancerz wozu bojowego jak w masło, rozsmarowując po ścianach wszystkich, którzy znajdowali się wewnątrz pojazdu. Transporter obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, a druga z maszyn pancernych na niego wpadła. Nim jednak doszło do zderzenia, seria z karabinu maszynowego dosięgnęła Amastana tuż po tym, jak wojownik Kel Adżdżar wystrzelił po raz drugi. Pocisk z granatnika trafił w silnik lub bak z paliwem drugiego pojazdu, który okrył się czarnym dymem. Kule wystrzelone z karabinu maszynowego na transporterze zraniły Amę i zabiły jego kierowcę.

— *La llahu illa Allah, ła Muhammad rasullahu*^[1] — wyszeptał Amastan.

Dżip z całym impetem wbił się w oba splątane ze sobą wozy opancerzone, ogień spowodował wybuch całego arsenału, który zabrał ze sobą Amastan, oraz kanistrów z benzyną. Ciężki, czarny dym przysłonił wschodnią część

lotniska. Z pokładu nabierającego wysokości samolotu miejsce zderzenia wyglądało jak dymiący stos ofiarny.

Żołnierze siedzący bliżej iluminatorów przyglądali się walce na lotnisku. Pozostali siedzieli w milczeniu, opuściwszy głowy. Ciemnoskóry porucznik podniósł się na tyle, na ile pozwalało mu ciasne wnętrze samolotu. Wzniósł obie dłonie do głowy, po czym opuścił je, splatając przed sobą.

— *Allahu akbar. Allahuma ahfir li ahajina ła majitina ła szahidina ła haibina ła sahirina ła kabirina ła dhakarina ła unthana...* Boże, nie odbieraj nam nagrody i nie doświadczaj nas po śmierci... — modlił się.

— *La llahu illa Allah, ła Muhammad rasullahu* — odpowiadali chóralnym półgłosem żołnierze.

[1] *La llahu illa Allah, ła Muhammad rasullahu* (arab. modlitwa) — Nie ma boga oprócz Boga, a Muhammad jest jego Posłańcem.

XXV

An-26 leciał niziutko nad ziemią, aby uniknąć radarów i możliwych ataków z powietrza. Przestrzeń nad Libią bezapelacyjnie kontrolowały samoloty NATO, ale atakowały cele głównie na północy, gdzie toczyły się walki. Istniała zatem szansa na to, aby przemknąć niepostrzeżenie nad pustynię, gdzie raczej nikt nie będzie szukał małego samolotu.

Najniebezpieczniejsze było pierwsze kilkadziesiąt minut lotu — do linii gór. Gdy za Al-Rijajna przeskoczyli łańcuch Gór Zachodnich, napięcie zelżało. Wlecieli nad rudy płaskowyż, z rzadka porośnięty pojedynczymi krzewami, później spod samolotu wypełzły wydmy Wielkiego Ergu — pusta, piaszczysta i pomarszczona przestrzeń bez życia.

Aksil silnie krwawił ze zranionej nogi, więc Dali, sanitariusz, założył mu opaskę uciskową wysoko na udzie i zrobił zastrzyk przeciwbólowy, gdyż ranny nie tracił przytomności. Obrażenia Rona były lżejsze, wyglądały, jakby ktoś usiłował przebić mu bok wyszczerbionym nożem, ale sprawiały dotkliwy ból przy każdym ruchu. Porucznik występujący przed chwilą w roli imama polecił tym, którzy nie mieli na sobie kamizelek kuloodpornych, aby założyli je przed lądowaniem:

— Nie wiemy, co może nas czekać na miejscu.

Uksam prowadził przez radio rozmowę z wieżą kontrolną w Sebsze, uprzedzając o lądowaniu samolotu z rannymi.

— Wieziemy rannych z oddziału generała Farrida. Przygotujcie pas do lądowania i lekarzy.

— A czy w Sebsze wiedzą, kim jest generał Farrid? — zapytał Ron Aksila.

— Jakiegoś Farrida na pewno ktoś zna, a dzisiaj każdy może nazwać się generałem czy nawet księciem. — Aksil uważnie patrzył na swój telefon. — Nie mam zasięgu na komórkowym, a nierozsądnie byłoby używać satelitarnego.

— Lecimy do Sebhy? Spotkać się z Issi?

— Lecimy do domu. Do Adżdżar — odparł Aksil.

W dole piaszczystą pustynię zmieniły po kolejnych kilkudziesięciu minutach najpierw żółto-ceglaste wzniesienia, a później góry, wśród których z rzadka przemykały ciemne plamy oaz. Wreszcie wlecieli jakby w korytarz — z lewej strony wznosiły się niezbyt wysokie, ale postrzępione góry, z prawej nieco niższe i łagodniejsze wzgórze.

Lecili na wysokości najwyżej stu pięćdziesięciu, dwustu metrów, bezpiecznie osłonięci z obu stron. Ron dostrzegł lotnisko niemal w ostatniej chwili, gdy poczuł szarpnięcie wysuwanego podwozia; pas do lądowania był chyba lekko przykryty pyłem pustyni, ponieważ kolorem niewiele się różnił od otoczenia, a nowoczesny budynek i kilka rachitycznych palm także ginęło w pyle i wirującym od upału powietrzu. „*Matar Ghat Ad-Dualij*” — przeczytał napis na budynku. „Państwowe lotnisko w Ghat. A więc jesteśmy w Ghat, stolicy Tuaregów z południa Libii” — pomyślał.

Aksil zdążył jednak chyba skontaktować się ze swoimi współtowarzyszami z Adżdżar, ponieważ na lotnisku czekał na nich orszak powitalny. Długi rząd półciężarowych toyot i kilku dużych samochodów ciężarowych ustawił się wzdłuż pasa, na którym lądował samolot. Większość stojących przy pojazdach mężczyzn miała twarze przysłonięte chustami, nawet ci, którzy byli w wojskowych bluzach. Część nosiła

długie galabije. Za samochodami czekały grupki jeźdźców na koniach, inni — na wielbłądach. Ron jako jeden z pierwszych wysiadł z samolotu, gdy tylko opadły tylne drzwi.

Wspólnie z jednym z żołnierzy przenieśli rannego Aksila do budynku dworca lotniczego i położyli na plastikowych krzesłach. Aksil zachowywał przytomność, chociaż oczy miał przymknięte, a twarz pokrytą potem. Wkrótce do sali weszło pośpiesznie kilku różnie odzianych, ale uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich, w galabii koloru indygo, podszedł do rannego, ujął go za rękę w przegubie i o coś zapytał. Rozmawiali krótkimi oszczędnymi zdaniami. Ron czuł się zbędny, więc wyszedł na zewnątrz i przysiadł przed budynkiem dworca, przyglądając się rozładunkowi.

Wyładunek odbywał się równie szybko, jak wcześniej załadunek samolotu, tylko trochę bardziej gorączkowo. Skrzynie sprawnie przenoszono do samochodów, które natychmiast odjeżdżały z płyty lotniska. Zauważył, że niektóre z nich były otwierane na miejscu, a broń rozdzielana między oczekujących jeźdźców.

Wśród oczekujących byli także żołnierze w mundurach armii libijskiej, z bronią. Ich dowódca dawał znaki, aby pośpieszyli się z wyładunkiem. Przyczyna ponaglania stała się zrozumiała, gdy w powietrzu ukazał się kolejny samolot. W drżącym od upału powietrzu airbus 320 jak biała chusta powoli opadał na płytę lotniska. Ledwie samolot z wizgiem opon dotknął lotniska, a kilkanaście pojazdów, dżipów i ciężarówek z żołnierzami, ruszyło pośpiesznie za nim, tworząc podwójny szpaler. Natychmiast podjechał trap, którym zaczęli schodzić pasażerowie — mężczyźni w mundurach i z bronią, zakwefione kobiety... Jedna z nich, w bardzo zaawansowanej ciąży, szła z trudem, podtrzymywana przez inną. Z luku błyskawicznie

wyładowywano jakieś skrzynie, które przenoszono do ciężarówek.

Ktoś dotknął ramienia Rona. Ten obejrzał się. Obok stał mężczyzna w niebieskiej szacie. Ciemne, prawie czarne oczy patrzyły na Europejczyka badawczo spod zwojów turbanu.

— Dziękuję ci za syna — powiedział po arabsku.

„Ach, to ojciec Aksila i Amy” — domyślił się Ron.

Mężczyzna w niebieskiej szacie dodał:

— Jedź z innymi do wioski. Jesteś naszym gościem. Ja spełnię swój obowiązek.

Ojciec Aksila wsiadł do pikapa, w którym już siedzieli dwaj żołnierze, i ruszył w stronę samolotu. Ron widział, jak zbliża się do grupki oczekujących go przy samolocie gości, wita ich, przykładając dłoń do twarzy, rozmawia krótko, po czym wszyscy rozbiegają się do samochodów i kolumna w kłębach kurzu odjeżdża ku pobliskiej granicy z Algierią. Samolot, którego silniki nieprzerwanie pracowały, kołował, ustawił się na pasie, nabrał rozpędu i wzbił się w górę. Żołnierze libijskiej armii zniknęli, podobnie jak część towarzyszy Aksila. Cała operacja trwała najwyżej kilkanaście minut.

Lotnisko opustoszało. Pozostało na nim zaledwie kilka samochodów i kilkunastu jeźdźców na koniach i wielbłądach. Aksil, podtrzymywany przez dwóch swoich wojowników, zajął miejsce w land cruiserze i dał Ronowi ręką znak, aby ten pospieszył za nim. Uformowali zwartą grupę — jeźdźcy w awangardzie i na końcu kolumny, w środku samochody. Nim jednak dotarli do szosy, gdzie mieli skrócić na południe w stronę Ghat, niespodziewanie natknęli się na ogień kałasznikowów. Napastnicy najwidoczniej czekali ukryci za skałami z lewej strony drogi. Tylko temu, że skały dzieliła od drogi odległość

dobrych kilkuset metrów, a oni poruszali się bardzo szybko, zawdzięczali niewielkie straty mimo zaskoczenia. Gdy padły pierwsze strzały i jeden z bojowników siedzących w toyocie osunął się na podłogę, pozostali żołnierze Aksila zareagowali automatycznie, natychmiast zasypując ogniem z karabinów maszynowych i granatników miejsce, z którego ich ostrzeliwano.

— Tu nie chodzi o nas. Stanęliśmy im na drodze. Nie będą nas ścigać. Oni ścigają Safię i jej dzieci — wyjaśnił jeden z żołnierzy Aksila, potwierdzając przypuszczenia Rona, który domyślił się, kim była ciężarna kobieta pośpiesznie ewakuowana z lotniska. Mógł też się domyślać, że wywożone skrzynie interesowały ścigających nie mniej niż żona i potomstwo Kaddafiego.

Napastnicy nie zamierzali jednak przepuszczać ich wolno. Ostrzeliwując się, mały oddział Aksila wydostawał się z pułapki. Wówczas zza skał zaczęto strzelać do nich z granatników. Jeden z pocisków trafił wprost w toyotę jadącą bezpośrednio za Ronem. Wybuch był tak silny, że ich samochód aż podskoczył, przechylił się, a Ron i Aksil wypadli za burtę auta. Nim kierowcy innych samochodów zorientowali się, co się dzieje, i zasłonili ich swoimi maszynami, leżący na ziemi przyciągnęli uwagę i ogień ze strony napastników. Aksil od upadku i uderzenia o ziemię stracił przytomność. Ron objął jego ciało, pomagając je podnieść, potem przenieść do samochodu. Wtedy trafiła go w plecy seria z kałasznikowa. Kule rzuciły go na burtę toyoty. Dwaj tuarescy wojownicy chwycili bezwładne ciało Rona, rzucili na podłogę auta i nie przerywając ognia, nadal kierowali się na południe.

Ron nie widział już, jak kilku wojowników na koniach i wielbłądach, z zadziwiającą sprawnością manewrując między skałami, wjechało wyżej, ponad pozycje zajmowane przez napastników, i dosłownie rozstrzelało ich z góry,

zarzucając dla pewności granatami. Potem ściągnęli ciała zabitych i złożyli do jednej z ciężarówek, którymi przybyli napastnicy, opróżniając wcześniej ich kieszenie ze wszystkich dokumentów. Pozostałe dwa samochody transportowe zostały zarekwirowane i oddział Aksila ruszył pospiesznie w dalszą drogę.

Tuareski wojownik eskortujący ciężko rannych syna wodza i jego przyjaciela przykładał co chwilę palec na zmianę to do szyi Aksila, to do szyi Rona, kręcił głową i chrapliwym ze zdenerwowania głosem poganiał kierowcę.

XXVI

„Sen we śnie” — pomyślał Ron i, jak mu się zdawało, w tym drugim, głębszym śnie przymknął oczy. „Znów wsysa mnie urojony świat, który ukryty gdzieś w zakamarkach mózgu, wypływa na powierzchnię, tworzy inną rzeczywistość, przysyłającą jawę, a nawet widzenia, jakie przychodzą we śnie”. Mógł nawet się domyślać, że projektowana przez umysł alternatywna rzeczywistość jest przedłużeniem jego dziecięcych marzeń o podróżach na koniec świata i przygodach inspirowanych lekturami. W młodości pochłaniała go literatura science fiction, ale nie ta opisująca ufoludki i kosmiczne odyseje, lecz raczej ten jej nurt, który kreował inne, paralelne światy. Stąd zachłyśnięcie się powieściami Tolkiena i Franka Herberta. Pamiętał dobrze swoje pierwsze spotkanie z *Diuną*, której wymyślony świat pustynnej planety porwał go i uniósł w wyimaginowaną rzeczywistość, chociaż wówczas francuskie tłumaczenie sprawiało mu pewne trudności językowe.

Wiedział dobrze, że obraz, który przed sekundą uderzył go w oczy, był kopią snów-wyobrażeń, wdrukowaną w pamięć przez powieść Herberta: miał nad głową burą, zszytą z kozich skór płachtę namiotu nomadów ustawionego na rozpalonych skałach pustyni. Na tle jaskrawo rozświetlonego wejścia widniała sylwetka młodej dziewczyny w sarafanie koloru indygo... Dziewczyna miała długie czarne włosy, śniadawą skórę i mocno błękitne oczy. „Jak nazywała się ta przyprawa, której zażywanie błękitniło oczy Fremenów? Melanż? Tak, melanż”. Uśmiechnął się we śnie i znieruchomiał, tknięty myślą, że zazwyczaj w snach nie prowadzi się takich rozważań. I sny nie pachną. Mają kolor, dynamikę, nawet muzykę. Ale nigdy nie zdarzało się,

aby niosły zapach. A zapach rózanego olejku był, chociaż nie bardzo silny, jednak wyraźny.

Ostrożnie, z obawą badając otaczający go świat, powoli otwierał powieki. Wszystko było tak jak przy pierwszym zetknięciu źrenic z rzeczywistością — namiot, słońce, skalna podłoga przykryta piaskiem. I dziewczyna. Teraz zauważył, że jest dość wysoka, o włosach nie kruczoczarnych jak u większości kobiet, które spotykał w Libii, a po prostu ciemnych. Głęboki błękit oczu zaskakiwał, zestawiony z oliwkową karnacją skóry.

Błękitnooka przemówiła czystym arabskim:

— Czekałam, aż się obudzisz. Jak się czujesz? Rana nie jest groźna. Za kilka dni będziesz chodzić.

— *Maza chadasa li? Ma haza al-makan?*^[1]

Słowa z trudem przechodziły mu przez spierzchnięte gardło. Czuł silny ból w plecach.

— Masz temperaturę, to normalne. Ale gorączka szybko ustąpi. Masz złamane dwa żebra, wielkie siniaki, trochę podziurawioną skórę, i to wszystko. Życie ocaliła ci kamizelka. Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą. Znajdujemy się w obozie Agwelida, mego ojca. Jesteś gościem głowy rodu Kel Abakar, którzy są Orahen. Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni za uratowanie życia mojemu bratu.

— Bratu?

— Aksil jest moim bratem. Miałam trzech braci, pozostał mi tylko Aksil.

Amastan... Więc już nigdy na tym świecie i w tym życiu go nie spotka. Poczul się samotny, bo okradziony z szansy na przyjaźń. Człowiek z Kel Adżdżar, który algierską nocą wdarł się w jego życie i je zmienił, nadal na nie wpływał zza grobu. Czy to przypadek czy wola Najwyższego skrzyżowała ich drogi? Ród Kel Abakar, którzy są Orahen, powiedziała.

Orahen... Słyszał tę nazwę od Amy. Tylko gdzie i kiedy to było? To Amastan opowiadał mu o najstarszym plemieniu z Adżdżaru, arystokracji wszystkich Tuaregów, które od wieków kontrolowało przepływ ludzi i towarów na północy Sahary, zanim jeszcze powstały współczesne państwa — Niger, Algieria i Libia. Wojowniczy i bezlitośni Tuaregowie. Nazywano ich też ludźmi słowa, bo słowo dane przez człowieka z rodu Orahen było ważniejsze od wszelkich traktatów czy porozumień i nie zdarzyło się nigdy, aby nie zostało dotrzymane. Walczyli po stronie Kaddafiego, chociaż Kaid prześladował ich przez dziesięciolecia. Amastan wyjaśnił mu dlaczego.

— A co z Aksilem? — zapytał.

— Jego rany okazały się zbyt groźne, abym ryzykowała leczenie go tutaj. Wprawdzie w Ghat nie ma wybitnych lekarzy, ale w szpitalu jest sprzęt i niezbędne medykamenty. Za kilka dni powinien powrócić do obozu. Nasi ludzie nie odchodzą od jego łóżka w Ghat, więc jest bezpieczny.

— Ale gdzie my jesteśmy? I skąd wiesz, że rana nie jest groźna. Macie lekarza?

— Ja jestem lekarzem. I ostatnio mam często do czynienia z ranami postrzałowymi. Musisz pozostać kilka dni w łóżku i żadnych gwałtownych ruchów. Nie mam pewności, czy złamane żebro nie uszkodziło ci płuca. Gdzie jesteśmy? W górach Tadrart Akakus. Odpoczywaj. Jutro ojciec wróci do obozu.

— Jak masz na imię?

Zapytał zupełnie machinalnie, jak ludzie z Europy, którzy zadają pytania w przekonaniu, że wymaga tego grzeczność, i wcale nie oczekują odpowiedzi. Dziewczyna wyczuła chyba jego grzeczną obojętność.

— Tazerwalt — rzuciła tylko jedno słowo.

Przed wejściem pojawił się cień i do namiotu weszła starsza kobieta w długiej brunatnej oponce. Jej pomarszczona twarz miała mocne negroidalne rysy i barwę ciemniejszą od ubrania. Błękitnooka powiedziała coś do niej w nieznanym języku i zwróciła się do Rona:

— Ciotka Menna będzie się tobą opiekowała i będzie ci usługiwać — rzekła, po czym uśmiechnęła się życzliwie, ale z pewnego rodzaju chłodną wyniosłością, i bezszelestnie znikła.

Ciotka? Czyli ktoś z rodziny. Jak też mało podobni do siebie są niekiedy krewni! Menna zajęła się Ronem z dużą wprawą i bezceremonialnie. Dała mu znak, aby usiadł, zdjęła opatrunek, przemyła ranę jodynopodobną cieczą, wtarła jakąś cuchnącą maść w posiniaczone miejsce i ściśle owinęła je elastycznym bandażem. Po czym dała pacjentowi do picia gorący napój w emaliowanym kubku.

— Musisz dużo pić i spać. Sen to bardzo dobry lekarz.

Zakończywszy opatrywanie ran, kobieta zebrała starannie resztki zużytych bandaży i opuściła namiot tak cicho, jakby wszystko działo się we śnie. W naparze z ziół były najpewniej substancje nasenne, ponieważ Ron poczuł, że znów zasypia. Wydawało mu się, że gdzieś z oddali dobiegają go jakieś głosy, warkot samochodu i tętent kopyt. „To wszystko tylko sen. Sen, z którego kiedyś się obudzę” — pomyślał, zanim ogarnęła go przynosząca zapomnienie cisza.

Ojciec Tazerwalt nie pojawił się ani nazajutrz, ani kolejnego dnia. Ron nie zauważył jednak, aby wywołało to najmniejsze zaniepokojenie u jego opiekunek — najwidoczniej zostały poinformowane o zmianie planów głowy rodu. Obie odwiedzały go po kilka razy dziennie. Menna, prawie zawsze milcząca, zmieniała opatrunki, przynosiła wodę i jedzenie: mleko z daktylami, *szurbę*

z soczewicą i coś w rodzaju bulionu z koziego mięsa. Tazerwalt z pewnością świadcząca o doświadczeniu oglądała jego rany. Bez najmniejszych oznak skrępowania obnażała go, aby obejrzeć ranę postrzałową lub zrobić mu zastrzyk w pośladek.

— Nie podoba mi się ten postrzał, niby nie bardzo głęboki, żaden organ wewnętrzny nie ucierpiał, ale nie wykluczam, że złamane żebro mogło naruszyć płuco. Istnieje więc ryzyko infekcji. Dlatego przez kilka dni będziesz musiał brać antybiotyki. Mam cefalosporynę, która jest akurat najlepszym środkiem w tym wypadku.

— Powiedziałaś, że jesteś lekarzem...

— A co, myślałaś, że nauczyłam się od mamy lub cioci szamanki przekazywanych z pokolenia na pokolenie tajemnic Tuaregów? — roześmiała się. — Studiowałam medycynę. Zrobiłam specjalizację z chirurgii miękkiej.

— W Trypolisie? I wróciłaś tutaj?

Najwidoczniej odebrała jego pytanie jako wyraz podwójnego niedowierzania. Raz — że dziewczyna z pustyni mogła ukończyć studia medyczne w Libii, a dwa — jeśli już, to że po ich ukończeniu powróciła do tego miejsca.

— Studiowałam w Tunisie. Ojciec nalegał, abym wyjechała właśnie do Tunezji. Studia w Europie są bardzo kosztowne, a i mój francuski nie jest doskonały.

Słowo „doskonały” powiedziała po francusku, *parfait*, jakby dając do zrozumienia, że mogą porozumiewać się również w tym języku.

— Tradycyjnie Kel Adżdżar byli bliżej Algierii i Tunezji.

— Kel Adżdżar?

— Tak nazywają nasz naród.

— Powiedziałaś przed chwilą: Tuaregowie, mówiłaś wcześniej: Orahén...

— To może wydać się trochę skomplikowane, ale postaram się wyjaśnić ci zawiłości nazewnictwa. Tuaregami nazywali nas Arabowie, a za nimi przyjęli tę nazwę i Europejczycy. My nazywamy siebie Imuhar, czyli „ludźmi wolnymi”, albo też Kel Tamahak, „narodem, który mówi językiem tamahak”. Albo Kel Tagelmust, „ludźmi, którzy noszą tagelmusty”, okrycia głowy zakrywające twarz mężczyzn. W obrębie narodu Kel Tamahak jest wiele grup. Jedną z nich jest Kel Adżdżar, naród Adżdżaru, który zamieszkuje wyżynę Hadżdżar. Naród Adżdżar tworzą z kolei rodziny, czy też plemiona, jak mówicie w Europie. Nasz ród zwie się Orahén. I dzieli się z kolei na mniejsze rodziny: Arikin, Abakar, Mihero... Są też rody Kel Meddak, Imekarasen, Kel Izaben, Harir, Iboteraten... Agwelid jest głową rodziny Kel Abakar i przywódcą wszystkich Orahén. Jako amrar, wódz Orahén jest amenukalem, czyli wodzem wszystkich Kel Adżdżar, którzy zamieszkują obszar od Dżanet do Murzuka. Kiedyś istniała zależność jednych rodów od innych, porządek był hierarchiczny i nienaruszalny. Dzisiaj sprawy się mocno skomplikowały.

— Ale dlaczego właśnie Tunis i dlaczego ojciec zdecydował, że masz być lekarzem?

— Wydaje mi się, że nie odróżniasz naszych tradycji od arabskich. U nas mężczyźni nie podejmują decyzji za kobiety. Nawet ojciec nie decyduje o wszystkim, co dotyczy jego córki. Zawsze chciałam być lekarzem, pomagać innym. Nasz ród i nasz naród potrzebuje ludzi wykształconych, a lekarzy zawsze tutaj brakowało. A Tunis? Poziom medycyny w Tunezji jest znacznie wyższy niż u nas. Dotyczy to zarówno leczenia, jak i kształcenia. Nie wiem, czy wiesz, ale większość mieszkańców Libii jeździła leczyć się właśnie do Tunezji. Po tym, jak Katar wybudował na Uniwersytecie

Al-Manar w Tunisie nowe pomieszczenia dla wydziału medycyny oraz opłacił wykładowców, myślę, że poziom nauczania nie odbiega tam teraz od europejskiego. Idir mówił mi, że pochodzisz z północy Europy. Nietrudno się domyślić, bo masz jasne oczy, a włosy chyba też były kiedyś jasne? A w jakim kraju jest twój dom?

Zapytała nie „skąd jesteś?”, ale „gdzie jest twój dom?”. Ronowi przemknął przed oczami obraz rodzinnej wsi: zwirowana droga wśród pól kończąca się w otulinie lasu, gdzie rozsypało się kilkadziesiąt domów i gdzie rytm życia, tak jak przed dziesiątkami lat, wyznaczają pory siewów i żniw, obrzędy ślubów i pogrzebów. Mała rzeczka, staw, w którym z kolegami łowili ryby. Za rzeką i stawem rozciągał się las — pachnący igliwem, wilgocią i słodkawym smakiem pękających w ustach poziomek. Za lasem była już Litwa. Białoruś... „Ojczyzno moja, ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił...”. Ten Mickiewicz był jednak wielkim poetą. Białoruś? To już nie był jego dom. „Czy ja mam dom?”.

— Jest taki kraj, Polska. Nie wiem, czy słyszałaś...

— Oj, przecież uczyłam się geografii — parsknęła śmiechem. Nagle spoważniała, ale głosem wciąż lekkim zapytała: — Są w twoim kraju jeziora i lasy? Takie prawdziwe lasy, z wielkimi, wysokimi drzewami, gęste i pełne leśnych owoców?

„Czy ona czyta w moich myślach?”.

— Spośród państw europejskich więcej lasów i jezior niż u nas jest chyba tylko w Szwecji i Finlandii. A jeden z regionów nazywamy nawet Krainą Tysiąca Jezior.

— I są tam *châteaux*?

Znów użyła francuskiego słowa; najwidoczniej trudno jej było znaleźć właściwy, precyzyjny odpowiednik w arabskim oznaczający zamek lub pałac. Arabskie słowo *kusur*

odnosiło się do budowli innych niż pałacyki, takie jak nad Loarą, o których, jak zrozumiał Ron, myślała jego gospodyni.

— Och tak. Jest ich wiele. Większość jest z czasów, gdy Kraina Jezior należała do Niemiec. Część pozostaje wprawdzie wciąż nieodrestaurowana, ale są naprawdę ładne.

Patrzyła na niego uważnie, badawczo. Westchnął. Najpewniej go nie rozumiała — Niemcy, Polska, Europa, pałacyki... To tak, jakby mieszkańcom wsi na białorusko-litewskim pograniczu chciał opowiedzieć o ludziach z gór Akakus.

Tazerwalt w zamyśleniu pokręciła głową.

— To dziwne. To bardzo dziwne. Lecz nic w naszym życiu nie dzieje się przypadkowo — rzekła.

Po czterech dniach zdecydowała, że Ron może wstać z posłania.

— Musisz tylko unikać gwałtownych ruchów. I nie wychodź poza obóz. Możesz oczywiście nosić swoje ubranie, uprałyśmy je, ale proponuję, abyś nosił naszą odzież. Łatwiej będzie ci się w nią ubrać, jest wygodniejsza i nie będziesz rzucać się w oczy. Tu masz *takarbest*, *kartebę*, *takanimist* i *lidźelmust* albo *tagelmust*, jak mówimy. A na chłodniejsze dni otrzymasz jeszcze burnus.

Takarbest była czymś w rodzaju długiej, obszernej koszuli bez rękawów, rozciętej po bokach. Do tego dochodziła *karteba*, czyli szerokie spodnie z lekkiej bawełny, oraz *takanimist* — gandura, właściwie wielka płachta niebieskawej tkaniny złożona na pół, z wycięciem na głowę i rękawami, obszyta taśmą po brzegach. Do kompletu ubioru wchodziły jeszcze skórzane sandały — Tazerwalt nazywała je *imerkaden* — i długi na kilka metrów szal w kolorze ni to ciemnofioletowym, ni to granatowym. To był

ów *tagelmust*, nazywany niekiedy *szesz*, którym mężczyźni okrywali głowę, szyję i twarz. Ron z ulgą zdjął mocno prze poczone, źle pachnące szerokie spodnie i długą koszulę, które służyły mu jako piżama, i założył nową odzież. Wahał się przez chwilę, co zrobić z *szesz*, zanim w końcu zdecydował się okręcić ją wokół głowy tak, jak widział to u mężczyzn, którzy witali ich na lotnisku.

[1] *Maza chadasa li? Ma haza al-makan?* (arab.) — Co się stało? Gdzie ja jestem?

XXVII

Obozowisko, do którego przewieziono Rona, liczyło zaledwie dziewięć dość dużych namiotów, rozbitych półkolem na płaskowyżu, w cieniu góry. Namioty stały oddalone od siebie o kilkanaście, kilkadziesiąt metrów, więc obóz zajmował sporo miejsca. Część namiotów wykonana była ze skór, część — z grubej tkaniny. Tazerwalt objaśniła, że na uszycie skórzanego namiotu, który nazywa się *ehakit*, potrzeba kilkudziesięciu skór kóz lub owiec. Z kolei *aberdžen*, namiot utkany z mieszaniny wełny owczej i wielbłądziej, wymagał kilkutygodniowej pracy wszystkich kobiet w rodzinie. Namioty wspierały się na pięciu tyczkach, wejścia miały zawsze od wschodniej strony. W centralnym miejscu półokręgu obozu stał namiot wodza, przy wejściu do niego wisiał bęben.

— To *tabel* — wyjaśniła Tazerwalt — znak przywództwa, a jednocześnie symbol rodu.

Po chwili mówiła dalej:

— Kel Adżdżar nie mieszkają już na pustyni, lecz w osiedlach i miastach. Jednak ojciec pozostaje wierny tradycji, uważa, że naród przetrwa i zachowa swoją tożsamość tylko wówczas, jeśli będzie kultywował obyczaje przodków. W domu w Ghat przebywa bardzo rzadko, a większość czasu spędza właśnie tutaj, skąd wyjeżdża wizytować domy i namioty ludzi z plemienia. Ponadto — dodała po namyśle — odkąd wybuchła wojna, niebezpiecznie jest mieszkać w Ghat. Wszyscy wiedzą, że Agwelid popiera Wodza.

Ron już wiedział, na czym opierało się posłuszeństwo Kel Adżdżar wobec Kaddafiego. Jeśli amenukał troszczył się o bezpieczeństwo swoje i swojego rodu, to bardziej dogodnego miejsca na obozowisko nie mógł znaleźć. Z płaskowyzu rozciągał się widok na pustynię, w oddali, jeśli dobrze wyteńczyć wzrok i przebić się przez mgiełkę zjonizowanego, drgającego powietrza, można było w jasny dzień dostrzec równą linię drogi, a jeszcze dalej — ciemniejszą plamę z potężną bryłą twierdzy górującej nad miastem; to było Ghat, wrota pustyni. Wokół obozowiska z trzech stron wznosiło się pasmo gór Akakus, stanowiące naturalny mur obronny. Zagłębienie przed górami tworzyło naturalny zbiornik, w którym nawet teraz, w środku lata, gromadziła się woda. W maleńkiej oazie rosło kilka palm i akacji, kępki krzewów i traw. Przy skałach była też zagroda dla zwierząt, pusta teraz, otoczona wałem z kolczastych krzewów. W cieniu załomów skalnych stało kilka potężnych półciężarowych toyot. Obóz można było opuścić, zjeżdżając zarówno w dół na pustynię, jak i którąś z górskich dróg prowadzących wśród skał.

— Idealne miejsce do obrony lub na kilkudniowy biwak. Lecz jak tutaj żyć? Z czego się utrzymywać? — Ron wyobraził sobie, że miałby spędzić w obozie więcej czasu, i przestraszył się takiej perspektywy.

— Moi przodkowie żyli tu przez stulecia i przetrwali. Hodowali zwierzęta, rodzili i wychowywali dzieci. Po prostu żyli. Stworzyli swój własny świat w warunkach, gdzie trudno przetrwać. A przecież nawet nie mogli sobie wyobrazić urządzeń, jakie mamy dzisiaj. Radio, lodówka, ładowarka do telefonu... Zauważyłeś? Wszystko na energię słoneczną. Mój ojciec uważa te wynalazki za przejaw dekadencji — dodała z uśmiechem — ale nie sprzeciwiał się, gdy Amastan przywoził jakieś nowe urządzenia.

— A dzisiaj? Dzisiaj też utrzymujecie się z hodowli zwierząt?

— Ojciec ma stada wielbłądów, kóz i owiec, które dają mleko, skóry i mięso. Dosiada jeszcze niekiedy wielbłąda, ale podróżuje głównie samochodem. Stada wypasają członkowie naszego *etabel*, namiotu, czyli rodziny. Mieszkając poza osadami, w namiotach, ojciec chce wskrzesić czas swojej młodości. Mówi, że Tuaregowie powinni wrócić do korzeni. Przyznaję, jest w tym trochę snów o świecie idealnym, ale, jak ci wspomniałam, w tej sentymentalnej próbie powrotu do przeszłości znajdziesz i racjonalne ziarno. To właściwie schronisko i obóz wojenny w jednym. Mój naród musi się określić, zdecydować, jak się zachować w czasie wojny. Dotychczas pozostaje lojalny wobec Pułkownika, nasi bracia, mężowie i ojcowie walczą po jego stronie. Arabowie są natomiast podzieleni, część plemion popiera Kaddafiego, część jest przeciwko niemu. Gdyby ojciec pozostał w Ghat, wrogowie Wodza mogliby łatwo go tam znaleźć. A na pustyni Agwelid jest panem.

— Obóz wojenny? Nie bardzo rozumiem. Wydaje mi się pusty, nie widziałem dotychczas nikogo poza tobą i Menną.

— Bo nie wychodziłeś dotąd z namiotu. O tej porze nie widać nikogo, ponieważ ludzie kryją się przed słońcem. Oczywiście, to nie jest obóz, gdzie szkoli się wojowników. Ale tutaj i w innych *etabel* wracają do zdrowia ranni, nabierają sił zmęczeni. Tutaj ojciec zwołuje narady przywódców rodów.

Ron wkrótce się przekonał, że obóz pełni także inne zadania. Nad ranem, przed samym świtem, nim jeszcze wzeszło słońce, które przywraca szarym nocnym wydmom kolor złotego piasku, obudził go szum wielu samochodów. Do warkotu pojedynczych toyot, które przywoziły wodę pitną i zaopatrzenie, zdążył się już przyzwyczaić. Ale tym razem hałas był tak donośny, jakby dudniły czołgi

zbliżających się armii. Wyrzwał ostrożnie z namiotu. Od strony szosy i granicy z Algierią nadjeżdżała kolumna samochodów. Tylko pierwszy z nich miał włączone reflektory, pozostałe jechały z wyłączonymi światłami i jedynie jasne tło pustyni pozwalało dostrzec, że za świecąca głową podąża wąż składający się z kilkunastu pojazdów. Wąż pełził w ich stronę, zwijając się na serpentynach podjazdu. Karawana wjechała na płaskowyż, przepelzła obok namiotów i ustawiła się w rząd pod niemal pionowym zboczem góry. Ron widział dzipy i ciężarówki wyładowane skrzyniami i tobołami. Ochroniający je ludzie mieli na plecach karabiny, nie odłożyli ich nawet wówczas, gdy wozy się zatrzymały. Z namiotu sąsiadującego z namiotem wódza wyszedł mężczyzna, przywitał się z tym spośród przyjezdnych, który prowadził kolumnę. Rozmawiając, oddalili się w stronę namiotu. Tymczasem podróżujący rozciągnęli nad samochodami siatki maskujące, czyniąc to z wprawą, która wiele mówiła o ich doświadczeniu, rozbili kilka dodatkowych namiotów, rozpalili kochery. Usiedli w kręgach po kilka osób wokół szybko zaimprovizowanych maleńkich ognisk, po jakimś czasie ułożyli się do snu. Tylko przy ciężarówkach, pólśiedząc, półleżąc, pozostali na warcie dwaj strażnicy z bronią w ręku.

Gdy słońce wyszło zza skał, Ron mógł w pełni docenić walory kamuflażu. Siatka zlewała się z burożółtym tłem i żaden samolot ani dron nie mógłby wypatrzeć kolumny samochodów ukrytych u podnóża gór Akakus. Z pewnością, z jaką zachowywali się przyjezdni, i swobodnego tonu rozmów prowadzonych przez nich z mieszkańcami obozu Ron wywnioskował, że karawana nie pierwszy raz zatrzymuje się w tym miejscu. Przewożony przez kolumnę ładunek nie był jednak przeznaczony dla ludzi Kel Adżdżar. Tylko kilka pak wyładowano w obozowisku, reszta pozostała na samochodach i jeszcze przed zapadnięciem zmroku objuczone pojazdy ruszyły w dalszą drogę.

Podobnie jak sto i dwieście lat temu, Tuaregowie nadal przemierzali pustynie, które znali jak nikt inny — od wybrzeży Atlantyku po Morze Śródziemne i Morze Czerwone — ignorując granice i służby celne. Szmuglowali wszystko, co mogło przynieść im zyski: broń, towary luksusowe, ludzi i narkotyki. Obozowisko Agwelida było jednym z przystanków na szlaku tuareskich przemytników.

Agwelid powrócił do obozu następnego dnia po ich wyjeździe. Ron zastanawiał się, czy powrót ojca Amastana jakoś łączy się z przejazdem karawany, ponieważ wodzowi Kel Adżdżar towarzyszyły dwa pikapy z ciężkimi karabinami maszynowymi, a ich załogi wyglądem zupełnie nie różniły się od przemytników. Ron rozpoznał wśród nich kilku wojowników z oddziału Amastana, których twarze zapamiętał z wydarzeń w Trypolisie. Sam jednak nie zbliżał się do wodza, bo chociaż nie znał obyczajów Tuaregów, rozumiał, że należy zachować powściągliwość. Słońce już chyliło się ku zachodowi, barwiąc pustynię w różowo-fioletowe odcienie, gdy przyszła po niego Tazerwalt.

— Ojciec chciałby cię zobaczyć.

Odprowadziła go w stronę namiotu Agwelida, idąc pół kroku za nim. Spowity w niebieską gandarę i tagelmust zasłaniający mu całą twarz z wyjątkiem oczu, amenukal siedział nieruchomo przy małym ognisku, nad którym wisiał metalowy czajnik. Zobaczywszy Rona, skinął mu głową, wskazując gestem, aby usiadł. Dumna sylwetka wodza i jego oszczędne gesty wymuszały szacunek i posłuszeństwo.

Ron także starał się nadać swemu zachowaniu, sposobowi, w jaki siadał, jak najwięcej powagi i dostojności. Ale nie mógł się powstrzymać, aby nie odprowadzić wzrokiem sylwetki Tazerwalt.

Agwelid powolnym ruchem zdjął z ognia czajnik z gotującą się wodą. Obok niego na piasku stała miedziana

taca, a na niej dwa mniejsze czajniki, pudełko z herbatą, pojemnik z łupanym cukrem i kilka małych szklaneczek. Amenukal, wciąż w milczeniu, odsypał z pokrytego emalią i rysunkami pudełka trochę herbaty do czajniczka, który następnie zalał wrzątkiem, z pojemnika wyjął kilka kawałków cukru i wrzucił je do drugiego czajnika. Po minucie czy dwóch oczekiwania postawił na moment czajnik z naparem na ogniu, a następnie wlał wrzątek do czajnika z cukrem, aby za chwilę dolać osłodzoną wodę do pierwszego naczynia. Powtórzył tę czynność jeszcze dwukrotnie i dopiero wówczas napełnił szklaneczki ciemnym napojem, po czym przesunął jedną z nich w stronę gościa.

Wszystkie ruchy Agwelid wykonywał majestatycznie, jakby odprawiał ceremonię religijną. Ron także milczał, przyglądając się słynnemu tuareskiemu rytuałowi herbaty. Nawet sposób, w jaki Agwelid rozlewał herbatę, był szczególny: najpierw zbliżał czajnik do szklanki, aż naczynia niemal się stykały, a napełniając szklankę, równocześnie podnosił jednym, płynnym ruchem czajnik do góry. Przy czym ani kropli nie uronił na piasek. Szklanka parzyła dłonie, więc Ron postawił ją obok siebie. Dopiero gdy wódz opuścił tagelmust i podniósł naczynie do ust, także i on spróbował herbaty. Napój był mocny, gorący, gorzki i słodki zarazem.

Naśladując gospodarza, Ron pił herbatę małymi łykami. Słońce, wielkie i czerwone, zsuwało się za majaczące w oddali niebieskie góry i malowało piaski pustyni ciepłymi kolorami wieczoru.

— Ty jesteś Harib — bardziej stwierdził, niż zapytał amenukal.

Ron skinął głową.

— Harib znaczy „dziwny”, „obcy”. Ale też „ktoś, kto przybył z zachodu”. — Tuareg milczał przez kolejną długą chwilę. — U nas na pustyni mówimy, że pierwsza herbata jest jak śmierć: gorzka, cierpka i mocna. Dlatego nigdy nie dajemy pierwszej herbaty dzieciom. Druga herbata jest jak życie: pełna smaków, kolorów, odczuć. Trzecia: słodka jak miłość. Miłość też bywa gorzka, ale nawet taka pozostawia wspomnienia i nadzieję. Rozumiesz po arabsku, prawda? Ama mówił, że biegle mówisz po arabsku.

— Rozumiem i mówię. Ale nie znam twojego języka.

— Tamahak nie jest trudny, nauczysz się. Potrzebujesz tylko czasu.

— Obawiam się, że nie mam go aż tak wiele, abym nauczył się waszego języka. — Ron postanowił wy badać, czy wódz ma jakiś plan jego powrotu do Europy lub przynajmniej do Trypolisu. Nie mógł przecież spędzić tutaj tyle czasu, aby liczyć go w miesiącach!

— Ludzie Zachodu zbyt mocno wrastają korzeniami w teraz. W konkretne miejsce i konkretny czas. Nie potraficie dostrzec, że „teraz” oznacza tylko przerwę w tym, co trwa, co istnieje naprawdę. A czas pojmujecie jako prostą linię, która biegnie tylko w jedną stronę. Śpieszycie się wciąż, chcecie wyprzedzić bieg zdarzeń, nie wiedząc, że tym samym błąkacie się po manowcach. Musisz wiedzieć, że najkrótsza droga z oazy do oazy często nie prowadzi w linii prostej. Czas jest jak światło gwiazdy wśród skał: pochodzi z jednego źródła, ale biegnie w różne strony i odbite od skał wraca w kierunku gwiazdy.

Ron nie był pewien, czy prawidłowo zrozumiał pojedyncze zdania amenukala i czy właściwie pojął ich znaczenie. Na wszelki wypadek milczał.

— Amastan mówił mi o tobie. Ratowałeś życie moim synom. I teraz jesteś mi jak syn. Amastana nie ma wśród

nas. Allah chciał, abyś zajął jego miejsce. Ama nazywał cię bratem. Wierzę, że jest głęboki sens i przeznaczenie w tym, że zjawiał się tutaj. Nic w świecie nie dzieje się bez woli Boga, a wszystko, co się dzieje, jest częścią boskiego zamysłu.

Druga szklaneczka herbaty miała przedziwny smak, pełen najróżniejszych odcieni — od gorzkiego, poprzez miętowy, aż po słodki. Widać ziół pustyni było w niej nie mniej niż liści herbaty i cukru.

— Czy masz rodzinę?

— Rodzice już nie żyją. Żony i dzieci nie mam.

— To nie jest dobrze. Mężczyzna powinien mieć kobietę i dzieci, aby mieć o kogo dbać i aby ktoś troszczył się o niego. Jesteś chrześcijaninem?

— Tak. — Skinął głową, nie będąc do końca przekonany, czy może nazywać się wyznawcą Chrystusa. Owszem, jak większość Polaków na Białorusi został ochrzczony, okazjonalnie uczęszczał do kościoła, ale po powrocie do Polski skutecznie zniechęcił go do udziału w nabożeństwach ksiądz z jego parafii, który mszę mylił z wiecami politycznymi.

— Podobno kiedyś mój naród też wyznawał proroka Chrystusa, ale później najeźdźcy ze Wschodu przynieśli nowy obraz Boga i nowych proroków. Kel Tagelmust do dzisiaj zachowali znak krzyża i wiele zwyczajów z czasów przed przyjściem Arabów. Bóg jest jeden dla nas wszystkich, niezależnie od tego, jakim imieniem go przywołujemy.

Znów zamilkli. Niebo ściemniało i gwiazdy jedna po drugiej wyłaniały się z fioletowoniebieskiej poświaty, rozpościerając nad nimi świetlistą kopułę. Zazwyczaj o tej porze Tazerwalt odwiedzała Rona, sprawdzając, jak przebiega proces rekonwalescencji, ale też — domyślał się

— bardziej po to, aby porozmawiać o bogatych krajach północy, gdzie nigdy nie brakuje wody, która obficie spada nawet latem, a zimą zastyga w białych kryształkach. Mimowolnie zerknął w stronę swego namiotu.

— To, co ci teraz opowiem, jest tajemnicą naszego rodu, o której wiedzą wszyscy, ale o której nie mówi nikt. Zamieszkałeś w moim namiocie, więc jako człowiek z mojego rodu powinieneś ją poznać. Bo trzeba wiedzieć i rozumieć, aby móc milczeć.

Ron uważnie słuchał, starając się zrozumieć znaczenie słów wodza. Ten kontynuował opowieść:

— Tazerwalt jest pierwszym dzieckiem mojej drugiej żony. Matka Amastana zmarła krótko po porodzie. To był czas, gdy jeszcze bardziej niż dzisiaj brakowało lekarzy. Dużo później wziąłem za żonę Tuftent, która była najpiękniejszą dziewczyną spośród wszystkich Kel Adżdżar. Mój ojciec sprzeciwiał się, ponieważ Tuftent nie była z Ihaggaren, z książęcego rodu, jej babka pochodziła z Inaden. Ojciec mówił, że nie wypada komuś, kto może zostać amenukalem, brać za żonę kobietę niższego stanu. Chociaż Tuftent była wnuczką Tamazzalt, a jej stada były liczniejsze od stad niejednego szlachetnie urodzonego. Bo musisz wiedzieć, że ludzie z Inaden, choć są bardzo potrzebni, bo potrafią leczyć i wyrabiać użyteczne rzeczy, są też pogardzani. Wszyscy obawiają się ich czarów i mocy. Tuftent była jednak taka ładna, a ja już nie byłem młody... Miałem wówczas więcej niż czterdzieści lat. O matkę mojej córki zabiegało wielu dostojnych mężczyzn, nie tylko z rodu Inaden, ale też spośród Iforas n-Ukkiren, a nawet z Ihaggaren. Ale ona odrzucała ich dary. Wszyscy uważali, że jest dziwna, bo nie przyjmowała zaproszenia do nocnych rozmów z nikim. Powiedziała mi później, że czekała na mnie. Sprzeciw mego ojca szczęśliwie trwał krótko. Kiedyś spotkał Tuftent i długo coś jej tłumaczył. Moja przyszła

żona z szacunkiem i w milczeniu, ze spuszczoneymi oczami wysłuchiwała wszystkiego, po czym podniosła głowę, spojrzała wprost w twarz memu ojcu i powiedziała tylko kilka słów. Ojciec bez słowa odszedł, przyszedł od razu do mego domu i powiedział: „Synu, masz moje błogosławieństwo i błogosławieństwo Boga”. Nigdy mi nie zdradzili, ani on, ani moja żona, co wówczas mi odpowiedziała. Tylko przed samą śmiercią powiedział mi, abym chronił żonę i jej amulet. Tak, zaiste, wielka jest moc ludzi Inaden.

Agwelid ponownie napełnił herbatą najpierw szklaneczkę Rona, potem swoją. Trzecia herbata! I zamilkł.

Ron czuł się trochę nieswojo. Nie bardzo rozumiał wodza, a już zupełnie nie pojmował, jak się ma opowieść o matce Tazerwałt do obecnej sytuacji. Zapewne historie rodzinne są częścią ceremoniału. U nas też przecież opowiada się o koligacjach, wujkach, ciotkach. Bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości zapytał:

— Sprzeciw twego ojca wynikał z tego, że matka Tazerwałt była niższego stanu?

— Nie tylko. Właśnie chciałem ci to powiedzieć... — Amenukal spojrzał jakby z wyrzutem.

Ron zrozumiał, że jego chęć podtrzymania rozmowy została uznana za niecierpliwość, cechę, która nie przystoi mężczyźnie.

— Kel Adżdżar pamiętają swoją historię do wielu pokoleń wstecz. Musisz wiedzieć, że ojcem matki mojej żony, a babki Tazerwałt, był obcy. Chrześcijanin. Człowiek z Zachodu.

Agwelid znów zamilkł. Tym razem Ron czekał cierpliwie na ciąg dalszy opowieści.

— To się działo, zanim się narodziłem. W czasie wielkiej wojny. Wiem o tym od swego ojca. Najpierw przyszli tutaj Włosi. Moi przodkowie walczyli z nimi, ale Włosi byli silniejsi. Zajęli kraj i zbudowali na górze Kukemen wielką twierdzę. Później przyszli Niemcy i Anglicy. Mój ojciec opowiadał, że po pustyni przewalały się kolumny żołnierzy i potężnych pojazdów. Pozostawiały po sobie smród oleju, spalenizny i trupów wygrzebywanych z piasków przez hieny i rozszarpywanych przez ścierwniki. Niekiedy po niebie ścigały się ze sobą samoloty jak zaciekle w boju orły. Jeden z nich spadł tam — wskazał ręką na wschód — w górach. Kilku mężczyzn z naszego rodu dotarło na to miejsce, ale nie znaleźli niczego oprócz zwęglonych ciał. Wtedy to się zdarzyło. Dzień po tym nadleciał inny dymiący samolot z czarnym krzyżem, ale pilot uratował się, zdążył wyskoczyć ze spadochronem. Był ranny, więc go nie zabito, ale przyniesiono do obozu. Mój dziadek, który był jednym z wodzów, postanowił, że rannym zajmie się najbardziej poważana rodzina spośród Inaden. Inaden umieją leczyć, uczą dzieci rzemiosła i tradycji, więc mogli też czegoś nauczyć człowieka z nieba. Najstarszy wśród Inaden miał wnuczkę, Tamazzalt. Była to piękna dziewczyna, o skórze jak kość słoniowa i białych zębach, ale nikt nie chciał się z nią ożenić, gdyż była dziwna. Nawiedzona przez duchy. Chodziła sama po górach, zbierała kwiaty i zioła, znała tajemnicę sporządzania amuletów i niczego się nie bała. A pytania, jakie zadawała mężczyznom, którzy początkowo starali się o jej rękę, były tak trudne, że zalotnicy nie potrafili na nie odpowiedzieć i odchodzili jak niepyszni. Tamazzalt leczyła chrześcijanina, uczyła go naszego języka tamahak i obyczajów. Rainer, bo tak w naszej pamięci zapisało się imię pilota, okazał się także dobrym nauczycielem, bo Tamazzalt nauczyła się jego języka i nowych sposobów leczenia.

Amenukal podniósł do ust szklanę. Płomyk ogniska refleksem rozblęsnął na szkłe niczym spadająca gwiazda.

— Gdy dwoje młodych ludzi przebywa ciągle razem, wiadomo, czym to się kończy. Tamazzalt nie przyznała się swojej matce, że jest w ciąży, aż było za późno, aby spędzić płód. Tamazzalt popełniła *ekszef*, czyn, który hańbił ją i całą jej rodzinę. Miłosierny Bóg nie dopuścił jednak do hańby. Rainera ukąsiła *taszilet*, jadowita żmija, *talefsa tanadart*, która zabija natychmiast. Pełno ich w naszych górach. I problem został rozwiązany.

Agwelid pomilczał dłuższą chwilę, jakby coś wspominał i ważył w myślach.

— To były dawne czasy. I były inne zwyczaje. Opowiadali, że po śmierci chrześcijanina Tamazzalt stała się jeszcze dziwniejsza, jakby nieobecna na tej ziemi. Urodziła dziewczynkę i postawiła swój własny namiot na uboczu. Do śmierci mieszkała sama. Była potężną czarodziejką i lekarką. Nawet w przypadkach, gdy Ineslemen, wielcy znawcy Świętej Księgi i sposobów leczenia, rozkładali bezradnie ręce, zawierzając beznadziejnie chorego Bogu, leki i czary Tamazzalt okazywały się skuteczne. Jej sława rozeszła się daleko poza Kel Adżdżar. Wszyscy podziwiali ją i bali się jej, bo rozmawiała sama ze sobą w języku, którego nikt nie rozumiał. I nie był to język tenet, którym mówią wyłącznie Inaden. Chorzy przybywali aż z Kel Ahaggar. Tamazzalt nigdy nie prosiła o zapłatę, ale wdzięczni uzdrowieni darowywali jej kozy, owce, a nawet wielbłądy. Mogła zebrać prawdziwe bogactwa, ale ona niemal wszystko rozdawała innym. Mówiła, że nadejdzie czas, w którym będą mogli się odwdzińczyć.

Amenukal pokiwał głową, jak gdyby potwierdzając słuszność słów Tamazzalt, i mówił dalej:

— A Rainera pochowano w pieczarach. Tamazzalt wymogła, aby nie grzebano go, jak przystoi, w ziemi. Już po tym, jak ciało zmarłego owinięto w całun i złożono, jak nakazuje Bóg, na prawym boku, twarzą w kierunku Mekki, Tamazzalt sama poszła do jaskiń, ukryła ciało w innej grocie, ułożyła je na wznak, głową w kierunku Bel Hadi, gwiazdy północnej, i czytała modlitwy nie z Koranu, ale z małej książeczki, którą miał Rainer, spisanej w niezrozumiałym dla nikogo języku. Było to wbrew tradycji, ale Tamazzalt była wówczas brzemienna i wszyscy litowali się nad nią. Rozumieli, że zachorowała na umyśle. I bali się jej klątw, a nawet jej *tahotl*, niedobrego spojrzenia, które mogło powodować choroby czy okalawienie wielbłądów. Tradycja nakazuje, aby kobieta wolna nosiła żałobę cztery miesiące i dziesięć dni. Tamazzalt nosiła ją dłużej. Do końca życia. Nawet gdy powiła córkę, nie zdjęła czarnego szala ani nie założyła bransolet. Babka mojej żony żyła bardzo długo. Dobrze pamiętam, jak szła przez wieś, szczupła, zawsze w czarnej gandarze. Ludzie kłaniali się jej, a potem odwracali się i szeptali zaklęcia przeciwko czarom. Swoją córkę, którą nazwała Tazerwalt, wydała za mąż za Izdarasena, najroztropniejszego spośród Inaden. Izdarasen był później doradcą mego wuja i to Tamazzalt go przekonała, że doradcą amenukala powinien zostać on, a nie jej brat. Wszyscy się dziwili, że Tamazzalt nie poparła swojej rodziny. Ale po śmierci Rainera Tamazzalt nie należała już do swojego rodu — należała do wszystkich Kel Adżdżar. Odeszła dopiero wtedy, gdy zobaczyła swoją prawnuczkę, moją córkę. To ona nazwała ją imieniem Tazerwalt. Tak jak prosiła, pochowałem Tamazzalt w górach, w grocie, obok Rainera. Tylko moja rodzina zna miejsce ich spoczynku. Tylko moja rodzina może tam bezpiecznie dotrzeć i powrócić.

— Twoja córka nosi imię swojej babci. Co oznacza imię Tazerwalt?

— Tazerwalt? Tazerwalt znaczy: ta, która ma błękitne oczy.

Siedzieli długo w milczeniu, wsłuchując się w głosy pustyni.

— Późno już — zawyrokował w końcu Agwelid. — Idźmy spać. Jutro Bóg w łaskawości swojej też ześle nam nowy dzień.

XXVIII

Chociaż minęła pora ramadanu, Tuaregowie z obozu siadali do *amekli*, śniadania, wczesnym rankiem, gdy góry nie rozpały się jeszcze żarem pustyni, a piaski zaczynały dopiero świtać złoto-szarymi kolorami. Większość spośród jakichś trzydziestu przebywających teraz w obozie ludzi stanowili mężczyźni, przeważnie młodzi. Kobiet było zaledwie kilka: Tazerwalt, Menna, jeszcze dwie młode dziewczyny i dwie starsze Tuareżki, w chustach, ale — w odróżnieniu od mężczyzn — z odsłoniętymi twarzami. Rodzina Agwelida siedziała osobno przed namiotem wodza.

Ron szczerze się ucieszył, widząc Aksila, zarośniętego, wychudłego i z bladą twarzą, ale uśmiechającego się. Objął go w serdecznym, nieudawanym odruchu. Najwidoczniej syna Agwelida wywieziono ze szpitala pod osłoną nocy. Menna przyniosła posiłek, *tarauit*, potrawę o konsystencji gęstej zupy składającą się z koziego mleka, kruszonego sera, roztartych ziaren jakiegoś zboża i daktyli. Kobieta rozstawiła przed nimi naczynia, na środku misę, i miała najwyraźniej zamiar odejść, ale Tazerwalt delikatnie przytrzymała ją za rękę, skłaniając do zajęcia miejsca przy wspólnym posiłku. Agwelid patrzył uważnie, ale nie zareagował.

Amenukal odmówił krótką modlitwę, kończąc ją gestem umywania twarzy. Ron także powtórzył ten gest, po czym machinalnie się przeżegnał. W domu, na Białorusi, gdy siadali do wspólnego posiłku, jego ojciec nie zawsze się modlił, ale nigdy nie zapominał się przeżegnać. Tazerwalt i Agwelid przypatrywali się gestom Rona. Siedzący przy sąsiednich namiotach mężczyźni także rzucali zaciekawione

spojrzenia w jego stronę. Z pewnością opowiedzieli im o Ronie ludzie z oddziału Amastana — kilku z nich rozpoznał wśród śniadających. Rozmawiali niewiele. Aksil zapewniał, że czuje się zupełnie dobrze i jeszcze dwa, trzy dni, a w pełni powróci do zdrowia. Tazerwalt żartowała, że poprosi ojca o dodatkową gażę, bo ma teraz dwóch pacjentów, a nie jednego. Gdy Menna zebrała naczynia i oddaliła się (to samo uczyniły kobiety z innych namiotów), rozpoczął się poranny rytuał herbaty. Agwelid rozdawał napełnione szklanki, poczynając od siedzącego po jego prawej stronie Aksila. Przy trzeciej herbacie przemówił:

— Aksilu, synu. Zostaniesz z Tazerwalt i Haribem w obozie. Wraz z wami pozostaną kobiety i ci spośród wojowników, którzy są lekko ranni lub bardzo zmęczeni. Nauczcie Hariba wszystkiego, czego będzie w stanie się nauczyć, aby mógł przetrwać na pustyni. Ja z pozostałymi wyruszę w drogę do Ghat i Ubari, aby odebrać ładunki z Trypolisu. Będziemy czekali w oazie Tlata-Anuan na naszych braci. Nadchodzą trudne chwile i musimy zebrać wszystkie siły, aby przygotować się do obrony.

Wkrótce po śniadaniu prawie wszyscy mężczyźni Kel Adżdżar opuścili obóz. Pozostało tylko kilku wojowników i kobiety. Aksil, który zamieszkał teraz w jednym namiocie z Ronem, wyjaśnił mu sytuację. Tak jak przewidywał Amastan, po ciężkich trzydniowych walkach rebelianci zdobyli w drugiej połowie sierpnia Trypolis. Wśród kilkuset zabitych było kilkunastu Kel Tagelmust, kilkunastu innych trafiło do niewoli. Powstańcy, których przywódcy tworzyli teraz tymczasowy rząd Libii, zbliżali się do miasta Sebha. Stamtąd już tylko niespełna dwieście kilometrów do Murzuku i droga na Ghat była otwarta.

Agwelid wyjechał w stronę Sebhy, aby nawiązać bezpośredni kontakt z dowódcami rebeliantów i wykupić swoich ludzi. Problemem było to, że po stronie powstańców

nie było jednego dowództwa i nie wiadomo było, z kim należy rozmawiać. Część Kel Adżdżar uważała, że trzeba bronić Sebhy, amenukał był natomiast zdania, że w tej fazie wojny Tuaregowie powinni pozostać neutralni. Jeśli jednak nie porozumie się z nowymi władzami w sprawie tuareskich jeńców, to Agwelid będzie zmuszony do walki. Dlatego zbierał ludzi, gdyż broni było pod dostatkiem.

Aksil opowiadał, jak w jednym ze składów broni, praktycznie opuszczonym, oddział Amastana przejął ponad sto zestawów przeciwlotniczych.

— Były w oryginalnych, fabrycznych skrzyniach, zupełnie nowe. Tylko bierz, ładuj i strzelaj. Nie wiem, czy wiesz, że rosyjskie rakiety przeciwlotnicze, Rosjanie nazywają je igłami, są wprawdzie mniej precyzyjne niż na przykład francuskie mistrale, ale za to bardzo odporne na zakłócenia. Dlatego to bardzo poszukiwany towar. A jeden komplet to co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— I co z nimi zrobiliście? — zapytał z ciekawością Ron, wyobrażając sobie, co by się stało, jeśliby tę groźną broń przejęła jakaś grupa islamistów z Bliskiego Wschodu.

— Na wszelki wypadek przechowujemy je w bezpiecznych miejscach — uśmiechnął się Aksil. — Ale w 2004 roku Pułkownik zakupił od Rosjan pięćset zestawów, więc nikt nie ma zielonego pojęcia, w czyje ręce trafiły pozostałe.

Ron wiedział, że Aksil ukończył akademię wojskową w Trypolisie, był oficerem regularnej armii libijskiej, zatem jego informacje należało traktować jako wiarygodne.

Od końca sierpnia trwała pora *ameuan*, gdy w dzień upały nie są już tak straszliwe, a noce nie są jeszcze zimne. Na niebie pojawiały się chmury, a pewnego dnia spadł nawet deszcz. Natychmiast zazieleniły się pastwiska, krzewy nabrały wigoru i pojawiły się nieśmiałe kwiaty. Gdyby nie pełne napięcia oczekiwanie na coś, co może się zdarzyć, ale

czego nikt nie potrafił nazwać, Ron mógłby powiedzieć, że spędza błogie wakacje wśród bez troskich mieszkańców egzotycznej krainy. Z upływem dni mieszkańcy obozu przestali nazywać go za plecami *enemmenher* — obcy, cudzoziemiec, a mówili po prostu „*angat* Harib”, co mogło oznaczać „brat Harib”, ale też „brat z Zachodu”. Aksil objaśniał mu tajemnice życia na pustyni, uczył go jazdy na wielbłądzie. Wyprawiali się na coraz dłuższe wędrówki, najczęściej samochodem terenowym przemierzali pustynię i górskie drogi, wspinali się na wschodnią stronę w wyższe partie gór, skąd rozciągały się widoki na wąskie kotliny, labirynty skał i wielkich głazów rozsianych wśród piasków. Dwukrotnie towarzyszyła im Tazerwałt, ale tylko w krótszych eskapadach, bo jej obecność w obozie była niezbędna, gdyż w miejsce podleczonego żołnierza pojawiali się nowi ranni.

— Musimy wybrać się do tamtej doliny. — Aksil wskazywał ręką na południowy wschód, gdzie w oddali jaśniało coś, co było ni to górą, ni to jeziorem błyszczącego piasku. — Zobaczysz rzeczy, o których istnieniu mało kto wie na świecie.

Któregoś dnia w obozowisku pojawiły się konie — Aksil zamierzał przyuczyć Rona także do jazdy konnej. Harib miał pewne problemy z osiodłaniem wierzchowca, gdyż siodło było nietypowe, nieznanne mu, lecz ku zaskoczeniu Kel Adżdżar przybysz z Zachodu wcale nie ustępował im w samej jeździe.

— Gdzie się nauczyłeś tak jeździć? — spytał Aksil.

— We wczesnej młodości trochę jeździłem — odparł krótko Ron.

Jeśliby chciał objaśniać im swoje umiejętności jeździeckie, musiałby opowiedzieć o swojej rodzinnej wsi, gdzie zgodnie z dawnymi zwyczajami mali chłopcy w niedzielę wyjeżdżali

„paść konie”. Chodziło oczywiście nie o wyprowadzenie zwierząt pociągowych na soczyste łąki za rzeką, która później stała się granicą oddzielającą jego wieś od innego państwa, ale o trzykilometrową jazdę na oklep, niekiedy stępą, niekiedy galopem. Pierwszy raz Rostek wsiadł na konia, gdy miał trzy lata. Ojciec posadził go na grzbiecie zwierzęcia, które malcowi wydało się wysokie jak dom, poradził, aby trzymał się grzywy, i szybko prowadząc konia za uzdę, dał mu pierwszą lekcję jazdy. Latami ćwiczone nawyki przydały się bardzo już podczas pierwszej wyprawy dziennikarskiej do Tadżykistanu, wówczas ogarniętego wojną domową. Na wypożyczonych wierzchowcach, wspólnie z Anglikami z BBC, dla których Ron wtedy pracował, udało się im przedrzeć przez góry, unikając zasadzki zastawionej na nich na drodze przez okurzonych opium bojowników z Kulabu.

Aksil znał okolicę, jak zna się własne mieszkanie, po którym można przemieszczać się nawet nocą, bezbłędnie wymijając meble, z zamkniętymi oczami wyjmując z szafki filiżankę i włączając ekspres do kawy. Wzniesienie, na którym znajdowało się obozowisko, górowało nad rozległą piaszczystą pustynią, którą Kel Adżdżar nazywali Edejen, co oznaczało po prostu „wydmy”. Zależnie od wielkości i kształtu wydmy nosiły różne nazwy. Wielkie kopce piasku, wysokie nawet na dwieście metrów, nazywano *gara*. Długie, ciągnące się kilometrami, o łagodnych jak grzbiet osła wierzchołkach to były *zemle*, a jeśli diuny miały zakończenia ostre niczym krawędź szabli, mówiono na nie *sif*. Ron dowiedział się, że podróżować należy nie wierzchołkami barchanów, a zagłębieniami między nimi. Dzięki temu można pozostawać niezauważonym, poza tym w obniżeniach łatwiej dokopać się do wody. Niekiedy drogi między wydmami były tak wąskie, że z trudem przechodziły nimi wielbłądy. Aksil przestrzegał przed podróżowaniem takimi przejściami, które zwał *thenija*. „Jeśli nadejdzie silny

wiatr, może zamieść cię w zagłębieniu” — objaśniał. Nie rekomendował także przejść *durija*, szerszych, ale wijących się między labiryntami wydm. „Jeżeli nie zna się dobrze okolic, łatwo zabłądzić wśród diun, zwłaszcza gdy przeszkadzają *dzeni*, złe duchy” — ostrzegał. Najczęściej wybierali drogi *haudh*, szerokie nawet na kilometry, równe obniżenia między wydmami, które przy bezproblemowym przejeździe można było przejechać pikapami.

Bliżej gór Akakus na piaszczystej pustyni wyrastały głazy, pojedyncze skały i zgrupowania skał. Każde z nich nosiło swoją nazwę i było, jak zrozumiał Ron, swego rodzaju drogowskazem dla podróżujących. Kel Adżdżar nie mogli zagubić się wśród skał i gór, tak jak mieszkaniec miasta nie może się zagubić, nawet jeśli znajdzie się w obcej sobie dzielnicy, na nieznanym ulicy z pozornie jednakowymi domami, ponieważ każdy element krajobrazu jest dla niego jedyny i niepowtarzalny. Na pustyni swoje nazwy miały też wzniesienia i płaskowyże, które prowadziły do gór. Najłatwiej było zgubić drogę w górskich labiryntach, pełnych uskoków, rozpadlin i jaskiń. Ron dowiedział się, że jaskinie, których dziesiątki wyłobiliła sama natura, są nie tylko doskonałym miejscem odpoczynku czy schronieniem przed deszczem lub zbyt znojnym upałem, ale pełnią też rolę schowków, w których Kel Adżdżar umieszczają przedmioty niezbędne im w podróżach, bywają również małymi bazami wypadowymi.

Agwelid przyjeżdżał od czasu do czasu do obozowiska, spędzał w nim dzień lub dwa i przepadał na kolejne dni. Z faktu, że nie dowożono już rannych żołnierzy, a Tazerwalt coraz rzadziej wyjeżdżała z bratem i ochroną do Ghat po żywność, leki i opatrunki, Ron rozumiał, że Kel Adżdżar na razie udaje się unikać walki. Nawet podczas krótkich pobytów w obozie amenukal prowadził przez telefon negocjacje z dowódcami, którzy przetrzymywali jego współplemieńców.

— Żądają po pięćdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy dolarów za jednego żywego i dwadzieścia, trzydzieści tysięcy za ciała w chłodniach. Dowódca każdego z oddziałów milicji ma swoje ceny. Dlatego wszystko idzie tak powoli. Dotychczas wykupiłem tylko czterech moich ludzi — objaśnił Agwelid.

Ron chciał już zapytać, skąd biedni mieszkańcy pustyni wezmą tak wielkie środki — wszak wykupienie kilkudziesięciu jeńców lub ciał wymagałoby kilku milionów dolarów — lecz amenukał uprzedził go:

— Pieniądze nie są problemem. Bo jakąż wartość miałyby te papiery, gdyby nie służyły ludziom?

Harib mógł się jedynie domyślać, że wódz Kel Adżdżar czerpie niemałe korzyści z kontroli przemytu na obszarze od Sahary Zachodniej i Algierii po Niger, Sudan i wybrzeże Morza Śródziemnego. A może nawet sam — lub jego ludzie — uczestniczy w tym procederze.

Mimo że mieszkał w obozowisku od kilku tygodni i nazywano go bratem, Ron wciąż był traktowany jak gość. Każda wizyta Agwelida była okazją do wieczornego rytuału herbaty i rozmów tak długich, że niebo najpierw przybierało ciemnofioletowy kolor, a potem pojawiały się gwiazdy, wielkie i bliskie, jakby wisiały tuż nad skałami. Rozjaśniały one nieboskłon, aż miało się wrażenie, że zewsząd otacza ich srebrny kurz. Dział się magiczny czas nienazwań, gdy siedzieli we czworo pod perłowym sklepieniem nieba, a Agwelid opowiadał historie z życia swego narodu. Ronowi wydawało się niekiedy, że śni, że pustynia, namioty, góry, niebo, nawet pobłyskujące w oddali dżipy nie istnieją naprawdę, że wszystko jest tylko sennym widzeniem, które zniknie, gdy wzejdzie słońce i zaterkocze budzik, a on wyjdzie na balkon swego mieszkania, aby ujrzeć szare bryły wielkomiejskiego osiedla.

Gdy wsłuchiwał się w słowa amenukala, miał wrażenie, że Agwelid przemawia specjalnie do niego, bo Aksil i Tazerwalt znają już te opowieści. Wódz Kel Adżdżar mówił mu o dramatycznym losie swoich rodaków, o nadziejach, jakie wiązali z przyjściem Kaddafiego, o rozczarowaniu, o obecnych lękach przed niewiadomą.

— Nasi przodkowie mieszkali tutaj jeszcze w czasach, gdy tam, gdzie dzisiaj królują piaski pustyni, rosły lasy i rozciągały się zielone sawanny, na których żyły antylopy, żyrafy i lwy, płynęły rzeki pełne ryb, a ludzie nie znali głodu i niedostatku. Na ścianach jaskiń Tadrart Akakus do dzisiaj pozostały jeszcze rysunki, które pokazują bogactwo tamtych czasów. Nie widziałeś jaskiń Akakus? Aksil, Tazerwalt, musicie koniecznie pokazać je Haribowi! Mój dziad opowiadał, że pierwsi Kel Tagelmust przybyli z północy, przepłynęli przez słone morze. Pozostawili po sobie *menhiry*, wielkie kamienne stele, z których wiatr i piaski pustyni starły napisy, ale kamienie pozostały, świadcząc o wielkiej historii wolnych ludzi. Ze wschodu i północy napływały na nasze ziemie kolejne fale różnych ludów, były jak niesiony wiatrem piasek: rozsypywały się wśród gór, wsiąkały w ziemię. Ze wschodu przybyli potomkowie Fenicjan, którzy nauczyli nas wielu użytecznych rzeczy. Z północy napłynęli ludzie o jasnych włosach i niebieskich oczach. Krew ich wszystkich płynie w naszych żyłach. Zauważyłeś, jak wielu spośród Kel Adżdżar ma jasne oczy? Później ze wschodu przybyli z kolei Arabowie, niezliczeni wojownicy na koniach i wielbłądach i z imieniem jedyne boga, którego sławili. Przybyszy było coraz więcej i spychali nas w stronę, gdzie słońce świeci najsilniej. Myśleliśmy, że też przeminą, bo później wrócili ludzie z północy. Ci również wyznawali jednego boga, ale walczyli z Arabami o to, który bóg silniejszy. Najpierw zwyciężali ludzie północy, budowali nowe miasta i forty na pustyni, a Saharę przedzielili granicami. Najwidoczniej Allah jest jednak

potężniejszy niż Bóg ludzi północy, bo to Arabowie zostali dłużej. Ale granice, jakie nakreślili przybysze z Europy, pozostały. Cóż za niemądry pomysł kreślić linie na piasku! Wystarczy najmniejsza burza, aby je zasypać. To Arabowie nazwali nas Tuaregami. Nie chcieliśmy przyjąć ich boga, dlatego nazwali nas Tałarig, „opuszczony przez Boga”. Tak naprawdę słowo „Tuareg” pochodzi od oazy Targa, która była w samym środku naszego świata, zanim odeszliśmy na południe. Ty już wiesz, że my nazywamy samych siebie Imuhar, czyli „ludźmi wolnymi”.

— A Kel Adżdżar? Kel Tagelmust?

— Jesteśmy również Kel Adżdżar, czyli „ludźmi z Adżdżaru”, i Kel Tagelmust, „ludźmi, którzy noszą tagelmust”. Ty również, nosisz teraz tagelmust.

— Amastan powiedział mi, że poparłeś Kaddafiego, bo obiecał wam, że będziecie mogli żyć jak wcześniej...

— Nie tylko dlatego. Pułkownik przeszedł długą drogę. Najpierw rozkazał nam wszystkim być Arabami. Zabronił nam używać naszych imion, naszego pisma. Możesz powiedzieć, że *arhelam*, wielbłąd, jest *aluki*, krową, ale przecież i tak pozostanie wielbłądem. Gdy jednak *rais*^[1] zrozumiał, że jednoczyć wszystkich Arabów w jedno państwo to tak, jakbyś chciał kozy, fenki, owce i szakale paść w jednym stadzie, zapalił się do idei wielkiego państwa Tuaregów i Berberów, od Morza Śródziemnego do Wagadugu. W 2005 roku ogłosił pomysł utworzenia Islamskiej Republiki Sahary, później rozpoczął rozmowy z przywódcami plemion saharyjskich. Kaddafi jest porywczy, nieobliczalny i trochę szalony. Jeśliby jednak sztuczne granice na Saharze przestały istnieć, to ludzie staliby się wolni, a takie państwo byłoby bogate i potężne. Nie bardzo wierzyłem w to, że zamysł Pułkownika można zrealizować w dzisiejszym świecie. Pomyśl: cała ropa naftowa, gaz, uran, złoto... wszystko w granicach jednego wolnego kraju!

Przecież Zachód by nie dopuścił do tego. Ale gdyby tylko zniknęły granice chociaż między Tuaregami, to już byłoby wielkie zwycięstwo. Gdy jednak idee Pułkownika stały się znane, jego los został przesądzony. Wy, ludzie Zachodu, nigdy nie dopuścicie do tego, aby odrodziła się jedność wolnych ludzi Afryki.

— Nie jestem politykiem, jestem tylko dziennikarzem. Opisuję ludzi i wydarzenia, ale nie podejmuję decyzji.

— Jesteś człowiekiem wolnym i tylko ty decydujesz o swoich wyborach. Jeśli nie mieszka w tobie strach, nie możesz słabością tłumaczyć biernego godzenia się z niesprawiedliwością. Ponieważ nazwałeś się człowiekiem słowa, pisz prawdę. Prawdę taką, jak ją widzisz i czujesz. Pamiętaj, kto skłamie chociaż raz, jest kłamcą i człowiekiem, któremu nie wolno wierzyć.

— Ojciec — wtrąciła milcząca dotąd Tazerwalt. — Może Bóg wyznaczył Ronowi inną drogę. Niech nią idzie.

Agwelid umilkł. Ron zauważył już wcześniej, że słowa Tazerwalt, często bardzo ogólnikowe, jakby nieodnoszące się do konkretnej sytuacji, są przyjmowane przez innych mieszkańców obozowiska jak ostateczny werdykt. Dotyczyło to także amenukala.

— *Angat Harib*, zostań z nami, przynajmniej w porze *tagrest*, gdy akacje zrzucą liście, a w górach pojawią się przymrozki — powiedział Aksil, wyraźnie chcąc zmienić zadany przez ojca temat rozmowy. — Teraz niebezpiecznie jest podróżować po Libii. Ponadto, skoro już tutaj jesteś, powinieneś lepiej poznać pustynię.

— Tak, powinieneś zostać. — Tazerwalt poważnie skinęła głową.

W jej głosie nie było ani cienia kokieterii czy nęcącej zachęty, z jaką kobiety mówią mężczyznom „zostań”. Było spokojne stwierdzenie rzeczywistości, która ma nadejść, i

wszyscy, łącznie z Ronem, przyjęli jej słowa jako coś oczywistego, co nie podlega dyskusji.

Odkąd Aksil powrócił do zdrowia i formy, wyjeżdżał wraz z ojcem, a Ron coraz więcej czasu spędzał z Tazerwalt. Początkowo obecność pięknej córki amenukała bardzo go onieśmielała, wręcz pętała jego gesty i słowa, tym bardziej że w zachowaniu dziewczyny, sposobie, w jaki mówiła i poruszała się, była pewna wyniosłość, chłód. „Księżniczka” — nazywał ją w myślach. Tazerwalt bardzo chętnie z nim rozmawiała, a dokładniej — wypytywała o Europę, obecne zwyczaje, nawet trendy w modzie.

— Gdy studiowałam w Tunisie, miałam okazję często spotykać ludzi z Europy. Ale to byli turyści, którzy przyjeżdżali, aby kąpać się w morzu, opalać swoje twarze, kupować pamiątki lub oglądać ruiny. Turyści zachowują się inaczej, bardziej beztrosko niż normalnie w życiu. Jakby szli po piasku, a wiatr natychmiast zamykał ich ślady. Chciałabym kiedyś pojechać do Europy. Dokąd byś radził?

— Oczywiście do Włoch. Nie tylko dlatego, że to najbliżej. Włochy to także starożytny Rzym, kolebka naszej cywilizacji. We Włoszech znajdziesz wszystko to, co jest w Europie.

— A Niemcy? Znasz ten kraj?

— Trudno nie znać sąsiada, chociaż nierzadko zdarza się, że najmniej zna się tych, z którymi mieszka się po sąsiedzku.

— A miasto Sternberg lub Szternberg? Czy wiesz, gdzie się znajduje?

— Niemcy to nie tylko gospodarczy gigant, najbogatszy w Europie, to także dość rozległy kraj. W Niemczech też jest wszystko, poza ciepłym morzem. Ale nie wiem, gdzie może być takie miasto. Może znajdziesz je w internecie,

próbowałaś? — Nie pytał, dlaczego właśnie to miasto ją interesuje.

— Szukałam, ale bez rezultatu. Może coś pomyliłam. Mówisz po niemiecku?

— Tak, uczyłem się tego języka, bo studiowałem filologię, właśnie niemiecki i francuski.

Tazerwalt popatrzyła na niego uważnie. Tym razem odwzajemnił spojrzenie — długie spotkanie ich oczu nie spieszyło dziewczyny.

„Z taką urodą i tym spojrzeniem mogłaby być gwiazdą filmową” — przeszło mu przez myśl. I natychmiast uśmiechnął się w duchu: „Przecież w świecie jej pojęć wystawianie się na pokaz i mówienie słów, które nie są ważne, byłoby bezsensownym marnotrawieniem czasu”.

Tego dnia rozmawiali o planowanej wyprawie do jaskiń ze starożytnymi malowidłami. Ponieważ odległość nie była zbyt duża, zamierzali wrócić przed zmrokiem. Postanowili, że pojedą tam dwoma dżipami, oni we dwoje i jeszcze dwóch ludzi z bronią. Wprawdzie na południu Libii było jeszcze bezpiecznie, ale Agwelid zabronił im opuszczać obozowisko bez ochrony.

Wyruszyli wkrótce po świtaniu. Zaraz za obozem wąska i kręta droga rozwidlała się. Na lewo trakt wspinał się długim podjazdem, a na prawo ostro strzelała w górę ścieżyna tak wąska, że trzeba było przytrzymywać się skały, aby nią przejść. Tazerwalt wskazała na nią ręką.

— *Abarka-wan-darren*, ścieżka dla tych, którzy idą pieszo. Tam w górze są małe jaskinie, gdzie można się schronić. Tylko musiałbyś tam wejść, a nie wiem, czy potrafisz. Chociaż, mówiąc szczerze, wspiąć się łatwiej, trudniej zejść.

Drogą dotarli na skalną półkę, którą — niczym naturalną szosą doklejoną do masywu — przejechali nad doliną, później znowu krętymi wirażami prowadzącymi w dół zjechali na płaską, rozległą równinę, pokrytą piaskiem, żwirem i rozsianymi pojedynczo skałami i głazami. Słońce odbijało się miejscami od zupełnie białej powierzchni, która błyszczała niczym sól lub woda.

Bojownicy z ochrony wyjaśniali coś Tazerwalt w języku tamahak, kreśląc linie na mapie.

— Szibub i Azem twierdzą, że powinniśmy pojechać okrężną drogą, ponieważ kamienie zaczęły już wędrówkę i ich mapy mogą wskazywać nieaktualną trasę. A jeśli zboczymy z naszej ścieżki, możemy utknąć w grząskich piaskach. Natomiast jeśli pojedziemy drogą wokół gór, nie zdążymy wrócić do obozu przed nocą.

— Jakie kamienie? — Ronowi wydawało się, że po prostu nie zrozumiał Tazerwalt. — Przecież góry wokół są za niskie, aby spadały z nich kamienie, poza tym możemy pojechać środkiem doliny.

Obaj wojownicy zgodnie się zaśmiali, uśmiechnęła się także córka amenukała.

— Widzisz te kamienie? — Wskazała ręką głazy rozrzucone po równinie. — Pustynia tutaj jest zdradliwa, w wielu miejscach są niebezpieczne grząskie piaski. Oczywiście nie pochłoną nas, takie bajki opowiadają tylko ludzie z Zachodu przy ognisku, ale samochody mogą w nich ugrzęznąć. Chociaż krążą opowieści, że akurat w tym miejscu, gdzieś w środku równiny, jest Tit Szajtan, Studnia Diabła, która pochłania ludzi i zwierzęta. Ale to tylko opowieści. Azem i Szibub mają szkic z zaznaczoną bezpieczną drogą wśród skał. Chodzi jednak o to, że w ciągu ostatnich miesięcy kamienie przemieściły się i nie wiemy, którędy jechać.

— Jak to przemieściły się? Ktoś je przesunął? — Ron roześmiał się na myśl, że jacyś giganci w skwarze pustyni przesuwają wielkie, ważące zapewne po kilkadziesiąt ton głazy.

— Ron, kamienie wędrują — powiedziała poważnie, a jednocześnie z pobłażliwością, tonem, jakim matka tłumaczy dziecku, że w tygodniu jest tylko jedna niedziela, a po niej trzeba iść do przedszkola. — Pustynia ma wiele tajemnic, które nawet dla mnie pozostają nieodgadnione.

Czytał kiedyś, że w Kalifornii znajduje się pustynna równina, zwana Doliną Śmierci, na której naukowcy odnotowali samoistne przesuwanie się fragmentów skał. Ponieważ już w trakcie lektury nabrał wątpliwości co do wiarygodności tej publikacji, potraktował ją jak opowieść o yeti — wszyscy o nim mówią, niektórzy twierdzą, że go widzieli, lecz nikt nie przedstawił dowodów na jego istnienie. Ale Tazerwalt mówiła z pełną powagą o kamieniach, które wędrują przez pustynię, i Ron złapał się na myśli, że przyjmuje jej słowa jako niezbitą prawdę.

Obaj Tuaregowie wyczekująco i jakby bojaźliwie patrzyli na Tazerwalt. Początkowo Ron sądził, że Azem i Szibub oczekują, iż córka wodza zaakceptuje ich propozycję. Po chwili pojął, że wojownicy Kel Adżdżar spodziewają się, że to dziewczyna przeprowadzi ich przez zdradliwe piaski. I faktycznie, siostra Amastana usiadła za kierownicą dżipa, poprawiła się na siedzeniu i pewnie, bardzo szybko ruszyła w dół, wprost na równinę grząskich piasków. Wóz podskakiwał na pomniejszych kamieniach, gdzieniegdzie, zdawało się, już osuwał się w maleńkie jeziora soli i wody, ale dziewczyna z wprawą i zdecydowaniem przemierzała kilometr za kilometrem, manewrowała między głazami, nie zwalniając nigdzie poniżej czterdziestu kilometrów na godzinę. W niespełna trzydzieści minut przecięli zdradliwą dolinę i wjechali znów na twarde, skalne podłoże.

— Dlaczego ryzykowałam? — zapytał Ron wprost, usadawiając się za kierownicą.

— Nie ryzykowałam, wiedziałam, że przejedziemy przez te piaski bezpiecznie. I tego oczekiwali ode mnie Szibub i Azem.

— Nie rozumiem. Wojownicy Kel Adżdżar wypychają na czoło kobietę, a sami kryją się za jej plecami?

Córka amenukała wyjaśniła mu krótko:

— Jestem Tazerwalt, wnuczka Tazerwalt i prawnuczka Tamazzalt.

Przejechawszy równinę wędrujących skał, wspięli się na kolejne pasmo i wjechali na piaszczystą pustynię, z której wyrastały góry. Skały pod wpływem deszczów, słońca i piaszczystych biczów, którymi smagały je wiatry, nabrały przedziwnych kształtów. Jedne formowały grzebieniaste łańcuchy, inne — ciągnące się kilometrami częstokoły, wzdłuż których się przemieszczali, przejeżdżając niekiedy pod naturalnymi łukami, jeszcze inne przypominały monstrualnie wielkie głowy osadzone na piasku lub skrócone w różnych pozach gigantyczne figury ludzi i zwierząt. Ron prowadził uważnie, starając się jechać dokładnie śladami podążającego przed nimi samochodu ochrony. Na pierwszy postój i posiłek zatrzymali się po kilku godzinach, gdy słońce stało już w zenicie. Rozbili biwak w obniżeniu, pod okapem skały, przy małej sadzawce z wodą tak czystą, że widać było przez nią ziarenka piasku na dnie. Najdziwniejsze, że woda była tylko lekko słonawa i, jak zapewnili go Kel Adżdżar, w pełni nadawała się do picia. To było jedno z tych tajemnych miejsc, które znali tylko ludzie pustyni, gdyż żaden inny człowiek nie odnalazłby go, zagubionego wśród gór i wzniesień. Jedli kozi ser z ziołami, zawinięty w *ahrum*, tuareski chleb o kształcie i smaku niesłonych podpłomyków. Obaj wojownicy oddalili się,

najpewniej, aby zapalić papierosa. Wówczas Tazerwalt objaśniła Ronowi, co miała na myśli, gdy powiedziała o swoim związku z babcią i jej matką.

— Chcę opowiedzieć ci historię, którą przekazały mi moja matka i babcia, a im z kolei Tamazzalt, od której wszystko się zaczęło. Musisz wiedzieć, że u wolnych Tuaregów to kobiety przechowują pamięć narodu, wszystkie tradycje i pieśni. Kobiety uczą się pisać w tiffinah, którego litery widziałeś na skałach, jakie mijaliśmy, zapamiętują miejsca świętych znaków i starych obrazów. Mężczyźni zbyt szybko umierają, giną na wojnach, więc szkoda czasu i wysiłku na przekazywanie im ważnej wiedzy. Pamiętam, że gdy byłam małą dziewczynką, moja babcia, od której wzięłam imię, zabierała mnie ze sobą w góry. Pokazywała, gdzie rośnie *azazere*, trawa dobra na ból brzucha i gorączkę, a gdzie można znaleźć *tehak*, który leczy ukąszenia skorpionów i zmij. Objasniała, co oznaczają rysunki i napisy w jaskiniach, jak położone są gwiazdy na niebie i kamienie na ziemi. A przede wszystkim opowiadała o tym, co czeka nas jutro. Mówiła też o kraju na północy, za wielkim jeziorem słonej wody, gdzie rosną wiecznie zielone lasy pełne kwiatów i owoców, gdzie są wielkie miasta z kamienia. Mówiła, że tam jest nasz kraj, z którego dawno, dawno temu przybyliśmy na Saharę, i że tam jest nasz dom, do którego kiedyś wrócimy. Gdy babcia była małą dziewczynką, opowiadała wszystkim dzieciom tę historię o domu za morzem wśród lasów. Dzieci powtarzały ją swoim rodzicom i wszyscy się śmiali, ponieważ dobrze wiedzieli, że matką Tazerwalt była Tamazzalt, córka Aiszy i Indegazena, którzy urodzili się, wychowali i dorośli między Dżanet a Ghat, wśród gór i piasków. I tak rozeszła się wieść, że Tazerwalt jest trochę pomyłona, tak jak jej matka. Dzieci przestały się z nią bawić, a niektóre obrzucały ją nawet piaskiem, chociaż dorośli byli temu przeciwni, bojąc się klątwy. Więc Tamazzalt zabroniła swojej córce, a potem swojej wnuczce

rozmawiać z kimkolwiek o domu za morzem wśród zielonych lasów. Za to w domu kobiety z linii Tamazzalt, a zawsze jako pierwsze rodziły się z tej linii dziewczynki, przekazywały sobie tajemnicę swego pochodzenia, swoją moc i wiedzę oraz nakaz pomagania innym i uczenia się sztuki lekarskiej. Wszyscy Kel Adżdżar wiedzą, że jestem wnuczką Tazerwalt i prawnuczką Tamazzalt i że ich moc jest we mnie.

— Jesteś też prawnuczką Rainera... — zaczął Ron, chcąc z ust dziewczyny usłyszeć jej wersję historii rodziny.

Do tego momentu Ron wracał później wielokrotnie, usiłując pojąć, co się wówczas stało, zracjonalizować niewytłumaczalność chwili, która wydarzyła się po słowach o Rainerze, krótkiej jak błysk spadającej gwiazdy. Tazerwalt spojrzała mu w oczy i Ron miał wrażenie, że wejrzał w bezdenną studnię, że wszystkie jego myśli i wspomnienia porwał w niebieską otchłań potężny wir, a czas, który był i który nastąpi, nagle zgęstniał do rozmiarów niewielkiej szklanej kuli, którą można wziąć w rękę i przez nią jak przez szkło powiększające przyjrzeć się światu, aby ujrzeć i zrozumieć ludzi, zdarzenia i rzeczy. Potem Tazerwalt położyła mu palec na ustach.

— O tym teraz nie mówmy. To ty pomożesz mi opowiedzieć tę historię do końca — wypowiedziała słowa, których znaczenia nie rozumiał.

Nie dopytywał o ich sens, bo przecież nie wszystko można nazwać i wyjaśnić słowami. Lecz na ustach pozostawał dotyk ciepłych palców dziewczyny.

Małe jeziorko od pierwszych naskalnych rysunków dzieliło zaledwie kilkanaście minut jazdy po piasku, wśród niewysokich pojedynczych gór i głązów. Tazerwalt mówiła, że kiedyś można tutaj było spotkać turystów z Europy, ale teraz, gdy w Libii trwała wojna, wydmy i góry były ciche i

bezludne. Na czerwonych skałach widniały sylwetki zwierząt — żyrafy, bawoły, wielbłądy, lwy, słonie. Dalej, za zakrętem, gdy wspięli się trochę wyżej — sceny z życia ludzi sprzed tysięcy lat: polowanie, tańce, posiedzenie przy ognisku. Tazerwalt pokazała mu jaskinię, na której ścianach pierwsze petroglify ludzie wyryli, jak twierdzą naukowcy, przed czternastoma tysiącami lat.

— A w twoim kraju co było czternaście tysięcy lat temu? Czy są takie znaki? — zapytała.

— Nie jestem pewien, ale według mojej wiedzy czternaście tysięcy lat temu mój kraj był pokryty lodem. I ludzie tam chyba nie mieszkali. — „Lód” powiedział po arabsku, czyli *dżalid*, ale uzmysłowił sobie, że rozmówczyni może niewłaściwie zrozumieć jego słowa, więc uzupełnił: — Lód, który przez cały rok pokrywał całą ziemię.

— Potem lód ustąpił, ale pozostały po nim wielkie jeziora pełne słodkiej wody. Tak, czytałam o tym. Chciałabym je kiedyś zobaczyć.

— A co stoi na przeszkodzie? Paszport w rękę i wyruszajmy. Chętnie będę twoim przewodnikiem. Miałbym okazję zrewanżować się za gościnność — mówił Ron lekkim, prawie żartobliwym tonem, ponieważ nie był pewien reakcji dziewczyny, a i nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad perspektywą podobnej podróży. Teraz nagle zobaczył ją oczami wyobraźni. — Masz paszport? — zmitygował się.

— Tak, mam paszport. Ama zatroszczył się, abyśmy wszyscy mieli paszporty i zgodę na wyjazd z Libii.

— Potrzebna jest osobna zgoda? — zdziwił się Ron, ale później zawstydzził się swego zdziwienia, bo przypomniał sobie, że wiele państw policyjnych wprowadziło u siebie podobne obostrzenie.

— Ama obiecał mi wycieczkę do Europy, ale teraz... — głos Tazerwalt zadrżał. Po chwili znów mówiła swoim

spokojnym, ciepłym głosem: — Ojciec nigdy nie opuści pustyni, a Aksil jest jego jedynym synem i pozostanie z nim. Ja również powinnam być z nimi i z wszystkimi Kel Adżdżar. Zwłaszcza w takich chwilach.

[1] *Rais* (arab.) — prezydent, przywódca, lider.

XXIX

Mimo że większość Kel Adżdżar prowadzi dzisiaj osiadły tryb życia, przekazywana z pokolenia na pokolenie wiedza o pustyni i nawyki życia na niej pozostały fundamentem myślenia i działania ludzi w tagelmustach. Ron nie mógł się nadziwić, jak Tazerwalt, bądź co bądź wychowana w Ghat i po kilku latach spędzonych na obczyźnie w wielkim mieście, z łatwością odnajduje właściwą drogę wśród wydm i gór, jak wyczuwa w powietrzu zbliżającą się burzę, potrafi w kilka minut postawić namiot i znaleźć wodę w miejscu, gdzie w jego przekonaniu — a podobnie myślałby każdy przybysz z zewnątrz — wody być nie mogło. Okazało się, że nie trzeba koniecznie szukać stałych studni, które Tazerwalt nazywała rozmaicie, zależnie od miejsca i głębokości: *bir*, *ogla*, *mui*. Trzeba było umieć znaleźć właściwe miejsce w szerokich zagłębieniach, *lad*, którymi spływają potoki z gór, gdy raz na kilka lat spadają obfite deszcze, po czym wykopać dół na metr, półtora i poczekać chwilę, aż pojawi się tam woda.

Niektóre umiejętności Tazerwalt graniczyły z magią. Potrafiła przewidzieć przyjazd gości, nim jeszcze małe ciemne kropki ludzi i pojazdów pojawiły się na horyzoncie. Nierzadko odpowiadała na pytania, które ledwie zakiełkowały w jego myślach, a których nie zdążył jeszcze wypowiedzieć na głos. Wiedziała, gdzie należy szukać ludzi, zwierząt i rzeczy, które zaginęły. Któregoś razu wybrali się w podróż konno. Podczas postoju nieuwiązane konie wystraszyły się *arholeh*, małego pustynnego liska, którego Arabowie nazywają fenkiem, i z głośnym chrapaniem umknęły galopem na pustynię. Od obozowiska dzieliła ich odległość nie większa niż kilkanaście kilometrów, ale

Ronowi nie bardzo uśmiechała się perspektywa trzygodzinnego marszu przez skały i piach. Towarzyszący im wojownik bardziej obawiał się reakcji Aksila, który widząc trzy wierzchowce bez jeźdźców, mógł wystraszyć się o los siostry. Tazerwałt przyłożyła ucho do ziemi, wyszeptała jakieś słowa czy zaklęcia i powiedziała żołnierzowi: „Konie są w sąsiedniej dolince, przyprowadź je”. Po kilkunastu minutach wojownik wrócił ze zwierzętami.

Córka wodza poważnie odniosła się do zalecenia ojca, aby przygotować człowieka z Zachodu do przetrwania na pustyni, i przy każdej nadarzającej się sposobności opowiadała Ronowi o doświadczeniach i tradycjach Tuaregów, pokazywała, jak na bezwodnej prawie pustyni znaleźć w zagłębieniach i *uładach*, korytach wyschniętych rzek, *taharę*, trawę, którą można nakarmić wielbłądy, jak wybrać miejsce na rozbicie namiotu, gdzie szukać stałych zbiorników wody pitnej, a gdzie najłatwiej się do niej dokopać. Bardzo często objeżdżali wspólnie okolicę, przeważnie terenową toyotą, niekiedy także konno lub na wielbłądach. Ze względów bezpieczeństwa nie oddalali się zbyt od obozowiska, w którym zawsze przebywało kilku mężczyzn i gdzie była broń. Nigdy nie zapominali zabrać ze sobą telefonu satelitarnego, dodatkowej wody i zapasu paliwa. Zawsze też towarzyszył im któryś z wojowników. Jak domyślał się Ron, nie tylko dla bezpieczeństwa, lecz także ze względów obyczajowych, bo nie wypadało, aby córka wodza przebywała sama z mężczyzną, który nie był jej mężem ani bliskim krewnym.

— Musisz być zawsze przygotowany na to, że może przydarzyć ci się najgorszy z możliwych wariantów. Kel Adżdżar wierzą w Boga i liczą na jego opiekę, ale nie nadużywają jego dobroci i cierpliwości, dlatego starają się sami rozwiązywać swoje problemy — mówiła z lekkim uśmiechem.

Ron był tyleż zadziwiony, co zafascynowany Tazerwalt, jej wiedzą, swobodnym, chociaż poważnym zachowaniem, tak dalekim od tego, jakie obowiązuje kobiety w islamie, wreszcie — fizyczną wytrzymałością.

— Skąd w takiej szczupłej dziewczynie jak ty tyle sił? — zapytał kiedyś żartobliwie, gdy po morderczej całodzienniej jeździe konno córka amenukała jak gdyby nigdy nic zabrała się do przygotowywania kolacji.

— Wiem, że chciałeś mi powiedzieć komplement, bo w Europie „szczupły” znaczy prawie to samo co „piękny” — odpowiedziała równie lekkim tonem.

Lata podróży po różnych krajach, gdzie stykał się z wieloma wyznaniem i kulturami, nauczyły Rona, jak bardzo ludzie przynależący do odmiennych kręgów kulturowych różnią się poczuciem humoru. Niektóre z ludów w ogóle pozbawione były zdolności do autoironii. Z Tazerwalt rozmawiało się lekko także dlatego, że dziewczyna natychmiast wyławiała najmniejsze odcienie słów i emocji.

— Musisz wiedzieć, że wśród Kel Tagelmust słowo „szczupły” nie brzmi jak komplement, ponieważ jest bliskie znaczeniu słowa „chudy”. A u nas jest takie powiedzenie, że nie ma nic brzydszego od chudego konia i chudej kobiety — roześmiała się. — Dlatego u Tuaregów, zwłaszcza wśród naszych braci z południa, którzy mieszkają w Nigrze czy Mali, rodziny dbają o to, aby młode dziewczyny nie były zbyt chude. Aby je upiększyć i zwiększyć ich wartość oraz atrakcyjność dla mężczyzn, karmi się je tłustym mlekiem wielbłądzim i słodkościami. A później, zwłaszcza gdy urodzą dziecko, już tylko powiększają swoją wagę.

— Rzeczywiście, użyłem niewłaściwego słowa. Powiedziałem *nuchila*, czyli „szczupła,” a powinienem powiedzieć *haifa*, „wysmukła i piękna”.

— A to ci się udało — uśmiechnęła się. I było w tym uśmiechu zarówno uznanie dla błyskotliwej gry jego słów, jak i prosta radość młodej dziewczyny, która usłyszała szczerzy komplement pod swoim adresem. Ale pozostawała w konwencji lekkiego żartu: — To mógłbyś od razu powiedzieć *tahuska* — roześmiała się znowu.

— Co oznacza *tahuska*?

— Tahuska jest żeńskim imieniem, które znaczy „piękność”.

— Mam nadzieję, że nie obrażę twoich uczuć religijnych, ale nazwałbym cię tak, jak nazywa się Boga: dziewięćdziesięcioma dziewięcioma imionami. I wówczas zawarłbym w nich wszystkie twoje przymioty.

— Nie jesteśmy aż tak mocno religijni. Wprawdzie islam wtopił się w naszą kulturę i świadomość tak, jak indygo, którym barwimy nasze ubrania, wciera się w skórę, aż nazywają nas błękitnymi ludźmi, ale Imuhar nie są fanatycznymi muzułmanami. Powiedziałabym nawet, że traktujemy religię, którą przynieśli nam Arabowie, z szacunkiem, ale i z pewnym dystansem. Więc jakimż imionami byś mnie nazwał? — Tu już zabrzmiała nutka kokieterii, zazwyczaj obca słowom Tazerwalt.

— Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl, powinno oznaczać coś egzotycznego, zmiennego, odradzającego się, pięknego...

— Prawie poeta z ciebie — ironizowała. I aby ironia nie została przez niego źle zrozumiana, dodała: — Poezja i muzyka są językiem Boga. Muzyka i poezja są dla człowieka tym, czym skrzydła dla ptaka; dają wolność myśli, szerszy, bogatszy ogląd świata, głębsze przeżywanie chwili. Nie wiem, czy można nie kochać poezji i muzyki. Chcę ci coś opowiedzieć. Jest takie imię, Taninna, które chyba najlepiej oddaje to, co chcesz wyrazić. Taninna to imię egzotycznego

ptaka niewysłowionej piękności, z sercem przepełnionym pragnieniem miłości. Nie znasz tej baśni? To opowieść ludów kabylskich, z północy, ale opowiadają ją także wśród Kel Tagelmust. Taninna była mitycznym ptakiem, samiczką tak piękną, że nie sposób wyrazić jej piękna ani słowami, ani rysunkiem. Taninna chciała wyjść za mąż i poszukiwała sobie męża wśród innych ptaków. Najbardziej spodobał się jej jastrząb, chociaż wiedziała, że to bardzo niebezpieczny ptak. Negocjując kontrakt małżeński, Taninna zgadzała się na kolejne warunki jastrzębia, aż ten w końcu ją zabił.

— Piękna historia, ale z tragicznym zakończeniem.

— Życie na pustyni pełne jest tragedii. Tragedią jest los Kel Tagelmust, wrzuconych w nowy czas, do którego nie potrafią się dostosować. Ale z tej bajki można wyciągać różne wnioski: zarówno ten, że nawet ryzyko śmierci nie powinno nas powstrzymywać, gdy dążymy do szczęścia, gdy gonimy za marzeniami, jak i ten, że szczęście jest możliwe tylko wówczas, gdy pozostajemy sobą, gdy nie przyjmujemy bezkrytycznie wszystkich żądań, nawet tych osób, które kochamy.

— Mówiłaś mi o szczególnej roli kobiet wśród Kel Tagelmust, zupełnie innej niż u większości muzułmanów. Ale ty wydajesz się absolutnie niezależna, zauważyłem, że nawet Agwelid przysłuchuje się twoim radom.

— Mogę tylko powtórzyć: jestem Tazerwalt, wnuczka tamtej Tazerwalt, której ojciec przybył z Zachodu. Widzisz ten talizman? — Dotknęła ręką wiszącą na szyi srebrnej plecionki w kształcie koszyczka. — W środku jest przesłanie, które zostawiła mi moja prababcia. Nie zdążyła powiedzieć mi wszystkiego osobiście, ale babcia wiernie przekazała jej słowa: abym strzegła go jak życia i nigdy się z nim nie rozstawała.

— A co jest wewnątrz tego koszyczka?

— Nie wiem. Gdy byłam mała, bardzo mnie to ciekawiło, chciałam koniecznie zajrzeć do wnętrza, ale nie da się do niego dostać, nie niszcząc mocnych srebrnych splotów. Babcia, a potem mama powtarzały mi, że mogę go otworzyć dopiero wtedy, gdy będę w kraju na północy. Bo w tym talizmanie zapisany jest mój los, a jeśli się on nie wypełni, to stanie się losem mojej córki.

— Pustynia jest pełna tragedii. Ale także tajemnic, opowieści, baśni. Jak ta o pięknym ptaku, który pragnienie miłości przypłacił życiem — powiedział Ron.

Tazerwałt odczytała w jego słowach sceptycyzm, jaki okazują ludzie Zachodu, gdy napotykają rzeczy i zjawiska wykraczające poza ramy ich myślenia, skrępowanego zracjonalizowanym postrzeganiem świata.

— Talizman jest czymś więcej niż przedmiotem, w którym zostały zapisane zaklęcia, modlitwy i wiara tych, co go wytworzyli i nosili, które przechodzą na nas. Jest w nim zapisane nasze przeznaczenie, tylko nie zawsze umiemy je odczytać. Nie wierzysz oczywiście? Co masz na ręce? Bransoletę, tak? Zwykle płytki ze szlachetnego kamienia. Z inskrypcją w alfabecie tiffinah. Dał ci ją Amastan. A ja dałam ją jemu. To stara bransoleta, otrzymałam ją od swego dziadka, który z kolei otrzymał ją od swojej matki z rodu Inaden, najzręczniejszych kowali i artystów w całym Tassil. Darowując mi tę bransoletę, dziadek powiedział, że będzie strzegła życia i bezpieczeństwa tych, którzy będą ją nosili, i że mogę ją podarować tylko temu, kogo kocham najbardziej. I że ten, kto będzie nosił tę bransoletę, zawsze będzie do mnie wracał. Podarowałam ją bratu, gdyż po śmierci matki był mi najbliższym człowiekiem na ziemi. Brat dał ją tobie w dowód przyjaźni i jako podziękowanie za uratowanie mu życia. Gdy zadzwonił, zapytał, czy dobrze zrobił, ponieważ był to dar ode mnie. Zapytałam go, czy się wahał, kiedy ci ją wręczał. Odpowiedział, że zrobił to z głębi

serca i bez wahania, powodowany chwilą. Powiedziałam mu, że zrobił dobrze, chociaż wystraszyłam się, że on sam nie będzie dłużej chroniony. Miałam rację. Amastan poległ. Teraz wiesz, dlaczego musiałeś się tutaj zjawić?

Patrzyli na siebie, a kiedy zetknęły się ich dłonie, gdy Tazerwałt podawała mu kolację, pozostali tak zastygli z talerzem, który jak niemy, zbędny świadek rozmowy zawisł między nimi. Odstawił przeszkadzające naczynie na bok, objął dziewczynę i przyciągnął lekko do siebie. Nie stawiała oporu, przylgnęła do niego i poczuł jej wiotkie, szczupłe ciało. Ale gdy chciał ją pocałować, musnęła tylko wargami jego usta i uchyliła się.

— Czy wiesz, że ja nigdy w życiu się nie całowałam? — roześmiała się, jakby chciała przerwać kłopotliwą ciszę. — To znaczy, aby być dokładną: całowałam się z koleżanką, z którą przez rok mieszkałam w pokoju w Tunisie. Chciałyśmy spróbować, jak to jest, a brakowało nam odwagi, aby zrobić to z chłopcami. Nie mam jednak w sobie aż takiej otwartości seksualnej jak kobiety z Europy, więc nie wyszłyśmy poza pocałunki i lekkie pieszczoty, ale i to nie bardzo mi się podobało.

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, bo myślałem, że to temat tabu dla Kel Tamahak, ale jak to jest w waszym narodzie z relacjami kobiet i mężczyzn?

— Chcesz zapytać o to, czy dziewczęta mogą sypiać z mężczyznami przed zamążpójściem? To dość skomplikowane, ponieważ obyczaje się obecnie zmieniły. Kiedyś, jak opowiadała mi babcia, kobiety były całkowicie wolne w swoich wyborach i zachowaniu. Wieczorami niezamężne dziewczyny i rozwiedzione kobiety spotykały się z mężczyznami na *ihallen*, podczas których deklamowano wiersze, muzykowano, śpiewano pieśni. W takim wieczorze, *ahal*, mogły uczestniczyć także mężatki, a nawet starsi mężczyźni, ale tylko w pierwszej części. Na

dalszy ciąg wieczoru, bardziej już swobodny, pozostawali ci, którzy mogli zajmować się *asri*, czyli swobodnie łączyć się w pary i spędzać ze sobą noc. Najważniejsze, aby nie okryć się hańbą, co oznaczało, aby kobiety i mężczyźni nie skompromitowali się swoim zachowaniem, a kobiety nie zaszły w ciążę. Brać udział w *ihallen* mogli tylko pochodzący ze szlacheckich rodów. Ale pod wpływem Arabów wszystko się zmieniło. Dzisiaj *ihallen* urząda się tylko przy wyjątkowych okazjach, mają one też mniej wyszukaną formę. Wprawdzie kult dziewictwa nie jest wśród nas tak mocny jak u Arabów, niemniej dzisiaj także wielu mężczyzn Kel Adżdżar wymaga, aby ich żona była dziewicą.

— A ty?

— Czy uczestniczyłam w takich wieczorach? Nie. Bo widzisz, moja prababcia pochodziła z warstwy Inaden, a moim pradziadkiem był chrześcijanin, Europejczyk, obcy. Więc byłam teoretycznie spoza uprzywilejowanej grupy. Oczywiście, ponieważ z czasem moja prababcia i babcia stały się osobami bardzo ważnymi, mogłabym pewnie pójść na *ahal*. Ale babcia, a potem mama mi zabraniały, mówiły, że moim przeznaczeniem jest inna droga. Gdy dorosłam i skończyłam studia, zrozumiałam, że czasy, które mój ojciec wspomina z takim rozrzewnieniem, nieodwołalnie przeminęły. Rozumiem jego tęsknotę, ale inaczej widzę świat i swoje w nim miejsce.

— Tazerwalt, czy w twoim świecie jest miejsce dla mnie?

— Aż przeląkł się swojej śmiałości. Było to wyznanie miłości bez używania wielkich słów.

Tazerwalt patrzyła na niego ze spokojną czułością. Tak matka patrzy na dorastające dziecko, wystarczająco dorosłe, aby rozmawiać z nim o wszystkich ważnych sprawach, lecz niedostatecznie świadome wszystkich zagrożeń i nie do końca rozumiejące uczucia swoje i innych.

— Ron, a czy jesteś pewien, że znajdziesz dla siebie miejsce tutaj, na pustyni, wśród życzliwych ci, ale obcych ludzi, których zwyczajów i języka nie znasz? Odpowiedz sobie szczerze na to pytanie.

— Powiedziałaś dzisiaj, że mówię jak poeta. W moim świecie, w Europie, poezji i prawdy nie ceni się wysoko. Gonimy za pieniędzmi, wygodniejszym życiem, zajmowaniem wyższych stanowisk, które mają dać nam władzę nad innymi i uleczyć nasze kompleksy i lęki. Nie słuchamy innych ludzi, chcemy, aby to oni nas słuchali...

— Straszny świat...

— Tutaj, wśród Kel Adżdżar, dzięki tobie i dzięki Amastanowi w ciągu kilku miesięcy zrozumiałem i nauczyłem się bardzo wiele. Myślę, że wyzbyłem się wewnętrznego niepokoju, lęku, który nam, Europejczykom, każe biec z oczami zaślepionymi złudnymi celami i odbiera czas na stawianie ważnych pytań.

— Tak, trzeba wyjść poza próg swego domu, aby poznać siebie.

Siedzieli przy dogasającym ogniu, przykryci jednym pledem, bo od gór ciągnęło już chłodem nocy. Tazerwalt włożyła swoją rękę w dłonie Rona.

— Pomówię z ojcem — powiedziała tylko. Pocałowała go w policzek i odeszła w stronę swego namiotu.

XXX

Okazja do rozmowy Tazerwalt z ojcem nadarzyła się szybciej, niż przypuszczali. Agwelid wraz z kilkunastoma wojownikami przybył do obozu jeszcze tej nocy nad ranem. Obudzony warkotem silników Ron wyszedł przed namiot i ujrzał podjeżdżające kolejno samochody wypełnione uzbrojonymi ludźmi. Od czasu, gdy w 1943 roku Włosi opuścili ten region, pozostawiając duże ilości broni, Kel Adżdżar oswoił się z nią i stali się znakomitymi strzelcami. Posługiwać się pistoletem czy karabinem umiały także niektóre kobiety. O ile podczas wspólnych wypraw Ron przyjmował jako naturalne, że Aksil, bądź co bądź zawodowy wojskowy, trafia z dwustu metrów w butelkę, to także same umiejętności demonstrowane przez Tazerwalt podnosiły mu brwi ze zdumienia. Czuł coś w rodzaju satysfakcji, że od nich nie odstaje. W szkole średniej zakwalifikowano go do drużyny reprezentacyjnej w sportach obronnych, bo chociaż nie biegał najszybciej i nie rzucał daleko ćwiczebnym granatem, to właśnie jego celne oko przynosiło cenne punkty we współzawodnictwie z innymi szkołami. „Niektórzy rodzą się z takim talentem” — cmokał z podziwem nauczyciel przysposobienia obronnego, patrząc przez lornetkę, jak Rostisławu pewnie trafia dziesiątki, czy to z karabinka sportowego z odległości trzydziestu metrów, czy to z kałasznikowa ze stu metrów.

Powitanie było krótkie, gdyż mimo widocznego zmęczenia amenukal i Aksil musieli natychmiast przystąpić do rozmieszczania dodatkowych gości. Kilku bojowników rozbiło wojskowe brezentowe namioty, w tym jeden ogromny tent. Inni przykryli ciężarówki siatkami maskującymi, a dżipy z karabinami maszynowymi ukryli u

samego podnóża skał. Jeszcze inni przy pomocy kobiet zaczęli przygotowywać posiłek. Pod plandeką jednego z samochodów ciężarowych stało rzędem obok siebie kilka skrzyń. Zbliżywszy się, Ron dostrzegł, że to proste, metalowe trumny. Kel Adżdżar przygotowywali się do pogrzebu wojowników, których ciała Agwelid wykupił u dowódców oddziałów milicji walczących z wojskami Kaddafiego.

Do południa zjeżdżali się krewni poległych, a także, jak domyślał się Ron, rodziny tych wojowników, których los pozostawał nieznany. Z gorących powitań i okrzyków radości zrozumiał, że niektórzy z zaginionych powrócili żywi. Płacz i zawodzenie innych kobiet mówiły z kolei, że albo znajdowały ciała swoich najbliższych, albo też otrzymały wieść, że nie ma już nadziei na ujście ich żywymi. Mężczyźni zachowywali posępny, obojętny spokój.

Sześć przykrytych białym materiałem trumien ustawiono wprost na ziemi w wielkim namiocie. Tam też zgromadził się tłum kilkudziesięciu, może stu osób, które przybyły na ceremonię. Pierwszy, jako wódz, przemawiał Agwelid. Tazerwalt, która nie przyłączyła się do grupy stojących osobno kobiet, ale stanęła tuż za Ronem, tłumaczyła mu niektóre zdania:

— Amenukal mówi, że przywiózł tylko niektórych synów, braci i ojców i że nie będzie szczędził wysiłków, aby powrócili wszyscy. Że ci, którzy poszli na wojnę, okazali się godnymi Kel Adżdżar, że nie zdradzili i nie zdezerterowali, że dotrzyмали przysięgi. I że czeka ich za to nagroda w raj. Przeprasza, że zakłócił spokój poległych, którzy powinni spocząć tego dnia, kiedy zginęli, i tam, gdzie zginęli. Ale nie pogrzebano ich godnie i nie mógł dopuścić, aby ich kości włożyły po brudnych ulicach miast bezpańskie psy. Dlatego przywiózł ich tutaj, aby ich ciała spoczęły obok przodków. Mówi, że tym razem Kel Adżdżar nie powinni

szukać zemsty, bo wszyscy pobłądzili lub zostali oszukani. Prosi aneslema, aby się pomodlił za poległych.

Przed zgromadzonych wyszedł bardzo już wiekowy, ale dumnie wyprostowany mężczyzna w ciemnej szacie i brązowym burnusie. Podniósł dłonie na wysokość oczu, później położył je poniżej serca. Wszyscy obecni powtarzali gesty marabuta. Ron starannie naśladował zachowania sąsiadów.

— *Allahu akbar. Audhu billahi min asz-szajtani ar-radżimi, Bismillahi ar-rahmani ar-rahim...* — rozpoczął modlitwę imam.

— *Allahu akbar.* Bóg jest największy — odpowiadali zgromadzeni.

— *Allahuma aghfir li ahajjina ła majjitina ła szahidina ła ghaibina ła saghirina ła kabirina ła dhakarina ła unthana...* Boże, wybacź żyjącym i zmarłym, tym, którzy są obecni, oraz tym, których nie ma z nami, młodym i starszym, mężczyznom i kobietom. Boże, spraw, aby żyjący żyli w islamie, ci zaś, którzy umierają, umarli w wierze — modlił się świątobliwy mąż.

— *Allahu akbar...*

— Pokój i miłosierdzie Allaha niech będą z wami — kończąc modlitwę, imam wypowiedział słowa błogosławieństwa, zwracając głowę najpierw w prawą, a potem w lewą stronę.

Mężczyźni wzięli na ramiona trumny i przenieśli je do samochodów. Aksil podał rękę Ronowi, pomagając mu zająć miejsce wśród Tuaregów na pace toyoty. Kawalkada kilku maszyn ruszyła powoli drogą w góry. Kobiety pozostały w obozie.

Cmentarz Kel Adżdżar znajdował się w odległości dwóch, trzech kilometrów od obozu.

Na niewielkim, otoczonym skałami płaskowyzu, który porastały zeschnięte już o tej porze roku trawy, tylko ustawione na grobach głazy przypominały, że jest to miejsce wiecznego obozowiska ludzi w tagelmustach. Ronowi przemknęła myśl, że mógłby też być kiedyś tu pochowany, w tym zagubionym wśród ciszy, piasków i gór miejscu. Myśl ta nie sprawiła mu przykrości.

Żołnierze już wcześniej wykopali sześć głębokich mogił, w których umieszczano teraz ciężkie, metalowe skrzynie ze zwłokami.

— *Bismillahi ła'alla millati rasulullah*. Dokonujemy pochówku w imię Boga — mówił imam przy opuszczaniu każdej trumny, później modlił się nad grobami. W końcu wszyscy mężczyźni po kolei, najpierw marabut, później ktoś z rodziny, Agwelid, a następnie pozostali, według miejsca zajmowanego w hierarchii plemiennej, trzykrotnie nabierali obiema rękami ziemi i zasypywali nią mogiły.

— *Minha chalagnakum*. Z tego zostaliście stworzeni. — Pierwsza garść zadudniła o wieko trumny.

— *Ła fiha nuidukum*. I w to się obróćcie. — Druga porcja grudkowatej, żółtej ziemi oddała echem z głębi grobu.

— *Ła minha nuchrijkum taratan uchra*. I z tego zostaniecie wskrzeszeni — powtarzał Ron za innymi, wsypując trzecią garść.

W czasie, gdy mężczyźni grzebali poległych, kobiety przygotowywały stypę, w czym pomagało im kilku żołnierzy. Pod wielkim tentem ułożono na ziemi skóry wielbłądzie i bydlęce, które miały służyć jako stoły. Kobiety, wśród nich zauważył też Tazerwalt, rozstawiły na nich misy i garnki z jedzeniem. Gości, tylko mężczyzn, usadawiano na rozłożonych na ziemi dywanikach i skórach. Centralne miejsce zajął Agwelid wraz z kilkoma starcami, których Ron nigdy wcześniej nie widział w obozie.

— Są tu starsi wszystkich rodzin, przyjechali nawet przedstawiciele tych rodzin, które zamieszkują po drugiej stronie granicy, w Algierii — objaśniał Aksil, obok którego posadzono Rona, nie w centrum wprawdzie, ale na dość poczesnym miejscu. Na tę specjalną okazję zabito młodego wielbłąda. — *Alegdżest* — powiedział Aksil, a odczytując z wyrazu twarzy Rona, że niewiele mu to mówi, wytłumaczył: — Bardzo młody wielbłąd, najwyżej dwuletni.

Świadczyło to zarówno o szacunku gospodarza dla gości, jak i o jego bogactwie. Dotychczas Ron był przekonany, że Imuhar nie jedzą mięsa wielbłądów, które były dla nich czymś więcej niż po prostu zwierzętami domowymi, a ich hodowla wymagała wiele czasu i wysiłku. Menu uzupełniały *talebaddżat* z kozy, będący czymś w rodzaju ragù z kawałkami koziego mięsa i warzyw, podany w glinianym garnku, a także kasza kuskus i sorgo z baraniną, daktyle, tuareskie podplomyki oraz plastikowe butelki z wodą. Ron, ubrany tak jak inni, z tagelmustem przykrywającym mu twarz, niczym nie wyróżniał się spośród kilkudziesięciu mężczyzn siedzących wokół zaimprovizowanego stołu, niemniej wieść o Europejczyku, który zamieszkał w rodzinie amenukala, rozeszła się szeroko wśród Kel Adżdżar, gdyż od czasu do czasu, zwłaszcza młodszy Imuhar, rzucali na niego zaciekawione spojrzenia. Starszyzna pozostawała dumnie obojętna.

Spożywano posiłek niespiesznie, z namaszczeniem. Rozmowy prowadzono półgłosem, przy czym mówili głównie najstarsi, powoli wypowiadający pojedyncze zdania, podczas gdy pozostali akceptująco kiwali głowami. Aksil kilkoma słowami przekazywał Ronowi sens rozmów: sławia poległych żołnierzy; oburzają się na wiarołomstwo i chciwość Arabów; zastanawiają się, jaka będzie nowa władza...

Po jakichś trzech, czterech godzinach uczestnicy stypy zaczęli się rozjeżdżać, a Agwelid i kilkunastu najstarszych przywódców rodzin udało się do namiotu amenukala.

— To rada starszych całego Kel Adżdżar, łącznie z Inaden — wyjaśnił Aksil. — Możesz wracać do swego namiotu — poradził Ronowi — ja mam jeszcze sporo spraw do ustalenia.

Kobiety, które jadły obiad osobno, sprzątały po stypie, zbierały naczynia.

Namiot Rona stał się tymczasowym hotelem dla kilku żołnierzy, wyekwipowanych w pełni nowoczesnie w plecaki, broń automatyczną, telefony komórkowe, a przede wszystkim w karimaty i śpiwory, które rozłożyli na podłodze. Bojownicy zachowywali się dyskretnie, rozmawiali półgłosem, zagadywali grzecznie swego gospodarza. Poinformowali, że za dwa dni opuszczą obóz. Ron usiłował sprowadzić rozmowę na temat wydarzeń ostatnich kilku dni, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o wykupywaniu jeńców i zwłok poległych, ale Kel Adżdżar uśmiechali się tylko uprzejmie i udawali, że nie rozumieją, o co pyta ich brat Harib.

Późną nocą, gdy większość uczestników ceremonii opuściła już obóz, a pozostali udali się na spoczynek, do namiotu Rona wszedł Aksil, ale tylko po to, aby zaprosić go na rozmowę z amenukalem. Ron zdziwił się trochę, ponieważ to Tazerwalt zazwyczaj przychodziła z taką informacją. Uznał jednak, że ze względu na męczący dzień i późną porę dziewczyna poszła spać wcześniej, nie widział jej bowiem od zakończenia stypy. Aksil był poważny i zasepiony, także jego ojciec siedział w zamyśleniu. Skinął głową na powitanie, zapraszając Rona gestem ręki, aby zajął miejsce przy ognisku. Siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu.

Blask żarzącego się ognia wydobywał z nocy znieruchomiłe twarze obu Tuaregów, potrzaskiwały dopalające się badyle, chłodny powiew wiatru od gór ożywiał na moment ogień, który później ponownie przygasał. Agwelid rozpoczął ceremonię herbaty. Jego ruchy wydawały się dzisiaj Ronowi jeszcze powolniejsze i bardziej uroczyste. „Ciekawe, ileż to herbat wypił już dziś wódz” — pomyślał. Już nie naśladował gestów amenukala, a zupełnie naturalnie i automatycznie wziął szklaneczkę z jego rąk, drugą dłonią uwolnił twarz od przykrywającego ją tagelmustu i gdy wódz odpił pierwszy łyk, także podniósł naczynie do ust.

— Aksil powiedział, że dobrze jeździsz konno i poznałeś trochę pustynię. Powiedział też, że potrafisz celnie strzelać — rzekł wreszcie Agwelid.

Ron powoli skinął głową.

— Tazerwalt oznajmiła, że pragniesz ją poślubić. Powinieneś postąpić tak, jak nakazuje tradycja, dopełnić zwyczaju *ibadrahen*, czyli wysłać starszych, którzy mówiliby w twoim imieniu. Ale ty nie masz nikogo, kto by przyszedł do mnie zamiast ciebie, aby poprosić o rękę mojej córki. — Amenukal wypowiedział te zdania tym samym równym i obojętnym tonem, którym mówił o jego umiejętnościach jeździeckich i strzeleckich.

— Tak, Agwelidzie. — Ron ponownie wykonał potakujący ruch głową.

— Jesteś tutaj obcy. Nie masz broni, namiotu ani majątku. Jesteś chrześcijaninem i nie znam twojej rodziny. — Wódz Kel Adżdżar bez emocji konstatował status przybysza.

Ron milczał.

— Agdum, amrar rodu Kadraa, wysyłał już wcześniej godnych starszych, którzy prosili, aby Tazerwalt wyszła za

jego syna Jasula — komunikował równym, spokojnym głosem amenukal.

Ron zachował milczenie.

— Tazerwalt odpowiedziała jednym słowem: nie — dodał Agwelid.

Znów zapadła cisza.

— Czy byłbyś gotowy dla Tazerwalt pozostać z Imuhar? — Ojciec i syn spokojnie, badawczo patrzyli na Rona.

— Tak, Agwelidzie. Zostanę z Tazerwalt i z Imuhar, ludźmi z Kel Adżdżar. — Ron słyszał swój głos, mocny, poważny, i widział, jak daleką drogę przebył wystraszony chłopiec z białoruskiej prowincji, potem niepewny swego imigrant we własnej ojczyźnie i najmita na służbie zagranicznych kompanii telewizyjnych, aby wreszcie zasiąść przed namiotem wodza wolnych ludzi pustyni, prosząc go o rękę córki i w jednej chwili, jednym słowem przekreślając tym samym całe swoje dotychczasowe życie. Wszystkie przeżyte czterdzieści lat wydały mu się tylko drogą prowadzącą do zrozumienia i przyjęcia tego właśnie momentu. Był wreszcie wolny i niezależny. Smakował tę wolność, czuł niemal fizycznie, jak wraz z krwią niczym tlen krąży ona w jego tętnicach, unosi mu dumnie do góry głowę i nadaje głosowi twardy dźwięk zdecydowania.

Amenukal pokiwał w zadumie głową. Pomilczał dłuższą chwilę, ponownie rozlał herbatę do szklanek i przemówił:

— Teraz nie jest dobry czas do rozmowy o weselu. Ale nie jest też dobry dla wielu innych spraw i długo nie będzie lepszy. Wszyscy w naszym rodzie wiedzieliśmy, że tak się kiedyś stanie. Że albo Tazerwalt, albo jej córka któregoś dnia opuszczą pustynię, jak przepowiedziała Tamazzalt. Liczyłem, że będzie to moja wnuczka, może prawnuczka, a córka zostanie ze mną. Pozostała mi tylko ona i Aksil. Pochowałem już swego pierworodnego, a za Amastana

zmówiłem modlitwę, bo jego prochy rozwiął wiatr od morza. A teraz najbardziej pragnę tego, aby Tazerwałt była szczęśliwa i aby nie spotkał jej taki tragiczny los, jaki spotkał młode kobiety z oazy Ohet. Dzisiaj na radzie starszych dowiedziałem się, że ci synowie szejtana^[1], którzy przykrywają się imieniem Allaha i wzniesli czarne sztandary, uprowadzili z oazy Ohet kilkanaście dziewcząt i młodych kobiet. Uczynią je swoimi nałożnicami, niewolnicami lub sprzedadzą do burdelów gdzieś w Zatoce, jeśli ich nie wykupimy lub nie odbijemy. Opuśćcie więc z Tazerwałt pustynię Akakus i wyjedźcie do Europy. Honorom i życiem przed Bogiem i przed moją rodziną będziesz odpowiadał za bezpieczeństwo i szczęście mojej córki.

Podmuchy wiatru ucichły. W ciszy słyhać było tylko potrzaskiwanie ognia. Wódz po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Ale wyjedźcie dopiero wtedy, gdy zakończy się czas deszczów i nadejdzie pora *harat*. Musisz jeszcze się wiele nauczyć. Musimy też przygotować wasze życie w Europie. Dzisiaj poinformowałem radę starszych, że już teraz rozdzieliłem cały swój majątek, wszystkie stada i bogactwa, na cztery części między siebie, Aksila, Tazerwałt i ciebie, tak jak wynika to z prawa Księgi. Tak chciał Amastan. Będziesz miał z czego zapłacić mi *ttemamt*, zwyczajowy wykup za narzeczoną. Za trzy dni, gdy minie *udhuf*, czas żałoby, udamy się do Ghat, gdzie *kataba al-ummamij*, notariusz, sporządzi akt małżeństwa. Zaślubiny i wesele zrobimy później, gdy upłyną pełne cztery miesiące i dziesięć dni od śmierci Amastana i gdy przyschną łzy na twarzach kobiet, które dzisiaj pochowały swoich mężów i synów. A do namiotu Tazerwałt wprowadzisz się wówczas, kiedy ona uzna to za właściwe, kiedy będzie gotowa. Do tego czasu nadal będziesz mieszkać z Aksilem, szanując

niewinność mojej córki. Aksil i Tazerwalt przekażą ci też ostatnią wolę Amastana, którą masz wypełnić, gdy wyjedziecie do Europy. Chodźmy spać, bo pora późna, a jutro czeka nas trudny dzień.

— Nie wiem, w jakiej roli bardziej chciałbym cię widzieć: biednego brata czy bogatego szwagra? — powiedział z uśmiechem Aksil, gdy wracali do namiotu, czym zaskoczył Rona, któremu wydawało się dotąd, że zawsze poważni, ukrywający emocje mężczyźni z Kel Adżdżar w ogóle nie żartują. Wydało mu się też, że Aksil usiłował żartem skryć zarówno zaskoczenie, jakim były dla niego decyzja Tazerwalt i śmiałość Rona, jak i pewne zakłopotanie, ponieważ związanie się córki wodza z obcym, w dodatku chrześcijaninem, tworzyło trudną sytuację dla Agwelida i jego rodziny. — Czasy są teraz inne i chociaż ojciec jest mocno przywiązany do tradycji, to rozumie, że nic już nie będzie tak, jak było — powiedział Aksil, jakby wyjaśniając Ronowi i sobie nowe okoliczności i rozwiewając własne wątpliwości.

W ciągu dwóch dni większość wojowników opuściła obóz amenukala, pozostali tylko Agwelid z kilkunastoma swoimi przybocznymi, Aksil z czterema żołnierzami i trzech starszych Inaden, którym towarzyszyli kierowca i ochroniarz — obaj uzbrojeni w kałasznikowy. Inaden zajmowali w strukturze rodów Kel Adżdżar miejsce między szlachetnymi Ihaggeren, z których wywodzili się wojownicy i którzy byli właścicielami stad, a grupami wasalów: Imrad, Isekkemaren, Iregaten.

Inaden — Ron wiedział to już od Tazerwalt — byli rzemieślnikami, nauczycielami, doradcami, lekarzami i czarownikami, a ich przedstawiciele zasiadali w radzie starszych i zabierali głos jako pierwsi. Agwelid, a zwłaszcza Tazerwalt, chociaż jej prababka pochodziła z tej grupy, z bardzo dużą powściągliwością, jakby z niechęcią,

wypowiadali się o Inaden. Ron mógł się domyślać, że córka wodza chciała odciąć się od swego pochodzenia z niższego stanu. Bardziej go jednak zajmowała teraz myśl o *ttemamt*, wykupie, który powinien zapłacić za Tazerwał jej ojcu. Nie miał pojęcia, w jakiej formie się to robi i jak wysoki ma być to wykup. Któregoś wieczoru wprost zapytał o to Aksila.

— Musisz zrozumieć, że *ttemamt* nie jest zapłatą, bo kobieta, z którą wiąże się mężczyzna, nie jest towarem na sklepowej półce, który można kupić. U nas kobiety nawet po zamążpójściu są wolne i mogą opuścić mężów, gdy uznają to za konieczne. Nie zapominaj, że to kobiety wybierają mężczyzn, chociaż nam może się wydawać, że jest odwrotnie. *Ttemamt* to raczej rekompensata dla rodziców za trud włożony w wychowanie córki, a jednocześnie wyraz szacunku wobec nich. Dzisiaj ma znaczenie tym bardziej symboliczne, że często wnosi się je pieniędzmi, gdyż wielu Kel Adżdżar po prostu nie ma swoich stad. Jego wysokość zależy od tego, jak majątny jest mężczyzna. Kilka, pięć, sześć, nawet siedem wielbłądów, ale jeśli ktoś jest biedniejszy, to może być kilkadziesiąt owiec.

— A mogę jako *ttemamt* przekazać wszystko, co podarował mi Agwelid?

Aksil przez dłuższą chwilę patrzył na Rona.

— Nie zapytałeś nawet, co ofiarował ci amenukal. To byłby największy *ttemamt*, jaki kiedykolwiek przekazano. Ale moja siostra jest tego warta.

Gdy minęły dni żałoby, trzema dżipami udali się do Ghat. Poprzedniego wieczoru w długiej rozmowie Rona z amenukałem ustalono wszystkie dodatkowe szczegóły aktu zaślubin. Tazerwał, która po pogrzebie unikała Rona („Tego wymaga tradycja” — objaśniał Aksil Ronowi, zaniepokojonemu zachowaniem dziewczyny), uśmiechnęła

się tylko na jego powitanie i zajęła miejsce w samochodzie ojca. Aksil i jeden z mężczyzn spośród starszyny Inaden wsiedli do auta wraz z Ronem. Żołnierze z bronią zajęli miejsca w trzecim dżipie. Ron zauważył, że wszyscy byli ubrani w tradycyjne szaty, nawet Aksil, którego widywał zazwyczaj w mundurze bez dystynkcji, tym razem pojawił się odziany w *takanimist* i *tagelmust*. Tazerwalt miała na sobie szeroką bawełnianą spódnicę *asadžeb*s, koszulę z obszernymi rękawami i *abrur* — luźną wełnianą szatę koloru bordowego, coś między sari a peleryną.

Ghat, mała, zakurzona miejscina, zabudowana głównie piętrowymi domkami, nad którymi górował biały minaret, wydawała się prawie bezludna: zamknięte sklepiki, niewielu przechodniów, z rzadka zaparkowane samochody. Aksil poprawił się na siedzeniu i sprawdził, czy może sięgnąć po leżącą tuż obok broń. Ron widział, jak niespokojnie rozglądają się jadący na czele żołnierze, przyciskając do siebie automaty. Przejechali wzdłuż muru ciągnącego się wokół na wpół zrujnowanych glinianych domków starego miasta i wjechali na asfaltową drogę prowadzącą do centrum.

Notariusz, mężczyzna potężny wzrostem i tuszą, z najwyższym szacunkiem witał amenukala Kel Adždżar, wychodząc przed dom, w którym mieścił się jego urząd, ale rozglądał się przy tym niepewnie wokół, prawie dygotał ze strachu, aż Ronowi zrobiło się go żal.

— Podobno Sebha została zdobyta przez milicję plemienia Zintan, której zwolennicy są już w mieście. Zintan weszli w znowę z Tebu i chcą przejąć kontrolę nad Al-Szarara... — raportował notariusz szybkim, przerywanym ze zdenerwowania czy strachu głosem.

Amastan miał rację. W Libii zaczęła się wojna wszystkich przeciwko wszystkim. Dzięki rozmowom z Agwelidem i jego synem Ron znał aktualny układ sił w regionie i rozumiał

dylematy wodza Kel Adżdżar, który musiał dostosować się do szybkiej zmiany sytuacji, aby ratować swój naród.

Dwieście kilometrów na północ od Ghat, za Al-Ałinat, rozciągała się pustynia Murzuk, a na niej zagłębienie Al-Szarara, drugie co do wielkości złoża ropy naftowej w Libii. Przed rewolucją trzysta tysięcy baryłek najwyższego gatunku lekkiej libijskiej ropy naftowej tłoczono codziennie rurociągami do Załiji i portów na wybrzeżu północnym. Deszcz petrodolarów spływał, ozłacając nie tylko francuski Total i hiszpański Repsol, które zarządzały wydobywaniem w Al-Szarara, ale także reżim w Trypolisie. Teraz, gdy Kaddafi został obalony, oddziały plemienia Zintan z północnego zachodu, najbardziej bitne w regionie, stanęły do wyścigu o źródła bogactwa Libii.

Najgroźniejsze było to, że Zintan sprzymierzyli się z Tebu, czarnoskórymi plemionami pochodzącymi z Nigru i Czadu. Za rządów Kaddafiego Kel Adżdżar i Tebu z trudem, ale jakoś się dogadywali, choć wrogość między nimi sięgała dawnych czasów, ponieważ Tebu nie zapomnieli, że to Tuaregowie wspólnie z Arabami łowili czarnych niewolników i sprzedawali ich białym. Wielu spośród Tebu było też niewolnikami Tuaregów, gdy mieszkali wśród nich i wykonywali za nich najcięższe prace. W czasach współczesnych podstawową przyczyną wzajemnej niechęci była walka o kontrolę nad pustynnymi szlakami przemytniczymi.

— To Tebu, ich klany Ali Sida i Barki Wardugu, trzymają w swoich rękach przemyt narkotyków od Abidżanu do Aleksandrii i mają powiązania z kartelami z Ameryki Południowej — przekonywał Rona Agwelid.

Sojusz Zintan z północy i Tebu z południa zamykał Kel Adżdżar jak w butelce, bo na wschodzie Tuaregów ograniczały góry Tadrart, a na zachodzie granica z Algierią. Chociaż dobrze uzbrojeni i doskonale wyszkoleni, ludzie z

Kel Adżdżar byli jednak zbyt nieliczni, aby stawić czoła nowemu niebezpieczeństwu. Amenukal Agwelid musiał szukać sojuszników wśród nowych władców Libii.

— Nie mogę pozostawać dłużej w mieście. — *Katab al-ummamij* był wystraszony nie na żarty. — To zbyt niebezpieczne. Jest tu jeszcze posterunek żołnierzy Dżamahiriji, będzie wojna...

Uprzedził ich lojalnie, że nie ma pojęcia, jaka jest moc prawna dokumentów, które poświadczą.

Miał również wątpliwości co do legalności samego związku Tazerwalt z Ronem:

— Nie wiem, kto teraz rządzi w Libii i jakie prawa obowiązują. Wodzu Agwelidzie, wiesz, że małżeństwa muzułmanki z niewiernym zabrania prawo islamu...

Spojrzenie amenukala rzucone znad zasłony twarzy było tak groźne i władcze, że wielki Arab aż się skulił.

— Oczywiście, oczywiście, poświadczę małżeństwo twojej córki i wydam *akada załadż*, akt ślubu.

— Harib wyznaje tę samą wiarę co my i może złożyć *szahadę*, wyznanie wiary, że nie ma innego boga niż Bóg jedyny. A ty potwierdź, że bierze Tazerwalt za żonę, i podpisz odpowiedni papier. Masz wobec mnie dług i nie zapominaj, że to Kel Adżdżar chronią cię i twoją rodzinę.

Świadkami byli Aksil i Seggum, najmłodszy wiekiem spośród trzech przedstawicieli starszyny Inaden. Ron był trochę zdziwiony, że Agwelid pozwolił, aby to nie szlachetny Amrad, a właśnie przedstawiciel niższej kasty był świadkiem ich małżeństwa. Chociaż z drugiej strony być może miało to związek z pochodzeniem prababki Tazerwalt. A może skrywały się za tym inne tajemnice, które miały pozostać dla Rona nieznane.

Drżącymi rękami notariusz wypełniał akt ślubu.

— Jak należy pisać twoje miano? — zapytał Hariba.

Ron wziął kartkę i po arabsku napisał swoje imię i nazwisko.

— Nie Ruf, a Run — poprawił notariusza, widząc, że zamiast arabskiej litery nun ten wpisał literę fa'a. Wprawdzie Ron nie opanował sztuki kaligrafowania liter arabskich i *nun* nie był najpiękniej napisany, ale rozróżnienie liter, chociaż obie są z kropką, było nietrudne.

Ewidentnie dawało znać o sobie zdenerwowanie *kataba*. Notariusz odłożył na bok prawie czysty blankiet, w którym tylko rubryka nazwiska mężczyzny była wypełniona. Agwelid bez słowa go zabrał. Notariusz otworzył usta, chciał najwidoczniej zaprotestować, gdyż dokument był opatrzony pieczęcią i podpisany, ale spojrzawszy na nieruchomą postać wodza, nie ośmielił się i ostatecznie zamilkł.

Z pomocą Rona, który podpowiadał litera po literze, jak należy zapisywać jego dane personalne, notariusz wypełnił nowy dokument. Z rubryką odnoszącą się do Tazerwalt poszło mu łatwiej. W części, która dotyczyła spraw majątkowych, zapisano, że pan młody wnosi w darze żonie dom, mieszkanie, biżuterię „dużej wartości”, piętnaście wielbłądów i kilkaset (tak właśnie zapisano: *adda mi'at*) owiec i kóz lub ich równowartość w pieniądzech, że cały majątek państwa młodych, jaki mają i jaki będą mieli, pozostanie ich wspólną własnością, a w razie śmierci jednego z nich stanie się własnością współmałżonka. Ron nie pytał, dlaczego przypisano mu tak wielki stan posiadania, skoro miał jedynie to, co ofiarował mu Agwelid.

— A w razie rozwodu? — W tym miejscu *katab al-ummamij* przejawiał zadziwiającą śmiałość.

Amenukal wszystkich Kel Adżdżar odpowiedział:

— Rozwodu nie będzie nigdy.

Agwelid powiedział to spokojnym, oznajmującym tonem, lecz jego słowa zabrzmiały jak głos najwyższego katolickiego kapłana, który ostrzega, aby człowiek nie ważył się rozłączać tego, co złączył Bóg.

Wszyscy po kolei złożyli podpisy — Tazerwalt, Ron, Aksil i Seggum. Potem Agwelid i Aksil odeszli wraz z notariuszem na bok, uzgadniając jakieś dodatkowe szczegóły. Ron i Tazerwalt stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Dziewczyna wyciągnęła obie ręce, ujęła jego dłonie, uścisnęła je. Miała jasne, spokojne spojrzenie. Tak głęboki i czysty był tylko błękit nieba, które Ron — będąc małym chłopcem — oglądał jak wielką kopułę wznoszącą się nad konarami dębu, pod którym leżał, nad domem, wsią i nad całym światem.

Wbrew oczekiwaniom Hariba po powrocie do obozowiska nie było żadnego świętowania ani nawet składania życzeń. On nadal miał mieszkać w namiocie z Aksilem i żołnierzami, a Tazerwalt — w swoim wraz z Menną i dwiema innymi kobietami. Jediną zmianą było to, że w drodze powrotnej z Ghat Tazerwalt zajęła w samochodzie miejsce obok niego, a za kierownicą osobiście usiadł Aksil. Seggum jechał wspólnie z wodzem na czele, a żołnierze zamykali kolumnę. Przy wieczornej herbacie odbyła się swego rodzaju narada, w której — ale to już nie dziwiło Rona — obok Aksila i trzech starszych Inaden wzięła też udział Tazerwalt. Amenukal poinformował ich, że pojutrze opuszcza obóz i udaje się w towarzystwie kilkunastu zaufanych ludzi do Sebhy na rozmowy z przedstawicielami plemienia Misrati, którzy wydają się zwycięzcami w wojnie, a ich milicje kontrolują większość terytorium południowej Libii. Jediną drogę wiodącą z Ghat na północ, o kluczowym znaczeniu dla bezpieczeństwa Tuaregów, Agwelid obsadził kilkudziesięcioosobowym oddziałem doborowych wojowników. Wyposażeni w broń automatyczną, granatniki, ręczne rakiety i moździerze, będą w stanie powstrzymać

każdą próbę ataku. „Lub przynajmniej opóźnić ewentualne natarcie” — dodał.

Przywódcę Kel Adżdżar najbardziej niepokoił sojusz plemion Tebu z arabskimi milicjami z północy. Słowa notariusza z Ghat jedynie potwierdziły wcześniejsze obawy amenukala.

— Gdy Kaddafi upadnie, wówczas my, Kel Tamahak, staniemy się pierwszymi wrogami Tebu i ich sojuszników. Znajdziemy się w potrzasku. Jednakże pułapka na mysz nie może złović słonia. Dlatego musimy także znaleźć sprzymierzeńców. Potężnych sprzymierzeńców — objaśniał sytuację Agwelid.

Ron pytająco patrzył na wodza Kel Adżdżar. Ten wytłumaczył strategię przetrwania swego narodu:

— Trudno nam będzie wygrać z oddziałami arabskich milicji. Mają nieporównanie więcej żołnierzy. W dodatku pomagają im Amerykanie i Francuzi. Zaproponujemy więc sojusz wszystkim: Zintan, Misrati, Ameryce i Francji. Każdej ze stron złożymy osobną ofertę. Liczę, że ktoś połknie przynętę. Byle tylko była ona dobrze posmarowana tłuszczem.

— A jeśli się nie uda? — W Ronie wciąż żył wątpiący Europejczyk.

— Wówczas zawrzemy sojusz z naszymi braćmi z południa, z Kel Air i z Kel Adrar. I przeniesiemy wojnę do Mali i Nigru. Wtedy Francuzi będą zmuszeni szukać z nami porozumienia.

Cała konfederacja plemion Kel Adżdżar liczyła zapewne mniej ludzi niż średniej wielkości powiatowe miasto w Europie, ale amenukal planował operację na skalę terytorium kontrolowanego przez siebie kraju, zajmującego obszar większy niż niejedno państwo europejskie. Słuchając Agwelida, Ron miał przeświadczenie, że nie był on

specjalnie zaskoczony rozwojem sytuacji, że zarys kampanii powstawał od dawna i że każdy z rodziny amenukała wniósł swój udział: Amastan — znajomość realiów geopolitycznych, Aksil — profesjonalne wojskowe planowanie, sam wódz zaś — życiowe doświadczenie i chytrość pustynnego lisa.

Aksil nie wyjeżdżał teraz z ojcem, lecz miał pozostać w obozie i przyspieszyć przyuczanie Rona do życia na pustyni. Ale przede wszystkim miał mu wyjaśnić szczegóły jego misji w Europie.

— Synu, przekaz Ronowi wszystko, co pozostawił Amastan: nazwiska i telefony ludzi, adresy i daty. Ron — zwrócił się do niego amenukał — zapamiętaj te informacje, ale ich nigdzie nie zapisuj. Amastan mówił, że masz bardzo dobrą pamięć, wykorzystaj ją. Jeśli nie będziesz czegoś wiedział, Tazerwalt ci pomoże. Moja córka mówi, że masz czyste serce i, inaczej niż ludzie Zachodu, wiesz, co oznacza honor. Jesteś teraz jednym z Kel Adżdżar, a my zawsze dotrzymujemy słowa. Bez względu na cenę, jaką przyjdzie za to zapłacić.

Dwa dni, jakie minęły od dnia zaślubin, toczyły się normalnym rytmem. Wypełnione były długimi rozmowami z Aksilem i Tazerwalt, mającymi raczej charakter szkolenia czy instruktażu. Okruchy oderwanych wydarzeń ostatnich kilku miesięcy zaczęły układać się przed oczami Rona w mozaikę, której wzór stawał się czytelny, a chaos, w jakim pogrążała się Libia, nabierał kształtów ukierunkowanej dynamiki. Rozumiał teraz przyczyny niepokoju, który towarzyszył im podczas podróży do Ghat, i widział, jakim dramatycznym błędem było ich pojawienie się w mieście. To tak, jakby poszukiwany listem gończym człowiek przededefilował po głównym rynku tuż przed komisariatem policji. Przyznawał jednak rację Tazerwalt, że odkładanie dnia zawarcia małżeństwa i wyjazdu z Libii było obarczone

jeszcze większym ryzykiem, ponieważ bierne wyczekiwanie niebezpiecznie skracało czas, jaki pozostawał mu na wykonanie misji w Europie. A takie zadanie można było powierzyć tylko komuś, kto na zawsze wszedł do rodziny Kel Adżdżar.

[1] Szejtan (z arab.) — diabeł, szatan.

XXXI

Pojawili się wczesnym świtem, w porze *denkelwag*, kiedy wyprowadza się stada na pastwiska. Pełniący poranną wartę żołnierz dostrzegł pojazdy, gdy były jeszcze trzema kropkami na linii horyzontu, lecz nie zaalarmował śpiących towarzyszy, lecz jedynie zmienił pozycję, aby uważniej przypatrzeć się nadjeżdżającym. Gdyby podniósł fałszywy alarm, naraziłby się na drwiny kolegów, a podczas *ihallen* wyśmiewałyby go kobiety. Skupiony na obserwacji doliny, nie dostrzegł kilku uzbrojonych mężczyzn wybiegających zza skał od strony gór. A gdy zidentyfikował dziwny, słyszany już wcześniej szum jako warkot silników dwóch śmigłowców, które wyłoniły się zza szczytu, było zbyt późno — napastnicy mierzyli do niego z odległości kilkudziesięciu metrów. Wartownik rzucił się na ziemię, odbezpieczając jednocześnie broń, i nie mierząc, na oślep wypuścił serię w stronę atakujących, nim przygwoździł go ogień z helikopterów.

W obozowisku rytm życia dyktowały codzienne obowiązki i Ron, który z dzieciństwa wyniósł przyzwyczajenie do wczesnego rozpoczęcia dnia, bez trudu dostosował się do wstawania wraz ze wschodem słońca. Gdy rozpętała się strzelanina, był już ubrany, kończył wiązanie tagelmustu, przerzucając się słowami z Aksilem i żołnierzami, którzy także przygotowywali się do porannej toalety. Mimo szoku i strachu — a bał się bardziej o Tazerwalt niż o siebie — z podziwem obserwował żołnierzy. Nie wybiegli gorączkowo na zewnątrz wprost pod lufy, lecz błyskawicznie chwycili broń, upadli na ziemię i odturlali się w różne strony, jak najdalej od wejścia, z zamiarem wydostania się na zewnątrz pod skórzanymi ścianami namiotu.

— Wychodzić pojedynczo. Bez broni. Z rękami do góry — wykrzyczany po arabsku wzmocniony megafonem nakaz przetoczył się nad obozowiskiem.

Ron ostrożnie uchylił od dołu osłaniającą go płachtę. Z drugiej strony wejścia tak samo obserwował otoczenie Aksil. Kilkunastu napastników ustawionych półkolem, jeden od drugiego w odległości kilku, kilkunastu metrów, z bronią gotową do strzału, odcinało im drogę ucieczki. Ze śmigłowca wyskakiwali kolejni i zajmowali stanowiska. Druga maszyna wisiała w powietrzu, kontrolując cały teren.

— Wychodzimy, nie mamy wyjścia — rozkazał Aksil.

Ron zdążył wziąć swój plecak-niezbędnik i wsunąć go pod opadającą na ziemię ścianę namiotu, po czym jako przedostatni wyszedł z podniesionymi rękami.

W oddziale, który przypuścił atak na ich obóz, większość stanowili Arabowie, ale byli także czarnoskórzy i — zdawało mu się — dwaj mężczyźni o typowo europejskich rysach twarzy. Zwrócił na nich uwagę, ponieważ w odróżnieniu od pozostałych nosili ciemne okulary, chociaż słońce nie świeciło ostro. Europejczykiem był chyba także pilot śmigłowca, jakkolwiek jego twarz także częściowo przykrywały szkła przeciwsłoneczne. Domyślił się, że napastnicy nie byli żołnierzami regularnej armii, ponieważ, mimo dobrego wykształcenia i sprawnie przeprowadzonej akcji, nosili różne mundury, niektórzy na nogach mieli sportowe buty. Różniła ich także broń: większość co prawda trzymała w rękach automaty Kałasznikowa, ale różne ich modyfikacje — od długich AK z drewnianą kolbą po nowsze szturmowe AKS z rozkładaną, metalową rękojeścią — inni byli uzbrojeni w karabiny automatyczne Steyr, a jeszcze inni trzymali francuskie bezkolbowe automaty Famas, jakie znajdują się na wyposażeniu wielu afrykańskich armii. Z zaskoczeniem odnotował w myślach, że bez wysiłku odróżnia rodzaje i typy broni.

Zgromadzili ich wszystkich, dwunastu mężczyzn, na *tasakift*, placu w centralnym punkcie obozowiska, tworzonym przez półkrąg namiotów, rozkazując, aby usiedli i opuścili ręce. Jeden z napastników ruszył w stronę namiotu, w którym mieszkała Tazerwalt.

— To namiot kobiet — krzyknął gniewnie Aksil, sprężając się jakby do skoku.

Na zewnątrz wyjrzała wystraszona czarna twarz Menny.

— Zostaw je. — Rozkaz rzucony przez dowódcę różnobarwnej bandy powstrzymał bojownika. Wejście do namiotu kobiet byłoby niezmywalną zniewagą, na którą mężczyźni musieliby zareagować, nawet jeśli by miało to oznaczać dla nich pewną śmierć.

Ten, który wydał rozkaz, nie dowodził jednak całym oddziałem. Dowódca, Arab w średnim wieku, w nowym mundurze i zielonej chuście na szyi, wylądował drugim śmigłowcem, gdy się upewnił, że obóz jest pod całkowitą kontrolą i nikt nie uciekł z namiotów. Zbliżał się powoli w asyście uzbrojonych bojowników, ważny i pewny siebie. Pół kroku za nim podążali, sądząc po tagelmustach, które przykrywały im twarze, dwaj Tuaregowie. Byli bez broni, ale nie mieli związanych rąk i nie wyglądali na jeńców. Ron przyglądał się im uważnie. Ten wyższy miał wojskowe buty, a jego tagelmust był zupełnie nowy i zawinięty niezbyt zgrabnie. Ron sam miał na początku kłopoty z właściwym zakładaniem nakrycia głowy i potrafił dostrzec niuanse.

— On nie jest z narodu Imuhar — powiedział szeptem do Aksila.

— Tak, widzę — odpowiedział syn wodza.

Dowódca i jego świta podeszli na odległość kilku kroków. Ron upewnił się, że wyższy Tuareg jest przebierańcem — wydały go nie tylko buty, ale przede wszystkim różowy pasek skóry, której nie przykrywał tagelmust. Takiej barwy

nabiera skóra białych ludzi z północy, gdy słońce pustyni dotykało jej przez czas zbyt krótki, aby zdążyła ściemnieć. Aksil bardziej przypatrywał się drugiemu Tuaregowi.

— Na Allaha, to Jasul, syn Agduma! Jaka hańba! Co za wstyd! — wyszeptał, a właściwie zasyczał Aksil pod tagelmustem jak rozwścieczona żmija. — *Ma temusem? Ma terhid?*^[1] — zapytał w języku tamahak.

Dowódca i wyższy Tuareg nie zareagowali — nie znali języka Kel Adżdżar. Dowódca mimowolnie zwrócił głowę do niższego z mężczyzn w tagelmuście, potwierdzając przypuszczenia jeńców. Dopiero po sekundzie zorientował się, że pytający dokonał w ten sposób wstępnego rozpoznania, kto jest kim, i jakby uśmiech uznania przemknął mu po twarzy.

— Ty jesteś Aksil, syn Agwelida? — odpowiedział pytaniem po arabsku

— *Eulla nekku*^[2] — odpowiedział dumnie, hardo w swoim języku Aksil i się podniósł.

— Nazywam się Kasim As-Sahim i przyszedłem do twego ojca, aby oddał mi to, co należy do narodu libijskiego.

— O czym mówisz, synu Sahima?

— O bogactwach, które ukradł narodowi libijskiemu ten psi syn Kaddafi i dał wam na przechowanie. Oddajcie, co nie należy do was, a my oddalimy się w pokój.

— Nie wiem, o czym mówisz. Mego ojca nie ma w obozie.

— Jeśli nie wypełnicie mojej prośby, twój ojciec nie będzie miał po co wracać do obozu. Jesteś jego synem i wiesz, o co pytam. — Dowódca bandy podniósł głos.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Aksil zachowywał kamienny spokój.

— Czy mam ci przypomnieć, co mówił twój brat Mahmedowi, którego posłał Saif al-Islam? O tajemnicy bogactwa, której będą strzegli w górach umarli? O skarbach, jakie wywieźliście ze stolicy?

Ron wspomniał rozmowę Amastana z wysłannikiem syna Kaddafiego w Trypolisie. Mówili o tym, że wszystko jest zgromadzone w koszarach i przygotowane do wyjazdu. Przypomniał sobie o skrzyniach ładowanych na ciężarówkę, a później do samolotu. Był przekonany, że chodzi tylko o broń, a okazuje się, że Kel Adżdżar przechowywali też pieniądze Kaida! No tak, przecież Amastan mówił mu, że ludzie pustyni dotrzymają słowa danego przez ich wodza Pułkownikowi, że będą bronili jego rodziny i majątku.

— Z Trypolisu zabraliśmy tylko broń, aby mieć się czym bronić przed takimi jak ty.

Zapewnienia Aksila nie przekonały Kasima As-Sahima.

— Wiem, że nie powiecie ani słowa, choćbym miał was wszystkich po kolei zastrzelić. Ale co powiesz, jeśli zabierzemy wam kobiety i sprzedamy je naszym braciom nad Zatoką Arabską?

Ron już się zrywał do biegu, ale Aksil ścisnął jego ramię, zmuszając go żelaznym chwytem do pozostania na miejscu. Niższy z Tuaregów, w którym Aksil rozpoznawał współplemieńca, zaszepotał coś do ucha Araba. Ten uczynił gest, jakby oganiał się przed natrętną muchą, ale dodał:

— Twój upór jest bezsensowny. Wiem, że jesteście strażnikami skarbów Kaddafiego. Ale nie martw się. Twoją siostrę wydamy za mąż za jednego z was. On powiedział nam, że twoja rodzina ukryła skarby w jaskini Tamazzalt, tam, gdzie pochowaliście waszego świętego. Nie zhańbię twojej rodziny, jeśli zaprowadzicie nas do tych jaskiń.

I skinął głową w stronę dwóch bojowników.

— Każcie kobietom wyjść i przyjść tutaj — rzekł do nich.

Dwaj spośród napastników podeszli do namiotu i krzykiem zmusili kobiety do jego opuszczenia. Sześć kobiecych sylwetek, ubranych niezwykle, bo, wbrew tradycjom Kel Adżdżar, owiniętych od stóp do głów, z całkowicie zasłoniętymi twarzami, wysunęło się po kolei z namiotu i przycupnęło przy nich. Nawet Ron miał trudności z odgadnięciem, która z nich to Tazerwalt, ponieważ idąc, dziewczyna się przygarbiła i ukryła w ten sposób swój wysoki wzrost — zdradzała ją tylko znana mu bransoleta na ręce.

— Jasulu, synu Agduma — wycedził Aksil — jesteś już trupem. Zabij się lub ja cię zabiję, aby zaoszczędzić hańby twoim rodzicom i twojemu rodowi. Nikt z nas nie wie, gdzie są jaskinie świętych — zwrócił się do Kasima. — Tylko amenukal Agwelid ma taką wiedzę.

— A ty, Jasulu, czy wiesz, jak dotrzeć do jaskiń? — zapytał dowódca napastników zdrajcę.

— Tak wiem, w tamtym kierunku... — odparł niecierpliwie Jasul.

— Ale czy znasz drogę, możesz nas tam zaprowadzić?

Jasul pokręcił głową. Może żałował swego postępuku, tego, że żądza posiadania Tazerwalt zaślepiła go tak mocno, iż zdradził swój ród.

— Nie wiesz? To nie jesteś mi do niczego potrzebny — stwierdził Arab i strzelił Jasulowi w głowę.

Kobiety krzyknęły z przerażenia. Wyższy Tuareg nawet nie drgnął.

Kasim As-Sahim mówił teraz do Aksila:

— To była dobra decyzja, wyręczyłem cię i nie muszę oddawać mu twojej siostry. Nasi przyjaciele znad Zatoki

dobrze za nią zapłacą. A jeśli jest tak piękna, jak mówił ten zdrajca, to zatrzymam ją dla siebie. Na parę dni lub nawet tygodni. Która to z nich? Mam wystrzelać po kolei wszystkich twoich żołnierzy, abyście mi ją wskazali? — Arab przeładował broń.

Wstał jeden ze starszyny Inaden i rzekł:

— Kasimie, synu Sahima, syn amenukala mówi prawdę. Tylko wodzowie wiedzą, gdzie jest święta jaskinia Tamazzalt.

— A ty kim jesteś?

— Jestem Seggum, przywódca Inaden, ten, który pierwszy przemawia na radzie starszych Kel Adżdżar.

— A, jesteś takim pomniejszym amenukalem? — zapytał ironicznie Kasim. — I wiesz, gdzie jest jaskinia?

— Tak, wiem — odparł spokojnie Seggum.

— I zaprowadzisz nas tam?

— Tak, zaprowadzę. Jeśli wypuścicie kobiety.

— Dobrze. Zaprowadzisz nas, a my je uwolnimy — zgodził się.

— Nie. Zwolnicie je, a ja was zaprowadzę — w głosie Segguma była spokojna pewność. Nawet Kasim zrozumiał, że nic nie zmusi przywódcy Inaden do zmiany decyzji.

Kasim As-Sahim zastanawiał się krótko. Spojrzał na wyższego, fałszywego Tuarega. Ronowi wydawało się, że usłyszał coś w rodzaju mruknięcia: *Let them go. We'll collar them*^[3].

— Zgoda. Kobiety niech idą precz. A ty prowadź nas.

Seggum zaczął się modlić. Tak przynajmniej wydawało się Ronowi. I tak sądzili napastnicy, gdyż Kasim uspokajał go ze śmiechem:

— Nie módl się jeszcze. Przecież cię nie zabijemy. Pokażesz nam jaskinie i wrócisz do domu.

Starszy Inaden śpiewnie recytował coś w języku tamahak. Później Tazerwalt przetłumaczyła Ronowi jego słowa — były skierowane właśnie do niej.

— Wnuczko Tazerwalt — prosił Seggum — przyjmij moją ofiarę na przebłaganie pamięci Tamazzalt. Inaden pamiętają swoją winę i swój dług. Żyj długo i szczęśliwie i błogosław moich potomków.

Oddaleni o kilka metrów Arabowie pewnie nie usłyszeli cichej odpowiedzi Tazerwalt, ale jej głos dobiegł uszu Rona.

— Co powiedziała Tazerwalt? — zapytał. Tagelmust dobrze tłumił szept.

— Powiedziała, że Seggum może odejść w spokoju i że dług będzie spłacony — wyjaśnił Aksil.

„Ciągłe tajemnice i mity” — myślał trochę poirytowany Ron. Tu trzeba kombinować, jak ratować swoje głowy, a nie wzywać duchy przodków. Aczkolwiek jeśli sytuacja jest beznadziejna, to można się pomodlić, chociażby do przodków.

Kasim As-Sahim machnął ręką.

— Niech kobiety już idą. Ruszamy. Ale tylko dwoma samochodami, reszta pozostaje tutaj i czeka na nas.

— *Sac su ehen*^[4] — syknął Ron w stronę kobiet francusko-tuareską mieszanką.

Tazerwalt prawie niezauważalnym skinieniem głowy potwierdziła, że zrozumiała jego słowa. Wraz z towarzyszkami oddaliła się do namiotu i dosłownie minutę, dwie później wyszły wszystkie, każda z jednakowym workiem na plecach. Jeden z napastników nawet sprawdził zawartość worków, ale nie było tam niczego podejrzanego,

jedynie bukłaki z wodą i trochę jedzenia. Kobiety ominęły namioty i ruszyły nie w stronę szosy i Ghat, lecz w przeciwnym kierunku — w góry, wspinając się z trudem po stromej, kamienistej drodze. Jedna po drugiej zniknęły za szczytem.

Kasim wzruszył ramionami

— A niech idą, gdzie chcą. I tak je wyłapiemy. Gdzie się tu mogą ukryć?

Tą samą drogą ruszyły wkrótce dwa dżipy. W pierwszym Kasim i fałszywy Tuareg wraz z Seggumem i trzema bojownikami, w drugim — sześciu innych. Jeden ze śmigłowców z milicjantami wzbił się i odleciał na północ, drugi pozostał na ziemi. Kilku milicjantów wciąż trzymało pod lufami siedzących Kel Adżdżar, ale czterej inni wspięli się wyżej, aby nie tracić z oczu odchodzących kobiet i odjeżdżających pojazdów. Jeśli chcieli zatrzymać Tuareżki, to czekało ich rozczarowanie. Kobiety Kel Adżdżar rozplynęły się, jakby rozstąpiły się przed nimi skały. Skręcająca w lewo droga, którą jechały dwa dżipy Kasima, była pusta, a w prawo w góry prowadziła dróżka tak stroma i niebezpieczna, że chyba tylko bardzo odważne górskie kozy ośmieliłyby się nią pójść.

Skalna droga prowadziła nad urwiskiem, a później wchodziła na rozległą równinę, gdzieś połyскую białymi plamami soli lub kryształów gipsu. Pojazdy napastników pełzły powoli, aby uniknąć zderzenia z gęsto rozsianymi skalnymi blokami. Seggum pewnie i zdecydowanie wskazywał drogę na wprost. Kierowca pierwszego wozu miał problemy z pokonaniem bajorka, w które nieopatrznie wjechał, a które zdradliwie oblepiło przednie koła. Dzięki potężnemu silnikowi napędzany na cztery koła pojazd wygrzebał się jednak z mazi. Na twarzy Segguma nie widniał najmniejszy cień zaniepokojenia, przeciwnie — przywódca Inaden był skupiony, ale bardzo

spokojny i ten spokój udzielał się pozostałym. Nawet gdy wóz na chwilę ugrzązł w kolejnej jasnej plamie piasku, soli i wody, nie wywołało to żadnej reakcji pasażerów.

Wyjeżdżanie z zasysającego błota wymagało koncentracji uwagi i irytowało kierowcę, więc kolejną plamę jaśniejszej soli postanowił ominąć. Pasma kamieni po lewej stronie mościło jakby skalną drogę, z lekka pokrytą tylko cieniutką warstewką brudnej, żółtej brei, która po ostatnim deszczu nie zdążyła ani wyschnąć, ani wsiąknąć w kamieniste podłoże. Przyspieszenie i ostry skręt w lewo wydawały się dobrym sposobem na pokonanie takiej małej przeszkody. Oba lewe koła ciężkiego samochodu ześlizgnęły się jednak ze ścieżki, pojazd mocno się przechylił i zaczął zsuwać się w dziurę mazi, jaka niespodziewanie otwierała się za kamieniami.

Kierowca widać nie słyszał bająn o Tit Szajtan, jakie opowiadają starcy Kel Adżdżar, bo gdyby je znał, to wystraszyłby się jeszcze bardziej, a tak cisnął pedał gazu, dziwiąc się, że potężna toyota nie wydostaje się z pułapki, lecz szybko pogrąża coraz bardziej. Studnia Diabła nie była mityczną opowieścią dla niegrzecznych dzieci, była fenomenem natury, głębokim uskokiem skalnym wypełnionym wodą, piaskiem, solą i gipsem. Bardzo powoli pochłaniała piaski i kamienie zasilane żwirem i deszczami spływającymi z gór otaczających równinę. Pasażerowie dżipa zapewne zdążyliby wyskoczyć z wozu, którego lewa część do połowy burty zanurzyła się w lepkiej brei, ale trochę wystraszeni niespodziewaną przygodą, zignorowali starszego Inaden lub nie docenili jego sprawności. Błędem było też noszenie u boku wiszącego granatu przez jednego z milicjantów. Seggum wyrwał zawleczkę i uśmiechnął się z pobłażliwą pogardą, patrząc w twarz Kasimowi. Nim dowódca napastników zdążył zareagować, wybuch rozerwał kabinę, zabijając jednych pasażerów i raniąc drugich, a zdradliwa dziura w ziemi jakby tylko na to czekała —

otworzyła się jeszcze bardziej, bo zanim przebrzmiał przerażony krzyk bojowników jadących drugim samochodem, pojazd przechylił się gwałtownie na lewą stronę, przewrócił kołami do góry i zaczął szybko tonąć. Za moment ze Studni Diabła wystawały już tylko kawałek burty i prawe koła.

Kierowca drugiego pojazdu na chwilę całkiem stracił głowę. Jedni jego pasażerowie wrzeszczeli, aby zawracał i uciekał, drudzy — aby spieszył na pomoc dowódcy. Zanim odzyskał kontrolę nad umysłem i nogami, zanim w ogóle pomyślał o tym, aby przybliżyć się na bezpieczną, ale pozwalającą rzucić linę odległość, z błota wystawał już tylko fragment opony, aż wreszcie i ona znikła, pokryta żółtą mazią.

Grzmot wybuchu i rozdzierające krzyki dotarły do położonej wysoko nad równiną jaskini, w której ukryły się zbiegłe z obozowiska kobiety. Tazerwalt powiedziała cichym głosem, bardziej do siebie niż do kogokolwiek: „Seggumie, spłaciłeś dług swego rodu, przywróciłeś mu honor” — i zrobiła dziwny znak, jakby na piersiach i czole rysowała krzyż. Towarzyszące jej kobiety nawet specjalnie się nie zdziwiły, ponieważ wszyscy Kel Adżdżar wiedzieli, że Tazerwalt, podobnie jak jej matka, babka i prababka, jest nie tylko wielką czarownicą, znającą potężne zaklęcia i czary, ale również osobą trochę nienormalną, chorą na umyśle.

Bojownicy obserwujący z góry dramat, jaki rozgrywał się na równinie, również krzyczeli, co przyciągnęło uwagę strażników obozowiska. Chwilę zamieszania wykorzystali więźniowie. W ich rękach nagle pojawiły się noże, wydobyte spod obszernych gandar. Z szybkością atakujących gepardów runęli na napastników. Aksil silnie odepchnął Rona, którego natychmiast zasłonił swoim ciałem kierowca Inaden, a sam skoczył na najbliższego napastnika. Ten

wprawdzie zdążył odbezpieczyć broń, ale trafił tylko jednego z atakujących, nim nóż w ręku Aksila przeciął mu tchawicę.

Nie bez powodu Kel Adżdżar mają na całej Saharze — od Nilu do Atlantyku — przerażającą sławę bezwzględnych i okrutnych wojowników. Ich przodkowie bez litości wybijali całe oddziały francuskie czy tureckie, gdy te w XIX wieku nierozważnie zapuściły się na pustynię. Pojedynczy wojownik bez strachu rzucał się z szablą na całą grupę uzbrojonych w karabiny najeźdźców. A żołnierze Aksila mieli nabyte przez lata walk doświadczenie i umiejętność posługiwania się bronią. Kilku padło od kul, nim zdążyli dopaść prześladowców, lecz pozostali nożami, kamieniami i gołymi rękami mordowali napastników, odbierali im broń i przykrywając się ciałami zabitych niczym tarczami, natychmiast otwierali ogień. Aksil zygzakiem, susami, przebiegł jak sprinter kilkanaście metrów i dopadł stojącego pod skalną ścianą dżipa. Zagruchotał, plunął ogniem ciężki karabin maszynowy zamontowany na otwartej skrzyni toyoty. Z niewielkiej odległości serie wielkokalibrowego karabinu odrzucały ciała jak simum, gwałtowny wiatr, co niespodziewanie nadlatuje z południa pustyni, miecie pękami suchych traw i połamanymi gałęziami akacji. Aksil przeniósł ogień na helikopter, którego pilot zdążył już uruchomić silnik — płaty wirnika zaczęły się powoli obracać. Kule dziurawiły nieopancerzony kadłub, bezlitośnie siekały okna kabiny, aż na wewnętrznej stronie szkła wykwitły bryzgi krwi zabitego pilota. Wracający zza wzgórza bojownicy Kasima trafili pod deszcz pocisków, a tych, którzy próbowali ukryć się za skałami, zarzucono granatami. Aksil chciał jeszcze dopaść załogę drugiego dżipa, ale pozostali przy życiu milicjanci, przerażeni tym, co stało się na równinie, i przekonani, że strzały w obozie świadczą o przybyciu tuareskich posiłków,

zawrócili i uciekali pospiesznie, jadąc tuż przy samych skałach.

Po kilku minutach walka była skończona. Nikt z napastników nie pozostał przy życiu. Na nogach stało jednak tylko czterech Kel Adżdżar: jeden spośród Inaden, Aksil, młody żołnierz i Ron, który jako jedyny nie odniósł żadnej rany. Na ciele kierowcy Inaden, który przykrył sobą Rona, widniało kilkanaście ran postrzałowych, jedna z kul przebiła mu szyję i krew Tuarega obryzgała ich obojwóch. Aksil, znów postrzelony, na szczęście niegroźnie, dokładnie obejrzał wszystkie leżące ciała. Najpierw swoich żołnierzy — trzech z nich żyło. Poleciał ich opatrzyć. Później zrewidował trupy zabitych wrogów. Dwaj byli ciężko ranni, ale dawali jeszcze oznaki życia. Aksil bez wahania strzelił każdemu z nich w głowę.

— Trzeba szanować wrogów i oszczędzić im zbędnego cierpienia — powiedział, jakby usprawiedliwiając się przed Ronem.

Trzeci, najmniej poszkodowany, bo seria z karabinu zgruchotała mu tylko kolano, został oszczędzony.

— Ron, zajmij się nim. Przewiąż mu nogę, aby się nie wykrwawił — rzucił przez ramię Aksil. Z kieszeni zabitych i ze śmigłowca syn amenukała wyciągnął wszystkie papiery, telefony i portfele, które starannie zebrał i włożył do torby.

Potem podszedł do ostatniego z żyjących napastników, cierpiącego, ale zachowującego przytomność. Ten, zszokowany i przerażony, gorączkowo odpowiadał na pytania. Pochodził z pogranicza libijsko-egipskiego, walczył pod Misratą, potem pod Bengazi. W oddziale Kasima służył od trzech miesięcy. Część pozostałych uczestników rajdu na obozowisko dołączyła do nich pod Al-Ałinat, stamtąd zabrały ich śmigłowce. Nie, nie wie, skąd przyleciały. Piloci nie rozmawiali z nikim. Nie uprzedzono ich, że może dojść

do walk, mieli jedynie zabezpieczać obóz, a potem przewieźć jeńców do oazy Erek Ataram, pod Al-Ałinat.

— Nie zabijaj mnie. — Ranny patrzył błagalnie na Aksila.

— Nie zrobię tego — obiecał syn amenukala.

Aksil połączył się przez telefon satelitarny z ojcem, krótko, w języku tamahak, opisał mu sytuację. Kiwał potakująco głową, przyjmując rozkazy. Później raz jeszcze uważnie przetrząsnął kieszenie zabitego pilota — były puste. Żadnych dokumentów, żadnych osobistych rzeczy, nawet zegarka na ręce. Na serdecznym palcu pilota widniała biała, nieopalona pręga po obrączce, ale samej obrączki nie było. Metka na zielonej koszuli munduru została obcięta.

— Tak przygotowują się do misji zawodowcy ze służb specjalnych — mruknął Aksil do Rona.

Na jego polecenie Ron i starszy Inaden wymontowali karabin maszynowy z helikoptera i zabrali znaną w kabinie torbę z opatrunkami — były tam indywidualne pakiety wojskowe, włoskie, francuskie, saudyjskie, oraz żywność w racjach.

— A tutaj już ktoś nie dopatrył — zwrócił uwagę Ron.

Na każdym z opakowań widniał napis w języku angielskim i francuskim: „*French individual reheatable combat ration. Ration de combat individuelle rechauffable*” — francuska indywidualna wojskowa racja do odgrzania. Data przydatności do spożycia: *30 oct 2019*, numery menu: 2, 8, 3 i zielone pieczęcie z napisami informującymi o zawartości: *viande d’agneau* — jagnięcina, *viande de boeuf* — wołowina, *viande de poulet* — kurczak.

— Gdyby nie pytania Kasima o jaskinię, powiedziałbym, że to ciebie wciąż szukają twoi francuscy przyjaciele — rzekł Aksil.

— Czy powiedziałałbyś im, jak dotrzeć do jaskiń, jeśli zaczęliby zabijać zakładników? — zainteresował się Ron.

Aksil spojrział na Rona i odparł:

— Oczywiście, że nie powiedziałbym. Przede wszystkim dlatego, że nie wiem. Mówiłem Kasimowi prawdę. Tylko Agwelid i Tazerwalt znają dokładne miejsce, gdzie spoczywają Rainer i Tamazzalt.

Pakiety medyczne bardzo się przydały do opatrzenia rannych Kel Adżdżar. Po wypatroszeniu śmigłowca ze wszystkiego, co mogło okazać się użyteczne, złożyli w nim trupy wrogów. Ciała ludzi z Kel Adżdżar zawinęli w białe płótno, którego trochę zostało po pogrzebie, a gdy płótna zabrakło — w tkaniny, jakie znaleźli w namiotach, i przetransportowali je do jednej z półciężarówek. Człowiek Inaden i żołnierz wzięli łopaty i odjechali ze zwłokami towarzyszy w kierunku cmentarza Tuaregów. Ron i Aksil zaczepili łańcuchy do płóz helikoptera, przymocowali je do dwóch półciężarowych toyot i przeciągnęli maszynę na brzeg urwiska na południowym krańcu obozu. Aksil oblał wnętrze benzyną, po czym, używając pojazdów jak spychaczy, zepchnęli pokiereszowany śmigłowiec do wąwozu. Maszyna początkowo się zsuwała, potem przeokożkowała kilka razy i wreszcie z gruchotem uderzyła o skalne podłoże. Aksil zapalił racę i rzucił ją na szczątki. Ogień objął plastikowe i skórzane wykończenia wnętrza helikoptera i mundury poległych, przesączone benzyną zmieszaną z krwią, potem dotarł do zbiorników. Opary paliwa wybuchły, kilkaset litrów wysokooktanowej benzyny lotniczej rozlało się wewnątrz i spaliło, doszczętnie spopielając wszystko, co znajdowało się w środku.

Wszystko to wykonywali z najwyższym pośpiechem, zdając sobie sprawę, że napastnicy, którzy uciekli dżipem, nawiążą kontakt z drugim śmigłowcem i wrócą.

— Zakładam, że przylecieli z okolic Asz-Szarara. Jeśli tak i jeśli zdążyli odlecieć na jakieś sto kilometrów, to muszą uzupełnić paliwo — kalkulował Aksil. — Mamy więc dwie, najwyżej trzy godziny.

Odeszli na stronę, aby ich rozmowy nie podsłuchał ranny jeniec.

— Ronie, bracie, to jest czas, gdy musimy się rozdzielić. Czy wiesz, jak odszukać Tazerwalt?

— Tak. — Skinął głową. — Ze skalnej półki można przejść między górami do małych jaskiń. Tazerwalt pokazywała mi to miejsce. Mówiła, że to dobra kryjówka.

— Bawiliśmy się tam jako dzieci — wspomniał syn wodza. — Zabierz czyste ubranie, nie zapomnij o broni, odnajdź swoją żonę i ruszajcie bez zwłoki. Kobiety, które są z Tazerwalt, niech zejdą na drugą stronę zbrocza. Zabierzemy je po drodze. Tylko musimy się spieszyć. Śmigłowce nadlecą za dwie, trzy godziny. Odradzałbym ci przekraczać granicę z Algierią, pełno tam wojska i policji. Nawet jeśli byście przeszli na drugą stronę, Algierczycy blokują całe południe swego kraju. A w dodatku po tej stronie przeciwnicy Kaddafiego wyłapują każdego, kogo podejrzewają o sprzyjanie Kaidowi. Spróbujcie albo dotrzeć na północ i schronić się na razie w Trypolisie, albo przejść przez zieloną granicę do Tunezji. Tazerwalt dobrze zna Tunis, a Tunezyjczycy są nam przyjaźni. W Trypolisie jest gdzie się zatrzymać, mam nadzieję, że punkt nie został jeszcze spalony. Wiem, że wam się uda. Przekazałem ci wszystko, co wiedziałem. Ruszaj. Zostawiłem wam samochód, Tazerwalt wie, w którym miejscu. Zadzwońcie, gdy uda wam się dotrzeć do szosy. Nie wiem, kiedy się spotkamy i czy w ogóle się jeszcze zobaczymy.

Objęli się jak bracia. Inaden i młody żołnierz, którzy powrócili po dokonaniu szybkiego pochówku swoich

kolegów, także pożegnali go objęciami. Ron zdjął zakrwawioną *takarbest*, przebrał się w ubranie podarowane mu przez Aksila w przeddzień ślubu. „Przecież musisz wyglądać godnie. Chociaż to jeszcze nie wesele, pamiętaj!” — mówił wówczas z uśmiechem brat Tazerwalt. Ron sprawdził, czy na pewno Tazerwalt zabrała jego plecak, rozejrzał się po namiocie, po czym wyszedł i pewnym, miarowym krokiem rozpoczął wspinaczkę pod górę.

Kel Adżdżar tymczasem szybko zwinęli obóz, ułożyli na półciężarówkach swoich rannych, załadowali na nie namioty i skromny dobytek, przede wszystkim — całą broń. Było ich jednak tylko trzech, a pojazdów o kilka więcej. Pozostałe przykryli więc maskującym brezentem, wymontowawszy z nich karabiny maszynowe. Ranny jeńiec z niepokojem patrzył na przygotowania do odjazdu, a gdy Aksil zbliżył się z pistoletem w dłoni, skulił się i zawołał:

— Obiecałeś mnie nie zabijać.

— Kel Adżdżar zawsze dotrzymują słowa. Będziesz żył. Do czasu, aż spotkam cię ponownie. Wówczas zginiecie wszyscy. Także ci, którzy wydali rozkaz zaatakowania mego obozu. Nawet jeśli bym miał ich szukać w Trypolisie, Europie czy Katarze. Możesz przekazać to swoim dowódcom. Zostawiam ci jedzenie — Aksil rzucił kilka francuskich racji żywnościowych — i leki. — Położył obok saudyjski pakiet opatrunkowy. — Noce są chłodne, ale nie mroźne, przeżyjesz. Myślę zresztą, że twoi przybędą tu za parę godzin.

[1] *Ma temusem? Ma terhid?* (tamahak) — Kim jesteście? Czego chcecie?

[2] *Eulla nekku* (tamahak) — Tak, ja.

[3] *Let them go. We'll collar them* (ang.) — Niech sobie idą. Wyłapiemy je.

[4] *Sac su ehen*; właściwie: *Sac (de) dos sous ehen* (franc. i tamahak) — Plecak pod skórzanym namiotem.

XXXII

Dwa nieoznakowane śmigłowce rzeczywiście przyleciały, nie po dwóch czy trzech godzinach jednak, jak zakładał Aksil, ale znacznie później, gdy słońce przeszło już na zachodnią stronę. Nie tak łatwo zorganizować z pospolitego arabskiego ruszenia, jakim były milicje, sprawną grupę uderzeniową, poinstruować i przewieźć na miejsce. Kiedy helikoptery wylądowały, po obozie i żołnierzach Aksila nie było ani śladu. Doradca dowódcy grupy, w tuareskiej chuście i *abernuhu*^[1], uważnie obejrzał pozostałości po obozie, z zaciekawieniem podniósł kilka porzuconych papierów, przesłuchał rannego. Opowieści o fruujących w powietrzu niczym pantery bojownikach Kel Adżdżar z nożami w zębach, o pustyni, która pochłonęła żywcem cały samochód z załogą, położył na karb szoku, w jakim znajdował się ciężko ranny milicjant. Wiarygodne, bo zgodne z jego wiedzą o obyczajach Tuaregów, były natomiast słowa o tym, że mimo gróźb syn amenukala nie wskazał drogi do jaskini, zapewniając, że zna ją tylko wódz plemienia. Kel Adżdżar nie narażałby na śmierć, a tym bardziej poniżający los, swojej siostry, żony czy matki. Zastanowiły go wypalone szczątki śmigłowca, a jeszcze bardziej kartonik, jaki wśród śmieci odnalazł jeden z jego ludzi.

Kartonik był akredytacją, wydaną przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Libijskiej Arabskiej Dżamahiriji Ludowo-Socjalistycznej na nazwisko Rostislav Gribovskiy, którym — jak wynikało z dokumentu — posługiwał się dziennikarz Rosyjskiej Agencji Informacyjnej Novosti. Udający Tuarega kapitan DGSE specjalizował się

w problematyce Libii i Magrebu, wiedział jednak, że RAI Novosti, owszem, była agencją zbierającą informacje, lecz niekoniecznie pracowała tylko na dziennikarskim rynku. Oprócz podpisu, jakim była legitymacja dziennikarska, może faktycznie pozostawiona przez przeoczenie, jego przeciwnicy zostawili wyraźne przesłanie — myślał, patrząc na francuskie racje żywnościowe i saudyjski pakiet opatrunkowy. Miał do czynienia z przeciwnikiem bardziej przebiegłym niż koczownicy Kel Adżdżar.

Ranny milicjant zeznał, że Tuaregowie rozdzielili się i że jeden z nich wyruszył samotnie w góry. Czyżby po to, aby dotrzeć do jaskini, gdzie ukryto złoto Kaddafiego? Kapitan polecił, aby jeden ze śmigłowców obleciał okolicę, chociaż nie liczył na to, że poszukiwania przyniosą jakiś rezultat. Tuaregowie znali okoliczne góry lepiej niż on sam rodzinną Marsylię. Zapisał koordynaty miejsca w GPS i zarządził odwrót do bazy.

[1] *Abernuh* (tamahak) — burnus, obszerny, wełniany płaszcz bez rękawów, peleryna.

XXXIII

Wieczorem z małego pokoiku przy siedzibie przedstawiciela kompanii naftowej Total w Ubari na złożach Asz-Szarara wyszedł szyfrowany raport, który — nawet mimo trwającej w Libii wojny — wywołał poruszenie w Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego Francji. Agent z południa Libii meldował, że kapitan Didier zginął podczas misji wraz z kilkunastoma bojownikami milicji podporządkowanej koalicji Świt Libii, że ślad złota i dokumentów Kaddafiego wydaje się prawdziwy, ale nie udało się dotąd uściślić miejsca, w którym zostały one ukryte. Analitycy z DGSE zgłębiali znaczenie i konsekwencje ostatniego akapitu doniesienia, gdzie znalazła się informacja mówiąca, że Rostislav Gribovskiy, najprawdopodobniej agent rosyjskiej Służby Wywiadu Zewnętrznego, także jest na tropie dokumentów i znajduje się wśród Tuaregów z plemienia Kel Adżdżar.

Generał Christophe Rastouil, dowodzący Dyrekcją Operacji Specjalnych DGSE, po rozmowach z przełożonymi w Ministerstwie Obrony i urzędzie prezydenckim wezwał do siebie pułkownika Jacques'a Germaina. Pułkownik Germain był wybitnym dowódcą i inteligentnym analitykiem, który dowodził Service Action, służbą wykonującą najbardziej tajne operacje dla rządu francuskiego. Podlegały mu specjalne, doskonale przygotowane i wyekwipowane jednostki komandosów, oddziały morskie i lotnicze oraz indywidualnie szkoleni agenci.

Po zapoznaniu się z dossier pułkownik Germain orzekł:

— Atak na obóz Tuaregów był błędem. Powinniśmy ich przeprosić, wypłacić rekompensatę, jakiej zażądamy, i dogadać się z nimi. Są nam także potrzebni, aby zapewnić bezpieczeństwo pól naftowych Asz-Szarara od południa i kontrolować szlaki z Algierii, Czadu i Nigru. Lepiej mieć w nich sojuszników niż wrogów. I musimy koniecznie odnaleźć tego Gribovskiego lub zmusić go do powrotu do Rosji. Chyba że Gribovskiy nie pracuje już dla Moskwy, lecz przeszedł na stronę islamistów. Mamy niesprawdzone sygnały, które by wskazywały, że Rosjanie chcieli jakoby wywieźć go z Libii, lecz ktoś go odbił — albo ludzie Kaddafiego, albo islamiści. Jeśli jest w tym jakaś część prawdy, to za żadną cenę nie można dopuścić, aby wjechał do Europy.

— A nie wziął pan pod uwagę możliwości, że Gribovskiy jest na usługach Tuaregów, a ci z kolei są manipulowani przez ludzi Kaddafiego?

— Rozważałem taki wariant, ale rosyjski agent na usługach Tuaregów to, przyzna pan, brzmi już bardzo egzotycznie...

— A może został przez nich kupiony? Albo przez ludzi Kaddafiego? I miałyby za zadanie pomóc w przerzucie ludzi lub dokumentów, a może jednego i drugiego, do Europy przez Rosję lub Bałkany, gdzie Rosjanie mają rozbudowane kontakty? Tym bardziej że środków rodzinie Kaddafiego nie zabraknie. Bo, widzi pan, jest jeszcze jeden aspekt operacji. Oprócz dokumentów szukamy pieniędzy. Są gdzieś w Afryce i gdzieś w Europie, ale trzeba je odnaleźć.

— O jakich kwotach mówimy?

— Hm... Nasi eksperci od Libii i ropy mówią, że obracamy się w diapazone stu pięćdziesięciu, dwustu miliardów dolarów. Bo większość zagranicznych inwestycji

Kaddafiego, czyli około dwustu miliardów, mamy zlokalizowaną.

Pułkownik Germain złożył usta w trąbkę i lekko zagwizdał.

— Jeśli nawet setna część z nich trafi do mścicieli Kaddafiego, będziemy mieli w Europie krwawą łaźnię... — rzekł.

— Dlatego niech pan działa, pułkowniku. I to zdecydowanie. Ma pan do dyspozycji wszystkie niezbędne środki i instrumenty — zawyrokował generał Rastouil.

W języku służb oznaczało to pełne zielone światło, bez liczenia się z kosztami i konsekwencjami.

XXXIV

Po półgodzinnej wspinaczce Ron odnalazł kobiety. Ściślej, nie on je odnalazł, a został przez nie zauważony, co nie było trudne, gdyż mimo treningów z Kel Adżdżar, które nadały jego ciału żylastą sprężystość, nadal poruszał się w górach zbyt hałaśliwie. Musiał bardzo uważać, aby nie pośliznąć się na wąziutkiej, spękanej ścieżce, więc przytrzymywał się rękami skał i patrzył pod nogi zamiast rozglądać się wokoło. Po co Aksil kazał mu wziąć broń? Rosyjski AKS był wprawdzie krótszy i lżejszy niż inne automaty („Jest niezawodny i prosty w obsłudze, weź kałasznikowa” — przekonywał Aksil), ale tłukł mu się po plecach, a w torbie ciążyły trzy magazynki z amunicją. Minął jedną ze szczelin, nie domyślając się, że właśnie ona prowadzi do poszukiwanej jaskini, gdy nagle krzyknęła do niego Tazerwalt. Rzuciła mu się na szyję. „Pierwszy raz” — pomyślał. Trzymał w ramionach szczupłe ciało dziewczyny, tulił, jakby odnalazł utracony skarb. Pozostałe kobiety przypatrywały się im, a na ich twarzach rysowały się zrozumienie i tkliwość pomieszane ze zdziwieniem, gdyż Kel Adżdżar nie okazują uczuć przy obcych. Tazerwalt była jednak dziwna, a Europejczyk... No cóż, czegoż oczekiwać od przybyszy z północy? Są naiwni i nieobliczalni jak dzieci przenoszące wirus szaleństwa.

Tazerwalt wysłuchała pospiesznej relacji Hariba z wydarzeń w obozie i natychmiast podjęła decyzję. Zwróciła się do towarzyszek:

— Zejdźcie ścieżką w stronę Ghat. Tam zabierze was Aksil. My musimy pozostać tutaj.

Menna z płaczem przytuliła się do Tazerwalt.

— Opiekowałam się tobą, gdy byłaś mała, karmiłam cię i myłam, uczyłam cię chodzić. A teraz mnie opuszczasz i nie wiem, kiedy cię zobaczę.

— Ciociu Menno, nigdy cię nie zapomnę. Zobaczymy się. Obiecuję. Idźcie już — ponaglała kobiety.

Okazało się, że aby zejść z gór, niekoniecznie trzeba wracać drogą do miejsca obozowiska. Inna ścieżka prowadziła wąskim wąwozem, właściwie gwałtownie spadającą w dół szczeliną, na drugą stronę zbocza, a stamtąd wychodziła na kamienistą pustynię, skąd można było dotrzeć do miasta.

— Aksil zostawił przy życiu jednego napastnika? — uściśliła Tazerwalt.

— Tak.

— I on widział, że idziesz w góry?

— No tak...

— Właśnie. Teraz będą szukać dwóch grup. Bo domyśla się, że w górach jest jeszcze jakiś oddział naszych żołnierzy. Będą szukać przede wszystkim ciebie, pojedynczego wojownika Kel Adżdżar. Nie byłabym specjalnie zaskoczona, gdyby szukali nas dwoje.

— Dlaczego zakładasz, że będą nas szukali? Przecież nikt nie wie o naszej misji.

— Tak sądzisz? Nie łudź się. Widziałeś, że wśród napastników byli ludzie z Europy? Oni mają pieniądze i sposoby, aby odkryć prawdę lub przynajmniej jej część. Zawsze znajdzie się ktoś, kto coś usłyszał, zobaczył, domyślił się. Nie ma takich tajemnic, które nie stałyby się kiedyś jawne.

— Weźmiemy którąś z terenówek zostawionych przez Aksila?

— Nie możemy ryzykować, wracając do obozu. Śmigłowce mogą powrócić lada moment. Ponadto w samochodzie Kasima na pewno jest zainstalowany nadajnik GPS. Chodźmy, przed nocą musimy przejść przez *tiniri*^[1] hen, aż na drugą stronę tamtego pasma. — Wskazała ręką łańcuch gór widniejący w oddali po drugiej stronie równiny. — Ruszamy.

Sprawdzili jeszcze zawartość swoich plecaków. Oprócz dokumentów Rona, jego laptopa i telefonu oraz latarek mieli tylko bukłak z wodą i trochę *takkamart* — suszonego koziego sera, trochę *aszdzer* — pasków kozłęciny, kilka *ahrum* — podpłomyków. Niewiele, jeśli mieli z tym dotrzeć przez pustynie i góry do oddalonego o półtora tysiąca kilometrów Trypolisu.

Zsunęli się bardziej, niżli zeszli ze skalnej ścieżki i bardzo szybkim krokiem przemierzali równinę, która oglądana z dolnej perspektywy, wydawała się znacznie rozleglejsza niż widziana z góry. Tazerwalt szła pierwsza, nadając tempo i omijając plamy soli pokrywające zdradliwe błotne pułapki. Ron początkowo nadażał bez wysiłku. Chciał nawet porozmawiać, ale Tazerwalt poradziła mu krótko:

— Nie mów nic, równo oddychaj, maszeruj.

Więc zamilkł. Po dwóch godzinach szybkiego marszu karabin na ramieniu i plecak ciążyły coraz bardziej. Chciał porzucić automat, ale dziewczyna przecząco pokręciła głową.

— Kel Adżdżar nie może nie mieć broni.

Pierwszy półgodzinny przystanek zrobili w porze południowej, gdy słońce zaczęło przesuwając się na zachodnią stronę nieba.

— Przez czas *tufat*^[2] zrobiliśmy tylko połowę drogi, ten łatwiejszy odcinek — powiedziała Tazerwalt. — Musimy

przyspieszyć, więc nie będziemy odpoczywali długo.

Po kolejnych kilku godzinach szybkiego marszu Ron czuł, że jeszcze trochę, a nogi i płuca odmówią mu posłuszeństwa. Podziwiał siłę i wytrwałość niezmordowanie podążającej naprzód dziewczyny, która wydawała się całkowicie odporna na zmęczenie. Zacisnął zęby i szedł dalej. Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy dotarli do podnóża góry, i wówczas usłyszeli dudnienie silnika helikoptera.

— Szybciej — ponaglała Tazerwalt, prawie na czworakach wdrapując się po skalnym osuwisku.

Ruchome kamienie i żwir nie dawały wystarczającego oparcia stopom. Ron pomagał sobie rękami, kalecząc palce i łamiąc paznokcie. Chusta zsunęła mu się z twarzy na szyję. Warkot śmigłowca był coraz bliżej. Na odsłoniętym stoku pozostawali zupełnie bezbronni i zapewne dobrze widoczni. Piekły go poranione dłonie i twarz, na której pot i kurz utworzyły szarą, drażniącą skórę maskę. Przed oczami zaczęły mu wirować czarne plamy. Wreszcie natrafili na jakieś zagłębienie, w które upadli, chcąc wtopić się w skały. Tazerwalt przykryła ich burnusem Rona, którego brązowo-szary kolor zlewał się z otoczeniem, czyniąc ich słabo widocznymi z wysokości kilkuset metrów. Ron szeroko otwartymi ustami chwycił powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba. Powietrze było suche, drżało z gorąca, paliło wewnątrz płuc i puchło w środku jak dojrzewający na słońcu owoc, który lada chwila rozpęknie się, rozbryzgując krwawy miąższ.

— Tazerwalt, wybacz, nie mam sił...

— Jesteś teraz Kel Adźdżar i dopóki słyszysz swój oddech, nie mów, że czegoś nie potrafisz lub nie możesz. Nie znasz granic własnych możliwości, bo one nie istnieją. Człowiek

jest takim stworzeniem, które może wszystko i, jeśli ma cel, nie poddaje się nigdy. Chodźmy. Szybciej, szybciej...

Szarzało, gdy dotarli do niewielkiej jaskini, jednej z tych, które służyły Kel Adżdżar i jako schronienie, i jako spiżarnie, w których ukrywano zapasy na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń, takich jak napady, grabieże czy lata suszy. W grocie znaleźli suche gałęzie krzewów, z których Tazerwalt roznieciła małe ognisko. W metalowym garnku zagotowała wodę z bukłaka, dosypując garść ziół ze swojego worka. Napar miał gorzki, piołunowaty smak, ale ożywcze działanie. Zmęczenie uchodziło z Rona powoli, z każdym łykiem gorącego napoju wracały mu siły. Zjedli trochę podpłomyków z serem, a znalezione w jaskini suszone daktyle smakowały jak wykwinny deser. Tazerwalt przygotowała posłanie na workach z ziarnem, plecaki posłużyły za poduszki, przykryli się abernuhem Rona. Dziewczyna wtuliła się w niego.

— Tak wygląda naprawdę życie na pustyni — powiedziała.
— Ciąga walka o przetrwanie.

— No, nie codziennie ucieka się przecież przed prześladowcami. — Objął Tazerwalt i dotknął ustami jej policzka, potem ust.

— To przyjemne mimo zmęczenia. Jestem twoją żoną, formalnie i z wyboru serca. Ale nie będziemy się dzisiaj kochać. Nie w tych warunkach. Swój pierwszy raz chciałabym przeżyć inaczej — powiedziała.

Zaskoczyła go — bezpośredniością, z jaką powiedziała mu i o swoim uczuciu, bo wydawało mu się, że ich małżeństwo jest z jej strony bardziej wymuszoną przez okoliczności transakcją, i o swoim dziewictwie. Sama mu przecież mówiła, a i Aksil wspominał niejednokrotnie, że dziewczyny Kel Adżdżar często przechodzą inicjację seksualną przed ślubem — podczas *ihallen*, nocnych spotkań z muzyką i

młodymi mężczyznami, a mężczyźni nie przywiązują większego znaczenia do dziewictwa poślubianych wybranek. Był raczej przekonany, że Tazerwalt i Aksil rozmyślnie opowiadali mu o *ahal*, aby sprawdzić jego reakcję i przekazać, że zwyczaje Kel Adźdżar różnią się od arabskich.

— Jak się tak długo uchowałaś? — zapytał, starając się nadać głosowi lekki, żartobliwy ton, bo poczuł się nieco niezręcznie.

— Czekałam na ciebie — odparła zupełnie poważnie.

Przytuleni, ogrzewając się ciepłem swoich ciał, bo noce w porze *tezawek*^[3] są chłodne, usnęli mocnym, głębokim snem.

Ron obudził się, gdy słońce zajrzało do groty przez niewielki otwór wejściowy. Tazerwalt zdążyła już zrobić śniadanie — gorącą papkę z sera, wody, kaszy z sorga i kruszonych daktyli.

— *Assidrah ak azzel ihossajan, ales*^[4] — powitała go z uśmiechem, dobrym i żartobliwym. — Zjedz, jest lekkie i pożywne. A czeka nas dzisiaj jeszcze trochę drogi.

Słowa powitania w języku Kel Adźdżar znał, ale jedno z nich było dla niego nowe.

— Co oznacza *ales*?

— *Ales* znaczy „mąż”. Zapomniałeś już, że kilka dni temu mnie poślubiłeś? Och, ci mężczyźni...

Rozumiał, że żartobliwym przekomarzaniem się Tazerwalt chce dodać mu otuchy — najwidoczniej ich sytuacja była gorsza niż fatalna. Poczuł się głupio — opóźniał marsz, wstawał zbyt późno, a przecież to on, *hales* Kel Adźdżar, mężczyzna z plemienia Kel Adźdżar, powinien bronić

kobiety, troszczyć się o nią i podtrzymywać ją na duchu. Kontynuował więc żartobliwy ton rozmowy:

— Nie jestem pewien, czy aby na pewno cię poślubiłem zgodnie ze wszystkimi zasadami i czy małżeństwo jest ważne. Kontrakt wprawdzie spisaliśmy, *ttemamt* zapłaciłem, ale nie było wesela, nie było aneslema, nie było obrzędów, no i nie było nocy poślubnej. A jak w tamahak powiedzieć „żona”?

— W takim razie musimy dopełnić tych ceremonii i obrzędów później, gdy będziemy bezpieczni. Może zgodnie z obyczajami twojego narodu? Żona? Żona to *hannes*.

— A więc: *Assidrah ak azzel ihossajan, hannes*.

— Nie, nie. Powinieneś powiedzieć: *Assidrah am azzel ihossajan*. Zmienia się przecież rodzaj osoby, do której mówisz. Do kobiet mówi się właśnie z *am*. U nas istnieje cały rytuał, jak należy rozmawiać z kobietami. Nawet jeśli mężczyzna chce dać do zrozumienia kobiecie, że ona mu się podoba i że chciałby się z nią zaprzyjaźnić, to nie wita jej po prostu: *Ahul*, jak skracamy arabskie *As-salam alejkum*, „pokój z tobą”, ale zadaje pytanie: *Iselan?*, czyli: „Co nowego? Jakie nowiny?”. Jeśli kobieta jest zainteresowana tą znajomością, odpowiada: *A eluan*, co oznacza: „Nie ma nowości”. I rozpoczyna się dyskretne wzajemne uwodzenie.

— Chyba nigdy nie nauczę się tamahak — westchnął.

— Na pewno znasz lepiej tamahak niż ja twój język. Będę musiała się go nauczyć... Jest trudny? Podobny do francuskiego?

Owszem, zastanawiał się nad ich życiem tam, w Europie, od dnia, gdy Agwelid powiedział, że muszą opuścić pustynię Tadrart. Myślał o tym jednak jak o czasie, który nastąpi w bliżej nieokreślonej przyszłości, a i mówiąc „Europa”, nie miał na myśli koniecznie swego kraju. Starał się sobie wyobrazić życie Tazerwalt na wielkim miejskim osiedlu,

wśród szarych bloków, czekającą na zatłoczony autobus, usiłującą wytłumaczyć cokolwiek sprzedawczyniom w osiedlowym sklepiku... To byłoby tak, jakby trzymać orła w pawlaczu.

— Nad czym tak dumasz? — zapytała cicho dziewczyna. — Martwisz się, czy odnajdę się w twoim kraju, w wielkim mieście?

Ona przecież potrafi czytać w myślach!

— Nie zapominaj, że przez prawie sześć lat żyłam w Tunisie. Przez kilka lat mieszkałam przy rodzinie dalekiego kuzyna, którego żona jest pół Francuzką. Myślę, że ojciec specjalnie mnie tam umieścił, nie tylko po to, abym szlifowała język, lecz także abym poznała trochę europejskich obyczajów. Bywałam też w Trypolisie — przypomniała.

— Nie, nie martwiłem się o to, jak odnajdziesz się w Europie. — Tak lekkie kłamstwo było w pełni usprawiedliwione. — Martwię się o to, jak tam dotrzemy.

— Dopóki słyszysz swój puls, możesz dokonać wszystkiego. A razem przepłyniemy każdy ocean piasku. My, Kel Adżdżar, mówimy, że ci, którzy nie wątpią, nigdy nie zgubią się na szlaku. Wiedziałam, że kiedyś opuszczę pustynię. Wszyscy to wiedzieli: mój ojciec, bracia, moja matka i babcia. I od lat przygotowywaliśmy się do tego dnia. Ronie, synu Jana, wszyscy podążamy drogami, które już ktoś wytyczył. Idziemy.

Tazerwalt starannie odłożyła rzeczy, z których korzystali, na ich poprzednie miejsca („Aby służyły wszystkim, którzy będą w potrzebie”), omiotła jaskinię spojrzeniem i zdecydowanym krokiem ruszyła ku wyjściu.

Droga wciąż wiodła żlebem w górę. Spoglądając na zawieszoną wysoko linię, gdzie bure skały odcinały się od błękitnego pola nieba, Ron szacował, że osiągnięcie szczytu

przełęczą zajmie im kilka godzin forsownego marszu. W takim tempie dotrą do Trypolisu na Nowy Rok! Po niespełna godzinie wspinaczki perć przełamała się i zaczęła opadać w dół, rozdzielając się na kilka drózek, tak jakby rozgałęziały się w tym miejscu spływające z góry rzeki. Tazerwalt skręciła w lewo, żleb stawał się coraz głębszy, wgryzał się w skałę wąską szczeliną, która niczym wijąca się żmija przebijała się przez górę. Nagle skalna ściana zakończyła się i oślepiło ich słońce.

Znaleźli się w niewielkiej, piaszczystej kotlinie, otoczonej zwartym murem gór. Wyglądało to tak, jakby jakaś nieziemska siła wyrwała z górskiego masywu gigantyczny lej w kształcie nieregularnego koła o średnicy dwóch, trzech kilometrów, a pustynia użyczyła piasku, aby zasypać wyrwę i utworzyć idealnie płaską równinę. Mniej więcej w środku dolinki rosła kępa palm — najwidoczniej w obniżeniu znajdowała się niewysychająca studnia lub małe jezioro — a tuż za drzewami wypiętrzały się skały przedziwnej formy. Przez tysiące lat ściekająca z gór woda oraz wiatry wdzierające się przez wąskie górskie szczeliny i smagające piaskiem miękkie minerały wyrzeźbiły w skalnych bryłach kształty przypominające resztki murów obronnych, wieże ze zniekształconymi sylwetkami ludzi i zwierząt, urwane w połowie mosty, gigantyczne grzyby i szkielety drzew.

— Bajkowo. Prawdziwy raj — wyrwało się Ronowi na widok palmowego gaju na tle surrealistycznych ruin, które wydały mu się mirażem.

— To Kasr al-Dzenun, Pałac Duchów — wyjaśniła prawie szeptem Tazerwalt. — Wszyscy Kel Adżdżar wiedzą o istnieniu Idinen, zakłętego miejsca, które jest siedzibą dżinów. Ale tylko nieliczni potrafiliby odnaleźć do niego drogę, a nikt nie odważy się zapuścić dobrowolnie między skały Kasr al-Dzenun. My musimy tam dojść.

— Na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie, dlaczego wszyscy Kel Adżdżar boją się tego miejsca, Pałacu Dżinów...

— Nie wszyscy. Moja babka i moja matka nie bały się. Odwiedzały to miejsce. Ale także one przestrzegały mnie, abym nie spała przy studni. Później zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że być może wydzielają się stamtąd jakieś szkodliwe opary czy coś takiego. Zresztą sam za chwilę sprawdzisz.

Ruszyli w stronę skalnego rumowiska przywodzącego na myśl ruiny gigantycznego zamku. Piasek pod nogami wydawał się inny od tego, który kształtował wydmy w pobliżu obozowiska — bardziej drobnoziarnisty, o jasnym, bladożółtym kolorze. Ron miał wrażenie, że stąpa po miękkim, białym mchu, który przykrywa bezdenną otchłań.

Podchodzili do studni, która była właściwie małą kałużą. Kilkanaście rosnących wokół palm zacieniało niewielkie, o powierzchni najwyżej czterech, pięciu metrów kwadratowych lustro wody. Sadowiska wydawała się mieć czarny kolor, lecz gdy Ron zaczerpnął dłonią wody, zrozumiał, że to ciemne, skaliste ściany i dno nadawały tę barwę — płyn był krystalicznie czysty. Woda była bardzo ciepła, o lekko żelazistym i siarczanym smaku. Harib z ulgą zdjął tagelmust i umył spoconą, zakurzoną twarz. Tazerwalt przysiadła obok na piasku, i zmoczywszy kraj szala w wodzie, przecierała nim oczy, potem usta i policzki.

— Może się wykąpiemy? — Już widział siebie zanurzającego się w skalnej wannie.

— Tutaj nie wolno się kąpać. Ta studnia nie ma dna i nie należy żartować z wiedzy przodków. Odpocznijmy chwilę. Nie możemy zbyt długo tu siedzieć, ale należy się nam chwila wytchnienia.

Ron położył się na wznak na piasku. Przymknął powieki, słuchając dziewczyny.

— Wśród Kel Adżdżar krążą opowieści o tych, którzy zabłądzili w górach i przypadkowo natrafili na to miejsce — opowiadała Tazerwalt. — Chronili się tutaj także podróżni, których zaskoczyła burza piaskowa. Z tamtej strony gór jest wąski wąwóz, którym może przejść wielbłąd. Gdy podróżnik znajdzie się w Idinen, jego los całkowicie zależy od duchów i od tego, jakim jest człowiekiem. Jeżeli jest zły, jeśli przeklinają go służący i niewolnicy, jeśli boją się go i nie szanują członkowie jego rodu, nie przetrwa nocy. Jego ciało porwą złe dżiny, a dusza pójdzie do *timsi-tan-elekhart*, do ognia ostatecznego, czyli jak mówią chrześcijanie, piekła. Jeśli natomiast nosi w sercu dobro i nie wyrządził nikomu krzywdy, znajdzie tu schronienie przed burzą, czystą źródlaną wodę i pożywne *teini*, daktyle z palm. Musi tylko pamiętać, aby nie zabierać stąd ze sobą niczego, czego nie przyniósł, nawet dzbana wody, nawet jednego daktyla. Słyszałam opowieść o tym, jak pewna karawana, chroniąc się przed burzą, trafiła na przejście w skałach i ukryła się w Idinen. Ludzie i zwierzęta przeczekali tutaj zawieruchę, napili się wody, zjedli trochę owoców z palm i wyruszyli w dalszą drogę. Odnaleźli przejście w skałach i wyszli na otwartą pustynię. Ale po całodniowej wędrówce pod wieczór ponownie znaleźli się przed wejściem do Idinen. Zrozumieli, że zabłądzili. Rozbili więc obóz pod skałami, a następnego dnia znów ruszyli w drogę, aby po całym dniu uciążliwego marszu wieczorem ponownie trafić w to samo miejsce. Najbardziej doświadczony z podróżnych kazał wszystkim opróżnić sakwy i kieszenie. Okazało się, że poganacz wielbłądów, mały jeszcze chłopiec, przez zapomnienie pozostawił sobie w kieszeni jeden daktyl zerwany z palmy Idinen. Dopiero gdy chłopiec odniósł owoc pod Pałac Duchów, karawana szczęśliwie odnalazła drogę i dotarła do celu. Ahinen, duchy doliny Idinen, nie lubią, gdy ludzie cokolwiek stąd wynoszą.

— Każda baśń zawiera jakieś racjonalne przesłanie — wyraził swoją opinię Ron. — Może daktyle zawierają jakieś szkodliwe substancje, które w większej ilości mogą okazać się trujące. A może to ostrzeżenie, aby nie zrywać zbyt wielu owoców. Inaczej doszczętnie ogołoco by palmy, nawet z liści.

— Palma daktylowa, czyli *tazzeit*, jak ją nazywamy, nie jest po prostu drzewem, a *ghaba* nie jest zwykłym lasem palmowym. *Tazzeit* rodzi smaczne, pożywne owoce, to wiesz. Ale wszystko, co daje palma, jest użyteczne. Z *takoli* i *saaf*, czyli liści i miąższu drzewa, wyrabia się włókna, *saaf* po wysuszeniu służy jako dobra izolacja cieplna. Ziarna z daktyli są pożywieniem zwierząt. *Lagmi*, sok z palmy, ratuje życie w czasie suszy. Z kwiatów robi się lek *kemmamin*, który leczy z gorączki. *Nuar*, czyli kwiaty palmy, dają też męską siłę i zwiększają seksualność kobiet. Wreszcie palma zapewnia cień, w którym można się schronić i uprawiać pożyteczne warzywa.

— Jeśli palma jest takim remedium na wszystko, to rozumiem, dlaczego to ciche, ustronne miejsce z wodą jest rajskim zakątkiem. Tylko żyć tutaj i nie umierać. Nie rozumiem za to, dlaczego Kel Adżdżar unikają go. Powinni raczej tutaj zamieszkać i bronić tego miejsca przed innymi. Naprawdę wierzysz, że to królestwo dżinów? — Rona dziwiło, że Tazerwałt podzielała wiarę swojego narodu w złe duchy doliny.

— Ron, znów przemawia przez ciebie Harib, przybysz z Zachodu, który nie wierzy w to, czego nie rozumie. Nie wszystko można wyjaśnić, używając tylko tych pojęć i słów, które znamy. Opowiem ci o pewnym zwyczaju, który istnieje nie tylko u Kel Adżdżar, ale także u innych Kel Imuhar. Gdy mężczyźni wyruszają w daleką podróż lub na wojnę i długo nie ma od nich żadnych wieści, kobiety niepokoją się o los swoich bliskich. Wówczas ta, która chce się dowiedzieć, co

dzieje się z jej mężem czy synem, wkłada najlepsze swoje szaty i idzie na starożytne groby. Widziałeś je, stare, pojedyncze mogiły, z dużymi nagrobkami z kamienia, inne niż te, którymi dzisiaj oznakowujemy miejsca pochówku naszych zmarłych. Kobiety kładą się przy nagrobkach i zasypiają. W nocy mieszkający w grobach *zabbar*, czyli duchy zmarłych, jawią się im we śnie w postaci gigantycznych stworów, które opowiadają o tym, co dzieje się z bliskimi kobiet. Możesz wierzyć lub nie, ale gdy kilku mężczyzn Kel Adżdżar poszło na wojnę w Czadzie i słuch o nich zaginął, *zabbar* powiedział ciotce Agwelida, że jej męża Maddura zabili wrogowie na żelaznych koniach szybkich jak wiatr i że nie ocalił go ptak, pod którego skrzydłami jej mąż szukał schronienia. Miałam wtedy cztery lata i wszystko pamiętam. Ciotka Agwelida poszła spać przy mogile, ponieważ nie chciała uwierzyć mojej babci, która powiedziała, że jej mąż nie pojawi się już w domu. Gdy później dwaj wojownicy powrócili z wojny, opowiedzieli, że Maddur zginął podczas bitwy o bazę lotniczą Maatan as-Sarah^[5]. Czadyjczycy na szybkich toyotach pikapach zaatakowali obóz wojsk libijskich, a Maddur zginął, gdy uciekając przed napastnikami, ukrył się pod samolotem stojącym na płycie lotniska.

— To mógł być po prostu zbieg okoliczności...

— Mógł być. Być może był. Ale tak się właśnie stało. Moja babcia powiedziała ciotce Agwelida: „Chociaż twój mąż nosi imię Maddur, co oznacza w naszym języku »żyjący«, nie ma go już w świecie żywych. Nie powróci do domu”.

— Czy twoja babcia także sypiała przy grobach świętych mężów?

— Nie. Nie musiała. Moja babcia, której imię noszę, miała tę wiedzę w sobie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Ron, w takich miejscach jak Tadrart Akakus góry i wydmy, ludzie i

duchy, wspomnienia i sny mieszkają obok siebie, ich światy się przenikają.

Milczeli przez chwilę, napawając się ciągnącym od wody chłodem i widokiem miejsca, w którym się znaleźli.

— Ruszajmy. — Tazerwalt dała znak do wymarszu.

Wzgórze, które wyrastało kilkadziesiąt metrów za sadzawką, z bliska nie było podobne do zamku. Rumowisko skał wznosiło się za to na znacznie większą wysokość, niż wydawało się z kilometrowej odległości, i było nie izolowanym, wyrastającym z doliny usypiskiem, lecz czymś w rodzaju skalnego cypla, łączącego się z masywem górskim po drugiej stronie równiny.

Tazerwalt pewnie weszła na ścieżkę prowadzącą w górę. Po kilkunastu metrach droga zaczęła się zagłębiać w skały. Tunel prowadził do długiej, ciemnej jaskini, stamtąd, wciąż pod ziemią, skręcili w kolejny korytarz. Gdzieś podziemne przejścia wychodziły krużgankami na zewnątrz i widzieli jasne niebo południa, w innych miejscach korytarze rozchodziły się w wielu kierunkach, prowadziły w dół, to znowu pięły się ku górze. Po kilkunastu minutach marszu na końcu podziemnego korytarza zamajaczyło słoneczne światło, ale Tazerwalt wybrała drogę w górę, w stronę kolejnego ciemnego otworu, który prowadził do wąskiej, niegłębokiej jaskini. Dziewczyna ruszyła w kierunku litej, zdawałoby się, skały. Tuż przed ścianą otwierało się jednak następne przejście do obszerniejszej pieczary, która — w miarę jak szli naprzód — stawała się coraz jaśniejsza, aż dotarli do miejsca, gdzie panował miły dla oka półmrok, pozwalający rozróżniać kształty i widzieć nawzajem swoje twarze. Z góry sączyło się skąpe, rozproszone światło.

— Tam — podniosła do góry wskazując rękę — było kiedyś wejście, ale mój dziadek zasypał je wielkimi głazami, wysadzając skałę w powietrze i tarasując dojście. Wcześniej

samochodem można było tu dojechać z obozowiska w niespełna trzy godziny, a jeśli pójść z osłami górną drogą, to nawet w dwie godziny. My szliśmy z innej strony i pieszo, więc zajęło nam to tak wiele czasu — wyjaśniła Tazerwalt. — Jednak dzięki temu przeszliśmy tak jakby pod ziemią na drugą stronę tego pasma gór bez konieczności wspinania się. Jest to bezpieczna droga, nikt oprócz Kel Adżdżar jej nie zna. Jeśli nawet komuś udałoby się dotrzeć tu górną drogą, to nie podjąłby ryzyka zapuszczania się w ten labirynt. Łatwo tu zabłądzić. A my doszliśmy. To tutaj — powiedziała.

— Co „tutaj”?

— Tutaj jest grób Rainera i Tamazzalt.

[1] *Tiniri* (tamahak) — pustynna równina.

[2] *Tufat* (tamahak) — czas od świtu do południa.

[3] *Tezawek* (tamahak) — początek pory deszczowej.

[4] *Assidrah ak azzel ihossajan, ales* (tamahak) — Dobrego dnia, mężu.

[5] Chodzi o tzw. wojnę toyot, wojnę między Libią a Czadem w latach 1986-1987, gdy interwencyjne wojska libijskie poniosły klęskę. Największe bitwy, przegrane przez Libijczyków, miały miejsce w Auzu i Maatan as-Sarrah.

XXXV

— Tamazzalt znalazła górską drogę do tego miejsca podczas swoich wędrówek po górach, gdy poszukiwała ziół i korzeni leczniczych traw. Zauważyła, że pozostawiona tutaj żywność nie psuje się, zioła szybko schną i nie tracą swoich właściwości. To zapewne dzięki przeciągom i suchemu powietrzu. Moja babcia, a jej córka, opowiadała mi, że Tamazzalt najbardziej lubiła przebywać właśnie w tym miejscu i że, jak przekazała, wszystko się tutaj zaczęło. Gdy byłam mała, nie bardzo to rozumiałam. Dzisiaj domyślam się, że być może tutaj Rainer i Tamazzalt wyznali sobie miłość, być może tutaj została poczęta moja babcia. Oczywiście więc, że tutaj prababka pochowała swego ukochanego i tutaj kazała złożyć swoje zwłoki. Chociaż to wbrew prawom islamu. Ale nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

— Często odwiedzaliście to miejsce?

— Spośród mężczyzn tylko Agwelid i Amastan, jako najstarszy w rodzie, znali drogę do tego miejsca. Ale kobiety z mojej rodziny bywały tu często. Byłam małą dziewczynką, gdy babcia przyprowadziła mnie tutaj po raz pierwszy.

Groby Rainera i Tamazzalt znajdowały się w miejscu, gdzie podłoże pieczary tworzyło naturalne, wysokie na wzrost małego dziecka wzniesienie. Płaskie, niezbyt grube grafitowe płyty przykrywały dwa zagłębienia, wyłobione czy to przez naturę, czy to ręką człowieka. Wspięli się na skalną półkę, przystając przy skalnych sarkofagach. Ron, bardziej z nawyku wyniesionego z dzieciństwa niż powodowany religijnością, przyklęknął i się przeżegnał.

— Czy chrześcijanie kreślą znak krzyża tylko w obliczu śmierci? — zapytała prawnuczka Tamazzalt. — Bo taki gest robiły tutaj moja babcia i matka. I tylko tutaj. Chociaż, jak wiesz, znak krzyża występuje u Kel Adżdżar dość często.

— Nie, znak krzyża jest symbolem używanym przy różnych modlitwach. Zatrzymamy się tutaj na noc? — Na myśl o noclegu przy grobach poczuł chłód na plecach.

— Nie, tylko zabierzemy stąd to, co jest nam niezbędne. To nie tylko miejsce spoczynku Tamazzalt i Rainera, to także nasz rodzinny skarbiec. Chodź ze mną.

Za załomem skały znajdowała się kryjówka podobna do tej, z której skarbów korzystali poprzedniej nocy. Garnki, kilkanaście worków złożonych w stos, dziesiątki dzbanów, pęki suszonych ziół. Głębiej, w niszy, którą trudno było zauważyć, gdyż osłonięta została kamieniami, stało kilka kolejnych glinianych dzbanów, wypełnionych drobnymi ziarnkami mniejszymi niż sorgo.

— To *isziben azzek* — wyjaśniła Tazerwalt — ziarna dzikich roślin, które są trujące. Chronią przed wilgocią i żadne stworzenie ich nie jada. — Pomóż mi.

Przenieśli trzy identyczne wazy wskazane przez Tazerwalt w miejsce, gdzie było nieco więcej światła. Ron dodatkowo przyświecał latarką. Dziewczyna wysypała na rozesłaną kozią skórę zawartość jednego dzbana, później drugiego. Z drugiego naczynia wraz z ciemnymi drobniutkimi ziarenkami wysunęło się duże metalowe pudełko po herbacie. Podobnej wielkości pudełko, tym razem po piernikach, było w trzecim dzbanie. Z jednego Tazerwalt wyjęła zielony libijski paszport, dwa inne paszporty — jeden zielony, drugi koloru czerwonego — przejrzała i po namyśle także włożyła do plecaka.

— Jak wiele pieniędzy będziemy potrzebowali w Europie? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. Aby dotrzeć do mego kraju? Myślę, że jakieś dwa, trzy tysiące dolarów w pełni wystarczą. Ale będziemy potrzebowali samochodu, aby dojechać do Trypolisu.

— Amastan mówił mi, że w Europie potrzeba dużo pieniędzy. Tam za wszystko trzeba płacić. Weźmy trochę więcej. — Tazerwalt opróżniła oba pudełka i ułożyła dwanaście grubych na trzy palce paczuszek z banknotami. — W każdej jest po dwadzieścia tysięcy. Mamy cztery opakowania z libijskimi dinarami, trzy z dolarami i pięć z euro. To powinno nam wystarczyć.

— Tazerwalt, to przecież fortuna... — Ron nigdy nie widział ćwierć miliona dolarów, a już zwłaszcza wyjmowanych z glinianego garnka.

— To tylko papier. I jeśli zabrać ludziom wiarę w te drukowane symbole i liczby, jest mniej wart niż naręcze suchych krzewów, bo nie można nawet rozpaścić z niego ogniska, żeby się ogrzać.

Tazerwalt rozdzieliła pieniądze na dwie identyczne kupki, po czym przejrzała dokładnie pozostałą zawartość obu pudełek. Na wewnętrznym wieku jednego z nich przyklejono karteczkę pokrytą symbolami graficznymi.

— To list pisany alfabetem tiffinah — wyjaśniła. — Amastan napisał: „Odwiedź zmarłych i zabierz wszystkie pieniądze”. I to wszystko. Nie ma żadnej innej informacji od niego...

Wydawała się rozczarowana i jakby zagubiona.

Wysypali na skórę zawartość wszystkich pozostałych dzbanów, ale oprócz ziaren, ziół i kawałków suszonego sera nie było w nich nic. Tylko w największej wazie znaleźli kilkanaście pomarańczowych opakowań z napisem „Semtex H” oraz długi zwój lontu. Tazerwalt rozdzieliła pieniądze równo na dwa plecaki.

— W ten sposób zwiększamy szanse, że przynajmniej część gotówki nam posłuży.

Dzbany ponownie napełnili ich wcześniejszą zawartością i odstawili na miejsce.

— Amastan mówił mi, a dokładniej: w mojej obecności, że tajemnicy strzegą w górach umarli.

Ron przypomniał sobie rozmowę w Trypolisie. „Czy miał na myśli te pieniądze? Kasim i jego banda szukali skarbu i wiedzieli, prawdopodobnie od Mahmuda, że trzeba szukać w górach, wśród umarłych. Ale nawet tyle pieniędzy to przecież nie jest skarb Kaddafiego. I nie ma tutaj żadnych dokumentów. Może zostały schowane w innym miejscu?”.

— W tej jaskini nie ma innych miejsc, to lita skała. Amastan nie mógł ukryć dokumentów i pieniędzy tak, abym ich nie znalazła... Chyba że... Chodź.

Pociągnęła go za sobą w stronę sarkofagów. Patrzyła uważnie na obie krzemienne płyty, które niczym wieka trumien przykrywały groby.

— Pomóż mi ją odsunąć. — Wskazała jedną z płyt. — Jest lekko przesunięta. Popelniamy świętokradztwo, ale sytuacja jest nadzwyczajna. Wierzę, że zmarli nam wybaczą.

Płyta nie była zbyt ciężka, ale wymagała wysiłku silnego mężczyzny. Nie bez trudu przesunęli taflę łupkowego krzemienia, odkrywając grób.

Ron spodziewał się zobaczyć tam czaszkę z wyszczerzonymi zębami, może trochę kości. Mikroklimat pieczary zmumifikował zwłoki, oczodoły były wprawdzie puste, ale szerniała od upływu czasu skóra okrywała twarz i widoczne spod gandury dłonie, a spod tagelmustu wystawała nawet kępka jasnych włosów.

— Patrz, tutaj jest torba. — Tazerwalt wyciągnęła spomiędzy nóg mumii małą skórzaną walizeczkę. Neser

na pewno nie pochodził z połowy minionego wieku, położono go do sarkofagu kilka miesięcy, najwyżej rok temu. Dziewczyna nacisnęła zamek, wieko odskoczyło. Środek był wypełniony fioletowymi banknotami o nominałach pięciuset euro. Tazerwalt wysypała je zniecierpliwiona na skałę. — Nic, nie ma żadnej wskazówki ani informacji.

Ron nie czuł żadnego podniecenia, patrząc na te banknoty. Ćwierć miliona, pięć czy dwadzieścia pięć milionów — co za różnica, i tak te sumy wydawały mu się czymś nierealnym, jakby uczestniczył w grze w monopol. Tyle tylko, że — rozumiał to teraz z całą wyrazistością — cena w grze była wyższa niż życie wszystkich Kel Adźdżar.

Patrzył na zmumifikowane zwłoki niemieckiego pilota. „Musiałeś, Rainerze, przylecieć aż tutaj, gdzieś spod Monachium czy Hamburga, aby znaleźć grób w tych górach! Możesz uważać, że ci się poszczęściło. Nie spaliłeś się w płonącym samolocie, nie utopiłeś w morzu, nie zginąłeś gdzieś w łagrze na Syberii. Spotkałeś miłość, chociaż miałeś większe szanse wcześniej spotkać śmierć. Czy kiedykolwiek twoja prawnuczka pozna, kim byłeś, nim stałeś się legendą Kel Adźdżar?”.

— Czy babcia przekazywała ci kiedyś jakieś dokumenty związane z Rainerem?

— Nie, żadnych. Po tym, jak podrzucono mu żmiję, aby go zabiła, Inaden spalili wszystkie jego rzeczy. Były nieczyste i przeklęte, bo właściciel sprowadził hańbę na ich ród.

— I dlatego Seggum...

— Spłacił dług swoich przodków.

— Tazerwalt, to wszystko było siedemdziesiąt lat temu.

— Czas nie zmywa krwi ani plam na honorze.

Zasuszone ciało Rainera zapadło się w sobie, a zetlała tkanina gandury odsłoniła srebrny łańcuszek na szyi. Może medalion, który zawiera jakieś wskazówki? Jak na łańcuszek komunijny ogniwa były zbyt grube. Najpewniej to krzyżyk, który założyła mu na szyję matka, żona lub siostra z intencją, aby powrócił żywy z wojny. Ron delikatnie ujął w ręce srebrne sploty. Oczywiście, jak mógł się nie domyślić! Nieśmiertelnik. Każdy niemiecki żołnierz nosił ze sobą *Erkennungsmarke*, nieśmiertelnik, który pozwalał zidentyfikować właściciela po śmierci. Nieśmiertelniki wykonywano ze stali, mosiądzu lub aluminium, miały zazwyczaj kształt koła, owalu albo prostokąta i składały się z dwóch identycznych połówek. Na każdej z nich grawerowano taki sam napis, który wskazywał numer jednostki, numer akt żołnierza, niekiedy jego nazwisko, czasami miasto. Niektórzy żołnierze sami ryli w metalu dodatkowe informacje, swoje dane lub imiona ukochanych kobiet. Po śmierci jedną z połówek nieśmiertelnika zabierał dowódca lub kolega, drugą wkładano poległemu do ust i zaciskano szczęki. Nawet po latach na podstawie danych zawartych w nieśmiertelniku można było zidentyfikować odnalezione szczątki.

Dwie połówki owalnej, metalowej blaszki. Najwidoczniej rozłamały się i właściciel nieśmiertelnika zawiesił obie osobno na łańcuszku. Lub zrobiono to już po jego śmierci. O ile łańcuszek był pokryty ciemnym nalotem, to aluminiowe płytki okazały się bardziej odporne na działanie tlenków siarki. Szczególnie ta, która nie dotykała ciała, była w bardzo dobrym stanie. W świetle latarki nawet bez pocierania można było dojrzeć wygrawerowane szeregi liter i cyfr. W pierwszym górnym rzędzie: DRSDN 12 KÜLZ R, niżej: SAF 0147, u dołu: A 621532. Ron nie zajmował się nigdy historią wojskowości, ale podejrzewał, że DRSDN oznaczało Drezno, 12 to pewnie numer kompanii lub batalionu, może eskadry. KÜLZ R — nazwisko i pierwsza

litera imienia. A więc Külz Rainer. Litera A i rząd ośmiu cyfr najpewniej były numerem ewidencyjnym lotnika w aktach jego jednostki. Ujął w rękę drugą, bardziej poczerniałą połówkę *Erkennungsmarke*. Tutaj odcyfrował jedynie dwa pierwsze rzędy znaków: FL.MGDBG i II/JG 27, reszta ginęła pod ciemnym nalotem tlenku. Nie było jednak wątpliwości, że obie połówki nie tworzą jednego nieśmiertelnika, były to dwie różne *Erkennungsmarke*. Może Rainer wziął połówkę nieśmiertelnika kolegi, z którym wykonywał ostatni lot i który zginął?

Wyobraził sobie tę scenę: uszkodzony samolot ląduje na pustyni, jeden pilot jest ranny, drugi zabity, ten ranny grzebie w piasku swego towarzysza, wkładając mu przedtem do ust połówkę nieśmiertelnika, sam bierze drugą... A po śmierci Tuaregowie pozostawiają mu na szyi obie połówki, gdyż dla nich był to po prostu talizman Rainera. Lecz w takim wypadku nieśmiertelnik Rainera byłby cały. Chyba że Rainer wyjaśnił Tamazzalt przed śmiercią, czym jest nieśmiertelnik, kobieta zatrzymała drugą część i przekazała swojej córce, a ta z kolei swojej. Czy nie jest to wyjaśnienie tajemnicy amuletu, który Tazerwalt nosi na szyi? Przecież kobiety tego rodzaju przekazywały sobie wraz z amuletem nakaz-wróżbę, aby odwieźć go do Europy i dopiero tam otworzyć srebrny pleciony koszynek!

— Tazerwalt, czy możemy otworzyć grobowiec twojej prababci? — zapytał.

Jeśli tam nie będzie drugiej połówki nieśmiertelnika, Tazerwalt nosi ją na szyi.

— Nie, to wykluczone — oświadczyła zdecydowanie dziewczyna. — Spadłaby na nas klątwa. Tamazzalt przykazała, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno zakłócać jej spokoju. Amastan na pewno nie ośmieliłby się otworzyć jej sarkofagu.

Jeśli Amastan pozostawił w mogile Rainera pieniądze dla Tazerwalt, a informację o nich ukrył w rodzinnym sejfie w dzbanie, to brakujące wskazówki muszą być albo w torbie z pieniędzmi, albo w grobowcu. Tazerwalt dokładnie obszukała neseser, nie znalazła jednak żadnych dodatkowych tropów ani informacji. Na pewno nie było ich też w sarkofagu, którego wnętrze przypominało płytką kamienną wannę. Ron ponownie wziął w ręce obie połówki nieśmiertelników i dopiero teraz zauważył, że łańcuszek na szyi mumii jest przerwany, najwidoczniej siarczana rdza przeżarła srebrne druciki. Chwilę namyślał się, po czym starannie owinął obie połówki *Erkennungsmarke* w kawałek materiału i włożył do obszernej kieszeni na lewej piersi swojej gandary.

— Myślisz, że te blaszki okażą się nam w czymś przydatne? — zapytała z nadzieją Tazerwalt.

— Na pewno jest na nich zapisana historia twego przodka. I mam dziwne przeczucie, że wszystko to jakoś jest ze sobą powiązane.

— Amastan nie otwierałby grobu Rainera, jeśli by nie zmusiły go okoliczności. Teraz rozumiem, po co przyjeżdżał do Tadrart w środku lata. Dobrze zrobiłeś, że zabrałeś medaliony Rainera. Skoro brat nie pozostawił mi informacji w tym miejscu, musimy iść do następnej jaskini.

— Pozostawimy wszystko w takim stanie, jak jest?

— Zamknijmy sarkofag Rainera. I jak najstaranniej zamaskujmy wejście. Czy potrafisz posługiwać się materiałami wybuchowymi? — zwróciła się do niego tak, jak gdyby umiejętności saperskie były tymi, których na zajęciach uniwersyteckich uczą wszystkich studentów filologii.

Z pamięci wypłynęły wspomnienia ze szkoleń wojskowych, w których byli zmuszeni uczestniczyć wszyscy studenci

Instytutu Lingwistycznego. Zajęcia teoretyczne trwały przez cały rok, a podczas wakacji wyjeżdżali na ćwiczenia, które mimo prób wprowadzania wojskowego drylu bardziej jednak przypominały letni obóz niż pobyt w koszarach. Słoneczny dzień, piaszczysty skraj sosnowego lasu, kostka trotylu, zapalnik, lont — i bezrefleksyjny śmiech młodych chłopców, gdy rzucona w powietrze niewielka kostka eksplodowała niebezpiecznie blisko, zatykając uszy i owiewając twarze gorącym podmuchem spalonego nitrotoluenu. Na te wspomnienia nałożyły się inne, przywołujące złożone wzory substancji chemicznych o nazwach: oktogen, heksogen, semtex, rodzaje dostępnych w sprzedaży komercyjnej lontów i zapalników, proporcje, w jakich należy mieszać kwas azotowy z saletrą amonową...

— Dobrze byłoby zasypać wejście do tej pieczary także z drugiej strony, z tej, którą weszliśmy — powiedziała Tazerwalt. — Zabraliśmy wszystko, co Amastan pozostawił dla mnie, i teraz już nikt nie powinien więcej niepokoić zmarłych. Ale skoro nie masz wprawy... A i hałas mógłby zwrócić uwagę tych, którzy nas ścigają. Jestem pewna, że nasi wrogowie, kimkolwiek są, nie ustaną w poszukiwaniach.

— A jeśli coś przeoczyliśmy? Jeśli zasypujemy wejście, Agwelid nie będzie mógł tu nigdy wejść.

— Tak. Masz rację. Ponadto ktoś mógłby usłyszeć wybuch, nie kuśmy losu. Gdy znajdziemy się w miejscu, skąd będę mogła bezpiecznie skontaktować się z Aksilem, poproszę go, aby ojciec wskazał mu drogę i pomógł zamknąć na zawsze ten sarkofag. Chodźmy. Broń zabierz, może jeszcze się przydać. A swój laptop zniszcz.

— Mam tam niektóre przydatne dane...

— Zapisz na pendrivie. Domyślam się, że Ama zainstalował w laptopie dodatkowe aplikacje lub nawet

dodał w osprzęcie coś, co pomaga zlokalizować właściciela. Skoro mógł to zrobić Amastan, mogą i inni.

— Nie wiedziałem, że twój brat był takim ekspertem w technice komputerowej.

Ron po raz kolejny poczuł się wykorzystany przez Amastana. „Nigdy mi nie ufał” — pomyślał. „Ciągle trzymał mnie na uwięzi. Byłem jak sterowana zdalnie marionetka”.

— Amastan studiował w Niemczech elektronikę — wyjaśniła Tazerwalt. I dodała, odpowiadając na pytanie, którego nie zadał: — Amastan ufał ci jak bratu. On umiał czytać ludzkie serca.

Szybko zgrał na pendrive'a całą, niewielką zresztą, zawartość komputera. Laptopa roztrzaskał o skałę, a wyjęty z niego twardy dysk wrzucił do wąskiej, głębokiej szczeliny.

Wrócili do rozwidlenia, gdzie w korytarzu prześwitywało wyjście z tunelu. I skalnym kominem, wspierając się nawzajem, wydostali się na powierzchnię góry. Stamtąd łagodnym stokiem godzinę schodzili na północną stronę. Ostatnią przeszkodę, jaką było dość stromo wznoszące się pasmo skał, pokonali podziemnym korytarzem. Po kilkudziesięciu metrach korytarz wychodził na pustynię kamienistą, gęsto usianą pojedynczymi skałami i głazami, które tworzyły coś na kształt kolejnego labiryntu. Dalej, w dole, otwierała się perspektywa na piaszczystą równinę.

— To było jedno z tymczasowych obozowisk Kel Adżdżar — wyjaśniła Tazerwalt. — Gdy wiały silne południowe wiatry, góry, pod którymi przeszliśmy, osłaniały nas przed piaskiem i burzami. Niedaleko jest też studnia, gdzie nawet latem można było dokopać się do wody. O tej porze roku woda powinna być na powierzchni ziemi. I w tej studni możesz się nawet wykąpać — zażartowała.

Woda rzeczywiście była, może nie źródlanej czystości, ale po przegotowaniu nadawała się, jak zapewniała Tazerwalt,

do picia. Najważniejsze, że można się było wreszcie umyć. Ron czuł, że pył zmieszany z potem okrył jego ciało twardniejącą skorupą, i już cieszył się myślą, jak zaczerpnie chłodnej wody i zmyje z siebie brud i dokuczliwe swędzenie. Jednak Tazerwalt zdążyła do starego obozowiska nie w poszukiwaniu odświeżenia i nie pozostawiła mu wiele czasu na ablucje. W jednej z płytkich jaskiń, właściwie w zagłębieniu góry, pod skalnym okapem stał przykryty brezentem i pyłem, a przez to prawie niewidoczny, dżip z dużym otwartym kufrem z tyłu. Stara, miejscami przerdzewiała toyota nie wzbudzała zaufania Rona.

— Jak długo tu stoi? Od końca wojny?

— Nie obawiaj się, Agwelid z Aksilem zadbali o wszystko. Widzisz, pozostawili nawet kanistry z wodą i paliwem. Nie sądzisz chyba, że wyprawiliby nas pieszo w podróż do Trypolisu. A nowy wóz nazbyt rzucałby się w oczy. Najtrudniejsze teraz przed nami. Mamy około sześciuset kilometrów do Sebhy i powinniśmy dojechać tam jeszcze dzisiaj.

Tazerwalt sama siadła za kierownicą toyoty.

— Znam te okolice na pamięć — wyjaśniła. — Ty, nie znając drózek i miejsc, którymi może przejechać samochód, łatwo mógłbyś uszkodzić podwozie.

Prowadziła rzeczywiście pewnie, na pamięć. Ze skalistej równiny wjechali stromo wznoszącą się ścieżką na przełęcz, a stamtąd krętym żlebem, wymijając rozrzucone głazy i manewrując między skałami, przez kilkanaście kilometrów zjeżdżali w dół, aby ponownie wdrapać się na pustynię piaszczystą. Tazerwalt zatrzymała półciężarówkę.

— Musimy tylko pokonać te wydmy. — Wskazała ręką wzgórze piasków przed nimi. — To kilka kilometrów, później

teren staje się skalisty, łatwy do jazdy. A dalej mamy już szosę.

Tazerwalt wyjęła telefon satelitarny i skontaktowała się z Agwelidem. Ron niewiele zrozumiał z rozmowy prowadzonej w języku tamahak.

— Ojciec jest teraz w Dżanat... — powiedziała.

— To przecież po drugiej stronie granicy, w Algierii...

— Kel Adżdżar mieszkają po obu stronach granicy. Nawet dzisiaj, gdy władze w Trypolisie i w Algierze zamknęły granice, Tuaregowie znają drogi i przejścia, którymi mogą bez przeszkód przejeżdżać, dokąd chcą.

Ron wspomniał karawanę przemytników, którzy zatrzymali się na odpoczynek w obozowisku Agwelida.

— To nasz kraj i rządy w Algierze i w Trypolisie uznają nasze prawa. Amenukal powiedział, że droga do Al-Ałinat jest pod naszą kontrolą. Dalej musimy sobie radzić sami. Ruszajmy.

— Aksil jest z ojcem? — zapytał.

— Nie, Aksil jest z Wodzem. Na północy, pod Syrta. Ojciec powiedział, aby teraz się z nim nie kontaktować... — Tazerwalt nie dokończyła myśli, ale nie wydawała się zaniepokojona o los brata. Najwidoczniej uznała jednak, że nie nadeszła jeszcze chwila, aby wtajemniczyć Rona w ostatnie szczegóły misji.

Jazda po wydmach wymaga specjalnych umiejętności i nawyków, aby poprzez przyspieszanie w miejscach, gdzie tego robić nie należy, nie zakopać się w piasku. Tazerwalt prowadziła samochód równo, z niewielką szybkością. Toyota wspinała się na grzbiety wydm, później zsuwała się w dół i trwało dobre dwadzieścia minut, nim wjechali na twarde podłoże i zwirową drogą dotarli do szosy.

— Teraz poprowadź ty. Wkrótce powinniśmy się natknąć na nasz posterunek.

Toyota, chociaż leciwa, bez problemu osiągała prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Wiara Rona w to, że dojadą nią do Trypolisu, znacznie wzrosła. Jechali zupełnie bezludną szosą, mając z prawej strony góry, a z lewej piaszczystą pustynię, za którą, gdzieś daleko, majaczyły niebieskie wzgórza. Kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ szosa skręcała gwałtownie w prawo, wijąc się między pojedynczymi skałami. W tym miejscu Kel Adżdżar rozbili swój pierwszy posterunek. Kilkunastu żołnierzy wyposażonych w trzy toyoty z ciężkimi karabinami maszynowymi na platformach strzegło drogi do serca kraju Kel Adżdżar. Dopiero gdy podjechał bliżej, Ron spostrzegł, że urządzenie na jednej z toyot było nie karabinem maszynowym, ale systemem przeciwlotniczym — dwie rury z uchwytem, przyrządami celowniczymi, a nawet siedzeniem dla operatora. „To chyba ten zestaw Igła, o którym rozmawiali z Aksilem” — domyślił się Ron.

Oddziałem dowodził Kassem, którego Ron znał jeszcze z Załiji. Objęli się. Kassem poinformował, że amenukal powróci dopiero jutro, ale kaid Aksil, wyjeżdżając, pozostawił dla nich adres w Sebsze, pod którym oczekują Rona i Tazerwalt.

— Nie powinniście zatrzymywać się w hotelach, a do Trypolisu jest zbyt daleko. Poza tym nie możecie jechać nocą, to zbyt niebezpieczne. Chciałem wysłać z wami samochód z ochroną, lecz Aksil powiedział, że będzie tylko niepotrzebnie przyciągał uwagę.

Ron zwrócił uwagę na system przeciwlotniczy.

— To coś nowego? — zapytał.

Kassem uśmiechnął się.

— Pewnie chcesz sfotografować? Aksil mi powiedział. Nawet bojownicy chętnie będą ci pozowali.

Ron zrobił kilka zdjęć komórką. Jeden z żołnierzy zajął miejsce operatora, kilku innych oparło się niedbale o maskę pojazdu z bronią — jak na wystawie. Dwaj trzymali w rękach ręczne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, jeden dzierżył karabin snajperski, pozostali szturmowe karabinki Kałasznikowa. Kassem zadbał, aby do zdjęcia ustawili się bojownicy z najciemniejszą karnacją. Jakość fotografii może nie była rewelacyjna, ale dało się rozpoznać wszystkie potrzebne szczegóły.

— Jeszcze to. — Kassem przekazał mu mały kawałek blaszki, na którym były wybite cyfry i litery cyrylicy. — To autentyczna metka z tych rakiet, nie wiem tylko, czy z samej rakiety czy z pudła. Ale powinno wystarczyć. I to — dowódca oddziału wręczył Ronowi dwa klucze. — Aksil mówił, że wiesz, do czego one są.

— Wiem. Dziękuję ci, Kassem. Niech Bóg ci błogosławi. — Objęli się, dotknęli kłującymi policzkami. Obaj wiedzieli, że widzą się po raz ostatni.

Ron zostawił na posterunku swój automat, był mu teraz niepotrzebny, a w razie natknięcia się na kontrolę sił rebelianckich — wręcz niebezpieczny.

— Niech Bóg ma was w swojej opiece. Bezpiecznej drogi.

Przez Al-Ałinat, niewielką, najwyżej kilkutysięczną miejscinę, przejechali, nie zatrzymując się, chociaż do Ubari czekało ich prawie trzysta kilometrów drogi przez pustynię. Ron tylko trochę zwolnił, aby rzucić okiem na mury starego fortu i omieść spojrzeniem rząd jednakowych żółtych domków z malowanymi na niebiesko drzwiami. Za miasteczkiem minęli rzadziutki las akacji i zagłębili się w rozległe, bezludne piaski. Na drodze praktycznie nie było żadnego ruchu, do Ubari napotkali jedynie kilka

rozklekotanych ciężarówek, a przed miastem wyprzedzili kolumnę cystern. Ubari było większą miejscowością, z parkiem, meczetami i bankami. Uzbrojeni mężczyźni stojący przy wjeździe do miasta leniwie odprowadzili wzrokiem obdartą toyotę, żaden z nich nawet nie ruszył się z miejsca. Nad posterunkiem powiewała trójkolorowa, czerwono-czarno-zielona flaga, a bojownicy byli ubrani w najróżniejsze mundury. Ubari było w rękach powstańców. Tazerwalt zdjęła z ramion swój granatowy szal i zawiązała go jako chidżab, przykrywając głowę i twarz.

Za miastem przyłączyli się do kolumny kilku pojazdów, które wprawdzie wlekły się zółwim tempem, ale spękana, nierówna droga z dziurami i tak nie pozwalała na rozwinięcie dużej szybkości, a Ron chciał uniknąć zatrzymywania i kontroli. Na przedmieścia Sebhy, stolicy prowincji, dotarli wraz ze zmierzchem. Ron bał się, że będą mieli trudności ze znalezieniem domu, gdzie ich oczekiwano. Tazerwalt, która była tutaj przed kilkoma laty, pamiętała, że trzeba skręcić z głównej szosy w lewo, gdy tylko po prawej stronie pokażą się koszary i meczet. Musieli jednak sporo nakręcić się wąskimi uliczkami przedmieść Sebhy, zanim natrafili na dom Ulili ag-Azdaja.

Samego Ulili nie zastali, ale jego żona, Nafisa, była uprzedzona o przyjeździe gości i witała ich z całą serdecznością i ciepłem. Czwórka małych dzieci, z których najstarsza dziewczynka mogła mieć najwyżej dziesięć lat, z ciekawością i zawstydzeniem wyglądała zza *dżellaby* matki. Cały dom ag-Azdaja składał się z trzech obszernych izb na parterze. Największa pełniła funkcję kuchni i salonu zarazem.

— Zaczęliśmy budować piętro, ale teraz nie wiadomo, jak będzie. Mąż na razie ma pracę. Chociaż mówią, że będą zwalniali...

Żona Ulili jednocześnie krzątała się po kuchni, przygotowując kolację, ogarniała dzieci i mówiła. Ron, poinstruowany wcześniej przez Tazerwalt, siedział nieruchomo i dumnie przy stole, nie zdejmując tagelmustu, chociaż miał wielką ochotę uwolnić się od zapylonej i przepoconej chusty.

— Dopiero tydzień temu ustały walki — opowiadała Nafisa. — Wojska rządowe uciekły i przyszli nowi. Na razie jest spokojnie, ale nie wiadomo, jak będzie. Teraz wszyscy Kel Tamahak boją się, że Ikaraden obejmą najważniejsze stanowiska i wyrzucą ludzi Kel Adżdżar. Ikaraden byli przeciwko rządowi Pułkownika. Są problemy z chlebem i generalnie z żywnością. Wszystko strasznie szybko drożeje...

Słowem *Ikaraden* Tuaregowie nazywali czarnoskóre narody Tebu, których plemiona zamieszkiwały południe Libii i północ Czadu. Podobnie jak Tuaregowie, marzyli oni o utworzeniu swego własnego państwa, któremu nadali nazwę Gorane; wymyślili nawet jego flagę. Mieli swój język, *kanembu*, i swoich śmiertelnych wrogów — Tuaregów, z którymi od wieków walczyli o panowanie nad północą Sahary. Kaddafi, prześladując jednych i drugich, zmusił ich do uległości i do zaprzestania wzajemnych waśni. Tuaregowie postawili na Kaddafiego, Tebu — na jego przeciwników. Teraz, gdy dni Kaddafiego były policzone, odwieczna wrogość odżyła, a Ikaraden urosli w siłę. To dlatego Agwelid zbroił swoje oddziały i unikał starć z milicjami arabskimi. A Aksil, kontynuując dzieło brata, plótł misterną intrygę polityczną, aby pozyskać wsparcie Amerykanów i Francuzów.

Żona Ulili podała kolację — znane mu dobrze podpłomyki, owczy ser, zieleninę. Dzieci w pokorze siedziały w drugim kącie pokoju, przyglądając się starszym.

— Ron — zwróciła się Tazerwalt do męża po francusku, nie chcąc, aby Nafisa ją zrozumiała — w skrzyni jest worek z daktylami, a w kabinie suszone kozie mięso. Przynieś, proszę, wszystko.

— Nafiso, Tazerwalt, przepraszam was na krótko. Mam ważną rozmowę. A tutaj zasięg jest słaby. Nie chcę też, aby dzieci słyszały, jeszcze coś powtórzą innym dzieciakom. — Ron znalazł wymówkę, a zarazem sposobność, aby zadzwonić do Trypolisu.

Wyszedł na zewnątrz. Noc była zaskakująco ciepła, chociaż o tej porze temperatura mogła spaść nawet do plus dziesięciu stopni. Ciemna uliczka, oświetlana tylko przez jarzące się nieśmiało okna sąsiednich domków, pozostawała cicha i pusta. Dla bezpieczeństwa wszedł do kabiny samochodu.

Wyszukując w telefonie numer komórki polskiego ambasadora w Trypolisie, z wdzięcznością wspomniął Jana, który pozostawił mu tak pożyteczne kontakty. „Dobrze, że przeniosłem te dane na kartę” — pomyślał. Dzięki temu zawsze miał przy sobie, na pendrivie nie większym niż paznokieć, wszystkie niezbędne numery i adresy.

Ambasador był zdziwiony telefonem od nieznanego mu dziennikarza, ale powołanie się na Jana wyjaśniło sytuację.

— Panie ambasadorze, znaleźliśmy się z żoną w bardzo kłopotliwej, nawet niebezpiecznej sytuacji. Jesteśmy daleko na południu Libii, w rejonie miasta Sebha, wokół trwają walki. Chcielibyśmy, musimy — poprawił się — wrócić jak najszybciej do kraju. Problem polega na tym, że żona utraciła dokumenty, w tym paszport libijski, a polski już dawno stracił ważność. Mamy akt urodzenia i jakieś dokumenty z ambasady.

— Pańska żona ma podwójne obywatelstwo? — zainteresował się ambasador.

— Tak. I moje pytanie, czy prośba, brzmi: w jaki sposób możemy otrzymać nowy paszport dla żony w konsulacie? Po drugie, ile może potrwać transkrypcja aktu małżeństwa? I jak możemy opuścić Libię?

— Wie pan, to są sprawy, którymi zajmuje się konsul. Przekażę panu telefon do niego, wyjaśni mu pan sytuację. A co do ewakuacji, to bardzo szczęśliwie dla państwa przygotowujemy bezpośredni lot do Warszawy z Trypolisu. Tylko musielibyście się państwo mocno pospieszyć, bo planujemy wylot za trzy dni, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. I może być problem z wyjazdem pańskiej małżonki jako obywatelki Libii. Gdy już dotrze pan do Trypolisu, proszę skontaktować się też ze mną.

Odczekawszy kilka minut, aż ambasador uprzedzi swego podwładnego, Ron zadzwonił do konsula. Ten był rzeczowy, chociaż jakby trochę niepewny. Wypytał o wszystkie możliwe dane, rozważał chwilę, w jakim urzędzie stanu cywilnego w Polsce mógł zostać umiejscowiony akt urodzenia Kamili Wiktorii Masud — wspólnie doszli do wniosku, że skoro jej matka nie ma miejsca zamieszkania w Polsce, a Kamila Wiktorii nigdy w Polsce nie mieszkała, to właściwym powinien być urząd Warszawa-Śródmieście. Umówili się, że aby zdążyć z wystawieniem paszportu, konsul, powołując się na nadzwyczajną sytuację w Libii, z wyprzedzeniem prześle zapytanie o potwierdzenie obywatelstwa polskiego do wojewody mazowieckiego, tak aby było ono gotowe do przekazania, gdy tylko wpłynie formalny wniosek.

Zaniepokojona długą nieobecnością męża, Tazerwalt wyszła na ulicę i wsiadła do auta.

— Powinieneś wrócić, nie wypada pozostawiać gospodyni tak długo samej przy stole. Mogłaby się obrazić, że jej jedzenie ci nie smakuje — zwróciła mu uwagę.

— Musiałem uprzedzić naszego ambasadora o przyjeździe. To ogromnie ważne. Jeszcze tylko jeden krótki telefon i wracam. Posiedź ze mną. Źle się czuję, gdy nie ma cię obok.

Ron zadzwonił do Jacka — adwokata i przyjaciela. Krótko wyjaśnił mu, o co chodzi i że będzie potrzebny telefon interwencyjny z Warszawy z odpowiednio wysokiego szczebla.

— Rostek, nie martw się. Pewne osoby na Szucha^[1] i w firmie na Miłobędzkiej^[2] są mi co nieco winne, więc coś wymyślę i kogoś znajdę. A u wojewody mam dobre znajomości.

Tazerwał przysłuchiwała się rozmowie.

— Rozmawiałeś po polsku? Dziwnie brzmi twój język, jakby ptak świergotał w szeleszczących suchych trawach. I co zrobimy?

— Udamy się do polskiej ambasady, aby otrzymać dokumenty dla ciebie.

— Sądysz, że się uda?

— Jeśli nie, będziemy musieli przejść przez zieloną granicę do Tunezji, a tam mam przyjaciół, którzy pomogą nam opuścić Afrykę. Ale wierzę, że się uda.

— I będę nazywała się teraz Kamila Wiktorina Masud? — w głosie Tazerwał brzmiały i ironia, i smutek.

— Na zawsze pozostaniesz „tą, która ma błękitne oczy”. A dokumenty możemy zmienić już w Polsce. Myślę, że nawet dobrze, abys wyjechała pod przybranym nazwiskiem, zatrzymamy wszystkie ślady.

Ron wziął na plecy wór z suszonymi daktylami, w rękę worek z suszoną koźlęcina i wrócili do domu ag-Azdaya. Nafisa podziękowała bez wylewności, jak dziękują ludzie

pustyni. Ale łzy, które ukradkiem otarła z oczu, mówiły więcej niż słowa.

Mały problem powstał z miejscem do spania. W domu ag-Azdajów nie było po prostu tylu łóżek, aby zapewnić gościom osobne posłanie. Nafisa uparła się, że pójdzie spać do łóżka z córką, a im ustąpiła swoje małżeńskie łoże. Ron chciał zaprotestować, powiedzieć, że mogą przecież przespać się na podłodze, ale spojrzenie Tazerwalt powstrzymało go. Nieprzyjęcie gestu byłoby obrazą dla gościnnej gospodyni.

Rankiem, po wczesnym śniadaniu, gdy dzieci jeszcze spały, Tazerwalt wręczyła Nafisie dwie grube paczki banknotów.

— Amenukal Agwelid polecił mi przekazać wam te pieniądze. I podziękować za wszystko.

Nafisa schyliła głowę w ukłonie. Agwelid był wodzem wszystkich Kel Adźdżar. A jego córka była nie tylko dobrą lekarką, ale także potężną czarownicą. Wszyscy Kel Tagelmust to wiedzą. Pieniądze, oczywiście, przydadzą się, zwłaszcza tyle! Więcej niż Ulili mógłby zarobić przez trzy lata. Lecz jeszcze ważniejszy był honor, jaki spłynął na dom Nafisy: gościła prawnuczkę wielkiej Tamazzalt, siedziała z nią przy jednym stole i oddała jej swoje łóżko. „Bóg jest dobry, on widzi nasze czyny i wie, co nosimy w swoim sercu” — powtarzała w myślach słowa imama, które wypowiedział w ostatni piątek. Nafisa czuła w sercu wdzięczność do Tazerwalt i jej męża, milczącego i wyniosłego, jak przystoi prawdziwemu mężczyźnie Kel Adźdżar. Była gotowa do poświęcenia za nich życia, jeśli będzie taka potrzeba. Tak, jak zrobił to jej brat, bez namysłu zasłaniając sobą Hariba, Obcego, który przyszedł odebrać od Inaden dług za krzywdę wyrządzoną przed laty jego poprzednikowi. Nafisa uważnie słuchała kazań imama i czytała Świętą Księgę, dlatego było dla niej oczywiste, że podobnie jak Allah zesłał na ziemię swego Wysłańca

Muhammada, tak duch Rainera sprowadził w góry Akakus mężczyznę o jasnych oczach.

Nafisa dała jeszcze Tazerwalt na drogę swoją najlepszą dzellabę. Córka Agwelida powinna ukrywać się przed spojrzzeniami obcych mężczyzn i bezpiecznie dotrzeć do miejsca, do którego prowadzi ją Bóg.

[1] W alei Jana Szucha w Warszawie mieści się polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

[2] Na ulicy Miłobędzkiej w Warszawie ma siedzibę polska Agencja Wywiadu.

XXXVI

Kolumna ciężarówek i cystern, w której znów ugrzęźli przy wyjeździe z Sebhy, powoli zmierzała na północ. Ron cierpliwie toczył się z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, przeliczając, że w takim tempie dojadą do Trypolisu nie wcześniej niż nad ranem. Puste miejsce na skrzyni toyoty zwróciło uwagę powstańców, na których posterunek natknęli się na skrzyżowaniu dróg pod Birak. Czterej milicjanci nie mieli jednak zamiaru legitymować podróżującej pary Tuaregów, a poprosili, aby ich podwieźć do Mizdy. Ronowi trudno było sobie wyobrazić, jak można przejechać sześćset kilometrów w otwartej skrzyni, ale z uprzejmym uśmiechem gestem zaprosił bojowników. Byli najlepszą przepustką, jaką można sobie wyobrazić. Z czwórką uzbrojonych milicjantów śmiało wyprzedził karawanę ciężarówek i nie zważając na znaki ograniczające prędkość do stu kilometrów na godzinę, wyciskał z leciwej toyoty wszystkie moce. Do Mizdy dojechali w pięć i pół godziny. Przed gmachem komendantury, dokąd Ron dowiózł swoich pasażerów, milicjanci zeskoczyli, podziękowali i życzyli szczęśliwej drogi. Do libijskiej stolicy pozostawało niespełna sto kilometrów, a droga wiodła przez bezpieczniejszy teren, od miesięcy pozostający pod kontrolą wojsk Tymczasowej Rady Narodowej, która obaliła rząd Kaddafiego.

W Trypolisie zatrzymali się przy ulicy Istiklal w małym mieszkaniu, do którego klucze dał im Aksil. Ron domyślał się, że to jedna z tajnych kwater komanda Amastana, która nie została jeszcze zdekonspirowana, gdyż w ferworze wojny nikt nie miał głowy, aby zajmować się szukaniem pozostałości po upadłym reżimie. Mieszkanie znajdowało

się w wielopiętrowym domu, co dawało nadzieję, że ich krótki pobyt w tym miejscu pozostanie niezauważony. Na wszelki wypadek mocno sfatygowany podróżą samochód pozostawili dwie przecznice dalej, licząc, że wkrótce zostanie on skradziony.

Ron natychmiast zadzwonił do polskiego konsula, a ponieważ ten nie odbierał, zdecydował się na telefon do ambasadora. Ambasador wydawał się bardzo zajęty, czemu Ron się nie dziwił i przeproszał za niepokojenie.

— Ależ nie ma sprawy. W związku z ewakuacją mam po prostu urwanie głowy. Dobrze, że pan zadzwonił. Jest was dwoje, prawda? Jesteście państwo w bezpiecznym miejscu? W jakim hotelu się zatrzymaliście? Konsul oddzwoni do pana tak szybko, jak będzie to możliwe. A jutro, gdy będzie pan w ambasadzie, koniecznie proszę wpaść do mnie.

Konsul faktycznie zadzwonił po kilkunastu minutach. Raz jeszcze przypomniał, jakie dokumenty mają przynieść, i umówił się z nimi na kolejny poranek.

Tazerwalt wyglądała na bardzo zmęczoną. Starła się jednak nie dać po sobie poznać, jak mocno przeżyła wydarzenia ostatnich dni. Ron zaproponował, aby wyszli na kolację, a przy okazji zrobili zakupy — coś na śniadanie i nowe ubrania. Dziewczyna ożywiła się.

— Tak, koniecznie musimy kupić jakąś odzież, nie mogę przecież pojawić się w twojej ambasadzie tak ubrana. I musimy znaleźć jakąś aptekę.

— Źle się czujesz?

— Wkrótce zacznie się, jak mówimy, *ba-n-amud*, czyli dosłownie „przerwa w modlitwie”, co oznacza menstruację.

— Kobiety w tym czasie się nie modlą?

— Są uważane za „nieczyste” i dlatego nie powinny chodzić do meczetu — wyjaśniała Tazerwalt.

— Nie uważasz, że to trochę dyskryminujące?

— Pewnie tak. Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nigdy nad tym. Przyjmowałam to jako coś już ustalonego, narzuconego. Lecz masz rację. Zresztą dochodzę do obrazoburczego — roześmiała się — wniosku, że wszystkie religie zostały wymyślone przez mężczyzn, łącznie z obrazem tylko męskich proroków, a wy, chrześcijanie, podobno nawet dzieciom przedstawiacie Boga jako dostojnego starca w chmurach.

Rościsław wspomniał książeczkę dla dzieci do nauki religii i do modlitw, przywiezioną do rodzinnej wioski najpewniej z sąsiedniej Polski. Faktycznie, na okładce był wizerunek brodatego Boga w promieniach słońca. „To Bozia” — mówiła matka.

Przez nikogo nie niepokojeni, wymknęli się na ulicę. Trypolis od ponad miesiąca znajdował się pod kontrolą islamistycznej milicji, którą dowodził Abdelhakim Belhadż, niegdyś terrorysta schwytany przez CIA w Malezji i wydany służbie bezpieczeństwa Kaddafiego, a dzisiaj popierany przez NATO bohater, opromieniony sławą zwycięskiej bitwy o libijską stolicę. Wygląd miasta praktycznie nie zmienił się od czasu ostatniego pobytu Rona. Zniknęły tylko portrety Pułkownika, a zamiast zielonych flag wisiały trójkolorowe, czerwono-czarno-zielone, z półksiężycem i gwiazdą. I kobiety były mniej widoczne, chociaż także wcześniej, za Kaddafiego, wieczorem kawiarnie były okupowane wyłącznie przez męską klientelę. Kobiety, w grupkach lub w towarzystwie mężczyzn, kupowały żywność w sklepach, które wznowiły już działalność. Miasto wracało do życia. Ron był zaskoczony bogatą ofertą butików odzieżowych. Obawiał się, że będą mieli kłopoty z zakupieniem czegoś stosownego, tymczasem w sklepikach pełno było importowanych, głównie z Włoch, ubrań, zarówno męskich, jak i damskich. Tazerwalt zdecydowała się na dwa ciemne,

prawie wieczorowe kostiumy — spodnium i ze spódnicą, oraz trzeci, w przyćmionym kolorze turkusowym. Do tego buty (zauważył, że unikała wysokich obcasów. „Może dlatego, żeby nie być wyższą ode mnie” — uśmiechnął się w duchu), torebki, jakieś bluzki i drobiazgi. Po krótkim namyśle dorzuciła džinsy, niebieską koszulę i marynarkę. Ron ograniczył się do nowych džinsów, sportowej marynarki, dwóch koszul i mokasynów.

— Jeszcze jakaś torba lub walizka — przypomniała Tazerwałt.

Ponieważ rozmawiali ze sobą po francusku, sprzedawcy brali ich oboje za Europejczyków. „*Faransa? Faransa?*” — dopytywali. „*Faransa*” — odpowiadali zgodnie oboje. „*Faransa friends*” — radośnie uśmiechali się właściciele butików, ale Ron miał odczucie, że ich uśmiechy były powodowane raczej przekazywanymi im banknotami niż przyjaźnią wobec Francji.

Okazało się, że trudniejszą sprawą niż zrobienie zakupów jest znalezienie czynnej restauracji, w której można by było zjeść kolację. Unikali zadymionych kawiarni, wypełnionych zgiełkiem i politycznymi dysputami. Przeszli spory kawałek, zanim wreszcie trafili na niewielką restauracyjkę, na której drzwiach wejściowych widniał szyld *Trattorija*, napisany alfabetem arabskim. Kuchnia rzeczywiście była włoska, a lasagne z drobiem i serem, które zamówili — wyśmienite.

— Jeszcze tylko brakuje lampki białego toskańskiego wina — westchnął Ron.

— Wiesz, że nigdy dotąd nie próbowałam wina? — Tazerwałt zauważyła jakby ze zdziwieniem. — W ogóle nigdy w życiu nie piłam żadnego alkoholu. Spróbuję w Europie, gdy już tam dotrzemy.

Nie powiedziała „jeśli tam dojedziemy” ani „jeśli Bóg pozwoli”, lecz z niezachwianym przekonaniem zdawała się

twierdzić: „dojedziemy tam, to tylko kwestia czasu”. Wiara dziewczyny udzieliła się Ronowi, rozpraszając jego niepewność.

Gdy zbierali się do wyjścia, właściciel restauracyjki zatrzymał ich.

— Wracacie państwo do hotelu? Sugeruję wziąć taksówkę. Mogę zawołać. Teraz nie jest zbyt bezpiecznie na ulicy. Czasy się zmieniły.

Poprosili taksówkarza, aby zawiózł ich do hotelu Corinthia. Tam wysiedli, odczekali kilka minut i wsiedli do następnej podjeżdżającej taksówki, która zawiozła ich do mieszkania na ulicy Istiklal.

Poszli spać zaraz po powrocie. Tazerwalt wtuliła się w niego niczym dziecko szukające ciepła i opieki i usnęła prawie natychmiast. Ron bał się poruszyć, aby nie zakłócić spokoju jej snu. Przez uchylone okno ciągnął chłód jesiennej nadmorskiej nocy. Rozmyślał o czekającej go jutro rozmowie, która miała zdecydować, czy uda się wywieźć żonę z Libii.

Spał chyba długo, bo gdy Tazerwalt go obudziła, nieśmiało przebijające się przez zachmurzone niebo słońce świeciło mu w oczy. W pierwszej chwili miał trudności z odnalezieniem się w czasie i miejscu — także dlatego, że widok córki amenukała odebrał mu na moment dar mowy. Tazerwalt w granatowej garsonce, ciemnych pantoflach, z zebranymi w koński ogon włosami przypominała raczej gwiazdę filmową grającą rolę młodej prezes firmy niż dziewczynę z ludu Kel Adżdżar. Roześmiała się, uszczęśliwiona jego reakcją.

— Mam nadzieję, że urzędnicy z twojej ambasady zareagują równie pozytywnie.

Podczas gdy jedli przygotowane przez nią śniadanie, Ron nie odrywał oczu od Tazerwalt, nie przestając się dziwić

nieoczekiwanej zmianie, a także urodzie dziewczyny.

— Przy tobie będę wyglądać jak ubogi krewny — zażartował. Ubrał się starannie, chwając samego siebie w myślach za wczorajszy pomysł zakupu nowych spodni i marynarki.

W taksówce raz jeszcze powtórzyli role.

— Rozmawiamy ze sobą tylko po francusku. Twój arabski ma być taki sobie. Po polsku mówi się „dzień dobry”, „dziękuję”, „panie ambasadorze”, „panie konsulu”. O matce pielęgniarce z Załiji pamiętasz. Mówię ja, a ty, jak to kobieta w kraju muzułmańskim, grzecznie potakujesz. Jeśli będą cię o coś pytać, to kiedy skinę głową lub zmrużę oczy, powiedz „tak”, a gdy skrzywię usta, powiedz „nie”. Będzie dobrze.

Ambasada Polski mieściła się niedaleko głównego meczetu, przy Ben Aszur. Wejścia strzegli uzbrojeni libijscy policjanci, a wewnątrz czuwali polscy żołnierze z bronią. Konsul był poinformowany o ich przyjeździe i po zgłoszeniu nazwisk wpuszczono ich na dziedziniec, po czym ochroniarz doprowadził parę gości aż do drzwi gabinetu. Po drodze widzieli ślady czy to przygotowań do ewakuacji, czy po niedawnej przeprowadzce — liczne skrzynie i pudła, pogrupowane meble, puste pokoje.

— Dzień dobry, panie konsulu. — Tazerwalt powitała mężczyznę, który podniósł się na ich widok, zupełnie przyzwoitym, a przynajmniej zrozumiałym polskim.

— Dzień dobry, pani Harib. Dzień dobry panu. — Konsul zaprosił ich gestem do zajęcia miejsca. Wyraźnie się śpieszył. I to było dobrym znakiem. — Mają państwo dokumenty, które prosiłem przygotować?

Ron wyciągnął z plecaka — z którym się nie rozstawał i w którym nosił zawsze wszystkie swoje najniezbędniejsze rzeczy — paszport, prawo jazdy i akt małżeństwa. Tazerwalt

spokojnym, prawie aktorskim ruchem wyjęła z torebki kopertę z przygotowanymi dokumentami. Konsul przyjrzał się najpierw paszportowi Rona, przekartkował go, potem rzucił okiem na prawo jazdy i zajął się czytaniem dokumentów Tazerwalt.

— A, ma pani dokumenty wydane przez nasz konsulat. Świetnie. Wygląda, że wszystko jest w porządku. Transkrypcji aktu małżeństwa nie możemy zrobić, bo o to pan, o ile pamiętam, pytał? Moglibyśmy dokonać jedynie urzędowego tłumaczenia z arabskiego na polski, ale nie mam dzisiaj mocy przerobowych. Wyślę szybko wnioski do wojewody o potwierdzenie obywatelstwa, są przygotowani, ponieważ uprzedziłem o ekstraordynaryjnej sytuacji. Ma pani obywatelstwo libijskie?

Ron niezauważalnie lekko skinął głową.

— Tak — powiedziała po polsku Tazerwalt.

— W porządku. Z naszego punktu widzenia jest pani obywatelem Rzeczypospolitej i nic innego nas nie obchodzi. Proponuję, aby przeszli państwo do ambasadora, który ma dla państwa kilkanaście minut, a ja przez ten czas sprawdzę wszystko.

— Konsul jest bardzo życzliwy i kompetentny — powiedziała półgłosem Tazerwalt w drodze do gabinetu ambasadora. Rozmowa z ambasadorem wyjawiała przyczyny życzliwości konsula.

Ambasador zrobił na nich świetne wrażenie. Bardzo wysoki, szczupły mężczyzna wyszedł im naprzeciw. Na pierwszy rzut oka wyglądał na nie więcej niż czterdzieści lat, ale zmarszczki wokół oczu i plamy na dłoniach zdradzały, że jest znacznie starszy.

— Borzecki — przedstawił się.

Zaprosił do stołu, zaproponował kawę. Mimo widocznego zmęczenia („Mamy małe urwanie głowy” — uśmiechnął się jakby przepraszająco) był gościnny i spokojny. Ron spotykał się wcześniej z polskimi dyplomatami i miał o nich różne opinie, ale ambasador w Trypolisie był klasą samą w sobie. Rozmawiali krótko, głównie o Libii i ze szczegółowości pytań o ich wrażenia na południu Ron wywnioskował, że rozmówca dogłębnie zna sytuację w kraju urzędowania i że nie jest to wiedza przyczynkarska, zdobyta w ciągu roku czy dwóch na użytek tej jednej misji, lecz solidna, budowana latami studiów i zdobywanego doświadczenia.

— Gdy zadzwonił pan po raz pierwszy, zaskoczyło mnie pana nazwisko, które w zestawieniu z imieniem wskazuje na korzenie raczej skandynawskie. Pracował pan dla norweskiej telewizji, nieprawdaż? Bo wcześniej chyba nie miałem okazji zetknąć się z panem, chociaż mam wielu przyjaciół w świecie dziennikarskim.

To brzmiało jak pytanie i Ron uznał za właściwe ustosunkowanie się do słów ambasadora. Przynajmniej do niektórych z nich.

— Pracuję od wielu lat dla różnych ekip dziennikarskich, głównie właśnie ze Skandynawii i Niemiec. A że nie jestem gwiazdą telewizyjną ze studia na Woronicza czy Wiertniczej, więc jestem, powiedzmy, mało rozpoznawalny.

— Pytam o pańską misję dziennikarską w Libii, ponieważ otrzymałem telefon z kraju... hm... z Miłobędzkiej, z usilną prośbą, abym pomógł panu we wszystkim, co będzie możliwe. Oczywiście pomożemy bez zbędnych pytań. Cieszę się, że mogę ułatwić państwu powrót do kraju. Jak długo jesteście państwo małżeństwem? — zainteresował się.

Tazerwalt, jak światowa dama, z powściągliwą swobodą założyła nogę na nogę. („Na Allaha, ależ ona ma obłędne nogi” — wciąż nie mógł nadziwić się Ron), dotykała ustami

filizanki z kawą i uśmiechała się, sprawiając przy tym wrażenie, że wszystko doskonale rozumie.

— Od dziesięciu dni — odparł Ron.

— To proszę przyjąć moje najserdeczniejsze gratulacje. Będziecie mieli szansę na miesiąc miodowy w miejscu spokojniejszym niż dzisiejsza Libia.

I to były jedyne słowa, które w jakiś sposób dotyczyły Tazerwalt. Ambasador doskonale maskował wrażenie, jakie musiała na nim wyrzeć jej uroda. Był rasowym dyplomatą — wiedział i rozumiał dużo więcej, niż mówił, w tym wypadku domyślał się nawet spraw, które nie istniały. A to, że nie zapytał o rodziców dziewczyny, o Załiję, co byłoby oczywiste, dowodziło, że rozmowa z „kolegą z Miłobędzkiej” o pomocy w opuszczeniu Libii nie była pierwszą tego rodzaju i ambasador wiedział, że nie zawsze i nie wszystkim należy zadawać szczegółowe pytania.

— Spotkamy się jutro na lotnisku. Nie spóźnijcie się — zażartował.

— Miałbym jeszcze jedną prośbę. Czy mógłbym uzyskać w konsulacie potwierdzone tłumaczenia dokumentów z arabskiego na polski? Obawiam się, że w kraju będzie to trudniejsze do zrobienia... — Ron postanowił możliwie szeroko wykorzystać życzliwość ambasadora, także pośpiech i napięcie chwili, aby uzyskać wszystkie dokumenty, jakie będą mu potrzebne.

Ambasador zawahał się.

— Może moment nie jest szczególnie sprzyjający. Miejscowy personel całkowicie pochłaniają przygotowania do ewakuacji...

— Rozumiem. Nie chciałbym nadużywać uczynności. A może sam napiszę tłumaczenia, a konsul je sprawdzi i poświadczy?

To było trochę bezczelne, ale nauczył się już asertywności.

— No dobrze. Rozumiem, że zna pan biegle arabski. — Ostatnie zdanie ambasador wypowiedział po arabsku.

— Mój arabski nie jest tak doskonały jak pański, ale zapewniam, że jest wystarczająco dobry do sporządzenia tłumaczenia kilkuzdaniowego dokumentu — odpowiedział Ron także po arabsku, konstatuując w myślach, że chociaż arabski ambasadora był więcej niż bardzo dobry, to jednak nie tak dobry jak wypowiedź Rona, która konstrukcją zdania, a zwłaszcza wymową nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do jego znajomości języka Koranu.

— Ooo... — Ambasador tylko lekko uniósł brew ze zdumienia.

Borzecki, który studiował arabski w jednym z najlepszych instytutów dyplomatycznych świata i dziesiątki lat spędził w krajach Zatoki Arabskiej, od razu zrozumiał, że stoi przed nim jeden z tych bezimiennych mistrzów w dziedzinie zbierania informacji, którzy mają zadziwiającą umiejętność roztopienia się w języku, kulturze i zwyczajach innych narodów. Dyplomacja i wywiad, nierozzerwalnie zrosnięte ze sobą, tworzą wzrok, słuch i dotyk każdego państwa; wystarczy je zniszczyć lub osłabić, a kraj przeistoczy się w glinianego Golema, ślepego i niezdolnego rozumieć otaczającą rzeczywistość. Ambasador wiedział, że jego obowiązkiem jest zadbać o to, aby jego rodak, teraz występujący pod nazwiskiem Hariba, bezpiecznie i możliwie najszybciej powrócił do Polski

— Dziękuję. Bardzo panu dziękuję. — Ron mocno ścisnął rękę ambasadora.

Popatrzyli sobie w oczy. Harib pojął, że dyplomata przypisuje mu rolę kogoś innego, niż był faktycznie. A płynna fraza w arabskim tylko ugruntowała przekonanie

o prawdziwości niedopowiedzianej legendy z ulicy Miłobędzkiej.

— Dziękuję, panie ambasadorze. — Tazerwał zrećnie zrobiła użytek ze znajomości trzech polskich słów.

— Cieszę się, że miałem okazję państwa poznać. — Ambasador schylił się i pocałował Tazerwał w rękę. Tuareżka speszyła się i zarumieniła. „Że też zapomniałem ją uprzedzić o polskich obyczajach” — zachnął się w duchu Ron.

Prośba „kolegi z Miłobędzkiej”, gdzie mieściła się siedziba polskiego wywiadu, oraz osobista sympatia ambasadora znacznie przyspieszyły prace z dokumentami.

— Za kilkadziesiąt minut skończymy — poinformował konsul. — Pan ambasador zgodził się, aby udostępnić panu komputer spoza sieci, aby mógł pan sporządzić tłumaczenie. Tłumaczki później sprawdzą. A, chodzi o akt małżeństwa. W pewnym sensie wyręczy nas pan. Ale urzędową opłatę jednak muszę od pana pobrać.

— To najmniejszy problem. — Ron już siedział przy komputerze, wstukując w przygotowany szablon słowa tłumaczenia aktu ślubu, który sam wypisał na blankiecie wziętym od notariusza z Ghat.

Podczas gdy rozmawiali z ambasadorem, a potem Ron wykonywał tłumaczenia, konsul i urzędnicy konsulatu przygotowali do podpisu wszystkie niezbędne formularze i wnioski. Ron z uśmiechem patrzył, jak Tazerwał pewną ręką stawia we wskazywanych jej rubrykach podpis: „Kamila Wiktoria Masud”.

— Zadzwoń do pana, gdy tylko dokumenty będą gotowe — rzekł na koniec konsul. — Mam nadzieję, że do jutra zdążymy. Wcześniej mielibyśmy problem, ponieważ za Kaddafiego musieliby państwo uzyskać wizę wyjazdową, ale nowe władze nie stawiają takich żądań.

Ron odebrał swój paszport i opuścili budynek ambasady.

Telefon z ambasady zadzwonił dopiero późnym wieczorem, kończąc wreszcie całodzienne nerwowe oczekiwanie i obawy Rona, że być może w dokumentach jest jakiś błąd lub, nie daj Bóg, wyszła na jaw jego próba skradzenia tożsamości Kamili Masud. Zakładał jednak, że proste — aby nie powiedzieć prostackie — fałszerstwo powinno pozostać niewykryte, bo trudno było się spodziewać, że ktoś tak bezczelnie zechce wykorzystać sytuację. Polski akt urodzenia był autentyczny i właściwie umiejscowiony, akta osobowe Kamili Masud, które znajdowały się w konsulacie, zawierały dokumentację transkrypcji aktu urodzenia oraz potwierdzenie wydania pierwszego paszportu. Wreszcie akt zawarcia związku małżeńskiego, wydany i podpisany przez *kataba al-ummamij* z Ghat, czyli lokalnego notariusza, dodatkowo uprawdopodobniał całą historię. Tazerwalt, w przeciwieństwie do Rona, była całkowicie spokojna, a jej opanowanie i pewność udzieliły się w końcu i jemu.

— Zamiast zamartwiać się takimi drobiazgami zastanówmy się nad naszymi pierwszymi krokami w Europie — powiedziała.

Ron miał już ułożony w głowie plan działania, ale doświadczenie nauczyło go, że każdy, najmniejszy nawet drobiazg, którego nie sposób przewidzieć, może przekreślić najdokładniej przemyślany program. Wystarczy, że konsul coś zacznie podejrzewać, prześle sygnał do kraju...

Wieczorny telefon uspokoił go. Konsul zasugerował, aby — z powodu natłoku zajęć i obowiązków związanych z ewakuacją obywateli polskich z Libii angażującą wszystkich pracowników ambasady — państwo Haribowie przybyli na lotnisko nie później niż o szesnastej. Paszport otrzymają właśnie tam.

— Proszę nas zrozumieć, padamy z nóg, to strasznie skomplikowana logistycznie operacja, a jesteśmy faktycznie w trójkę. Całe szczęście, że ambasador jest arabistą, zna kraj, ma doświadczenie i kontakty. Jeśliby teraz okazał się tutaj jakiś polityczny nominant, mielibyśmy totalną bryndzę.

Ranek następnego dnia powitał ich deszczem. Chcieli pozostać w pościeli dłużej, ale sygnał telefonu satelitarnego Tazerwalt skłonił ich do opuszczenia łóżka. Aksil zaalarmował ich SMS-em: „Zadzwoń pilnie. Z bezpiecznego miejsca”.

Zbierali się w milczeniu, pospiesznie, zaniepokojeni niespodziewanym alertem. Nie zjadłszy nawet śniadania, wyszli na spacer, chociaż chłód nie sprzyjał przechadzce. Mieli jednak zadzwonić z bezpiecznego miejsca, czyli z możliwie ludnego, uniemożliwiającego identyfikację. Najlepiej rozmawiać, idąc. Przed wyjściem dokładnie, miejsce za miejscem, mebel po meblu, jeszcze raz sprawdzili wszystkie szafki i łazienkę, czy aby nie zostawili żadnych śladów. Tylko przez sekundę zastanawiał się, co zrobić z dwoma laptopami HP i zewnętrznym dyskiem, które znalazł w szufladzie biurka, i zdecydowanym ruchem włożył wszystko do swojej torby, przykrywając paczki banknotów i swoją odzież. Pościel zwinął i przygotował pakunek, który miał zamiar wyrzucić do śmietnika po drodze, stał nawet odciski palców.

— To konieczne? — zapytała.

— Pewnie nie, ale na wszelki wypadek. Jest w moim kraju przysłowie: strzeżonego pan Bóg strzeże.

— Rozsądne — oceniła.

Z dwiema niewielkimi torbami podręcznymi szli zaułkami w stronę Grand Hotelu, którego szara prostopadłościenna bryła samotnie widniała na tle parku miejskiego. Tazerwalt

połączyła się z bratem i zamieniwszy kilka słów, przekazała telefon Ronowi.

— Ronie, bracie, słuchaj uważnie. To zapewne ostatni mój telefon do was. Nie zapomnijcie pozbyć się telefonu zaraz po rozmowie. Kaid nie żyje. Dopadli go.

— Zginął w walce? — Ron pamiętał słowa Amastana o tym, że największą hańbą dla wojowników pustyni jest dać się poniżyć przez wroga.

— Torturowali go, bili, kopali. Gdy go pojмали, ściągnęli mu spodnie i zgwałcili bagnetem. Początkowo się bronił, prosił, aby go oszczędzono. „Nie zabijajcie mnie, moje dzieci”, mówił. A później już miał tylko w oczach błaganie o śmierć.

— Jak go schwytano? Przecież musiał mieć wokół siebie swoich żołnierzy...

— Wszyscy go opuścili. Także ludzie z jego plemienia, Kaddafa, którzy zabrali ze sobą swoje kobiety i udając cywili, uciekli z Syrty. Z Pułkownikiem zostało nie więcej niż trzystu żołnierzy. Dowodził nimi Muatasim, syn Kaida. Dzielnica w zachodniej części Syrty, gdzie się bronili, została zrównana z ziemią przez artylerię i samoloty NATO. Pułkownik i Muatasim postanowili wycofać się z miasta. Ale konwój kilkudziesięciu dżipów był łatwy do namierzenia. Samoloty i drony nieustannie patrolowały niebo nad Syrtą. Kolumnę zbombardowały drony. Ci, którzy ocaleli, przebili się przez pierścień rebeliantów, ale natknęli się na brygadę z Misraty. Partyzanci z Misraty wezwali na pomoc francuskie samoloty. Mirage dokończyły dzieła zniszczenia. Do niewoli trafiło nie więcej niż siedemdziesięciu, osiemdziesięciu żołnierzy Kaddafiego, w większości zresztą rannych.

— Co się z nimi stało, dokąd ich przewieziono?

— Wszystkich jeńców, także rannych, zamordowano...

Ron słyszał, jak pozornie spokojny głos Aksila drga od oburzenia i wstydu.

— A Muatasim?

— Został ranny w walce. Partyzanci schwytali go, a potem podcięli mu gardło i rozpruli brzuch...

— Więc nie zdążyłeś się z nim rozmówić?

— Rozmawiałem z Muatasimem w wieczór poprzedzający ich wyjazd z Syrty. Przekazał mi potrzebną nam informację. Prześlę ci tylko numery, cyfry będą w odwrotnej kolejności. Zapamiętaj.

— A ty sam? Jak udało ci się uciec?

— Byłem z Kaidem tylko do chwili jego wyjazdu z Syrty. Później zostałem w mieście i dołączyłem do jednego z moich oddziałów, który był po stronie partyzantów. Tak umówiłem się z Muatasimem. Ktoś musi przechować te dane i wypełnić misję. Ale nie miałem szansy na to, aby kogokolwiek uratować. Muszę kończyć. SMS z numerem będzie ostatnim sygnałem ode mnie z tego telefonu. Chroń Tazerwalt. I...

— Tak?

— Ron, wśród rebeliantów widziałem doradców z Europy. Oni nie tylko polowali na Kaddafiego. Oni szukają pieniędzy i dokumentów. I zabijają wszystkich, którzy mogą coś na ten temat wiedzieć. Rozumiesz?

— Rozumiem, bracie. Dziękuję ci za ostrzeżenie. A Kaid?

— Prosił o śmierć. Była dla niego wybawieniem. Byłem jego żołnierzem.

Aksil rozłączył się. Przed oczami Rona znów stanęła scena po bitwie na pustyni Akakus. Aksil strzelił w głowę dwóm rannym jeńcom. Co wówczas powiedział? Że nawet wróg zasługuje na szacunek.

Gdy nadszedł SMS od Aksila, Ron dobrze zapamiętał ciąg cyfr i zniszczył aparat. Wyjął najpierw kartę i wyrzucił do studzienki, kilkadziesiąt metrów dalej wymontował baterię, która wylądowała na kupie śmieci. Samą komórkę rozgniół obcasem i kopnięciem rozrzucił fragmenty.

Tazerwał patrzyła pytająco.

— Co powiedział brat?

— Że Kaddafi nie żyje i że musimy liczyć tylko na siebie.

Doszli do Grand Hotelu. Niespiesznie zjedli tam późne śniadanie, które było bardziej wczesnym lunchem. Rozmawiając, wytracali czas i uważnie obserwowali okolice hotelu. Nic nie wskazywało, aby ktoś ich śledził. Tuż po południu, gdy na postoiu przed budynkiem zgromadziło się kilka taksówek i kolejni goście opuszczali hotel, Ron i Tazerwał wyszli z restauracji. Mało prawdopodobne, aby taksówkarz ich zapamiętał. O tej porze wielu gości udaje się z hotelu na lotnisko. Kierowca najwyraźniej był przemęczony i niewyspany, gdyż ziewał, pocierał zaczerwienione oczy i poza grzecznościowym, zwykłym tutaj pytaniem „skąd jesteście?” nie pytał o nic, w pełni usatysfakcjonowany odpowiedzią, że są z Francji i wracają do Paryża.

Dojazd na lotnisko okazał się trudniejszy, niż przypuszczali. Już dobre dwa kilometry przed budynkiem dworca lotniczego droga się zatkała — dziesiątki aut stały w korku.

— Wszyscy chcą uciec z Libii — rzucił kierowca.

Przećcisnęli się jeszcze pół kilometra, aż Ron, zniecierpliwiony i trochę zdenerwowany, wręczył taksówkarzowi kilka banknotów, których wartość znacznie przekraczała umówioną cenę, zamierzając przejść pozostały odcinek pieszo. Czy to wysokość napiwku, czy też zdeterminowanie pasażerów zmobilizowało kierowcę do

większej kreatywności. Naciskając równie energicznie pedały gazu i hamulca co klakson, przebił się on na odległość kilkuset metrów od wejścia do budynku, aż tłum tak zgęstniał, że dalsze poruszanie się samochodem stało się zupełnie niemożliwe.

— Bardzo dziękujemy — powiedzieli wspólnie, zbierając swoje niewielkie bagaże.

— Niech was Bóg błogosławi, jedźcie bezpiecznie. — Taksówkarz patrzył z żalem, że oto młoda Libijka opuszcza ojczyznę, i z zazdrością, że sam nie może tego zrobić.

Przebijali się w siąpiącym deszczu przez tłum ludzi, desperacko szturmujących wejście kontrolowane przez policjantów. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku, starcy i dzieci, z walizkami, torbami i tobołkami, naciskali na szpaler mundurowych. Ron zdenerwowany rozglądał się wokół. Ich ubrania nabrały już wilgoci, było dokuczliwie zimno i Ron bał się, że Tazerwalt ubrana tylko w lekki wełniany żakiet zaziębi się. Jak w tym rozgardiaszu znaleźć pracowników polskiej ambasady? Za metalowym ogrodzeniem tłum trochę się przerzedził, bo podzielił na kilka mniejszych grup, które kłębiły się wokół samochodów z numerami dyplomatycznymi. Siedzieli w nich urzędnicy ambasad krajów, które ewakuując obywateli swoich państw, wystawiły te swoiste posterunki, co tylko pogłębiało chaos, gdyż dezorientowani ludzie miotali się od jednego wozu do drugiego w poszukiwaniu przedstawicielstw swoich krajów. W środku jednej z grup rozdawano jakieś karteczki. W innej młody, zadowolony z siebie dyplomata przez uchylone okno jaguara z irytacją pokrzykiwał po angielsku na otaczające go skupisko uciekinierów. Wreszcie Ron dostrzegł białoczerwoną flagę, którą niczym znakiem rozpoznawczym ktoś zmyślny przykrył maskę samochodu terenowego Kia Mohave. Ambasador z parasolem w ręce tłumaczył coś kobiecie w jaskraworóżowej marynarce. Stojący obok

konsul i tłumaczka ambasady rozmawiali ze śniadolicym mężczyzną trzymającym na rękach dziecko. Ambasador i konsul ucieszyli się na widok Rona i Tazerwalt.

— Obawialiśmy się, że nie zdołają państwo przebić się na lotnisko. — Konsul wyciągnął z teczki paszport i dokumenty. — Mogłem wystawić jedynie paszport tymczasowy, ale jest ważny przez rok, więc bez problemów wyrobi pani nowy w Polsce.

Tazerwalt uśmiechnęła się, jakby naprawdę zrozumiała słowa dyplomaty.

— Dziękuję, panie konsulu.

Radziła sobie doskonale, posługując się trzema znanymi jej słowami po polsku.

— O, proszę tu podpisać.

Ponieważ konsul podał jej długopis, córka amenukała domyśliła się, że ma złożyć jeszcze jeden podpis.

Ambasador zauważył, że Tazerwalt z trudem utrzymuje narzędzie pisarskie w zgrabiąłych z zimna dłoniach.

— Proszę wsiąść chociaż na chwilę do auta, ogrzeje się pani. — Otworzył przed nią przednie drzwi. — Panu nie proponuję, bo udostępniłem już tylny przedział Brytyjczykom. — Ambasador znów się uśmiechnął. Lekki, jakby nieśmiały uśmiech był nieodłącznie przyklejony do ust dyplomaty. Ron dopiero teraz zauważył, że na tylnym siedzeniu auta polskiej ambasady siedzi para ludzi w bardzo podeszłym wieku z malutką dziewczynką.

— Nie przeszkodzi panu, jeśli zapalę? — zapytał Ron ambasadora i sięgnął po papierosy. Po tym, jak Tazerwalt wzięła do ręki bordowy paszport z orłem („Ach, jakaż z niej doskonała aktorka! Ten niedbały ruch ręki i prawie nonszalanckie wrzucenie dokumentu do torebki, jak gdyby nie chodziło o ratowanie życia, lecz o bilet do kina na już

oglądany film lub o kolejny, dziesiąty czy jedenasty paszport unijnego państwa, jaki posiada! I ten świetnie udawany brak zainteresowania wpisem, fotografią, samym wyglądem paszportu!”), nieludzkie wielomiesięczne napięcie zaczęło uchodzić z niego niczym powietrze z paskudnie przebitej opony samochodu.

— Ależ nie, bardzo proszę. Sam niekiedy też lubię zapalić, ale dzisiaj odsapnę chwilę, gdy już będziecie w powietrzu. Wysyłamy do Warszawy także grupę obywateli Wielkiej Brytanii i Rumunii. Brytyjczyków okazało się zbyt wielu, aby pomieścili się w samolocie British Airways, a Rumuni na razie nie przysłali własnego transportu.

Ambasador i konsul oddalili się na kilkanaście minut. Ron ujął rękę Tazerwalt, której odpoczynek we wnętrzu ogrzewanego samochodu wyraźnie dobrze zrobił. Miała już ciepłą dłoń, mocno odwzajemniła uścisk.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni waszemu ambasadorowi — odezwała się po angielsku staruszka z tylnego siedzenia. — Zrobił dla nas tak dużo i okazał więcej serdeczności niż nasze brytyjskie służby.

— Chyba polubię twój kraj — powiedziała półgłosem Tazerwalt.

Ambasador i konsul wrócili z liczną, kilkudziesięcioosobową grupą, w większości — jak Ron zorientował się z gwaru rozmów — Anglików, ale byli też Rumuni, Duńczycy, a nawet Australijczyk, ściskający w rękę swój paszport z gwiazdą, strusiem i kangurem na okładce. Nowo przybyli dołączyli do mniejszej grupki polskich kobiet z dziećmi i odprowadzani osobiście przez ambasadora udali się w stronę samolotu, idąc wzdłuż szpaleru naciskających zewsząd i zazdroszczących im, bardziej pechowych uciekinierów.

Odprawa była szybka i sprawna. Ron pożegnał się z konsulem, podziękował mu, objął tłumaczkę. Stali przed trapek niewielkiego embraera z polskim godłem i napisem „Rzeczpospolita Polska” na kadłubie. Tazerwalt trzymała go pod ramię mocno, wręcz kurczowo. Zwrócił się w stronę ambasadora, popatrzyli sobie przez chwilę w oczy, mocno uścisnęli dłonie.

— Bardzo panu dziękuję, ambasadorze. Powodzenia. — Ron był głęboko wdzięczny dyplomacie za pomoc i życzliwość, ale nie wychodził z roli twardziela i człowieka z tajemnicami.

— Życzę państwu bezpiecznej podróży i powodzenia w kraju. Może się jeszcze spotkamy.

— To mało prawdopodobne, chociaż oczywiście niewykluczone. Bóg jest wielki. — Ron starał się utrzymać konwencję zagadek i tajemnic.

Ambasador nie odpowiedział. A Tazerwalt zaskoczyła i jego, i Rona. Ujęła ambasadora za ramiona i ucałowała trzykrotnie w policzek.

— Dziękuję. Na pewno się jeszcze spotkamy. Proszę tylko bardzo w to wierzyć — powiedziała po arabsku i pociągnęła za rękę Rona na schodki trapek.

XXXVII

Uciekinierzy sprawnie zajmowali miejsca, w czym pomagali im stewardzi i dwaj urzędnicy z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy oferowali także pomoc w wyjaśnianiu różnych kwestii konsularnych. Gdy Ron wraz z Tazerwalt usiedli w końcowych rzędach samolotu, poprosił jednego z urzędników MSZ o użyczenie telefonu komórkowego.

— Dosłownie dwie minuty — zapewnił. — Muszę poinformować rodzinę o naszym powrocie.

— Ależ proszę bardzo. — Urzędnik podał mu aparat BlackBerry. — Służbowy, więc nie obciąży pan mojego konta — uśmiechnął się.

Pamiętając o słowach Tazerwalt, że skoro Amastan mógł go namierzyć, to może to zrobić każdy, Ron wolał nie posługiwać się swoim telefonem. Jeszcze przed lotniskiem wyjął i wyrzucił kartę SIM i odłączył baterię. Zadzwoił do Jacka, modląc się w duchu, aby jego przyjaciel miał włączoną komórkę. Wiedział, że adwokat zawsze wyłącza telefon i pozostawia go w samochodzie, gdy idzie na spotkanie z klientami. Przypuszczał, że tak samo postępuje, kiedy spotyka się z którąś ze swoich kochanek. A mecenas Jacek cieszył się sławą zarówno twardego, skutecznego adwokata, jak i niepoprawnego kobieciarza. Tym razem Ron miał szczęście, Jacek odebrał telefon natychmiast.

— Stary, jak się cieszę, że dajesz znak życia. Co się z tobą dzieje? Znów gdzieś przepadłeś. Już się bałam, że cię jacyś mudzahedini porwali. — Ton głosu Jacka raczej przeczył temu, że spędzał on bezsenne noce, niepokojąc się o

Rościsława. Radość z kontaktu z przyjacielem była jednak autentyczna, a beztroski, niedbały ton, charakterystyczny dla mecenasa, nastrajał optymistycznie.

— Jesteśmy w samolocie rządowym, który ewakuuje nas z Trypolisu...

— Ach tak, słyszałem w radiu. Wprawdzie o tobie z imienia i nazwiska nie mówiono, ale media są pełne informacji o tym, jak nasz dzielny rząd ratuje biednych Polaków, którym grozi śmierć pod nożami islamistów. Możesz oczekiwać tłumu dziennikarzy na lotnisku. Powiedziałeś „jesteśmy”? Czegoś nie wiem?

— Wracamy do kraju z żoną...

— Och, to już sensacja. Wyjeżdżałeś z Polski jako singiel, nic nie wspominałeś o ożenku w żadnym z e-maili. Porwałeś jakąś hurysę z haremu Kaddafiego?

— Prawie. Jacku, posłuchaj, mam prośbę. Nie wiem, o której wylądujemy w Warszawie. Chciałbym cię poprosić, abyś zarezerwował na jakiś tydzień pokój, a jeszcze lepiej apartament w dużym hotelu w centrum.

— Nie ma sprawy. Ale dlaczego nie pojedziesz do siebie do domu? Czeka tam druga żona? To rozumiem. Nabrałeś arabskich zwyczajów, widzę. — Jacek utrzymywał żartobliwy ton rozmowy.

— Właśnie coś takiego. Dlatego zabukuj apartament na swoje nazwisko, ale na dwie osoby. Okej?

— Aż tak się wzbogaciłeś? To będzie cię kosztowało fortunę! Bo wiesz, pomyślałem o Intercontinentalu. Wielki hotel, chyba z pięćset pokoi, można się tam zgubić. Za to bardzo drogi. Mój przyjaciel jest tam menadżerem, ale ze wszystkimi moimi ulgami i przywilejami pewnie ze dwieście euro za dobę trzeba będzie wybulić. Rozumiem, że chcesz

zaszpanować przed swoją Szeherezadą. Ach, my Polacy! Z gołą dupą, ale z lampką szampana na każde śniadanie.

— Dobrze. Wszystko ci później wyjaśnię. Możesz przyjechać na lotnisko lub kogoś wysłać? Od razu z kluczami do pokoju? Przy rezerwacji zaznacz, że opłata gotówką.

— Rostek, zadziwiasz mnie. Aż już się boję, co też tam u tych Arabów narozrabiałeś. Zapieprzyłeś im szyb naftowy? Przyjadę osobiście, chociaż to będzie pewnie dobrze po północy. Bo, rozumiem, nie trzeba o twoim i twojej księżniczki przyjeździe dawać ogłoszenia do prasy?

— Jesteś przebiegłym adwokatem. I dobrym przyjacielem. Do zobaczenia.

Ron oddał telefon urzędnikowi z ministerstwa.

— Bardzo panu dziękuję. Moja komórka — pokazał swój niemy aparat — po prostu zamokła. A nie mamy gdzie się w Warszawie zatrzymać.

— Niepotrzebnie się pan martwi. Przygotowaliśmy dla wszystkich transport do miasta i jeden nocleg w hotelu. Ale oczywiście możemy was dowieźć w każde inne miejsce w obrębie stolicy — udzielił mu pierwszych informacji konsul z ministerstwa.

Trzeba przyznać, że rząd się postarał. Gdy już wystartowali, podano im gorący posiłek, a kapitan poinformował o szczegółach lotu i o tym, że w celu sprawniejszej obsługi wylądują na lotnisku wojskowym i że wszyscy, którzy nie mieszkają w Warszawie, mogą skorzystać z zarezerwowanego dla nich noclegu. Siedzący przed nimi dwaj Anglicy z uznaniem mówili o polskich władzach. Starsza Brytyjka z małą dziewczynką uśmiechnęła się z wdzięcznością do urzędnika, który dopytywał, w czym może być im pomocny. Tazerwalt nie

wypuszczając dłoń Rona ze swoich rąk. Odczytał ten gest jako lęk przed nieznanym.

— Nie obawiaj się, będzie dobrze. Wszystko, co najgorsze, już za nami — starał się uspokoić żonę.

— Nie boję się. Martwię się o ojca i brata. A także o to, co czeka nas w Europie, jak sobie poradzimy z wypełnieniem prośby Amastana. Bo najtrudniejsze jeszcze przed nami.

— *Ajuni zarkaa, uchibbuka*^[1] — odpowiedział wyznaniem.

— Wiem. Także cię kocham.

W samolocie wygaszono światła. Silnikiembraera szumiały równo i pewnie. Dziewczyna oparła głowę na jego ramieniu, przymknęła oczy. Wydawało się, że śpi lub przynajmniej stara się usnąć. Ron odchylił fotel nieco do tyłu, również przymknął powieki. Ale mimo zmęczenia nie próbował nawet zasnąć. Odtwarzał w pamięci film z wydarzeniami ostatnich dni, tygodni i miesięcy, zatrzymywał klatka po klatce sceny i słowa, które mogły mieć znaczenie, i równoległe z analizą tego, co się przydarzyło, układał różne scenariusze przyszłości, tak jakby pisał powieść, w której każde zakończenie jest jeszcze możliwe.

[1] *Ajuni zarkaa, uchibbuka* (arab.) — Moje niebieskie oczy, kocham cię.

XXXVIII

Wylądowali na Okęciu nie „dobrze po północy”, lecz tuż nad ranem. Najpierw pod skrzydłami samolotu pojawiła się łuna światła wielkiego miasta, która przeobraziła się w świetlistą pajęczynę ulic z jaśniejącymi girlandami placów i gmachów, a na koniec stała się dobrze znanym planem stolicy. Gdy wylądowali, zegarki wskazywały drugą trzydzieści dwa czasu miejscowego. Sprawność polskich służb nadal przyjemnie zaskakiwała. Trap podano natychmiast, autokar czekał przy samym zejściu z samolotu. Odprawa graniczna była wnikliwa, ale szybka, ponieważ na pokładzie znajdowali się prawie wyłącznie obywatele Unii Europejskiej i sprawdzanie ich paszportów przebiegało błyskawicznie. Ron i Tazerwalt czekali cierpliwie na końcu niedługiej kolejki. Oficer Straży Granicznej tylko rzucił okiem na świeżo wydany paszport Kamili Wiktorii Masud i oddał dokument: „Witamy w kraju, pani Masud”. Dłużej przyglądał się paszportowi Rona. „Ron Harib?” — jakby upewniał się lub przekonywał sobie, że ktoś z takim imieniem i nazwiskiem może być obywatelem Polski. „Tak” — skinął głową Rościsław. Teraz, gdy Tazerwalt przekroczyła granicę, Ron może czekać nawet godzinę na przyzwalający gest strażnika. Funkcjonariusz uśmiechnął się, przesunął dokument w jego stronę. „Dziękuję” — Ron skinął głową i pchnął metalową barierkę. Był w domu.

Ron i Tazerwalt mieli tylko dwie podręczne torby, nie musieli więc czekać, aż podjedzie meleks z bagażami. Potrzebny był im za to urząd celny. Trafili na młodego, przejętego swoją rolą celnika, specjalnie wydelegowanego do odprawy uchodźców.

— Żona chciała zgłosić do odprawy walutę, którą wwozi do Polski — uśmiechnął się przyjaźnie do mężczyzny w szarym mundurze.

— Powinni państwo wypełnić specjalną deklarację przywozową. — Celnik wskazał właściwy druczek.

— A jeśli chcemy otrzymać potwierdzenie?

— To w dwóch egzemplarzach — wyjaśnił celnik. — Zapraszam do biura.

Tazerwalt własnoręcznie wypełniała deklarację, korzystając z cichych podpowiedzi Rona. Wyglądało to, jakby robiła wszystko w pełni samodzielnie. Później przepisała dane do drugiego egzemplarza.

Celnik przyjrzał się wypełnionemu oświadczeniu. Wpisane liczby zrobiły na nim wrażenie.

— Sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące euro i dwadzieścia tysięcy dinarów libijskich? — uściślił. — To pokaźna kwota.

— To dorobek całego życia całej, licznej zresztą, rodziny mojej małżonki. — Ron nadał swemu głosowi ton poważny i smutny zarazem.

— Rozumiem, rozumiem... Czy mogliby państwo pokazać te pieniądze?

— Ależ oczywiście. — Ron skinął głową do Tazerwalt. Ta zaczęła wyjmować ze swojej torby, jedno po drugim, opakowania euro i dinarów. Ułożyła je przed celnikiem. Stos dziesięciu pakietów wcale nie wyglądał na milion złotych.

— Będzie je pan przeliczał? — zapytał Rościsław pozbawionym emocji głosem, gdy urzędnik wziął do ręki jedną z paczuszek.

— Nie, nie. — Celnik jakby zawstydził się swojej urzędniczej gorliwości, niezdolnej do uszanowania cierpień

młodej kobiety, którą wojna wygnała z kraju i kazała uciekać tylko z małą torbą. Ale przewertował pobieżnie wachlarz banknotów, przekonując się, że zawiera jednakowe nominały po pięćset euro. Przyłożył pieczęć na obu deklaracjach, jedną zatrzymał, drugą oddał.

— Powodzenia w nowym życiu — pożegnał ich.

— Bardzo dziękujemy. Szczęście będzie nam bardzo potrzebne — odpowiedział Ron.

Gdy wyszli z biura celnika, Rościsław uśmiechnął się raz jeszcze do urzędnika z MSZ, który starał się zapanować nad sytuacją, podeszli do pary starszych Anglików z małą dziewczynką śpiącą w ramionach dziadka, pożegnali ich i życzyli szczęśliwego powrotu do domu. Trzymając w jednej ręce torbę z pieniędzmi, w drugiej dłoń Tazerwalt, Ron wyszedł w ciemną noc, chłodną przed porankiem. Znał lotnisko wojskowe, kilkakrotnie witał tutaj i żegnał oficjalne delegacje, dorabiając jako tłumacz. Bez wahania ruszył alejką w stronę ulicy Żwirki i Wigury. Wczesny poranek przed świtem był pełen świeżości i wilgoci. Wdychał powietrze, jakby szukał w nim zapomnianych zapachów. Czuł się niczym rozbitek, który dopłynął do ojczystej wyspy, bogatszy o doświadczenie i wiedzę, obce wszystkim wokół. Tazerwalt kroczyła w skupieniu, mocno trzymając go za rękę. Był dla niej przewodnikiem i jedynym oparciem w zupełnie obcym kraju, który prawdopodobnie stanie się jedynie przystankiem na drodze do celu.

Jacek czekał na nich, rozmawiając z wartownikiem strzegącym wejścia na lotnisko wojskowe. Ubrany w wełnianą czapkę, skrywającą jego długie włosy, które często nosił związane w kucyk, ciepłą tanią kurtkę i rozczłapane adidas, w niczym nie przypominał wziętego, drogiego adwokata. Jego ubiór kłócił się z luksusowym autem BMW X5, ale ostatecznie mógł być po prostu kierowcą jakiegoś ważnego bogatego dupka.

— *Tazerwalt, hua sadiki, Jacek*^[1]. Jacku, to jest Tazerwalt, moja żona — przedstawił ich sobie Ron, z satysfakcją odnotowując zdumienie, którego mecenas nawet nie próbował ukryć.

— Witam panią w Polsce, pani Tazerwalt.

— Dzień dobry panu. — Nawet niedoskonały polski w wykonaniu Tazerwalt tylko pogłębił stan oszołomienia pana mecenasa.

Ron objął się na powitanie z przyjacielem.

— No, no — pokręcił głową Jacek — tym razem, kolego, wykreśliłeś mi numer nie z tej ziemi — szepnął, po czym z przesadną galanterią otworzył przed żoną kolegi drzwi samochodu i wrzucił ich torby do bagażnika.

— Tazerwalt, jeśli pozwolisz, usiądę z przodu. Łatwiej mi się będzie rozmawiało z Jackiem — powiedział po francusku Ron, zajmując miejsce obok kierowcy.

— Twoja żona nie mówi po polsku? Oj, przepraszam za głupią wścibskość. Wciąż jestem w szoku. — Auto ostrożnie zjechało z krawężnika i skręciwszy w stronę centrum, ruszyło pustą o tej porze ulicą Żwirki i Wigury.

— Jacku, dziękuję ci za pomoc. Jestem ci bardzo, bardzo wdzięczny. Postaram się wyjaśnić sytuację, ale to trochę skomplikowane. Tazerwalt jest Libijką, która ucieka od wojny. Po polsku nie mówi. Ale możesz porozumieć się z nią po francusku.

— Mój francuski jest na poziomie „bonżur”, „mersi”, „żetem”. Ale jest twoją żoną? Prawdziwą?

— Jak najbardziej. Legalnie i za zgodą rodziny poślubioną. I nie jest to fikcyjne małżeństwo.

— Nawet jeśli tak było, nic mi do tego. Nie zajmuję się nielegalną imigracją. Ale widzę, jak na ciebie patrzy. I

zazdroścę, bo na mnie tak nie patrzy żadna z moich kobiet. Zarezerwowałem wam apartament w Intercontinentalu, jak prosiłeś. Proszę, oto klucze. — Wyciągnął w stronę Rona dwa plastikowe kartoniki. — Powiesz mi, dlaczego nie chcesz jechać do swojego mieszkania?

— To dłuższa historia. Nie mogę, nie powinienem się tam pokazywać. Myślę, że jestem śledzony.

— Ty?! W Warszawie?! W co żeś się wpakował? Dobrze, pomówimy o tym jutro. Rozumiem, że lepiej będzie, jeśli w ogóle nie będziesz się kontaktować ze znajomymi?

— Dokładnie tak.

— Potrzebujesz pieniędzy? Jakiejś pomocy? Dokumentów?
— Niedbałość wyparowała z tonu Jacka; powrócił do zawodowego, rzeczowego stawiania spraw.

— Jeśli się wyrobisz, przygotuj na jutro na twoje nazwisko pełnomocnictwa do nabywania i zbywania nieruchomości. Podjedziemy do jakiegoś notariusza.

— Mam takiego, z którym najczęściej pracuję...

— Myślę też o zmianie nazwiska...

— Znowu?

— Chcę wrócić do poprzedniego. Jako argument można podać ustanie przyczyn, dla których byłem zmuszony wcześniej zmienić nazwisko.

— Nadeptałeś śladów i chcesz się od nich w ten sposób odciąć? — Nie bez przyczyny Jacek brał tak wysokie honoraria; potrafił od razu dostrzec istotę problemu i jego źródło.

— Mniej więcej...

— To może wymyślimy zupełnie nowe nazwisko? Wówczas jako przyczynę podamy, że siepacze Łukaszenki znów trafili

na twój trop i że poprzednia zmiana nie pomogła.

— Zastanowię się. Potrzebuję też samochodu. Mógłbyś coś dla mnie wypożyczyć na jutro? — zapytał, bo skręcili już w ulicę Emilii Plater i podjeżdżali pod szklaną bryłę hotelu.

— Auto skombinuję. Chciałem ci dać swoje volvo, ale rzeczywiście w tej sytuacji lepiej wziąć samochód z *rent a car*. Zadzwoń.

— Na hotelowy numer, bo nie mam telefonu, to znaczy mam aparat, ale bez karty SIM.

Jacek zatrzymał się nie bezpośrednio przed wejściem, a w pewnej odległości. Pogrzebał w portfelu, wyjął dwie karty.

— Oto dwie nowe karty SIM, prepaid. Mam je zawsze pod ręką, to przydatne w mojej robocie. — Puścił oko. — Nie będę wchodził z wami, aby nie afiszować się z naszą znajomością. Macie apartament na trzydziestym ósmym piętrze, na lewo od wind. Numer na kluczach. Teraz nic w Warszawie się nie dzieje, jest poza sezonem, więc utargowałem znakomitą cenę ośmiuset złotych za noc. Ale to też zwariowana kasa. Jesteś pewien?

— Jacku, dziękuję. Dla mnie to także niewyobrażalnie duże pieniądze. Ale tym razem nie ja płacę, ale żona. Uciekamy. Jeszcze raz dziękuję. Do jutra.

— Dziękuję panu. Do widzenia. — Tazerwalt znów zrobiła użytek z większości znanych jej polskich słów. Powiedziała to jednak takim tonem i z taką pewnością, że Jacek odjechał wcale nieprzekonany o tym, że jego przyjaciel, który coraz bardziej go zaskakiwał, wychodząc z obrazu trochę zagubionego, trochę naiwnego, romantycznego Polaka ze Wschodu, nie okłamał go, zapewniając, że Arabka ni w ząb nie zna polskiego.

[1] *Tazerwalt, hua sadiki, Jacek* (arab.) — Tazerwalt, to jest mój przyjaciel Jacek.

XXXIX

Spali głębokim snem, bez sennych zwidów i budzenia się w nocy, aż do wczesnego przedpołudnia. Z trudem zdążyli na śniadanie do restauracji Downtown na pierwszym piętrze. Nie było już gości, tylko samotny mężczyzna w rogu sali zasiedział się nad filiżanką kawy i otwartym laptopem. Mimo późnej godziny obsługa nie protestowała, z uśmiechem przyjmując zamówienie na omlet i kawę.

— Pierwsze wrażenia z twego kraju są jak najbardziej pozytywne — powiedziała Tazerwalt, ogarniając wzrokiem ciepły wystrój sali oświetlanej przez łagodne, rozproszone światło lamp w kształcie dwóch wielkich kręgów przedzielonych kratkowanym wzorem. Siedli przy oknie, skąd rozciągał się widok na bryłę Pałacu Kultury i pofałdowany, hełmiasty dach centrum handlowego Złote Tarasy. — Rozmawiamy po francusku?

— Raczej tak, inaczej wezmą nas za islamskich terrorystów — uśmiechnął się Ron, wiedząc, jak często jego rodacy oceniają obcokrajowców na podstawie ubrań i języka.

— Twój przyjaciel, Jacek... W pełni mu ufasz?

— Dotychczas nie dał najmniejszego powodu, aby mu nie ufać. Ale czy w pełni? Nie wiem... Jest wprawdzie adwokatem, i to dobrym adwokatem, ale mógłby gdzieś coś niepotrzebnie powiedzieć. Więc będziemy mówili mu tylko to, co jest niezbędne. Jednak musimy na kimś się oprzeć.

Tazerwalt zamyśliła się.

— Rzeczywiście, jesteśmy prawie w punkcie wyjścia. Będę chyba musiała skontaktować się z Aksilem.

— Uważam, że powinniśmy wciąż unikać kontaktu telefonicznego. Lepiej korzystajmy z poczty elektronicznej.

— Jest trudniejsza do namierzenia? — zapytała z powątpiewaniem w głosie Tazerwalt.

— Nie sędzę. Ale pozwoli nam zachować anonimowość.

Nie chciał wdawać się w szczegółowe objaśnienia. Podczas ostatnich dni treningu w obozowisku ustalili z Aksilem nazwy i hasła dostępu do kilkunastu kont, jakie miał założyć mu w serwisie Gmail przy najbliższej okazji syn amenukała, oraz adresy w chmurze internetowej. Umówili się, że z każdego konta będą korzystali tylko raz, a już odpowiedź na e-maila będzie przekazana z innego adresu na nowe konto. Byle tylko nie pomylić kolejności używanych adresów! Oczywiście wszystko można wysledzić, ale praktycznie niemożliwe było zlokalizowanie jednorazowego wejścia na jedno z pół miliarda kont, jakie utrzymywano w serwisie Gmail, a w dodatku właściwe zinterpretowanie niewinnie brzmiących rozmów o rodzinie. Zwłaszcza jeśli pisane były wolapikiem arabskiego literackiego, angielskiego i tamahak.

— Przede wszystkim powinniśmy odnaleźć w Wiedniu człowieka, o którym mówił Aksil — przypomniała Tazerwalt.

— Masz rację. Tak naprawdę to nasz jedyny kontakt w tej chwili. Ale musimy najpierw zabezpieczyć sobie tyły tutaj, w Polsce.

— Masz plan?

— Zaczniemy od pieniędzy i środków technicznych.

Przed powrotem do pokoju Ron zadzwonił z recepcji do Jacka.

— Zapomniałem zabrać z pokoju komórkę — uśmiechnął się przepraszająco do recepcjonistki — a brat czeka na telefon.

Jacek odebrał natychmiast, jak gdyby oczekiwał na sygnał od przyjaciela.

— Wypaliście się? Czy nie mieliście czasu, bo to przecież wasz miesiąc miodowy? — Mecenas nie przepuszczał żadnej okazji, aby zademonstrować swój doskonały humor, wychodzący poza granice dobrego smaku. — Rostek, nie mogę przyjechać wcześniej niż o jakiejś szóstej, siódmej wieczorem. Ale mój asystent wypożyczył wam już auto. Zaparkował w garażu podziemnym w twoim hotelu, a klucze i dokumenty pozostawił w recepcji. Czy wiesz, że oni zdzierają sto pięćdziesiąt złotych za noc za miejsce parkingowe? Co za dziadostwo! Trzepią z was dwieście euro za nocleg i jeszcze czterdzieści za parking. Bezczelność. Sprawdź, czy nie policzą wam osobno za wodę, jaką zużyliście do kąpieli.

— Jakoś przeżyję i te dodatkowe czterdzieści euro...

— Ty naprawdę zapieprzyłeś Arabom szyb naftowy albo przynajmniej tankowiec. Rostek, ale żadnych lewych interesów? Mam nadzieję. Muszę dbać o swoją reputację.

— Jacek, naprawdę nie musisz się niczym przejmować. Sprawa jest najczystsza z czystych: Tazerwalt wywiozła z domu wszystko, co można było spieniężyć, i zabrała trochę gotówki, jaką zdołała zebrać rodzina. Taki, powiedzmy, posag.

— Tym bardziej nie rozumiem, po co marnotrawić pieniądze... — Swoją zamożność mecenas Dąbrowski zawdzięczał nie tylko wysokim stawkom, ale też umiejętności liczenia pieniędzy.

— To przecież nasz miesiąc miodowy — tłumaczył Ron.

Mecenas Dąbrowski był oszczędnym człowiekiem. Ale nie sknerą. W sytuacjach — nazwijmy to — romantycznych potrafił piękne słowa adresowane do kobiet efektywnie wesprzeć kolacją w wykwintnej restauracji, drogim prezentem czy szaleńczym wypadem na weekend na drugi koniec Europy. Więc ten argument przyjaciela przekonywał go całkowicie.

— Pozostawiono dla nas kopertę... — zwrócił się Ron do recepcjonistki.

— Na jakie nazwisko? — Dziewczyna już była gotowa do poszukiwania danych w hotelowym komputerze.

— Jacek Dąbrowski.

— Ach tak. Rzeczywiście. Jakiś dokument?

— Mam przy sobie tylko klucz. Proszę. Przynieść z pokoju dokument? Zeszliśmy na śniadanie, więc nie mam przy sobie.

— Nie, dziękuję. Klucz w zupełności wystarczy. To przecież przesyłka do pokoju. — Dziewczyna uśmiechnęła się, przekazując beżową kopertę z odręcznym napisem „Jacek Dąbrowski” oraz numerem pokoju i miejsca parkingowego.

— Czy byłaby pani uprzejma zakodować klucz, abym mógł bez przeszkód wjeżdżać i wyjeżdżać z parkingu? Na czas rezerwacji apartamentu.

— Oczywiście. Ale wie pan, że jedna doba parkingowa kosztuje u nas sto czterdzieści pięć złotych?

— Naprawdę?! To niesłychane! Płacę tak drogo za pokój...
— Ron udawał oburzenie. — No trudno, nie mam specjalnie wyboru...

Tazerwałt uśmiechała się lekko. Nie rozumiała wprowadzani słowa z rozmowy męża z recepcjonistką, ale

wsluchiwała się w tonację i odcienie jego wypowiedzi i bezbłędnie odczytywała, kiedy tylko udaje zdziwienie, kiedy niezgodę czy wymuszoną akceptację, a kiedy jest prawdziwy w swoich wypowiedziach. Niekiedy nieznamość języka pomaga zrozumieć prawdziwy sens wypowiedzianych słów.

— Mamy czas do szóstej. Zróbmy najpilniejsze zakupy — zaproponował Ron. Winda szybko dowiozła ich na trzydzieste ósme piętro. — Musimy zacząć od ubrań, bo zamarzniemy tutaj.

W czasie, gdy Tazerwalt przebierała się do wyjścia, próbował uruchomić laptopy, które zabrał z mieszkania przy ulicy Istiklal. Niestety oba miały czytniki linii papilarnych i Ron, nie będąc w stanie przebrnąć przez pierwsze zabezpieczenia, zrezygnował.

Oprócz zakietu od granatowego kostiumu Tazerwalt i marynarki Rona nie mieli praktycznie żadnej cieplejszej odzieży. W Trypolisie nie zdążyli kupić wielu rzeczy. Ron nie chciał też taszczyć ze sobą walizek, chciał również, aby ubrania jak najbardziej upodobniły ich do innych mieszkańców centralnej Europy — najlepiej więc nabyć je w Warszawie. Zaczęli od tego, że w przejściu podziemnym w samym centrum polskiej stolicy wymienili cztery tysiące euro. Większość sprzedających i kupujących walutę stanowili Ukraińcy. Nikt nie żądał od nich żadnego dokumentu tożsamości ani potwierdzenia bankowego, że pieniądze pochodzą z legalnego źródła. Ron rozmyślnie zmiękczał i rozciągał na wschodnią modłę swoją polszczyznę, może dlatego właściciel kantoru nie zaproponował korzystniejszego kursu. Odwiedzinom w kilku sklepach i butikach mieszczących się w trzech wielkich budynkach targowych, z przyzwyczajenia zwanych przez warszawian Domami Centrum, poświęcili nie więcej niż godzinę. Ekspresowe tempo zakupów nie przypadło

Tazerwalt do gustu, tym bardziej że wypatrzyła kilka ubrań, które się jej spodobały, ale nie mieli czasu, aby je wszystkie przymierzyć. Musiał ją zapewnić, że wrócą tutaj za dzień, dwa. Przez moment pomyślał, czy nie pozwolić jej na samodzielne penetrowanie Domów Centrum, aby samemu mieć czas na szybkie załatwienie kilku najpilniejszych spraw. Uznał jednak, że byłoby to zbyt ryzykowne. Na miejscu, w sklepie, zmienili buty na jesienne, założyli kurtki, rękawiczki i czapki. Nikt nie rozpoznałby teraz w przeciętnie odzianych przechodniach eleganckich gości polskiej ambasady w Trypolisie.

W centrum handlowym przy dworcu Ron kupił nowy notebook. Postanowił zrobić zakupy w markecie Saturn, licząc, że nikt nie zapamięta go spośród tysięcy przewijających się tam codziennie klientów. Jako nowość reklamowano Lenovo IdeaPad, więc bez większego namysłu wziął akurat ten komputer. Tam też nabył oprogramowanie, wbrew namowom sprzedawcy nie decydując się na Windows Vista. Nie znał tego systemu, wolał Windows XP, z którym był już oswojony. Dorzucił jeszcze program antywirusowy i pakiet Office.

Z nową torbą i laptopem ruszyli na poszukiwania kafejki internetowej. Znaleźli ją przy przejściu na aleję Jana Pawła II. Rona interesowały adresy kantorów i banków oraz oferowane przez nie kursy walut. Z satysfakcją zauważył, że nadal bez trudności zapamiętuje adresy, chociaż, inaczej niż w Tunisie czy Trypolisie, nie umie ich błyskawicznie zlokalizować na wyobrażanej w pamięci mapie miasta.

Po gonitwie po Domach Centrum, szybkim spacerze Alejami Jerozolimskimi do Złotych Tarasów i równie pospiesznych zakupach Tazerwalt źle się poczuła i zapragnęła wrócić do hotelu. Ron domyślał się, że to nie zmęczenie, ale bardziej dolegliwości związane z okresem. Zapytał, czy mają wstąpić do apteki.

— Tak, kup jakiś środek przeciwbólowy i dwa opakowania pod pasek: classic i na noc.

— Powiesz mi dokładnie w aptece, a ja będę tłumaczem. OK?

— Dziękuję. Obawiam się, że bez angielskiego się tu nie porozumiem.

— Obawiam się, że i z angielskim mogłabyś mieć kłopoty.
— Ron nie był pewien, czy wprowadzone na początku lat dziewięćdziesiątych powszechne nauczanie języka angielskiego już przyniosło rezultaty i czy w każdym miejscu uda się porozumieć w języku królowej Elżbiety.

— A jaki jest drugi język w Polsce? — zaciekawiała się Tazerwalt.

— Drugi? Hm... A wiesz, że takiego nie ma? Jesteśmy monoetniczni, monolingwistyczni, monoreligijni.

— Ale nie jednowymiarowi? — zaśmiała się. Zaraz jednak, bojąc się, że będzie źle zrozumiana, ponieważ mężczyźni w znakomitej większości nie umieją słyszeć niczego więcej oprócz słów, dodała: — Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Ale to straszne i zubażające, jeśli jest tylko jeden język, jeden naród, jedna religia. U nas Kaddafi też powtarzał: „Wszyscy Libijczycy są Arabami, a islam jest ich religią”.

W aptecę, do której wstąpili, czekała Rona miła niespodzianka. Na twarzy młodej dziewczyny, która przysłuchiwała się rozmowie Rona z Tazerwalt, nie pojawił się żaden ślad zrozumienia, ale starsza farmaceutka, słysząc francuski, sama zaoferowała swoją pomoc w zupełnie dobrej francuszczyźnie.

— Jesteś chyba zbyt surowy w ocenie swoich rodaków — stwierdziła Tazerwalt, gdy z dużą torbą zakupów opuszczali aptekę.

— Chyba nie znam wystarczająco dobrze mego kraju — przyznał.

Po powrocie do hotelu Tazerwalt powiedziała, że trochę odpocznie, może spróbuje usnąć.

— Muszę być w formie, gdy przyjedzie twój przyjaciel. A spaliśmy jednak trochę za mało.

Położyła się na wielkim łóżku, podwinęła nogi i otuliła się kocem.

Ron włożył otrzymane od Jacka karty SIM do ich telefonów, wpisał numery.

— Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń.

— Będę cię potrzebowała, ale jakoś przeżyję. Nie będę cię niepokoila. Jedź.

Ucałował żonę — jeszcze nie mógł się przyzwyczaić, aby nawet w myślach nazywać ją słowem „żona”, bo wciąż widział w niej „tę, która ma błękitne oczy”, córkę wodza Kel Adżdżar, i to, że będzie oczekiwała go w hotelu w centrum jego miasta, bardziej wydawało mu się snem niż rzeczywistością — i wyszedł z pokoju.

Dzięki szarosrebrnemu opłowi astra, jakich tysiące jeździło po ulicach Warszawy, i zamontowanemu w nim GPS-owi do szóstej Ron zdołał objechać czternaście kantorów. W każdym wymienił po kilkadziesiąt tysięcy euro, targując się o pięć czy siedem groszy na cenie jednego. W pierwszym punkcie sprzedaży walut napomknął, że kupuje nowe auto, w drugim — że finalizuje transakcję życia, bo podpisuje umowę kupna trzypokojowego mieszkania („A ile jeszcze pójdzie na wykończenie! Bo wie pan, to w stanie deweloperskim” — wzdychał), całym sobą dając do zrozumienia, jak bardzo drży o każde kilkaset złotych. Między wizytami w kantorach zajeżdżał do banków, deponując po kilkanaście tysięcy złotych i po kilka tysięcy

euro. Nie więcej jednak niż dziesięć tysięcy euro, ponieważ jednorazowa transakcja przekraczająca tę wartość trafiłaby pod lupę Komisji Nadzoru Finansowego, urzędników skarbowych lub nawet Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego... Gdy wrócił do hotelu, był złotówkowym multimilionerem, chociaż neseser z fioletowymi banknotami o nominale pięćset euro został uszczuplony w niewielkim stopniu.

Jacek zadzwonił przed szóstą.

— Wpadnę za kilkanaście minut, OK?

— Jasne, czekamy.

— Od razu wyjaśniam: mamy godzinkę na rozmowę. Będę czekał na ciebie na dole w foyer. Później niespodzianka. Zapraszam na kolację. Uprzedź swoją Szeherezadę, aby się stosownie ubrała. Może nie w burkę, ale też nie w wieczorową suknię. — Żarty mecenasa niekiedy naprawdę balansowały na granicy przyzwoitości.

— Tazerwalt, kochana. Jacek zabiera nas na kolację o siódmej. Trzeba go trochę oszołomić. Idę na dół, porozmawiamy przy kawie. Pamiętasz, jaką opowieść dla niego przygotowaliśmy?

— Oczywiście. Samą prawdę i tylko prawdę. Będę gotowa na siódmą cztery. — Tazerwalt także przybrała lekki ton. Zapowiadał się ciekawy wieczór. Pojedynek bazarzy.

Ron uznał, że nie będzie miał czasu na przebieranie się, więc od razu przed zejściem na dół ubrał się w swoje najlepsze džinsy, świeżą niebieską koszulę i klubową marynarkę. Nowo zakupione mokasyny Ecco dobrze dopełniały całości. Tazerwalt obejrzała go krytycznie.

— Jak na tłumacza, dziennikarza czy dzikusa z pustyni może być. Jak na nowobogackiego milionera nie za bardzo — zażartowała.

Jacek czekał już na dole. Przy nim w grzecznej pozie siedział dość młody, trzydziestokilkuletni mężczyzna w okularach i granatowym garniturze bez najmniejszej fałdki czy zagniecenia.

— ...że jest pan, panie mecenasie, zadowolony z hotelu? — kończył pytanie mężczyzna w ciuchach niczym najnowszy model BMW.

— Tak, bardzo panu dziękuję. Mieszka się nam tu znakomicie. Jestem zobowiązany za preferencyjne warunki. O, chcę przedstawić panu, dyrektorze, mego przyjaciela z Norwegii, pana Rona Hariba, który mówi też trochę po polsku. Ron, to jest pan Robert Lorenc, który zarządza tym hotelem. Dołączy pan do nas, dyrektorze? — Jacek wyraźnie doskonale bawił się sytuacją.

— Niestety nie mogę. Jak panu wspominałem, gdy rezerwował pan hotel, jutro wylatuję na pięć dni do Londynu, mamy tam spotkanie menadżerów sieci.

— Szkoda. Cóż, spotkamy się więc po pana powrocie. Bardzo panu dziękuję. Za pomoc i za dyskrecję. — Jacek pochylił się w geście pełnym zaufania i konfidencji w stronę dyrektora. — Moja żona jest bardzo zazdrosna. A przyjaciółka docenia walory hotelu. Ja zresztą także, cha, cha, cha...

Ron milczał, jak to Norweg, który tylko trochę mówi po polsku. Nie wypadało też wtrącać się do rozmowy, w której detale nie był wtajemniczony. Bo, przykładowo, według jego najlepszej wiedzy Jacek, owszem, miał kiedyś żonę. Ale rozwiódł się jakieś dziesięć lat temu.

— Miło mi pana poznać. — Ukłon ze strony wymuskanego menadżera. — Panowie wybaczą, wrócę do swoich zajęć. Mam wiele spraw przed wyjazdem.

Ron i Jacek godnie, z pełnym zrozumienia szacunkiem skinęli głowami na pożegnanie.

— No, teraz będą ci kawiolem drogę usypywali. — Mecenas Dąbrowski był bardzo z siebie zadowolony. Należał do tego typu ludzi, którzy nie mogli spokojnie przeżyć minuty, aby nie sypnąć anegdotą, żartem lub nie stworzyć jakiejś sytuacji czystego absurdu. — A teraz opowiadaj. — Pochylił się w stronę Rona. — Napijesz się czegoś?

— Kawy, bo dzień pochmurny, ciśnienie tak niskie, że usnę na stojąco.

Gdy kelnerka przyniosła dwie kawy i oddaliła się, Jacek skinął podbródkiem, zachęcając Rona do mówienia.

— No...

— Od czego zacząć?

— Najlepiej od kobiety. Co za intryga! O co chodzi z tym śledzeniem?

— Wiesz, co się dzieje w Libii?

— Nie interesuję się polityką, chociaż to ona interesuje się mną. Za to czytam wiadomości w internecie. W Libii, jeśli wierzyć temu, co piszą, naród zrzucił kajdany, obalił tyrana i teraz będzie żyć w szczęśliwości. Czy tak?

— Mniej więcej. W Libii trwa krwawa wojna domowa, która im dalej, tym będzie bardziej okrutna. Tam jest z półtorej setki plemion, z których każde chce dostać swój kawałek tortu. Teraz jesteśmy na etapie, gdy nasi dzielni wojownicy wolności walczą o noże, którymi ten tort będzie krojony. Tazerwałt jest córką... jakby to powiedzieć... szefa regionu? Takiego jakby wodza plemiennego. Jej plemię czy ród także chce podłączyć się do tej wyżerki. Ale że są mali, zostali pognani. Musisz wiedzieć, że w Libii nie wystarczy przeciwnika pokonać i odebrać mu jego kawałek tortu, trzeba go dla pewności zabić. Ród Tazerwałt przegrał; jedni ginęli, inni wyjechali, gdzie kto mógł: do Mali, do Nigru,

do Europy. Ja zabrałem ją i uciekliśmy do Polski. Na szczęście mieliśmy jak. Bardzo ci dziękuję za wstawiennictwo. Niezwykle pomogło. Ambasador chyba wziął mnie za Jamesa Bonda, bo jego ludzie gotowi byli przynieść paszport do hotelu. Skąd masz takie wejścia na Miłobędzkiej?

— Dawna historia, ale nie ma nic wspólnego z zabawami szpiegowskimi. Od tego trzymam się jak najdalej. Sprawnie przeprowadziłem podział majątku pewnego gościa, który teraz jest szychą w wywiadzie. Eksmałżonka chciała go oskubać do kości, bo to on był winien rozpadowi małżeństwa, ewidentnie był winien, więc uratowałem mu sporo kasy. Na placówkach trochę zarobił i zainwestował w nieruchomości. Teraz ma chyba szansę na wiceprezesurę tej kanciapy na Miłobędzkiej. Może coś przywiozłeś z Libii, co można mu podrzucić? Jak będzie wiceszefem, to będzie miał większe możliwości, a ja na tym tylko skorzystam.

Jacek nie byłby sobą, gdyby przy każdej okazji, nawet w prywatnej rozmowie z przyjacielem, nie szukał możliwości — jeśli nie do zarobienia dodatkowej kasy, to przynajmniej do tworzenia przyczółków, z których można dostrzec pieniądze.

— Przywiozłem świetne daktyle, Dygla Nur, najlepsze. Ale chyba to mu nie wystarczy. Chociaż... Wiesz, gdy się tam kręciłem, a byłem przecież kilka ładnych miesięcy na Bliskim Wschodzie, wpadłem na trop rakiet przeciwlotniczych, które wykradzono z magazynów Kaddafiego. Czytałem, że strasznie niepokoi to Amerykanów. Jeśli nasz wywiad podpowie Jankesom, gdzie ich szukać, to pewnie dużo zyskamy w ich oczach. A i ten, kto tę wiadomość im przyniesie, ogromnie zapunktuje.

Mecenas uważnie przyglądał się dziennikarzowi. Gdyby nie znał Rościśława od tylu lat, gdyby nie był świadom jego doskonałej znajomości realiów rosyjskich, które tak

pomogły Agencji w jej działaniach w Czeczenii, mógłby przypuszczać, że dziennikarz podbija swoją wartość, opowiadając o historiach z pogranicza politycznych fantazji. Jeśli jednak Ron wspomniał o raketach, to znaczy, że jest coś poważnego na rzeczy.

— Napomknę mu o takiej ścieżce przyspieszonego awansu
— rzucił niedbale. — No a co z pieniędzmi twojej żony?

— Jej rodzina sprzedała wszystko, co się dało spieniężyć. Kasę podzielono między dzieci. Trochę przypadło Tazerwalt. Ot i wszystko. Teraz musimy jakoś zacząć życie od nowa w Polsce. I trzeba odnaleźć jej bliskich w Europie. Są w Austrii, Niemczech i Szwajcarii.

— A dlaczego się boisz, że będą was śledzili?

— Rodzina Tazerwalt była i przeciwko Kaddafiemu, i przeciwko zwycięskiej koalicji. Po prostu źle postawili, nie na tych, co trzeba. Tazerwalt boi się, że w ambasadzie Libii są albo ludzie Kaddafiego, albo koalicji, a może jedni i drudzy jednocześnie, bo w świecie arabskim sojusze mogą zmieniać się co miesiąc.

— To zupełnie jak w naszym życiu politycznym. Ale dlaczego ambasada, ktokolwiek by tam nie siedział, miałaby ścigać jedną Libijkę? Kim ona jest? Skarbem narodowym?

— Jeśli będą ją mieli jako zakładniczkę, mogą zmusić jej ojca i całe plemię do wszystkiego. Tazerwalt jest jedyną córką głowy rodu. A jej plemię, chociaż małe, odgrywa rolę jęczyczka u wagi. Za nim mogą pójść inne rody.

— OK, rozumiem. A twoje sprawy zawodowe? Jak Norwegowie?

— Zapłacili godziwie, nawet jakąś specjalną premię czy odszkodowanie. Bo w Tunisie, wspominałem ci, trochę mnie poturbowano. Więc razem kasę jakąś mamy. Teraz chcę, aby moja żona zapomniała o wojnie, odpoczęła trochę.

— I co zamierzasz?

— Chciałbym, abyśmy jutro podjechali do notariusza, podpisali to pełnomocnictwo. Możesz sprzedać moje mieszkanie i kupić nowe, najlepiej przy linii metra? Może tym razem na północy? Niedaleko ciebie? Nie, na Żoliborz Oficerski mnie nie stać. Ale gdzieś w okolicach placu Wilsona?

— Ile możesz przeznaczyć na zakup nowego mieszkania?

— Niewiele. Nam chodzi o jakieś nieduże, trzypokojowe. Ale raczej w nowym budownictwie, na zamkniętym osiedlu, zrobione i wyposażone.

— Pod klucz? To będzie pewnie jakieś siedemset, osiemset tysięcy. Za twoje można otrzymać jakieś czterysta, no czterysta pięćdziesiąt. Brakuje, dla pewności powiedzmy, jeszcze czterystu tysięcy.

— Tyle chyba uzbieramy we dwoje. Bo mam gotówką trochę ponad sto tysięcy euro.

— Nieźle. — Jacek z uznaniem pokiwał głową. — Ale to nie aż tak wiele.

— Te sto tysięcy to moje oszczędności. A Tazerwalt ma swoje, około dwustu tysięcy. Chcemy ci przekazać te wszystkie pieniądze...

— Gotówką? Wiesz, co to będzie, jak ktoś mnie sprawdzi?

— Pieniądze damy ci na przechowanie, a gdy będziemy finalizowali kupno mieszkania, zapłacimy nimi. Jeśli ty, nadziany gość i adwokat, boisz się świecić taką gotówką, to co ja mam powiedzieć urzędowi skarbowemu, jeśli wpłacę na konto trzysta tysięcy euro? Ile trzeba będzie zapłacić twojej kancelarii? Za poprowadzenie całej sprawy, czyli sprzedaż jednego mieszkania i kupno drugiego?

— Zlecę to koledze, który prowadzi agencję nieruchomości. To dzięki niemu słałem ci oferty kupna zamków i willi. Zazwyczaj bierze trzy procent od wartości transakcji, ale przekonam go, że powinien być zadowolony, jeśli otrzyma góra półtora procenta. Policz jeszcze notariusza. To będzie kosztowało jakieś czterdzieści tysięcy. Moja kancelaria za zrobienie wszystkiego też weźmie mniej więcej połowę tego. A dlaczego sam się nie zajmiesz sprzedażą i kupnem?

— Mówiłem ci: nie powinienem pojawiać się na Braci Wagów. Ponadto za kilka dni chcemy wyjechać do Rzymu na tydzień, dwa, tam ma zatrzymać się brat Tazerwalt. Takie miał przynajmniej plany.

— Porobiło się. W porządku, zajmę się wszystkim. Co do mojego honorarium, to oczywiście, nie musisz się spieszyć. Zapłacisz, gdy będziesz miał pieniądze.

W kieszeni Jacka zadzwonił telefon.

— Tak... Jasne. Oczywiście. Cieszę się. Jesteśmy na dole, w barze.

— To Ada. Nie znasz jej, pracuje u Deloitte'a. Chciałem wam zrobić niespodziankę. Ada trochę mówi po francusku, to przynajmniej coś mi tam przetłumaczy... — kokietował Jacek.

Niespodzianka nadeszła kilka minut później. Miała jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu, nienaganną sylwetkę i krótko ostrzyżone, ufarbowane na głęboką czerń włosy. Dopiero gdy Ron wstał na powitanie, dostrzegł mimo starannego makijażu ślady kurzych łapek wokół zielonych oczu o mądrym spojrzeniu. To nie była dzierlatka ani rozpaczliwie polująca na męża niespełniona biznes-woman.

— Jacek dużo mi o panu opowiadał, jaka to z pana niespokojna dusza, wagabunda i poszukiwacz Graala prawdy.

— A możemy mówić sobie po imieniu? — Ron wykorzystał przewagę wieku, aby zaproponować przejście na ty.

— Z największą przyjemnością. A gdzie twoja żona? Bo Jacek mówił, że jesteś żonaty i że pojedziemy na kolację we czworo.

Spojrzał na zegarek. Była minuta po siódmej. Ada była punktualna i precyzyjna jak raporty audytorskie przygotowywane przez jej firmę.

— Tazerwalt za chwilę nadejdzie. Droga porządnie ją zmęczyła. Wróciliśmy z Libii, a tam musieliśmy jeszcze przez kilka dni podróżować do Trypolisu — wyjaśnił, widząc pytanie w oczach przyjaciółki adwokata.

Chyba niepotrzebnie Jacek żartował na temat stosownego dress code’u na kolacji. Tazerwalt ubrała się w swoje granatowe spodnium, do którego założyła nowo kupione buty na wysokim obcasie, włosy upięła w pół kok, pół ogon. W jej urodzie, ubraniu, także w makijażu było coś orientalnego, tajemniczego, ale tajemniczością ledwie sygnalizowaną, jakby aluzyjną. Pewnie takie wrażenie wywoływał lekki, błękitny szal *ikerhi*, którym niby przykryła włosy, lecz tylko po to, aby podkreślić owal twarzy i kolor oczu. Gdy wychodziła z windy i skierowała się w ich stronę, natychmiast przyciągnęła spojrzenia wszystkich siedzących w barze. Tak wchodzi na przyjęcie księżniczki, zaćmiewając elegancją i urodą wszystkie obecne już damy. Ron wstał na jej powitanie i tak samo, z wrażenia, zrobił Jacek. Na wysokich obcasach Tazerwalt przewyższała wzrostem męża i dorównywała adwokatowi, chociaż obaj nie należeli do niskich mężczyzn.

— Dzień dobry pani. Dzień dobry panu. — Dwukrotne dotknięcie się policzkami z Adą, wyciągnięcie dłoni do Jacka. Tazerwalt witała się z nimi jak dama z wyższego świata, świadoma swojej urody i pozycji społecznej. Lata

zamieszkiwania przy francusko-tunezyjskiej rodzinie nie minęły na próżno.

Adwokat ponaglał do wyjścia:

— Zamówiłem dla nas na siódmą stolik w Amber Room. Podobno mają tam najlepszą kuchnię w Warszawie. Jedziemy.

Adę przywiózł kierowca kancelarii adwokackiej, który czekał już przed drzwiami.

„Czasami trzeba błysnąć szpanem — objaśniał kiedyś mecenas Ronowi — bo ma się różną klientelę. Czasami człowiek chce się po prostu napić. Więc wydatek kilku tysięcy miesięcznie per saldo się opłaci”.

Mecenas zajął miejsce obok kierowcy, Ron z paniami usiadł z tyłu. Ada po francusku opowiadała Tazerwalt o miejscach, które mijali, chociaż w deszczowy wieczór nawet centrum miasta wydawało się mało kolorowe i dość smutne.

— W dzień przy słońcu jest znacznie bardziej sympatycznie. Zobaczysz, polubisz Warszawę. To dobre miejsce do życia.

Plac Trzech Krzyży i Nowy Świat były rozświetlone nawet bardziej niż zwykle, ponieważ rozwieszono już dekoracje bożonarodzeniowe.

— Jest pięknie. — Tazerwalt doceniała starania Ady zachwalającej stolicę.

Chwaliła też dokonany przez Jacka wybór lokalu i kuchni. Rzeczywiście, trudno było znaleźć lepsze miejsce niż Pałac Sobańskich, gdzie znajdowała się restauracja. Pałacyk w Alejach Ujazdowskich, także w świątecznym ubraniu świecących girland, prezentował się wspaniale, prawie bajkowo. Wnętrza restauracji, chociaż nowoczesne, miały godny, dostojny styl. A kuchnia — zgodnie z zapewnieniami Jacka — jeśli nie najlepsza w Warszawie, to mieściła się z

pewnością w pierwszej piątce i zasługiwała na gwiazdkę Michelin. Rościsław znał wprawdzie tę restaurację, gdyż jako tłumacz towarzyszył kiedyś delegacji szwajcarskich biznesmenów, którzy spotykali się tutaj z Polską Radą Biznesu, ale rozmowa była wówczas tak ożywiona i wymagała tak intensywnego zaangażowania z jego strony, że niewiele udało mu się wówczas skosztować. Za radą Jacka zdecydowali się na foie gras na przystawkę, ale w kwestii głównego dania preferencje się podzieliły. Adwokat rekomendował jagnięcinę z kuskusem, co Ron odczytał jako ukłon w stronę jego żony i co zostało wdzięcznie odnotowane przez Tazerwalt, która zrozumiała intencje gospodarza i podziękowała mu. Ron wybrał jednak dorsza, bo podczas pobytu na pustyni brakowało mu ryb, a Ada — solę.

Zanim złożyli zamówienie, kelner wniósł szampana Krug Cuvee 2000. Jacek ujął lampkę perlącego się napoju.

— Powiniennem oczywiście wstać. Ale nie chcę przyciągać uwagi innych gości. Ponadto, jak wstanę, to mogę wpaść w adwokackie uniesienie, a jak wiecie, długie przemawianie nie sprawia mi trudności. I jeszcze nieźle na tym zarabiam. Chcę wznieść ten toast za was, Tazerwalt i Rościsławie, i powitać was w kraju. Mogliście wprawdzie zaprosić nas na wesele, ale rozumiem, że trochę było wam spieszo. Rostkowi się nie dziwię, patrząc na Tazerwalt. Ale ty, Tazerwalt, mogłaś poczekać, aż poznasz mnie.

Ada wiernie tłumaczyła do ucha Tuareżki przemowę mecenasa i chyba potrafiła oddać żartobliwe niuanse, gdyż Tazerwalt się uśmiechała.

— Rościsławie — kontynuował Jacek — totalnie mnie zaskoczyłeś. Aby być szczerym: rzuciłeś mnie na glebę. Pamiętam — tutaj już adwokat patrzył w stronę Tazerwalt — jak niespełna dwadzieścia lat temu objawił się w Warszawie biedny, bez grosza przy duszy, samotny i

zagubiony imigrant z Białorusi. Ada, nie musisz objaśniać, co to Białoruś, bo to za trudne do zrozumienia nawet dla Polaków. Ja wprawdzie byłem wówczas też biedny, ale miałem już jedną togę, którą prałem co dwa tygodnie w wannie wynajmowanego mieszkania na Pradze. Rostek nie miał nawet tego. A teraz zjawia się z nubijską księżniczką jako żoną. I w tym jest wielka mądrość Boża i sprawiedliwość. Bo poza Ronem tak szlachetnego, zacnego człowieka, który trochę z innego świata pochodzi, i nie mam na myśli tej Białorusi, nie spotkałem nigdy w życiu. Witajcie w Polsce. Gratuluję wam. Winszuję. I niech wam Bóg błogosławi. Amen.

Ron uśmiechnął się. Dobry człowiek z tego Jacka. Oczywiście to wciąż adwokat, który nie omieszka podnieść dziesięciu groszy, jeśli jadąc autem, dojrzy je na poboczu, ale życzliwy. Właściwie jedyny jego przyjaciel w tym kraju. Ron przechylił lampkę z alkoholem.

— Tazerwalt, jak znajdujesz szampana? — zapytał Jacek, usiłując włączyć milczącą dziewczynę do rozmowy.

— Smakuje mi. Ale nie mam skali porównawczej, bo to pierwszy alkohol, jakiego w życiu próbuję.

— Mam nadzieję, że nie stoi to w sprzeczności z twoją religią. Podobno Arabowie, muzułmanie, mówią, że Allah zabrania picia alkoholu. Teraz jest już ciemno, więc Allah nie dojrzy.

— Allah nie zabrania niczego, co dobre. Jeśli pamiętam waszą świętą księgę, to tam również mówi się: „Pijcie, ale nie upijajcie się”. Zresztą Ron ci to wyjaśni, nie jestem Arabką, jestem Kel Adżdżar.

Jacek chciał uniknąć rozważań religijnych i etnicznych.

— Tym lepiej. I bardzo się cieszę, że pierwsze wino, jakiego próbujesz, od razu ci smakuje. Bo muszę wam powiedzieć, że specjalnie dzisiaj dzwoniłem do restauracji,

a potem konsultowałem się z kolegą, który jest specem w temacie, jaki szampan wybrać. Restauracja Amber Room jest, tak mi powiedziano, ambasadorem marki Krug i serwuje się tutaj wszystkie odmiany tego trunku. Za najlepszy z dostępnych uchodzi rocznik dwa tysiące. Więc zamówiłem. Ado, wybaczyć, że wykosztowawszy się na alkohol, będziemy przez tydzień jedli chleb z dżemem, ale uznałem, że muszę jak najgodniej powitać przyjaciela i jego małżonkę.

Wieczór był bardzo udany. Jacek zadbał nie tylko o kuchnię i wino, ale też o dobrą, luźną atmosferę, w jakiej Tazerwalt, dla której wszystko było nowe i zaskakujące, nie czułaby się obcą. Pod koniec kolacji panie szczebiotały jak najlepsze przyjaciółki, umawiając się na zakupy i snując rozważania, jak najlepiej urządzić mieszkanie, które Tazerwalt i Ron zamierzają kupić, a panowie domawiali szczegóły przyszłych transakcji. Adwokat wrócił jeszcze do sprawy rakiet w Libii.

— Czyli mógłbym skontaktować z tobą kolegę z Miłobędzkiej?

— Tak. Ale myślę, że nie ma potrzeby. Przekaż mu, że chodzi o rosyjskie, albo jeszcze radzieckie, bo się na tym kompletnie nie znam, rakiety przeciwlotnicze Igła. Zresztą zrobiłem komórką zdjęcie. Jakość pewnie nie najlepsza, ale dla specjalisty będzie jasne, o co chodzi. Prześlę ci na twój telefon, a jeśli się nie uda, to na e-maila.

Ada i Jacek odwieźli ich do hotelu. Mężczyźni pożegnali się. Umówili się na spotkanie następnego dnia po południu.

— Jesteście szczęściarzami, zazdroszczę wam — powiedziała Ada, całując się na pożegnanie z Tazerwalt.

— Tak, jestem. Bo odnalazłam Rona, a tym samym swój los. Ale nie warto nam zazdrościć. Nasza przyszłość dopiero się staje — odpowiedziała Libijka.

XL

— Musimy skontaktować się z Aksilem. Zawiadomić jego i ojca, że dotarliśmy szczęśliwie. I przede wszystkim zapytać, co z nimi — przypomniała po raz kolejny przy śniadaniu Tazerwalt.

Ron nie chciał ryzykować rozmowy telefonicznej. Zapewne wyolbrzymiał niebezpieczeństwo, ale pamiętając o ostrzeżeniach Amastana, miał świadomość, że skoro służby libijskie były w stanie śledzić każdy jego krok, to tym bardziej nie stanowiłoby to problemu dla Francuzów czy Rosjan, którzy mieli nieporównywalnie większe możliwości techniczne.

Zaplanowali, że ten dzień przeznaczą na rozlokowanie w bankach reszty pieniędzy oraz na załatwienie spraw z adwokatem i notariuszem, z którymi umówili się na późne godziny popołudniowe. Większość banków i kantorów w Warszawie zaczynała pracę o dziewiątej rano, więc po wczesnym śniadaniu Ron miał ponad godzinę na instalację oprogramowania w nowo zakupionym laptopie i wysłanie pierwszego e-maila do Aksila. Łacińskimi literami napisał krótki tekst w języku tamahak, który podyktowała mu Tazerwalt. Po wysłaniu go skasował konto na Gmailu i wyczyścił pamięć podręczną przeglądarki oraz pliki cookie. Nie miał złudzeń, że w ten sposób zatrze ślad swojej obecności w sieci, ale prawdopodobieństwo, że akurat jedno z pół miliarda kont przyciągnie uwagę ciekawskich, było niezwykle małe. Jeśli nawet jakimś cudem treść e-maila trafi do tych, którzy ich szukają, i będą oni w stanie przeczytać w tamahak, dowiedzą się, że brat poinformował brata o szczęśliwej podróży, ale wciąż nie rozmawiał z

wysłannikiem Amrara. Amrar mógł być nazwą firmy, mógł — nazwiskiem. Trzeba było znać życie Tuaregów, aby wiedzieć, że Amrar oznacza Wódz.

Później, tym razem we dwoje, ponownie odwiedzali kantory, wymieniając euro na złotówki, a te wpłacali na nowo zakładane konta w różnych bankach. W Warszawie miało swoje oddziały dziewiętnaście banków, ale oni zdążyli otworzyć rachunki, złotówkowe i walutowe, tylko w jedenastu, ponieważ procedury zajmowały sporo czasu. Obiad zjedli w sushi barze przy placu Konstytucji. Akurat przejeżdżali obok, a Tazerwałt mówiła, że ma zamiar spróbować wszystkich kuchni świata. Najwidoczniej wczoraj przedmiotem jej rozmowy z Adą były także kulinaria.

— Dlaczego by nie zacząć od Japonii? — zapytał.

— Zaczniemy więc od najdalszego Wschodu — zgodziła się chętnie.

Siedzieli naprzeciwko siebie w przytulnym, chociaż urządzonym w minimalistycznym stylu wnętrzu niewielkiej restauracji, ciesząc się chwilą wytchnienia, ciszą i swoją obecnością. O tej godzinie restauracja była prawie zupełnie pusta — minęła pora lunchu, w której salę zaludnia tłum urzędników i pracowników z pobliskich biur, a wieczorny czas, gdy wyznaczają tu sobie spotkania przyjaciele i kochankowie, jeszcze nie nadszedł. Kelnerka przyjmująca zamówienie z uśmiechem spojrzała na ich splecione na stole dłonie. „Zapewne wzięła nas za kochanków kradnących czas pracy na romantyczną randkę” — pomyślał Ron. Tazerwałt wyciągnęła inny wniosek ze spojrzenia kelnerki.

— Powinieneś się ostrzyć i ufarbować włosy. Przyciągasz uwagę.

— Czym? — Był szczerze zaskoczony jej spostrzeżeniem.

— Przypominasz gwiazdora filmowego na urlopie lub obieżyświata, który wpadł na chwilę do miasta. Masz długie siwe włosy, młodą, mocno opaloną twarz i uśmiechnięte niebieskie oczy. Zauważyłeś, że twoi rodacy, ci trochę starsi wiekiem, są w większości smutni, przygnębieni i jednakowo monotennie ubrani? Dominują szare, ciemne kolory. Rzadko kiedy widzi się jakiś ożywiający element ubioru. Mężczyźni, młodzi i starsi, są ostrzyżeni bardzo krótko. A ty nie dość, że masz długie włosy, to jeszcze kurtkę w jasnym kolorze...

— A w dodatku przechadzam się po Warszawie z nieziemsko piękną kobietą... — Obrócił w żart uwagę Tazerwalt, ale przyznawał jej w duchu rację. Dotychczas, jak zakładał, udawało się im nie pozostawiać zbyt wielu śladów. Banki to była konieczność. Ponadto banki w odróżnieniu od hoteli czy lotnisk strzegą swoich tajemnic i nim ktoś zbierze rozproszone informacje w całość, minie trochę czasu. Wówczas powinni już być daleko stąd. Byłoby głupio zwrócić czyjąś uwagę wyglądem, zbędnym telefonem czy na przykład spowodowaniem wypadku drogowego.

— Kiedy skontaktujemy się z człowiekiem w Wiedniu? I jak go odnajdziemy? — spytała po chwili Tazerwalt.

— W jakiś sposób musimy go odnaleźć. Może Aksil prześle nam numer do niego? A może znajdziemy jakieś namiary w komputerach z Trypolisu? Wiemy, że powinniśmy dotrzeć do Wiednia, a to już niemało.

Przed wyjazdem do adwokata Ron wykonał z telefonu stacjonarnego w hotelu kilka połączeń, aż wreszcie udało mu się skontaktować z wiodącym technikiem z firmy Recovery Solution, zajmującej się odzyskiwaniem danych z zaszyfrowanych lub uszkodzonych dysków.

— Najprawdopodobniej komputery nie są uszkodzone, chociaż takiej ewentualności nie mogę wykluczyć. Chodzi o

odzyskanie wszystkich danych, które są na dyskach lub były na nich zapisywane — tłumaczył Ron.

— Jeśli ma pan sprzęt gotowy, to może pan go przywieźć nawet w tej chwili. Pracujemy wprawdzie do osiemnastej i już zbieram się do domu, ale mógłbym poczekać — poinformował go rozmówca.

Siedziba firmy mieściła się zbyt daleko od centrum miasta, aby zdążyć odwieźć notebooki przed spotkaniem u adwokata, umówili się więc, że Ron zaczeka na technika z Recovery przed hotelem. Podejrzewał, że jego rozmówca chce potraktować zlecenie jako lewą fuchę. Jeśli okaże się, że zadanie nie wymaga użycia sprzętu specjalistycznego, to wykona je prywatnie, poza laboratorium, nie informując o dodatkowej robocie swoich pracodawców. Było to nawet na rękę Ronowi — im mniej osób będzie wtajemniczonych w sprawę, tym lepiej. O umówionej godzinie zniósł więc na dół oba laptopy i dysk zewnętrzny. Specjalista z Recovery odebrał sprzęt.

— Pokwitować panu odbiór? — zapytał.

— Gdyby był pan uprzejmy...

— Ależ bardzo proszę. — Technik spisał numery obu komputerów na firmowy blankiet pokwitowania, podpisał się i wręczył kartkę Ronowi. — Fizycznych uszkodzeń nie widzę, więc to pewnie sprawa oprogramowania. Nie wiem, ile to będzie kosztowało, ale proszę się nie obawiać, to nie są jakieś horrendalne sumy — uśmiechnął się. — Co zrobić z odzyskanymi danymi? Przerzucę je panu na pendrive'a, OK?

— Jasne, może być.

— Zadzwoń do pana za dwa, trzy dni. Chyba że mimo wszystko okaże się, że uszkodzenia są poważne. Wówczas poinformuję.

Pożegnawszy się z technikiem, Ron poczekał chwilę na Tazerwalt i pojechali razem na Powiśle, gdzie znajdowało się biuro mecenasa Dąbrowskiego. Kancelaria mieściła się na parterze nowego apartamentowca. Osobne wejście z reprezentacyjnymi marmurowymi schodami, gabinety i mała salka konferencyjna wyłożone w angielskim stylu jasnym dębem świadczyły, że prawniczy biznes przyjaciela rozkwita. Jacek już na nich czekał. Pomagając Tazerwalt zdjąć płaszcz, zwrócił się do Rona z prośbą o przetłumaczenie komplementów, którymi zasypywał jego żonę.

— Poprosiłem notariusza, aby podjechał tutaj, będzie lada moment. To mój kolega ze studiów. Robiliśmy już razem kilka grubszych spraw, można mieć do niego zaufanie. No, jak ci się widzi moje biuro? — Adwokat nie mógł się powstrzymać od pochwalenia się swoim dorobkiem.

— Imponujące. Nie wiedziałem, że tak dobrze ci się powodzi. Gdy kilka lat temu byłem u ciebie, zajmowałeś dwa pokoje na Marszałkowskiej. — Rościśław pamiętał szerokie schody, niezbyt dobrze pachnącą klatkę schodową i niewielkie biuro.

— Ale miejsce było lepsze. Na to, aby wykupić takie pomieszczenie w centrum, wciąż jeszcze mnie nie stać. Mamy jednak kilku bardzo poważnych klientów i to oni napędzają interes. Jest nas trzech, bierzemy różne sprawy, od rozwodowych po nieruchomości, tyramy po kilkanaście godzin na dobę, więc wyniki muszą być. W piątek o tej porze nie ma nikogo, ale gdybyście zajrzeli w zwykły dzień, to nawet o dziewiętnastej zdarza się, że jesteśmy w komplecie. Poprosiłem tylko sekretarkę, aby została trzy godziny dłużej, może być przydatna. Rostek, nie wysłałeś mi obiecane zdjęcia.

— Jakiego zdjęcia? Aa, pamiętam. Słuchaj, nie mam w swoim telefonie takiej funkcji, pewnie dlatego, że jest na

kartę prepaid. Ale może dasz radę skopiować zdjęcie na swój aparat? — Ron wyciągnął komórkę.

— Ja nie potrafię. Ale pani Ania będzie umiała. Młode pokolenie, cyfrowe. Masz tam coś jeszcze, czego nie trzeba przenosić?

— Nie, tam są tylko zdjęcia z Libii, możesz je sobie wszystkie zgrać.

Jacek wrócił po niedługiej chwili.

— Nie wiedziałem, że to takie proste! Już je mam i zaraz wyślę naszemu Jamesowi Bondowi. Niech ma udany weekend. A teraz wróćmy do poważniejszych spraw. Więc mamy do przygotowania pełnomocnictwa dla mnie na nieruchomości. Mam dla ciebie interesujące oferty, może cię zaciekawia. Ale opowiem, jak przyjedzie Andrzej, notariusz, bo nie chce mi się dwa razy powtarzać. Coś jeszcze?

— Pełnomocnictwa do urzędu stanu cywilnego, rejestracja aktu małżeństwa. No i ten depozyt. — Ron wyciągnął aktówkę. — Jest tutaj dokładnie trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro.

— Z pieniędzy zrobimy depozyt notarialny a conto nieruchomości, którą masz zamiar kupić. O, o wilku mowa... Cześć, Andrzej, już się obawiałem, żeś jako rodowity warszawiak pomylił adresy — śmiał się Jacek. Oto nasi przyjaciele i klienci, państwo Tazerwalt i Ron Haribowie.

— Andrzej Poprzeczka — przedstawił się notariusz. W odróżnieniu od wysokiego, szczupłego adwokata notariusz był mężczyzną krępy, wręcz krągły, z łysiną i rozlaną twarzą. Otarł chustką pot z rozległego czoła. — Jacku, poczęstujesz mnie czymś do picia? Może być whisky, bo miałem trudny dzień.

— Nie mów tylko, że ci się nie opłacił. Ron, jeśli uważasz, że ja jestem kutwą, to informuję cię, że Andrzej potrafi wycisnąć pieniądze nawet z suchej gałęzi jałowca.

Jacek śmiał się i już niósł butelkę, wiaderko z lodem i szklanki.

— Ron, napijesz się? Ach, prawda, prowadzisz. Tazerwalt, tobie nawet nie proponuję, bo to nie szampan Krug Cuvee, a jakiś szkocki malt.

Zebrali się w salce konferencyjnej, ponieważ gabinet Jacka, choć urządzony nieco zbyt kownie, o czym świadczył na przykład perski dywan na podłodze, był niewielki. Jacek zauważył wzrok Tazerwalt szacujący kobierzec i pospieszył z wyjaśnieniami.

— Ten dywan to część honorarium. Gość nie miał już gotówki, więc zapłacił towarem — śmiał się. — W domu go nie położę, bo mi go mój kot zasika. Uwielbia sikać na frędzle.

Ron czuł, że jego przyjaciel jest w swoim żywiole. Energiczna, kreatywna osobowość Jacka potrzebowała nowych wyzwań i zawsze, gdy na horyzoncie rysowało się jakieś interesujące zadanie, zwłaszcza jeśli łączyło się to z zapachem pieniędzy, rozkwitał dobrym humorem i gościnnością.

— Andrzej, rozumiem, że jesteś z kierowcą? Świetnie, ponieważ będziemy potrzebowali dodatkowej ochrony. Tak więc, przyjaciele, mamy do zrobienia kilka prostych operacji. Ron, tłumacz wszystko Tazerwalt. Po pierwsze, Ron Harib daje mi pełnomocnictwo do sprzedaży jego mieszkania na Braci Wagów. Ponieważ pomagałem mu w kupnie, mam odpis. Po drugie, Tazerwalt i Ron dają mi pełnomocnictwo do zakupu mieszkania. I, słuchaj, Andrzej, przekazują na ten cel w depozyt trzysta

pięćdziesiąt tysięcy euro. W tym miejscu wchodzisz do akcji ty, przedstaw swoją ofertę.

Okrągłolicy notariusz pociągnął zdrowy łyk ze szklaneczki.

— Jeśli w największym skrócie, to rzeczy przedstawiają się następująco: miałem poświadczyć umowę kupna-sprzedaży mieszkania na Marymoncie, w nowym budownictwie, przy Gojawiczyńskiej. Świetna lokalizacja. Niedaleko metra, przy cichej uliczce, zamknięte kondominium. Kupujący w ostatniej chwili się wycofał, a dokładniej: nie porozumiał się ze sprzedającym co do terminu i sposobu płatności. Właściciel potrzebuje pilnie pieniędzy i jest gotów oddać mieszkanie za osiemset pięćdziesiąt tysięcy. Ale pod warunkiem, że płatność nastąpi natychmiast i najlepiej gotówką. Uważam, że to, jak na dzisiejsze warszawskie realia, niezwykle atrakcyjna oferta. Gdy więc Jacek zadzwonił i powiedział, że szukacie mieszkania, to uznałem, że spadliście temu facetowi prosto z nieba. Jeśli spodoba się wam jego lokal, to możemy sfinalizować transakcję nawet jutro. Od strony prawnej wszystko jest sprawdzone.

Ron tłumaczył dokładnie Tazerwalt słowa notariusza. Dziewczyna nie okazywała specjalnego zainteresowania, ale była gotowa obejrzeć proponowaną nieruchomość.

— Jesteś pewien, że to dobra lokata pieniędzy? — zapytała męża.

— Myślę, że tak. Za taką kwotę zawsze możemy to sprzedać.

Jacek, widząc brak entuzjazmu wobec — jak podkreślał — fantastycznej propozycji, rzucił:

— Andrzej, Ron poszukuje pałacu na wodzie, z hektarami lasu. Ale nie ma jeszcze kasy. A pamiętasz, ile ofert ci przesłałem? — żartował.

Umówili się, że następnego dnia w południe, mimo soboty, pojedą do notariusza, aby obejrzeć mieszkanie na Gojawiczyńskiej. Andrzej wychylił drugą szklaneczkę i zaczął się spieszyć.

— Muszę pojawić się w domu, nim mnie żona przepędzi.
— Poprosił Jacka o opieczątowanie teczki z pieniędzmi, zadzwonił po kierowcę, którego budzące respekt gabaryty faktycznie predestynowały go także do funkcji ochroniarza, podpisał pokwitowanie, pożegnał się i wyszedł z aktówką wartą grubo ponad milion złotych.

— Macie aż takie do siebie zaufanie? — zapytał Rościsław, zaskoczony nieco bezceremonialnością, z jaką obaj prawnicy przekazują sobie tak wielkie sumy.

— Andrzej pracuje z naprawdę poważnymi klientami i, uwierz, milion złotych to nie jest kwota, która robi na nim specjalne wrażenie. Widziałem, że masz zastrzeżenia co do tego mieszkania. Coś ci nie pasuje? Przecież sam prosiłeś o szybką wymianę lokum.

— Nie chodzi o to, żeby mi się nie podobało miejsce czy metraż. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc, ponieważ ja musiałbym szukać na rynku bez gwarancji, że nie kupię w końcu kota w worku. Zastanawiam się tylko, czy naprawdę jest nam potrzebne mieszkanie w Warszawie. — Ron postanowił wprowadzić Jacka w ich plany. — Nie mamy pewności, czy będziemy mieszkać w Polsce. Chcemy wkrótce wyjechać do Rzymu, mówiłem ci. Być może Włochy albo Francja byłyby lepszym wariantem. Ze względu na Tazerwalt. Wiesz, jak u nas odnoszą się do cudzoziemców, a do tego muzułmanów.

— Nie musicie przecież mieszkać w Warszawie. A lokum w mieście zawsze się przyda, zwłaszcza że teraz cię na to stać. À propos, pamiętasz mój ostatni e-mail? Ten, gdzie ci pisałem o pałacyku, który Agencja Nieruchomości Rolnych

wystawiła na sprzedaż? Las, jezioro, głusza. Jeśli nie pasuje ci mieszkanie na Marymoncie, to może zainwestujesz pieniądze w tę nieruchomość? Urządźcie sobie tam hotel albo jakieś sanatorium, oddacie w dobry zarząd. Zasyjecie się na końcu świata, a dokładniej na końcu Polski, bo to gdzieś przy granicy z Niemcami, nikt nie będzie wam dokuczał i będziecie sobie prowadzili spokojne życie na prowincji. Zawsze o czymś takim marzyłeś.

— Tazerwałt — zwrócił się Ron żartobliwym, lekkim tonem do żony — Jacek chce nam sprzedać pałac w lesie i nad jeziorem. Wchodzimy w to?

Tazerwałt nie wychwyciła ironii w jego głosie i zupełnie poważnie zapytała:

— A ile by to nas kosztowało?

— Jacku, żona wyraża zainteresowanie. — Rościsław nie porzucił konwencji żartu. — Ale nie jest pewna, czy będzie nas stać.

Adwokat wyczuł, że za kurtyną ironii w głosie Rona poruszył się niewyraźny kształt skrywanego marzenia. Miał swoje plany związane z tą transakcją, a przede wszystkim miał obietnicę prezesa lokalnego oddziału agencji rolnej, że jeśli znajdzie kupca za trzy miliony, to jego kancelaria otrzyma niezwykle intratne zlecenie, które może mu przynieść setki tysięcy zysku.

— Jeśli macie milion, to spokojnie możecie wziąć dwa miliony kredytu pod hipotekę. Przyznaję, trzeba zainwestować w remont jeszcze jakieś pięćset, sześćset tysięcy, ale jakby odpicować ten dworek, to będzie wart kilkanaście milionów. — Jacek już zapalał się na myśl, że w takim miejscu można by urządzić na przykład dom opieki dla starych ludzi z Niemiec i zgarniać pieniądze łopata.

— Więc dlaczego sam w to nie wejdiesz? A jeśli pałacyk jest tak atrakcyjny, to dlaczego są kłopoty ze sprzedażą? —

Ron dobrze wiedział, że szczęśliwe losy bywają tylko w totolotku, z szansą trafienia jedną na sto czterdzieści milionów.

— Nie mam trzech milionów. Mam pół miliona, ale kredytu do spłacenia, ponieważ rozwód sporo mnie kosztował. Poza tym co ja bym tam robił? Bo musisz wiedzieć, że to totalne zadupie, do najbliższej wsi są chyba ze cztery kilometry leśnej drogi. To oferta dla amatora cichych miejsc, zagubionych w lasach.

Tazerwałt poprosiła, aby Jacek dokładnie opisał jej położenie dworku i sam budynek. Adwokat niewiele jednak miał do powiedzenia ponad to, co już przekazał.

— Mogę pokazać zdjęcia, tylko nie wystraszcicie się wewnątrz. Część budynku jest już odnowiona.

Najwidoczniej odnowiona była tylko część pomieszczeń wewnątrz, ponieważ fotografie ukazywały ładną, dużą bryłę domu z dużej odległości, jakby sprzedający chciał ukryć przed potencjalnym nabywcą felerę i niedoskonałości elewacji. Za to piękne stare drzewa i przebijające zza nich lustro wody oddawały głębię perspektywy rozległego parku. Pokoje urządzone w najróżniejszych stylach. Zapewne przez ostatnie kilkadziesiąt lat budynek wielokrotnie zmieniał swoje przeznaczenie i właścicieli, z których każdy dostosowywał go do swoich potrzeb. Dominował późny Gierek — łącznie z tym, że niektóre pomieszczenia były wyłożone boazerią.

— Ron — Tazerwałt uważnie oglądała zdjęcia i nieoczekiwanie przeszła na arabski — powinniśmy kupić ten dom.

— Kochanie, to duży wydatek, a jeszcze większe wyzwanie... — Rościsław był zaskoczony decyzją Tazerwałt.

— Przecież marzyłeś o takim! Czymże byłoby życie, gdybyśmy nie starali się urzeczywistnić naszych marzeń?

Mamy pieniądze i trzeba je mądrze wykorzystać. A i ja będę się tam dobrze czuła. Zobacz, ile drzew, ile wody. — Córka amenukala już podjęła decyzję i Ron zdawał sobie sprawę, że próba odwiedzenia jej od zamiaru nie ma sensu. Ponadto pieniądze, jakie mieli, należały do jego żony.

Rościsław na poczekaniu zmyślił nową historię:

— Jacku, być może brat Tazerwałt przywiezie resztę majątku jej rodziny, resztę posagu. Jeśli nie, sprzedamy mieszkanie, którego jeszcze nie kupiliśmy, i weźmiemy kredyt.

— Tylko trzeba się spieszyć. Oferta jest ważna do końca roku. — Mecenas nie chciał wtajemniczać przyjaciela w szczegóły skomplikowanego układu, w którym lokalne polityczne interesy prezesa oddziału Agencji Nieruchomości Rolnych odgrywały nie mniejszą rolę niż komercyjna strona transakcji. Partie polityczne w Polsce były wprawdzie finansowane z budżetu państwa, ale tajemnicą poliszynela pozostawało, że partyjne konta, a tym bardziej prywatne kiesy lokalnych baronów, były zasilane strumieniami pieniędzy z najróżniejszych źródeł, nie zawsze zgodnych z prawem, jak na przykład operacje z nieruchomościami pozostającymi w zarządzie najróżniejszych fundacji, agencji i funduszy.

— Dobrze. Dam ci pełnomocnictwo do nabycia tego domu. Tylko tak przygotuj umowę kupna-sprzedaży, aby termin płatności wypadał za jakieś trzy, cztery tygodnie, nie wcześniej. — Ron zżymał się w duchu na swoją uległość i dziwił się łatwości, z jaką godził się na wielomilionowy wydatek. Ostatecznie płacił jednak nie ze swojej kieszeni.

— Nie ma sprawy. Byle do końca roku. Wydanie nieruchomości może nastąpić już po uiszczeniu pierwszej raty. Bo obecni tak zwani właściciele nie bardzo wiedzą, co z nią robić, i nie mają kasy ani na remont, ani na

utrzymanie. Załatwianie kredytu trochę potrwa. Mogę się tym oczywiście zająć. — Adwokat był gotów nawet osobiście wziąć pieniądze z banku i zawieźć sprzedającemu. Kontrakt na obsługę prawną bogatej agencji miał już prawie w kieszeni. Wprawdzie na brak pieniędzy nie narzekał, bo chociaż miał trochę kredytów, to jednocześnie sumy znacznie wyższe ulokował w bardzo dochodowych interesach, ale regularny, comiesięczny zastrzyk kilkudziesięciu tysięcy złotych bardzo by polepszył jego sytuację finansową. Był pełen podziwu dla swojej siły przekonywania. A Rościsław zastanawiał go coraz bardziej.

Zadzwoił telefon.

— To mój, przepraszam. — Jacek wyszedł z pokoju.

„Pewnie któraś z licznych przyjaciółek” — pomyślał Ron. „Oj, Jacek, Jacek. Jest takie powiedzenie: garbatego tylko trumna może wyprostować”.

Adwokat rozmawiał krótko, bo za chwilę wrócił.

— Kochani, muszę bieć. Interesy, rozumiecie... — uśmiechnął się.

— Interesy, rozumiemy... — Ron uśmiechnął się w odpowiedzi.

Dzięki temu, że wrócili wcześniej, mógł porozmawiać z Tazerwalt o jej zaskakującej decyzji dotyczącej kupna nieruchomości.

— Dlaczego tak szybko? Przecież nie widziałaś tego domu, nawet nie wiesz, gdzie to jest.

— Ron, kochany, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Jesteś człowiekiem Zachodu, szukasz wytłumaczenia, racjonalnych przyczyn, liczysz, porównujesz. Zbyt krótko żyłeś na pustyni, wśród nas. Ludzie Zachodu mówią, że wierzą w jedyne Boga, a nie umieją czytać innych jego znaków niż te, które widzą na papierze lub ekranie

komputera. Zaufaj mi. I wsłuchaj się w siebie. Odnajdź w sobie małego chłopca, który nie ma jeszcze w sobie lęku dorosłego mężczyzny, bojącego się utraty. Kel Adżdżar nie czują strachu, ponieważ nie straszą im strata majątku, pozycji społecznej, nawet życia. Po prostu wiemy, że wszystko, co się nam przydarza, ma głęboki sens, nawet wówczas, gdy nie potrafimy go dostrzec.

Rościsław westchnął w duchu. Ona żyła w innym świecie. A może to on dał się z niego wypchnąć i tego nie zauważył?

Tazerwałt wzięła prysznic, przebrała się w piżamę i leżąc na łóżku, przerzucała kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś francuskiego lub arabskiego programu. Ron postanowił zabrać się do rozwikłania tajemnicy nieśmiertelników znalezionych w grobie Rainera. Zakładał, że uda mu się znaleźć historyka specjalizującego się w wojskowości III Rzeszy. Uznał jednak, że zanim zasięgnie opinii eksperta, musi przygotować się do takiej rozmowy. Mając wystarczająco wiele czasu i cierpliwości, w internecie znaleźć można zaskakująco wiele informacji.

Zaczął od bardziej zniszczonego nieśmiertelnika, na którym w trzech rzędach zapisano: FL.MGDBG II/JG27 53612. Litery wyryte w pierwszym rzędzie, FL.MGDBG, miały ewidentnie związek z Magdeburgiem, FL mogło być skrótem od *Flieger* — lotnik albo od *Flughafen* — lotnisko; na pewno coś z lotnictwem. Wpisał w okno wyszukiwarki fragment z drugiego rzędu, „JG 27”. Pierwszym hasłem, jakie się pojawiło w odpowiedzi, był artykuł w anglojęzycznej Wikipedii, który właściwie wyjaśniał wszystko. JG 27 oznaczało „Jagdgeschwader 27”, czyli 27. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. Druga grupa pułku („stąd zapewne rzymskie II” — domyślił się) została sformowana w styczniu 1940 roku w Magdeburgu, a we wrześniu 1941, wyposażona w nowe myśliwce Messerschmitt Bf 109, dołączyła do reszty pułku w Afryce Północnej walczącego w

składzie Afrika Korps od kwietnia 1941 roku. Rainer był więc pilotem tego pułku, a liczba 53612 to zapewne numer jego akt osobowych lub numer mobilizacyjny. Ron był przekonany, że znając numer osobisty pilota, odnajdzie w archiwach niemieckiego ministerstwa obrony lub wśród znawców tematu wyjaśnienie, kim był człowiek, którego mumia spoczywa w jaskini Tamazzalt.

Skoro pierwszy nieśmiertelnik należał do Rainera, nasuwało się oczywiste pytanie, kim był Külz R., do którego należał drugi aluminiowy identyfikator. W podaniach Kel Adżdżar ani razu nie pojawił się inny żołnierz. Tylko raz Agwelid wspomniał, że gdy spadł samolot, wojownicy poszli w miejsce katastrofy i znaleźli tam szczątki maszyny i ciała dwóch lotników. Być może nieśmiertelnik został zdjęty z szyi jednego z nich. Idąc tropem wcześniejszych poszukiwań, Ron wpisał do wyszukiwarki „SAF 0147”. Kilkanaście minut przeglądania tekstów we wszystkich dostępnych językach nie przyniosło żadnego rezultatu. Odrzucił liczbę 0147, wpisał samo słowo SAF. Również nic — nic, co w jakikolwiek sposób wiązałoby się z drugą wojną światową i wojskowością. Przyjrzał się raz jeszcze aluminiowej blaszce; zachowała się naprawdę w bardzo dobrym stanie. DRSDN na pewno oznaczało Dresden, czyli Drezno. Wpisał „Dresden” do wyszukiwarki, a później dodał „12 KÜLZ R”. Wśród wyników wyszukiwania pojawił się adres: Dr.-Külz-Ring 12, 01067 Dresden, Deutschland.

Külz R. to nie było nazwisko i pierwsza litera imienia. To był adres!

Pod adresem Külz-Ring 12 znajdował się wielki biurowiec, którego fasadę mógł nawet obejrzeć na zdjęciach Google’a. Wśród kilku instytucji, jakie się tam mieściły, był też drezdeński oddział Commerzbanku.

Wszystkie elementy ułożyły się we właściwej kolejności i w odpowiednich miejscach, jakby wreszcie zebrał

skomplikowaną układankę puzzli. Amastan, który pozostawił jakąś informację czy depozyt w banku, w doskonale znanym sobie kraju, gdzie czuł się jak w domu, zapisał adres w formie nieśmiertelnika i zawiesił go na szyi mumii pilota. A że nikt poza nim, Agwelidem i Tazerwalt nie znał miejsca pochówku Rainera, to tylko członkowie rodziny amenukala Kel Adżdżar mogli ten adres odnaleźć. Nawet gdyby przypadkiem ktoś niepowołany natrafił na zwłoki, nie zdołałby rozszyfrować wiadomości.

— Tazerwalt, wydaje mi się, że odnalazłem wskazówkę od Amastana. Musimy jechać do Drezna.

— Ama studiował w Dreźnie — powiedziała. — Kiedy wyjeżdżamy?

— Nie musimy się specjalnie spieszyć, ale też nie ma co zwlekać. Myślę, że za parę dni moglibyśmy wyjechać. Najpierw kupimy to mieszkanie, musimy przecież gdzieś mieszkać, a nie ciągle tułać się po hotelach. Później trzeba będzie zarezerwować noclegi, pomyśleć o transporcie...

— Polecimy samolotem czy pojedziemy pociągiem? Jeśli dobrze pamiętam mapę, to Drezno znajduje się niedaleko granicy z Polską.

— Zastanawiam się.

Ron nie sądził, aby pomysł z samolotem, który wydawał się oczywistym środkiem transportu, był najlepszy. Linie lotnicze rejestrują pasażerów, a takie rejestry można zhakować.

— A może zrobimy sobie małą wycieczkę samochodową po Europie? Chociaż jest tu chłodniej niż w Libii, to zapewniam: podróżowanie będzie znacznie bardziej bezpieczne i przyjemniejsze.

XLI

Mieszkanie na Marymoncie rzeczywiście zasługiwało na reklamę, jaką zrobił mu notariusz. Lokal mieścił się w jednym z czterech niewielkich budynków tworzących zamknięte osiedle, ochraniane przez wysoki metalowy płot i dyżurującego portiera przy wjeździe. Właściciel mieszkania najwidoczniej zlecił prace dobremu projektantowi, gdyż układ pokoiów i każdy szczegół wnętrza były starannie przemyślane. Urządzone w ciepłym, jasnym kolorze herbacianej róży, sprawiało wrażenie znacznie obszerniejszego niż wspomniane osiemdziesiąt metrów. Efekt dużej przestrzeni uzyskano, powiększając salon, który zajmował pewnie z połowę powierzchni, i zastępując klasyczne, drewniane drzwi przesuwanymi matowymi szklami kryjącymi się w ścianach. Ronowi podobały się i kolory, i dość minimalistyczny wystrój mieszkania, w którym nie było zbędnych mebli, bibelotów i wszystkich tych rzeczy, które w codziennym życiu najczęściej są mało przydatne, a zajmują wiele miejsca.

Zatopieni myślami w czekającej ich w najbliższych dniach podróży do Niemiec, Ron i Tazerwałt nie okazywali jednak większego entuzjazmu, co Andrzej uznał za brak zainteresowania i rozpląwał się w zachwytach nad mieszkaniem z zapalem słowika, który doczekał pierwszej ciepłej majowej nocy.

— A spójrzcie państwo, jak przemyślnie urządzono łazienkę... Proszę spojrzeć na balkon, jaka przestrzeń; można wyjść na niego bezpośrednio z salonu. I to od południowej strony... A meble... właściciel zostawia je, bo

są robione na zamówienie i dostosowane do wymiarów pokoi...

Rościsław spojrział na żonę. Ta orzekła krótko:

— Idealne. Bierzemy. Tylko jest jakieś takie... bezosobowe.

— Może przywiozę kilka drobiazgów ze swojego starego mieszkania? — zaproponował. — Nadadzą wnętrzu wyrazu... — Andrzej — zwrócił się do notariusza — podoba się nam. Kupimy je. — Aby jednak prawnik na podstawie tak szybko podjętej decyzji nie powziął podejrzeń, zastrzegł: — Te trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro to absolutnie wszystko, co teraz mamy. A przecież musimy jeszcze za coś żyć, bo wiesz, jak bywa z moją pracą: raz jest, a raz jej nie ma. Musisz więc skłonić właściciela do obniżenia ceny do ośmiuset dwudziestu, ośmiuset trzydziestu tysięcy.

— Da się zrobić. — Notariusz był zaskoczony i uradowany. — Rozumiem, że wszystkie formalności i rozliczenia będą z Jackiem? A może zdążycie sami się tym zająć?

— Chcielibyśmy, bo to nasza życiowa inwestycja. Ale musimy dość pilnie wyjechać, więc Jacek obiecał wszystkim się zająć.

Notariusz westchnął w duchu. Rozmowy biznesowe z Jackiem, chociaż mienili się przyjaciółmi, zapowiadały minimalny zysk i maksimum roboty. Z drugiej strony tym, że tak szybko, w ciągu trzech dni, udało mu się znaleźć nowego kupca, i to bez pomocy agenta nieruchomości, zyska wdzięczność właściciela, który nie będzie musiał płacić trzydziestu tysięcy za pośrednictwo. I o tyle może spokojnie obniżyć cenę lokalu. A właścicielem mieszkania był znany biznesmen i polityk, który miał rozległe powiązania. Przyjaźń i wsparcie takiego człowieka warte były dużo więcej niż kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Już po powrocie do hotelu Ron zadzwonił do Jacka, przekazując mu pozytywną decyzję dotyczącą kupna mieszkania.

— Jeśli w takim tempie będziecie wydawali pieniądze, to zostaniecie bez grosza, nawet jeśli twoja żona przywiozła milion dolarów — zażartował mecenas.

Ron nie podjął tematu. Chociażby dlatego, że po zdeponowaniu trzystu pięćdziesięciu tysięcy euro i założeniu kilkudziesięciu kont w torbie nadal pozostawało ponad półtora miliona euro, wszystko w nowych banknotach po pięćset euro, z którymi nie bardzo wiedzieli, co mają zrobić.

— Może jej rodzinka coś nam podeśle — zażartował w odpowiedzi. — Właśnie, Jacku, także w tej sprawie. Chcemy pojechać do Rzymu, ale autem. Pokażę Tazerwalt trochę Europy, pojeździmy po północnych Włoszech, to jedno wielkie muzeum. Ale są też sklepy z najmodniejszymi ciuchami. Każde z nas coś tam znajdzie dla siebie. Tylko nie chciałbym brać samochodu z wypożyczalni; jest trochę za mały jak na taką drogę, przydałby się większy, bardziej bezpieczny wóz. Wspominałeś coś o swoim volvo... Mógłbyś go nam użyczyć?

— Wiesz, jeśli mam być szczery, to chciałem je opchnąć. Jest w doskonałym stanie i chociaż ma kilka lat, to niewiele ponad siedemdziesiąt tysięcy na liczniku. Po co mi dwa wozy? Ada ma swój. Ale mogę ci je na razie pożyczyć.

— A może po prostu je nam sprzedasz? Trochę pieniędzy z tego depozytu u Andrzeja zostanie.

Umówili się, że Jacek podpisze akt użyczenia mu auta, a jeszcze dzisiaj weźmie od rzeczoznawcy wycenę i tak określoną cenę Ron zapłaci mu po powrocie do Polski.

— Inaczej nie wyrobimy się z dokumentami. Sprzedam ci najtaniej, jak tylko można — zapewniał Jacek.

I tym razem był nie tylko szczerzy, ale i zdecydowany spuścić cenę. Perspektywa wielkiego dealu ze sprzedażą domu przy niemieckiej granicy i — co za tym szło — kontraktu jego kancelarii z Agencją Nieruchomości Rolnych nęciła tak mocno, że mecenas Dąbrowski rzeczywiście skłonny był odejść tym razem od zasady, że każdy klient, skoro odwołuje się do adwokata, niezależnie od sprawy, ma nadmiar pieniędzy, których chce się pozbyć.

— Jutro wieczorem kierowca przyprowadzi ci volvo na hotelowy parking i odbierze opła. Kiedy macie zamiar wyjechać?

— Za kilka dni. Ale im szybciej będzie samochód, tym sprawniej się zbierzemy.

Po tym, jak załatwił sprawę transportu, Ron zabrał się do kwestii noclegów. Najprościej byłoby po prostu wejść na wyspecjalizowaną stronę — booking.com czy travelplanet.pl — i zarezerwować hotel. Ślad takiej operacji zostaje jednak nie tylko w systemie wyszukiwania i bukowania miejsc, ale też w samych hotelach i na karcie kredytowej. Listy gości hotelowych są rutynowo zbierane przez służby wywiadowcze całego świata — na wszelki wypadek. Postanowił więc skorzystać z serwisu Airbnb.

Założony przed kilkoma laty przez dwóch młodych przedsiębiorczych Kalifornijczyków, serwis kojarzy prywatnych właścicieli mieszkań i domów z potencjalnymi chętnymi na krótkookresowy najem. W kilkunastu tysiącach europejskich miast półtora miliona osób oferuje swoje lokale. Żaden z właścicieli nie jest jednak specjalnie zainteresowany, aby organy podatkowe, ani jakiegokolwiek inne, dowiadywały się, komu, na jak długo i za jaką cenę nieruchomość wynajęto.

Ron kiedyś zarejestrował się jako użytkownik tego serwisu, planując spędzić dwa tygodnie wakacji w Grecji. Z

wyjazdu do Aten nic wówczas nie wyszło, ale rejestracja przydała się kilka miesięcy później do wynajęcia połowy małego domku na przedmieściach Londynu, gdy postanowił doszlifować swój angielski. A że za darmo zreperował w domku cieknący nad wanną kran i wymienił przepalony przewód w kuchence, właścicielka napisała taką entuzjastyczną rekomendację przy jego nazwisku, że każdy z oferujących swoje mieszkanie czy dom musiał nabrać do niego zaufania.

Aby dodatkowo się zabezpieczyć, Ron rozsyłał zapytania do właścicieli nieruchomości tak, aby móc wynająć w każdym miejscu po dwa różne lokale z dwu- lub trzydniowym przesunięciem dat. Tym samym pozostawił sobie możliwość elastycznego dostosowania długości pobytu w konkretnym mieście do okoliczności, a jednocześnie utrudniał nieco ewentualne próby zlokalizowania go.

Miał nadzieję, że dzięki systemowi Airbnb i samochodowi zarejestrowanemu na nazwisko adwokata uda mu się przejechać przez całą Europę bez pozostawienia śladów, tak jak udało się przebywać w Warszawie, gdzie tylko ruchy na kontach bankowych mogły ujawnić, że Ron Harib jest w mieście. Liczył jednak, że banki strzegą swoich tajemnic skrupulatniej niż najbardziej szczelne służby państwowe. Nie mając lepszego pomysłu, co zrobić z torbą pieniędzy, postanowił pozostawić je w banku, naturalnie nie na koncie, gdyż żaden bank nie przyjmie takiej sumy w gotówce, nie przyciągając uwagi organów finansowych i innych, lecz w schowku. Jego rodzimy bank, o czym dowiedział się z broszury reklamującej nowe produkty, oferował wynajem skrytek. Za jedyne czterysta złotych wypożyczył na rok schowek w najbliższym oddziale, tuż przy Marszałkowskiej. Pieniądze, rozłożone w dwa pakiety, zajęły całą, niewielką zresztą przestrzeń skrytki, zamykanej na dwa różne klucze. Pracownik banku przy podpisywaniu

umowy przestrzegł Rona, że klucz, który otrzymał, nie ma duplikatu i w razie zagubienia go będzie musiał zapłacić sporą kaucję za wymianę całego zamka. Drugi klucz, domykający, pozostawał w banku.

Ron bardzo szczegółowo wypytywał o wszystkie zabezpieczenia, jakie są stosowane przy tego rodzaju usługach — czy zawsze używane są klucze, czy może karty lub kody, jakie są wielkości skrytek, na jak długo można je wynajmować, na podstawie jakich dokumentów identyfikuje się właściciela... Domyślał się, że podobne rozwiązanie zastosował Amastan, deponując zapewne jakieś dokumenty w oddziale Prager Strasse Commerzbanku w Dreźnie. Usiłował uzyskać dodatkowe informacje w Dreźnie, ale przez telefon dowiedział się jedynie, że oddział pracuje pięć dni w tygodniu, z tym że w środę i piątek tylko do godziny czternastej, i że usługa wynajmu skrytek bankowych jest dostępna.

Jacek zadzwonił następnego dnia przed południem, gdy robili zakupy w Galerii Mokotów, uzupełniając przed wyjazdem z kraju swoją bardzo ubogą garderobę. Nie mogli zabrać zbyt wielu rzeczy, ale nie chcieli też tracić czasu w Niemczech na bieganie po butikach. Ron nie zapomniał też o farbie do włosów — uwaga żony o jego siwiźnie trochę podrażniła jego próżność.

Adwokat poinformował, że auto jest gotowe i pod wieczór będzie w hotelu, i przeproszał, że dzisiaj nie może się z nimi spotkać. Ron wyczuwał, że kurtuazja nie jest prawdziwym powodem telefonu mecenasa.

— Słuchaj, Rostek, ten gość z Agencji bardzo chce się z tobą zobaczyć. Mówiłem mu, że szykujesz się do wyjazdu, ale on nalega. To ważna figura. Mogę dać mu twój numer telefonu?

— Nie mam chyba specjalnego wyboru. Z władzą trzeba się jakoś dogadywać.

Ważna figura z Agencji Wywiadu skontaktowała się kilka minut po telefonie Jacka.

— Dzwonię z rekomendacji pana mecenasa Dąbrowskiego. Muszę pilnie porozmawiać z panem osobiście.

— Bardzo chętnie, tylko widzi pan, jutro, pojutrze chciałbym wyjechać na kilka dni do Włoch. — Ron rozmyślnie podbijał cenę.

— Tak, wiem. Nie zajmę panu zbyt wiele czasu, ale sprawa jest bardzo poważna. Gdzie pan teraz jest?

Ronowi nie chciało się jechać gdzieś na drugi koniec Warszawy. Wskazywanie hotelu byłoby jeszcze gorszym rozwiązaniem.

— Robimy zakupy. Właśnie wychodzimy z Galerii Mokotów i zdążamy w stronę Domów Centrum i Złotych Tarasów.

— Aha. W takim razie spotkajmy się może w Borpince, to winiarnia na Zgody. Mają dobre węgierskie wina i niezłą kuchnię. Niech pan będzie sam. Za godzinę?

— Może trochę później. Za półtorej? Dobrze. Za dziewięćdziesiąt minut w Borpince. Jak pana rozpoznam?

— Ja rozpoznam pana. Z opowieści mecenasa Dąbrowskiego zapamiętałem, że ma pan młodzieńczą twarz i zupełnie siwe włosy. To dość rzadkie połączenie, nieprawda?

„Zdecydowanie Tazerwalt ma rację. Siwizna przyciąga uwagę. Muszę zmienić kolor włosów” — pomyślał.

Ron odwiózł żonę do hotelu. Zamierzał zostawić auto, ale siąpiący deszcz zniechęcał do spaceru, postanowił więc podjechać na ulicę Zgody, mając nadzieję, że w okolicach hotelu Gromada znajdzie wolne miejsce parkingowe.

— Wrócę za godzinę, najdalej dwie. Bądź więc cierpliwa i grzeczna. — Ucałował Tazerwalt.

— Nie musisz się spieszyć. Proponuję, abyśmy poszli na obiad nie wcześniej niż o siedemnastej, a ja się w międzyczasie chwilkę zdrzemnę. Niezbyt dobrze się czuję.

— Pewnie ta pogoda tak na ciebie wpływa. Będę na czas. W razie czego zadzwonię.

Schodząc schodami do prawie piwnicznych pomieszczeń restauracji Borpince, Rościśław zastanawiał się, dlaczego agent z Miłobędzkiej właśnie tutaj wyznaczył mu spotkanie. Bo przecież nie z powodu serwowanej w lokalu oryginalnej kuchni węgierskiej. Może dlatego, że łatwo było tu ukryć się w jakiejś salce lub za załomem ceglanej ściany? A może dlatego, że grube stare mury i nisko położone sale tłumiły zasięg sieci komórkowych? Trzeba przyznać, że restauracja miała niepowtarzalny klimat, a długie baterie win z Węgier obiecywały nietuzinkowe doznania smakowe.

Mężczyzna, który podszedł do niego, mógł występować w filmach i bardziej w roli amantów niż szpiegów. W czymś przypominał aktora Michele Placido, którego Ron zapamiętał z serialu o włoskiej mafii. Wysoki, ze starannie ułożoną fryzurą, idealnie równo przyciętymi wąsami i dyskretnie ufarbowanymi na mocno ciemny blond włosami. „Przecież nie można mieć tak jednolitych włosów w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, a na tyle go należy oszacować” — pomyślał Ron. Uwagę przyciągały oczy, szaroniebieskie, uśmiechnięte, z żywymi iskrami zainteresowania. A może tak odbijało się światło świec?

— Jestem Raczkowski, od mecenasa Dąbrowskiego — przedstawił się amant obsadzony w roli szpiega.

Ron lekko się uśmiechnął. Człowiek z Miłobędzkiej mógł podać każde inne nazwisko, a nawet okazać dowód osobisty czy legitymację — jakież to miało znaczenie?

— Tak się naprawdę nazywam. — Agent-amant był w dodatku spostrzegawczy i domyślny. — Siądziemy? — Wskazał stolik w małej salce, niby przechodniej, ale tak skrytej, że gdy usiedli, stali się niezauważalni. — Czego się pan napije na start?

— Skoro jesteśmy w węgierskiej winiarni, to chyba poproszę o *aszú*. Tym bardziej że nie będę nic zamawiał do jedzenia. Śniadanie zjadłem późno, a na obiad za wcześnie.

— Tokaj zawsze jest dobry, chociaż osobiście nie przepadam za słodkimi winami. Jakie *aszú*? Ma pan jakieś ulubione gatunki?

Ron roześmiał się. Rozmówca stworzył mu okazję do ataku, jeśli mieli pozostawać w konwencji szachów.

— Proszę się nie obawiać, *kereskedőház*u nie zamówię.

Butelka tokaju *Kereskedőház* z dobrego rocznika może kosztować nawet pięćset euro.

— Jest pan znawcą węgierskich win? — Człowiek, który przedstawił się nazwiskiem Raczkowski, był zdziwiony lub udał zdziwienie. Rościsław odebrał pytanie jako zaproszenie do wynurzeń, a na to nie miał ochoty. Wzruszył więc tylko ramionami.

— Niespecjalnie. Ale *aszú*, przykładowo z Oremus z 2006 roku, napiłbym się.

Ron nierzadko miał do czynienia z ludźmi ze służb specjalnych, polskich i jeszcze częściej — obcych. Występowali jako dyplomaci, dziennikarze, handlowcy, kierowcy, ochroniarze... Wszędzie tam, gdzie toczyły się wojny, ściągali wysłannicy różnych wywiadów. Miejscowe służby wysyłały z kolei swoich przedstawicieli, którzy mieli za zadanie infiltrować przybyszy, podrzucać im informacje i fałszywe tropy, niekiedy tworzyć ambarasujące lub wręcz kompromitujące sytuacje, aby poszukiwać możliwości

werbunku. Gra stara jak świat. Niezależnie od narodowości i rodzajów służb Ron dzielił wywiadowców na dwie kategorie: jedni byli z rodzaju chłop łąta, drudzy — misjonarze. Pierwsi natychmiast łamali bariery, przechodzili na ty, mówili dużo i głośno, klepali po ramieniu, chętnie siadali do stołu i nie mieli nic przeciwko jak najbliższej znajomości z samotnymi dziennikarkami. Drudzy byli przekonani o dziejowym znaczeniu swojej misji i o własnej unikatowej mądrości, a bycie agentem służb wywiadowczych uważali za równoznaczne z przynależnością do wyższej kategorii znawców i ekspertów, przepustkę do świata tajemnej wiedzy, niedostępnej zwykłym śmiertelnikom. Rościsław z równą pobłażliwością traktował jednych i drugich, a tych ostatnich chętnie wpuszczał w maliny, opowiadając o niestworzonych rzeczach, na które łatwo się łapali, byle tylko okruchy faktów były w odpowiedniej proporcji podlane sosem tajemniczości i spiskowości.

Raczkowski należał do jeszcze innej kategorii. Był człowiekiem interesu. W rozmówcy widział nie tyle informatora, ile partnera, z którym należy dobić targu. I gdy już zamówili po lampce tokaju, od razu przystąpił do rzeczy.

— Mecenas Dąbrowski opowiadał mi o pańskiej misji w Libii i przekazał zdjęcie. Bardzo interesujące. W jakich okolicznościach pan je zrobił?

Ron dobrze pamiętał to zdjęcie. Starannie wybrał miejsce — pustynia i góry jako tło, sprzężona podwójna wyrzutnia rakietowa na bliższym planie. „Amerykanie powinni się na to złapać” — mówił Kassem.

— Umówmy się, że nie byłem w Libii z misją, a wykonywałem robotę dla Norwegów, dla norweskiej telewizji. To był cykl reportaży o krajach Magrebu i akurat wstrzeliliśmy się w wydarzenia w Libii. Na południu, jakieś

sto, może dwieście kilometrów od Sebhy, natknąłem się na punkt kontrolny jednej z milicji. Ci zatrzymali mnie, pokazałem dokumenty, porozmawialiśmy trochę. Powiedziałem, że robię reportaż o walce Libijczyków o wolność, i zapytałem, czy mogę ich sfotografować. Chętnie się zgodzili, a nawet pozowali.

— Zna pan arabski?

— Tak, mówię dość dobrze, więc dogadaliśmy się bez problemu.

— Nie pamięta pan może, co to był za oddział? Pod jakimi flagami? Jakies napisy?

Rościsław zmarszczył czoło, udając głęboki namysł, próbę przywołania w pamięci obrazów.

— Wydaje mi się, że na wozie pancernym była flaga trójkolorowa. Ale chyba widziałem też czarną, z napisem „Allah jest największy”. Nie dałbym sobie jednak za to uciąć palca. Rozumie pan... Byłem trochę zestresowany, bałem się. Na poboczu widziałem spalone samochody. Nie jestem wielkim znawcą tego regionu, ale jeśli miałbym sądzić na podstawie akcentu, z jakim mówili, i słownictwa, którego używali, to większość stanowili Tuaregowie, nawet nie z Libii, a z Nigru i Mali.

— Potrafi pan wychwycić różnicę? Spotkał się pan z nimi wcześniej?

— Tak, spędziłem trochę czasu w Ghat i w ich obozowiskach. Moja żona pochodzi z jednego z północnych tuareckich plemion. Stąd moje przypuszczenie.

— Więc może pan nawiązać kontakt z ludźmi, którzy mają takie wyrzutnie? — Raczkowski przeszedł do bezpośredniego ataku.

— No wie pan, tam trwa wojna. Nie mogę po prostu zadzwonić do czyjegoś domu i oczekiwać, że ten ktoś

odbierze telefon. Ale oczywiście istnieje szansa, że za pośrednictwem żony i jej rodziny, jeśli ktoś tam jeszcze pozostał, taki kontakt udałoby się nawiązać.

Ron uznał, że taka odpowiedź, zachęcająca, ale niebędąca deklaracją współpracy, wystarczy.

— Proszę pana, mamy taką oto sytuację. Wiemy, i z własnych źródeł, i od naszych przyjaciół, że podczas wojny domowej w Libii w ręce najróżniejszego autoramentu oddziałów milicji wpadło wiele broni z arsenałów Kaddafiego, w tym rakiety przeciwlotnicze. To, co pan uwiecznił na zdjęciu, to system zwany dżygit: dwie sprzężone ze sobą najnowocześniejsze rakiety rosyjskie typu Igła. Już jedna stanowi zagrożenie dla samolotów, a dwie praktycznie mają stuprocentową skuteczność. Nietrudno sobie wyobrazić, co może się dziać, jeśli te rakiety trafią do rąk dżihadystów. Amerykanie, ale także Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy bardzo się obawiają takiego rozwoju wydarzeń i starają się pozbierać cały ten szajs, zanim rozleje się po Bliskim Wschodzie.

— Domyślam się...

Ron pamiętał o dziesiątkach rakiet, które przejął i ukrył oddział Amastana.

— Pańska informacja ma ogromną wartość, gdyż dzięki niej można określić dokładniej lokalizację rakiety. Chodzi zresztą nie tylko o to, co zostało uwiecznione na zdjęciu, w ściśle określonym regionie i ze zdefiniowaną grupą bojową. Rzecz idzie o to, że to może być nitka prowadząca do kłębka. Informacja bardzo zainteresowała Amerykanów. Przedstawiciel ich ambasady chciałby się z panem spotkać osobiście. Może jutro zaaranżowałibyśmy wspólny obiad?

— To będzie trudne. Jutro z samego rana wyjeżdżamy z Polski.

Ron nie planował opuścić Warszawy już jutro, a jeśli by nawet tak było, to bez problemu mógł przesunąć godzinę czy nawet dzień wyjazdu. Uznał jednak, że na tym etapie operacji należy podbijać cenę i nie ułatwiać życia Amerykanom.

— Na jak długo?

— Myślę, że tydzień, może dziesięć dni. Zaplanowaliśmy małą podróż poślubną po północnych Włoszech. Zresztą wszystko, co wiedziałem, powiedziałem panu. Nie mam więcej nic do dodania.

— Sądzę, że Amerykanów interesują głównie okoliczności towarzyszące: miejsce, ludzie, jakieś szczegóły. A mógłbym przekazać im numer pańskiego telefonu? Jedzie pan do Rzymu przez Czechy?

„Jacek jest zbyt rozmowny. Trzeba będzie trochę dozować przekazywane mu informacje, to po pierwsze. A po drugie, Raczkowskiemu bardzo zależy na awansie w Agencji i potrzebuje wsparcia i życzliwości Amerykanów” — odnotował w pamięci Ron. „Wyjdźmy mu więc naprzeciw. I podkreślmy, że to on gra pierwsze skrzypce”.

— Zasadniczo nie mam nic przeciwko takiemu spotkaniu. Ale wolałbym, aby odbyło się w obecności pana lub upoważnionej przez pana osoby. A do Włoch pojedziemy trochę dokoła, przez Berlin i Monachium, bo chcę pokazać żonie Bawarię. Uparła się, że musi zobaczyć zamek w Neuschwanstein za mgłą. Myślę, że o tej porze roku z mgłą nie będzie problemu.

— Też sobie wyobrażałem, że spotkamy się z Amerykanami razem. Niemniej sytuacja jest dynamiczna i nasi przyjaciele zza oceanu bardzo się śpieszą.

Tokaj był chłodny, słodki i bogaty w odcienie smaków, prawdziwe *aszú* z piwnic Oremus. A rok 2006 był ostatnim, w którym furmint i hárslevelű, dwa podstawowe szczepy

winogron, z jakich wytwarza się tokaj, dały dobre owoce — chłody przyszły nie za wcześnie, nie za późno.

Człowiek z Miłobędzkiej przeszedł do podsumowań.

— Oczywiście wszystko, o czym mówimy, pozostaje między nami...

Ron niemal niezauważalnie się uśmiechnął.

— ...Chciałbym pana poprosić o podpisanie zobowiązania do nierozgłaszania tematu naszej rozmowy.

Rościsław zdziwił się. Nie oczekiwał, że oficer tak wysokiej rangi będzie próbował go werbować. Oczekiwał czegoś bardziej subtelnego. Poczł się nie tyle rozczarowany, ile zdegustowany. Najwidoczniej duch i zasady starych czasów, premiujące oficerów za liczbę werbunków, przeniosły się z Rakowieckiej do nowych służb. Przypomniał sobie opowieść byłego oficera I Departamentu MSW, który, śmiejąc się do rozpuku, opowiadał, że kiedyś wszyscy — jak to określał — „rysowali” werbunki i tajne źródła informacji. „Podejrzewam — mówił — że co najmniej połowa tych »agentów« nawet nie wiedziała, że zostali zakwalifikowani jako agenci. Ale za to była kasa i awanse, więc dlaczego mielibyśmy tego nie robić? A ileż to doktoratów dzisiaj z tego powstało! Znasz tę anegdotę? Jeden z jaskiniowców wybija kamieniem na skale różne symbole i znaki. Drugi pyta: »Co robisz? Przecież to nic nie oznacza«. »Ja to wiem, ty to wiesz — odpowiada rzeźbiący skałę — ale wyobrażasz sobie, jak będą się o to kłócili profesorowie za kilka tysięcy lat?«”.

Ron uśmiechnął się. Ilez to już razy próbowano z nim tych sztuczek.

— Proszę pana — pochylił się w stronę wysłannika z Miłobędzkiej — jestem oczywiście panu bardzo wdzięczny za pomoc udzieloną w Libii przy próbie wydostania stamtąd żony. Dlatego też przekazałem mecenasowi Dąbrowskiemu

tę fotografię i informację, wiedząc, że trafi do pana. Ale nie sądzi pan chyba, że podpiszę deklarację współpracy.

Raczkowski pozostał niewzruszony, może tylko trochę zawiedziony, że Ron tak go ocenił.

— Panie Harib, źle mnie pan zrozumiał. Nie mam najmniejszego zamiaru werbować pana. Po co mi to? I po co to panu? Sądząc po stanie pańskiego konta, Norwegowie nieźle zapłacili. Z taką kasą może pan wszystkim pokazać środkowy palec. Chodzi mi o to, żeby Amerykanie sądzili, że pan jest od nas. Bo znając naszych przyjaciół, wiemy, że będą starali się sami pana przejąć. I dlatego mam delikatną sugestię. Proszę tak rozmawiać, aby mieli wrażenie, że pan dla nas pracuje. Zyskamy na tym obaj. Pan: bo będzie pana chronił autorytet naszej firmy, a zapewniam, że nie jesteśmy na tym specyficznym rynku źle oceniani. I ja: bo podnoszę przypadek do rangi planowej operacji i mam, jeśli nawet nie asa, to wysoką kartę w ręku.

— Rzeczywiście, nie zrozumiałem pańskich intencji. Może pan w kontaktach z Amerykanami, Niemcami czy Francuzami śmiało czynić aluzje, że mamy niezwykle cenne źródła w Libii. A ja tylko nie będę zaprzeczać, czym dodatkowo podbiję bębenek. Bez podpisywania jakichkolwiek kwitów oczywiście.

Wznieśli kieliszki z tokajem.

„Swoją drogą, że też nasi nie dostrzegli potencjału tego dziennikarza? Ciekawe, ile jeszcze on wie o Libii” — myślał pułkownik Raczkowski.

„Nie doceniłem błyskotliwości i przebiegłości rozmówcy” — konstatował w myślach Ron. „Jest zbyt bystry i dlatego nigdy nie zostanie szefem Agencji. Ale cieszy, że tacy ludzie są w jej kierownictwie”.

Uśmiechnęli się do siebie, wzajemnie doceniając swoje umiejętności.

O ile szybkość działania polskiego wywiadu zaskoczyła Rona, o tyle propozycja spotkania z amerykańskimi kolegami Raczkowskiego zaniepokoiła go. „Jeszcze nie teraz. I nie w Warszawie. Amerykanie muszą dojrzeć, jeśli mają zapłacić. I to bynajmniej nie dolarami” — pomyślał. Postanowił przyspieszyć wyjazd z kraju.

Późnym popołudniem kierowca Jacka przyprowadził volvo i odebrał wziętego z wypożyczalni opla. Gdyby mecenas go nie uprzedził, że auto ma kilka lat, Ron byłby przekonany, że samochód dopiero co wyjechał od dealera. Poza niewielkimi otarciami na przednim zderzaku wóz prezentował się zupełnie jak nowy. Był to model S80, granatowy metalik, ze skórzanymi fotelami i dużym ekranem GPS. Wprawdzie silnik Diesla nie obiecywał dużego przyspieszenia, ale Rościsław nie zakładał, że będzie się z kimś ścigał, a dostojny, solidny wygląd auta powinien pozwolić mu wtopić się w willowe, bogatsze przedmieścia Drezna, gdzie zarezerwował piętro domu.

Ron wieczorem uregulował rachunek za hotel, płacąc gotówką. Starannie obejrzał fakturę, wypisaną na nazwisko Jacka Dąbrowskiego, i włożył ją do portfela. Poprosił o przekazanie pozdrowień dla wicedyrektora hotelu, który przebywał w Londynie. Zapewnił szefa zmiany, że przy najbliższym pobycie w Warszawie na pewno zatrzyma się w Intercontinentalu. „Dane klientów są przechowywane, nieprawdaż?” — zapytał. Pracownik hotelu zaczął coś mamrotać o ochronie danych osobowych, o polityce nieujawniania szczegółów działania firmy...

Ron pospieszył z wyjaśnieniami:

— Chodzi mi o to, żeby gdy pojawię się ponownie, nie spotkała mnie taka sytuacja jak ostatnio, kiedy musiałem wracać na najniższy poziom parkingu po dokumenty. Zapomniałem je zabrać z auta, a obsługa nie chciała wydać mi klucza.

— Panie Dąbrowski, może być pan pewien, że będzie pan najmilej widziany — zapewnił szef zmiany. — Potraktujemy pana jak stałego, dobrze znanego gościa.

XLII

Wyruszyli w drogę do Drezna z samego rana, tuż po zamówionym wczesnym śniadaniu, aby uniknąć korków przy wyjeździe z Warszawy. O tej porze roku miasto budziło się ze snu przed świtem, jego mieszkańcy jak młodzi ludzie na dorobku śpieszyli się do pracy, nadając stolicy dynamikę i rozmach, jakich próżno szukać w sąsiednich, sytych i rozleniwionych Berlinie czy Kopenhadze. Na Alejach Jerozolimskich już się pojawiły pierwsze zastępy aut i Ron jechał powoli, starannie przestrzegając przepisów. Nie może dać się spisać policji, czy to polskiej, czy niemieckiej, ani też sfotografować kamerom rejestrującym wykroczenia. Kamery śledzące ruch na autostradach pokazywały ogólne plany i tych zdjęć się nie obawiał. Tym bardziej że auto było zarejestrowane na Jacka.

Dochodziła siódma, gdy wjechali na autostradę. Tutaj mógł już przekroczyć dozwoloną prędkość, ale odczekał, aż minie go jakiś szybki wóz. Gdy obok mignął land cruiser na litewskich numerach, Ron przykleił się do niego. Volvo ze wskazówką szybkościomierza na stu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę połykało przestrzeń.

— I tak możemy podążać aż do Lizbony.

— Zatrzymamy się gdzieś na obiad? — Tazerwalt wygodnie położyła się na odchylonym fotelu. — Bo z taką prędkością ja nie będę prowadzić.

— A chciałabyś? Możemy jechać wolniej. Przecież donikąd nam się nie spieszy.

— Przeciwnie, mam przeczucie, że się spóźniamy. Tylko nie wiem na co.

— A co ci podpowiada twój dar widzenia przyszłości?

— Ironizujesz?

— Nie, pytam jak najbardziej poważnie. Mam takie wrażenie, że wjeżdżając na tę autostradę, weszliśmy na drogę, z której już nie będziemy mogli się wycofać. I nie wiem, dokąd nas zaprowadzi. Chociaż być może to ekscytacja samą podróżą.

— To podróż w nieznane, Ronie. Kel Adżdżar mówią jednak, że lepiej jechać, nie wiedząc, dokąd się jedzie, niż pozostawać na miejscu, nic nie robiąc. Wiem, że wszystko będzie dobrze, że wrócimy żywi i cali.

— Wrócimy? Zdecydowałaś się na Polskę?

— Nie zapomnij, że kupiliśmy czy kupujemy tutaj nieruchomości — roześmiała się. — Tak, czuję, że powrócimy tutaj. Piękny jest twój kraj. Patrz, jakie przestrzenie, lasy, zielone łąki i pola, chociaż myślałam, że jesienią wszystko jest tutaj szare i bure. Będziemy tutaj bezpieczni i szczęśliwi. Tylko musimy wypełnić wolę Amastana. Jesteśmy mu oboje coś winni.

Trasą A2 przemknęli z Warszawy do Schönefeld w niespełna pięć godzin, zatrzymując się tylko raz, tuż przed granicą z Niemcami, aby uzupełnić paliwo. Siedemdziesięciolitrowy bak volvo pozwalał wprawdzie na spokojny dojazd do samego Drezna, ale Ron chciał uniknąć sytuacji, gdy o zmroku musiałby szukać wynajętego lokum, spoglądając jednocześnie z niepokojem na migającą lampkę wskaźnika paliwa. W Schönefeld skręcili na południe, na autostradę A13, prowadzącą wprost do Drezna.

— Skusisz się na obiad? — zapytał Tazerwalt, gdy minęli kolejną przydrożną restaurację Autogrill.

— Te restauracje nie wyglądają mi na takie, które mogą skusić. Ale nie chcę też umrzeć z głodu. Więc jeśli nie

będzie nic bardziej przytulnego, zatrzymaj się przy Autogrillu.

— Niezbyt uśmiecha mi się obiad w obłokach spalin. Może zjedziemy z autostrady i poszukamy bardziej sympatycznego miejsca? — poradził się Tazerwalt, gdy po przejechaniu kolejnych kilkudziesięciu kilometrów napotkali następną przydrożną restaurację, zawieszoną nad jezdniami jak wielka kładka dla pieszych.

— Chętnie. Ile jeszcze kilometrów pozostało do Drezna?

— Niespełna dwieście. — Rzucił okiem na ekran. — GPS wskazuje, że za dwie i pół godziny będziemy na miejscu. Mamy więc dużo czasu.

Najbliższy zjazd wskazywał miejscowość o nazwie Motzen. Na tablicy widniała także informacja, że droga prowadzi nad jezioro Motzeren i do klubu golfowego.

— W takim miejscu powinniśmy znaleźć jakąś przyjemną restaurację. Zjeżdżam.

Szosa prowadzącą przez pola, w pobliżu niewielkiej farmy wiatrowej, dojechali do miasteczka Mittenwalde, a stamtąd drogą w kierunku południowym dotarli do jeziora. Tablice reklamowały hotel Residenz am Motzener See jako idealne miejsce wypoczynku ze znakomitą kuchnią.

— No to jedziemy do Residenz — zdecydował.

Kompleks budynków hotelowych wychodził wprost na wody jeziora, z drugiej strony otulał go sosnowy bór. Rzadkie liściaste drzewa, złoto-czerwone o tej porze roku, jaśniały w słońcu na tle sosen jak wydobyte reflektorem plamy kolorowej farby na zielonym płótnie. Hotel i restauracja, której okna patrzyły na zieloną łąkę opadającą łagodnie w stronę jeziora, były prawie puste, tylko jakaś starsza para zajęła miejsce przy stoliku w ogródku, ciesząc się jesiennym słońcem.

— Możemy coś zjeść u państwa? — zapytał kelnerkę.

— Oczywiście, zaraz podam kartę. Proszę wybrać sobie miejsce. Jeśli chcieliby państwo usiąść na zewnątrz, proszę wziąć koce, bo od wody ciągnie trochę chłodem — uśmiechnęła się do nich.

Otulona kocem Tazerwalt zapadła się w krzesło, zapatrzona w las i jezioro. Ron zaczął studiować menu, ale długa lista proponowanych dań zniechęciła go do lektury, więc podjął rozmowę z miłą kelnerką, która na pytanie o typowe dania lokalne radziła wybrać zupę rybną, szparagi, pieczoną gęś lub białą kiełbasę.

— No i naturalnie lokalny specjał: ziemniaki w mundurkach z sosem serowym, z ziołami i koperkiem — dodała.

Tazerwalt z góry zapowiedziała, że akceptuje wybór męża, byle tylko nie było to mięso wieprzowe. Zazwyczaj małomówna, teraz była jeszcze bardziej milcząca i zatopiona w swoich myślach. Ron sądził, że jest zmęczona drogą, ostatnimi tygodniami, które zasypały ją lawiną zdarzeń, i że generalnie źle znosi rozstanie z bezkresami pustyni. Ale przyczyna była inna.

— Ron, spójrz na to jezioro, las, czerwone dachy domów. Tak właśnie zawsze wyobrażałam sobie Europę. Tak zapamiętałam ją z opowieści babci i matki. Do takiego miejsca chciałam przyjechać, bo to jakby dotykanie na jawie rzeczywistości, którą tyle razy widziałam we śnie. Rozumiesz więc, że musimy kupić ten dom nad jeziorem, o którym mówił Jacek?

Po obiedzie poszli jeszcze na spacer brzegiem jeziora. Tazerwalt wspominała swoją pierwszą podróż na północ Tunezji, pod granicę z Algierią.

— Studiowałam wówczas w Tunisie i pojechaliśmy do Tabarki. Byłeś w Tabarce? Nie? Szkoda, bo jest czego

żałować. Ale kiedyś tam pojedziemy i gdy zobaczysz wzgórze pokryte dębowymi lasami, białe domy francuskich kolonistów z czerwonymi, ceramicznymi dachówkami, małe jeziora, drogi wijące się wśród lasów, zrozumiesz to uczucie *déjà vu*, które wówczas przeżywałam. Bo to była kraina tak podobna do opisów z opowiadań mojej babci. Teraz tutaj dostrzegłam różnicę. Francuzi chcieli przenieść do Afryki obraz swojej ojczyzny, taki, jaki pozostał w ich wspomnieniach i snach. Ale to tylko namiastka, gdyż nie da się snu wykuć w skale. Tę prawdziwą, czy też wysnioną, zależy jak patrzeć, Europę zobaczyłam dopiero tutaj.

Do Drezna pozostało im mniej niż dwieście kilometrów, które pokonali w niespełna dwie godziny. Po drodze Ron zadzwonił do właściciela domu, który wynajęli na najbliższe trzy dni, i poinformował o orientacyjnej godzinie przyjazdu. Kierując się podpowiedziami GPS, na rozjeździe Dresden Hellerau zjechali na Radeburger Strasse i po minięciu ronda na Schlesischer Platz obrali kurs na Loschwitz, podążając drogą prowadzącą wzdłuż Łaby. Loschwitz od dwóch stuleci była jedną z najbardziej ekskluzywnych dzielnic mieszkaniowych Drezna, a może i całych Niemiec. Na łagodnych, pokrytych lasami i parkami zboczach wzgórz na północnym brzegu Łaby rozsiadły się wille i rezydencje, mniej lub bardziej wystawne, o różnej architekturze i rozmaitych kolorach elewacji. Willa na Schevenstrasse, którą wynajęli, składała się z głównego, dwupiętrowego budynku i parterowego przedłużenia. Bryła domu z ciemnoczerwonej, prawie brązowej cegły ładnie komponowała się z otaczającym ją parkiem, płynnie przechodzącym w las na wzgórzu.

Właściciele, starsi państwo w wieku emerytalnym, już na nich czekali.

— *Herr Harib?* — upewnił się witający ich mężczyzna. — Tieck. Peter Tieck — przedstawił się gospodarz. — A to

moja małżonka Tilda.

— Tak, miło mi pana poznać. Dziękuję za gościnność. Moja żona Tazerwalt.

Ceremonia powitania odbyła się na podjeździe domu. Właściciel willi wskazał ręką miejsce parkingowe.

— Może pan też wprowadzić wóz do garażu, ale wygodniej jest na zewnątrz. Mają państwo do wyboru albo parter domu, część gościnną, albo drugie piętro w głównym budynku.

— Myślę, że wygodniejsza byłaby ta część parterowa. Dzięki osobnemu wejściu nie będziemy państwu przeszkadzać.

— Ależ nie będą państwo przeszkadzali. Przeciwnie, dzięki waszej obecności dom ożyje na kilka dni. Z korespondencji zrozumiałem, że jest pan z Polski. Mówi pan jednak po niemiecku jak rodowity mieszkaniec Brandenburgii.

— Uczę się niemieckiego praktycznie od dzieciństwa, chociaż wie pan zapewne, jak to jest z językami: nigdy nie osiągnie się takiej biegłości jak w ojczystym. Możemy się rozgościć?

— Peter — pani Tieck przywołała do porządku aż nadto towarzyskiego męża — daj państwu możliwość wprowadzenia się. Mieszkamy sami — mówiła gospodyni, jakby objaśniając zachowanie małżonka — i możliwość przyjmowania gości ma dla nas nie tylko znaczenie finansowe. Zapraszamy państwa na kolację. Siódma godzina wam odpowiada?

— Jesteśmy trochę zmęczeni. — Ron podejrzewał, że Tazerwalt nie będzie chciała uczestniczyć w rozmowie, zwłaszcza że nie знаła niemieckiego i mogła z tego powodu czuć się trochę nieswojo. On sam też nie bardzo wiedział, o

czym miałby rozmawiać z niemieckimi emerytami. — Zapytam żonę, jak się czuje.

Tazerwalt, ku zaskoczeniu Rościszawa, z dużą radością przyjęła zaproszenie. Państwo Tieck przysłuchiwali się zafascynowani prowadzonej po francusku rozmowie gości.

— Niestety nie mówimy ani po polsku, ani po francusku. A i nasz angielski jest daleki od dobrego, nasza młodość przypadła na czasy, gdy premiowano raczej język rosyjski. — Tieck poinformował ich tym samym, że są Ossis, miejscowi, a nie przyjezdni. — Ale przecież porozumiemy się.

Podczas kolacji, na którą pani Tilda podała faszerowaną rybę i pyszny sernik, gospodarze dużo i chętnie opowiadali o swoim życiu emerytów. Oboje byli lekarzami, pracowali w jednym z miejscowych szpitali, później pan Tieck prowadził prywatny gabinet i — przyznawał — czuł się nieco wyautowany, odkąd przeszedł w stan spoczynku.

— Syn wyjechał do Hamburga wkrótce po zjednoczeniu. Rzadko wpada z rodziną, mówi, że życie tutaj toczy się zbyt leniwie i jednostajnie — skarżyła się gospodyni. — Dlatego otworzyliśmy swój dom na gości z zewnątrz, poznajemy nowych ludzi, a i dodatkowe pieniądze się przydadzą. Planowaliśmy urządzić tu mały pensjonat, ale to byłoby zbyt hałaśliwe i męczące i nie mielibyśmy możliwości sami dobierać gości. Państwo zarezerwowali pokoje na trzy dni. Może zostaniecie trochę dłużej? W samym Dreźnie i w Saksonii jest wiele do obejrzenia, jeśli jesteście tutaj po raz pierwszy.

— Zatrzymamy się tylko na trzy dni. Z tym że jutro możemy się spóźnić i niewykluczone, że spędzimy noc w innym miejscu. Chcę odwiedzić przyjaciela, z którym kiedyś razem pracowałem, i nie sądzę, aby pozwolił nam wyjechać przed świtem. Możemy więc wrócić pojutrze rano. Ale w

przyszłości, jeśli państwo pozwolą, będziemy kontaktować się już bez pośrednictwa serwisu Airbnb?

— Oczywiście. Mamy kilku gości, którzy tak robią. Wpadają od czasu do czasu i są prawie jak domownicy.

W miłej, rzeczywiście prawie domowej atmosferze spędzili wieczór. Tazerwalt była zachwycona. Jadła nawet faszerowaną rybę, ku zdumieniu Rona, bo wolni, szlachetni ludzie pustyni nie dotykali niczego, co wyłowiono z rzeki czy jeziora, pozostawiając takie jedło niewolnikom i sługom.

— Bałam się, że Europejczycy są zimni i niegościnni. A państwo Tieck są równie otwarci jak rodzina Kel Adżdżar — powiedziała.

Ron także doceniał ogromny takt i dyskrecję gospodarzy. Ani słowem nie zapytali o pochodzenie Tazerwalt, której imię i odrobinę orientalny wygląd musiały budzić ich zainteresowanie, podobnie jak to, że małżonkowie z Polski porozumiewali się po francusku. Nie pytali też o przyczyny ich przyjazdu do Drezna, satysfakcjonując się wzmianką o dawnym przyjacielu z pracy. „Zdecydowanie trzeba unikać hoteli i wybierać opcję noclegów w prywatnych domach” — utwierdził się w słuszności dokonanego wyboru.

Późnym wieczorem, tuląc się do siebie w łóżku, jeszcze raz powtórzyli różne warianty roli, jaką w zależności od rozwoju sytuacji mieli do odegrania jutro w banku.

Śniadanie nie wchodziło w koszty ich pobytu w domu państwa Tieck, niemniej właścicielka przyniosła im kawę, kanapki i croissanty.

— Nie zawsze odpowiadamy na zapytania o możliwość zatrzymania się u nas. Lecz gdy już przyjmujemy przyjezdnych, są naszymi osobistymi gośćmi — wyjaśniła pani Tilda. — Helmut też zawsze zatrzymuje się w tych pokojach. Helmut to nasz syn.

Ślady częstej obecności Helmuta były wszędzie, stwarzając wrażenie, że syn państwa Tieck mieszka tu na stałe, tylko chwilowo wyjechał w delegację lub na wakacje. Na okapie kominka stały fotografie przedstawiające a to małego chłopca z odstającymi uszami, a to przystojnego mężczyznę w towarzystwie ciemnowłosej kobiety i roześmianej dziewczynki. W szafie wisiały ubrania, w szufladzie komody Ron natrafił nawet na legitymację ubezpieczeniową wystawioną na Helmuta Tiecka. Z pewnym wahaniem schował ją do kieszeni. „Przecież zwrócę” — mruknął do siebie. „Nikt nie zauważy, jeśli zniknie na kilka godzin”.

— Pojedziemy do muzeum, to grzech być w Dreźnie i nie zwiedzić galerii. — Pomachali na pożegnanie gospodarzom.

W pierwszej kolejności skierowali się rzeczywiście w stronę Placu Teatralnego, gdzie mieściły się najważniejsze drezdeńskie muzea.

Drezno jest zdecydowanie niedocenianym ośrodkiem kultury europejskiej. W samym historycznym centrum miasta znajduje się kompleks jedenastu muzeów, których zbiory stanowią jedną z najbogatszych w świecie kolekcji sztuki. Od XVI wieku kolejni władcy Saksonii gromadzili obrazy, rzeźby, precjoza, drogą broń i porcelanę... A gdy August II Mocny połączył pod swoim berłem Saksonię i Polskę, Drezno wkroczyło w złoty wiek. Wolter uważał dwór drezdeński za najwspanialszy w Europie, zaraz za Paryżem Ludwika XIV. Na szczęście starannie ukryte najcenniejsze zbiory ocalały ze straszliwego pożaru w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku, kiedy to angielskie i amerykańskie samoloty zrzuciły na dzielnice mieszkalne cztery tysiące ton bomb i fosforu. Burza ognia obróciła miasto w perzynę. Paradoksalnie podział Niemiec na część wschodnią i zachodnią dobrze przysłużył się drezdeńskim zbiorom. Armia Czerwona wywozła co prawda z okupowanego

miasta najwartościowsze dzieła sztuki, ale gdy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna rządzona przez Moskwę, kolekcję zwrócono, choć wielu uważało ją już za bezpowrotnie utraconą. Mniej szczęścia miały zbiory wyszabrowane przez Armię Czerwoną z innych regionów Niemiec, jak chociażby złoto Troi, do dzisiaj przetrzymywane przez Rosję jako zdobycz wojenna.

Wprawdzie odbudowa nie przywróciła architekturze Drezna wcześniejszego blasku, ale przebogate muzea, z najwspanialszą wśród nich Galerią Obrazów Starych Mistrzów, świadczą o wielkiej kulturalnej historii miasta.

Elektroniczny przewodnik sugerował, że o wolne miejsca, gdzie mogliby zostawić auto, najłatwiej na parkingu Haus am Zwinger, tuż obok Zamku Rezydencyjnego. Ważne było to, że parking znajdował się także niedaleko ulicy Külz-Ring, na której Commerzbank ma swój oddział Prager Strasse. Szklane drzwi ze złotymi literami i w oprawie kamiennej ramy były jak widniejąca z oddali brama, która — mimo pozornej przejrzystości — nie pokazywała, co czeka ich po przekroczeniu progu.

Przechodząc obok lustrzanych witryn salonu estetyki ciała i gabinetu dentystycznego, sąsiadujących z pomieszczeniem banku, Ron przyjrzał się sobie i Tazerwalt w szklanym odbiciu. Mogli uchodzić za pracowników korporacji finansowej lub przedstawicieli poważnej firmy — oboje w dobrze dopasowanych, ciemnych jesiennych płaszczach, Tazerwalt z błękitną apaszką i na dość wysokich obcasach. Tak, powinni zrobić dobre, przekonujące wrażenie.

Śmiało pchnął drzwi, przepuszczając przed sobą żonę. Od razu skierowali się do informacji.

— Dzień dobry pani. — Ron dziś szczególnie się starał, aby jego niemiecki był nienagannie poprawny, a jednocześnie z

lekkim odcieniem aroganckiej niedbałości. — Chcielibyśmy odebrać ze skrytki swój depozyt.

— Proszę chwilę poczekać. — Młoda kobieta po drugiej stronie szkła odwzajemniła uśmiech. — Za chwilę podejdzie do państwa nasz ekspert.

Po kilkudziesięciu sekundach kolejna pracownica banku zaprosiła ich do jednego z okienek.

— Jaką mają państwo skrytkę?

— Numer sto czterdzieści siedem.

— Przepraszam, numer skrytki powinien mieć cztery cyfry i jedną literę.

— Oczywiście, zero sto czterdzieści siedem A. Byłem przekonany, że w bankowości zero się nie liczy. O ile oczywiście występuje na początku — zażartował.

— Państwa skrytka jest anonimowa w tym znaczeniu, że nie ujawniamy nazwisk właścicieli, lista osób upoważnionych do dostępu jest ograniczona i powinni oni potwierdzić swoją tożsamość. Paszport lub karta identyfikacyjna ze zdjęciem?

Ron błyskawicznie ocenił sytuację; ten wariant także wzięli pod uwagę. Skinął nieznacznie głową do Tazerwalt. Dziewczyna pewnym i powolnym, wręcz ślamazarnym ruchem sięgnęła do torebki i wyjęła zielony paszport Libijskiej Dżamahiriji. Niedbale wyciągnęła go w stronę pracownicy banku. Ta uważnie przestudiowała pierwszą stronę dokumentu, jedyną, na której pod napisami w języku arabskim widniała transkrypcja alfabetem łacińskim.

— Zgadza się — kiwnęła głową. — Pani Tazerwalt ult-Agwelid jest na liście osób upoważnionych. Odprowadzę teraz państwa do skarbcza. Dysponujecie państwo jednym kluczem, który otwiera schowek, mój kod jest tylko potwierdzeniem. Proszę za mną.

Windą — szklaną, a jakże, w tym banku wszystko było szklane, ale nie przezroczyste — zjechali na dół, gdzieś do podziemi. Korytarzem, przechodząc przez trzy kolejne służby, dotarli do niewielkiego pomieszczenia, którego ściany składały się ze stalowych drzwiczek schowków. Pracownica banku doprowadziła ich na miejsce, wskazała właściwą skrytkę.

— Jeśli zapomniałem kod, to ile mam prób, nim opadnie żelazna krata? — zażartował Ron.

— Po trzech nieudanych próbach klucz zostanie anulowany i tylko osoba, która zakładała skrytkę, będzie mogła ubiegać się o jej otwarcie. Płacąc oczywiście za wymianę zamka — odpowiedziała poważnie pracownica banku.

Ron bez wahania wcisnął sześciocyfrowy kod: 621532. Pracownica banku wybrała kolejny zestaw cyfr.

— Proszę bardzo, mogą państwo wziąć swój depozyt. Umowa wynajmu ważna jest jeszcze przez półtora roku, więc można również go pozostawić.

— Oczywiście, będziemy prosili o przechowanie dokumentów jeszcze przez kilka miesięcy. Nie chcielibyśmy trzymać ich w domu, to ważna dla nas rodzinna dokumentacja.

Ron łgał bez zmrużenia oka. Domyślił się, że w tak niewielkim schowku mógł zmieścić się co najwyżej skoroszyt.

— Pozostawiam państwa tutaj. Kiedy państwo skończą, proszę nacisnąć ten przycisk.

Kobieta oddaliła się, pozostawiając ich samych.

Ron zdawał sobie sprawę z tego, że cały czas znajdują się pod czujną obserwacją kamer. O tym również rozmawiali wcześniej z Tazerwałt, która zachowywała się jak wytrawna

aktorka. Siadła swobodnie przy małym stoliku. Założywszy nogę na nogę, czekała, aż mąż przyniesie niewielką metalową szufladę. Nie zdradziła śladu niecierpliwości ani zaciekawienia, gdy Ron wyjął ze skrzynki dwie szare koperty, które stanowiły jedyną zawartość skrytki. Pierwszą włożył do teczki, drugą Tazerwalt umieściła w swojej torebce. Następnie włożył do szuflady wyjęty z teczki niezbyt gruby, kilkudziesięciostronicowy skoroszyt. Wydruk kilku artykułów naukowych, które ściągnął z „[Annals of Clinical Microbiology and Antimicrobials](#)”, a których treść była dla niego czarną magią, kosztował go całe trzydzieści złotych. Po czym umieścił skrzynkę w otworze schowka i nacisnął guzik wzywający pracownicę banku. Cała operacja zajęła im nie więcej niż dwie minuty.

Pracownica banku zjawiała się prawie tak szybko, jak gdyby oczekiwała za pancernymi drzwiami. Docisnęła drzwi schowka, upewniając się tym samym, że zamek się zatrzasnął.

— Rozumiem, że klucz pozostaje niezmienny i że inni użytkownicy będą mieli dostęp? — zapytała.

— Oczywiście tylko ci, którzy są na liście — uściślił żartobliwie Ron.

Podziękowali grzecznie pracownicy banku i wyszli na ulicę. Przeglądając się w szybach wystaw, upewnili się, że nikt ich nie śledzi i nie obserwuje, po czym jak zamożni, znudzeni turyści niespiesznym spacerkiem ruszyli w stronę najważniejszego muzeum Drezna. Oczekali kilka minut w niedługiej kolejce do kasy w podziemiach dawnego zamku, kupili bilety i wjechali na parter. Włoskie malarstwo z XV i XVI wieku nie wzbudziło jednak ich szczególnego zainteresowania, przeszli obojętnie obok obrazów Cranacha i Dürera, nawet *Śpiąca Wenus* Giorgioniego nie zatrzymała ich na dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Ożywił ich dopiero

widok prawie pustej o tak wczesnej porze kawiarni, znajdującej się po drugiej stronie patio.

— Myślę, że zasłużyliśmy sobie na kawę — oświadczył żonie Ron.

— Dla mnie zamów herbatę — poprosiła Tazerwalt. Gdy jednak podano im przy bufecie gorącą wodę z położoną obok na spodku torebką suszu, uśmiechnęła się. — Agwelid byłby zdziwiony, że tak można sprofanować ceremonię picia herbaty.

Miejsca w najbardziej oddalonym od drzwi kącie kawiarni wydały się im najwłaściwsze. Bez słowa, jak na komendę, wyciągnęli zapieczętowane koperty, które zabrali ze skrytki. Tazerwalt z tak nieskrywanym rozczarowaniem przyglądała się plikowi banknotów, że Ron aż się roześmiał.

— Odnoszę wrażenie, że Amastan miał swoją własną wytwórnę pieniędzy, przy czym dysponował tylko jedną matrycą: o nominale pięciuset euro — powiedział, widząc w rękach żony fioletowo-różowe banknoty z wizerunkiem mostu wiszącego nad mapą Europy.

— Nic więcej tu nie ma. Tylko pieniądze i ten klucz. Nie rozumiem... A co jest w twojej kopercie?

Ron bez słowa przesunął w jej stronę pojedynczą kartkę.

— Ja tym bardziej nie rozumiem. To jakaś szarada?

Na kartce odręcznie, chociaż starannie, narysowano diagram w kształcie koła, jakby okrągłą krzyżówkę, której kratki były wypełnione kółkami, krzyżykami, zygzakami i innymi znakami graficznymi.

— To tiffinah, pismo Kel Tagelmust. W tiffinah można pisać z lewa na prawo, z prawa na lewo, z góry do dołu. Tutaj wiadomość wpisano w okrąg. Poczekaj chwilę...

Tazerwalt przyglądała się przez moment rysunkowi, po czym wyjęła z torebki kartkę i długopis i zaczęła coś kreślić.

— Rozumiem. To list, czy raczej instrukcja, od Amastana. Zapamiętasz treść czy zapiszesz?

— Postaram się zapamiętać, lecz dla pewności wolałbym zanotować.

— Więc mamy taką treść: „klucz ehen dassafe wienn auarspargsztras 1 ehen 87451 hasło tadrart adždżar człowiek amrara spadkobierca kontakt 43132635486 klucz jeśli opuszczasz góry wkrótce wejdiesz w inne”.

— I to wszystko?

— Tak, to wszystko. Wiemy przynajmniej, co oznacza ten klucz. Mamy nim otworzyć kolejną skrytkę.

— *Ehen* znaczy „skrytką”? Myślałem, że „namiot”. — Ron pamiętał to słowo.

— *Ehen* oznacza rzeczywiście „namiot”, ale także dom, pomieszczenie, pokój, chatę. Miejsce, gdzie się mieszka. Lecz w tym kontekście może oznaczać właśnie schowek, a podane dalej liczby będą albo numerem domu, albo numerem skrytki. Logiczne więc, że *auarspargsztras* to ulica. Nie sądzę, aby w Wiedniu była ulica tak długa, żeby domy nosiły numery powyżej osiemdziesięciu tysięcy. Chyba że chodzi o dom 87 i mieszkanie 51. Bo cyfry zapisane są symbolami liter. Trzeba sprawdzić, jak długa to ulica. Znasz Wiedeń?

— Byłem tam kilka razy, ale nawet nie kojarzę, gdzie jest ulica o takiej nazwie. Bo jasne, że to chodzi o ulicę. „Sztrase” tak wymawia się słowo *Strasse*, czyli „ulica”. Raczej będzie to *Auerspergstrasse*. *Auersperg* to nazwisko wielkiego rodu austriackiego, pamiętam, gdzieś, chyba w Salzburgu, widziałem hotel o tej właśnie nazwie.

Zaciekawiło mnie to, sprawdziłem i dowiedziałem się, że była taka rodzina książęca.

— Czyli mamy miejsce i numer skrytki... A ten ciąg cyfr? 43132... — Tazerwałt przyglądała się kartce.

— Bez wątpienia numer telefonu: 43 to kierunkowy do Austrii, a 1 do Wiednia. I to mnie dziwi. Bo to numer telefonu stacjonarnego. A kto dzisiaj używa telefonu stacjonarnego? Chociaż...

— Tak?

— Telefon stacjonarny oznacza po prostu mieszkanie, do którego dany numer jest przypisany. Mamy więc lokal. Punkt kontaktowy. Mniej więcej wiemy, w którym miejscu jesteśmy. Chociaż nie rozumiem, co w takim razie oznaczają cyfry, które Muatasim przekazał przed śmiercią Aksilowi. Byłem przekonany, że to są właśnie kody do skrytek.

— Zrozumiemy, gdy otworzymy schowek, do którego skierował nas Amastan. Mój brat był bardzo ostrożnym i bardzo pomysłowym człowiekiem.

— A to ostatnie, „jeśli opuszczasz góry, wkrótce wejdiesz w inne”, coś znaczy?

— To przysłowie lub mądrość ludzi Kel Tagelmust.

— Niesie jakieś dodatkowe znaczenie?

— Dokładnie to, co znaczy: że nie można uciec od swego przeznaczenia.

XLIII

Postanowili, że nie będą śpieszyli się z wyjazdem do Wiednia i pełne trzy dni, a może nawet więcej, które zamierzali spędzić w Dreźnie, wykorzystają do zwiedzenia miasta i okolic. Saksonia oferowała tak wiele turystom... Same drezdeńskie muzea, połączone w zespół Państwowych Zbiorów Sztuki, tworzyły jedną z najbogatszych w świecie kolekcji — od średniowiecznych dzieł sztuki sakralnej, przez zbiory porcelany, klejnotów, obrazy największych mistrzów europejskich, aż po malarstwo współczesne. Zwiedzenie wszystkich dwunastu galerii zajęłoby im co najmniej tydzień. A jeszcze zamki w okolicy i leśne krajobrazy, które tak polubiła Tazerwalt.

Pierwszy dzień poświęcili Galerii Obrazów Starych Mistrzów.

— Skoro już tu jesteśmy... — mówił Ron.

— I skoro wydaliśmy całe piętnaście euro na bilety... — podchwyciła Tazerwalt.

— À propos, ile pieniędzy zostawił ci Ama?

— Mogę się tylko domyślić, że zakładał, iż to ja lub Aksil będziemy wypełniać jego misję. Zostawił nam pieniądze, abyśmy mogli też odnaleźć ślad Rainera i zwiedzić Europę. Dwadzieścia tysięcy euro to aż nadto, aby objechać całą Europę.

Jeśli jednak zamierzali zwiedzać Europę w takim tempie, w jakim oglądali Galerię Obrazów Starych Mistrzów, to musieliby poświęcić na to całe wieki. Tazerwalt pierwszy raz w życiu widziała oryginalne europejskie malarstwo i

znaczenia wielu obrazów po prostu nie rozumiała, ponieważ język mitów greckich i scen biblijnych był dla niej zupełnie obcy. O ile do obrazu del Sarto *Ofiara Abrahama* znajdowała odniesienia, bo i Koran wspomina o Abrahamie, jako ojcu proroków, od którego pochodzili i Muhammad, i Jezus, to na przykład *Wesele w Kanie* Veronesego czy *Leżąca Wenus z Kupidynem* Reniego wymagały od Rona długiego wyjaśniania, niemalże od początków świata, gdyż Tazerwalt interesowało wszystko, jakby chciała w ciągu jednego dnia wchłonąć całą kulturę cywilizacji, od której dzieliło ją tylko morze, a która okazała się prawie całkowicie jej nieznana. Rościsław łapał się przy tym na niewiedzy, zębami zgrzytając w duchu nad swoją ignorancją.

— Kim była święta Agnieszka? I dlaczego cherubin ją obnaża? — pytała go żona, przyglądając się obrazowi de Ribery^[1], na którym młodziutka, śliczna dziewczyna klęczała obnażona, przykryta tylko falą ciemnych włosów i fragmentem tkaniny, której drugi koniec trzymał w górze anioł. — A Ganimedes? To o jakiejś tragedii chłopca rozdziobanego przez ptaki? — Tak Tazerwalt zareagowała na widok obrazu Rembrandta^[2], na którym orzeł trzymał w swoich szponach młodego chłopca.

„Kim był Ganimedes?” — Ron gorączkowo przeszukiwał pamięć, by odnaleźć choć szczątki wiedzy na temat greckich mitów. Ale przypominał sobie tylko nazwę największego z księżyców Jowisza i gejowskiego klubu w Łodzi. „Koniecznie muszę się poduczyć, bo zanim dojedziemy do Włoch, stracę jakikolwiek szacunek w jej oczach” — nabijał się sam z siebie.

— Kochanie, następnym razem muszę kupić jakiś przewodnik. Nie znam się bowiem na wielu sprawach, o które mnie pytasz — westchnął.

— Przepraszam, nie chciałam cię urazić, ale byłam przekonana, że skoro macie w Europie takie cudowne obrazy, to wszyscy Europejczycy je znają. A Drezno leży przecież po sąsiedzku, tuż przy granicy z twoim krajem.

— Masz oczywiście rację. Ale podejrzewam, że więcej ludzi w Europie zna Paris Hilton niż Jusepe de Ribereę.

— Rzeczywiście jesteście dziwni. Ale to nic zaskakującego, że znają Paris Hilton: hotele tej sieci są wszędzie, nawet w Tunisie, więc naturalne, że przynajmniej jeden powinien być też w Paryżu.

Przypomniał sobie anegdotę, którą słyszał, studiując jeszcze w Mińsku. Podczas egzaminu z naukowego komunizmu — był taki przedmiot, nazywany przez studentów „science fiction” — profesor zadaje studentowi pytania o Marksa, o Engelsa. Student nie ma zielonego pojęcia, o kogo chodzi. „No a kim był Lenin?” — rzuca koło ratunkowe wykładowca. Pomniki Lenina stały w każdym mieście byłego imperium, bo stopień totalitaryzmu można mierzyć liczbą jednakowych pomników w kraju. Student milczy. Oszołomiony profesor pyta: „Skąd pan jest?”. Student wymienia jakąś miejscinę na Syberii, coś w rodzaju Zadupiecka. Profesor w zadumie podchodzi do okna, patrzy na miasto pokryte czerwonymi transparentami, na wystraszone, ale niewinne i szczęśliwe oczy studenta, i mruczy do siebie: „A może pieprzyć to wszystko i wyjechać do Zadupiecka?”.

— A może powrócić na pustynię Akakus? Jak najdalej od Parisek Hilton, Elektrod i Potterów — powiedział Ron półgłosem po polsku.

— Co mówiłeś? Nie zrozumiałam.

— Powiedziałem, że i Europa, i moja ojczyzna zaskoczą cię jeszcze niejednym. I nie będą to tylko miłe niespodzianki.

— Domyślam się, kochany. Możemy zbudować nasz własny świat, dokąd nie będzie miał dostępu pusty zgiełk. Gdy wypełnimy misję Amastana, możemy też wracać na pustynię. Wojna nie będzie przecież trwała wiecznie.

Wyszli, gdy galeria prawie już opustoszała. Obiad połączony z kolacją zjedli pod murami zamku w kolejnym na ich trasie miejscu o szumnej nazwie Residenz, które okazało się maleńką, przesympatyczną restauracją. Po drodze Ron kupił jeszcze komórkę i dwie karty prepaid, posługując się legitymacją ubezpieczeniową młodego Tiecka. Zadzwoił z restauracji na numer przekazany Aksilowi przez Muatasima. Jego rozmówca nie rozumiał, kto i po co do niego dzwoni. Niezbyt dobrym niemieckim odpowiadał, że to pomyłka. Ron, kierując się bardziej instynktem i desperacją, powiedział po arabsku:

— Jeśli opuszczasz góry, wkrótce wejdiesz w inne.

Odpowiedziała mu dłuższa chwila milczenia, nim usłyszał odzew, także wypowiedziany w języku Koranu.

— Witaj, bracie. Skąd przybywasz? Od kogo? Możesz swobodnie mówić po arabsku?

— Będę mówił po niemiecku. Ty możesz po arabsku. Przyjechałem od Kel Adżdżar, od Amastana ag-Agwelida. Mam oddać ci to, co mi przekazano — Rościsław mówił rozmyślnie powoli, aby po tamtej stronie dobrze go rozumiano.

— Jesteś w Wiedniu? Masz przesyłkę ze sobą?

— Jestem w drodze do Wiednia. Możemy spotkać się za trzy dni. — Ron nie widział powodu, dla którego miałby się spieszyć tak bardzo, aby opuszczać Saksonię przed zaplanowanym terminem.

— Masz przesyłkę ze sobą? — powtórzył pytanie rozmówca. — Czas nas pogania. Robi się coraz bardziej

niebezpiecznie.

— Mam przesyłkę ze sobą.

Ron zrozumiał, że posłanie Amastana jest skierowane do kogoś z jego rodu, Aksila lub Tazerwalt, i że mają oni przekazać „człowiekowi wodza” nie sam list, lecz już odebraną, zapewne z banku, przesyłkę. Inaczej instrukcja od Amy byłaby po arabsku lub jego rozmówca mówiłby w języku tamahak. Uznał jednak, że nie ma potrzeby wprowadzać człowieka z Wiednia we wszystkie szczegóły. Zwłaszcza podczas rozmowy telefonicznej.

— Skontaktuję się z tobą, gdy będę w Wiedniu — dodał.

— Dobrze. Tylko nie dzwoń na ten numer. Podam ci inny. Zapisz.

Ron zanotował numer. Nie miał on prefiksu 431, z czego wynikało, że następnym razem ma kontaktować się na telefon komórkowy. Po rozmowie wyjął kartę SIM z aparatu i wyrzucił ją po drodze do studzienki kanalizacyjnej.

W najbliższym kiosku z prasą poprosił jeszcze o cztery karty SIM prepaid.

— Muszę odnotować pańskie nazwisko — odpowiedziała mu starsza sprzedawczyni. — Jakiś dokument?

Ron, nie nachylając się do nisko usytuowanego okienka, podał sprzedawczyni legitymację ubezpieczeniową syna państwa Tieck.

Tazerwalt badawczo patrzyła na męża. Streścił jej rozmowę z Wiedniem.

— Jeszcze kilka dni i będziemy mieli wszystko za sobą. Zwiedzimy Włochy, pojedziemy do Rzymu, a później dokąd tylko chcesz.

— Chcę wrócić do twego kraju.

Tak powiedziała. Nie „pojechać”, a „wrócić”.

— I do domu, który urządzimy w lesie nad wodą — dodała.

Trzy dni spędzone w Dreźnie mieli później wspominać jako jedne z najpiękniejszych, chociaż ciążyła im świadomość niewypełnionej misji, którą trzeba jak najszybciej zakończyć. Telefon od przedstawiciela Recovery Solution przypomniał Ronowi o pytaniach z przeszłości, na które wciąż nie miał odpowiedzi.

— Odczytałem zawartość dysków — powiedział technik. — W jednym przypadku było to dziecinnie proste, ale też dysk był prawie zupełnie pusty. Drugi komputer zabezpieczono w niezwykle skomplikowany sposób. Użyto do tego wprawdzie starego, ale skutecznego programu. Niczego podobnego wcześniej nie spotkałem. O mały włos zniszczyłbym całą zawartość dysku. Nie chwalebę się, ale niewielu programistów poradziłoby sobie z tym problemem. To o tyle dziwne, że zawierał bardzo niewiele plików. Wszystkie zapisane chyba po arabsku. Prześlę je panu mailem, nie są duże, zmieszczą się w dwóch, trzech załącznikach.

— A dysk zewnętrzny?

— Też prawie pusty, jakieś śmieci z internetu. Jeśli pan chce, też mogę przesłać.

— Bardzo panu dziękuję. Uiszczę zapłatę przy odbiorze komputerów, dobrze?

— Nie ma sprawy. Polecam się na przyszłość.

W środowy poranek pożegnali się z państwem Tieck, obiecując im i sobie, że kiedyś jeszcze powrócą do domu na wzgórzach nad Łabą. Ron był wdzięczny gospodarzom nie tylko za gościnność, ale także za pomoc w znalezieniu noclegu w Wiedniu. Serwis turystyczny Airbnb był swego rodzaju klubem wirtualnym łączącym wynajmujących lokale z tymi, którzy ich szukają. Ale wewnątrz tego klubu funkcjonował inny, już zupełnie niezależny od właścicieli serwisu. Właściciele droższych i bardziej luksusowych

domów na wynajem przekazywali sobie wzajemnie klientów i informacje o nich, a także oferty i terminy wynajmu, już bez pośrednictwa Airbnb, na zasadzie osobistych rekomendacji. I nie tyle chodziło o to, aby nie płacić pośrednikom z Kalifornii trzech procent od ceny wynajmowanego lokalu za korzystanie z serwisu, ile przede wszystkim o to, aby uniknąć ryzyka, jakie wiąże się z oddawaniem kluczy do domu wypłacalnemu, ale niepewnym klientom. Jeśli ktoś pozostawia nieznanym do dyspozycji wyposażenie warte dziesiątki tysięcy euro, to gwarancja, jaką daje karta kredytowa, jest niewystarczająca, zwłaszcza że na karcie może być mniej środków, niż kosztuje na przykład sama zastawa stołowa.

Przy jednej z kolacji państwo Tieck grzecznie zainteresowali się, czy młodzi, sympatyczni goście wracają do kraju, czy zamierzają podróżować po Niemczech. Gdy się dowiedzieli, że następnymi punktami podróży poślubnej mają być Wiedeń, Salzburg, Wenecja, Mediolan, Florencja i Rzym, sami zaproponowali, że mogą ich zarekomendować właścicielom domów do wynajęcia.

— Oczywiście to trochę kosztowne, droższe niż hotel. Ale zauważyłam, że nie jesteście państwo specjalnie ograniczeni finansami. A samodzielne mieszkanie w domu to zupełnie inny komfort niż przebywanie w hotelu wśród tłumu obcych ludzi — powiedziała Tilda.

— Nie jesteśmy bardzo zamożni, ale to nasza podróż poślubna, więc uznaliśmy, że raz w życiu można zaszaleć. Ponadto — Ron trochę zniżył głos i prawie konfidencyjnie dodał — ojciec Tazerwalt jest dość bogatym biznesmenem.

Wydawało mu się, że Niemcy są bardziej skłonni zaakceptować go w roli męża bogatej córki Orientu niż Polaka szastającego pieniędzmi.

Peter zadzwonił do znajomego z Wiednia, który oferował do wynajęcia dom na Cobenzlgasse. Ron nie znał austriackiej stolicy, ale przysłuchując się rozmowie, zorientował się, że chodzi właściwie o przedmieścia w dzielnicy Grinzing.

— ...możesz zamknąć górę albo kilka pokoi — rozmawiał z kimś Peter. — To są młodzi ludzie... Nie, nie tacy młodzi... To Polacy... Ale są bardzo, bardzo porządni i czysti... — powiedział *herr* Tieck. Napotkawszy pełne dezaprobaty spojrzenie żony, uśmiechnął się przepaszająco do Rona. — Nie, nie sędzę, aby to był dla nich problem.

— Ile dni mają państwo zamiar spędzić w Wiedniu? — zapytał, odsuwając na bok telefon. — Zatrzymaliby się na tydzień — poinformował rozmówcę z Wiednia. — Dwieście euro za dobę? To strasznie drogo.

— Proszę przekazać, że możemy zapłacić tysiąc za cały tydzień, jeśli w lodówce będzie coś, z czego można zrobić śniadanie — zastrzegł Ron. I dodał z wyraźną złościwością: — I koniecznie butelka polskiej wódki.

Tieck zrozumiał ten przytyk i jeszcze raz uśmiechnął się przepaszająco. Do jego wiedeńskiego rozmówcy najwyraźniej przesłanie też dotarło, bo Peter odłożył telefon i powiedział:

— Bardzo przepaszam za tę niezręczność. Jürgen jest bardzo porządnym człowiekiem, ale wie pan, jacy są Austriacy. Jürgen chyba sam zrozumiał swoje *faux pas*, gdyż zgodził się na wynajęcie całego domu na tydzień za tysiąc euro. To wbrew pozorom bardzo dobra cena. Grinzing to fantastyczna dzielnica, zielona, czysta, spokojna. A Jürgen zostawia wam cały wielki dom. I tak stałby pusty, ponieważ w czwartek wieczorem wylatują gdzieś z żoną na Ocean Indyjski. Musicie więc zdążyć do osiemnastej. Proszę zapisać dane kontaktowe.

Peter podyktował adres i telefon wiedeńczyka.

Aby zdążyć na osiemnastą, wyjechali o świcie i wybrali krótszą trasę, przez Czechy, chociaż komunikaty o sytuacji na drogach ostrzegały przed licznymi pracami remontowymi. Ron chciał jednak pokazać żonie czeskie Sudety, mało znany, ale urokliwy zakątek Europy. Zamiast planowanych pięciu godzin spędzili w trasie ponad osiem, ale zdążyli obejrzeć Uście nad Łabą z zamkiem Strekov i średniowiecznymi kościołami. Tazerwalt podziwiała krajobrazy Rudaw, przełomu Łaby i złote lasy na zboczach gór, między którymi jechali niczym w kolorowym wąwozie.

Pragę minęli, nie zatrzymując się w mieście. Stolica Czech wymagała osobnej podróży i Ron obiecał Tazerwalt, że przyjadą tutaj może wiosną, a może nawet na Nowy Rok. Dalej już się nie spieszyli, mając w zapasie dwie dodatkowe godziny. Przed wyjazdem Rościsław sprawdził w wyszukiwarce, czym jest to wiedeńskie „dassafe”, w którym Amastan ukrył pieniądze lub kolejną instrukcję. Wyczytał, że instytucja działa jak solidny bank, pięć dni w tygodniu, w godzinach pracy, i że najlepiej odwiedzić ją w porze przedpołudniowej, gdy poważni biznesmeni odwiedzają solidne banki. Chociaż Das Safe na Auerspergstrasse 1 nie było bankiem, tylko jedną z tych przechowalni, gdzie za ciężkie pieniądze magazynują wszystko, co zechcą pozostawić w numerowanych skrytkach anonimowi biznesmeni, bandyci i politycy. Niekiedy są to zresztą te same osoby występujące w różnych rolach.

[1] Obraz Jusepe de Ribery w Galerii Drezdeńskiej przedstawia świętą Agnieszkę w postaci klęczącej, której nagie ciało anioł przysłania zwojem białej tkaniny. Według przekazów o męczeństwie Agnieszki została ona — przed ścięciem mieczem — całkowicie obnażona i wystawiona na pastwę spojrzeń gawiedzi. Wówczas święta Agnieszka okryła swoje ciało płaszczem długich włosów. Na obrazie de

Ribery obnażane ciało świętej Agnieszki dodatkowo przykrywa białą szatą unoszący się nad nią anioł.

[2] Obraz Rembrandta w Galerii Drezdeńskiej nawiązuje do greckiego mitu o Ganimesie, królewiczu z Troi, który był tak pięknym chłopcem, że zakochał się w nim sam Zeus i pod postacią orła porwał młodzieńca na Olimp. Mit o Ganimesie jest interpretowany często w kategoriach relacji homoseksualnej, łączącej Zeusa z uprowadzonym chłopcem.

XLIV

Ulica Cobenzlgasse leżała faktycznie na przedmieściach Wiednia, chociaż w administracyjnych granicach austriackiej stolicy. Ron z drogi uprzedził właściciela, że mogą przyjechać znacznie wcześniej, i zapytał grzecznie, czy nie będzie to stanowiło dla niego problemu. Czy to bezbłędny niemiecki Rona z berlińskim akcentem, czy to chęć zatarcia niemiłego zgrzytu w rozmowie z Peterem sprawiły, że Jürgen Kelemen był wręcz zaskakująco miły przy powitaniu. Wspólnie z żoną oprowadzili ich po domu, którego bogate, nawet z pewnym zbytkiem urządzone wnętrze, z ciężkimi rzeźbionymi szafami, meblami, których obicia powtarzały wzory zasłon, było zaskoczeniem, gdyż budynek z zewnątrz przypominał raczej ogromny wiejski dom niż miejską willę. Z okien po jednej stronie rozciągał się widok na pola porośnięte winną latoroślą, z drugiej — na drzewa zapowiadające las i trzeba było dobrze wysilić wzrok, aby dostrzec prześwitujące za nimi białe mury sąsiedniego domu.

— Urządzaliśmy dom w czasach, gdy było nas stać na wiele więcej niż obecnie. Liczyliśmy, że któreś z dzieci tu zamieszka. Ale syn wyprowadził się do Londynu, córka zamieszkała ze swoją rodziną w Linzu. Przyjeżdżają niekiedy na dzień, dwa. Teraz akurat żadne z nich nie może się tu zjawić, a wykupiliśmy dwutygodniowe wczasy na Mauritiusie. Oczywiście dom jest strzeżony przez agencję ochrony, lecz gdyby było włamanie, patrol przyjedzie dopiero wtedy, gdy ślad po złodziejach już ostygnie. U Vollerów, trzy domy dalej, wynieśli sprzęt RTV, zastawę, a nawet dywany. Teraz jest tylu imigrantów, złodziei i bandytów, że trzeba mieć się na baczności...

— Zatrzymamy się u państwa tylko na tydzień... — Ron chciał powstrzymać niekończącą się opowieść Austriaka o domu, złodziejach i imigrantach.

— Tak, Peter mi mówił. Moglibyście zostać tutaj dłużej. Jesień jest dobrą porą do zwiedzania Austrii, stąd jest blisko i do Niemiec, i do Czech, i na Węgry. Klucze zostawcie u sąsiadów, tych z naprzeciwka. Proszę im tylko nie mówić, że jesteście z Polski. Pan ma berliński akcent, więc proszę powiedzieć, że jesteście krewnymi Tiecków...

— Umówiliśmy się na tysiąc euro? W serwisie Airbnb praktykuje się też wpłacanie kaucji. Ile mamy państwu wpłacić? — Ron wręczył gospodarzowi dwa banknoty po pięćset euro i wciąż trzymał w ręku portfel, sugerując gotowość do dopłacenia kaucji.

Herr Kelemen zawahał się chwilę, przelotem spojrzął przez okno na zaparkowane przed wjazdem volvo, potem na moment zatrzymał wzrok na Tazerwalcu i machnął ręką.

— Owszem, w serwisie taka praktyka istnieje. Ale wśród nas obowiązują inne zasady. Poza tym Peter poręczył za pana. I jak bym zwrócił panu pieniądze? Może kiedyś drogi zawiodą mnie do Polski, wówczas chętnie skorzystam z pańskiej gościnności.

— Serdecznie zapraszamy, w każdej chwili.

— A gdzie pan mieszka? W Warszawie?

Komórka w kieszeni zaczęła najpierw wibrować, potem rozległ się przenikliwy terkot — w aparacie z polskim numerem Ron ustawił dźwięk klasycznego telefonu. Rzucił okiem na ekran, to był numer pułkownika Raczkowskiego.

— Przepraszam na chwilę, to mój adwokat, pewnie coś pilnego, inaczej nie przeszkadzałyby nam w urlopie.

Byli akurat na piętrze. Uśmiechnął się, dodając odwagi Tazerwalcu, pozostawionej sam na sam z Jürgenem i jego

żoną, i wyszedł na taras górujący nad polem winogron.

— Taaak? — głos Rościszława nie zachęcał do rozmowy, ale człowiek z Miłobędzkiej nie zwracał na to uwagi.

— Witam pana. Przepraszam, że przeszkadzam wam w podróży poślubnej. Gdzie państwo teraz jesteście?

— Trochę zmieniliśmy trasę podróży. Właśnie przed chwilą zameldowaliśmy się w hotelu w Wenecji.

— Rozumiem, że w drodze do Rzymu? Jestem teraz z moim amerykańskim przyjacielem, o którym panu mówiłem. Bardzo nalega, aby z panem porozmawiać. Mogę przekazać telefon? Pamięta pan o naszej umowie?

Ron zrozumiał, że Raczkowski chce mieć kontrolę przynajmniej nad początkiem jego kontaktów z Amerykanami.

— Pamiętam naszą rozmowę. Tak, proszę przekazać telefon swemu przyjacielowi. Tylko proszę mu powiedzieć, że jeśli nie mówi po polsku, niech stara się mówić po angielsku, a nie w narzeczu z Teksasu. — Ron nawet nie starał się być grzeczny. — Jesteście w miejscu publicznym?

— Nie, jesteśmy w moim biurze. Przekazuję telefon.

— Hallo, Ron. Ja jestem przyjaciel pana Raczkowskiego. Mówię trochę po polsku, ale słabo, więc będę mówił po angielsku, nie po teksasku...

— Mam do pana prośbę — przerwał dość bezceremonialnie — mógłby pan włączyć głośnik, aby pułkownik słyszał naszą rozmowę?

Zaskoczenie Amerykanina wyczuwało się nawet z odległości kilkuset kilometrów.

— Jest pan bardzo lojalny wobec przełożonych, panie Harib.

— Taka służba, panie...?

— Jestem Thomas Moore, może pan mówić Thomas.

Dobrze, że nie przedstawił się jako John Smith. „Nazwisko Moore występuje w USA nieco rzadziej niż Smith, ale tylko nieco” — skomentował w duchu.

— Przejdźmy do rzeczy. Czyta pan gazety?

— Niekiedy czytam, ale nie w podróży poślubnej.

— Proszę wybaczyć, że niepokoję pana w takim momencie, ale problem jest poważny i pilny. W Libii strącono rządowy samolot wojskowy. Rosyjską rakieta Igła, podobną do tej, której zdjęcie pan przywiózł. O tym może pan wyczytać w gazetach. Ale nie wyczyta pan, że inny samolot wojskowy, tym razem włoski, został także trafiony Igłą i tylko cudem udało się pilotowi jakoś wylądować. Musimy natychmiast zająć się problemem, zanim zdarzy się większa tragedia. Nasi ludzie oczywiście są na miejscu, ale każda wskazówka, każda informacja jest bezcenna. Dlatego muszę pilnie z panem porozmawiać osobiście. Pułkownik Raczkowski jest przeciwny temu, aby wydać panu rozkaz powrotu do kraju, bo był pan w długiej męczącej misji i należy się panu urlop. Więc zaproponowałem, że to my przyjedziemy do pana.

— My, czyli kto?

Rościsławomalże nie parsknął śmiechem, gdy usłyszał, że Raczkowski nie chce wydać mu rozkazu powrotu do kraju. „No, pułkownik gra va banque, poszedł po bandzie” — pomyślał z uznaniem o bezczelności człowieka z Miłobędzkiej.

— Ja i specjalista wojskowy od takich typów broni. Dzisiaj jest środa, możemy być u pana za tydzień, a jeszcze lepiej za osiem dni, w następny czwartek. Będzie pan już w Rzymie?

Ron szybko kalkulował. Oczywiście, może być za tydzień w Rzymie, ale nie znał tego miasta i, co ważniejsze, nie znał włoskiego. Będzie tam czuł się mniej pewnie niż w kraju, którego język i kultura są mu bliskie.

— Według naszego planu w czwartek po południu będziemy najprawdopodobniej w Salzburgu. Ale możemy jeszcze odwołać rezerwację hotelu.

— Jeśli planują państwo podróż do Austrii, to może Wiedeń? Bo nie wiem, czy teraz, po sezonie, są loty z Warszawy do Salzburga.

— Wiedeń nam bardzo nie po drodze, lecz jeśli sprawa jest tak pilna i poważna, to oczywiście dostosuję się, chociaż jeśli ma to być Wiedeń, to może w przyszły weekend, nie najbliższy, a za dziesięć dni?

— To dobra data i dobra propozycja. Na wszelki wypadek niech pan zapisze numer mojej komórki. — Amerykanin przedyktował dziewięciocyfrowy numer i upewnił się: — Sobota, za dziesięć dni, Wiedeń?

— Jesteśmy umówieni. Potwierdzę e-mailem do pułkownika. Pułkownik przekaże mi też e-mailem szczegóły, gdzie dokładnie się spotkamy, o której i sposób potwierdzenia.

— *See you* — w głosie Amerykanina można było usłyszeć nutkę satysfakcji. Ron rozumiał dlaczego. W pamięci miał informację, że Wiedeń jest miastem, w którym CIA czuje się jak u siebie w domu.

Jeszcze w drodze z tarasu do pokoju wyjął z telefonu polską kartę SIM i baterię.

— Podoba ci się tutaj? — zapytał Tazerwalt.

— Bardzo. Cichy dom na wsi, wśród pól i drzew. Mogłabym tu zamieszkać.

— To może zatrzymamy się na dłużej? — zaproponował i zwrócił się do państwa Kelemen: — Mojej żonie bardzo podoba się ten dom. Pomyślałem, że moglibyśmy urządzić tutaj na dwa tygodnie bazę wypadową do zwiedzania nie tylko Wiednia, ale i całej Austrii. Wynajmiemy zatem willę na dwa tygodnie.

Ron wręczył gospodarzowi kolejne dwa banknoty. Uradowany Jürgen opowiedział im jeszcze, gdzie najlepiej robić zakupy i przy jakiej stacji metra zostawić auto, jeśli zechcą pojechać do centrum Wiednia.

— Centrum jest dość zatłoczone — wyjaśniał. — A i z parkingami mogą być kłopoty. My najczęściej dojeżdżamy autobusem do stacji, a stamtąd metrem do centrum. Swój samochód możecie zostawić w garażu, jest w nim wystarczająco dużo miejsca, zmieści się drugi.

— Jürgen, czas się zbierać — zaczęła ponaglać męża pani Kelemen. — Spóźnimy się na lotnisko. Taksówka powinna już czekać. — Wyjrzała przez okno. — Tak, już jest.

Państwo Kelemen jeszcze raz sprawdzili, czy aby na pewno zabrali paszporty i bilety. Dwie walizki stały w przedpokoju. Ron odprowadził ich do taksówki niczym troskliwy syn i pomachał ręką na pożegnanie.

— Pojedziemy do centrum? Czy jesteś zmęczona?

— Domyślam się, że nie chodzi ci tylko o spacer po mieście? — Tazerwalt nie była zachwycona perspektywą nocnej włóczęgi.

— Nie mamy miejscowych kart SIM. I dobrze byłoby zorientować się w terenie. Nie chciałbym, aby jutro spotkała nas niespodzianka.

Rona zaniepokoił telefon od człowieka, który przedstawił się jako Thomas Moore. Nie miał pewności, czy Amerykanin przypadkowo wskazał Wiedeń jako miejsca spotkania, czy

dawał Ronowi do zrozumienia, że jest pod ciągłą obserwacją. Oczywiście, to mógł być przypadek, ale od pewnego czasu przestał wierzyć w losowe zbieżności. Uznał jednak, że pod osłoną wieczoru dzisiaj można jeszcze zaryzykować. Lecz jutro koniecznie trzeba wstawić auto do warsztatu na specjalny przegląd.

Mimo że dom na Cobenzlgasse wydawał się położony na głębokich peryferiach Wiednia, dojazd do centrum miasta zajął im tylko dwadzieścia minut. A po drodze jeszcze dwa razy zatrzymywali się, szukając kart prepaid. Ron zrelacjonował krótko żonie rozmowę z Moore'em.

— Świetnie, że Amerykanie tak łatwo łyknęli przynętę, lecz nie podoba mi się, że ich człowiek wskazał Wiedeń jako miejsce spotkania — oceniła Tazerwalt.

— Też mam co do tego pewne podejrzenia. W tej chwili jednak nie mamy już pola manewru. Możemy za to dobrze wykorzystać czas, aby przygotować się do spotkania.

— Przez dziesięć dni przemyślimy i przygotujemy każdy szczegół. Teraz najważniejsze to oddać depozyt Amastana. Aksil najpewniej mocno się niepokoi.

— Aksila poinformujemy dzisiaj. Połączymy się z nim z hotspotu z centrum. — Klepnął ręką po notebooku. — Musimy również dobrze obejrzeć Auerspergstrasse i okolice.

Auerspergstrasse była częścią małego ringu, ulicy kuliście opasującej ściśle centrum Wiednia, na odcinku między Lerchenfelder a Josefsgasse. Przejechali nią powoli, mijając kolejno pałac Auersperg, ratusz i pięciogwiazdkowy hotel Levante Parliament, zanim skręcili w prawo w uliczkę Stadiongasse i zrobiwszy małe kółko, zatrzymali się w cieniu drzew na placu Schmerling, praktycznie naprzeciwko przechowalni Das Safe, która mieściła się tuż obok pałacu Auersperg w budynku na rogu

Auerspergstrasse i Lerchenfelder Strasse. Od monumentalnego gmachu parlamentu, którego białe marmurowe kolumny przy wejściu i przytłaczającą fontannę Pallas Ateny mijali przed chwilą, dzieliła ich tylko szerokość skrzyżowania.

Pozostawili na chwilę auto pod drzewami i przeszli na drugą stronę skweru, gdzie w kawiarni Raimund wypili kawę. Okna lokalu wychodziły na ulicę Museumstrasse, a tu kilkadziesiąt metrów dalej przybierała nazwę Auerspergstrasse. Ron zanotował w pamięci, że obok Das Safe znajduje się wjazd na parking, zapewne podziemny, natomiast z zaparkowaniem wozu w bezpośrednim sąsiedztwie przechowalni byłby problem. Wrócili do samochodu. Jeśli by ktoś w chłodny wieczór dostrzegł ciemne auto pod drzewami i koniecznie chciał zajrzeć do wnętrza, ujrzałby tulącą się do siebie parę.

Korzystając z zasięgu miejskiego hotspotu, Ron wysłał z kolejnego adresu e-mailowego krótką informację do Aksila. Ścisłej: wstukał tylko pod kontrolą Tazerwalt litery, pisząc łacińskim alfabetem posłanie w języku tamahak. Po wysłaniu zlikwidował konto pocztowe, wyczyścił pamięć i serwer proxy. Następnie z telefonu, do którego włożył nową, austriacką kartę SIM, zadzwonił na numer podany mu kilka dni wcześniej. Tym razem mówiący niezbyt dobrze po niemiecku głos odezwał się natychmiast.

— Przyjaciel Amastana — przedstawił się od razu Rościsław, aby zaoszczędzić procedury identyfikacji.

— Witaj, bracie. Czekałem na twój telefon.

— Jestem na miejscu. Kiedy i gdzie możemy się spotkać?

— Proponuję kawiarnię Sacher, tam zawsze jest pełno turystów. Jutro o jedenastej?

— Dobrze. Czy mam przywieźć depozyt?

— Nie, to zbyt ryzykowne. Porozmawiamy jutro.

— Jak się rozpoznamy?

— Postaram się zająć miejsce przy oknie. Będę miał gazetę „Der Standard” otwartą na artykule o nowinach z Tyrolu.

I rozmówca rozłączył się. Ron rozumiał, że „człowiek amrara” chce uniknąć zbyt długiej rozmowy, aby nie zostać namierzonym. Rozumiał też, że jest niepewny swego bezpieczeństwa i mocno wystraszony.

Po powrocie do domu na Cobenzlgasse Ron surfował po internecie, szukając wieści z Libii i o Libii. Znalazł informację o zestrzelonym rządowym samolocie MiG-23. Mimo śmierci Kaddafiego walki wciąż trwały, tym razem już między oddziałami różnych milicji plemiennych. W jednorazowej skrzynce poczty elektronicznej czekał krótki list od Aksila. Syn amenukala przekazywał dane kontaktowe stworzonej przez siebie organizacji pozarządowej (to był pomysł Rona), która jako cel deklarowała — obok szczytnych, a pusto brzmiących frazesów o zgodzie narodowej, pojednaniu i budowie demokratycznego państwa — demilitaryzację polityki wewnętrznej, rozbrojenie bojówek i wykupywanie broni od ludności. Rościsław wynotował też adresy kilku najbliższych warsztatów samochodowych. Rankiem następnego dnia obdzwonił wszystkie, aż znalazł specjalistę elektryka, który obiecał zająć się autem i sprawdzić, czy nie zamontowano w nim dodatkowych urządzeń ponad te, które przewidział producent.

— A mógłby pan pożyczyć mi wóz zastępczy na te kilka dni, dopóki nie przejrzy pan mego auta? — zapytał Ron, oddając kluczyki od volvo.

— Za trzydzieści pięć euro dziennie może pan wziąć fiata bravo, nawet na tydzień. Jeśli nie potrzebuje pan faktury, to

możemy nie wypisywać żadnych dokumentów; będę miał mniej problemów z papierami i fiskusem. A pańskie volvo posłuży jako karta kredytowa gwarantująca płatność — roześmiał się właściciel warsztatu.

— Świetnie, zaoszczędzimy czas i uratujemy kilka drzew, rezygnując z psucia papieru — przystał chętnie Ron.

Tego dnia pozostawili jednak wypożyczonego fiata przy stacji metra. Zamierzali poruszać się transportem publicznym. Dojazd do centrum miasta, w miejsce na rogu Auerspergstrasse i Lerchenfelder Strasse, którego okolice wczoraj dokładnie obejrzel, zajął im pół godziny i byli tam kilka minut przed dziesiątą. Ron pchnął ciężkie drzwi przechowalni Das Safe. Inaczej niż w banku, gdzie klienta oczekuje w wielkiej hali kilka lub kilkanaście okienek z kasjerami, tutaj, po przejściu kolejnych masywnych drzwi i elektromagnetycznej bramki, znaleźli się w westybulu, przed obliczem postawnego mężczyzny, który wyszedł im naprzeciw. Odźwierny grzecznie zapytał, w czym może im pomóc, i z przedpokoju zaprowadził ich do jednego z saloników, gdzie kolejny recepcjonista, o wyglądzie spadochroniarza, który po przejściu na emeryturę postanowił zostać nobliwym księgowym, zaproponował im, aby usiedli, i wysłuchał życzenia Rona: chcą pozostawić cenny depozyt na przechowanie na dwa lata i odebrać inny.

— Państwo znają zasady obowiązujące w naszej firmie? Skrytka jest anonimowa i podpisywana standardowa umowa nie musi zawierać prawdziwego nazwiska pana lub pani; jest jednostronnym zobowiązaniem z naszej strony. Oczywiście swoje nazwisko może pan wpisać do umowy, to nie ma znaczenia. Większość naszych klientów raczej tego nie robi — uśmiechnął się przedstawiciel Das Safe. — Siłą naszej firmy jest nie tylko materialne bezpieczeństwo, jakie gwarantujemy depozytom, ale także tradycja, zaufanie i dyskrecja.

„Z tą dyskrecją to bym nie przesadzał” — pomyślał Ron, patrząc na kamery w rogach pomieszczenia. Śledziły każdy ich krok, odkąd zbliżyli się do budynku firmy na odległość kilkunastu metrów.

— Jakiej wielkości schowek chce pan wynająć? — zapytał recepcjonista.

— Taki, w którym zmieściłyby się dwie walizki turystyczne. — Ron pokazał ręką, jak wysokie miałyby to być walizki.

— Rozumiem. Na dwa lata będzie to nieco kosztowne...

Ron skinął głową, godząc się z góry na cenę usługi.

— Jeśli ktoś z państwa lub osoba przez was upoważniona odbierze depozyt wcześniej, nie zwracamy kosztów za nadpłacony okres. Jeśli depozyt nie zostanie odebrany we wskazanym terminie, opłata będzie naliczana w tej samej wysokości aż do dnia odbioru.

— A jeśli nikt nie zgłosi się po odbiór?

— Ktoś kiedyś się zgłosi. Jeśli nie za dziesięć lat, to za dwadzieścia. Proszę, oto umowa najmu, zawiera numer skrytki, wielkość. Możemy teraz zjechać na dół, zakoduje pan zamek i odbierze klucze. Z jakiego schowka chcą państwo odebrać depozyt?

— 87451 — podał numer Ron.

— To prawie ten sam poziom. Proszę za mną.

Winda była równie przestronna co w banku w Dreźnie, ale nie przeszklona, lecz wykonana z jasnego, szarego metalu. Zjeżdżali do podziemi głębszych niż w stolicy Saksonii. Piwnice Das Safe przypominały raczej bunkier, wyłożony niklowanymi płytami. Od głównego korytarza, oświetlonego chłodnym, jaskrawym światłem, odchodziły korytarze boczne, które z kolei rozgałęziały się na małe cele — każda

z nich wyposażona była w drzwi pancerne z kodowanym zamkiem. Recepcjonista wbił kod, drzwi rozsunęły się, otwierając dostęp do pomieszczenia z sejfami.

— Proszę wprowadzić dwunastocyfrowy kod i przekręcić klucz. Mają państwo klucz?

Ron pokazał klucz z koperty Amastana.

— Nie przeszkadzam. Będę w korytarzu, proszę zadzwonić. — Recepcjonista wskazał na dzwonek.

Patrzyli we dwoje na kwadratową tarczę dziesięciu cyfrowych przycisków.

— Amastan nie podał nam kodu...

— Cyfry można zapisywać literami, mówiłam ci. Pierwsza litera alfabetu odpowiada cyfrze 1, druga to 2 i tak dalej. Tylko kolejność liter... W jakim może być alfabecie? — zastanawiała się Tazerwalt. — Obstawiam tiffinah.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Hasło brzmi: *tadrart adźdżar*. Dwanaście liter, tyle, ile wspomniał recepcjonista. Dźwięk „dź”, który we francuskim zapisalibyśmy dwiema literami, „dj”, w tiffinah zapisujemy jednym znakiem. Nikt poza Kel Adźdżar nie mógłby odczytać hasła i otworzyć tego sejfu.

— Przecież to tylko dwanaście znaków, nietrudno byłoby się domyślić, że literze przypisana jest cyfra.

— Niby tak, tylko że pełna tablica alfabetu tiffinah zawiera dwa razy więcej znaków niż arabski. W arabskim jest dwadzieścia osiem liter, a w pełnym tiffinah są pięćdziesiąt cztery znaki, chociaż w naszym języku można pisać i dwudziestoma trzema literami. Weźmy pierwszą literę hasła, „t”. Jaka to cyfra? 2, 3 czy 5? Bo w tiffinah są trzy litery, które nazywamy „jat”, i zajmują one w alfabecie odpowiednio miejsce 32, 33 i 35, gdyż między nimi jest

jeszcze litera „jacz”, w wymowie, zapewne słyszałeś, bardzo podobna do „cz” w twoim języku. To samo dotyczy liter „dź” i „d”, nawet Arabowie by pomylili kolejność. Bo na przykład weźmy ten znak „dź”: na którym miejscu alfabetu występuje, jeśli akurat tej litery — Tazerwalt pokazała znak podobny do spłaszczonej litery „x” — używamy tylko my, Kel Adżdżar? To prawdziwy szyfr.

— Masz przed oczami taką tablicę znaków i odpowiadających im liter?

Tazerwalt roześmiała się.

— Ile jest liter w twoim języku? Trzydzieści dwie? Założę się, że nie powiesz mi z pamięci, które miejsce w alfabecie zajmuje ta czy inna litera. Więc tym bardziej ja bym nie potrafiła zrobić tego w tiffinah. Gdy odczytywałam w banku list Amastana, narysowałam sobie matrycę. I dlatego możesz śmiało wybierać PIN.

Patrząc w ściągę, Tazerwalt podyktowała mu dwanaście cyfr. Ron przekręcił klucz i wstrzymując z niepokojem oddech, pociągnął za rączkę. Drzwi sejfów się otworzyły. Poczł coś w rodzaju rozczarowania, patrząc na niewielki brązowy neseser, wypełniający tylko małą część obszernej przestrzeni skrytki. Spodziewał się raczej ujrzeć stosy banknotów lub ułożone w piramidy sztabki złota. Popatrzył na Tazerwalt, jakby oczekiwał jej przyzwolenia. Żona skinęła głową.

Zamek walizeczki odskoczył z cichym trzaśnięciem. Uchylił wieko. Na wierzchu, na niebieskiej papierowej teczce leżała niezaklejona koperta. Żadnego adresu czy napisu. Gdy wziął ją do ręki i przechylił, aby wyciągnąć zawartość, z wnętrza wysunął się klucz, podobny do tego, którym dopiero co otworzyli drzwiczki schowka. Kartka w kopercie zapisana była znakami, w których już rozpoznawał litery alfabetu tiffinah. Podał ją żonie, a sam wyjmował z

neseseru skoroszyty. Otworzył pierwszy z wierzchu — kserokopie dokumentów rządu libijskiego, notatki z rozmów w Waszyngtonie i Paryżu z Tonym Blairem i Condoleezą Rice. Pod papierowymi teczkami znajdowały się pliki różowo-fioletowych banknotów, jeszcze z opaskami włoskiego Banco Popolare.

— To od Amy... do mnie i do Aksila... — Tazerwalt szybko, jakby ukradkiem, otarła wierzchem dłoni oczy.

— Co pisze? — Ron zdawał sobie sprawę, że jego obcesowe pytanie zabrzmiało nietaktownie w takim momencie, ale czas naglił.

— Wybacz, to bardzo, bardzo osobiste. Kiedyś ci przeczytam, ale nie teraz.

Łza powoli spływała po policzku Tazerwalt, aż spadła na trzymaną w ręku kartkę.

Dziewczyna zebrała się z siłami.

— Zaledwie kilka zdań odnosi się do naszej misji: „Klucz do sejfu w Das Safe. Synowie Kaida znają numer i hasło. Pozbądź się tego skarbu jak najszybciej i zapomnij o nim. Przynosi tylko śmierć”. Może nie chodzi o skarb, lecz o ciężar, brzemię, bo Ama użył arabskiego słowa z trzech liter: „s”, „k” i „l”, które czytane *sikl* oznacza ciężar, a *sakl* jakąś bardzo cenną rzecz — dodała po chwili.

„Ciężar. Brzemię...”. To wszystko? Harib usiłował zebrać elementy szarady w logiczną całość.

— Tak. Jeszcze tylko dopisek, że pieniądze, które są razem z kopertą, to jego ostatni prezent dla mnie.

Tazerwalt znów wytarła oczy.

— Co zrobimy? Jak wypełnimy wolę Amastana? Przecież nie mamy numeru sejfu... — przerwała w połowie zdanie córka amenukale. — Ależ oczywiście! Aksil?!

Ron potakująco skinął głową.

— Muatasim przekazał twemu bratu cztery ciągi cyfr. W jednym z nich jest pięć cyfr, w drugim dwanaście. Dokładnie tak samo jak w tej skrytce: pięciocyfrowy numer i dwunastocyfrowy kod. Klucz jest prawie identyczny z tym, który znaleźliśmy w Dreźnie. Więc idziemy do nowego sejfu.

— A dwa pozostałe ciągi cyfr, które przekazał Muatasim? Zawierają inną liczbę znaków.

— Tego nie wiemy. To najpewniej jakaś inna przechowalnia lub bank. Może wskazówkę znajdziemy w papierach Amy. A może odpowiedź zna Aksil.

— Co zrobimy z tym? — Tazerwalt wskazała brązowy neseser.

— Zabierzemy ze sobą. Tylko trochę później. To nie tylko prezent dla ciebie. To nasza polisa na życie.

Zadzwoił po recepcjonistę.

— Chcielibyśmy sprawdzić jeszcze jedną skrytkę — zwrócił się Ron do strażnika suchym, wypranym z jakichkolwiek emocji głosem.

Pracownik Das Safe tylko skinął głową. Nie takie rzeczy już widział w ciągu kilku lat pracy na Auerspergstrasse.

Sejf, którego numer podał Ron, znajdował się w innej odnodze korytarza. Powtórzyli ceremoniał otwierania: recepcjonista otworzył im drzwi do pomieszczenia z kilkoma skrytkami, upewnił się, że posiadany przez nich klucz pasuje do zamka sejfu, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi pancerne.

Ron wpisał dwunastocyfrowy kod, odciągnął drzwi. W schowku stały cztery walizeczki, czarne skórzane nesesery o grubości kilkunastu centymetrów, takie, w jakich finansiści i księgowi przenoszą dokumenty. Wszystkie były

jednakowej formy i identycznego wzoru. Najwidoczniej ktoś bardzo się spieszył i kupił od razu całą partię walizek w pierwszym napotkanym sklepie. Ron wyciągnął jeden z neseserów.

— Jeśli i tutaj będą kodowane zamknięcia, to chyba zmienię zawód na szyfranta — mruknął Ron, widząc kółka z cyframi. Zamek był jednak ustawiony na cztery zera i wieczka odskoczyły przy naciśnięciu. Tazerwalt i Ron popatrzyli na siebie.

— Tego się spodziewałem, chociaż nie wiedziałem, w jakiej formie ten skarb jest przechowywany. Myślałem nawet, że to może być złoto lub kamienie szlachetne. Chyba za dużo oglądałem filmów przygodowych.

Być może Amastan ją uprzedzał, bo Tazerwalt nie była zaskoczona tym, co zobaczyła.

W walizeczce w dwóch równych, bardzo grubych ryzach znajdowały się starannie ułożone *obligations assimilables du Trésor*, obligacje francuskiego skarbu państwa. Każda z kartek papieru miała nominalnie stu tysięcy euro.

— Jak sądzisz, ile może tego tutaj być? Trzy? Cztery? Pięć tysięcy obligacji? — zapytał Ron.

— Nawet nie chcę wiedzieć. Oddajmy je jak najszybciej i zapomnijmy o wszystkim.

— Zobaczymy, co jest w pozostałych?

Nim Tazerwalt zdążyła wyrazić swój sprzeciw, sięgnął po kolejny neseser. Papiery w walizeczce składały się na kolejne dwa, równie staranne i równie grube stosy, z tym że kartki były szaro-zielone, a każda z nich nosiła napis „*The United States of America. Treasury Bill*” i liczbę 100 000 na tle graficznego znaku dolara.

— A nie możemy przekazać kodu i klucza człowiekowi, z którym mamy się dzisiaj spotkać?

— Pomyślałem to samo. Jesteśmy coś winni Amastanowi, ale możemy wykonać jego instrukcje, nie narażając swego życia. To nie są zabawy dla nas. To wszystko nas przerasta.

Rona nie opuszczało wrażenie uczestniczenia w czymś nierealnym, jakby w grze wymyślonej i zaaranżowanej przez przyjaciół, którzy chcąc mu ubarwić monotonną egzystencję tłumacza, wepchnęli go w środek zwariowanej zabawy. Doświadczenie dziennikarza pozbawiało go złudzeń, że można tak po prostu wypisać się z tej gry. Niekiedy bezwiednie, a nawet wbrew swojej woli, stajemy się uczestnikami historii, która dzieje się wokół nas i z nami, a której chcieliśmy się tylko bliżej przyjrzeć.

Umieścił wszystkie nesesery z powrotem w skrytce i zatrzasnął drzwi, jakby odcinał się od czegoś brudnego, lepkiego i niebezpiecznego. Tak, przekażą „człowiekowi Wodza” klucz i hasło, a po „posag Tazerwalt”, jak nazywał pieniądze pozostawione im przez Amastana, sami zjawią się dopiero wówczas, gdy wypełnią misję, a ich świat powróci do normalnego, spokojnego rytmu. Zadzwoił po recepcjonistę.

— Depozyt zostanie odebrany w piątek przed zakończeniem pracy waszej firmy, założymy około czternastej. Potrzebna będzie ochrona i transport. Koszty proszę doliczyć do wynajmu nowej skrytki.

— Poczekamy więc do jutra do czternastej, zapewnimy ochronę i transport. Proszę się o nic nie niepokoić. Rozumiem, że przejdziemy teraz do schowka, który państwo wynajęliście przed chwilą?

— Tak, bardzo proszę.

Przeszli niklowo-szpitalnym korytarzem do innej odnogi korytarza. Recepcjonista wskazał im otwarty sejf w najniższym rzędzie i udzielił instrukcji:

— Proszę, oto dwa identyczne klucze do skrytki. Wkłada pan klucz, przekręca pół obrotu i wybiera dwunastocyfrowy PIN. Następnie wkłada zawartość do schowka, zamyka drzwi i przekręca klucz do końca. System zamyka sejf losową kombinacją cyfr. Tylko ponowne wskazanie właściwego kodu z jednoczesnym użyciem klucza może go otworzyć. Oto pańska umowa potwierdzająca wynajęcie skrytki w Das Safe. Tak jak pan sobie życzył, na dwa lata. Poczekam na zewnątrz.

Recepcjonista opuścił pomieszczenie. Z kilkunastu papierowych teczek, które znajdowały się w brązowej walizce, Ron wziął dwie pierwsze z wierzchu i nie przeliczając pieniędzy, wstawił neseser do sejfu. Miał chęć zabrać go ze sobą, aby już nigdy nie wracać do tego miejsca. Zdawał sobie jednak sprawę, że nierozsądnie by było biegać po Wiedniu z walizką pełną pieniędzy i, co bardziej niebezpieczne, z dokumentami, których ujawnienie zmusiłoby świat do przepisania na nowo kroniki dziejących się wydarzeń. Pracownik Das Safe z nieprzeniknioną miną odwiózł ich windą na poziom zero, odprowadził do drzwi i pożegnał się, przekazując pod opiekę ochroniarzowi. Z ulgą wyszli na ulicę.

— To niedobre miejsce. Emanuje stąd jakaś zła moc. — Tazerwalt też czuła się nieswojo w podziemiach Das Safe.

— Może się przejdziemy? — zaproponował Ron. — Mamy jeszcze pół godziny do spotkania, a do Philharmonikerstrasse nie więcej niż półtora kilometra, dwadzieścia minut spokojnym spacerkiem.

— Chętnie. — Ujęła go pod rękę.

Idąc wzdłuż Grete-Rehor-Platz, minęli z lewej strony gigantyczny gmach parlamentu i wyszli na Burgring. Potok aut i ludzi zagęszczał już o tej porze ulice Wiednia, ale przestrzeń połączonego placu Marii Teresy i placu

Bohaterów wydawała się pusta, a gmachy Hofburga, Burgtor i obu budynków Muzeum Historii Sztuki i Historii Naturalnej przydawały okolicy dodatkowego monumentalizmu.

— Wiedeń robi wrażenie stolicy wielkiego imperium. Te potężne gmachy, pomniki, rozmach. A przecież Austria jest pewnie krajem tej wielkości co *szabija*, Ghat, która jest jedną z najmniejszych prowincji w Libii — zauważyła Tazerwalt.

— Bo Austria była imperium, nawet część mojego kraju do niego należała. Imperialne zadęcie pozostało w austriackim myśleniu o świecie. — Skoro Wiedeń jest za duży na Austrię, to może powinniście tu przenieść z Brukseli stolicę Europy?

— Austria przyłączyła się do Unii Europejskiej dopiero w 1995 roku, gdy status Brukseli był już mocno utrwalony. Ponadto przeniesienie stolicy Europy tak daleko na wschód zmieniłoby układ sił w samej Europie na korzyść Niemiec. Austria z uwagi na język i historię często jest postrzegana jako część niemieckiego świata.

— I podczas ostatniej wojny w Europie Austria była po stronie Niemiec?

— Austria nie tylko była sojusznikiem Hitlera, ale z wielką ochotą zjednoczyła się z Niemcami. A potem dokonała niezwykłej sztuki, wmawiając wszystkim na świecie, w tym także swoim obywatelom, że była ofiarą hitleryzmu, a nie częścią systemu nazistowskiego. W dzisiejszym świecie diametralna zamiana sojuszków, pojęć i wartości nie tylko nie dziwi, ale jest przyjmowana jako dowód politycznej zręczności.

— Strasznie pogmatwaną macie historię. Pewnie powinnam kiedyś o tym wszystkim poczytać. Ale trochę szkoda mi czasu na nurzanie się w tym. Próba wyjaśnienia

dnia dzisiejszego poprzez historyczne analogie jest ucieczką od wysiłku zrozumienia, jak bardzo skomplikowana jest współczesność. Pytałam o udział Austrii w wojnie, myśląc o tym, czy Rainer mógł pochodzić właśnie stąd — wyjaśniła Tazerwalt, dla której europejska wojna, powojenne sojusze i współczesne polityczne intrygi na kontynencie były jeszcze bardziej odległe niż zmagania Kartaginy ze starożytnym Rzymem. — Chodź, przejdźmy na drugą stronę, do ogrodu. — Na widok pomnika po drugiej stronie ulicy pociągnęła go w stronę przejścia podziemnego. — Pomnik Mozarta! — wykrzyknęła. — W Wiedniu jest przecież słynna opera. Obiecuj, że się tam wybierzemy!

— Mamy dwa tygodnie dla siebie. Zwiedzimy wszystkie zakątki tego miasta. Obiecuję.

Parkiem przeszli na Albertinaplatz.

— Oto i gmach Opery Wiedeńskiej. Przyjrzyjmy się repertuarowi.

Afisz w gablotach na gmachu opery reklamowały wydarzenia planowane na najbliższe tygodnie i miesiące.

— Nie wiem, do kogo jest adresowana ta reklama. Szanse, że uda nam się kupić bilety, są przecież żadne. Ale warto spróbować. Nie wierzę, że w Wiedniu nie działa magia pieniądza. — Ron wyczytał z afisza, że za osiem dni, w sobotę, Wiener Staatsoper wystawia *Nabucco* Verdiego.

Zanim weszli do kawiarni Sacher na rogu ulic Kartner i Filharmoników, musieli odczekać chwilę, przepuszczając grupę Japończyków, którzy nawet wychodząc, nie zapominali uwiecznić każdego szczegółu otoczenia na fotografiach — witryny, ludzi, wejścia do hotelu o tej samej nazwie. Wnętrze kawiarni, rozślawionej na cały świat za przyczyną podawanego tam tortu o tej samej nazwie, przypominało bardziej pokoje pałacu lub muzeum niż

miejsce, przez które przewalały się codziennie tysiące turystów z nabożnym i głośno demonstrowanym zachwytem przeżuwających kawałki ciasta czekoladowego, wymyślonego przed półtora wiekiem przez prapradziadka właściciela kawiarni. Nastroju muzeum lub pałacu dopełniały wysokie sufity, ogromne lustra, kryształowe żyrandole, obite czerwoną materią ściany, na których rozwieszono portrety z *belle époque*.

W salach kawiarni było tłoczno, wszystkie stoliki zajęte. Kilka osób rozglądało się czy to w poszukiwaniu wolnego miejsca, czy oczekujących ich osób. Człowiek Kaida siedział, tak jak się umówili, pod oknem na jednej z czerwonych sof rozstawionych wzdłuż ścian. Ron nie musiał nawet patrzeć na leżącą obok niego gazetę, aby skierować kroki w jego stronę. Mimo zgolonych wąsów, dłuższych siwych włosów i przyciemnionych okularów Szukri Hanem nie zmienił się na tyle, aby nie można było rozpoznać w nim człowieka, którego spotkał w Az-Załiji i który przekazał mu notes dla norweskiej telewizji. Później Rościsław przejrzał internet, aby dowiedzieć się, kim był nocny gość. Amastan przedstawił go tylko jako przyjaciela Saifa al-Islama. Powiązanie Hanema z drugim synem Wodza, przygotowywanym do roli spadkobiercy i następcy, miało podkreślać bliskość tego człowieka z rodziną panującą i znajomość jej tajemnic. Szukri Hanem był jednak przede wszystkim ministrem do spraw ropy naftowej, a wcześniej szefem rządu Libii, przez którego ręce przechodziła większość transakcji związanych zarówno ze sprzedażą ropy naftowej, jak i z inwestycjami zagranicznymi. Hanem był faktycznie skarbnikiem Kaddafiego. Ron uśmiechał się, gdy czytał w mediach relacje z konferencji prasowych, podczas których „Mister Petrol” opowiadał o swoich dramatycznych wyborach politycznych i dzielił się opiniami na temat przyszłości Libii. Te ostatnie oceny były o tyle ważne, że zupełnie nie korelowały z optymistycznymi

doniesieniami większości europejskich gazet o postępach w budowie libijskiej demokracji. Zapamiętał z rozmowy w Załaji, że wyjazd Hanema z Libii był wprawdzie pospieszny, ale starannie przygotowany i miał na celu ratowanie nie tylko głów ministra i jego rodziny, ale również pieniędzy ulokowanych w bankach i funduszach inwestycyjnych całego świata.

Hanem też go poznał, bo najpierw przez jego twarz przemknęło zdziwienie, potem pojawiła się na niej radość, która ogarnia zagubionego człowieka, gdy na bezludziu spotyka znaną, przyjazną osobę. Nie objęli się jednak jak arabscy bracia, lecz solidnie uścisnęli sobie dłonie, jak witają się mieszkańcy północy Europy. A widząc Tazerwalt i bezbłędnie rozpoznając w niej kobietę Kel Tamahak, Libijczyk zapytał tylko dla pewności:

— Jesteś siostrą Amastana?

— Tak. Jestem Tazerwalt, córka Agwelida, siostra Amastana.

— Zaczniemy od tego, że spróbujemy miejscowego delikatesu, który przyjeżdża smakować tutaj cała Europa. Słynny tort Sachera, wynalazek szesnastoletniego kucharza, od wieku jedna z wizytówek Wiednia. Do tego koniecznie zamówimy kawę. A że kelnerzy tutaj się nie spieszą, możemy spokojnie porozmawiać, zanim pojawi się ktoś, kto przyjmie zamówienie. Bardzo się cieszę, że to właśnie wy jesteście wysłannikami Amastana.

— Amastan nie żyje — poinformował sucho Ron.

— Jak zginął? Kiedy? — Hanem wydawał się być zaskoczony informacją.

— Podczas odwrotu z Trypolisu. Czekaliśmy na lotnisku Mitiga na dokumenty od Saifa al-Islama. Dlatego musieliśmy opóźnić wylot. Ktoś nas zdradził, ponieważ na

lotnisku czekała zasadzka — Ron krótko wyjaśnił okoliczności śmierci Amastana.

— Ten, kto zginął w walce, będzie męczennikiem — zadeklarował uroczyście Szukri Hanem.

— Amastan zginął, gdyż był człowiekiem pustyni i człowiekiem słowa. Mój ojciec dał wam słowo, że Kaid, jego rodzina i ich majątek będą pod opieką Kel Tagelmust. Kaid nie żyje. Jego żonie i dzieciom Kel Adżdżar pomogli znaleźć bezpieczne schronienie. Teraz chcemy spełnić ostatnią część przyrzeczenia, chcemy ci oddać to, co zostało nam powierzone na przechowanie. Kel Adżdżar dotrzymują słowa. — Wypowiedź Tazerwalt zabrzmiała mocno, jakby odcinała przeszłość i definitywnie zamykała pewien rozdział historii.

Hanem skinął głową, potwierdzając, że umowa została dotrzymana.

— Czy depozyt jest bezpieczny? — zapytał.

— Tak — odparł Ron. — Nie zabraliśmy go ze sobą, ale chcielibyśmy przekazać ci go jak najszybciej. Przekażemy dostęp do miejsca, gdzie jest ukryty, i rozejdziemy się. — Ron przesunął w stronę Araba karteczkę, na której zapisał adres Das Safe i numer kodu. — I klucz. Proszę.

— Nie, nie. — Jakby broniąc się, Hanem odsunął rękę Rona. — Proszę was o pomoc. Wiem, że mogę liczyć na was, na was. Bardzo mi już pomogłeś, przekazując notes. — Rozejrzał się niespokojnie wokół, po czym nachylił w ich stronę. — Nie wiem, czy wiecie, co znajduje się w skrytce. Ale nie mogę osobiście odebrać przesyłki. Z całą pewnością jestem śledzony, a moja twarz jest znana w bankach i instytucjach, które przechowują depozyty. Co roku inwestowaliśmy w Europie, Afryce, Stanach, na całym świecie miliardy dolarów. W najlepszych latach otrzymywaliśmy ze sprzedaży ropy do osiemdziesięciu

miliardów dolarów rocznie. Według mnie, a przecież nie wiem o wielu sprawach, bo może tylko Saif al-Islam wie wszystko, choć nie sądzę, libijskie aktywa za granicą znacznie przekraczają sumy, o których się oficjalnie mówi. Amastan był zaufanym człowiekiem Saifa. Nie wykluczam, że wiedział nawet więcej niż ja o pewnych szczegółach operacji z lokatami. Nie tylko w Wiedniu, ale przede wszystkim w Londynie, tam przecież znajduje się centrum finansowe Europy. I oczywiście w Szwajcarii. Wprawdzie Kaid zdążył wycofać z tego kraju sześć miliardów dolarów, ale co najmniej drugie tyle pozostało w bankach Zurychu i Genewy. Obecne władze w Bengazi i Trypolisie, Amerykanie, Francuzi, Włosi, Brytyjczycy, służby całego świata poszukują tych pieniędzy. Jest jeszcze coś...

— Tak? — Ron znów czuł się jak kukiełka na sznurkach.

— Poza pieniędzmi są jeszcze dokumenty. O porozumieniach, jakie Kaid i Saif al-Islam zawarli z rządami Zachodu. Są tam także plany przyszłych projektów inwestycyjnych zachodnich firm w Libii i Afryce. Powinny też być materiały o rozmowach na temat budowy rurociągu Trans-Saharan II, z Sudanu przez Libię do Europy. Odkrywają one prawdziwe przyczyny zachodniej interwencji w Libii. Gdy Kaid publicznie powiedział o planach transportu ropy z Sudanu do Libii, jego los był przesądzony. Tak uważam. Jeśli opinia publiczna w Europie dowiedziałyby się o tym wszystkim, doszłoby do prawdziwego politycznego trzęsienia ziemi. Nie możemy do tego dopuścić. Bo te dokumenty są jak broń atomowa: są skuteczne, dopóki nie zostaną użyte. Użyte, spowodowałyby katastrofę, po której życie każdego, kto był związany z Pułkownikiem, nie byłoby warte uschłego krzaka.

— Po co ci te pieniądze? Mogę się domyślić, że to, co sam wywoziłeś, wystarczy tobie i twojej rodzinie na całe pokolenia. — To córka amenukala prowadziła rozmowę.

— Pieniądze nie są moje. Potrzebuje ich Saif al-Islam, aby odzyskać wolność. Jest więziony, gdyż nowi władcy Libii oczekują, że podzieli się z nimi majątkiem. W tej chwili targuje się, ile warte jest jego życie: dwa, trzy, pięć czy dziesięć miliardów. Potrzebuje ich naród Libii, bo ktoś kiedyś będzie musiał pozbierać porozrzucone kamienie i od nowa zbudować nasz kraj. Potrzebują ich ci wszyscy, którzy do końca pozostali wierni Kaidowi.

Tazerwałt wzruszyła ramionami.

— Jestem bardzo rozczulona twoją troską o naród Libii. — Ron nie spodziewał się po żonie takiej wrogiej ironii. — To prawda, że jakieś ogryzione kości dostawały się ludowi od Kaddafich. Ale nie tylko Kel Adżdżar gnieździł się w nędznych ruinach starych chat i żywili się tym, co sami wyhodowali. Nie chcę toczyć z tobą politycznych dyskusji. Dostarczymy depozyt we wskazane miejsce. Nie licz jednak na nic więcej.

Ron zamyślił się nad słowami Hanema: „Czy aby na pewno syn Kaddafiego chce kupić sobie życie i wolność? Czy może gra toczy się o coś zupełnie innego?”.

— W czyich rękach jest Saif al-Islam? — zapytał.

— Plemienia Zintan — krótko odparł były minister.

Ron wiedział, że plemię Zintan rzeczywiście walczyło przeciwko siłom Kaddafiego. Ale wiedział też od Agwelida, że to nie Pułkownik był śmiertelnym wrogiem Zintan, lecz sąsiednie plemię Maszaszia. Właściwie, gdyby nie przypadkowa śmierć jednego z bojowników Zintan, zastrzelonego przez żołnierza armii Kaddafiego, nie wiadomo, po czyjej stronie plemię by się opowiedziało. Zintan nie mieli specjalnych przyczyn, aby powstawać przeciwko Wodzowi, a teraz, gdy Kaddafi był martwy, nie dostrzegał innych niż pieniądze powodów, dla których mieliby prześladować jego syna. Przecież nie z powodu

takiej błahostki, że Saifa al-Islama obwiniano o śmierć iluś tam demonstrantów. Zastanawiające było i to, że Zintan nie wydali syna Wodza nowemu rządowi rewolucyjnemu.

— Saif al-Islam dobrze jest traktowany przez Zintan? — zapytał niewinnie.

Hanem łypnął okiem w jego stronę.

— Dlaczego pytasz?

— Bo tak się zastanawiam: jeśli Saif al-Islam będzie miał pieniądze, duże pieniądze, i uzyska poparcie plemienia Zintan, a także innych rodów i, oczywiście, Zachodu, to czy nie zechce zająć miejsca ojca? Jako zbawiciel umęczonego przez wojnę domową kraju? A może wykreuje nowego władcę? Przykładowo któregoś z generałów? Kogoś, kogo zna, kto już służył rodzinie Kaida?

— O, wreszcie — ucieszył się Hanem, widząc, że znudzony kelner raczył zauważyć ich stolik, i uciekł od odpowiedzi w rozmowę o kulinariach.

— Rekomenduję tort Sachera i wiedeńską kawę — podpowiedział po cichu Hanem.

— Trzy razy Sachertorte, dwa razy Wiener Kaffee i raz lungo — poprosił Ron. Kelner był wyraźnie zaskoczony jego płynnym niemieckim. Najwidoczniej usłyszał fragment rozmowy, prowadzonej po arabsku. „Niedobrze” — pomyślał Ron. Takie sytuacje zapadają w pamięć, nawet kelnerowi przyzwyczajonemu do różnojęzycznych gości.

— Teraz będziemy czekali kwadrans, zanim przyniesie zamówienie. — Hanem był wyraźnie zdenerwowany i irytował go najmniejszy drobiazg.

„Boi się” — pomyślał Ron. „Bardzo się boi”. I głośno przystał na propozycję Tazerwalt.

— Kiedy mamy przywieźć ci depozyt? I dokąd?

Szukri Hanem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki perłowe pióro Montblanc.

„Słabość do drogich gadżetów kiedyś go zgubi” — pomyślał Ron. Tak ekskluzywne drobiazgi niepotrzebnie przyciągają uwagę.

Szukri napisał adres na skrawku urwanej gazety.

— W to miejsce. W sobotę. Będę tam od szóstej wieczorem — poinformował, po czym zwrócił się do Rona, zaczepiwszy po drodze wzrok o Tazerwalt: — Zastanawiałem się, dlaczego Amastan tak ci ufał. Poznaliście się w Algierze, nieprawdaż?

— Tak, masz rację. Poznaliśmy się w Algierze, na długo przedtem, zanim spotkałem Tazerwalt — potwierdził Ron, wykluczając tym wersję sugerowaną przez spojrzenie Hanema, że za jego zaangażowaniem stoi kobieta. — Amastan miał tam kłopoty.

— Amastan nie opowiadał ci, co robił w Algierze? Ktoś z Daira Al-Istialam łał-Amn, algierskich służb specjalnych, wystawił go Francuzom. Francuzi nie chcieli dopuścić, aby libijskie i algierskie służby porozumiały się na wypadek gwałtownych przemian w regionie. Francuzi byli przekonani, że Amastan chce wykorzystać możliwości Algierczyków do operacji w Europie, a chodziło o coś zupełnie innego. To my zaoferowaliśmy Algierczykom nasz potencjał, aby zapobiec destabilizacji regionu. Tak czy inaczej, była to zdrada, ponieważ generał Medien, szef Ad-Daira, algierskich służb specjalnych, nie został uprzedzony o akcji przeciwko wysłannikom Kaddafiego. Dlatego później, w geście przeprosin, przyjął rodzinę Kaddafiego u siebie. Myślę jednak, że prezydent Buteflika odwoła go za rok, dwa, gdy tylko generał zrobi porządek i czystki w swoich szeregach.

— Chcesz powiedzieć, że Amastan ukrywał przede mną prawdę i prawdziwy cel znajomości ze mną? Że cały czas manipulował mną?

Tazerwałt poruszyła się, chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

— Amastan wierzył w przeznaczenie bardziej niż my, Arabowie. Gdy mówił, że nic nie dzieje się bez woli Najwyższego, że wszystko ma swój sens i znaczenie, to naprawdę w to wierzył i był, jak to powtarzał, otwarty na znaki. Potrzebował ludzi w Europie, których nikt by nie podejrzewał o kontakty z Trypolisem. Był nieufny i ostrożny. Skoro jednak ci zaufał i wprowadził do swojej rodziny, to nie traktował cię jak jednego z tych, którzy służyli nam za pieniądze. Chociaż wy, ludzie Zachodu, dalibyście się powiesić za grubszy plik banknotów.

Hanem znów pochylił się w ich stronę.

— Nie wiem, jakie macie plany. Lecz powinniście realnie spojrzeć na sprawy. Jeśli chcecie, aby zostawiono was w spokoju, musicie zniknąć, zaszyć się gdzieś na końcu świata. Dobrze, gdybyście mieli też solidne polisy ubezpieczeniowe. To moja serdeczna, przyjacielska rada. I starajcie się nie przyciągać uwagi — uśmiechnął się, jakby chciał im dodać odwagi po tym, co powiedział. W myślach Hanem nie dawał swoim rozmówcom zbyt dużych szans na przeżycie. Byle tylko zdążyli dostarczyć mu przesyłkę.

Kelner przyniósł wreszcie trzy kawałki oblanego czekoladą ciasta. Tort Sachera miał rzeczywiście wspaniały, czekoladowo-morelowy smak, chociaż jak na gust Rona, był zbyt ciężki i kleisty. Tazerwałt miała zupełnie inne zdanie:

— Fantastyczne, coś niebywałego. Jaki jest przepis na to ciasto? Spróbowałabym to zrobić.

Hanem się roześmiał.

— Receptura Sachertorte jest, obok sekretów bankowych, najbardziej strzeżoną tajemnicą Austrii. Myślę, że nawet wam nie uda się jej wykraść. Zresztą jakie jeszcze inne tajemnice mogą mieć Austriacy? Armii nie mają, polityki zagranicznej nie mają. Znaleźli sobie zajęcie w obsłudze innych i dobrze na tym zarabiają. A dyskrecja, nawet w cukiernictwie, jest warunkiem, że inni będą chcieli robić z nimi interesy.

Szukri nie dopytywał, gdzie się zatrzymali, gdzie ukryli depozyt, jak długo zamierzają pozostać w Wiedniu i dokąd się udadzą w dalszej kolejności. Nie pytał nawet, kim jest Ron i jak zdołał tak szybko opanować niemiecki, skoro Amastan powiedział mu kiedyś, że Ron nie jest Norwegiem i nie mówi po niemiecku. Wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi. Każdy biznes wymaga dyskrecji. A już w szczególności ten, w jaki weszli z młodym Europejczykiem, chyba jednak Niemcem.

— Pozostańcie jeszcze chwilę. Ja już pójdę. Do soboty. Niech Allah ma was w swojej opiece.

Hanem się oddalił. W dobrze dopasowanym garniturze, z wełnianym płaszczem przewieszonym przez rękę, wydawał się zasiedziały w Wiedniu biznesmenem znad Zatoki, który wpadł ze znajomymi na kawę do Sachera.

Tazerwał ujęła męża za rękę.

— Wiem, że chciałeś pozbyć się jak najszybciej tego brzemia. Uwierz, ja tym bardziej. Ale ze względu na pamięć Amastana doprowadźmy tę sprawę do końca.

Ron bardzo chciał wierzyć, że za dwa dni to wszystko się skończy i z czasem zapomną o walizkach, kodach, tajnych spotkaniach i rozmowach, których sensu trzeba doszukiwać się jak głównej linii opowiadania powieści szkatułkowej — gdy otwierało się jedno pudełko, pojawiały się dwa inne, a każde z nich mieściło w sobie kolejne szkatułki. Jednak

kiedy wieczorem usiedli z Tazerwalt nad dokumentami zabranymi ze skrytki Das Safe, potężniało w nim poczucie, że znajdują się na topniejącej krze w środku wzburzonego lodowatego oceanu.

Jedna z teczek zawierała dokumenty finansowe. Nie był specjalistą od bankowości, ale nawet on umiał przeczytać schematy operacji finansowych, z których wynikało, że oficjalne zagraniczne zasoby Al-Muassasa Al-Libija Li-l-Istismar, czyli Libijskiego Urzędu ds. Inwestycji, występującego często w papierach pod angielską nazwą Libyan Investment Authority, stanowiły tylko część libijskich aktywów za granicą. Libyan Investment Authority była holdingiem czapką, pod którą kryło się siedem innych funduszy inwestycyjnych, pakujących miliardy dolarów na całym świecie — od Londynu do Australii i Południowej Afryki — we wszystko, w co można było zainwestować: w bony skarbowe państw i wielkich korporacji międzynarodowych, w pałace, ziemie uprawne, spółki naftowe, złoto, kluby sportowe i uczelnie.

Teczka, którą wziął z walizki z Das Safe, dotyczyła tylko Austrii, Szwajcarii i Francji, najwidoczniej to Amastan odpowiadał za operacyjne, wykonawcze sprawy w tych państwach, a może zbierał *dossier* na kogoś, kto się tym zajmował. Oficjalnie Libyan Investment Authority miał w Austrii półtora miliarda euro aktywów. Natomiast zestawienie wszystkich depozytów i inwestycji, z których część występowała pod nic niemówiącymi Ronowi nazwami firm, dawało sumę ponad osiemnastu miliardów euro. We Francji Libia i jej przywódcy zakupili dóbr, papierów wartościowych, nieruchomości, udziałów w wielkich spółkach, takich jak France Télécom, Gaz de France, Lagardère, Électricité de France, Danone, Sanofi, na prawie czterdzieści miliardów euro. Ron przypuszczał, że Ama być może przygotował te zestawienia na czyjeś zlecenie, aby łatwiej było je kontrolować lub odzyskać. Bo

do niektórych tabel i raportów dołączono notatki z adresami, telefonami, kodami.

Na zawartość drugiej teczki miał okazję rzucić okiem już w przechowalni. Były w niej notatki polityczne, zapisy rozmów, charakterystyki rozmówców, adnotacje o subwencjach przyznanych partiom i politykom głównie w Afryce, ale i w Europie.

— I co z tym zrobimy? — Tazerwalt domyślała się znaczenia odnalezionych dokumentów, ale Ron miał świadomość, że dla lekarki z pustyni, nawet obdarzonej szóstym zmysłem, świat polityki był ciemnym labiryntem. Nawet on, który przecież od lat utrzymywał się z jej opisywania, czuł się jak pierwszoklasista, omyłkowo posłany na uniwersyteckie wykłady z matematyki ergodycznej.

— Nie wiem — przyznał szczerze. — Mój ojciec uczył mnie, że jeśli nie wiesz, co masz zrobić, nie rób nic. Ale w tej sytuacji rozwiązanie samo nie przyjdzie. Hanem miał rację: ktoś kiedyś wpadnie na nasz trop. I nawet jeśli wyrzucimy te teczki, całą walizkę do Dunaju lub jeśli pozostawimy ją w Das Safe, nic nam to nie pomoże.

— Może wrócimy do Tadrart? — podsunęła Tazerwalt bez przekonania.

— Przecież odnaleźli obozowisko. Ściągniemy jedynie niebezpieczeństwo na wszystkich Kel Adżdżar.

— Mówiłeś mi kiedyś, jak potężną siłą są w Europie media. Może przekazemy to prasie, telewizji?

— Owszem, to będzie wydarzeniem na dzień, dwa lub tydzień. — Ron nie miał złudzeń co do prawdziwej siły mediów. — Ale kogo naprawdę w Europie obchodzą miliardy Kaddafiego czy sprzedajność polityków? Nowy skandal erotyczny z udziałem lokalnej gwiazdki telewizyjnej

zepchnie te sensacje na dalszy plan już dzień po publikacji. Musimy coś wymyślić, coś, czego nikt się nie spodziewa.

Piątkowy ranek spędzili, zwiedzając ogród i pałac Schönbrunn. Tazerwalt najbardziej spodobały się obrazy Klimta; stała długo przed *Pocałunkiem*, aż wreszcie orzekła, żartując:

— Nie wiem, czy jesteśmy wystarczająco bogaci, aby ten obraz kupić, ale pomyślałam, że chciałabym mieć w naszym domu mozaikę, która będzie go odtwarzać.

— To może zapiszemy się na przyspieszone kursy sztuk pięknych i zrobimy ją sami?

— A wiesz — odpowiedziała poważnie — myślałam o tym, aby naprawdę zapisać się na studia w Europie. Tylko że mogłabym studiować jedynie po francusku, a we Francji raczej nie będziemy się pokazywać.

— Tazerwalt, jesteś genialna! Francja to świetna myśl. — Pociągnął ją za rękę, wreszcie wyprowadzając z galerii.

Usiedli na ławce w ogrodzie, ciesząc się ostatnim ciepłem jesiennego słońca. Ron załadował niemiecką kartę SIM i zadzwonił do Jana, błagając duchy pustyni, aby jego francuski przyjaciel był w Europie, a nie w kolejnej podróży do Magrebu. Telefon odebrano po długim oczekiwaniu.

— Jan? Rościsław z tej strony — przedstawił się krótko.

— Rostek!!! Lata chyba całe minęły. Co się z tobą dzieje? Zniknąłeś w Afryce i zgubiłem wszelki ślad. Gdzie jesteś?

— Dzwonię z Berlina. — Nie był pewien, czy na ekranie terminala w Paryżu wyświetla się niemiecki numer karty czy numer austriackiego operatora.

— Wybacz. Wyświetliło mi się „numer nieznanym”, więc nie spieszyłem się, żeby odbierać. Muszę skończyć artykuł. Rozumiem, że stało się coś ważnego, skoro dzwonisz?

— Janie, jestem w poważnych kłopotach.

— Finansowych czy sercowych? Bo ani w jednym, ani w drugim raczej nie mogę ci pomóc — zażartował Żyd z Paryża i natychmiast zmienił ton na poważny. — Co mogę dla ciebie zrobić? Pamiętaj, mam wobec ciebie dług nie do spłacenia, więc wal prosto z mostu.

— Możesz przylecieć do Monachium? Albo Zurychu?

— Wiesz, że jako prawowierny Żyd nie jadam świniny. A już schweinshaxe z kapustą w ogóle mi nie smakuje. Jak można jeść coś takiego!? Sprawdzę loty. Właściwie bez różnicy. Ale Monachium jest chyba jednak ciekawsze. I mają tam lepszą operę. Kiedy?

— Kiedy mógłbyś? Jutro? Niedziela? Poniedziałek?

— Aż tak źle? Dzisiaj jest piątek, więc nie zdążę, poza tym mam gości, cholernie bardzo ważne osoby. W sobotę i niedzielę będę leczył kaca. Więc w poniedziałek?

— Znakomicie. Zwrócę ci za bilety i za hotel — dodał, pamiętając, że starszy dziennikarz prowadzi oszczędny tryb życia.

— To u ciebie dzieje się źle, nie u mnie. Jeszcze mnie stać na samolot. Zadzwoń jutro, potwierdzę i omówimy szczegóły. Na ten telefon?

— Ja zadzwonię do ciebie. Z innego numeru.

— Rozumiem. Rzeczywiście, wydaje się, Rostek, że wdepnąłeś w wielkie gówno.

Po południu mieli odebrać depozyt w Das Safe. Pojechali fiatem wypożyczonym z warsztatu samochodowego na lotnisko Schwechat. W sklepie lotniskowym kupili dwie walizki, coś z odzieży, Ron wziął ze stoiska Lufthansy metki, jakimi znakuje się bagaż, okleił nimi kuferki, umieścił je na wózku, a wózek pozostawił w dworcowej kawiarni w strefie

przyłotów, przy stoliku, przy którym siadła Tazerwalt. Przysiadł na chwilę obok żony, krytycznym okiem ocenił przygotowania. Dworzec lotniczy był najlepszym miejscem na podmianą waliz i zgubienie ewentualnego „ogona”.

— Wydaje się, że wszystko gotowe. Mam nadzieję, że nim wrócę, nie zepsujesz żołądka wiedeńską kawą — dodawał otuchy żonie.

— Będę piła herbatę, która jest jeszcze gorsza, więc nie wypiję jej zbyt wiele. Powodzenia. Wracaj szybko, nie lubię, gdy cię nie ma obok.

Wrócił do miasta, zostawiając samochód przed ratuszem w Schwechat, kilka kilometrów od lotniska. Stamtąd taksówką dojechał pod dobrze już znaną przechowalnię Das Safe na Auerspergstrasse. Z pewnością stałego bywalca skinął głową ochroniarzowi i od razu skierował się w stronę jednego z pokoiów, gdzie przyjmowali recepcjoniści. Podał numer obu skrytek, przypominając, że prosił o transport i ochronę. Recepcjonista sprawdził w komputerze.

— Tak, zgadza się. Czekaliśmy na pana. Zasadniczo dzisiaj pracujemy krócej. Jedna osoba z ochrony zawiezie pana do miejsca, które pan wskaże. Oczywiście w granicach Wiednia.

— Na lotnisko — burknął Ron.

— Lotnisko obejmujemy swoimi usługami. Proszę ze mną.

Droga do windy, zjazd do podziemi, długi metalowy korytarz. Najpierw schówek z brązowym neseserem i „posagiem” Tazerwalt. Teraz zmienia poziom, korytarz w lewo. Skrytka z czterema walizami. Mógłby już tutaj trafić sam.

— Poczekał na pana — powiedział recepcjonista, otwierając przed nim ciężkie, opancerzone drzwi do salki, w której znajdował się depozyt Amastana.

Kolejność dwunastu cyfr znał na pamięć, ale aby uniknąć pomyłki, spoglądał na kartkę. Nesesery, chociaż niewielkie, były dość ciężkie i przez to niewygodne do niesienia.

— Pomogę panu — zaoferował się z pomocą recepcjonista.

Ron przekazał mu dwie walizeczki.

— Czy będzie pan korzystał jeszcze z tego schowka? Został opłacony do końca przyszłego roku — wyjaśnił przedstawiciel Das Safe.

— Nie, dziękuję, nie będzie mi już potrzebny.

— Rozumiem. Proszę tedy. — Poszli nie do windy, którą zjechali na dół, lecz w przeciwną stronę. — Przejdziemy bezpośrednio do garażu.

Winda zatrzymała się na poziomie minus dwa. Drzwi otworzyły się tuż przed czekającym szarym bmw z otwartym bagażnikiem. Kierowca pomógł włożyć do niego nesesery — teczki z dokumentami Ron wolał nie wypuszczać z ręki. Ochroniarz zatrzasnął bagażnik, przytrzymał drzwi, gdy Ron zajmował miejsce na tylnym siedzeniu. Kierowca usiadł za kierownicę. Ron podziękował recepcjoniście, życząc mu spokojnego weekendu.

— Bezpiecznego lotu — skinął w odpowiedzi recepcjonista i klepnął dłonią w dach wozu, dając sygnał do odjazdu.

Specyficzny szum opon i pewna ociężałość, z jakimi auto wyjeżdżało z podziemnego garażu wprost na ulicę Lerchenfelder, podpowiadały, że samochód jest opancerzony, a sprawność, z jaką kierowca i ochroniarz przeprowadzili całą operację, nie wymieniając ani słowa, dowodziła doświadczenia i profesjonalizmu pracowników Das Safe.

Ochroniarz od czasu do czasu niezauważenie spoglądał w lusterko, obserwując pasażera. Ów pasażer, sądząc z akcentu, najpewniej Niemiec. Lat około czterdziestu. Włosy

chyba farbowane, bo jednostajnie ciemne na skroniach. Okulary, chociaż przyciemnione, to z prawdziwymi szklami optycznymi, jakieś minus dwa. Zawodowiec — nawet na moment nie zdjął rękawiczek ani kapelusza. Nawet odejmując kapelusz i dość wysokie obcasy butów, mężczyzna miał około metra osiemdziesięciu wzrostu. Zbyt drobnej budowy, aby był ochroniarzem, ale może być cynglem, ponieważ porusza się jak człowiek przyzwyczajony do stałego wysiłku fizycznego. Mógł być kasjerem jakiejś grupy przestępczej i przewozić pieniądze. Walizki wydawały się jednak zbyt ciężkie jak na banknoty, a zbyt lekkie na metal. Mógł pracować dla jakiegoś rządu i przewozić na przykład ważną dokumentację. Papier, zwłaszcza dobrej jakości, jest ciężki. Ochroniarz uśmiechnął się do siebie. Te naiwne tricki niewiele mu dadzą. Das Safe dba o dyskrecję i chroni swoich klientów, ale współpracuje też z austriackimi władzami. Informacja o osobie, która podjęła depozyt, i tak trafi do Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji i Zwalczenia Terroryzmu, a tam, na podstawie zapisu z kamer, zostanie podjęta próba identyfikacji przybysza z Niemiec. Jeśli gość znajduje się pod obserwacją służb któregoś z krajów NATO, jego dossier powiększy się o austriacki wątek. A jeśli okaże się, że to wysłannik jakiejś spółki, która dokonuje nielegalnych transakcji, kupując na przykład dokumentację od kreta z konkurencyjnej firmy, to w bazie danych pozostanie krótki zapis do potencjalnego wykorzystania w przyszłości. Rozważania ochroniarza przerwał dzwonek telefonu w kieszeni pasażera.

— Tak? Tak, odebrałem przesyłkę i zmierzam w tej chwili na lotnisko... Jürgen, gdybyś był tak uprzejmy wysłać tam kierowcę... Będę na Tegel przed dwudziestą... Wystarczy czasu, aby wszystko skserować, oczywiście... Raport napiszę do końca tygodnia... Dziękuję za troskę... Pozdrów Annę... Chętnie, w przyszłym tygodniu... — Pasażer wyłączył telefon i znów zapatrzył się w okno.

A jednak jajogłowy. Jego niemiecki z akcentem typowym dla mieszkańca wschodnich landów i prawie literackimi zwrotami wskazywał na pochodzenie, wykształcenie i status. Czyli dokumenty. Leci do Berlina jednym z przedwieczornych rejsów. „To nie kwalifikuje się na poważną notatkę, zrobię tylko standardową zapiskę” — stwierdził w myślach ochroniarz, też patrząc w okno na mijane przedmieścia Wiednia.

„Flary wystrzeliwuje się nie wtedy, gdy lecą rakiety, bo wówczas za późno, ale zawsze wówczas, kiedy przelatuje się nad terytorium wroga” — przypomniał sobie Ron czytając poradę, czy też wykład. Może był przeczulony, ale pozostawianie fałszywych śladów stało się jego drugą naturą.

Gdy podjechali pod budynek lotniska, Ron bez cienia wahania powierzył walizki opiece ochroniarza i ruszył po stojący nieopodal wózek bagażowy. Ustawił starannie nesesery na drucianej siatce, podziękował zdawkowo za podwiezienie i niespiesznie oddalił się w stronę rejestracji. Gdyby ochroniarz zadał sobie trud pójścia za pasażerem i miał wystarczająco wiele czasu, aby przez kilkanaście minut stać wraz z nim w kolejce do odprawy na odlatujący do Berlina samolotu Lufthansy, zauważyłby, że odbiorca depozytu rozmawiał dłużej z pracownicą niemieckich linii lotniczych i chyba niezadowolony z rezultatu konwersacji, odszedł od kontuaru wraz z bagażem. Następnie w kiosku z prasą kupił kilka kolorowych magazynów, co by wskazywało, że nastawił się na długie oczekiwanie lub długi lot, pokręcił się po hali dworcowej i potoczył wózek do kawiarni w sali przylotów.

— Długo cię nie było, zaczęłam się już niepokoić. — Tazerwalt wstała, aby przywitać Rona, i objęła go z taką siłą, jakby nie widzieli się dwa miesiące, a nie dwie godziny.

Ron usiadł przy stoliku, rzucając płaszcz i kapelusz na krzesło.

— A wiesz, z ciemnymi włosami ci do twarzy. Wyglądasz znacznie młodziej i... ciekawiej.

— Jak się ma tak młodą żonę, to nie mam wyjścia, będę kolorował włosy, nawet na fioletowo.

Przekomarzając się, włożyli nesesery, kapelusz, płaszcz, okulary i krawat do obu waliz z metkami Lufthansy, a wyjętą z nich kurtkę Ron narzucił na siebie. Tazerwalt żartobliwym i pieśczośliwym gestem zburzyła mu włosy na głowie.

— Wyglądasz teraz nie jak poważny biznesmen, a podstarzały hippis na wakacjach.

Gdy pasażerowie z berlińskiego lotu zaczęli wychodzić, dołączyli do nich i razem z nimi wylali się falą na zewnątrz, na postój taksówek.

Kierowca pomógł umieścić walizki w bagażniku, uściślił adres, pod który ma jechać, i wdał się w pogawędkę o pogodzie w Berlinie oraz rosnących cenach i podatkach. Wyszli w centrum podwiedeńskiego miasteczka Schwechat. Kierowca, zadowolony z dużego napiwku, ofiarował im pomoc w niesieniu waliz do domu, ale Ron z beztroskim śmiechem podziękował.

— To dwa kroki, dojdziemy. Powodzenia.

Wszedli do zaparkowanego na jednej z bocznych uliczek przed ratuszem fiata bravo i pojechali w stronę centrum Wiednia.

XLV

— Sprawdzimy, co jest w pozostałych walizkach? — W Tazerwalt, która wcześniej wzdragała się nawet dotknąć trefnych pakunków, zaczęła zwyciężać ciekawość.

— Domyślam się, że to samo co w dwóch pierwszych. Ale sprawdźmy.

Ron sięgnął po nesesery. Przeczucie go nie myliło: pozostałe także były wypełnione obligacjami, z tym że w jednym znajdowały się także obligacje rosyjskich i francuskich firm energetycznych, RAO i Électricité de France, a w drugim, obok obligacji szwajcarskich o nominale stu tysięcy franków, znaleźli teczki z dokumentami i paczki banknotów o nominale pięciuset euro.

— Ktoś bardzo kocha Europę — zauważyła sarkastycznie Tazerwalt.

— Bo to największy nominal będący w realnym obiegu. Amerykanie już dawno zaprzestali druku banknotów o nominale większym niż sto dolarów. Obligacje mają najczęściej nominal dziesięciu lub stu tysięcy, niekiedy miliona. Podobno, ale to niesprawdzone, bo wyczytałem to chyba w powieściach kryminalnych, Amerykanie wypuszczają obligacje o nominale stu milionów. Jednak papiery wartościowe, nawet o mniejszej wartości, są kłopotliwe, bo trzeba je jeszcze sprzedać. A pięćsetka jest pieniądzem od razu gotowym do użycia.

— Jak sądzisz, co naprawdę zrobi Hanem z taką furą kasy? Przecież tutaj jest co najmniej pół miliarda euro. Te

pieniądze powinny wrócić do Libii. Widziałeś, jak żyją tam ludzie?

— Tazerwalt, kochana. My tych pieniędzy do Libii nie zawieziemy. Robimy to, co robimy, ze względu na pamięć twego brata. I słowo dane przez twego ojca... Spójrz na papiery. — Podał jej jeden ze skoroszytów wyjętych z nesesera. — Identyczne jak w archiwum Amastana. Twój brat skopiował te materiały. Nie miał złudzeń co do lojalności Saifa al-Islama i jego gwardii. Liczył, że trzyma w ręku polisę ubezpieczeniową na życie. A najprawdopodobniej, przybliżając się do tajemnicy Kaddafich, wydał na siebie wyrok śmierci. Idąc śladem twego brata, poruszamy się po krawędzi przepaści.

— Myślisz, że tego nie rozumiem? Nie wiedziałam, że tak może wyglądać moja podróż do wysnionej Europy. Oddajmy wszystko Hanemowi i uciekajmy stąd.

— Musimy pozbyć się depozytu jak najszybciej. Ale nie możemy jeszcze stąd wyjeżdżać. Znam trochę Wiedeń, znam niemiecki, tutaj czuję się pewniej niż w Rzymie czy Paryżu. Jesteśmy dobrze ukryci, anonimowi w tym mieście, nie zostawialiśmy nigdzie żadnych śladów. To dobre miejsce na decydującą rozgrywkę. — Chciał wierzyć w to, co mówił, a jeszcze bardziej w zwycięski finał batalii.

— Jesteś wojowniczy jak Kel Adżdżar. I jak Kel Adżdżar dumny i próżny.

— *Ajuni zarkaa*, moje niebieskie oczy, będę też jak Kel Adżdżar przebiegły.

Roześmiali się, dodając sobie wiary i otuchy. Kończyli przygotowania do spotkania z Hanemem. Postanowili, że pojedą autem wypożyczonym z warsztatu. Nie mogli wziąć volkswagena z garażu pana Kelemana, gdyż numery rejestracyjne mogłyby doprowadzić wprost do domu, w którym mieszkali. Ponieważ w warsztacie zostawił dowód

rejestracyjny pojazdu na nazwisko właściciela, czyli Jacka Dąbrowskiego, odnalezienie ich na tej podstawie, gdyby doszło do jakiejś wpadki, wymagałoby bez porównania więcej czasu. Z planu miasta wynikało, że dom, w którym Szukri Hanem wyznaczył miejsce spotkania, znajduje się w sąsiedniej dzielnicy.

— Myślę, że pół godziny to aż nadto. Pojedziemy tam, zatrzymamy się w pewnej odległości i przyjrzymy się sytuacji — rozważał Ron, gdy już wyjechali z podwórza na Cobenzlgasse. — Pamiętaj — wychodzę z dwiema walizkami, idę do Hanema, ty zostajesz w aucie. Masz, tak jak teraz, siedzieć z tyłu, tak abyś pozostawała niewidoczna. Jeśli wszystko będzie w porządku, zadzwonię do ciebie i przyjdę po kolejne walizki. Jeśli nie zadzwonię w ciągu dziesięciu minut, natychmiast wracasz do domu. Oczekasz do rana. Jeśli się nie zgłoszę, piszesz do Aksila ze skrzynki, której adres ci podałem, i jedziesz do Warszawy. Dopiero w Warszawie dzwonisz do Ady i Jacka.

— Ron...

— Miła, tak, oczywiście, nic się nie stanie. Ale na wszelki wypadek chcę, abyś wiedziała, co powinnaś robić. Będę wówczas spokojniejszy o twoje bezpieczeństwo.

Uliczka Krones, przy której Hanem mieszkał lub przyjmował gości, rzeczywiście znajdowała się niedaleko od ich domu. Jadąc według wskazań GPS, z głównej ulicy Grinzinger skręcili w prawo, w drogę prowadzącą wzdłuż parku.

— Jesteśmy za wcześnie, jeszcze dziesięć minut — zauważyła Tazerwalt.

— OK, znajdziemy ten dom, przejedziemy obok, zrobimy kółko i zatrzymamy się przed nim.

Ron minął z lewej strony budynek szkoły, dojechał do końca ulicy, ale nie znalazł domu o podanym numerze.

— Co jest? Czyżby Hanem nas wystawił? A może zaraz zadzwoni? — zirytował się Ron. Jazda nocą po zacienionych uliczkach i z milionami euro w bagażniku nie była przyjemną przygodą.

Spojrzał raz jeszcze na skrawek gazety, na którym Hanem napisał adres, później na ekran monitora GPS i paskudnie zaklął. Wprawdzie po polsku, ale Tazerwalt domyśliła się, że nie była to modlitwa dziękczynna.

— Co się stało?

— Atrament z pióra rozlał się na miękkiej gazecie i pozostawił takie ślady, że odczytałem „Kronesgasse”, a tutaj chyba jest napisane „Kronfeldgasse”, jeśli taka ulica istnieje.

— Wpisz Kronfeldgasse w nawigację, zobaczymy, czy jest taka ulica.

Ulica, a raczej uliczka, Kronfelda istniała. Tyle tylko, że znajdowała się prawie na drugim końcu miasta.

— Może zadzwonisz i uprzedzisz o spóźnieniu? — zaproponowała Tazerwalt.

— Wolałbym nie afiszować się z telefonami. Jeśli Hanem bał się sam odebrać depozyt, to znaczy, że jest na podsłuchu. Powinien się domyślić, że nie znamy miasta albo może zatrzymał nas korek czy coś takiego.

W korkach nie ugrzęźli, ale przebijanie się przez wewnętrzną obwodnicę w piątkowy wieczór, gdy wiedeńscy wyruszają z domów, udając się za miasto na weekend lub do centrum stolicy na spotkania ze znajomymi, było czasochłonne. Dopiero na Altmannsdorferstrasse, po tym jak minęli park Schönbrunn, mogli przyspieszyć, ale i tak przyjechali na Kronfeldgasse z półgodzinnym opóźnieniem.

Ron jechał powoli, usiłując wypatrzeć numery mijanych domów jednorodzinnych. Przed willą wskazaną przez Hanema stał mercedes na austriackich numerach.

— Czyli Szukri jest w domu, całe szczęście. Zrobimy kółko i zatrzymamy się jakieś sto, dwieście metrów za mercedesem.

— Ron, nie stawaj tu. Jedź z tą szybkością do końca ulicy, zrób kółko, ale nie wjeżdżaj na tę ulicę, a zatrzymaj się przed skrzyżowaniem — dobiegł z tyłu pełen napięcia głos Tazerwalt.

— Dlaczego? Co się stało?

— Jeśli ten mercedes należy do Hanema i jeśli Hanem czeka na nas od pół godziny, to co robi człowiek za kierownicą? Ponadto czuję, że coś jest nie tak. Może jednak zadzwonisz?

Powoli przejechali uliczką do końca, zgodnie z nakazem jazdy skręcili w lewo, raz jeszcze okrążyli kwartał i zatrzymali się w rzędzie zaparkowanych aut przed szeregowymi domkami na Tuschlgasse. Ron wybrał numer Hanema. Ten odebrał telefon dopiero po kilkunastu dzwonekach.

— Tak. Hanem. Proszę... — usłyszał nieznośną niemczyznę Hanema.

— Akakus Tadrart — powiedział krótko Ron. Zabrzmiało to jak umówione hasło.

— Matar Mitiga — usłyszał w odpowiedzi.

Ron przerwał połączenie.

Tazerwalt patrzyła pytająco.

— Powiedział: lotnisko Mitiga.

— Czy to coś znaczy?

— Opowiedziałem mu, że Amastana zdradzono na lotnisku w Mitiga. To ostrzeżenie.

— Poczekajmy chwilę — zdecydowała Tazerwalt. — To dobre miejsce?

— Tutaj obowiązuje wszędzie ruch jednokierunkowy, więc jeśli Hanem ma gości, będą oni musieli przejechać właśnie tędy — wyjaśnił Ron.

Zegar w aucie powoli połykał minuty. Do jednego z domów w szeregowcu wróciła rodzina z dwojgiem dzieciaków, szukali miejsca, aby zaparkować samochód. Ron pokazał im gestem, że odjadą później. Czekali dwadzieścia minut, trzydzieści...

— Może jednak ponownie zadzwonię do Szukriego?

Tazerwalt powoli, przecząco pokręciła głową.

Ciemny mercedes wytoczył się z Kronfeldgasse, praworządnie zasygnalizował skręt w lewo, chociaż w tym miejscu obowiązywał nakaz jazdy w tę stronę i włączanie kierunkowskazu było przesadą. „Bardzo ostrożny kierowca, nawet na małym, oddalonym osiedlu nie chce ryzykować przypadkowego spotkania z policją” — pomyślał Ron. Ich fiat bravo stał w cieniu, a przejeżdżający wóz wręcz defilował wzdłuż latarni i mocno oświetlonych okien mijanych domów. Nie sposób było nie dostrzec charakterystycznej łysiny Szukriego Hanema, który siedział na tylnym siedzeniu mercedesa podpierany z obu stron przez towarzyszących mu mężczyzn. Także miejsce obok kierowcy było zajęte. Wiedeńczycy są oszczędnymi ludźmi i chętnie unikają płacenia zbyt wiele za dojazdy do pracy, ale rzadko kiedy można zauważyć auto z aż z pięcioma osobami. Zwłaszcza w dzielnicy willowej w piątek wieczorem... Tym rzadszy jest widok, gdy jednym ze stłoczonych pasażerów jest były minister do spraw ropy naftowej, który mógłby kupić całą flotyllę mercedesów wraz

z kierowcami w liberiach i dywanikami do rozścielania przed nim, ilekroć kolumna aut by się zatrzymywała.

— Jedziemy za nimi? — W Ronie zagrała wojownicza nuta.

— Po co? Co możemy zrobić? Przecież nie zaalarmujemy policji — powiedziała Tazerwałt.

Po tym, jak mercedes zniknął im z oczu, odczekali jeszcze kilka minut i opuścili dzielnicę Favoriten. Ron długo kluczył po mieście, przejechał dwa razy na pomarańczowych światłach, nim powrócili do willi na Cobenzlgasse. Najpierw zadzwonił do Hanema. Ale telefon Libijczyka nie odpowiadał. Ron wysłał e-mail do Aksila z kolejnego jednorazowego konta, po czym zadzwonił raz jeszcze do Hanema. Znow bezskutecznie. Wykonał więc telefon do Petera Tiecka i raz jeszcze dziękował za gościnność i rekomendacje udzielone w Wiedniu.

— Świetne warunki, wprawdzie nie ma takiej atmosfery jak u pana, ale jest zupełnie dobrze — komplementował dom w Dreźnie. — Teraz planujemy podróż do Bawarii. Nie mógłby pan polecić nas komuś, kto wynajmuje dom w Monachium? Jeśli będzie pan miał dobre propozycje, proszę o e-maila. Bo jedziemy w góry i może nie będziemy mieli zasięgu telefonicznego. A tak jutro wieczorem przeczytamy.

W sobotę zostali w domu. Zaniepokojeni wydarzeniami poprzedniego wieczoru, oczekiwali na telefon od Hanema. Ron włączył lokalną telewizję, przeglądał austriackie portale. Wieczorem internetowe wydanie „Kronen Zeitung” podało informację, że z Dunaju wyłowiono zwłoki Szukriego Hanema, byłego libijskiego ministra. Bulwarówka, powołując się na „dobrze sprawdzone źródła”, pisała, że według pierwszych ustaleń policji Szukri Hanem popełnił samobójstwo.

XLVI

Tego dnia rozmowa z Janem przypominała dialog z filmów o szpiegach. Gdy Ron usłyszał w tle dźwięk muzyki i zgiełk rozmów, przypomniał sobie, że Jan uprzedzał o gościach, których będzie przyjmował w weekend. Dlatego postanowił być maksymalnie lakoniczny.

— Rostek — powiedział krótko.

— Jednak golonka. Poniedziałek, po południu — usłyszał w odpowiedzi.

— Keferstrasse 24 — powiedział Ron i się rozłączył.

Następny telefon był do Moore'a. Z komórki z polskim numerem. Amerykanin odebrał natychmiast.

— Ron Harib — przedstawił się Rostek.

— Ach, panie Harib, bardzo się cieszę, że pana słyszę. Właśnie rozmawiałem...

— Lubi pan operę i Orient? — Tego dnia Ron nie miał czasu na długie konwersacje z przyjaciółmi z Langley.

— Zasadniczo tak. Dlaczego pan pyta?

— Zrozumiałem, że zna się pan na operze mniej więcej tak jak ja, czyli jak niewidomy na malarstwie. Dajmy sobie szansę obudzić w nas miłość do muzyki. W sobotę w Staatsoper w Wiedniu. *Nabucco*. Dwa bilety na pana nazwisko będą czekały w kasie. Do zobaczenia.

Ostatnim tego dnia rozmówcą był człowiek z Miłobędzkiej. Raczkowski również odebrał telefon od razu, najwidoczniej wszyscy ludzie służb mieli nawyk natychmiastowego podejmowania rozmowy, zanim dzwoniący się rozmyśli.

— Ron Harib. Przypomina mnie pan sobie?

— Ach, witam. Amerykanie dopiekają, że dzwoni pan do mnie? Z wielkimi sojusznikami tak już jest.

— Panie pułkowniku, umówiłem się z pańskim przyjacielem na najbliższą sobotę w Wiedniu. To on zaproponował miejsce. Mam nadzieję, że zdążę tam dotrzeć na czas. Chciałbym, aby pan przyjął do wiadomości, że właśnie otrzymał pan ode mnie pisemną rezygnację, wypowiedzenie pracy ze skutkiem natychmiastowym, czy jak się to tam u was nazywa. Jednym słowem, nie pracuję już u was.

— Ależ nigdy pan...

— To wie pan i wiem ja. Ale niekoniecznie muszą wiedzieć nasi przyjaciele.

— Rozumiem.

— Jeśli pański kolega z Wirginii zacznie panu dokuczać, może pan z absolutną pewnością powiedzieć, że poza tym, co otrzymają ode mnie w Wiedniu, jeszcze więcej pozostało dla pana. Tak wiele, że Thomas będzie chyba za cienki w uszach do rozmowy.

— A kiedy byłby pan skłonny podzielić się ze mną tą „resztą”?

— Gdy tylko wrócę do kraju. I jeśli wrócę.

— Rozumiem. Coś jeszcze?

— Tak, na razie naprzykrzają mi się Francuzi. Czy nasi przyjaciele mogliby dać im na wstrzymanie?

— Zobaczę, co się da zrobić. Niech pan uważa na siebie.

Ron rozłączył się, wyjął kartę SIM, zgiął ją i wyrzucił do toalety. Mógł sobie pozwolić na rozrzutność — przed wyjazdem z Polski zakupił kilka dodatkowych starterów.

Włożył do aparatu kartę otrzymaną od Jacka, ale dla pewności wyjął baterię.

XLVII

Telefon od Hariba zaskoczył Thomasa Moore'a. W Polsce pracowało mu się dobrze, chociaż wciąż nie mógł przyzwycząić się do pewnej niefrasobliwości w zachowaniu Polaków, którzy często kierowali się emocjami, uprzedzeniami i lękami zamiast chłodną kalkulacją. Dlatego tak bardzo cenił Raczkowskiego, który wprawdzie także bywał nieprzewidywalny, ale w pozytywnym znaczeniu — proponował gotowe rozwiązania na etapie, który Moore uważał za wstępną fazę rozważań, i przedstawiał fakty dokonane, gdy Thomas przygotowywał się do podjęcia decyzji.

„Ten człowiek ma potencjał ministra lub premiera” — przyznawał w duchu, dobrze wiedząc, że pułkownik może co najwyżej zostać zastępcą szefa Agencji Wywiadu lub ewentualnie, kiedyś, ambasadorem. Raczkowski zaczynał pracę w wywiadzie, gdy Polska należała do bloku wschodniego, a to było w nowej polskiej rzeczywistości niezmywalnym grzechem. Moore wiedział — i był pewien, iż pamiętają o tym także jego przełożeni w Waszyngtonie i Langley — że w dalekiej, dalekiej przeszłości młody porucznik Raczkowski wyświadczył swojej ojczyźnie i Amerykanom ogromne przysługi na Bliskim Wschodzie i że był wielkim znawcą tego regionu. „Skoro polski rząd nie chce skorzystać z jego doświadczenia i wiedzy, to my tym bardziej mamy czyste sumienie, czerpiąc pełnymi garściami z jego porad i sugestii, a zwłaszcza z takich informacji, jakie przyniósł od swego wysłannika do Libii” — stwierdzał w duchu Moore.

Domyślał się, że Polacy mogą mieć dobre rozpoznanie sytuacji w Libii, dużo lepsze, niż przyznawali oficjalnie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych polskie firmy budowały w Libii drogi i zakłady przemysłowe, Polska sprzedawała Kaddafiemu broń, dziesiątki tysięcy polskich robotników pracowało w Libii, setki libijskich studentów studiowało w Polsce. Byłoby karygodnym marnotrawstwem, gdyby zbudowane wówczas kontakty, może nawet całe siatki, nie zostały teraz wykorzystane. Ron Harib jest jednak zbyt młody, aby mógł uczestniczyć w tamtych wydarzeniach, a to oznaczało, że firma pułkownika Raczkowskiego podtrzymuje dobre tradycje i wysyła nowych ludzi w region Afryki Północnej.

Harib podkreślał podczas ich rozmowy telefonicznej swoją osobistą lojalność wobec Raczkowskiego. Należy zatem zakładać, że nie z własnego wyboru starał się przejąć inicjatywę, uściślając czas i miejsce spotkania. Usłyszał też w głosie Polaka niewystępujące podczas pierwszego kontaktu nutki determinacji i nadmiernej pewności. Czyżby Polacy podejmowali jakąś odrębną grę?

Zadzwoił do pułkownika.

— Marek, możemy się zobaczyć jutro? Rano, o dziesiątej? Zróbmy mały spacer po Polach Mokotowskich.

Pola Mokotowskie w centrum Warszawy to jedno z ulubionych miejsc spacerów mieszkańców polskiej stolicy. Dwaj przechadzający się mężczyźni nie przyciągają niczyjej uwagi. Moore bez ceregieli postawił sprawę jasno:

— Dzwonił do mnie wczoraj twój człowiek z Libii. Wyobraź sobie, to on zaproponował miejsce i czas spotkania...

— Nie zapominaj, że jest w podróży poślubnej i ma ważniejsze sprawy na głowie niż ratowanie ludzkości.

— Ja poważnie. Wydał mi się trochę inny w porównaniu z pierwszą rozmową. Jakby nagle zauważył, że ma w rękach

nie siódemki, ale asy.

— Ale to przecież ty zaproponowałeś Wiedeń, nie on.

— Tak, to prawda. Rozmawiałeś z nim? — Amerykanin zaczynał utwierdzać się w przekonaniu, że Polacy jednak zaczynają swoją własną grę.

— Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem. Poinformował, że wyznaczyłeś miejsce spotkania w Wiedniu. Powiedział, że lubi operę i chętnie się z wami zobaczy. I poprosił, abym ci przekazał, żeby nie naciskać na niego zbyt mocno.

— Co to znaczy „nie naciskać”? Jesteśmy sojusznikami? Jesteśmy. Jest twoim żołnierzem? Jest. Co on naprawdę wie?

— Widzisz, Tom. Jesteśmy sojusznikami, to prawda. I, bądźmy uczciwi, polega to na tym, że to my bardziej pracujemy na was i dla was niż wy dla nas. Ale Ron nie jest moim żołnierzem. Jego związki z Agencją są specjalne; jest tak cennym agentem, że może pozwolić sobie na fochy. Oficjalnie to przecież może mało znany, ale poważany, solidny dziennikarz pracujący dla najbardziej renomowanych telewizji Europy. A my będziemy go ochraniać i ukrywać, jak tylko możemy.

— Nie możecie go po prostu przywołać do porządku?

— I przyznać, że zwerbowałeś dziennikarza? Tom, nie mamy prawa werbować do współpracy dziennikarzy, prawo tego zakazuje...

— Marek, o czym ty... Prawo?!

— Ja wiem, wy jesteście starą, dojrzałą demokracją, solidną i wyrośniętą. Więc jakiś feler, skaza tylko troszeczkę popsuje wam ustrój. Ale my dopiero budujemy fundamenty naszej demokracji. Jeśli je uszkodzimy, może zawalić się cały budynek.

Raczkowski mówił to zupełnie poważnie. Moore znał tę miażdżącą, odważną ironię pułkownika ubraną w poważne słowa, którym nie sposób było zaprzeczyć ani przypisać im innego znaczenia. Tak, ten człowiek przerastał o głowę swoich szefów. Amerykanin uznał, że powinien zmienić taktykę rozmowy.

— Co naprawdę może mieć Harib?

— Nie zdążył mi przekazać raportu w całości. Z tego, co mi wiadomo, ma nazwiska i kontakty ludzi, którzy są w stanie odnaleźć lub wykupić te pieprzone rakiety i mogą dla was pracować.

— Dlaczego nie przekazecie nam tego oficjalnie?

— Jaką wówczas ty miałbyś zasługę? Przekazuję ci coś specjalnego: swego człowieka z informacjami i kontaktami. To ty prześlesz raport. I nie sądzę, że to przeszkodzi twojej karierze. Założę się, że da ci potężnego kopa w górę. A w zamian pomożesz mi objąć stanowisko, na którym mi zależy. Na rok, dwa, nie dłużej. A później pojedę na jakąś ciepłą placówkę. Myślałem o Magrebie, ale teraz wolę chyba Amerykę Południową... bo dalej i spokojnie.

— Co do tego, już się umówiliśmy. Czy jest coś więcej, co powinienem wiedzieć?

— Tak. Francuzi wykazują duże zainteresowanie moim człowiekiem. Trochę męczące.

— Francuzi? A skąd się wzięli w tym wszystkim? — Moore był zaskoczony tą informacją. Albo udawał zaskoczenie.

— Słyszałeś o milionach Kaddafiego przekazanych Sarkozy'emu?

— Owszem, słyszałem. Że niby Sarko otrzymał pięćdziesiąt milionów na kampanię wyborczą od Libijczyków. A co ma z tym wspólnego Harib?

— Skąd francuska prokuratura otrzymała o tym informację? Od norweskiej policji. Dlaczego akurat Norwegowie? Może to przypadek, ale Harib pracował ostatnio dla telewizji norweskiej.

— Taaak?

— Tak się dziwnie składa, że Szukri Hanem, którego notes trafił do Norwegów, popełnił samobójstwo. Skoczył z mostu do Dunaju. I stało się to w Wiedniu. Przypadkowo wyznaczyłeś spotkanie w Wiedniu?

— A, teraz rozumiem. Harib obawia się, że to my za tym stoimy. Bo rzeczywiście to ja wyznaczyłem Wiedeń na miejsce spotkania. Co dalej?

— Nasza agencja dysponuje materiałami, które mogą także was zainteresować. O przedziwnych kontaktach i rozmowach emisariuszy Kaddafiego z politykami z Europy. I ze Stanów.

— To rzeczywiście mogłoby nas zainteresować. Dasz mi te materiały? Co chciałbyś w zamian?

— Te informacje przekazemy oficjalnie. I myślę, że tym powinni się zająć nasi przełożeni. Chyba jesteśmy za mali na takie sprawy. Nawet określenie ceny takiego dealu przekracza nasze kompetencje.

„Może to i lepiej, że tacy ludzie jak Raczkowski nie stoją na czele polskiego rządu?” — myślał Amerykanin, wracając na Aleje Ujazdowskie, gdzie mieści się ambasada USA. „Z amatorami może i trudniej się rozmawia, ale łatwiej ich oszukać i na pewno można zapłacić znacznie, znacznie mniej”.

Thomas Moore był zawodowcem, wolnym od emocji i sentymentów. Rozmowa z Raczkowskim wiele mu wyjaśniła, ale nie oznaczała przecież, że bezkrytycznie przyjął słowa Polaka. Po przybyciu do ambasady skontaktował się ze

swoimi kolegami w Oslo i Paryżu, poprosił podwładnych o sprawdzenie kilku innych spraw. Oslo i Paryż potwierdziły, że notes Hanema przekazali Francuzom Norwegowie. Informacje z centrali w Langley pozwalały rozrysować rozgałęzioną siatkę libijskich wpływów i inwestycji w Europie i na świecie. Wnioski, do jakich Moore doszedł na koniec dnia, utwierdziły go w przekonaniu, że polski wywiad jest zdecydowanie niedoceniany. I że do spotkania w Wiedniu trzeba się starannie przygotować.

Na początku poprosił wszystkie placówki CIA we Włoszech, ale także w sąsiednich krajach — Austrii, Niemczech, Chorwacji, Słowenii i Szwajcarii — o zlokalizowanie Rona Hariba i objęcie go dyskretną obserwacją i ochroną. Tego by jeszcze brakowało, aby przejęli go Francuzi lub przydarzył mu się jakiś nieszczęśliwy wypadek! Zadanie nie powinno być trudne — miał zdjęcie Polaka, numer jego dowodu osobistego, paszportu, karty kredytowej, telefonu, z którego dzwonił, i numer rejestracyjny samochodu, którym podróżował. Nie sposób przejechać Europy tak, aby uniknąć bramek na autostradzie, zatrzymania się w jakimś hotelu czy uiszczenia chociażby centa rachunku. Harib w końcu trafi pod oko kamery i pojawi się w systemie Echelon. Ostatecznie to Amerykanie kontrolują internet i największe systemy kart kredytowych. Moore z rosnącym zdumieniem przyjmował więc informacje od kolegów w Europie, że Ron Harib nie zatrzymywał się w żadnym hotelu, nie przejeżdżał żadną autostradą, ani razu nie posłużył się kartą kredytową i nie pobrał ani jednego euro z bankomatu. Tak, jakby w ogóle nie istniał. Przez myśl przemknęło mu, że być może Polacy ukryli gdzieś w Polsce swego agenta, a jego rzekoma podróż po Europie to mistyfikacja. Odrzucił jednak tę myśl — Raczkowski by go nie okłamał. Przypomniał sobie, że pułkownik ani razu nie napomknął, gdzie obecnie przebywa

Harib. Może też nie wie? Spotkanie w Wiedniu coraz bardziej przypominało randkę w ciemno.

XLVIII

Wyjechali z Wiednia jeszcze przed świtem. Wprawdzie od stolicy Bawarii dzieliło ich niewiele ponad czterysta kilometrów i w ciągu pięciu godzin powinni dotrzeć na miejsce, lecz Ron wziął poprawkę na możliwe niespodzianki, a po przybyciu chciał dodatkowo mieć trochę czasu na rozpoznanie okolicy. Tazerwalt, przygnębiona wydarzeniami ostatnich dni, zmęczona ślęczeniem przez całą niedzielę do późna w nocy nad dokumentami odzyskanymi z komputera Amastana i w dodatku lekko zaziębiona, była milcząca i nie zwracała uwagi na malownicze górskie pejzaże rozciągające się wzdłuż autostrady. Ron powiedział jej, co zamierza zrobić. Żona uznała jego plan za ryzykowny, ale przyznała, że sama też nie ma lepszego pomysłu.

— Amastan obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Dlatego sporządził mapę kontaktów oraz listy ludzi, lokat i skrytek. I tak zagmatwał ślady, aby tylko ktoś, kto zna jednocześnie i Kel Adżdżar, i Europę, mógł je odnaleźć. Skoro tak zrobił, to powinniśmy się ukryć. Zaszyć w zagubionym głęboko w górach kurorcie i nie wyściubiać nosa przez lata.

— Miła, wiesz doskonale, że to nie jest rozwiązanie. Kwestią czasu byłoby, kiedy ktoś, Amerykanie, Rosjanie czy Francuzi, a może ludzie z Bengazi, wpadłby na nasz ślad. Musimy wyprzedzić wydarzenia, zaskoczyć wszystkich.

— Wciąż nie mogę pojąć, czym kierował się Ama, zbierając te informacje. Zawsze był systematyczny i skrupulatny, ale zrobić faktyczną kopię siatki Saif al-Islama w Europie... Nie mogę uwierzyć, że Ama sam był w stanie zgromadzić takie dane. I te materiały o planach budowy

rurociągu transsaharyjskiego... A już zupełnie nie rozumiem, skąd tyle zestawień finansowych. Przecież Amastan nie znał się na finansach. A tam były nawet jakieś projekty wspólnej waluty afrykańskiej...

Tazerwalt wracała do odzyskanych z komputera Amastana notatek odwzorowujących wpływy libijskie w całej Europie, w Afryce, a nawet w Stanach.

— Myślę, że Amastan obawiał się nie tylko i nie tyle Amerykanów czy Francuzów, ile swoich przełożonych. Nieprzypadkowo spośród wielu lokali, jakimi dysponował w Trypolisie, pozostawił Aksilowi klucze właśnie do tego niepozornego mieszkania. Bo tam ukrył dane. A kto ma te dane, może uzyskać dostęp do wszystkich aktywów libijskich, bo ma kontakty do ludzi, którzy mają nad nimi pieczę.

— Ama nigdy by się nie posunął do szantażu — oburzyła się Tazerwalt. — Był Kel Adżdżar.

Ron miał zupełnie odmienne zdanie na ten temat, ale nie podjął tego wątku, lecz powiedział jedynie:

— Tu nie chodziło o szantaż. To była polisa ubezpieczeniowa Amy na życie, jego i wasze. Ci, którzy wysłali żołnierzy na lotnisko Mitiga, aby nas zabić, chcieli zatrzeć wszelkie ślady operacji finansowych w Europie. Nie mogli przewidzieć, że Amastan zdążył już zebrać i ukryć te informacje. Był przecież cały czas pod kontrolą i obserwacją ludzi Kaddafiego.

— Sądzisz, że to Hanem? Jeśli tak, rachunki zostały wyrównane. — Tazerwalt pozostawała nieodrodną córką narodu Kel Adżdżar, który nigdy nie wyrzeka się zemsty.

— Kto wie? Może nawet Saif al-Islam Kaddafi... Powiedziałaś, że Amastan był fanem informatyki?

— Był w tym dobry. Dlaczego pytasz?

— Wciąż zastanawiam się nad sposobem, w jaki ukrył informacje. Dlaczego nie rozproszył ich, przykładowo, w chmurze internetowej? Tylko podzielił na pakiety i rozlokował je w różnych miejscach: na dyskach w Trypolisie, w górach, w Das Safe. Może gdzieś jeszcze. Na takiej właśnie zasadzie działa łączność internetowa, że całość informacji jest dzielona na pakiety, trasowana, czyli przesyłana różnymi drogami, i zbiega się dopiero u adresata.

— A pieniądze? Też miał je rozproszyć?

— No tak... Wiesz, ta dodatkowa skrytka w Das Safe... Przecież Amastan mógł klucz do sejfu z obligacjami pozostawić w Dreźnie. A on wprowadził jeszcze jeden element, tak jak dodatkowy bezpiecznik lub szyfrator: schowek w Wiedniu. Gdyby jedno z ogniw wypadło, łańcuch zostałby przerwany. I tylko ktoś, kto dobrze zna pustynię Akakus, mógłby ogniwa połączyć w łańcuch. Czyli ty lub Aksil.

— I tylko wówczas, gdy pomoże nam ktoś, kto zna Europę — potwierdziła Tazerwalt. I natychmiast dodała, aby nie pozostawić mu miejsca na domysły: — Ale nie sądz, że Amastan od pierwszego spotkania z tobą ułożył taki przebiegły plan i przypisał ci w nim rolę. To Bóg kieruje naszymi krokami.

Na obiad i pierwszy postój zatrzymali się dopiero w Monachium, na tej samej ulicy, na której znajdował się dom z wynajętym przez nich piętrem. Restauracja Osterwaldgarten była typowym lokalem, jakie spotyka się w cichych, zamożnych dzielnicach na peryferiach miast — rodzinnym przedsięwzięciem. Mieściła się na parterze willi, której piętro zajmowali zapewne właściciele. Prosto, rustykalnie urządzone wnętrza z drewnianymi stołami, dobra regionalna kuchnia i nadspodziewanie wielu gości, zważywszy na dzień roboczy i dawno zakończony sezon

turystyczny, przywoływały klimat stylowych restauracji w uzdrowiskach górskich. Tazerwalt uznała, że bawarski strudel wprawdzie nie może równać się z Sachertorte, ale zapowiedziała, że opanuje i tę recepturę.

Po obiedzie, zostawiwszy auto przed restauracją, pod drewnianym płotem po drugiej stronie ulicy, pieszo z jedną tylko torbą przeszli kilkadziesiąt metrów dzielące ich od wynajętego domu. Pani Schmitz, właścicielka, była tak uradowana pojawieniem się gości i pięciuset euro, zapłaconymi z góry za trzy doby, że nie pytała o dokumenty i nie chciała przyjąć kaucji.

— Byłoby mi nawet niezręcznie przyjmować kaucję od rodaka, w dodatku polecanego przez przyjaciół z klubu. Jesteście państwo małżeństwem? — ni to zapytała, ni to stwierdziła, nie oczekując odpowiedzi.

Ron uśmiechnął się. Katolicka Bawaria strzegła pozorów moralności z ubiegłego wieku.

— Tak, proszę pani. Więcej: jesteśmy małżeństwem dopiero od miesiąca.

Gospodyni pokiwała domyślnie głową. To wyjaśniało, dlaczego czterdziestoletni mężczyzna prowadzi za rękę znacznie młodszą od siebie kobietę, najwyraźniej obcej narodowości.

— Ale pańska żona nie jest Niemką?

— Nie, jest maronitką, chrześcijanką z Libanu. Ja też pracuję w Libanie, mieszkam w Berlinie i jesteśmy w podróży poślubnej. Wieczorem przyjedzie jeszcze ze Strasburga mój wuj, który chce poznać żonę. — Ron był wylewny i serdeczny, dostosowując się do rodzinnej bezpośredniości właścicielki domu.

Dom był przepelniony bibelotami, ale standardu mógłby pozazdrościć mu niejeden pięciogwiazdkowy hotel.

Architekt umiejętnie połączył kamień i drewno, luksus z ciepłem i swojskością.

— Mają państwo do dyspozycji całe piętro. Dwie sypialnie, dwie łazienki, salon i bibliotekę. Jeśli życzycie sobie śniadanie, proszę powiedzieć. Obiadów nie proponuję, bo nie opłaca mi się ich przygotowywać dla dwóch, trzech gości. Poza tym tuż obok jest hotel, a trochę dalej, na rogu ulicy Liebergesell, restauracja Osterwaldgarten.

— Byłbym wdzięczny, gdyby pani przygotowała śniadanie dla naszej trójki, przynajmniej jutro. — Ron wręczył frau Schmitz sto euro.

— Nie trzeba, nie trzeba — broniła się, niemniej schowała banknot do kieszeni.

Jan przyjechał taksówką tuż przed zmierzchem. Ron oczekiwał jego przybycia, wyglądając z balkonu, i gdy dojrzał gramolącą się z auta pochyłoną postać starego Żyda, przywołał go z góry i szybko zbiegł po schodach, aby powitać przyjaciela.

— Rostek, coraz bardziej mnie zadziwiasz. Niespodziewane telefony, tajemnicze rozmowy i tajne spotkania w Bawarii. Chyba zacznę pisać powieści szpiegowskie, może w końcu się dorobię.

Jan szczerze się ucieszył, widząc Rościsława. Jego synowie dawno skończyli studia, jeden prawnicze, drugi finansowe, robili wielkie pieniądze i kariery w korporacjach, mieli swoje rodziny i smędzenie coraz bardziej dziwaczejącego ojca irytowało ich. Nie rozumieli jego pasji do włączenia się po Afryce ani jego sentymentów do dawnej ojczyzny. Młody Polak z białoruskich kresów był mu trochę jak syn, trochę jak uczeń terminujący u mistrza.

— Zaraz jeszcze bardziej cię zaskoczę. — Ron poczekał na schodach na sapiącego z wysiłku Jana. — Oto Tazerwalt, moja żona — przedstawił ją, przechodząc na francuski.

— Ron wiele o panu opowiadał. Jest pan największym w Europie znawcą Afryki i przyjacielem godnym najwyższego zaufania. — Tazerwalt uścisnęła dłoń Jana.

Stary dziennikarz uważnie wsłuchiwał się we francuski w wykonaniu Tazerwalt. Dla niego był to także język wyuczony, ale obdarzony dobrym słuchem i mieszkając we Francji od kilkudziesięciu lat, potrafił bezbłędnie odróżnić pochodzenie rozmówcy, a nawet uczelnię, którą ukończył.

— Niech zgadnę: pochodzi pani z południa Tunezji albo z Algierii? Tazerwalt? Mhm... *Inta Kel Ahaggar?*^[1] — zapytał po arabsku.

— Prawie. — Roześmiała się — Kel Adżdżar. Podziwiam pańską spostrzegawczość. Ron mówił prawdę: jest pan mędrce.

— Rostek zawsze miał skłonność do przesady. A może to wyniesiona ze wschodu skłonność do uznawania za wszelką cenę autorytetów? Nawet tych, które okazują się przy bliższym poznaniu fałszywe. — Jan także się roześmiał.

— Pójdziemy coś zjeść? — zaproponował Rościsław.

— Nie, dziękuję. Zjadłem w samolocie indyka, był pewnie w moim wieku, ale nie miał moich sztucznych zębów, więc nasze starcie skończyło się tym, że to jednak ja byłem górą. Zresztą płonę z niecierpliwości, aby się dowiedzieć, co cię skłoniło, aby ciągać starca po dzikich germańskich ostępach. Trochę się odświeżę i będę gotowy. Za piętnaście minut? Świetnie. O, jaka przytulna biblioteka, spotkajmy się tutaj.

Gospodyni, słysząc nowego gościa, wniosła na górę przystawki: ciemne pieczywo, mus bawarski, pieczone cukinie faszerowane serem, plastry gęsi na zimno. Rona ujęła, trochę nawet zawstydzila, gościnność pani Schmitz. Gdy Jan się pojawił — w domowym ciepłym swetrze i

wypchanych sztruksach — w bibliotece czekał zastawiony stolik. Dziennikarz niósł w ręku okazałą butelkę.

— Domyśliłem się, że Rostek zaprasza mnie nie bez powodu. I chociaż nie wiedziałem, że to z okazji zaślubin, zgarnąłem ze sobą na wszelki wypadek flaszkę Frapin. To koniak XO, Extra Old, więc powinien być do wypicia.

— Janie, wydałeś na niego pół emerytury — śmiał się Rościsław.

— Nie śmiej się, kosztuje drożej niż bilety pierwszej klasy z Paryża do Monachium i z powrotem. Ale nie sądzisz chyba, abym wydawał fortunę na koniak, jeśli ty byś nie potrafił go docenić. Świętowałem przedwczoraj małą rocznicę i otrzymałem to jako gift. Zresztą powiedz, z kim miałbym go wypić? I co może mnie naprawdę ucieszyć poza dobrą rozmową z przyjaciółmi, delektowaniem się widokiem... niestety, już tylko widokiem... pięknych kobiet i dobrym koniakiem? A to wszystko mam tutaj. I jestem chyba z tego powodu szczęśliwy.

Jan należał do tego gatunku ludzi, którzy nie znają zmęczenia ani zniechęcenia, którzy do ostatniego dnia życia będą pracować, szukać swojej prawdy o życiu i cieszyć się każdym dniem. Tazerwalt patrzyła na starego dziennikarza z podziwem, prawie zachwytem.

— Więc, Rostek... Opowiadaj.

— Nie wiem, od czego zacząć...

— Zacznijmy od skosztowania, co też rodzina Frapin wyprodukowała. — Rozlał koniak do pękatych kieliszków, popatrzył przez nie na światło lampy, powąchał, spróbował. — To naprawdę da się pić. Pani nie namawiam, ale skoro ja, prawowierny Żyd, mogę się napić, to i współczesna wyznawczyni Muhammada też może.

— Tazerwalt, ostrożnie, to bardzo mocne...

Ostrzeżenie Rościsława było spóźnione. Dziewczyna tylko dotknęła ustami trunku, oczy się jej rozszerzyły, ustami gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

— Widzę, że pani będzie nam tylko asystować. Europejczycy mają dziwne przyzwyczajenia, piją na przykład truciznę. I bardzo sobie to chwalą. Tazerwalt, Rościsławie, za wasze szczęście. A teraz, Rostek opowiadaj, co waszemu szczęściu przeszkadza.

— Janie, rzuć okiem na te dokumenty...

— Nie, najpierw ty opowiedz, co wiesz, co wynika z tych papierów i co udało ci się zgromadzić.

— Oj, to będzie długa historia.

— Mamy czas do jutra do jedenastej, bo wtedy mam samolot. A jeśli zabraknie koniaku, poprosimy naszą *frau*, aby doniosła. Zatem...

— Wiesz, kim był Szukri Hanem?

— Jeszcze pytasz? To libijski minister do spraw ropy, który nie umiał pływać. Zaraz, zaraz... przyjechaliście z Wiednia?

— Tak. I kilka dni temu rozmawialiśmy z Hanemem. Powiedział nam między innymi, że średnie dochody z eksportu ropy i gazu przynosiły Libii rocznie sześćdziesiąt, siedemdziesiąt miliardów dolarów. Ile lat rządził Kaddafi? Czterdzieści. Oczywiście, że ceny ropy nie zawsze były tak wysokie jak obecnie, były sankcje i tak dalej. Sankcje skończyły się jednak w 2004 roku i od tego czasu Kaddafi był mile widzianym partnerem. Sam mi opowiadałeś, jak europejscy przywódcy ustawiali się do niego w kolejce. Hanem oszacował, że łącznie, przez wszystkie lata rządów Pułkownika, Libia otrzymała za swoje węglowodory ponad półtora biliona dolarów. Janie, półtora biliona... Ja używam nomenklatury europejskiej, czyli co najmniej tysiąc pięćset miliardów dolarów. Część tych pieniędzy wydano na broń,

część na zbędne luksusy, część zainwestowano w Libii, bo przecież te drogi, sztuczne podziemne rzeki z Sahary do miast na północy, domy i pałace... wszystko kosztuje. Jaką część rozdawano w postaci bonusów dla ludności, na służbę zdrowia, na szkolnictwo, na sprawy socjalne i tak dalej. Trochę podrzucano różnym terrorystom, od Palestyńczyków po Irlandczyków, ale to grosze. Niechby nawet na te wszystkie wydatki razem poszło dwie trzecie tego półtora biliona. Gdzie się podziła reszta?

— Chcesz powiedzieć, że rozkradziono te pieniądze?

— Rozkradziono, czyli co? Ktoś zjadł sztabki złota? Lub rozpalił z banknotów i obligacji ognisko na pustyni? Rozkradziono oznacza: ulokowano w bankach, firmach, na kontach, w skrytkach. Farhat Ben Kadara, szef ich Banku Centralnego, ten, co zwiął do Turcji, powiedział, że zostawił sto sześćdziesiąt siedem miliardów dolarów rezerw, z czego dziewięćdziesiąt pięć procent ulokowano w różnej postaci w bankach europejskich i w USA. Niezależnie od zapasów Banku Centralnego w Libii utworzono bardzo interesującą instytucję: Al-Muassasa Al-Libija Li-l-Istismar... Jak biegle jest twój arabski?

— Trochę oczywiście mówię, ale to marna znajomość... — Jan się skrzywił. — Ale, wiesz, twój francuski jeszcze bardziej się poprawił od czasu naszej ostatniej rozmowy. Jakbyś brał intensywne lekcje...

— Po angielsku to będzie Libyan Investment Authority. Ta Libijska Władza Inwestycyjna była samodzielny państwem w imperium finansowym Kaddafiego. Na jej czele stał osobiście Saif Al-Islam, ulubiony syn i niedoszły chyba spadkobierca Wodza wszystkich Afrykanów i Arabów. Wszak zrobił doktorat w londyńskiej Economics School, więc powinien znać się na finansach. Libyan Investment Authority kontrolowała siedem innych funduszy, które inwestowały na całym świecie. Źródło bardzo bliskie

Saifowi Al-Islamowi wyceniło te inwestycje na siedemdziesiąt miliardów dolarów w Europie i Stanach oraz pięćdziesiąt miliardów dolarów w Afryce i nad Zatoką. Summa summarum mamy dwieście siedemdziesiąt miliardów libijskich dolarów rządowych, podkreślam: rządowych, pieniędzy za granicą. To samo źródło bliskie Saifowi i, jak podejrzewam, zlikwidowane na jego rozkaz, oszacowało także sumy, jak to powiedziałaś, skradzione, które różni Saifowie, Chamisowie i im podobni zdecydowali się ulokować na Zachodzie. I te, nazwijmy je, prywatne inwestycje miałyby sięgać dziewięćdziesięciu, stu miliardów dolarów. Sumując: po świecie hula trzysta, czterysta miliardów dolarów, które należą do rządu libijskiego. Nic dziwnego, że jest wielu amatorów, którzy chcą wykroić dla siebie jak najwięcej z tego tortu: od rodziny Kaida, która broni, czego się da, i wywozi z Libii, co tylko może, poprzez nowe władze, aż po sojuszników nowych władz, które przecież nie za darmo pomagały w obaleniu reżimu.

— Te sprawy są znane. W wąskim kręgu specjalistów oczywiście — zauważył Jan.

— Jest jeszcze jedno. Wódz Dżamahiriji był przez lata pariasem światowej polityki. Ale w 2003 roku, po tym, jak Kaddafi zapłacił za zamach nad Lockerbie, Zachód się z nim przeprosił. Jego powrót na europejskie salony nie odbył się z dnia na dzień i władze w Trypolisie trochę środków w to zainwestowały. W postaci inwestycji bezpośrednich i osobistych. Zobacz. — Ron podał Janowi kilka kartek, głównie w języku arabskim, ale też angielskim i francuskim. — Przetłumaczę ci. To zapis rozmowy Abdullaha Sanussiego z przedstawicielem Pałacu Elizejskiego, a to z jego spotkań z przedstawicielami CIA... Wiesz, kto to Sanussi? Szef służb specjalnych u Kaddafiego. Oj, oczywiście, jasne, że wiesz. Przepraszam. A to notatka z rozmów Saifa Al-Islama w Stanach, w tym z panią sekretarz stanu. Wersja libijska, bez retuszu.

Jan uważnie czytał dokumenty. Niekiedy zadawał krótkie pytania, najczęściej o znaczenie jakiegoś słowa. Ron podał mu kolejnych kilka kartek dokumentujących inwestycje finansowe Libii w Europie.

— To szczegóły przejęcia przez Libijczyków banków Fortis i Kaupthing. I dodatkowe szczegóły na temat tego, kto z europejskich polityków, ile i za co wziął... A to Szukri Hanem o przelewie trzydziestu milionów euro na rachunek pewnej francuskiej firmy... Znasz tę firmę?

— Jeszcze pytasz! Mogę ci nawet powiedzieć, kto jest łącznikiem między tą firmą a Pałacem Elizejskim. Tak, Hanem nie żyje. Podobno utopił się w Dunaju. O piątej rano. Cztery kilometry od domu, w którym żył. Najpierw urządził sobie jogging po ciemku, przed świtem, potem pierwszy raz w życiu zapalił papierosa, bo znaleźli przy nim paczkę, chociaż z tego, co wiem, nigdy nie palił... Zabiła go nikotyna, ponieważ dostał ataku serca i spadł do rzeki. Dlaczego nie przeczytał na paczce ostrzeżenia, że nikotyna zabija?

— Ja palę, Janie.

— I dziwnym trafem przyjechaliście z Wiednia. Powiedz mi jeszcze, kiedy widziałeś się z Hanemem...

— Dwa dni przed jego śmiercią.

— I o czym rozmawialiście?

— Miałem mu przekazać materiały, które czytasz. I walizkę pieniędzy.

— Którą przywiozłeś z Libii?

— Którą wziąłem z depozytu w Wiedniu. Wiem, że takie depozyty są jeszcze w innych bankach Austrii, Szwajcarii, Luksemburga i w Londynie.

— Rostek, czy ty wiesz, że są ludzie we Francji, Włoszech, w Grecji, Stanach, którzy zrobią wszystko, rozumiesz: wszystko, aby te papiery nie ujrzały światła dziennego? To trzęsienie ziemi, które zmiecie pół europejskiej, a może i światowej elity. Czego ode mnie oczekujesz? Że to opublikuję? Nie ma takiej gazety na świecie, która by to wydrukowała.

— Aż taki naiwny nie jestem. Mówiłeś, że masz znajomości w DGSE. Domyślam się, że współpracujesz z nimi... Nie zaprzeczaj, nie ma w tym nic takiego...

— Współpracujesz... To za duże słowo. Udzielam im niekiedy konsultacji. Mam za to wszędzie otwarte drzwi, dobre przecieki i wsparcie podczas moich podróży. Ale zapewniam cię, nikt nigdy nie próbował wyrzucić na mnie presji, aby czegoś nie publikować lub aby coś napisać.

— Jesteś dla mnie jak ojciec. Chcę cię prosić, abyś nam pomógł. Nie mam do kogo się zwrócić.

— Jak mógłbym ci pomóc? Wystawić świadectwo lojalności? Rostek, tu chodzi o polityczny żywot potężnych ludzi. I o gigantyczną, niewyobrażalną kasę, o grube miliardy. Bardziej krwawe wojny niż libijska wybuchały z powodu znacznie mniejszych pieniędzy.

— Chciałbym, abyś mnie umówił z kimś, kto ma moc podejmowania decyzji w DGSE i jest uczciwy.

— Uczciwy w wywiadzie? To oksymoron. Ta firma jest ukierunkowana na rezultaty i nikt nie wymaga od niej uczciwości czy moralności.

— Weź te trzy kartki. To i tak kopie. Powinny wzbudzić zainteresowanie. Powiedz, że przekażę część dokumentów, a część zatrzymam jako polisę ubezpieczeniową na życie swoje i Tazerwalt. Będę oczekiwać wysłannika z Paryża za cztery dni w Wiedniu, czyli w najbliższą sobotę. Przy wyjściu z budynku opery, po zakończeniu spektaklu. Lubię

operę — uśmiechnął się szelmowskim uśmiechem straceńca.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Jestem za stary na takie zabawy. Jak się skontaktujemy?

— W piątek zadzwonię do ciebie z austriackiego numeru. Potwierdzę spotkanie. Mogę też przekazać nazwy redakcji, do których w niedzielę będą wysłane skany dokumentów, jeśli w sobotę nie dojdzie do spotkania.

— Rostek, napijmy się. A pani, droga księżniczko pustyni, niech mi pani opowie o Kel Adżdżar. Byłem kiedyś w Ghat, ale krótko i przejazdem. Mówią: „brama pustyni”. A to totalne zadupie i główna baza przerzutowa przemytników wszelkiej maści. Jak zdołaliście się tam uchować? Niech pani opowiada...

Dochodziła północ, gdy Tazerwalt powiedziała, że jest senna i idzie spać. Ucałowała męża i odeszła, dając mężczyznom sposobność do porozmawiania w szeleszczącym języku jej nowej ojczyzny. Jan i Rościsław biesiadowali do trzeciej rano. Wspominali wcześniejsze wspólne wyprawy, Ron opowiadał o życiu na pustyni, o tym, co go spotkało po wyjeździe z Algierii. Dopięli też w szczegółach plan Rona.

— Wiesz, za co lubię Polaków? Bo, generalnie, tylko się nie obrażaj, mam niezbyt dobre wspomnienia z mojej starej ojczyzny, skąd musiałem uciekać w 1968 roku. I niezbyt wysokie mniemanie o moich byłych rodakach. A lubię ich za to, że mają w sobie zdolność do szlachetnego szaleństwa, do straceńczych misji. Taka na przykład szarża pod Somosierrą. Oczywiście nie ma powodów być dumnym z tego, że wraz z Napoleonem odbieraliście Hiszpanom wolność. Ale szarża sama w sobie... to jest coś! Podobno tylko Gurkhowie i Australijczycy potrafią tak walczyć. A ty

jesteś jednak nieodrodnym synem swojej nacji: atak z bagnetem na bunkry. I wiesz co? To nawet może się udać.

Samolot do Paryża odlatywał następnego dnia przed południem. Zjedli śniadanie przyrządzone przez panią domu.

— Zauważyłeś, jak bardzo bawarska kuchnia przypomina polską? — rzekł Jan. — Masło, marynowane warzywa, świnina, ciężkie, tłuste wędliny. Ale smaczne. Trochę skubną, chociaż zdrowie już nie to.

Ron przeprosił panią Schmitz, że nie zostaną dłużej.

— Wuj ma niewiele czasu, musimy odwiedzić rodzinę w Norymberdze.

— Zapłacił pan za trzy dni...

— Naprawdę nie ma sprawy. To moja wina i nie może pani ponosić strat z tego powodu, że zmieniły się nam plany. Dziękuję serdecznie za gościnność i za przepyszne śniadanie. Jeśli pani pozwoli, będę polecał jej dom innym członkom naszego klubu — uśmiechnął się jak współuczestnik spisku wtajemniczony w sekrety tajnego stowarzyszenia. — A jeśli będę potrzebował gdzieś wynająć lokum, panią poproszę o rekomendację.

— Ależ oczywiście. Napiszę na naszej stroniczce taką rekomendację dla pana, zupełnie zresztą szczerą, że właściciele sami będą dzwoniли i prosili, aby pan u nich zamieszkał. Szczęśliwej drogi!

Ron i Tazerwalt odwieźli dziennikarza na lotnisko. Odprawdzili go we dwoje do punktu kontroli, objęli się na pożegnanie.

— Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy — powiedział wzruszony Francuz. I dodał po polsku: — Rostek, nie chcę przeczytać w gazecie wzmianki o tragicznej śmierci dziennikarza z Polski.

— Zobaczymy się wkrótce. W naszym nowym domu w Polsce. Spodoba się panu! — W głosie Tazerwałt nie było obietnicy, była konstatacja rzeczywistości, która nastąpi.

Powrotna droga do Wiednia wydała im się krótsza, tak jakby jechali do domu. Niemniej dojechali na Cobenzlgasse już o zmierzchu. Zbyt późno, aby wyruszać na eskapadę do miasta. Tazerwałt zaproponowała, aby zostali w domu.

— Zbyt mało czasu mamy dla siebie. Pomieszkajmy trochę. Ciągłe jesteśmy w drodze. Wskoczmy tylko coś zjeść.

— Wezmę szybki prysznic i ruszamy.

— To ja też, bo czuję się jakaś lepka.

Najbliższa restauracja, Gerstner, znajdowała się w odległości nie większej niż pięćset, sześćset metrów. Postanowili, że się przejdą, gdyż dwa ostatnie dni spędzili, siedząc w samochodzie. Właściciele Gerstner Landhaus mieli ambicję nadania restauracji wysokiego, wytwornego stylu. Ronowi nie bardzo przypadł do gustu wystrój z łukowatymi sklepieniami między gęstymi kolumnami, których łososiowy kolor brzydko wyglądał w zestawieniu ze śnieżną bielą obrusów na dużych, okrągłych stołach. Ale w bocznej salce, gdzie zajęli miejsca, było dość przytulnie, głównie dzięki łagodnemu światłu świec w wysokich kandelabrach, a kuchnia zasługiwała na same pochwały.

— Pamiętasz szampan, który piliśmy w Warszawie z twoimi przyjaciółmi? — zapytała Tazerwałt przy deserze z musu z czarnych porzeczek.

— Krug, jeśli dobrze pamiętam. Masz ochotę się napić?

— Może weźmiemy ze sobą? Jeśli nas stać oczywiście — roześmiała się.

Kelner wrócił jednak z negatywną odpowiedzią. Nie mieli kruga. Ale polecał inny szampan — boerl. Zawahał się przez chwilę, jednak dodał:

— Muszę państwa uprzedzić, że to bardzo drogie wino.

— Jak drogie? — dopytał Ron.

Kelner znów się zawahał, niepewny reakcji gości ubranych bardzo przeciętnie.

— Butelka Boerla Brut kosztuje u nas dziewięćset euro.

— Myślałem, że powie pan, że dziesięć tysięcy — zażartował Ron. — Poproszę butelkę, ale proszę jej nie otwierać. Weźmiemy ze sobą.

Gdy już wrócili do siebie, stwierdził:

— Chyba zrobiliśmy błąd, kupując tego szampana.

Tazerwalt przebrała się już w szlafrok i, najwidoczniej urzeczona klimatem restauracji, zapaliła świece w kandelabrach stojących na kredensie i stole.

— Przepląciliśmy? Czy szkoda ci dziewięćset euro? — uśmiechała się.

— Nie, nie o to chodzi. Goście, którzy zamawiają na wynos wino za dziewięćset euro, nie pojawiają się codziennie w takiej restauracji. Mogą nas zapamiętać.

— Nie wpadajmy w manię prześladowczą. Jakież jest prawdopodobieństwo, że kelner lub właściciel opowie o tym zdarzeniu komuś spośród tych, którzy nas szukają? Poza tym, Ronie, dzisiaj jest specjalny dzień.

— Urodziny? Imieniny? O czymś zapomniałem?

— Nie wiemy, co przyniesie najbliższy czas. Więc dzisiaj jest dzień otwierania tajemnic.

— Jakich tajemnic?

— Najgłówniejszą tajemnicą jestem oczywiście ja. Chcę powiedzieć, że przerwa w modlitwie zakończyła się i chyba czas najwyższy, abyśmy zostali prawdziwymi mężem i żoną.

— Zrzuciła z siebie szlafrok i stanęła przed nim naga, piękna, doskonała.

Podszedł do niej, delikatnie zaczął całować jej szyję i policzek.

— Tylko się nie śpiesz. Otwórz szampana, przytul mnie. I bądź bardzo, bardzo delikatny.

[\[1\]](#) *Inta Kel Ahaggar?* (arab.) — Jesteś z narodu/plemienia Kel Ahaggar?

XLIX

Obudziło ich jesienne przedpołudniowe słońce, które podniosło się już na tyle wysoko, że świeciło wprost przez górne szyby okna.

— Nie musimy się chyba donikąd dzisiaj spieszyć — zamruczała Tazerwalt, przytulając się do Rona.

— Chyba żeby coś zjeść...

— Mężczyźni na całym świecie są jednakowi — zażartowała. — Jak lwy dumni, leniwi i wiecznie głodni.

— Głodny to jestem mojej żony. — Przyciągnął ją do siebie. Smukłe, szczupłe ciało Tazerwalt przylgnęło do niego, czuł gorąco i pożądanie.

— Ale kochać się już nie będziemy. Musimy odczekać kilka dni. Jestem lekarzem, więc wiem, co mówię — roześmiała się.

— Jesteś cudownie piękna. Wciąż nie mogę uwierzyć, że cię mam.

— To uwierz, Ronie Haribie. Tak już będzie do ostatnich twoich dni. A wiele ich jeszcze przed tobą.

Talizman, noszony przez Tazerwalt na srebrnym łańcuszku, wbił się w nagą skórę Rona. Delikatnie uwolnił się spod nacisku koszyczka plecionego ze srebrnych drucików.

— To też twoja tajemnica...

— I chyba czas ją odkryć. — Tazerwalt przyglądała się pleciance w zamyśleniu.

— Szkoda tak misternej pracy. Ktoś zadał sobie wielu trudu, aby spleść takie puzderko.

— Inaden są wielkimi mistrzami metalu. Postaraj się tak otworzyć pudełko, aby jak najmniej je uszkodzić. Przyzwyczaiałam się do tego talizmanu i brakowałoby mi go.

Ron zszedł do garażu. Cążki i płaski śrubokręt wydały mu się najbardziej odpowiednimi instrumentami. Śrubokrętem odginał pojedyncze druciki, a cążkami przecinał tak, aby jak najmniej zdewastować rękodzieło artystów z Kel Adźdżar.

— Jak sądzisz, co jest w środku? — Tazerwalt uważnie przyglądała się jego wysiłkom.

— Postawiłbym na to, że druga połówka nieśmiertelnika Rainera.

— Tego medalionu, który miał na szyi?

Pudełko plecione ze srebrnych drucików kryło jednak nie połówkę nieśmiertelnika, ale złoty sygnet.

— Pierścionek? Bizuteria? — W głosie Tazerwalt brzmiała niecierpliwość pomieszana z rozczarowaniem. — To męski pierścień. Kel Adźdżar nie noszą pierścieni.

Złoto ściemniało przez ponad pół wieku, ale na główce sygnetu widać było wyraźne wzory. Ron przetarł pierścień końcem prześcieradła.

— To nie jest zwykły pierścień, Tazerwalt. To sygnet rodowy.

— Nie rozumiem. Pamiątka po rodzicach?

— Nie tylko. To jest sygnet, którego właściciel był Europejczykiem i szlachcicem.

— Czyli ten pierścień należał do Rainera... A mógłbyś mi dokładniej objaśnić?

— Podobnie jak u was, Kel Tagelmust, są różne grupy, takie jak Ihaggaren, czyli szlachta, Ineslemen, czyli potomkowie Proroka, podporządkowani im Imrad, Inaden, Iklan i tak dalej, tak samo w Europie kiedyś byli nobliwi obywatele, czyli szlachta, która miała władzę, oraz pozostałe grupy: mieszczenie, kupcy, chłopci. Szlachta także była zróżnicowana, najważniejsi i najbogatsi spośród nich to książęta, hrabiowie, grafowie. Różnie ich nazywano w poszczególnych krajach i zależnie od kraju przy ich nazwiskach były odpowiednie odnośniki. Przykładowo we Francji było *de*, co wzięło się po prostu stąd, że jakiś szlachcic był „skądś”, bo *de* oznacza przecież „z”, w Niemczech *von*. Przynależność do wyższej warstwy społecznej demonstrowało się zamożnością, trybem życia, zajęciami, a także ubiorem i różnymi akcesoriami: szpadą, pasem, kapeluszem, sygnetem. Twój praprzodek był niemieckim lotnikiem i niemieckim szlachcicem. Dzięki temu sygnetowi możemy się nawet dowiedzieć, jak się nazywał.

— W jaki sposób? Mówiłeś, że Rainer to bardzo popularne imię.

— Każdy ród, *tausit*, jak powiedzieliby Kel Adżdżar, miał swoje oznakowanie, symbol, herb. Na sygnetach ryto takie herby. Zobacz, na sygnecie Rainera też jest herb.

Grafika wyryta na sygnecie przedstawiała tarczę z zacięniowanym poziomym pasem pośrodku, co miało oznaczać odrębny kolor. Wokół tarczy wiły się liście winogron czy lilii, a nad nią i rycerskim hełmem przyozdobionym koroną wznosiły się dwa rozpostarte skrzydła ptaka.

— Trudno coś odczytać z tych rytów. — Tazerwalt spojrzała na główkę pierścienia.

— Będzie łatwiej, jeśli zrobi się odcisk sygnetu na papierze. Bo pierwsze sygnety służyły jako pieczęcie, którymi uwierzytelniano dokumenty, podpisywano listy. Gdybym był historykiem, potrafiłbym pewnie określić, co to za herb. Ale to nic trudnego dla specjalisty. Gdy poznamy ród, czyli nazwisko, a mamy już imię i nazwę jednostki, w której służył twój pradziad, od historyków zajmujących się okresem drugiej wojny światowej dowiemy się czegoś więcej o losach twego przodka. Możemy nawet odszukać twoich krewnych. Jeśli tylko żyją. I oczywiście jeśli zechcesz.

Tazerwalt trzymała w dłoniach sygnet, lecz nie wpatrywała się we wzory herbu, a ścisnęła mocno palcami kawałek złota. Wyglądało to tak, jakby chciała tętnem krwi pod opuszkami palców wyczytać całą historię przedmiotu.

— Czyli babcia miała rację. Tutaj się wszystko zaczęło i dlatego musiałam ja, albo moja córka czy wnuczka, kiedyś tu powrócić.

L

Czwartkowe popołudnie i cały następny dzień poświęcili na przygotowania do ewakuacji z Wiednia. Ron odstawił do warsztatu fiata i odebrał volvo. Elektryk drapał się z zafasowaniem po głowie.

— Wie pan, dziwna sprawa. W samochodzie nic nie było, poza klasycznym GPS, który służy do namierzania w razie kradzieży auta. Tak jak pan sobie życzył, wyjąłem autonomiczny moduł zasilający i odłączyłem zasilanie z auta, więc teraz jest głuchy. Ale taką samą funkcję zaprogramowano w drugim GPS, z ekranem, i nic nie dało się z tym zrobić. Program uruchomić można było zdalnie telefonem i wówczas co godzinę przesyłał samodzielnie sygnał o tym, gdzie auto się znajduje. Ale tylko przy włączonej stacyjce, ponieważ ten GPS nie ma autonomicznego zasilania. Więc wyczyściłem cały program i zainstalowałem panu nowy, wprawdzie piracki, ale za to uaktualniony i z mapami całej Europy, Azji i Afryki, nawet Islandia tam jest.

— Jestem panu bardzo wdzięczny. Ile się należy?

Elektryk nadal się drapał po czuprynie, tym razem zastanawiając się, na ile skasować gościa. Dwieście euro? Dwieście pięćdziesiąt?

— Czy pięćset euro za wypożyczenie fiata na tydzień i za wyczyszczenie volvo będzie odpowiednią ceną? — przerwał jego dylematy Ron.

— Na tyle właśnie wyliczyłem — ucieszył się fachowiec. Rozbroił volvo następnego dnia po tym, jak *herr* Dąbrowski wstawił je do warsztatu, a zajęło mu to nie więcej niż dwie

godziny. Prawda, musiał trochę poczytać w domu i skonsultować się z kolegą, ale fiat i tak stałby bezczynny, a półtora tysiąca kilometrów, jakie przejechali klienci, to żaden dystans. — Bardzo dziękuję.

Rozstali się, obaj zadowoleni. Wstawiając wóz do garażu, Ron zastanawiał się, czy przemysłne urządzenie szpiegujące było w GPS od samego początku, czy też Jacek zamontował je, gdy — jak mówił — przekazywał auto do wyceny. A jeśli Jacek zamontował je specjalnie na ten wyjazd, to czy zrobił to z własnej inicjatywy, czy z czyjejś inspiracji. I z czyjej?

Bardziej niż potencjalnie dwuznaczna rola Jacka zajmowały jednak teraz Rona coraz to nowe wnioski, do których dochodził, studiując informacje pozostawione przez Amastana. Łącząc dane z teczki odebranej z wiedeńskiego Das Safe z tymi, które udało się odszyfrować z dysków wywiezionych z kryjówki w Trypolisie, wspólnie z Tazerwałt ustalili kilka adresów i kont. Także w dwóch bankach Wiednia. Postanowili sprawdzić, czy — teoretycznie — uzyskaliby dostęp do tych kont, dysponując tylko ich numerami i kodami dostępu. W obu bankach działali według tej samej metody: swoją nienaganną niemczyzną Ron prosił o skierowanie do głównego menedżera działu bankowości prywatnej. Grzecznie, ale jednocześnie troszeczkę arogancko, pytał go o aktualny stan konta — tutaj zawieszał trochę głos, zanim wpisał na karteczce numer. Na prośbę o identyfikację wciskał na podanym aparacie właściwy PIN. Ku jego zaskoczeniu system działał: Ron otrzymywał na karteczce wypisany stan konta, następnie pobierał jakąś nieznaczącą sumę, kilka lub kilkanaście tysięcy euro, pytał, czy może dokonać kiedyś przelewu na konto imienne, otrzymywał odpowiedź twierdzącą, grzecznie się kłaniał i wychodził. Tazerwałt czekała w tym czasie w taksówce, którą zwalniali przy

najbliższym centrum handlowym albo bardziej okazałym sklepie z odzieżą lub biżuterią.

— No i jak to wygląda? — zapytała, gdy stanęli przed witryną z zegarkami Breguet.

Ron bez słowa podał jej karteczki z wypisanymi stanami kont. To skromniejsze konto, którego saldo opiewało na zaledwie piętnaście milionów euro, służyło zapewne do obsługi drobnych bieżących wydatków. Większe wrażenie robiło drugie konto — ze stanem powyżej trzystu milionów dolarów.

— Nie wiemy, ile jeszcze osób, poza Amastanem, miało dostęp do tych kont — ostrzegął Ron.

— Nie jestem przekonana, że Ama miał o nich pełną wiedzę. Znam, znałam mego brata. Był żołnierzem, inteligentnym, przebiegłym, genialnym informatykiem, ale tylko żołnierzem. Zauważ, że w komputerze nie było numerów kont, tylko nazwiska uprawnionych do korzystania z nich ludzi. Cały obraz wyrysował się nam dopiero wówczas, gdy poskładaliśmy wszystko razem: informacje z Wiednia, z komputera i te, które przekazał Aksilowi Muatasim. Ama miał naturę bojownika, nie bankiera. Myślę, że skutecznie i precyzyjnie wykonywał czyjeś polecenia.

— Hanema?

— Nie zdziwiłabym się, gdyby sam Saif al-Islam zlecał mu zadania. Rodzina Kaddafi była chorobliwie nieufna, ale jako Berberowie wiedzieli, że Kel Adżdżar nie mogą zdradzić. I wykorzystywali Amastana do najróżniejszych misji. Dopiero tutaj, w Wiedniu, przyszło mi do głowy, że może to nie Mahmed zdradził was na lotnisku. Bo pomyśl: w jaki sposób zlokalizowano was tam tak szybko, a wozy pancerne wjechały od razu na pas i natychmiast otworzyły ogień? I może to nie ktoś z Algierczyków zdradził w Algierze. Może

rozkaz zamordowania Amastana, który często wyjeżdżał do Europy i wiedział tak dużo, przyszedł z samej góry? Od Saifa...

— Co robimy w tej sytuacji? — Ron chciał mieć pewność, że żona w pełni popiera jego plan.

— Pozostawiamy w bankach wszystko tak, jak jest, niczego nie ruszamy. Stawiamy Francuzów i Amerykanów wobec faktów dokonanych. I natychmiast stąd uciekamy.

— A pieniądze dla Aksila? Jeśli Kel Adżdżar nie podkupią milicji Zintan albo Misraty, zniszczą was. Twój brat potrzebuje wsparcia.

— Spróbujemy dotrzeć do kont w bankach w Szwajcarii. Tam będzie bezpieczniej.

Wieczorem Ron długo surfował po internecie. Wreszcie zadzwonił do luksusowego, unikatowego i dyskretnego — jak wynikało z reklam i opinii gości — centrum terapii i relaksu pod Oberburgau w Górnej Austrii. Przedstawił się jako Kurt Schultz, osobisty sekretarz księżniczki ult-Agwelid, która, zawierając rekomendacji, jaką ośrodkowi dała hrabina von Kleist, postanowiła spędzić w nim, może nawet kilkanaście dni. Księżniczka ult-Agwelid przybędzie w niedzielę i prosi, aby przygotować jej odpowiedni dwuosobowy apartament. Księżniczka naturalnie nie jada wieprzowiny. Natomiast, jako osoba wykształcona i światła, nie nalega, aby mięso koniecznie pochodziło z uboju halal, dokonanego zgodnie z prawem islamskim.

Ron znał próżność ludzi i chorobliwe uwielbienie Austriaków dla rang i tytułów. Mógł zaręczyć, że nikomu do głowy nie przyjdzie sprawdzić, kim jest i skąd przybywa księżniczka ult-Agwelid. A że rozmawiał tonem, z którego wynikało, iż jakieś tam centrum terapii i relaksu w jakimś tam prowincjonalnym górskim miasteczku powinno przez tydzień bić w dzwony w podzięce za łaskawość, jaką jej

wysokość księżniczka okaże, racząc zatrzymać się w Oberburgau, przyniosło to oczekiwany efekt. Zastępująca dyrektora pani nieśmiało zapytała, czy mogłaby poprosić o numer karty kredytowej sekretarza, i usłyszała w odpowiedzi wyniosłe stwierdzenie, że z chwilą, gdy noga księżniczki ult-Agwelid zstąpi na próg hotelu, należność za cały pobyt księżniczki i osób jej towarzyszących zostanie uregulowana z góry. Najzabawniejsze w tej sytuacji było to, że Ron mówił prawdę. Władzę amenukła Agwelida uznawali Kel Tagelmust, zamieszkujący obszar większy niż terytorium całej Austrii, mógł więc — według europejskich miar — zwać jego córkę księżniczką.

— Ważne są, proszę pani, nie tylko zabiegi, jakie proponujecie. Księżniczka ceni spokój i dyskrecję. I liczę, że zostanie to uszanowane.

Głos sekretarza był wystarczająco napuszony, a jego niemczyzna arystokratycznie doskonała. W hotelu nad jeziorem Mond w Górnej Austrii natychmiast rozpoczęto przygotowania do przyjęcia jej wysokości księżniczki ult-Agwelid.

Piątek był dniem zakupów. Chodziło nie tylko o to, że księżniczka powinna mieć stosowną garderobę, lecz i o rozmieszczenie neseserów z pieniędzmi i obligacjami oraz ich ukrycie pod stosami ubrań. Ron zdawał sobie sprawę z tego, jak mało rozsądne jest wożenie ze sobą prawie miliarda euro w obligacjach na okaziciela, ale miał też świadomość, że po rozmowie z Amerykaninem i przekazaniu sygnału do Paryża jeszcze mniej rozsądnym byłoby pokazywanie się w Das Safe. Tazerwalt chętnie przymierzała suknie i płaszcze, sportowe kurtki i eleganckie botki, a później, taszcząc ciężkie torby do taksówki, sarkała, że tracą niepotrzebnie pieniądze. Rościsław, przyzwyczajony do ubóstwa i liczenia każdego grosza, także zżymał się z powodu takiej rozrzutności,

choć, racjonalnie rzecz biorąc, wiedział, że mogą sobie pozwolić nawet na kupienie butików, w których robili zakupy, razem z pomieszczeniami i obsługą. „Ostatecznie — myślał — odzież przyda się, nawet taka luksusowa. Bo kto mi zabroni w płaszczu Cabana za ponad trzy tysiące euro zbierać grzyby?”. Nie zapomnieli kupić nowych waliz, na których tle te, które kupili na lotnisku i za które zapłacili po trzysta euro, wyglądały jak tornistry dla dzieci z przytułku.

Zanim jeszcze wyszli z domu, Ron zadzwonił do Jana i Jacka, dwóch — jak sądził — przyjaciół. „Właściwie nie mam nikogo więcej, na kogo mógłbym liczyć” — skonstatował ze smutkiem. Dzwoniąc do Paryża, użył karty SIM niemieckiej sieci T-Mobile, z nadzieją, że połączenie z Wiednia wyświetli na ekranie odbiorcy numer, który zupełnie nic mu nie powie, ponieważ wielkie kompanie telekomunikacyjne wykorzystywały połączenia internetowe do rozmów międzynarodowych. Stary Żyd z Paryża był skuteczny w działaniu i nierozwlekły w rozmowie.

— Rostek, moi przyjaciele łyknęli wszystko, z wielkim apetytem na więcej. Odbiorą cię przy wyjściu ze Staatsoper w sobotę o dwudziestej drugiej. Ludzie Germaina. Wspominałem ci, kto to? Jacques Germain, szef Service Action, czyli facet od najczarniejszej roboty, a jednocześnie jeden z najbystrzejszych gości w całym francuskim establishmencie. I najuczciwszych. Myślę, że wysłał swoich fachowców do Wiednia godzinę po tym, jak z nim rozmawiałem. Rostek, a wiesz, że w całym internecie nie ma ani jednego twojego prawdziwego zdjęcia? To dziwne, prawda? Każdy z nas dzisiaj, kto chociaż raz pokazał się gdzieś w telewizji, udzielił jakiegoś wywiadu czy chociażby ma konto na Facebooku, ma też w sieci fotografię. Twoje nazwisko występuje w wyszukiwarce Google tylko dwa tysiące razy, czyli prawie tyle, co nic. I żadna publikacja nie zawiera zdjęcia. A pod twoim jednym i drugim nazwiskiem pokazują się twarze, które nie mają nic wspólnego z tobą.

Więc dałem opis twojej osoby jedynie przybliżony. Bądź niezwykle uważny. Kocham Francję i Francuzów, ale nie ufam żabojadom.

Telefon Jacka nie odpowiadał.

— Zadzwoń. Rostek. — Ron zostawił informację na poczcie głosowej.

Prawnik oddzwonił dopiero w południe, gdy przygnieceni torbami zakupów Ron i Tazerwalt podjeżdżali taksówką na dworzec Oberdöbling, gdzie zostawili volkswagena Jürgena. Robili tak, ilekroć udawali się na zakupy — zostawiali auto przy którymś z dworców podmiejskich linii kolejowych, podjeżdżali stamtąd publiczną komunikacją do centrum, a w drodze powrotnej, zwłaszcza jeśli mieli cięższe pakunki, korzystali z taksówki.

Ron odpowiadał serdecznymi słowami na paplaninę mecenasa Dąbrowskiego, z której to wymiany uprzejmych banałów nie wynikała żadna treść. Ron zastanawiał się, czy adwokat usiłuje coś ukryć, czy rozmawia w obecności osób trzecich, czy wreszcie może ma świadomość, że jest podsłuchiwany.

— Gdzie wożujecie obecnie? — zapytał Jacek niefrasobliwie w pewnym momencie, między zdaniami opowieści o nowej asystentce.

— Nie wożujemy, a zapychamy w górę do rezydencji arcybiskupów Salzburga.

Częściowo odpowiadało to prawdzie, gdyż wspinali się akurat schodami na parking przed dworcem Oberdöbling w Wiedniu, na którym zostawili samochód.

— Byłeś w Salzburgu? Naprawdę przepiękne miasto, zachęcam. Mamy w planie jeszcze dzisiaj muzeum Mozarta, obiad, a wieczorem koncert. Jutro będziemy starali się dojechać do Wiednia.

— Przecież mieliście zwiedzać północne Włochy?

— Owszem, tak zaczęliśmy, ale ważne sprawy rodzinne Tazerwalt zmusiły nas do podróżowania do Wiednia. Z czego się nie cieszę, bo muszę robić za kierowcę. Posiadanie rodziny, zwłaszcza gdy w masowej skali przybywa do Europy, wiąże się jednak także z pewnymi niedogodnościami. A propos jazdy, dobrze, że kupiłem od ciebie to volvo. Miałem stłuczkę w Bolzano i musiałem odstawić je na kilka dni do warsztatu. Nic poważnego, ale musiało trochę postać. I GPS wysiadł.

— To dobrze, że ci sprzedałem auto przed wypadkiem, a nie po. A jeśli o transakcje chodzi, to sfinalizowałem to mieszkanie na Marymoncie, mam też kupca na twoje na Braci Wagów, za czterysta trzydzieści tysięcy. Może być?

— Jasne, sprzedawaj.

— Tylko muszę przedtem nająć jakąś sprzątaczkę. Jakby tsunami przeszło przez twoją chatę. Wszystko powywracane, książki na podłodze... Co się tam stało? Zawsze miałeś taki porządek. Szukałeś czegoś w pośpiechu przed wyjazdem?

— Tak jakby...

Ron zamyślił się na chwilę. Rzeczywiście, lubił czystość i uważał, że każda rzecz powinna mieć swoje miejsce, jeśli nie chce się jej szukać przez godzinę. Tylko że od chwili powrotu do Polski nie wstępował do mieszkania na Braci Wagów nawet na minutę. Więcej, w ogóle nie był na Ursynowie. Intuicja nie zawiodła go, gdy zdecydował, aby kupić mieszkanie na drugim końcu Warszawy i nie pojawiać się na Ursynowie.

— Wiesz, zostaw meble, oświetlenie i cały sprzęt domowy nowemu właścicielowi. Jeśli chce, niech ich używa, jeśli nie, niech wyrzuci. Tylko każ zebrać książki i drobiazgi osobiste, zapakować je w pudła, a pudła oddać do przechowalni.

Wiem, że jest taka na przykład na Marynarskiej. Wstaw je na swoje nazwisko. Kiedyś odbiorę. A, i niech to wszystko zrobią godni zaufania ludzie — dodał.

— Nie ma sprawy. — Mecenase Dąbrowski już niczemu się nie dziwił i o nic nie pytał. — No i sprawa najważniejsza: domek na wsi. Mogę podpisywać umowę? Druga strona jest gotowa.

— Jacku, a ty widziałeś ten dom? W co my się pakujemy?

— Wyobraź sobie, że w ostatni weekend byliśmy tam z Adą. Uwierz, to jest transakcja życia. Pewna inwestycja. Sam bym kupił, gdybym miał za co. Pracy tam będzie co niemiara i dojazd porąbany, lecz to bardziej pałac niż dom w lesie. A park! Rostek, to hektary lasu, a wokół domu starodrzew: dęby, lipy, akacje. I jezioro z dopływem okalającym dom. Prawdę mówiąc, to istne *château*. Wyślę ci film na e-maila, obejrzycie.

— A gdzie to w ogóle jest?

— Jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów od granicy z Niemcami. Jak się jedzie z Warszawy autostradą A2, to trzeba skręcić w lewo na Torzym, a potem na Debrznicę. Skręcasz na Drzewce i po kilku kilometrach jesteś na miejscu. Możesz zapytać kogoś z miejscowych o pałac. Wszyscy wiedzą. Ale prześlę ci współrzędne na GPS. Chociaż, jak widzisz, GPS też może wysiąść. Szczerze mówiąc, gdybyśmy z Adą nie mieli przewodników, to za żadne skarby nie trafilibyśmy tam. Wyobraź sobie kilka kilometrów leśnej drogi, asfaltowanej wprawdzie, ale krętej i w totalnej głuszy. Do najbliższej wsi jakieś cztery, pięć kilometrów. Kiedyś była tam jakaś dyrekcja, PGR-u, Lasów Państwowych czy czegoś takiego, ale teraz szlag wszystko trafił.

— I co zostało? Rozszabrowany pałacyk?

— Nie, nie jest tak źle. W latach siedemdziesiątych zrobiono solidny remont piwnic i dachów, postawiono ogrodzenie wokół parku. Później odnowiono fronton domu. Zabrakło tylko kasy na wykończenie. A potem, sam wiesz, jakie były czasy. Ale pałacyk jest strzeżony, stróżówka jak należy, cieć z flintą. Można powiedzieć: *castle guard, straż zamkowa*. On też trzyma klucz do bramy i do domu.

— Przekonałeś mnie, a dokładniej moją żonę, już wcześniej, więc się nie wysilaj.

— Bo widzisz, pierwszą ratę płatności za to cudo trzeba wnieść do końca roku. To jakieś tam wewnętrzne regulacje Agencji Nieruchomości Rolnych. Pierwsza rata to jedna czwarta całości plus koszty, czyli razem prawie osiemset tysięcy złotych.

Ron milczał przez chwilę, stojąc przed autem. Tazerwalt zajęła już miejsce w samochodzie. Chciał potrzymać Jacka w niepewności, wiedział, że jeśli adwokat był czymś bardzo zainteresowany, zawsze dorzucał dodatkowe bonusy.

— Ale za to z następną ratą są gotowi czekać do grudnia przyszłego roku. Im chodzi o to, aby się roczny bilans zgadzał. Lokalny prezes agencji powiedział też, że wydanie nieruchomości może nastąpić zaraz po Nowym Roku i że zwróci obrazy, jakie były w dworku i które przekazali do muzeum w Zielonej Górze.

— Zastanawiam się, skąd wziąć kasę. Coś wymyślę. Nie mam numeru konta dewizowego twojej kancelarii, podaj mi je, to postaram się przesłać pieniądze za jakiś tydzień, dwa. Koniecznie podeślij też projekt umowy. A z tymi obrazami to świetnie wymyśliłeś, nie zapomnij wpisać do umowy dokładnego wyposażenia domu, łącznie z meblami, obrazami i innymi drobiazgami. Nie przejmuj się, jeśli niekiedy nie będziesz mógł skontaktować się z nami telefonicznie. Zawsze przecież jest e-mail.

Karta SIM T-Mobile spełniła swoją rolę i można było ją wyrzucić do studzienki kanalizacyjnej. Pozostałe szczegóły przygotowań do wyjazdu, takie jak zamówienie stolika w kawiarni Mozart, umówienie się z sąsiadami na przekazanie kluczy od domu państwa Kelemenów czy też pakowanie waliz, zajęły im całe sobotnie przedpołudnie. Za to gdy przed wyjściem do opery przebrali się w eleganckie stroje wieczorowe, wszystko było przygotowane — dom uprzątnięty bez najmniejszego śladu ich obecności, walizy umieszczone w bagażniku volvo, zbiornik paliwa pełny. Ron nie zapomniał nawet o takich drobiazgach, jak bilety do metra i dyplomatyczne tablice rejestracyjne, które „pożyczył” późnym piątkowym wieczorem z audi zaparkowanego na parkingu przy lotnisku chyba od kilku dni, gdyż kurz zdążył pokryć szyby wozu grubą warstwą. „Tablice na zatrask to dobry wynalazek, ich zdjęcie zajmuje kilkanaście sekund” — pomyślał, odjeżdżając volkswagenem pana Kelemana z terenu portu lotniczego.

L

Pożyczone na ten wieczór auto gospodarza domu przy Cobenzlgasse pozostawili przy stacji metra Währinger. Stroje wieczorowe, chociaż kontrastujące z ubraniami ludzi zwyczajowo podróżujących metrem, nie wzbudziły szczególnego zainteresowania. Nawet bardzo zamożni wiedeńczycy, aby nie tracić pieniędzy na taksówki, często korzystają z komunikacji miejskiej, gdy udają się do teatru czy filharmonii. Bogaci są nie ci, którzy dobrze zarabiają, ale ci, którzy oszczędzają. Ostatni odcinek kilkuset metrów od placu Świętego Stefana przeszli niespiesznym spacerem, gdyż czasu mieli wystarczająco dużo, a wmieszanie się w tłum turystów skutecznie uniemożliwiłoby komukolwiek śledzenie ich.

Ron nie wątpił, że Moore znajduje się już na widowni, a jego pomocnicy pilnie obserwują i być może filmują wejście do opery. Razem z Tazerwalt zajęli miejsca po trzecim dzwonku. Amerykanie, którym kupił bilety, usadawiając ich przed sobą, niczym nie wyróżniali się spośród prawie dwóch tysięcy miłośników muzyki, którzy przyszli posłuchać Verdiego. Domyślił się, że siedzący po lewej stronie mężczyzna z krótką czupryną obciętą „na jeża” jest wojskowym. Zdradzały go sztywna, wyprostowana sylwetka i ostre, zdecydowane ruchy głową, gdy zwracał się do swego sąsiada. Więc ten drugi to Thomas Moore! Ten wyglądał rzeczywiście jak dyplomata, chociaż niepotrzebnie zostawił na szyi bordowy szalik. Publiczność wiedeńska jest raczej konserwatywna i nie ma w sobie francuskiej skłonności do podkreślania indywidualności i odrębności. W operze najważniejsza jest muzyka.

Pierwsze, spokojne takty uwertury Verdiego nie uspokoiły Amerykanina, który jakby z zaskoczeniem i zaniepokojeniem raz i drugi spojrzął na siedzące po obu stronach kobiety.

— *Mister Moore*, proszę się nie niepokoić, jestem za panem — szepnął mu Ron, pochylając się do przodu.

Moore aż podskoczył. Ale pewnie dlatego, że szepł Hariba o dwa takty wyprzedził pierwsze forte, gdy orkiestra wybuchła dźwiękiem talerzy i wszystkich skrzypiec.

Tazerwalt wydawała się w ogóle nie zwracać uwagi na nic poza muzyką. Siedziała z lekko otwartymi ustami, zatopiona w Verdim. Uwerturze do *Nabucco* często zarzuca się tanie efekciarstwo, przerost dźwięku i dominację tempa nad treścią. Trzeba jednak umieć wyłowić w tej rzece muzyki refleksy niepowtarzalnych błysków, niespotykanych nigdzie indziej. „Jeśli zamieszkamy na tym zadupiu nad Odrą, to pewnie co tydzień będziemy jeździli do Berlina do opery” — przemknęło Ronowi przez myśl.

Gdy kończył się pierwszy akt, ponownie nachylił się w stronę Amerykanów.

— Teraz jest czas na rozmowę.

Przeszli we trzech do baru. Tazerwalt, tak jak się umówili, pozostała na swoim miejscu.

— Czego się panowie napiją? — zapytał — Tylko kawy? Może jakieś ciastko? Jesteśmy przecież w Wiedniu.

Moore uważnie przyglądał się znad parującej filiżanki Haribowi. Nienagannie dobrany garnitur, płynny niemiecki, jakim rozmawiał z baristką, niezbyt dobry angielski i spokojnie wsparte na blacie stolika dłonie. Człowiek Raczkowskiego robił wrażenie pewnego siebie światowca. W jego zachowaniu, sposobie mówienia było jakieś nieuchwytnie podobieństwo do pułkownika polskiego

wywiadu. Trzeba będzie dokładniej przestudiować ich program szkoleniowy... Moore, chociaż Amerykanin, wiedział, że uczyć się można i trzeba od wszystkich.

— To major Ortiz, jeden z najlepszych specjalistów w dziedzinie, która nas interesuje.

Ron szeroko, życzliwie się uśmiechnął i skinął głową.

— A co panów najbardziej interesuje?

— Majorze, niech pan przedstawi sytuację — zwrócił się Moore do Ortiza.

Ortiz mówił krótkimi, prostymi zdaniami. Albo miał taki styl, albo właściwie ocenił poziom języka angielskiego u rozmówcy.

— Mówiąc wprost, mamy w Libii duży problem.

„Powinieneś powiedzieć, że siedzicie w gównie po uszy” — pomyślał Ron.

— W 2002 roku Rosjanie zaczęli produkcję nowej ręcznej rakiety przeciwlotniczej — relacjonował major Ortiz. — W ich terminologii nosi ona nazwę 9K338 Igła-S. My klasyfikujemy ją jako SA-24 i nazywamy Grinch. SA-24 Grinch. Dlaczego Grinch? Bo jest paskudna i potrafi popsuć zabawę. Zna pan przecież ten film o paskudnym Grinchu? — roześmiał się major. — To nie jest zupełnie nowa rakietka. To zmodernizowana wersja rakiety Igła-1, którą Rosjanie robią od 1981 roku. Jako odpowiedź na nasze stringery. Igła-1 też nie była nieszkodliwa. W 1991, podczas wojny w Iraku, straciliśmy F-16 trafiony tą rakietą. Brytyjczycy stracili bombowiec tornado. Ale SA-24 to nowe pokolenie tego paskudztwa. Pierwsza Igła miała skuteczność nie większą niż czterdzieści procent. Igła Grinch jest dwa razy skuteczniejsza. Cały system waży mało, czterdzieści dwa funty, czyli niepełne dwadzieścia kilo. Sama rakietka tylko dwadzieścia sześć funtów. Z czego sześć funtów materiał

wybuchowy. Rakiety można przygotować do startu i wystrzelić w ciągu trzynastu sekund. SA-24 ma zasięg dwudziestu tysięcy stóp, czyli, mierząc waszymi metrami, sześć kilometrów. Może strącać wszystkie obiekty latające. Także rakiety manewrujące, ponieważ rozwija prędkość czterystu metrów na sekundę. Może strzelać do celów, które się przybliżają i oddalają. Jest bardzo odporna na zakłócanie. Jednym słowem: to jest bardzo, bardzo niebezpieczna broń. Wie pan, kto był pierwszym klientem Rosjan? Jak tylko wyprodukowali Grincha? Kaddafi! W 2004 roku Libia kupiła, tylko z tego, co wiemy, czterysta osiemdziesiąt dwa przenośne systemy Igła-S. Czterysta osiemdziesiąt dwa. A według naszych ocen, mówiąc między nami, Libia miała dwadzieścia tysięcy różnych systemów MANPADS. MANPADS oznacza „przenośny system przeciwlotniczy krótkiego zasięgu”. Kaddafi kupował broń bez sensu. Gdy tylko dorwał się do władzy i pieniędzy z ropy. Czyli przez ostatnie czterdzieści lat. W dużej ilości. I składował. Oczywiście większość tych rakiet nadaje się już tylko na złom. Po piętnastu latach ich silniki stają się bezużyteczne. Ponadto skuteczność starych rakiet typu SA-7 była zawsze niska. Teraz są one bardziej niebezpieczne dla tych, którzy próbują ich użyć. Ale część rakiet SA-7 jest nowsza i może wyrządzić krzywdę. Kaddafi miał też ponad tysiąc rakiet Igła-1. One również są groźne. Najbardziej nas jednak niepokoją właśnie SA-24. Zwłaszcza że, jak widać z pana fotografii, rebelianci mają różny sprzęt. Zarówno ręczne rakiety, jak i zestawy sprzężone, tak zwane dżygity. Mówiąc między nami, dysponując dżygitem, dobrze wyszkolony operator nie będzie miał problemu z uszkodzeniem nawet samolotu myśliwskiego. O samolocie pasażerskim czy śmigłowcu nie wspomnę. Z prawie pięciuset rakiet odnaleźliśmy tylko kilkadziesiąt. Wiemy, że to z tej partii, bo Rosjanie przekazali nam numery seryjne. Jeśli te rakiety trafią w ręce terrorystów na Bliskim Wschodzie, w USA lub Europie, będziemy mieli krwawe

piekło. Naszym zadaniem jest zlokalizować te rakiety, odnaleźć i zniszczyć lub wykupić.

Ortiz skinął głową, jakby potwierdzał swoją osobą wiarygodność danych, a zarazem dawał znak, że zakończył krótką prezentację.

— Niepokoi mnie też inna broń. — dodał jednak po krótkiej chwili. — Na pana zdjęciu jeden z żołnierzy trzyma karabin snajperski. To szwajcarski SIG Sauer 555. W doświadczonych rękach to też niebezpieczna broń. Także te kałasznikowy. I szwajcarskie, i rosyjskie karabiny są bardzo nowoczesne. Weszły do użytku w końcu lat dziewięćdziesiątych. Rząd Libii je miał, a teraz mają rebelianci. Wniosek ogólny: nie wiemy tak naprawdę, jakie cholerstwo wypełzło z arsenałów Kaddafiego.

— To dla nas priorytetowe zadanie bezpieczeństwa — podkreślił Moore. — Proszę opowiedzieć, gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach widział pan tę broń.

— To zdjęcie wykonałem na drodze z Ghat do Sebhy, jakieś dwieście, trzysta kilometrów na południe od tego ostatniego miasta. Podróżowałem wówczas na północ, chcąc wydostać się z Libii. Przy drodze był posterunek. Kilka toyot z karabinami maszynowymi, kilkunastu, może kilkudziesięciu bojowników i właśnie ten pojazd z dwiema wyrzutniami.

— Nie mieli nic przeciwko temu, aby pan ich fotografował?
— Moore zdawał się powątpiewać w słowa Rona.

— Wręcz pozowali do zdjęcia. Arabowie na ogół są próżni i ci bojownicy chcieli być uwiecznieni. Pytali, w jakiej gazecie będą mogli obejrzeć swoją fotografię.

Moore wyjął z kieszeni marynarki kilka fotografii przedstawiających długie zielone rury z mechanizmem spustowym i srebrne cygara ze skrzydełkami.

— W jakich jeszcze okolicznościach widział pan coś podobnego?

— Nieopodal miasteczka Mizda, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Trypolisu. Żołnierze ze stacjonującego tam oddziału mieli taką broń. I na samym południu, pod Ghat. Takie rakiety mają tamtejsi Tuaregowie.

Ortiz i Moore spojrzeli na siebie. Ron wyjął z kieszeni małą blaszkę.

— To jest z tych właśnie rakiet spod Ghat. Jeśli macie, jak powiedzieliście, numery seryjne, można to sprawdzić. Mieszkałem wśród Tuaregów przez pewien czas. Miałem możliwość dobrze przyjrzeć się ich uzbrojeniu, a nawet, jak widzicie, wziąć coś na kształt dowodu rzeczowego.

— Skąd u Tuaregów te rakiety?

— Część z nich służyła w armii Kaddafiego, pewnie wzięli je ze sobą. Wiem też, że przejęli kilka składów broni, wśród niej także rakiety Igła.

— Skoro pan mieszkał między nimi, ma pan znajomości i kontakty...

Ron przytaknął.

— Jak możemy wykorzystać te kontakty? — Amerykanin z Warszawy był rzeczowy i bezpośredni.

— To jest, jak rozumiem, prawdziwym celem naszego spotkania. Mam kontakt do trzech byłych dowódców oddziałów Kaddafiego. Oficerowie w randze kapitana, majora. Ale wśród swoich współplemieńców cieszą się dużym autorytetem, bo walczyli z całym NATO. To rozsądni ludzie, z którymi można robić biznesy. Wiedzą, że cena takiego systemu na czarnym rynku wynosi około osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Myślę, że za pięćdziesiąt

tysięcy, jeśli negocjować cierpliwie i dorzucić pewne polityczne bonusy, można się dogadać.

— Ile pana zdaniem rakiet mogą posiadać ci Tuaregowie?

— Nie liczyłem, bo nie miałem takiej sposobności. Z różnych rozmów z nimi mogę jednak wnioskować, że chodzi o co najmniej kilkadziesiąt, może sto, może sto pięćdziesiąt albo i dwieście igieł. Oni traktują rakietę jako swego rodzaju inwestycję albo materiał przetargowy.

Ortiz i Moore jednocześnie zainteresowali się swoimi kawami i w milczącym skupieniu usiłovali wycisnąć coś jeszcze z pustych filiżanek. Ron nie ponaglał ich. Kawiarka ze zgorszonym zdziwieniem patrzyła na trzech barbarzyńców zza oceanu, którzy przesiedzieli w lokalu cały drugi akt i przerwę i nie zamierzają nawet pójść na trzeci. A przecież w trzecim akcie będzie *Chór niewolników*, pieśń, dla której pół Europy wali drzwiami i oknami na Nabucco! Amerykanie... Czego można od nich oczekiwać?

— Jest pan w stanie się z nimi skontaktować? — Moore wyszedł z klinczu. I odzyskał oddech.

— Tak. Więcej: jeśli otrzymają gwarancje bezpieczeństwa, mogą przybyć do Europy. Bez rakiet oczywiście — zażartował Ron.

— Wspomniał pan o politycznych bonusach. Czego by oni oczekiwali?

— Żeby zostawić ich w spokoju, nie wciągać do obecnej wojny i nie wspierać ich przeciwników. Południe Libii jest teraz sceną walki o to, kto będzie kontrolował szlaki przemytnicze i wydobywanie ropy z tego regionu. Gdybym był doradcą waszych polityków, podpowiadałbym, aby zawrzeć z nimi sojusz. W przeciwnym razie dołączą do islamistów i będziemy mieli pożar na północy Nigru i Mali. Oraz niestabilne południe Libii, tuż przy polach naftowych Murzuku.

— Decyzje polityczne nie należą do nas. Niemniej, oczywiście, przekazemy sugestie przełożonym. Nie wiem, czy pan wie, ale i CIA, i Departament Obrony były przeciwne temu, abyśmy wchodzili do Libii. To była gra francuska i brytyjska. Zaczęliśmy się układać z Kaddafim i w niektórych obszarach owocnie z nim współpracowaliśmy. Utrzymywał stabilność w regionie, powstrzymywał fale migrantów z całej Afryki, tępił islamistów. Był krwawym dyktatorem, to prawda. Lecz iluż jest dyktatorów na świecie! Gdybyśmy chcieli ich wszystkich usunąć, świat może i byłby lepszy, ale, podejrzewam, mniej przewidywalny i stabilny. Departament Stanu miał jednak inne zdanie i politycy zrobili, co zrobili. Właściwie nie wiem, jak jak udało się Hillary Clinton przekonać prezydenta. Co nas obchodzą francuskie problemy finansowe w Afryce i ich frank? Nic nie zyskiwaliśmy na zaangażowaniu się w tym kraju. A straty mogą być ogromne. Jeżeli okażą się zbyt duże, Hillary może postawić krzyżyk na swojej dalszej karierze.

— Nie jestem politykiem ani wielkim znawcą regionu. Mówię to, co wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem. — Ron chciał uniknąć debaty o meandrach amerykańskiej polityki. „Tylko dlaczego Moore wspomniał o finansowych problemach Francji w Afryce? Frank, powiedział Moore. Miał oczywiście na myśli franki afrykańskie, którymi posługiwało się kilkanaście państw zachodniej i centralnej Afryki. Wyparcie kontrolowanej przez Paryż waluty i zastąpienie jej inną, ubezpieczaną miliardami Kaddafiego oznaczało wyrugowanie w perspektywie wpływów Francji. Czyżby prawdziwą przyczyną wojny naprawdę były sny Kaddafiego o zjednoczonej Afryce ze wspólną walutą?” — Ron analizował w myślach słowa Amerykanina.

— Przekaze pan nam kontakty? — Moore był pragmatyczny i trochę niecierpliwy.

— Proszę bardzo. Oto nazwiska, numery telefonów, adresy e-mailowe. — Ron podał zapisane na karteczce dane, które wcześniej uzgodnił z Aksilem. — Więcej chyba nie można zrobić. No, co najwyżej umówić spotkanie w Rzymie — uśmiechnął się.

— Dlaczego w Rzymie? — Major Ortiz czujnie podniósł wzrok.

— Bo planowaliśmy tam z żoną spędzić miesiąc miodowy, a nie dojechalśmy. Także z panów powodu. Co do kontaktów z oficerami Kaddafiego... Niekoniecznie musicie kontaktować się z nimi oficjalnie. Można przykładowo utworzyć organizację pozarządową, która zajmie się poszukiwaniem rakiet...

— Chyba powinniśmy jakoś państwu wynagrodzić tę przerwę w urlopie...

Moore był gotowy do dalszych targów. I chciał ukryć zaskoczenie, jakie wywołała propozycja Hariba, aby powołać specjalną organizację pozarządową ze statutowym celem skupywania niebezpiecznych rodzajów broni skradzionej z arsenałów Kaddafiego. Agencyjny projekt utworzenia takiej organizacji znajdował się właśnie w stadium finalnym i stanowił ściśle strzeżoną tajemnicę. Najwidoczniej strzeżoną niewystarczająco, skoro Polacy o niej wiedzą.

— Będę zobowiązany. Libia wywołuje ostatnio dużo emocji i zainteresowania. Parasol z logo pana firmy bardzo by się przydał na jesienne i zimowe dni.

— Wiosną aura też bywa deszczowa...

— Wierzę w trwałość amerykańskich produktów.

— Produkt made in USA jest zawsze bardzo solidny. Pułkownik Raczkowski wspominał coś jeszcze o

politycznych sensacjach, które pan przywiózł z Libii — spróbował Moore.

— Przekazałem je pułkownikowi. Ale oczywiście chętnie podzielę się najogólniejszą informacją. Idzie o to, że, najzupełniej przypadkowo, natrafiłem na dokumenty obrazujące szczególnie intensywną zażyłość Kaida Kaddafiego z wielkimi demokracjami na świecie, w tym i w Europie. Na razie zrozumiałem tylko tyle, że była to znajomość opierająca się na korzyściach obopólnych, chociaż nierównomiernych. Przedstawicielom czołowych demokracji przyjaźń z Kaddafim bardzo się osobiście opłacała.

— Z naszej strony nie mamy pretensji do pańskich dociekań. Jest pan przecież dziennikarzem i mówienie prawdy jest pańskim obowiązkiem. Stany Zjednoczone zawsze popierały wolność prasy, broniły i będą bronić tych, którzy ją praktykują. Jesteśmy panu więcej niż wdzięczni za przekazane informacje. Może chociaż ureguluję rachunek za kawę?

Ron uznał, że deklaracja Amerykanina jest wystarczającym zobowiązaniem.

— Nie mogę na to pozwolić. Naraziłbym się na zarzut, że jestem na żołdzie wuja Sama lub przyjmuję łapówki. Ponadto to ja zapraszałem panów. Więc kawę i bilety przyjmijcie, proszę, jako wyraz przyjaźni i sympatii.

Moore uśmiechnął się ponownie. Podobieństwo zachowań, nawet stylu rozmowy Hariba i Raczkowskiego było uderzające. Ta sama szkoła, chociaż wiek różny. To chyba dobrze, że Polacy zachowali ciągłość w swoich służbach.

— Nie chciałbym, abyśmy wyjechali z Wiednia, nie posłuchawszy muzyki Verdiego. Zdażymy na czwarty akt, pospieszmy się.

— A kiedy pan zdążył przyjechać do Wiednia? — zapytał jeszcze Moore, wchodząc na salę, gdy gasły już światła.

— Dzisiaj przed południem. Ale skoro już jestem, to spędzimy tu kilka dni.

— Zapomniałem zapytać o pańską żonę...

— Nie da się wyciągnąć z *Nabucco*. Poza tym nie mówi po angielsku, więc by się zanudziła.

Amerykanom dane jednak było poznać panią Harib. Po zakończonym przedstawieniu przystanęli na krótko przed gmachem opery wśród dziesiątków melomanów dzielących się na gorąco wrażeniami lub po prostu znajomych, którzy spotkawszy się przypadkowo na spektaklu, prowadzili towarzyskie, zdawkowe rozmowy, a potem rozchodzili się lub szli na lampkę wina czy kawę do któregoś z licznych lokali w pobliżu. Wiedeń jest przecież ojczyzną kawiarni. To tutaj, przy ulicy Domgasse, Jerzy Kulczycki otworzył w 1684 roku pierwszą w Europie kawiarnię, w której podawano wywar z mielonych ziaren kawy, zdobytych na taborach tureckiej armii rozgromionej przez polskiego króla Sobieskiego.

Dwaj mężczyźni przyglądający się uważnie wychodzącym z opery zdecydowali się wreszcie podejść do stojącej czwórki. Uliczne latarnie i reflektory budynku Staatsoper jasno oświetlały rozmawiających trzech mężczyzn i młodą kobietę. Dwoje z nich odpowiadało podanemu opisowi, a że umówiona godzina spotkania minęła dawno, agenci bali się, że ktoś inny może przejąć ich rozmówców.

— *Monsieur* Harib? — zapytał grzecznie jeden z dwóch mężczyzn.

Pozostający w dyskretnym cieniu ludzie z CIA, którzy zabezpieczali spotkanie szefa warszawskiej placówki, sprężyli się, gotowi do natychmiastowego działania. Plan

nie przewidywał dodatkowych gości. Moore zachowywał jednak spokój, więc powstrzymali się z interwencją.

— Tak, witam. Panowie od pana Germaina? — zapytał swobodnie po francusku Ron. — Poznajcie się, panowie — przeszedł na angielski. — To wysłannicy pana Jacques'a Germaina, dowódcy Action Service w Generalnej Dyrekcji Bezpieczeństwa Zewnętrznego Francji. A to wasi koledzy z Langley.

Skonfundowani, bo skonfrontowani z nową, zaskakującą sytuacją, która przydarzyła się im w środku gromady rozdyktowanych melomanów, w najjaśniejszej oświetlonej w tym momencie części Wiednia, wywiadowcy obu mocarstw nie znaleźli lepszego rozwiązania niż podać sobie dłonie. Bez przedstawiania się. Ron zdawał się świetnie bawić, chociaż wcale nie było mu do żartów.

— Tom, Orti — Ron z marszu przekształcił nazwisko majora w ksywkę — bardzo się cieszę z naszego spotkania i rozmowy. Jesteśmy w kontakcie. Wybaczcie, że was pozostawię. Mam teraz spotkanie z naszymi przyjaciółmi z Paryża. *See you*. — Uścisnął im dłonie.

— Stąpa pan po kruchym lodzie, Harib — wycedził błady ze złości Moore.

— Jesteś szalonym sukinsynem. Chyba polubię Polaków — szepnął major Ortiz, pochylając się do ucha Rona.

Tazerwałt swobodnie ujęła pod rękę jednego z ludzi z Action Service.

— Pan często bywa w Wiedniu? — zapytała, jak przystało na głupiutką, w niczym niezorientowaną żonę, która koniecznie chce znaleźć się w wielkim świecie i zaczyna rozmowę od najbardziej banalnego pytania. Nie czekając wcale na odpowiedź Francuza, który zgłupiał w zaskakującej go sytuacji, szczebiotała: — Bo my kochamy Wiedeń. I operę. I Mozarta. Lubi pan Mozarta? Uwielbiam

jego humor, lekkość, a zarazem niezrównaną precyzję jego muzyki...

Ron zajmował się drugim agentem, tym, który przejawiał inicjatywę i wydawał się być dowódcą.

— Przejdźmy się. Dosłownie na drugą stronę placu. Zarezerwowałem stolik w kawiarni Mozart. Choć ceny są okrutne, nigdy nie sposób znaleźć tam wolnego miejsca, więc powinien pan docenić moje starania...

Germain trafnie ocenił niespodziewaną propozycję, jaką mu przedstawił szanowany w paryskim świecie żurnalistyki Jan, i wysłał do Wiednia nie żołnierzy, lecz swego zastępcę, doświadczonego analityka, któremu miał towarzyszyć jeden z pracowników rezydentury DGSE w Austrii, a ochronę zewnętrzną zapewniło dwóch agentów i żandarmi z ambasady. Analityk szybciej się odnalazł w sytuacji i gdy zasiedli we czworo w kątku kawiarni, odzyskał równowagę ducha.

— Czego się panowie napijecie? — Za Ronem była już pierwsza runda dzisiejszej rozgrywki, więc nie silił się na oryginalność.

Oczekując, aż kelner poda zamówione kawy, Harib i obaj Francuzi przyglądali się sobie, taksowali wzrokiem tak, jak bokserzy przed walką oceniają siłę przeciwnika i jego ewentualne słabe miejsca.

— W cenie dziesięciu euro kawa mogłaby być lepsza. — Ron pozostawał w lekkiej konwencji. Ale to był dopiero początek. — Skoro powołaliście się na nazwisko swego szefa i nazwę firmy, zakładam, że mam do czynienia z właściwymi osobami. Dla pewności jednak powiedzcie, proszę, coś, co mnie w tym utwierdzi.

Zastępcę Germaina konfrontacja z ludźmi z CIA najpierw zaskoczyła („Można się było domyślić, że Polacy są na pasku Amerykanów” — strofował sam siebie i swoich

przełożonych), później zirytowała, a następnie rozbawiła go arogancka pewność siebie Polaka, wreszcie dotarło do niego, że siedzi naprzeciw równego sobie profesjonalisty, który w rękawie ukrył kilka asów. Skupił się więc na rozmowie, zachowując pozory swobody — zarzucił nogę na nogę.

— Pana przyjaciel, Jan, skontaktował się z naszym szefem, którego nazwisko pan wymienił. Przyjęliśmy zaproszenie, bo sprawa Libii jest dzisiaj naszym wspólnym bólem głowy. Nie mam pełnomocnictw do podejmowania daleko idących decyzji i zobowiązań, ale dokumenty, których kopie otrzymaliśmy, skłaniają nas do największej życzliwości. Co pan chciałby nam jeszcze przekazać?

Ron pokiwał głową, jakby zgadzał się z wywodami Francuza.

— Ustalmy, że nasze spotkanie, a dokładniej to, co mam do przekazania, jest przede wszystkim potrzebne wam. Przedtem chciałbym się dowiedzieć, dlaczego dostąpiłem zaszczytu uhonorowania specjalnym zainteresowaniem ze strony waszej firmy.

— Nie rozumiem. Dopiero od Jana dowiedzieliśmy się o pana istnieniu. Wiem, że każdy dziennikarz jest przekonany, że cały świat czyta jego teksty, ale jakoś dotychczas nie natknęliśmy się na efekty pańskiej aktywności. — Zastępca Germaina nie mógł oprzeć się pokusie małej złośliwości.

— Czyżby? Nie interesowały was nowości z Norwegii? — odparował Ron. — Mam na myśli fakt, że dwukrotnie, bez mojej woli, nawet więcej: wbrew mojej woli, chcieliście mnie zaprosić do Francji.

— Zapewniam pana, że nic takiego nie miało miejsca. Przynajmniej nie ze strony mojej firmy. — Otwarte przyznanie się Polaka do tego, że to on stał za przeciekami norweskim, wstrząsnęło Francuzem i kazało mu spojrzeć z

respektem na rozmówcę. Jego zaprzeczenie zabrzmiało prawdziwie i Ron zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu w swoich kalkulacjach.

— DGSE to wielka firma i nie można wykluczyć, że nie wiedziała prawica, co czyni lewica. — Harib zasygnalizował gotowość do puszczania w niepamięć incydentu z Trypolisu.

To zdanie można było zrozumieć także w tym znaczeniu, że francuskie służby były rozgrywane przez różne klany polityczne w kraju. Ron chciał, aby taki właśnie podwójny sens jego słów doszedł do Francuzów.

— Wolałbym w przyszłości uniknąć takich siurpryz i to jest pierwszy, główny cel naszego spotkania. Nie starajcie się czegokolwiek wymusić ani przejąć na siłę. Ani nam, ani naszym przyjaciółom bardzo by się to nie spodobało.

Identyfikowanie się Rona z polskimi służbami — tym było bowiem stosowanie liczby mnogiej i przywołanie na pomoc Amerykanów — brzmiało niczym zawołana groźba. Ron zdawał sobie sprawę, że przegina, więc natychmiast podał swoim gościom coś smacznego i słodkiego niczym tort na talerzykach.

— Przekażę wam, i to zupełnie bezinteresownie wszystko, czym dysponuję, a są to, zaręczam, rzeczy znacznie większej wagi niż norweski notes. Proszę. — Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę, kilkadziesiąt kartek dwustronnych kserokopii. — W skrócie: są tam informacje o kontaktach ludzi Kaddafiego z waszymi politykami, biznesmenami, prasą, światem nauki. Zapisy rozmów są bardzo interesujące, szczególnie te z otoczeniem prezydenta i szefami koncernów Dassault i Total. To po arabsku, ale wy macie przecież doskonałych, najlepszych na Zachodzie ekspertów od tego świata i jego kultury. Jest tam też trochę o wydatkach, jakie poniosła Dżamahirija w związku z tymi kontaktami. Podejrzewam, że

od tych sum nie zapłacono podatków, więc przynajmniej służby skarbowe będą miały pożytek.

Ron doskonale wiedział, że te dokumenty nigdy nie ujrzą światła dziennego. Jak to powiedział Hanem? „Bomba atomowa służy nie do walki, lecz do odstraszenia, a użyta staje się nieskuteczna”.

— To wasza sprawa, co z tym zrobicie. Kilka stron ciągów liczb i nazwisk wygląda bardzo nudno, ale nie powinno was to zniechęcić. To numery kont, hasła do nich i numery skrytek bankowych na terytorium Francji, gdzie mogą być tak poszukiwane przez was rezerwy Kaddafiego. Proszę odnotować, że przekazuję Republice Francuskiej dobrowolnie i wspomniałomyślnie środki wielkiej wartości. Moim skromnym zdaniem Legia Honorowa za takie usługi byłaby jak najbardziej na miejscu.

Tylko po francusku, używając archaicznych czasów literackich, można zawrzeć w podniosłych słowach tak miażdżącą ironię, nie narażając się przy tym na zarzut ironizowania z kogokolwiek i czegokolwiek.

— Jakies dodatkowe szczegóły? — zapytał przedstawiciel DGSE.

— Lubi pan Szwajcarię? Sugerowałbym wycieczkę do Chêne-Bougeries. To niewielka miejscowość pod Genewą. Piękne okolice, ładne, bogate wille. Może pan tam odnaleźć na przykład Alexandra Dżuhriego, a on, jeśli będzie uprzejmy, może z kolei panu opowiedzieć o swoich kontaktach z Sanussim, szefem służb libijskich, i ze Squarcinim.

— Squarcini? Bernard Squarcini?!

Ron nie dziwił się, że jego rozmówca niespokojnie wierci się w fotelu. Bernard Squarcini był szefem Dyrekcji Generalnej Wywiadu Wewnętrznego — kontrwywiadowczych służb Francji.

Jego zdziwienie wywołał raczej fakt, że człowiek od pułkownika Germaina w ogóle nie zareagował na nazwisko Dżuhri. Alexander alias Ahmed Dżuhri był wprawdzie osobistością szeroko znaną w kołach biznesu, doradzał wielkim francuskim firmom Veolia i Alston, przyjaźnił się z czołowymi politykami Francji, ale nikt dotąd nie przypisywał mu związków ze sprawą skarbu Kaddafiego. Brak reakcji Ron odczytał jako pośrednie potwierdzenie, że do polowania na pieniądze Pułkownika i na ukryte przez niego dokumenty rzucono wszystkie siły — od służb specjalnych, poprzez biznesmenów z niejasną przeszłością, aż do szemranych, wręcz kryminalnych elementów. Przeciwnikiem mógł być więc każdy i każde miejsce mogło okazać się pułapką.

Uśmiechnął się do człowieka z Service Action.

— Przecież doskonale pan to wszystko wie. Uprzedzałem też pana, że te kartki mają kaliber większy niż cały norweski notes.

— Pan pracował w Libii dla norweskiej telewizji? — bardziej stwierdził, niż upewniał się Francuz.

— I owszem.

— Co za dziwny zbieg okoliczności. Niech pan powie, tak między nami, czy pana zdaniem notes Hanema jest prawdziwy?

— Chce pan zapytać, czy fakty tam opisane są prawdziwe? Więc... szczerze: nie wiem. Bo to, że Hanem robił te notatki, pozostaje poza wszelkimi wątpliwościami. Z drugiej strony jest bardzo wiele znaków zapytania. Sporo nad tym rozmyślałem i nie wykluczam, że cała ta historia z pieniędzmi dla Sarkozy'ego mogła być sfingowana. I to poza Francją. Sądzę, że najprędzej w samej Francji znajdzie pan odpowiedź na swoje pytanie.

— Przekażemy to wszystko naszym przełożonym. A czy nie mógłby pan łaskawie wyjawić powodu pańskiej bezinteresownej wspaniałomyślności? — Człowiek od Germaina również opanował sztukę wyrażania ironii eleganckimi zdaniem.

— Nie uwierzy pan: kocham Francję. I mówię to całkiem poważnie. Proszę sobie wyobrazić: biedna wiejska prowincja na końcu Europy. Komunistyczne, siermiężne porządki. Babcia uczy wnuka języka francuskiego i francuskiej kultury. Wnuk marzy, aby pewnego dnia osobiście zobaczyć te wszystkie cuda: Luwr, katedry w Reims i Chartres, katedrę Notre Dame, Wersal, zamki nad Loarą... Ale wie, że to niemożliwe. Francja jest za żelazną kurtyną, dokąd wyjazd z definicji jest niemożliwy. Roczne zarobki jego rodziców są mniejsze niż cena biletu lotniczego do Paryża. Potrafi pan sobie wyobrazić siłę takiego marzenia i smutek takiej bezsilności?

— Dzisiaj nic przecież nie stoi na przeszkodzie, aby to marzenie urzeczywistnić. Miłość jest pełna, kiedy skonsumowana.

— Właśnie. Myślę, że wybierzemy się z małżonką w przyszłym roku na tournée po pana przepięknym, unikatowym kraju...

— Zapraszam serdecznie.

— ...i byłoby fatalnie, z dużą szkodą dla tego pięknego kraju i porządku politycznego w nim, gdyby podczas podróży nasze auto na przykład spadło gdzieś z mostu lub zderzyło się z ciężarówką. Lub gdyby któreś z nas poślizgnęło się na klatce schodowej...

— ...bo, domyślam się, czołowe gazety europejskie opublikowałyby nie tylko nekrolog, ale także dorobek śledczy zmarłego dziennikarza — dokończył Francuz.

— Jest pan wiernym synem wielkiej Republiki i mogę tylko chylić czoła przed pańskim przywiązaniem do wolności prasy. A wie pan, że nasi amerykańscy przyjaciele także gorąco deklarowali poparcie dla wolności słowa? To ujmujące.

— Czy pański dorobek śledczy, który pan zachowa dla przyszłych pokoleń, na co liczymy, jest równie imponujący, co materiały, jakie nam pan przekazuje? — zainteresował się Francuz.

— Powiedzmy: równowartościowy. Jeśli chodzi o wymiar polityczny, o następstwa, jakie może spowodować. Bo w wymiarze bankowym, finansowym macie panowie wszystko, co zdobyłem. To nie jest mój świat. Nie znam się na finansach. Oczywiście pozostaje nam wiedza o tym, ile naprawdę pieniędzy Kaida znajdowało się we Francji. Mam bowiem takie przeczucie, że ani przejściowy rząd w Libii, ani dowódcy polowi nie dostaną wszystkich środków. A i rada powiernicza do zarządzania funduszami Kaddafiego, którą powołała ONZ, nie otrzyma pełnej informacji. Ale chciałbym, abyście panowie wiedzieli, że my wiemy.

— Rozumiem. Bardzo panu dziękujemy w imieniu Republiki. Republika jak matka ma różnych synów, ale dysponuje, jak to matka, nieograniczoną mocą przebaczenia. Jak i kiedy moglibyśmy się z panem skontaktować, aby przekazać nasze przemyślenia dotyczące pańskiej propozycji?

— Proszę panów. To nie była propozycja. Ja przedstawiłem stan rzeczy, jaki zaczął obowiązywać — spojrział na zegarek — od godziny dwudziestej drugiej dnia dzisiejszego. Pamięta pan, że na granicy Niemiec Wschodnich ustawione były niegdyś urządzenia automatyczne, które same strzelały przy próbie przekroczenia granicy? Historia zna przypadek, gdy zginął od ich kul pewien wschodniemiecki oficer, który sam je montował, a później chciał uciec do Niemiec

Zachodnich. Tego urzędnika nie da się już rozbroić. Po prostu nie należy przekraczać granicy. A propos Niemiec. Mam mały prezent dla naszych tamtejszych przyjaciół. Niech zainteresują się działalnością tego pana. — Ron podał karteczkę z imieniem i nazwiskiem Mathiasa. — Możecie im go ofiarować. Zyskacie dodatkową wdzięczność Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji. Nie próbujcie go tylko zwerbować na swoją stronę, gdyż wcześniej czy później Niemcy poznają prawdę.

Harib uznał, że powiedział Francuzom wszystko, co miał do powiedzenia tego wieczoru.

— Dziękuję panom za wspólny wieczór. — Ron wstał i dodał: — Proszę przekazać pozdrowienia panu pułkownikowi Germainowi. Nie znamy się, ale pewnie byśmy się polubili. Przepraszamy, że pozostawimy panów samych. Mamy jeszcze dzisiaj spotkanie, zupełnie prywatne, u przyjaciół. Dobrej nocy.

LII

Z nawyku i „na wszelki wypadek” zarówno Amerykanie, jak i Francuzi przygotowali się do śledzenia wychodzących z kawiarni Rona i Tazerwala. Byli przygotowani na różne warianty: i na to, że para pojedzie metrem, i na to, że weźmie taksówkę. Gdy więc Harib z żoną faktycznie wsiedli do taksówki, dwa auta z dwóch różnych zaułków ruszyły za nimi. Pierwszy problem powstał, gdy śledzeni wysiedli z auta i weszli do metra. Agenci siedzący obok kierowców natychmiast ruszyli za nimi i zdążyli zająć miejsca w różnych wagonach pociągu. Ron i Tazerwał wysiedli z metra na placu Świętego Stefana, czyli prawie wrócili do miejsca, skąd wyruszyli, przecisnęli się przez gęsty tłum, postali przed katedrą i nagle, zmieniawszy chyba plany na wieczór, wsiedli do ostatniej wolnej taksówki. Agenci zdążyli jedynie zanotować jej numer. Odszukany później kierowca zeznał, że pasażerowie, których dobrze zapamiętał, bo rozmawiali po francusku, całowali się, zapłacili pięćdziesiąt euro za kurs wart trzydzieści i wysiedli na dworcu kolejki podmiejskiej.

Oczywiście dobrze by było dowiedzieć się czegoś więcej o Ronie Haribie, ale... inwigilować agenta sojuszniczej służby wywiadowczej?! W dodatku tego, który wyświadczył tak znaczne przysługi? Inna rzecz poprosić, aby to jakieś zaprzyjaźnione służby zajęły się jego dyskretną obserwacją... Amerykanie poprosili więc austriackich kolegów, aby ci sprawdzili podmiejskie pensjonaty, gdzie zapewne zatrzymali się państwo Haribowie. Moore nie był specjalnie zdziwiony, gdy otrzymał od kolegów z rezydentury w Wiedniu informację przekazaną przez austriacką policję, która autorytatywnie zapewniła, że ani

pan Harib, ani pani Harib nie zatrzymywali się w Austrii, na pewno nie kontaktowali się także z polską ambasadą i nie korzystali z pomieszczeń gościnnych żadnej z polskich misji, które Austriacy — „na wszelki wypadek” — mieli pod obserwacją. Moore mógł tylko pogratulować pułkownikowi Raczkowskiemu takiego wychowanka.

Najważniejsze, że jeden z libijskich oficerów wskazanych przez Hariba nawiązał kontakt z zarejestrowaną w Szwajcarii niezależną organizacją pozarządową, która podjęła się zadania zbierania i skupowania niebezpiecznych rodzajów broni zaginionej po upadku reżimu Kaddafiego. Oficer wyraził gotowość do współpracy, był nawet skłonny przyjechać do Europy, aby omówić szczegóły przyszłych wspólnych projektów, ale przedstawił też warunki wstępne. Na początku poprosił o pomoc w zarejestrowaniu w Szwajcarii kierowanej przez siebie pozarządowej organizacji Libijskie Centrum Pokoju i Pojednania oraz — co oczywiste — w założeniu rachunku bankowego. Amerykanie rozważyli pomysł i uznali, że jeśli mają prowadzić rozliczenia za skupowaną broń, to jest to doskonałe rozwiązanie. Ale później Libijczyk zażądał gwarancji bezpieczeństwa od... rządu USA. Było to, rzecz jasna, naiwne i głupie, świadczące o braku politycznego doświadczenia młodego Libijczyka, bo cóż ma rząd Stanów Zjednoczonych do bezpieczeństwa osób wjeżdżających na terytorium Unii Europejskiej, a tym bardziej na zaproszenie niezależnych, międzynarodowych organizacji pozarządowych zarejestrowanych w neutralnym państwie?

E-maile i depesze krążące między Waszyngtonem, Warszawą, Langley, Bengazi i Rzymem przejaśniły jednak trochę obraz i ambasador USA w Bengazi przekazał list do byłego kapitana armii Kaddafiego, w którym gwarantował mu, że może bezpiecznie wjechać do Włoch i z nich wyjechać. W Neapolu mieściło się dowództwo VI Floty, a w Aviano — największa w tej części Europy baza lotnicza

USA. Major Ortiz, który pracował w Neapolu, proponował, aby ze szczególną troskliwością zaopiekować się Libijczykiem i pokazać mu bazę w Aviano, gdzie mógłby się spotkać z właściwymi ludźmi. Wszak Kaddafi w 1969 roku też był tylko skromnym kapitanem!

LIII

W niedzielę, zaraz po śniadaniu, gdy dość nieliczni o tej porze roku kuracjusze ośrodka nieopodal miasteczka Oberburgau wychodzili z hotelu, aby zażyć porannego spaceru, pod bramę sanatorium podjechało granatowe volvo. Strażnik, który ochraniał spokój i bezpieczeństwo gości, dostrzegł litery WD na tablicy rejestracyjnej i bez wahania otworzył bramę. WD to skrót od Wiener Diplomaten, a w kraju respektującym prawo i porządek, jakim jest Austria, żaden szanujący się stróż czy ceniący swoją pracę funkcjonariusz policji nie ośmielił się zatrzymać przedstawiciela korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Wiedniu. Ochroniarzowi nie chciało się ponadto wychodzić z ciepłej stróżówki, tym bardziej że znów zaczęło sypać. Dałby Bóg, aby opady utrzymały się przez kilka godzin, na trasach zjazdowych pojawiłoby się wówczas więcej śniegu, a w hotelu — gości.

Volvo zatrzymało się tuż przed wejściem do głównego budynku i kierowca usłużnie otworzył drzwi samochodu od strony pasażera, rozpościerając jednocześnie nad wysiadającą młodą kobietą parasol, chociaż od pojazdu do wejścia dzielił ją dystans najwyżej dziesięciu kroków. Kobieta omiotła podejrzliwym spojrzeniem marmurową posadzkę hotelowego holu oraz głębokie skórzane fotele wśród palm doniczkowych i ostatecznie przysiadła na jednym z nich. Kierowca z zielonym paszportem w ręku poszedł w stronę recepcji, anonsując przyjazd księżniczki ult-Agwelid.

Recepcjonistka Ulrika, młoda rezolutna dziewczyna, bardziej z ciekawości niż z obowiązku meldunkowego

wzięła zieloną książeczkę Wielkiej Libijskiej Arabskiej Dżamahiriji Ludowo-Socjalistycznej i z pewnym trudem odnalazła stronę, na której były jakiegokolwiek napisy literami łacińskimi. Wprawnym okiem wychwyciła, że wiza, wydana przed rokiem przez włoskiego konsula w Trypolisie, obejmowała pięcioletni okres ważności, z prawem wielokrotnego przekraczania granic Unii Europejskiej. Ulrika nie specjalizowała się w prawie konsularnym Schengen, ale nie przypuszczała, aby konsul Włoch wydawał pięcioletnie wizy wszystkim chętnym Libijczykom — klientka należała zatem do kasty wybranych i najbogatszych. Centrum terapii w Oberburgau zawdzięczało swoją dobrą reputację i obecność zamożnych gości nie tylko rozbudowanej ofercie usług medycznych, ale także, a może przede wszystkim, dyskrecji, na jaką mogli liczyć zatrzymujący się tutaj kuracjusze. Nie było w zwyczaju notować nazwisk dostojnych person, które mogły sobie tego nie życzyć. Rozmówca recepcjonistki, najpewniej Niemiec — tak wynikało z jego biegłej, nawet wytwornej niemczyzny i nazwiska na wizytówce — przedstawił się jako osobisty sekretarz księżniczki. Jednak jego sposób mówienia, zachowania, bardzo drogi płaszcz i także buty przemawiały raczej za tym, że był dla libijskiej arystokratki kimś bliższym.

— Przygotowaliśmy apartament na pierwszym piętrze. Na jak długo pani ult-Agwelid zamierza się u nas zatrzymać?

— Chcielibyśmy... to jest księżniczka chciałaby zostać piętnaście dni. Chcę od razu zapłacić za ten okres.

— Kartą oczywiście?

— Nie, nie kartą, wolałbym gotówką. Cztery tysiące dziewięćset? Proszę, oto pięć tysięcy. Nie, dziękuję, reszta dla pani. Mogę już wziąć paszport? Dziękuję.

— Czy pani ult-Agwelid będzie przebywać sama? — zapytała dla uściślenia recepcjonistka.

— Nie, będzie jeszcze jedna osoba... — Ron odegrał, jak mu się wydawało, przekonująco, coś w rodzaju zakłopotania.

Dziewczyna dyskretnie się uśmiechnęła. Opłata gotówką, dwoje gości, ale jedno nazwisko. Wszystko jasne. To nie była wcale nowa sytuacja w miejscu, w którym pracowała. Wprawdzie paniom w średnim wieku, które przyjeżdżały z Austrii czy pobliskich Niemiec lub Szwajcarii, aby zażyć relaksu i świeżego górskiego powietrza jeszcze przed rozpoczęciem sezonu narciarskiego, częściej towarzyszyli dużo, dużo młodszy od nich mężczyźni, a tutaj sytuacja była *à rebours*, ale takie przypadki też nie należały do rzadkich. Z tym że wówczas różnica wieku między panami a towarzyszącymi im sekretarkami czy asystentkami była z reguły znacznie większa. Młoda, obrzydliwie bogata Arabka urwała się z więzi rodzicom czy mężowi, chwyciła gdzieś tego Kurta, skądinąd bardzo urokliwego i męskiego, i teraz pewnie będzie przez dwa tygodnie leczyła swoje seksualne neurastenie. A jeśli jest panną na wydaniu, to jeszcze przed powrotem do kraju zdąży na zabieg hymenoplastyki. Koleżanka recepcjonistki pracowała w niedalekiej klinice szwajcarskiej, gdzie, jak mówiła, chirurg cerował błony dziewicze szybciej niż jej babcia skarpetki.

— Bardzo proszę, klucz do państwa apartamentu — uśmiechnęła się z najszczerzą serdecznością.

Arabka była śliczna i dziewczynie aż żal się zrobiło, że tamta, zamiast zaszaleć z jakimś miłym rówieśnikiem z Libii, musiała uciekać aż do Europy, aby trochę się rozerwać. Popatrzyła z zawiścią na jej buty. Christian Louboutin. To jest marka! To jednak była prawdziwa księżniczka. Jej francuski, w którym rozmawiała ze swoim „sekretarzem”, był *impeccable*^[1]. Ulrika od trzech lat

usiłowała opanować ten *beschissen Französisch*^[2] i wprawdzie nie osiągnęła jeszcze wysokiego poziomu, ale potrafiła ocenić biegłość innych. A nawet znaleźć właściwe francuskie słowo dla określenia językowej biegłości Libijki.

Zachowanie księżniczki i jej niby-sekretarza potwierdzało domysły Ulriki. Kurt nadzorował przeniesienie waliz z auta do apartamentu, osobiście odprowadził samochód na przyhotelowy parking, a potem tak się poświęcił kurowaniu księżniczki, że w ogóle o nim zapomniał. Volvo przykryła czapa śniegu.

Księżniczka często jako ostatnia przychodziła na śniadanie. Nierzadko rezygnowała z kolacji, prosząc o podanie późnego obiadu do pokoju. Pani ult-Agwelid i pan Schultz nie zawierali znajomości z innymi kuracjuszami, chętniej wybierali się na krótkie spacerunki w okoliczne góry i w ogóle byli niemęczącymi gośćmi, spędzającymi czas wyłącznie we własnym towarzystwie i głównie w swoim apartamencie.

Trzeba przyznać, że kuracja nad górskim jeziorem Mond dobrze służyła księżniczce — wyraźnie się rozluźniła, była uśmiechnięta i robiła wrażenie szczęśliwej. Libijska arystokratka i jej niemiecki sekretarz tylko raz na dłużej opuścili hotel. Poprosili, aby wypożyczono im wóz terenowy, bo chcieli pojeździć trochę po górach. Uprzedzili, że zapewne zatrzymają się na noc gdzieś w schronisku. Bez kaprysów zaakceptowali nissana patrola z napędem na cztery koła, ale po powrocie do hotelu Kurt powiedział recepcjonistce, że jazda po zimowych górach jest zbyt niebezpieczna, i zrezygnował z dalszych eskapad.

Księżniczka ult-Agwelid faktycznie nieco przesadziła z górskimi wożami. Wybrała się, oczywiście wspólnie ze swoim sekretarzem, drogą przez Monachium i Sankt Gallen, aż do Zurychu. W Zurychu nie zabawili zresztą długo. Tyle tylko, aby odwiedzić dwa banki. W

Raiffeisenbank na nabrzeżu Limmat księżniczka okazała paszport obywatelki Rzeczypospolitej Polskiej na nazwisko Kamila Wiktoria Masud i założyła zwykłe konto, dostępne zarówno drogą elektroniczną, jak i przez telefon. Obsługującego ją bankowca nawet specjalnie nie zdziwiła mizerna kwota pięciu tysięcy euro, które pani Masud zdeponowała na rachunku. Polacy nie należą przecież do krezusów Europy.

W Turicum Private Bank pani ult-Agwelid i jej sekretarz zabawili nieco dłużej. Gości przyjął osobiście wicedyrektor banku, uprzedzony telefonicznie dwa dni wcześniej, że chodzi o operację z nummerkontem, anonimowym kontem bankowym założonym jeszcze w końcu lat dziewięćdziesiątych, a więc na długo przedtem, zanim pod naciskiem USA Szwajcaria zaczęła stosować się do zasad Financial Action Task Force, zakazujących prowadzenia kont anonimowych. Jako człowiek dyskretny i dbający o interes firmy wicedyrektor Turicum Private Bank nie wypytywał o zbędne szczegóły. W pełni usatysfakcjonowało go to, że goście, podając numer konta i hasło numeryczne, potwierdzili swoje prawo do dysponowania rachunkiem, na którym w ciągu ostatnich kilkunastu lat uzbierała się kwota ponad dwustu osiemdziesięciu milionów dolarów. Upewniwszy się co do stanu konta, klientka poprosiła o nową kartę bankomatową ze zmienionym PIN-em oraz o przelew pięciu milionów dolarów na wskazane konto w Raiffeisenbank Zürich.

Klientka zaoferowała także do sprzedaży duży pakiet dziesięcioletnich bonów skarbowych USA. I ta oferta szczególnie ucieszyła wicedyrektora Turicum Private Bank. W związku z włoskim kryzysem finansowym z jesieni obligacje amerykańskie drożały z dnia na dzień i były rozchwytywane przez inwestorów. Wystarczyło tylko wykazać pewną cierpliwość i gotowość do podjęcia minimalnego ryzyka, aby za kilka tygodni odsprzedać

papiery wartościowe z dużym zyskiem. Bankier dokonał wstępnej kalkulacji, z której wynikało, że minimalny zysk Turicum, już po opłaceniu maklera, wyniesie półtora miliona. Ponieważ wicedyrektor operację przeprowadzał osobiście i wypracowany zysk był jego zasługą, mógł liczyć, że dziesięć procent przychodu ma już w kieszeni. Nawet na jego stanowisku trudno zarobić sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w ciągu jednego dnia!

Wszystkie pieniądze ze sprzedaży obligacji, czyli dobrze ponad trzysta milionów dolarów, klientka przelała na konto Fundacji Centrum Pokoju i Pojednania. Takie operacje bank musiał już zgłosić Federalnemu Departamentowi Finansów. Przekazana do Berna informacja nie wywołała jednak żadnego zainteresowania w Pałacu Bernerhof, siedzibie szwajcarskiej skarbowki. W środowisku bankierów, które równie dobrze potrafi strzec swoich sekretów, co dzielić się nimi z zaufanymi kolegami na zasadzie „dzisiaj ty mnie, jutro ja tobie”, nietrudno było ustalić, że Centrum Pokoju i Pojednania zarejestrowano w Szwajcarii przy silnym wsparciu przyjaciół zza oceanu, a pierwsze pół miliona dolarów, jakie wpłynęły na jego konto, pochodziło od innej fundacji, o której każdy, nawet początkujący referent bankowy, wiedział, że jest przykrywką brytyjskiego wywiadu MI6. Zestawiwszy fakty i liczby, wicedyrektor Turicum Private Bank uznał sprawę za zamkniętą. Zawód bankiera wymaga nie tylko dyskrecji, ale także ostrożności i zdolności powściągnięcia nadmiernej ciekawości.

Następnego dnia rano pani Kamila Wiktoria Masud osobiście podpisała w Raiffeisenbank zlecenie przelewu czterystu tysięcy euro na swoje konto, także w Raiffeisenbank, tyle tylko, że w Warszawie.

[1] *Impeccable* (franc.) — nieskazitelny.

[\[2\]](#) *Beschissen Französische* (niem.) — pieprzony [język] francuski.

LIV

Thomas Moore miał wszelkie powody, aby odczuwać satysfakcję z wykonanej pracy. Przedstawiciel zarejestrowanej w Szwajcarii organizacji pozarządowej, który zresztą miał pewne doświadczenie wojskowe wyniesione z wieloletniej służby w *Her Majesty's Armed Forces*^[1], odbył podróż studyjną do Trypolisu, po której potrafił właściwie ocenić starania libijskiego partnera. Dwanaście zestawów rakiet przeciwlotniczych Igła-S, odkupionych za pół miliona dolarów, to był naprawdę dobry biznes, zważywszy, że Rosjanie sprzedawali Libijczykom rakiety po pięćdziesiąt pięć tysięcy sztuka, a na międzynarodowym rynku terrorystycznym chodziły po osiemdziesiąt tysięcy.

Lider libijskiej organizacji pozarządowej Centrum Pokoju i Pojednania, nie ukrywający swojej przeszłej przynależności do armii Kaddafiego, miał wielkie, ambitne projekty i zapewniał, że dzięki znajomościom z czasów armijnych i koneksjom rodowym proces rozbrajania milicji z niebezpiecznych rodzajów broni może być szybszy.

— Potrzebne są tylko pieniądze, ale te można po prostu wziąć ze środków, z których Kaddafi ograbił naród libijski, a także dobra wola sojuszników i polityczne wsparcie dużych graczy międzynarodowych — tłumaczył.

Ambasada USA w Bengazi zrobiła niezbędne rozpoznanie i przesłała obszerny raport, z którego wynikało, że kapitan jest synem wpływowego lokalnego wodza, którego oddziały trzymają pod kontrolą południową granicę Libii z Algierią i Nigrem. Gra warta była świeczki, rakiety stanowiły już

tylko pretekst do podtrzymania kontaktów. I wytłumaczenie dla Kongresu, na co idą pieniądze podatników. Amerykanie zaprosili byłego kapitana sił zbrojnych Dżamahiriji na spotkanie do Rzymu.

Wówczas Libijczyk przestał się spieszyć z przyjazdem do Włoch. Wyjaśniał, że sytuacja wokół Ghat komplikuje się, tereny kontrolowane przez jego plemię są atakowane przez połączone siły Tebu i milicji arabskich, więc jest zmuszony pozostać, aby bronić rodziny. A i z przekazaniem rakiet mogą być problemy, ponieważ w walce z przeważającymi siłami wroga każda broń może okazać się przydatna. Amerykanom nie pozostawało nic innego, jak tylko porozumieć się z Francuzami i Włochami i wspólnie nacisnąć na dowódców milicji Zintan, aby dogadali się z Imuhar z południa. Dopiero gdy amenukał Kel Adżdżar podpisał pokojowe porozumienie z arabskimi milicjami, a w krwawej bitwie pod Sebhą Tuaregowie zmasakrowali oddziały Tebu, Aksil ag-Agwelid ruszył w podróż do Europy.

Zdjęcia porzuconych na pustyni dziesiątków ciał poległych ciemnoskórych wojowników Tebu, którzy na początku rewolucji tak dzielnie występowali przeciwko siłom Kaddafiego, wywołały protesty międzynarodowych organizacji obrońców praw człowieka i wściekłość niektórych stolic nad Zatoką Perską. Wysłannik szejchów z Półwyspu Arabskiego z oburzeniem pełnym pasji i gorącości obwinił Amerykanów o nieuczciwość i zdradę wczorajszych sojuszników. Usłyszał w odpowiedzi słowa przeprosin, otuchy, zapewnień o solidarności i pomocy. Oraz kilka wyświechtanych, żywcem przeniesionych z taniego patriotycznego filmu mądrości zachodniej myśli politycznej o tym, że za wolność płaci się niekiedy krwią i że wolność jednych narodów nie może oznaczać zniewolenia innych. Emisariusz szejchów zrozumiał, że targu dobrego bez jego udziału i że najrozsądniejszym

rozwiązaniem na tym etapie gry o Libię będzie pogodzenie się z nowym rozdaniem.

Moore nie myślał często o Haribie, ale to, że oficer polskiego wywiadu po prostu zniknął mu z oczu i rozplynął się w Europie, podrażniło jego zawodową dumę. Komórki CIA w Europie meldowały, że Polak na pewno nie pojawił się w krajach ich urzędowania, a przynajmniej nie zostawił żadnego śladu. Amerykanin przełamał się i uzyskał akceptację szefostwa, nawiązał nawet roboczy kontakt z Francuzami. Ci mieli jednak teraz większe problemy na głowie niż poszukiwanie zagubionego sojusznika. Sprawa milionów Kaddafiego dla Sarkozy'ego, niezależnie od tego, ile było w niej prawdy, a ile medialnego szumu, nabierała rozmachu i praktycznie przekreśliła szanse prezydenta na reelekcję, a właściwie stawiała krzyżyk na jego dalszej karierze politycznej. Francuzów niepokoiła także aktywność Rosjan, coraz bezczelniej włączących na terytoria, na których francuską dominację uznawał nawet Waszyngton. „Jeszcze trochę, a pojawią się na całym Bliskim Wschodzie i będą nam dyktować warunki” — warczał generał Rastouil, odpowiedzialny za operacje specjalne Francji za granicą. W tej sytuacji bardziej niż tropienie Polaka frasowała ich sprawa rosyjskiego agenta Gribovskiego. Co do Polaka, to — w tym byli zgodni i dyrektor DGSE, i minister obrony — zrobili z nim transakcję życia, byli więc chętni i gotowi choćby osobiście obwieźć go po wszystkich trzech tysiącach zamków w dolinie Loary.

Gorzej było z Rosjaninem. Jego ślad urywał się gdzieś w Libii. Źródła w Moskwie utrzymywały, że Gribovskiy nie powrócił do Moskwy, inaczej niż jego prowadzący, których wygnano na emeryturę, i obecnie afrykańskiego rezydenta nadzoruje osobiście jeden z wicedyrektorów Służby Wywiadu Zewnętrznego Rosji.

W końcu jednak ludzie Germaina wpadli na trop. System Wojny Elektronicznej, tworzony przez sieci Emeraude, Elodée i CDEGE, które ze źródeł otwartych i ze złamanych sieci zamkniętych czytały wszystko, co warte zainteresowania, wyłowił nazwisko Gribovskiego na liście pasażerów samolotu Algierskich Linii Lotniczych lecącego z Algieru do stolicy Maroka. Nim informacja została obrobiona, przetworzona i przekazana do decydentów, Gribovskiy objawił się w Madrycie. W sąsiedniej Hiszpanii DGSE miała większe możliwości operacyjne. Żmudna analiza zapisów kamer na lotnisku Madryt-Barajas oraz dokładnego czasu, w którym podoficer hiszpańskiej straży granicznej odnotował w komputerze wjazd obywatela Federacji Rosyjskiej Rostislava Gribovskiego, przyniosła efekt — po dwóch dniach mieli fotografię człowieka z SWR. Agenci DGSE to elita wśród europejskich i światowych służb specjalnych, są jak psy gończe, które jeśli podejmą ślad, nie dadzą się zbić z tropu.

Dalsza inwigilacja Rosjanina dokonywała się niemal w czasie rzeczywistym: rezerwacja lotu do Rzymu — agenci byli na lotnisku jeszcze przed jego wylotem, ale jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, zapewne w wyniku zwykłego w Hiszpanii bałaganu, emisariusz z Jasieniewa wymknął się im. Prawdopodobnie wyczuł, że jest śledzony, lub na wszelki wypadek wykonał jakiś niestandardowy trick. Może na przykład ubrał się w mundur rosyjskiego pilota, wziął jego dokumenty i przeszedł specjalnym przejściem dla załóg — zachodzili w głowę agenci DGSE, gdy spostrzegli zbieżność w czasie lotów wykonywanych z Madrytu przez Alitalia i Aerofłot. Nie było to jednak wielkim nieszczęściem, mieli dobrej już jakości zdjęcie Rosjanina, postawili zatem na nogi grupę operacyjną w stolicy Włoch i oczekiwali go w Rzymie. Germain zdążył skontaktować się z włoskimi kolegami, aby ich uprzedzić o planowanej akcji na rzymskim lotnisku.

To, co nastąpiło później, stało się przedmiotem specjalnego wewnętrznego dochodzenia. Agenci DGSE prowadzili Rosjanina praktycznie od samolotu. Asystowali, gdy bezczelnie gapił się w kamerę swoimi zielonymi oczami, jakby chciał im powiedzieć: „Halo, jestem tutaj i co mi zrobicie?”. Pozwolili mu spokojnie przejść odprawę, wziąć bagaż i zasadzili się wspólnie z kolegami z Servizio Informazioni Generali e Sicurezza Interna^[2] przy wyjściu z lotniska, które Rosjanin opuszczał w towarzystwie trzech innych mężczyzn. Błyskawiczna akcja tuż za drzwiami nie przyciągnęła nawet uwagi spieszących się pasażerów. Włosi sprawnie odizolowali osoby towarzyszące Rosjaninowi, a Francuzi schwytali rosyjskiego agenta, założyli mu ręce do tyłu i zatrzasnęli kajdanki. Problemy zaczęły się już chwilę później.

Jeden z kolegów zatrzymanego Rosjanina wybuchnął kaskadą piętrowych wyrażen, raczej nie używanych na salonach, z których *coglioni* i *idioti*^[3] brzmiały najłagodniej. Włosi nie mieli rozkazu aresztowania nikogo poza Rosjaninem, więc pozwolili zadzwonić jego towarzyszowi, który najgłośniej się awanturował. Zatrzymany porozmawiał z kimś przez chwilę po angielsku i przekazał telefon agentowi włoskich służb. Człowiek po drugiej stronie przedstawił się jako generał z SISMI — włoskiej Służby Wywiadu i Bezpieczeństwa Wojskowego — i bardzo grzecznym, chłodnym tonem poprosił, aby bezpieczniacy z cywila nie robili z siebie durniów i natychmiast uwolnili amerykańskich kolegów i ich gościa.

Francuscy antyterrorysty siedzieli już w samochodzie, zadowoleni ze sprawnie i dyskretnie przeprowadzonej akcji. Włochom zajęło trochę czasu wytłumaczenie im, że pojmali nie tego człowieka. Agenci DGSE zdążyli zrewidować aresztanta, lecz nie znaleźli niczego, co by wskazywało na niezgodną z prawem działalność podejrzanego, ani też

niczego, co w ogóle potwierdzałoby, że ma on cokolwiek wspólnego z rosyjską Służbą Wywiadu Zewnętrznego i z Rosją. Paszport obywatela Libijskiej Dżamahiriji Aksila ag-Agwelida miał wielokrotną wizę Schengen z trzyletnim okresem ważności, wydaną przez włoskiego konsula w Bengazi, i liczne stemple służb granicznych Hiszpanii, Algierii, Tunezji i Włoch. Libijskie prawo jazdy i jakaś legitymacja w języku arabskim ze zdjęciem także potwierdzały tożsamość zatrzymanego. Dowódca francuskiej grupy zadzwonił do Paryża do swojego przełożonego. Ten poprosił o rozmowę z Amerykaninem, który — już rozbawiony sytuacją — wyjaśnił, że gość z Libii jest „ważny ze względu na interes bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”.

Jedyne, co udało się agentom DGSE osiągnąć, to otrzymać adres, pod którym będzie można odnaleźć Libijczyka we Włoszech. Na pytanie o miejsce pobytu wzruszył on wprawdzie ramionami („Nie mam pojęcia, zapytajcie Amerykanów”), lecz pracownik służb USA był bardziej rozmowny. „Najpewniej w naszej bazie w Aviano, tam go znajdziecie” — beczelnie się uśmiechnął.

Później analitycy DGSE zagłębili się w akta sprawy Gribovskiego i przedstawili generałowi Rastouilowi oszałamiającą konkluzję:

— Naszym zdaniem Rostislav Gribovskiy w ogóle nie istnieje, w tym znaczeniu, że taki agent z Rosji nie operował w Magrebie. Nie sposób ustalić, czy rosyjski paszport na takie nazwisko jest prawdziwy, prawdopodobnie tak, chociaż nie mając go w ręku, nie można tego stwierdzić na pewno.

— Chcecie panowie powiedzieć, że od dziewięciu miesięcy ścigaliśmy zjawę?

— Najprawdopodobniej cała sprawa jest operacją służb rosyjskich, które stworzyły fantoma. Wykreowały nieistniejącą w rzeczywistości postać, swoimi działaniami uwiarygodniły jej aktywność i znaczenie, a wszystko po to, aby sporządzić mapę naszej obecności i naszych możliwości w Libii i Tunezji. Pamięta pan operację „Miwca Szeleg” w Dolinie Bekaa?

Generał wzruszył ramionami. Bitwa w Dolinie Bekaa w czerwcu 1982 roku, w której Izraelczycy rozgromili armię syryjską, jest analizowana na każdej uczelni wojskowej świata jako przykład umiejętnego wykorzystania uwarunkowań zewnętrznych, własnych możliwości, słabych punktów przeciwnika i jego nadmiernego zadufania we własne siły. Także jako pierwsza bitwa elektroniczna.

— Mam na myśli samą operację „Drugstore”, gdy jednego dnia Izraelczycy zniszczyli połowę lotnictwa Syrii. Najpierw wysłali nad dolinę samoloty bezzałogowe. Syryjczycy, przekonani, że nadlatują izraelskie bombowce, oświetlili je radarami i podnieśli w powietrze swoje migi. Krążące w górze, na bezpiecznej wysokości, samoloty wczesnego ostrzegania Hawkeye namierzyły stacje radiolokacyjne Syryjczyków i zapamiętały częstotliwość, na jakiej nadawały syryjskie radary. Izraelskie phantomy wystrzeliły samosterujące rakiety zaprogramowane na częstotliwość radarów. W pierwszym uderzeniu wszystkie radary armii syryjskiej i siedemnaście spośród dziewiętnastu baterii przeciwlotniczych zostały zniszczone. Ślepe, bo bez wsparcia z ziemi i bez naprowadzania, myśliwce syryjskie stały się bezbronne. To była masakra. W jednej bitwie Syryjczycy stracili dwadzieścia osiem myśliwców, a samoloty Izraela bezkarnie niszczyły przeciwnika na ziemi. Coś podobnego zrobili Rosjanie: wystawili nam nieistniejący cel. Zareagowaliśmy tak, jak tego oczekiwali: uruchomiliśmy agenturę, wysłaliśmy oddziały szturmowe. Dwie grupy zostały całkowicie zniszczone, wrócił tylko

jeden człowiek. Myślę, że zostawili go przy życiu, aby nam pokazać, kto panuje nad sytuacją.

— Ale ktoś przecież przekraczał granicę z Tunezją, meldował się w hotelach, kupował bilety...

— Możliwe, a raczej jest prawie pewne, że było to kilka osób. A dodatkowo poszlakami obciążano inne, zupełnie nieświadome tego osoby. Pamięta pan operację w Trypolisie? Otrzymaliśmy od komanda informację, że Gribovskiy został namierzony w Trypolisie. Nasz agent sugerował nawet, że to Harib może być tym poszukiwanym Rosjaninem. Chociaż Polak pracujący dla Rosjan?! Wie pan, to już z pogranicza fantazji. I co? Tego samego dnia, gdy grupa z Tunisu miała go uprowadzić, Gribovskiy melduje się, jak gdyby nigdy nic, w hotelu w Susie w Tunezji. Trzysta kilometrów od Trypolisu. Już wówczas powinniśmy byli się zatrzymać i przemyśleć sytuację. Byliśmy manipulowani, a naszymi rękami chciano w Trypolisie sprzątnąć Polaka, który ewidentnie pracuje dla Amerykanów. Odpowiedź na pytanie, kto go wystawił, wydaje się oczywista. Ci, którzy najbardziej nie lubią Amerykanów. Czyli Rosjanie...

— A jeśli cała mistyfikacja z Gribovskim miała służyć przykryciu prawdziwego agenta Rosjan? I jest nim właśnie Harib? — Asystent generała Rastouila pierwszy raz włączył się do rozmowy.

— I ów rosyjski agent pracuje jednocześnie dla Amerykanów? Bo przecież demonstracyjnie pojawił się z nimi w Wiedniu. A nam przekazuje z kolei bezcenne informacje, których tak poszukujemy? To się nie trzyma kupy. Jeśli fantom Gribovskiy miał kogoś osłaniać, to już bardziej tego Niemca, operatora... To przecież on wystawił Hariba...

— Co mówią koledzy z niemieckiego Bundesamt für Verfassungsschutz?

— BfV podziękował, ale operatora nie zatrzymał. Ślad po nim zaginął, a jego rzekoma kwitnąca ferma to mały wiejski domek, w którym nikt od lat nie mieszkał. To po prostu adres. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji przyglądał się Mathiasowi od jakiegoś czasu, ale nie było żadnych dowodów, poza niejasnymi podejrzeniami, że były agent Stasi tak po prostu nie mógł przejść na emeryturę.

— To już zmartwienie Niemców. A co z tym Arabem, ag-Agwelidem? To on grał rolę Gribovskiego?

— Niewykluczone. Bo Rosjanie na pewno współpracowali z Libijczykami. Ale równie prawdopodobne, a może nawet bardziej wiarygodne jest to, że ag-Agwelid nie ma o sprawie zielonego pojęcia. A ktoś, kto występował jako Gribovskiy, po prostu nie odstępował ani na krok Libijczyka. Przejrzałem zdjęcia z momentu aresztowania na lotnisku w Rzymie. Libijczyk w ogóle niczego się nie spodziewał. I wcale nie wygląda na finezyjnego wywiadowcę. To typowy oficer Kaddafiego: próżny, bezczelny, niezbyt lotny, bez języków. Jego angielski jest marnutki, a w żadnym innym języku nie mówi. Pochodzi z niewielkiego plemienia Kel Adżdżar, które nie ma większych wpływów. Gdyby mieli chociaż pieniądze, mogliby namieszać w libijskim kotle. A tak?... Amerykanom jest potrzebny tylko po to, aby pomógł im zbierać to żelazne gówno, które rozleciało się po całej Libii i okolicy...

— Wnioski, panowie, wnioski! — Dyrektor przeciągnął dłońmi po twarzy. Trzeba będzie wymyślić dobrą opowieść dla ministra obrony. Całe szczęście, że dyrekcja zdobyła te papiery i namiary na większość pieniędzy Kaddafiego we Francji. Oczywiście Amerykanie mają najpewniej kopie dokumentów, ale tym niech się już martwią politycy. Niech się dogadują z Amerykanami i Polakami.

— Zakładamy, że tak zwany Gribovskiy już się nigdzie nie objawi. Na wszelki wypadek miejmy jednak pod obserwacją Libijczyka w Rzymie, bo do żadnej bazy Amerykanie go oczywiście nie wywiozą, najwyżej zafundują mu wyjazd do burdelu. I proponujemy nie odwoływać alertu „Gribovskiy”, abyśmy mieli pewność, że Rosjanie nie pogrywają nadal z nami w kulki i nie reaktywują znów tego ducha.

— Zgoda. Zawieszamy na razie sprawę.

Analityk DGSE nie mylił się ani co do bezczelności libijskiego oficera, ani co do jego pędu do burdelu. Tyle tylko, że Libijczyk nie udał się do domu uciech, a po prostu oznajmił Amerykanom, że skoro jest we Włoszech, to chciałby się zabawić, i prosi, aby mu nie przeszkadzać w nocnych igraszkach z pewną *donzellą*, która go odwiedzi. Strzegącym go agentom — bo przygoda na lotnisku nauczyła organizatorów podróży syna Agwelida do Włoch dużej ostrożności — nawet odpowiadało, że nie muszą włóczyć się gdzieś z Arabem, a przypilnują go w hotelu. Powstał pewien problem natury etycznej — a mianowicie czy wyłączać na czas pobytu panienki kamery i mikrofony, jakimi nafaszerowano pokój Libijczyka — ale dowódca zbeształ ich, mówiąc, że są dorośli i film porno, jak podłej jakości by nie był, nie może im zaszkodzić, a w przerwach między miłosnymi igraszkami Libijczyk być może powie coś ciekawego. Okazało się jednak, że *donzella* wynajęła osobny pokój, czego nie przewidzieli, i z bezpłatnej projekcji filmu online nic nie wyszło. Prezes libijskiej fundacji Centrum Pokoju i Pojednania dopiero rankiem zwolnił swoją jednorazową przyjaciółkę, ale był na tyle rycerski, że odprowadził ją nawet do taksówki, troskliwie osłaniając parasolem, chociaż deszcz był tak marny jak łzy kolibra. Agentom amerykańskiej Defense Intelligence Agency, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo Libijczyka, udało się wprawdzie zrobić dziewczynie kilka zdjęć, ale szeroki kapelusz i woalka na twarzy uczyniły z fotografii

operacyjnie bezużyteczną dokumentację zimowej mody. Włoski współpracownik DIA nie miał wprawdzie problemu z określeniem marki ani kapelusza („To z linii Michel” — zapewniał), ani płaszcza („A to jest kolekcja Fendi, przynajmniej, nie na naszą kieszeń”), co wcale jednak nie pomogło Amerykanom w identyfikacji *donzelli*. Jak się później okazało, panienka wynajęła pokój na fałszywe nazwisko i zapłaciła gotówką. Dziewczyna odjechała na Zatybrze, a Libijczyk poszedł spać i po południu był ponownie zdolny do podjęcia rozmów o pokoju i pojednaniu, rakietach i przyszłym ustroju Republiki Libijskiej.

Dyrektor Centrum Pokoju i Pojednania przystępował do negocjacji z nowymi kartami w ręku. Zazwyczaj dobrze poinformowany w libijskich sprawach dziennik „La Repubblica” pisał w porannym wydaniu o poufnych rozmowach, jakie w Rzymie prowadzi z przedstawicielami amerykańskiego dowództwa tajemniczy wysłannik generała Chaifa Haftara. Początkowo przeciek wywołał wściekłość Amerykanów. Generał Haftar był ich starannie skrywanym atutem. Wykształcony w Moskwie, zdolny oficer, przez dwadzieścia lat mieszkał w Stanach, pół godziny jazdy samochodem od centrali CIA w Langley. Amerykanie potrzebowali silnego człowieka, który potrafiłby posklejać poszarpany i krwawiący kraj. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wszyscy potencjalni konkurenci Haftara do schedy po Kaddafim ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Młody, ambitny kapitan ag-Agwelid byłby dobrą dla Amerykanów inwestycją na wypadek, gdyby Haftar próbował się stać zbyt niezależnym.

Gdy więc Libijczyk pośrednio potwierdził swoją znajomość z Haftarem, dostrzegli otwierające się nowe warianty gry o Libię. Inaczej też spojrzeli na swego rozmówcę. Amerykanie zrewidowałyby swoją ocenę roli szefa Centrum Pokoju i Pojednania jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli o cennej przesyłce, jaką otrzymał on od Wiktorii Kamili Masud.

Pieniądze ze schowka w Wiedniu były potrzebne ugrupowaniu ag-Agwelida nie do kupowania broni, tej mieli aż nadto, ale pozwalały płacić za przychyłność i wsparcie innych plemion libijskich. Układ sił w Libii zaczynał się zmieniać, a Amerykanie nie mieli już na to decydującego wpływu. Nie sposób też, nawet tak rozbudowanym służbom jak amerykańskie, kontrolować wszystkich *donzelli* Rzymu. Zwłaszcza gdy w pewnym momencie w Wiecznym Mieście objawiły się dwie Wiktorie Kamile Masud, a nawet zetknęły się ze sobą na chwilę, na tyle krótką, że zdołały jedynie przekazać sobie z rąk do rąk teczkę z rodzinnymi dokumentami.

[1] Her Majesty's Armed Forces (ang.) — Siły Zbrojne Jej Królewskiej Mości, armia brytyjska.

[2] *Servizio Informazioni Generali e Sicurezza Interna (SIGSI)* — włoska Służba Wywiadu Ogólnego i Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

[3] *Coglioni, idioti* (włos.) — dupki, idioci.

LV

Współobjęci, Tazerwalt i Ron stali na tarasie hotelu, wpatrując się w okryte śnieżnymi czapami świerki i znieruchomiałą gładź wody. Mijał ostatni dzień ich pobytu w górach. Dwa tygodnie nad jeziorem Mond upłynęły im jak spotkanie zakochanych w superszybkim pociągu TGV, gdy wybierają się na pierwszy wspólny weekend do Paryża. Rozmazały się obrazy miasteczek za oknami i twarze ludzi, którym przypadek wyznaczył miejsce obok w przedziale. Pozostało zachłyśnięcie się chwilą sam na sam, odcień smutku, że ta część podróży dobiegła końca, i spokojna pewność przekonania, że to dopiero początek drogi. Zaszyli się w zagubionym w górach pensjonacie przede wszystkim dlatego, aby zatrzeć za sobą możliwe do wytropienia ślady ich obecności w Austrii, gdyż Ron nie miał złudzeń, że stali się jedną z najbardziej poszukiwanych par w Europie. Decyzja o wypadzie do Zurychu, a już zwłaszcza przejęcie jednego z kilku kont w szwajcarskich bankach i tak stanowiły przekroczenie granic dopuszczalnego ryzyka. Wychodzili z założenia, że po tym, jak Kaddafi wycofał sześć miliardów aktywów ze Szwajcarii, obwieszczając, że ni centa nie zostawi w kraju, który tak spostponował jego syna Hannibala, aresztując go za pobicie jakiejś tam służącej, Konfederacja będzie ostatnim miejscem, gdzie ktokolwiek mógłby ich szukać. Ponadto musieli wesprzeć Aksila w jego walce o pokój w Libii, a trzysta milionów dolarów ze sprzedaży obligacji znacznie zwiększało szanse, jeśli nie na pokój i dobrobyt, to na pewno na odegranie przez Kel Adżdżar roli jęczyczka u politycznej libijskiej wagi, a nawet — kto wie? — jednego z zakulisowych rozgrywających. Konto z ćwierćmiliardowym wkładem pozostawili na razie

nietknięte, jeśli nie liczyć pięciu milionów, o które uszczuplili depozyt. Podjęcie tej sumy i przekazanie Aksilowi było zbyt dużym ryzykiem — całe rodziny mordowano z powodu znacznie mniejszych sum. Być może kiedyś w przyszłości Aksil i Kel Adżdżar przejmą te środki. Chociaż wydawało się bardziej prawdopodobne, że pieniądze Kaddafiego na długie dziesięciolecia pozostaną na rachunku bankowym, tak jak stało się to z pieniędzmi Ormian czy Żydów, którzy zginęli podczas zbrodni ludobójstwa.

Ronowi nie udało się samodzielnie rozwikłać tajemnicy rodowego sygnetu Rainera. Wygrawerowany na pierścieniu obraz był zbyt mały, a i czas zatarł niektóre szczegóły rysunku. Ron nie potrafił połączyć herbu z żadnym z wielkich niemieckich nazwisk. Tym bardziej że tarcza, korona, skrzydła i wijące się kwiaty czy liście występowały w bardzo wielu znakach rodowych niemieckiej szlachty. Rościsław nie był specjalistą, nie znał nawet dobrze historii Niemiec i długie godziny poszukiwań w internecie nie zbliżyły go do rozwiązania zagadki. Surfując w sieci i czytając specjalistyczne artykuły, poznał za to nazwiska niemieckich historyków zajmujących się podobną tematyką.

Doktor Ralf Braun przyciągnął jego uwagę tym, że był uczniem profesora Hansa-Thoralda Michealisa, autora fundamentalnych prac na temat historii wielkich niemieckich rodów i jednego z najwybitniejszych na świecie ekspertów od genealogii i heraldyki niemieckiej. I, co ważne, doktor Braun pracował w departamencie historii Wydziału Historii i Sztuki Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Oberburgau od Monachium dzieliły dwie godziny jazdy samochodem.

Korzystając z jednej z nabytych w Szwajcarii kart SIM, Ron zadzwonił do pani Schmitz. Właścicielka domu przy Englischer Garten pamiętała *herr* Hariba i jego cudowną

małżonkę i wylewnie zapraszała do ponownych odwiedzin. „Pewnie ma nadzieję, że zapłacimy za tydzień, a wyjedziemy po dwóch dniach” — pomyślał Rościsław.

— Mogą państwo zatrzymać się u mnie tak długo, jak będzie wam pasowało — zachęcała.

— Cztery, może pięć dni, jeśli dysponuje pani wolnym piętrem — uściślił.

— Tak, oczywiście, serdecznie zapraszam.

Wyjechali po obiedzie, nie przyciągając uwagi gości, którzy o tej porze zażywali sjesty lub spaceru po okolicznych wzgórzach. Na pierwszym postoju, zaraz za Thalgau, gdy tylko jezioro Mond zniknęło za górami, Ron zmienił austriackie dyplomatyczne tablice rejestracyjne na polskie. Nie miał pewności, czy niemiecka policja odnosi się do dyplomatów z równym respektem co Austriacy. Nie wątpił także, że kradzież tablic już zgłoszono i każdy policyjny patrol ma ich numer w swojej bazie danych. Tablice rejestracyjne nie miały oczywiście żadnego związku z GPS, ale zaraz po ich zdjęciu system nawigacyjny wysiadł. Najwidoczniej elektryk z Wiednia nie był koryfeuszem informatyki. Na lotnisko w Monachium dojechali, kierując się drogowskazami. Doszli do wniosku, że bilety do Rzymu dla Tazerwalt lepiej kupić bezpośrednio na miejscu, unikając pozostawiania dodatkowych śladów w internecie lub biurach podróży. Sprawdziwszy połączenia, uznali, że najlepiej będzie, jeśli żona Rościsława poleci jako Kamila Wiktoria Masud późnym popołudniem i wróci możliwie wcześniej następnego dnia. Przez noc może opowiedzieć bratu chociażby historię stworzenia świata. Gorzej było z dojazdem z lotniska do willowej dzielnicy przy Parku Angielskim. Gdyby nie byli tam wcześniej, to z powodu awarii terminala GPS musieliby chyba dopytywać o drogę przechodniów.

Frau Schmitz szczerze ucieszyła się na ich widok, przygotowała im nawet kolację. Więcej, poprosiła, aby w ciągu najbliższych trzech dni na pewno pozostali w jej domu, bo chciała wykorzystać ich obecność, aby odwiedzić w Garmisch-Partenkirchen córkę, a przede wszystkim wnuki. Najwidoczniej nabrała do nich zaufania, chociaż, jak wiadomo, nie można całkowicie ufać Ossim, Niemcom ze wschodu. Przy okazji Ron przeszedł przyspieszony kurs obsługi pieca grzewczego w piwnicy i zapoznał się z lokalizacją węzłów wodnych.

— Oczywiście nic się nie stanie. Ale na wszelki wypadek dobrze, aby pan wiedział, gdzie i co — tłumaczyła pani Schmitz.

— Pozostańmy tu dłużej — poprosiła Tazerwalt. — Kto wie, czy jeszcze kiedyś będziemy mieli okazję do takich beztrudnych zimowych wakacji. Może dom, który kupujemy, będzie wymagał takiej ilości pracy, że uwięzi nas na rok lub dłużej przy remoncie.

— Czy możemy zapłacić za dziesięć dni? — zaproponował Ron gospodyni. Ta była więcej niż uradowana.

Od rana Rościsław zajął się poszukiwaniem kontaktu do doktora Brauna i bez problemu uzyskał w sekretariacie departamentu historii jego numer telefonu i informację o godzinach pracy. W porze, w której według harmonogramu zajęć młody naukowiec powinien być wolny, zadzwonił do Brauna. Przedstawił się jako pisarz, który pracuje obecnie nad książką o oficerze Luftwaffe z czasów drugiej wojny światowej.

— Przywiązuję dużą wagę do szczegółów, chcę, aby rzecz oddawała realia epoki, emocje żołnierzy, ich lęki i nadzieje. Opisywana przeze mnie historia opiera się zresztą na faktach i dokumentach. Wśród artefaktów, bo one bardzo pomagają przybliżyć się do rozumienia czasów, o których

piszę, jest sygnet z herbem. Chciałbym pana prosić, aby powiedział coś o nim, może ustali pan, do kogo należał.

— Bardzo proszę, jeśli będę mógł w czymś panu pomóc. — Ralf Braun grzecznie i chętnie przystał na propozycję. — Skąd pan do mnie dzwoni? Bo wyświetla się szwajcarski numer.

— Dzwonię z Monachium, ale ponieważ najczęściej mieszkam i pracuję w szwajcarskim Montreux, to i numer mam stamtąd.

— A co powie pan na to, abyśmy jutro zjedli lunch? O dwunastej trzydzieści? — zaproponował doktor Braun.

— Znakomicie, zapraszam. Tylko proszę o zasugerowanie miejsca, gdyż nie znam zbyt dobrze Monachium.

— Wie pan, na Theresienstrasse jest taka restauracyjka, Theresa Grill. Nic wielkiego, ale podają tam świetne pieczone mięsa. A ponieważ to tuż przy uniwersytecie, nie stracę wiele czasu na dojazd i będziemy mieli go więcej na rozmowę.

— Doskonale. Czy mówi pan może po francusku? Moja małżonka nie zna niemieckiego, a chciałyby poznać sławę niemieckiej genealogii. — Ron zdawał sobie sprawę, że komplement był zbyt prostacki, ale liczył, że próżność jest cechą także naukowców.

W telefonie usłyszał śmiech Brauna.

— Sławą może kiedyś będę, jeśli pański sygnet przyniesie mi odkrycie na skalę światową. Mój francuski jest dość mierny i wolałbym pozostać na gruncie niemieckiego.

Jakkolwiek dom pani Schmitz na Keferstrasse znajdował się w tej samej dzielnicy co uniwersytet, to nie ryzykowali pójścia tam pieszo, aby się nie spóźnić, lecz podjechali metrem. Unikanie jazdy samochodem, którego numery

mogłyby komuś pomóc w ich odnalezieniu, stało się już nawykiem. Tazerwał żartowała:

— Jeśli będziemy mieszkać w lesie bez przejezdnych dróg dojazdowych, takie przyzwyczajenie bardzo się nam przyda.

Mała restauracja, właściwie bar, w południe była prawie pusta. Ostatni spóźnialscy studenci zdążyli już zjeść śniadanie, najbardziej głodni obiadu — jeszcze nie przyszli. Ron widział doktora Brauna na fotografii zamieszczonej w internecie i bez wysiłku rozpoznał wchodzącego blondyna z rozwianymi włosami i w quasi-wojskowej zielonej kurtce.

— Czy ktoś zarekomendował mnie panu? — zaciekał się naukowiec.

Ron uczciwie powiedział, że ponieważ nie jest zawodowym historykiem, a mieszka w Szwajcarii i dlatego nie zna środowiska naukowego w Niemczech, to zasugerował się publikacjami Brauna, które znalazł w internecie.

— Rozumiem. Pytam dlatego, że nie uważam się za największego w kraju specjalistę od genealogii, natomiast na uniwersytecie w Norymberdze pracuje profesor Demmerle, który cieszy się zasłużonym autorytetem w tej dziedzinie. Ale niech pan najpierw pokaże mi ten sygnet.

Braun wziął do ręki pierścień, obejrzał go pobieżnie, po czym przetrął oczko sygnetu, wyjął lupę i długo, uważnie rozpatrywał grawerunek.

— Jeśli chodzi o autentyczność klejnotu, to nie mam wątpliwości. Chyba że wykonali go genialni fałszerze, ale taka żmudna praca po prostu się nie opłaci, gdyż sygnet ma wartość przede wszystkim historyczną, a dla kogoś może także sentymentalną. A jako biżuteria bez historii nie byłby wiele wart. Obraz na pierścieniu to herb von Manteuffel. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że z którejś ze wschodnich gałęzi tego rodu, najpewniej z Pomorza, chociaż równie dobrze z Kurmarchii. W obu regionach mieli

posiadłości. Von Manteufflowie to bardzo liczna rodzina z wieloma rozgałęzieniami, dlatego stuprocentowej pewności nie mam. Zaraz państwu zdradzę, skąd takie przypuszczenia, tylko proszę mi powiedzieć, w jakich okolicznościach wszedł pan w jego posiadanie. To ważne dla ustalenia, kto był właścicielem sygnetu.

Ron starał się dokładnie tłumaczyć słowa Brauna na francuski. Tazerwał zachowywała spokój, ale rumieńce, które wystąpiły na jej twarzy, zdradzały, jak bardzo przeżywała chwilę odkrywania prawdy o swoim przodku.

— Na sygnet natknąłem się w północnej Afryce, dokładnie w Libii. Podejrzewam, że skradziono go z grobu żołnierza. — Ron uznał, że tyle może powiedzieć. — Ponieważ europejskie pochodzenie tego artefaktu było oczywiste, nabyłem go od sprzedawcy, dla którego był to po prostu duży złoty pierścień.

— Mhmm... Dziwna sprawa, a raczej zadziwiająca zbieżność. Bo rzeczywiście w Afryce Północnej, a precyzując: w Tunezji, walczył w szeregach armii niemieckiej von Manteuffel. Ale to był generał Hasso von Manteuffel, który na pewno w Afryce nie zginął, a dożył sędziwego wieku i zmarł gdzieś na początku lat osiemdziesiątych czy pod koniec siedemdziesiątych. Więc sygnetu nikomu nie oddał.

— Generał Manteuffel był lotnikiem?

— Nie, Hasso von Manteuffel to wybitny dowódca wojsk pancernych. Walczył na froncie wschodnim. To on dowodził grupą, która w listopadzie 1941 roku dotarła na obrzeża Moskwy. Brał udział w wielkiej bitwie pod Kurskiem, która przesądziła o losach drugiej wojny światowej. Wojna w Afryce Północnej była tylko krótkim epizodem w jego wojennej karierze. Na stanowisku dowódcy dywizji w armii generała von Arnima, która była główną siłą Korpusu

Afrykańskiego feldmarszałka Rommla, utrzymał się niespełna dwa miesiące. Zachorował, podobnie jak bardzo wielu żołnierzy Rommla, na czerwonkę i w stanie skrajnego wycieńczenia ewakuowano go do Niemiec. Gdy wyzdrowiał, nie wrócił do Afryki, wysłano go na front wschodni, gdzie walczył aż do lata 1944 roku. Jak pan zapewne pamięta z lekcji historii, Hitler chciał odwrócić losy wojny, próbując pobić Amerykanów i Anglików w Ardenach. W bitwie o Ardeny generałowi von Manteufflowi wyznaczono jedną z głównych ról. Hitler mianował go dowódcą całej Piątej Armii Pancерnej. W bitwie von Manteuffel zaprezentował pełnię swoich talentów. Jego Piąta Armia przedarła się najdalej na zachód, dochodząc prawie do Mozy, a później, po przegranej, von Manteufflowi udało się ocalić armię przed zniszczeniem jej przez Amerykanów. A miał za przeciwnika nie byle kogo, bo samego generała Pattona, który dowodził Trzecią Armią aliantów. Opowiadam to panu nie dlatego, że jestem wielkim admiratorem von Manteuffla, który był, uważam, typowym przedstawicielem pruskiej arystokratycznej soldateski, która wsparła nazistów. Skoro jednak ja, chociaż nie zajmuję się tym okresem historii Niemiec, znam szczegóły, świadczy to o tym, jak znaną postacią był von Manteuffel. Czyli, jeśli cokolwiek ważnego przydarzyłoby się generałowi Hasso von Manteufflowi w Afryce, byłoby to znane historykom. Konkluzja: sygnet należał do kogoś z jego rodziny, ale nie do niego. A dlaczego zapytał pan o to, czy nie był lotnikiem?

— Muszę przyznać, że przeprowadziłem małe historyczne dochodzenie. Dotarłem do osoby, która znalazła sygnet, jak utrzymuje, w szczątkach samolotu myśliwskiego. Chociaż podejrzewam, że skradła go raczej z mogiły. I z różnych szczegółów wynikałoby, że chodzi o dwudziesty siódmy pułk myśliwski. A ten pułk rzeczywiście walczył w Afryce.

— Rozumiem. Bardzo interesujące, wręcz intrygujące. Dam panu kontakt do kolegi, który zajmuje się historią

drugiej wojny. Na pewno będzie mógł panu pomóc bardziej niż ja.

— Panie doktorze, opowiedział pan o generale von Manteufflu, ale skąd pewność, że to herb pomorskich Manteuffłów?

— Niech pan uważnie popatrzy. — Braun pokazał na odwzorowanie herbu na sygnecie. — Herb, czy też godło, składa się z wielu elementów, jedne mają zasadnicze znaczenie, inne zdobnicze, ale również niosą określoną treść. A co dla nas najważniejsze, drobne szczegóły pozwalają na rozróżnienie między rozgałęzieniami tego samego rodu. Co pan widzi? Tarcza, nad tarczą hełm rycerski, osadzony na obojczyku. Obojczyk to ta część zbroi, która przykrywała szyję rycerza. Hełm typu żebrowego, a na nim korona, z której wyrastają skrzydła ptaka, należy domyślać się, że orła. Całość spowijają liście. Co jest charakterystyczne dla herbu rodu von Manteuffel? Po pierwsze godło na tarczy, te linie dzielące ją na poziome pola. Po drugie sama tarcza jest typu hiszpańskiego, a nie gotyckiego, która ma spiczaste zakończenie u dołu. Hiszpańska tarcza jest u dołu półokrągła i niewydłużona, prawie daje się wpisać w kwadrat. Oznacza to, że herb w tej postaci powstał wcześniej, w XIII, może XIV wieku. Po trzecie wspomniany rodzaj hełmu z koroną. Ten rodzaj hełmu mają na swoich godłach tylko suwerenowie, bo jest zwrócony przodem i ma sześć prętów ochronnych. Po czwarte skrzydła. Wreszcie te zdobne elementy, labry, jakby liście po obu stronach tarczy, to trzymacze. To jest właśnie herb rodu von Manteuffel. W wielu herbach niemieckich rodów trzymaczami są lwy, orły, gryfy. Przykładowo wspomniałem panu o generale von Arnimie, który był przełożonym Hasso von Manteuffla w Afryce. Na herbie von Arnimów trzymaczami są dwa gryfy, chociaż jedna z gałęzi tego rodu ma też orły. A tarcza na herbie von Arnimów jest przedzielona na cztery pola, to jakby szachownica z

umieszczonymi po przekątnych dwoma orłami. Tarcza ma inny kształt, tak zwany turniejowy lub renesansowy, a hełm ukazany jest z boku. Niedawno zajmowałem się herbem rodu Schaffgotsch. U nich tarcza jest dzielona pionowymi liniami na pola, a elementem wieńczącym herb, „klejnotem herbu”, jest owca. *Schaff* to przecież owca. Reasumując: na tym sygnecie jest herb von Manteufflów.

— No dobrze, ale skąd przypuszczenie, że akurat ten sygnet przynależał do przedstawiciela wschodniej, pomorskiej czy kurmarchijskiej, gałęzi?

— Mówiłem, że równie ważne są szczegóły. I tak: godło. Generalnie tarcza herbu von Manteufflów dzieli się na pięć poziomych pól, z czego pierwsze górne pole jest takiej samej wysokości jak wszystkie cztery dolne pola łącznie. W górnym polu powinien znajdować się czarny orzeł umieszczony centralnie. Pola, patrząc od góry, mają kolory: niebieski, biały, czerwony i znowu biały. Oczywiście na sygnecie kolory byłyby zaznaczone jedynie liniami, może cieniowaniem. A na tym sygnecie nie ma orła. To po pierwsze. Po drugie, wprawdzie na grawerunku kolorów nie zobaczymy, ale widzimy wyraźnie, że tarcza dzieli się na trzy równe poziome pola. Gdybyśmy mieli kolory, byłyby to: biały, czerwony i znów biały. Takie właśnie było godło wschodniej linii von Manteufflów. Proszę też zwrócić uwagę na klejnot: tutaj skrzydła są jednolite, natomiast w herbie głównej linii von Manteufflów byłyby przekreślone, ponieważ w oryginalnej, kolorowej wersji są przepasane wstęgami: prawe skrzydło czerwoną, a lewe niebieską.

— Panie doktorze, a mógłby pan opowiedzieć nam o tej wschodniej linii? Gdzie mieszkali? Kim byli? — zapytała milcząca dotąd Tazerwalt.

Braun zrozumiał zadane po francusku pytanie.

— Aż takich szczegółów nie jestem w stanie w tej chwili podać. Von Manteufflowie wywodzą się z Westfalii. Ich nazwisko, w którym *Man* oznacza „rycerz”, wskazuje, że to ród rycerski. *Teufel*, wiadomo, „diabeł”. Pewnie nie byli to zatem ludzie szczególnie łagodnego usposobienia. W Brandenburgii i Meklemburgii pojawili się w XIV wieku. Mówiłem już, że to bardzo liczny ród, z wieloma odgałęzieniami. Ich główne posiadłości znajdowały się na Pomorzu: Quibernow, Damitz, Belckow, Busler. Ale także na południu, aż pod Grünbergiem: Neumühl, Topper, Leichholz. Dzisiaj te miejscowości znajdują się w granicach Polski. Grünberg nazywa się teraz Zielona Góra, a współczesne nazwy mniejszych miejscowości musiałbym ustalić. Nie wiem, czy któryś z niemieckich historyków zajmuje się dzisiaj dokładnie historią tego rodu. Może gdyby odszukać kogoś z rodziny...

— Sądzi pan, że to możliwe? Zna pan może jakiegoś Manteuffla, skoro byli tak liczni?

Ralf Braun jednak zbył milczeniem pytanie Rona i powrócił do sygnetu.

— Jeśli panu bardzo zależy na pozyskaniu jakichś dodatkowych informacji, chętnie zagadnę kolegę z Norymbergi. Chociaż na cud bym nie liczył.

Ron postanowił uchylić trochę przyłbicę.

— Mamy pewne przesłanki, aby sądzić, że von Manteuffel, ten żołnierz, który zginął w Afryce, miał na imię Rainer, a może Ralf lub Roland.

— Rainer vel Ralf vel Roland von Manteuffel. Dwudziesty siódmy pułk myśliwski. Afrika Korps. To już bardzo dużo. Zadzwońię do pana za parę dni. Zajęcia się skończyły, studenci przygotowują się do egzaminów, a ja czytam ich prace semestralne. Więc mam trochę czasu. Zobaczmy, co osiągniemy. Na razie spieszę na posiedzenie mojej katedry.

Ralf Braun podziękował za obiad i pożegnał się.

Zadzwoił trzy dni później. Rościśław wracał właśnie taksówką z lotniska po tym, jak odwiózł Tazerwalt na popołudniowy lot do Rzymu.

— Mam czterdzieści minut. Wpadnie pan na kawę do Batty Baristas? To kawiarnia na Barerstrasse. Tuż przy uniwersytecie.

— Będę za dziesięć, piętnaście minut.

Przywitali się jak starzy znajomi.

— Teraz ja mogę panu postawić kawę. Życzy pan sobie?

— Tak, poproszę. Czy coś udało się panu ustalić?

— Mnie nie. Ale mój kolega powinien być chyba szefem urzędu do spraw kombatanłów. Trzecia Rzesza była jednak dobrze zorganizowanym biurokratycznie państwem, a mój przyjaciel opanował sztukę poruszania się zarówno w archiwach, jak i w środowiskach kombatanckich. Najkrócej i jednym zdaniem: porucznik Rainer von Manteuffel, krewny swego sławnego wuja Hasso, służył w dwudziestym siódmym pułku myśliwskim i zaginął 19 września 1941 roku w Afryce Północnej, nie wróciwszy z lotu patrolowego. Tyle archiwa.

— Czyli wszystkie elementy puzzli znalazły swoje miejsce...

— powiedział Ron w zadumie, bardziej do siebie niż do Ralfa. — Jak pan sądzi, jego krewni, rodzina żyją?

— Zapewne tak. Tylko po co pan chce ich odszukać? Przekazać pamiątkę po dzielnym pilocie Luftwaffe, który zginął gdzieś nad Saharą lub Morzem Śródziemnym, nie wiedząc, po co i dlaczego tam się znalazł? Minęło siedemdziesiąt lat. W chwili śmierci porucznik von Manteuffel miał lat dwadzieścia sześć. Jeśli nawet jakieś kilkuletnie dziecko spośród jego krewnych przeżyło wojnę i

żyje do dzisiaj, to jest osiemdziesięcioletnim staruszką lub staruszką.

— Odnoszę wrażenie, że nie pała pan specjalnie głęboką sympatią do rodziny Manteuffłów?

— Może ma na to wpływ postawa samego Hasso von Manteuffla i niektórych członków jego rodziny. Generał nigdy nie odpowiedział przed sądem za przestępstwa wojenne, natomiast przez całe życie starał się ugruntowywać kult Wehrmachtu i swoich czołgistów jako czystych żołnierzy, nieskalanych krwią niewinnych ludzi. Wierzy pan, że walczył na Wschodzie, w Polsce i w Rosji i nie popełnił żadnych zbrodni? Wprawdzie raz stanął przed sądem, ale tylko za skazanie na śmierć wartownika, który nie doniósł mu o ucieczce swoich kolegów. Dostał za to dwa lata, przesiedział sześć miesięcy. O rozstrzelanych jeńców, spalone wsie, zabitych cywilów sąd go oczywiście nie pytał.

— Niektórzy rodacy obwiniliby pana o brak patriotyzmu...

— Wybielanie historii swojego kraju wbrew faktom jest zaprzeczeniem patriotyzmu. Bo może zrodzić w młodym pokoleniu poczucie przynależności do narodu wyjątkowego, powołanego do szczególnej misji dziejowej. I historia znów zatoczy koło. Nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, ale niektórzy potomkowie von Manteuffłów są bardzo mocno zaangażowani w działalność Związku Wypędzonych i prowadzą krucjatę, której celem jest odzyskanie utraconych na rzecz Polski majątków lub otrzymanie za nie rekompensaty. Co pan robi z tym sygnetem, gdy już skończy powieść?

— Na pewno przekażę go potomkom von Manteuffla.

— Moim zdaniem nie warto. Nie dlatego, że historię trzeba pozostawić w spokoju. Przeciwnie, należy ją ciągle przeorywać i uprawiać, aby nie porosła trującymi chwastami mitów, nacjonalizmów i samouwielbienia.

Uważam jednak, że nie trzeba wynosić na piedestały ludzi, na których rękach jest krew niewinnych, nawet jeśli, jak to się ładnie mówi, przelali ją w imię wyższych celów, czyli interesów narodowych.

— Zapewniam pana, że odnajdę osobę, która będzie tego godna.

— Chcę w to wierzyć. Nawet w Sodomie i Gomorze znalazł się jeden sprawiedliwy. Miło było mi pana poznać. Niech pan mi przyśle egzemplarz książki.

— Postaram się. Ale proszę być pewnym, że się jeszcze zobaczymy. Moja małżonka powiedziała, że się spotkamy.

— Jest prorokinią? — roześmiał się Ralf.

LVI

Gdy Tazerwalt wróciła z Rzymu, Ron szczegółowo, słowo po słowie, zrelacjonował jej rozmowę z Braunem.

— A co ty sądzisz? Warto odszukać kogoś z rodziny Rainera? Z twojej rodziny?

— Ralf Braun chciał nam chyba powiedzieć, tak to zrozumiałam, że rodzina von Manteuffel to źli ludzie. Ale nie będziemy ich szukali z zupełnie innych powodów.

— Tak?

— Opowiadałeś mi, że wy, Europejczycy, grzebiecie swoich zmarłych na wielkich cmentarzach. Dotyczy to w szczególności wojskowych. Mieszkałam w Tunezji, pamiętasz? Są tam cmentarze żołnierzy obu armii, którzy zginęli w wielkiej wojnie. Bardzo zadbane. Każda mogiła oznaczona i każda smutnie jednakowa. Raz do roku odbywają się tam oficjalne uroczystości. A poza tym dniem, we wszystkie pozostałe dni w roku, ci polegli są samotni, chociaż wystawieni na publiczny widok, i nikt ich nie wspomina. Może rodzina Rainera w Europie albo niemiecki rząd zechcieliby przenieść jego zwłoki na taki cmentarz. I pozostawić w pieczarze w górach samotną Tamazzalt. A ich miejsce jest tam, Ron. Na zawsze już razem, obok siebie. I w pamięci Kel Adżdżar.

LVII

Spędzili w gościnnym domu *frau* Schmitz pełne dziesięć dni i wyruszyli w drogę do Polski dopiero po tym, jak mecenas Dąbrowski potwierdził, że transakcja kupna domu w lesie została sfinalizowana, pieniądze od Tazerwalt odebrane, zamienione na złotówki i wpłacone na konto Agencji Nieruchomości Rolnych.

— Rostek, jesteś teraz panem na włościach. Jak przyjedziecie do Warszawy, opijemy to. Dam wam komplet kluczy i możecie się przeprowadzać. Mieszkanie na Marymoncie też jest gotowe do zamieszkania. Ada przygotowała nawet jakieś miłe siurpryzy dla twojej małżonki. Dokładne rozliczenie przedstawię ci, gdy tylko się pojawisz — raportował Jacek.

— A co jeszcze ciekawego w kraju?

— Nic szczególnego. Albo inaczej: tyle się dzieje, że obalimy skrzynkę kruga, nim ci wszystko opowiem. Ale teraz stawiasz ty. A, zapomniałbym: jakiś tydzień temu kontaktował się ze mną Raczkowski. Był bardzo zadowolony. Powiedział, że wszystko pozamiatane, a twoja dymisja została przyjęta. Zrozumiałem to jako żart. Czy też jest coś, co powinienem wiedzieć?

— Jacku, uwierz, z jego strony to był tylko żart — zapewnił Rościsław. — A sprawy w urzędzie stanu cywilnego?

— Jak sobie życzyłeś. Wkrótce możesz nazywać się ponownie Grzybowski. Musisz tylko dopełnić kilku formalności. Jak dla mnie Grzybowski to nazwisko zbyt banalne i pospolite. Najśmieszniejsze, że Tazerwalt będzie panią Grzybowską. No przyznaj, przecież ona tego nawet

nie wymówi. Może wymyślisz jakieś inne nazwisko. Lub dodaj chociaż imię, Ronald albo Donald, dla równowagi i powagi — roześmiał się.

Z informacji na monitorze GPS wynikało, że do Warszawy mają tysiąc sto kilometrów i dziesięć godzin jazdy, gdyby jechali tą samą drogą, którą opuszczali kraj. Trasa przez Pragę i Wrocław była nieco krótsza, ale Rościsław zapamiętał, że uroki jazdy wąskimi, górskimi drogami w Czechach mają się odwrotnie proporcjonalnie do skali trudności, a nie cierpiał wlec się przez dziesiątki kilometrów za zdezelowanymi skodami i ciągnikami rolniczymi. Tazerwał też optowała za jazdą szybkimi autostradami. Wyjechali więc wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, w nadziei, że dotrą do Warszawy przed nocą.

Tazerwał, otuliwszy się kocem, natychmiast usnęła. Córka pustynnych nomadów nie musiała przyzwyczajać się do snu podczas jazdy. Obudziła się dopiero wtedy, gdy skręcili na autostradę A2, prowadzącą wprost do Warszawy, ale pozostawała wciąż w sennym odrętwieniu. Patrzyła w zamyśleniu na zielono-brązową palisadę sosnowego boru rozciągającego się po obu stronach autostrady.

— Po drugiej stronie granicy podobnie, prawda? — zapytała.

— Tak. Gdyby nie Odra, nawet nie zauważylibyśmy, że przejeżdżamy granicę.

— To dobrze — powiedziała tylko. I znów umilkła.

Nawet podczas obiadu, na który zatrzymali się pod Rauen, była zamyślona i milcząca.

— Ron — odezwała się, gdy tablice informacyjne nad autostradą obwieściły, że od polskiej granicy dzieli ich trzydzieści kilometrów — zajedźmy, proszę, do domu.

— Miła, przecież jedziemy...

— Nie, nie, mam na myśli dom, który kupiliśmy. Ten w lesie.

— Tazerwałt, kochana, tam jest pusto, pewnie zimno. Nie mamy kluczy...

— Przecież w stróżówce jest ochroniarz. Mówiłeś o tym z Jackiem. Proszę, zajedźmy tam. To ważne.

— Dobrze.

Wzruszył w duchu ramionami. Ostatecznie mogą zajechać na parę minut. To przecież po drodze. Obejrzą to cudo, w które władowali trzy miliony. Wprawdzie na razie zainwestowali tylko jeden, a i pieniądze były, przynajmniej, niczym wygrane na loterii, ale oszczędny, bo przyzwyczajony do skromnego życia, Rościsław wciąż miał trudności z wyobrażeniem sobie takiego majątku. Choć w bagażniku auta wioził w obligacjach kwotę kilkaset razy większą. W Genewie spieniężyli tylko niewielką część amerykańskich papierów dłużnych, a Aksilowi w Rzymie Tazerwałt przekazała tylko otrzymaną za nie gotówkę. Oboje zastanawiali się, w jaki sposób najbezpieczniej i nie pozostawiając zbyt wielu śladów, przechować obligacje lub zamienić je na pieniądze i przetransferować na różne konta.

Wprowadził do GPS współrzędne przesłane mu przez Jacka i nacisnął przycisk „prowadź do”. Na monitorze urządzenia zakwitła niebieska linia zadanej trasy — przez Świecko, następnie polskim odcinkiem trasy E30, aby zakończyć się na zielonej plamie lasu. „Albo Jacek się pomylił, albo tam nie ma naprawdę żadnej miejscowości” — pomyślał Ron.

Fachowiec, który w Wiedniu naprawiał volvo, czy dokładniej: szukał w aucie szpiegowskiego oprzyrządowania, najprawdopodobniej coś pokręcił w GPS,

który już raz splątał im psikusa w Monachium, a teraz po prostu się wyłączył. Rościsław z irytacją uderzył dłonią w ekran i obraz trasy ponownie się wyświetlił. Zgodnie z radami Jacka i wskazaniem GPS przejechali czterdzieści kilometrów od granicy, w Torzymiu skręcili w prawo w drogę numer 138. I wówczas GPS ponownie odmówił współpracy. Tym razem mimo stukania i opukiwania urządzenie pozostawało martwe.

— Koniec podróży! Musimy wracać na autostradę. Za godzinę zacznie się ściemniać, a my jesteśmy na jakimś odludziu, wśród pól i lasów, gdzie nie ma nawet kogo zapytać o drogę. Jeśli nie chcemy, aby nas wilki zjadły, wracajmy do cywilizacji i jedźmy do Warszawy. Przecież możemy wrócić tu za parę dni.

— Nie — powiedziała Tazerwalt spokojnym, cichym głosem.

— Tazerwalt?!

— Ron, poprowadzę cię — zaproponowała miękko, z czułością.

— Przecież nie znasz... — Ze zdumienia tak gwałtownie wcisnął hamulec, że aż odczuł ból wrzynających się w ciało pasów bezpieczeństwa. Zwrócił głowę w jej stronę. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Rozszerzone oczy Tazerwalt były jak wielki, błękitny ekran, na którym wyświetlały się obrazy z przeszłości, sceny, które się zdarzą, i drogi, które się przetną. W ułamku sekundy znów zobaczył córkę amenukała, jak wchodzi do namiotu, przysłaniając sobą oślepiające światło słońca, rozległe piaski Sahary, pustynne góry Akakus, zielone pola swego dzieciństwa i ogromne niebo nad Białorusią, po którym wiatr gnał strzępiaste obłoki. Czas skręcił się w napiętą do granic wytrzymałości spiralę. Ron w milczeniu skinął głową.

— Po prostu jedź. Na pustyni też nie ma map i drogowskazów. A znaki są wszędzie.

Minęli linię kolejową, zielone płachty pól żyta, jeszcze nieprzykryte śniegiem, jeden masyw leśny, drugi. Wciąż żadnej wsi, żadnego domu. Wreszcie pojawił się drogowskaz z nazwą miejscowości.

— Nie, nie w tę stronę. W prawo.

Ściany gęstego lasu z dwóch stron ścisnęły drogę, zwężając ją do rozmiarów asfaltowej ścieżki, której szerokość może by pozwoliła wyminąć się dwóm autom osobowym, ale nie ciężarówkom. Niskie już zimowe słońce z trudem przebijało się przez leśną gęstwinę i nad drogą zawisł półmrok, rozświetlany od czasu do czasu przestrzenią mijanych polan i niskich szkółek.

Czuł się tak, jak gdyby znalazł się poza granicami czasu, a zwykły nadodrzański las stawał się miejscem spoza znanego mu świata. Przypomniały mu się opowieści o czarodziejskiej mocy kobiet Kel Adżdżar z krwi Tamazzalt, droga przez zdradliwe słone jezioro na pustyni Tadrart i ręce żony, pewnie prowadzące dżipa pomiędzy białymi plamami, po granicy Studni Diabła. Tazerwalt nie przejawiała oznak zaniepokojenia lub niepewności. Dotykała palcami prawej dłoni rodowego sygnetu niemieckich szlachciców, patrzyła jasnymi, niebieskimi oczami wprost przed siebie, jakby nie dostrzegała ani ciemniejącego lasu, ani siedzącego obok mężczyzny, który był jej mężem. Volvo dotoczyło się do skrzyżowania. Rościsław zdziwił się, że w tej głuszy może być jeszcze jedna droga, poza wiodącą ich wąską ścieżką. Spojrzał pytająco na Tazerwalt.

— Już wkrótce. Znów w prawo. — Spojrzała na niego z tkliwością, dotknęła na chwilę jego dłoni i zaraz ponownie wpatrzyła się w drogę przed sobą.

Jechali jeszcze jakieś dwa kilometry. Ronowi zdawało się, że czas zamarł, a auto prawie znieruchomiało na tle nieprzeniknionego częstokołu przydrożnych świerków. Aż wreszcie las się rozstąpił, przejaśniało i prawie oparli się o metalową bramę płotu okalającego park, z którego czerwone promienie zachodzącego słońca wydobywały pojedyncze drzewa, wyświetlały połyskujące w dali lustro wody, jasne ściany pałacu i — na frontonie nad podwójnymi drzwiami wejściowymi — owal z herbem rodu Manteuffel.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

[I](#)
[II](#)
[III](#)
[IV](#)
[V](#)
[VI](#)
[VII](#)
[VIII](#)
[IX](#)
[X](#)
[XI](#)
[XII](#)
[XIII](#)
[XIV](#)
[XV](#)
[XVI](#)
[XVII](#)
[XVIII](#)
[XIX](#)
[XX](#)
[XXI](#)
[XXII](#)
[XXIII](#)
[XXIV](#)
[XXV](#)
[XXVI](#)
[XXVII](#)
[XXVIII](#)
[XXIX](#)
[XXX](#)
[XXXI](#)
[XXXII](#)

XXXIII
XXXIV
XXXV
XXXVI
XXXVII
XXXVIII
XXXIX
XL
XLI
XLII
XLIII
XLIV
XLV
XLVI
XLVII
XLVIII
XLIX
L
LI
LII
LIII
LIV
LV
LVI
LVII